PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK JEDENASTY. — TOM XLIII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1894.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1894.

PANSLAWIZM NA KASZUBACH.

I.

Któż nie słyszał o Mrongowiuszu, literacie, słownikarzu i gramatyku polskim? Był to sobie pastor ewangelicki w Gdańsku z początkiem bieżącego stulecia. Ten to pastor, nie będący z pewnością dobrym Polakiem, jak się dowiadujemy ze źródeł rosyjskich, zawiadomił Mikołaja hr. Rumiancowa, podówczas kanclerza rosyjskiego, że język kaszubski (jak wiadomo odłam języka polskiego) ma wiele podobieństwa do języka rosyjskiego. Jak świadczy urzędowe źródło rosyjskie, otrzymał Mrongowiusz od wymienionego kanclerza rosyjskiego pewną kwotę, ażeby przedsięwziął podróże i język kaszubski zbadał. Nie wiemy dobrze, jak się z tego polecenia zacny pastor wywiązał, to pewna tylko, że w sieci swoje wciągnął dwu innych pastorów, Marwica i Borkowskiego, którzy rządowi rosyjskiemu dostarczyli także pewnych wiadomości o Kaszubach.

Niedługo potem wyprawił rząd rosyjski na swój koszt już własnego badacza do Kaszubów, niejakiego p. Prajsa. Zdaje się, że Prajs był gościem Borkowskiego, i że od niego czerpał wiadomości o Kaszubach i ich języku. To pewna, że ten Prajs przesłał z Berlina, 20 czerwca 1846 r., szczegółowy raport ze swych spostrzeżeń do rosyjskiego ministra oświecenia. Prajs ze swego polecenia wywiązał się sumiennie. Przedstawiwszy właściwości języka kaszubskiego, zakonkludował, że „dyalekt kaszubski tak

jak dyalekt Słowian nadbałtyckich należy bezsprzecznie do języka polskiego". Dodał tylko głupstwo następujące: „Dziś nawet Kaszubi źle rozumieją mówiących Polaków". „Stąd poszło, że jeszcze 1643 r. trzeba było dla Kaszubów przetłumaczyć katechizm". Nazwaliśmy to głupstwem, albowiem my z Kaszubami doskonale się rozumiemy (wyjmując naturalnie niektóre wyrazy), a ów katechizm, wydany po trzeci raz w r. 1828 przez Mrongowiusza pod tytułem: „Mały katechizm D. Marcina Lutra z niemieckiego języka w słowiański wystawiony przez Michała Pontana, sługę słowa Bożego w Smoldzynie, roku Pańskiego 1643" etc., jest tłumaczeniem z języka niemieckiego na polski, a nie na kaszubski język, i dowodzi właśnie zupełnie czego innego. Chodziło wtedy o rozszerzenie luteranizmu między Kaszubami, którzy nie po polsku, tylko po niemiecku dobrze nie rozumieli, skoro im katechizm Lutra na polski język przełożono. Że Niemiec Pontan nazwał nasz język słowiańskim, a nie wprost polskim, to jego rzecz, ale jakie panslawiści oparli na tem usiłowania, to zobaczymy niżej.

Rząd rosyjski nie poprzestał na raporcie Prajsa. Pracuje on na Kaszubach dalej i zdobywa tam sobie coraz to nowych zwolenników, którzy wąchają się najpewniej z Czechami, a ci uczą kaszubskich przyjaciół, jak to po kaszubsku właściwie pisać należy. Boć kaszubski język, to nie polski — innej potrzebuje ortografii.

Jakoż pojawia się w Gdańsku 1850 r. *Xążeczka dlo Kaszebov* przez *Wójkasena*, ma to znaczyć: Wojciecha syna. W tym samym roku pojawia się w Krakowie broszurka: *Kile słov wó Kaszebach e jich zemi przez Wójkasena. Tudzież rzecz O języku kaszubskim ze zdania sprawy Prajsa. Cena złp. 1. Dochód przeznaczony dla ochron krakowskich. Nakładem księgarni i czcionkami pod Sową.*

Xążeczka dlo Kaszebov ma motto: *Vszetkim Słovjanom braterskje pózdrovjenje Kaszeba.* Widocznym jej celem oderwanie Kaszubów od polskiego piśmiennictwa. Zawiera też ona alfabet pomysłu *Wójkasena* i w tym alfabecie „Ojcze nasz", „Zdrowaś Marya", „Skład Apostolski", „Dziesięcioro Bożego przykazania",

„Dwa główne przykazania“, „Sześć prawd głównych“, „Pieśń poranną“, „Modlitwę przed nauką“, „Po nauce“, „Przed jedzeniem“, „Po jedzeniu“, „Podczas żniwa“ (tytuły piszemy pisownią naszą). Idą potem: *Przesłovjo e nowuczki,* potem *Póvjostki,* a na końcu jest *Tobleco množenjo.* Do broszurki, wydanej w Krakowie, napisał przedmowę Lesław Łukaszewicz, zapewne łatwowierny i niczego nie domyślający się Polaczek, który nacieszyć się nie może, „że się przecież Kaszubi raz zdobyli na napisanie czegoś w języku własnym“. Zawarte w tej broszurce sprawozdanie Prajsa z Piotrogrodu, jak mówi Łukaszewicz, już znamy; co do drugiej rozprawki Wójkasena, to, jest to w nowej pisowni traktat historyczny o ziemi nadbałtyckich Słowian, nastrojony na wysoki ton słowiański, naszpikowany czechizmami, widocznie dla przypodobania się Czechom i zrobienia z kaszubskiego języka czegoś niepodobnego do polszczyzny. Mamy tu *l* wszędzie zamiast *ł* (co tylko pod wpływem niemczyzny w jednej okolicy ma się pojawiać u Kaszubów), mamy niesłychaną o ile wiemy u Kaszubów, za to znaną w czeszczyźnie formę *cezy* (cudzy), mamy drugi przypadek przymiotnika i zaimka: *teho, dobreho, słovjanskjeho, vjelkjeho* i t. d. jak w czeskim języku.

Roku 1856 robota rosyjska na Kaszubach posunęła się znacznie naprzód. Rząd rosyjski wydelegował w tym roku do Kaszubów swego uczonego A. Hilferdinga, a ten nie potrzebował się trudzić pytaniem, do którego Kaszuba ma się udać, żeby sobie badania ułatwić. Domyśleć się łatwo, że ów pseudonimowy Wójkasen był już dawno w związkach z rosyjskimi ludźmi i instytucyami. Jego właściwe nazwisko jest dr. Floryan Cenowa. On to już przed r. 1856 przesłał petersburskiej Akademii Umiejętności materyały do słownika kaszubskiego i do niego też wprost zajechał teraz p. Hilferding. Cenowa był wtedy, „pożal się Boże“ (słowa Hilferdinga), tylko lekarzem kolejowym na linii Bydgoszcz-Gdańsk. Przez jakiś czas odbywali razem wycieczki naukowe po ziemi kaszubskiej, poczem p. Cenowa musiał wracać do swoich obowiązków, a p. Hilferding na własną rękę jeździć i badać. Jeździć trochę jeździł, ale badaniem na

własną rękę zajmować się nie potrzebował, bo o wszelkie materyały naukowe albo się już postarał albo w przyszłości miał postarać p. Cenowa. Jakiś czas zabawił tedy p. Hilferding u „bardzo miłego“ pastora Lomanna, a potem zawinął do Gdańska, gdzie mu niemniej przyjemnie było.

Pierwszym owocem wycieczki p. Hilferdinga jest książka: *Ostatki Sławjan na južnom bieregu Bałtijskawo morja*, wydana w Petersburgu 1862 r. Kto zna pisma Cenowy, ten z łatwością spostrzeże, że prawie wszystko, co tylko jest w książce Hilferdinga, pochodzi od d-ra Floryana Cenowy czyli dawnego Wójkasena. Z książki Hilferdinga pokazuje się, że do czechizmów w rzekomym języku kaszubskim, których zakres teraz się rozszerzył, przybyły jeszcze moskwicyzmy. Do dawnego *czy* przybywa teraz nowy czechizm *mize* (u Hilf. str. 107), choć dawniej podług Wójkasena ten sam wyraz miał brzmieć po kaszubsku *mjedze* (*Kile słov* str. 7), a nawet *mjędze*. Czytamy teraz: *se svou żonu* (H. str. 90), *dokud* (H. 91), *budze* (H. 90) i t. d. obok dawniejszych czechizmów: *Bożeho, noveższeho, ejelmożneho* (H. 142) i t. d. Ciekawsze daleko są moskwicyzmy, których ilość bardzo znaczna. Wiadomo, że po rosyjsku zamiast *s rukami*, może się powiedzieć *s rukam'*, otóż i po kaszubsku ma się mówić *przed czasam'* (H. 118), zamiast *przed czasami*, a mówi się ciągle *od towo* (H. 101), *do niewo* (H. 90), *jewo* (H. 90, 128, 137, 139 i t. d.), *tewo* (H. 129, 135, 136, 137, 138 i t. d.), *ubogewo* (129), *onewo* (130), *umarłewo* (130), *jednewo* (131), *drugiwo* (137), *dobrewo* (138), *takewo* (138), *jednowo* (150) i t. d. i t. d., zamiast *od tego, do niego, jego, ubogiego, onego* i t. d. Jednem słowem: w materyale wydrukowanym przez Hilferdinga, a podanym przez p. Cenowę, język kaszubski stał się pośredniem ogniwem między językiem rosyjskim a czeskim: Mrongowiusz zatem miał racyę, kiedy mówił o podobieństwie języka kaszubskiego do rosyjskiego, a Prajs okazał się tylko niezgrabnym *diejatielem*.

Ale to nie jedyny owoc wycieczki p. Hilferdinga do pomorskiej ziemi. Odtąd następuje intensywne działanie p. Cenowy *et consortes* w tym kierunku, żeby wyjaśnić Kaszubom, iż nie mają nic wspólnego z narodem polskim, żeby im wpoić dotąd

nieznaną nazwę *Słowińców*, żeby zrobić z nich osobny naród nienawidzący Rzymu i zgniłego zachodu, a sprzyjający zdrowemu i silnemu wschodowi, opiekunce narodów słowiańskich Rosyi.

W tej myśli może pragnie Cenowa założyć „Towarzystwo rzemieślniczo-przemysłowe kaszubsko-słowińskiego narodu“, które ma wydawać pismo kwartalne, a mianowicie *Orędownika* [1]. Nie wiadomo nam, czy towarzystwo to i pismo przyszło do skutku, czy i jaką działalność rozwinęło; ważniejszą daleko, i nam dokładniej znaną rzeczą jest to, co p. Cenowa odtąd pisał, drukował i między lud bezpłatnie rozrzucał. Wydawał on od tego czasu drobne broszurki treści naukowo-politycznej, które potem zbierał w większe całości i podawał światu jako *Skórb kaszébsko-słovjnskjè mòvé* z pewnemi godłami. Godła tego *Skórbu* z r. 1866 są następujące (w tłumaczeniu polskiem):

Naszej biedy będzie dłużej, jak ich państwa.

(Gadka komornicza).

Najpewniejsze na panów trucizny są podchlebstwo i próżniactwo. Kapusty szlachectwo nie obroni.

(Przypowieść kaszubska).

Posiadamy te „Skarby“ z lat 1866—1868, więc czytelnicy może się nie pogniewają, jeżeli im je otworzymy. Jak zaznaczyliśmy już wyżej, „Skarby“ były wydawane małemi broszurkami. Z zwyczaj zawierają one jakieś pouczenie o kaszubskim języku i kaszubskiej pisowni, rozumie się stworzonej przez p. Cenowę, czasem spis imion miejscowości kaszubskich, jak gór, rzek, jezior, a więc spis rzeczy potrzebnych do studyów lingwistycznych rosyjskim i czeskim uczonym, a prócz tego powiastki ludowe, pieśni i polityczne traktaty [2]. Mamy tedy najpierw „Dwie rozprawy o poddanych Królestwa Polskiego, wydał dr. Florjan Cenôva“. Obiedwie po polsku, zwyczajną naszą pisownią.

[1] Dzisiejszy *Orędownik* wielkopolski ma więc za sobą piękną tradycyę!

[2] Gramatyczne rozprawy mają tylko to znaczenie naukowe, że dr. Cenowa wynalazł położników. Zresztą dla zaspokojenia powiemy, że ci położnicy to zwyczajne przypadki, których, jak wiadomo, jest tylko siedm.

Pierwsza z tych rozpraw maluje w przesadnych barwach ucisk poddanych polskich z r. 1784, druga to Uwłaszczenie w r. 1864, a raczej znany manifest hr. Berga o uwłaszczeniu, zaczynający się od słów: „Włościanie Królestwa Polskiego! Zwiastuję wam radośną nowinę i wielką łaskę monarszą!“

Zestawienie tych dwóch rzeczy ze sobą, wydanie ich razem, a wreszcie okoliczność, że rzekoma łaska cara Aleksandra II. nie dotyczyła wcale Kaszubów jako poddanych pruskich, już dawniej uwłaszczonych, mówi chyba tak jasno o tendencyi wydawcy, że wstrzymać się możemy od wszelkich ze swej strony komentarzy.

Mamy potem „Cztery rozprawy i jednę Szętopórkę, wydał Kaszuba, gburzczan“. Pierwszą rozprawą jest Kotery a rzymska, najohydniejszy paszkwil, jaki kiedykolwiek napisano na Polaków i Kościół katolicki. Wyjątki z niego, jak sądzimy, pouczą najlepiej o kłamstwach i tendencyi autora.

„Polska powstała i upadła drogą podstępu historycznej koteryi rzymskiej, która dla patryotyzmu włoskiego ciągnie zyski, robi zdobycze, pod płaszczem wiary katolickiej. Ta koterya doznawała częstokrotnej przerwy panowania swego: przez wędrówki ludów, cesarzów niemieckich, luteranizm, mahometanizm, schyzmę, rewolucyę francuską“... „Po każdej przerwie taż koterya restaurować się umiała: przez co Niemcy utracili połowę ojczyzny; Polacy, Czesi, Rusini, Morawianie i Słowincy (Kaszubi!) swój byt i życie“... „Jednem słowem, w Rzymie trzymają klucze do życia doczesnego i wiecznego, do nieba i do chleba wszystkich narodów ziemi, których ostatecznym końcem ma być zlatynizowanie czyli zromanizowanie, wcale nie gorsze ani lepsze od zgermanizowania“... „Co do Polski: taby nigdy nie powstała, żeby cesarzowie niemieccy nie sprzykrzyli sobie urzędu żandarma rzymskiego i nie wypowiedzieli posłuszeństwa. Aby ich zwrócić do posłuszeństwa, postarali się Rzymianie o egzekutora, któryby nieposłusznych żandarmów karał. Trzeba było więc podnieść Polaków, Bolesława Chrobrego poprzyć *(sic)* całym wpływem duchowieństwa i błogosławieństwa religijnego, aby pychę żandarmów ukrócił“.

Dlatego oczywiście odmówiono Chrobremu korony królewskiej w Rzymie, a Mieczysław I. wcale nie istniał i naród polski żadnego popędu do bytu politycznego nie miał. Ale nie przerywajmy.

„Wywiązał się też dobrze Bolesław Chrobry; a cesarzowie rzymscy, zwęchnąwszy *(sic)* pismo nosem, zaczęli Rzymianom pochlebiać i już mniejszym zyskiem się kontentować. Padły ofiarą Czechy i Morawia".

„Później Władysław Łokietek potrafił Rzymianom się przypodobać i zapewnie zyski pokazać na przyszłość i zdołał naród polski, posiadający dopiero małą liczbę klasztorów (więc jeszcze nie złacinizowany), połączyć w całość".

„Z wdzięczności, widząc zbawienne skutki dotychczas klasztorów, stawiają Polacy jeden za drugim; mnoży się armia włoska w Polsce i wszystko latynizuje".

„Ale za przykładem Greków, którzy nie lękając się piekła i nieba, a mając strach dla chleba, poszli na s c h y z m ę, występują zbiedzeni, zlatynizowani po kilku niewczesnych próbach Germani *(sic)* pod chorągwią Lutra".

„Zitalienizowana" Polska nie umiała otrząść się z klasztorów i zaczęła się chylić do upadku. „O jej zbawieniu już tylko kucharki po łacinie dysputowały, a szlachta, pełna w głowie nauk klasztornych, o nią po kościołach, w dzień sejmiku, około księdza, co wyszedł na uciszenie ryczących byków, pałaszami się rąbała. Już się Rzymianie cieszą nad *(sic)* swoim łupem, widzą w Polsce prowincyę włoską; ale trzy sępy, chciwe mięsa, padają na ś c i e r w i Rzymianom go z pod nosa biorą. Zadrżeli w Rzymie i rzekli: Taka wola Boska".

Wiadomo, jak Rzym nad podziałem Polski ubolewał i że sam jeden przeciw temu podziałowi zaprotestował. Ale autor mówi co innego.

„Kogut francuski zapiał na taką niesprawiedliwość, że i jemu ziarna z pod dziobu brano". „Więc stąd rewolucya 1792. Dostali i w Rzymie po skórze; taka wola Boża; pokutowali Rzymianie, pokutował cały katolicki świat za grzechy rzymskie a na wynagrodzenie dostał jubileusz r. 1825".

Potem „dla Napoleona polskie woły bez znajomości geografii i statystyki, z mlekiem w brzuchu a serwatką w głowie zaryczały, zadarły ogona do góry, biegając po świecie, bodły byle kogo, a krowy mleka dawały byle komu. Tak się stało, że klasztory stworzyły szlachtę i ją też zgubiły".

Potem „Pius IX. nie mógł prędzej podnieść głosu — nie za biednym narodem, ale za szlachtą polską, aż koterya rzymska zezwoliła po niewczasie: z przyczyny, że szlachta polska nie chciała ludu wypuścić ze swej patryarchalnej moskiewskiej opieki; a powtóre, żeby się Kościół katolicki, jak się Rzymianie cieszyli, nowymi męczennikami sybirskimi mógł poszczycić i Panu Bogu przysługę zrobić".

„Ale historya uczy prorokować: ponieważ Jezus Chrystus cierpieć musi dla koteryi rzymskiej już 1000 lat — Polska cierpiała i jeszcze cierpieć będzie, aż Prusacy z Ruskami *(sic)* w niej pierwszy porządek zrobią — a ze Rzymu wyjdzie porządek na cały świat, nawet w Poznańskie i Galicyą; jak księża organistówki oddadzą, to i Aleksander probostwa odda; wtedy ludzie usłuchają księży i wyrzekną się gorzałki, a żydzi i klasztory pobankrutują. Tedy będzie dość chleba i każdy przyjdzie do nieba i Syberya będzie rajem".

Taka jest treść pierwszej rozprawy. Przychylność w niej dla Moskwy widoczna i nie inny też jej cel, jak pozyskać dla niej lud, który świadomości narodowej nie mając, opiera się jej jedynie ze względu na różnicę wiary. Gdyby się udało wiarę tę podkopać, osiągnęłoby się wszystko. A więc hejże na Soplicę! Dodać winniśmy, że czasem lekko dostaje się coś i schyzmie, np. dlatego, że „matematyki i geografii jak na lekarstwo uczyła Slowian". Lecz trzeba wiedzieć, iż panslawiści moskiewscy, do cerkwi swojej podówczas jeszcze się tak nie zapalali, jak dzisiaj. Dziś wartość Kościoła lepiej oni oceniają, aniżeli wszyscy nasi liberalni patryoci, którzy rozumu tego nie mając, idą bezwiednie we wszystkiem na rękę panslawistom.

Druga rozprawa *Divide et impera* jest rozwodnieniem niektórych pomysłów, zawartych w pierwszej: ta sama nienawiść

do Kościoła katolickiego i do szlachty polskiej, na inną tylko wyśpiewana nutę. To samo dotyczy trzeciej i czwartej rozprawy.

Przystępujemy do „Rozmowy Kaszuby z Polakiem“, wydanej częściowo, jak zwykle, w „Skarbie“ z r. 1868. Rozmowa toczy się oczywiście po kaszubsku i po polsku, lecz, co już oczywistą rzeczą nie jest, to to, że polszczyzna obleczona tu już w szatę ortografii pomysłu p. Cenowy. Treść rozmowy jest taka:

Polak spotyka się ze znajomym Kaszubą i oświadcza mu, że nie chce Kaszubą być. Przyszedł umyślnie, żeby Kaszubie to powiedzieć i „na swoje kopyto go przerobić“. Kaszuba się dziwi, bo siedmnaście lat temu (a więc koło r. 1850, kiedy to p. Cenowa swoją pracę na Kaszubach rozpoczął) „sam uznał, że Kaszubi są górą nad Polakami“. Mimo to Polak „nie chce teraz zostać Kaszubą, bo się przez te siedmnaście lat bardzo wiele ważnego nauczył“.

K. *A co takjcho?*

P. „Nasz ród polski jest nie sto, tysiąc, ale tysiące lat starszy, jak kaszubski“ [1].

K. *Jakbé to mogło béc?*

P. „My Polacy pochodzimy od Chińczyków, a Chińczycy tworzyli już znaczne państwo, jak jeszcze ani o Adamie, ani o Ewie żadnej myśli nie było; bo świat Adama i Ewy jeszcze sześć tysięcy lat nie egzystuje, a państwo chińskie już przeszło dwanaście tysięcy lat liczy“.

Kaszuba zadziwiony naturalnie tą nowością okropnie, pyta Polaka o szczegóły, a ten mu ich nie szczędzi. Rozpowiada mu więc Polak o swej praojczyźnie chińskiej, jak ona dawna i dorzeczna od wieków urządzona. „Myśmy mieli w Chinach, powiada Polak, przez całe wieki dobrych cesarzy, co tak krajem zawiadowali, iż się lud mnożył jak piasek na brzegach morza“. No i nic dziwnego, że się mnożył, „bo religia Chińczyków nie wzbrania mężczyznom jędrnym kochać dwie, trzy lub cztery niewiasty“. Zresztą tam „księży, jako oddzielnego stanu, wcale niema, ani kościołów; jedynie przy znaczniejszych drogach, dużych tra-

[1] W polszczyźnie nie naśladujemy pisowni p. Cenowy.

ktach wystawiono tam i sam na pięknych miejscach bramy... ażeby ludzie jadący lub idący mogli się tutaj przed słotą schronić i czem dobrem zabawić". „W każdym miesiącu są tylko dwie niedziele". Wszystko było dobrze i ładnie, ale z przeludnienia trzeba było szukać nowych siedzib. Wyruszali tedy z tych Chińczyków najpierw Sarmatowie, potem Scytowie, wreszcie Hunnowie, co pod Atylą dali się we znaki wszystkim narodom. „Potem wyszły nowe zastępy pod nazwiskiem A w a r ó w; i to było prawdziwe jądro całego rycerstwa chińskiego, do którego wszystkie narody północnej i zachodniej Azyi chętnie się łączyły; bo na tej wędrówce nie było trzeba nic robić, tylko rekwirować, kontrybucye nakładać, annektować". „Do tej rycerskiej wyprawy, co to na końcu szóstego i na początku siódmego wieku po narodzeniu Chrystusa całą Europę swojemi walecznemi czynami napełniła, należeli i my Polacy, potomkowie Lachów czyli Lesgów, j e d n e g o o d d z i a ł u A w a r ó w k a u k a z k i c h. Dalej czytajcie kronikę Fredegara z VII. wieku". Na to oczywiście, żebyście się dowiedzieli, jakich to okrucieństw dopuszczali się ci Awarowie na Słowianach.

K. *Jo zos mesleł, że recerstwo Polskje czélé szlachta z baro różnéch narodów sę sklodo.*

P. „Tak jest po części dzisiaj, osobliwie u was w Kaszubach; ale tak za starodawnych czasów ani w Wielkiej ani w Małej Polsce nie było, o czem wy się łatwo przekonacie, porównawszy fizyognomią prawdziwego Polaka z Chińczykiem: ta sama twarz rasy mongolskiej, głowa ogolona, tylko na wierzchu ów czub chiński; dalej owo zamiłowanie w kolorach jasnych, rażących: buty czerwone lub żółte, czapka czerwona z barankiem białym, pas lity i t. d., owe maniery azyatyckie: popędliwość, gniew, zmienna dobroć, niestałość, niewytrwałość, osobliwie przy pracy umysłowej, ów duch kastowy, prawdziwie azyatycki, owa duma militarna: na koń! pies do nogi!"

K. *To je dolebóg provda.*

P. „A więc mi już dalej nie zaprzeczajcie, że nie jesteśmy potomkami Awarów".

„Od dziś już nie", odpowiada Kaszuba, a Polak (oczywi-

ście szlachcic) roztwiera mu dalej tajniki swojej przeszłości: „Jeden niegodziwy kupiec, po imieniu Samo, bardzo nam, Awarom, sprawę popsuł, albowiem on wszystkich Słowian... połączył w jedno państwo i większą część naszego szlachetnego narodu zawojował i powypędzał; jedynie my, Lachowie, nad górną Wartą i Wisłą, zwąchnąwszy *(sic)* pismo nosem, wcale nie wdawaliśmy się z nim w wojnę, nawet przeciwnie staraliśmy się do niego łagodnie przybliżyć; a on widząc przed sobą jeszcze wielką wojnę z Frankami, pozwolił nam nadali *(sic)* w tych okolicach pozostać. Tutejszi *(sic)* pierwotni mieszkańcy byli S ł o w i a n i e, od nas prawda zawojowani; ale między nimi byli jednak jeszcze niektórzy bardzo krnąbrni ludzie... Tych myśmy się starali pozbyć — boć cóż nam było po nieposłusznych poddanych — i wysyłaliśmy lub sami prowadzili ich do wojsk Samona, aby się bili przeciwko ogólnemu wrogowi Słowian, Frankom. Skorośmy się takim sposobem tych mądrzelów *(sic)* pozbyli, już nam było w Wielkiej Polsce, a trochę później i w Małej Polsce jak w raju. Reszta Słowian była nam tutaj posłuszna, coraz posłuszniejsza, a myśmy nie potrzebowali nic więcej robić, jak tylko bankietować, polowaniem i sejmikami się bawić; bo wszystka ziemia należała do nas, a każdy z nas był królem w swej posiadłości. Co nam było potrzeba, to Słowiani *(sic)* nam musili *(sic)* dostarczać, czy to do życia, czy to do zabawy, jako swoim dziedzicom. Skoro się to do Azyi i do samych Chin doniosło, że nam, Lachom, ta sztuka się tak ślicznie udała, przymaszerowała do Europy nasza arriergarda pod nazwiskiem Węgrów. Im się jak najlepiej powiodło, bo oni, przez nasze dzieje nauczeni, że trzeba się koniecznie z silniejszym łączyć przeciwko słabszemu, zaczęli się zaraz z Niemcami bratać a Słowian niszczyć, i to jeszcze po dziś dzień z dobrym skutkiem czynią. Teraz znowu wypada nam, Polakom, od nich przykład brać; a jestem przekonany, że nam się także wkrótce uda swobodne życie, jak w dawniejszych czasach prowadzić. Przeto ja myślę, że wy, kochany Kaszubo, najlepiej uczynicie, gdy zostaniecie Polakiem szlachcicem; a wtedy zobaczycie, jakie to będą złote czasy, skoro się jeszcze z jednym narodem skojarzym".

Choć to wszystko prawda, odpowiada Kaszuba, *to jo jednak Polochem, szlachcécem ostać nje chcę.*

P. „A to czemu?“

Bo miałby on brać sobie za przykład Węgrów, a on ich *dëcht* niecierpi. To najwięksi wrogowie wszystkich Słowian, jeszcze gorsi od Niemców i Turków, a „nierobusy“ pierwszej klasy. „Słowianie mają dla nich wszystko zrobić, a oni chcą tylko używać“.

P. „Jutro wam dowiodę, że można i bez pracy żyć, a dobrze żyć. Więc do jutra zostańcie z Bogiem“.

Tyle z tej rozmowy dodano do gramatycznej rozprawki Nr. IX. Jak na jeden raz, to dość: Polak i szlachcic to jedno, to Chińczyk, krewniak Awarów, Hunnów i Węgrów, nierobus jak tamci i ciemięzca; chłop polski naturalnie Słowianin, a tak samo Kaszuba.

W „Skarbie“ Nr. X. mamy dalszy ciąg tej zajmującej rozmowy.

Polak chce daną wczoraj obietnicę wypełnić, ale dowiaduje się, że Kaszuba całą noc prawie nie spał, bo rozmyślał, „jakby to mogło być, że Polacy są sześć tysięcy lat starszym narodem, jak my Kaszuby, Słowieńce — bo to ostatnie miano jest nasze właściwe, a tamto li tylko od Polaków nam narzucone — i wpadłem na myśl, czy też wacpan nie zaraziłeś się nowszemi filozofami, co to nad każdą rzeczą długo i szeroko się rozwodzą, aby wszystko ludzkim rozumem dowieść: tak początek całego świata, jak i wszystkiego co na świecie jest“.

Polak odpowiada, że filozofami się nie zaraził, bo on czytać nie lubi, ale jeżeli Kaszuba czytał, to niechże mu opowie, co w nich jest, a owe dowody, że można na świecie bez pracy żyć, i dobrze żyć, niech zostaną na później.

Kaszuba nie daje się długo prosić, żąda jednak w zamian, żeby mu Polak rozpowiedział dokładniej o Scytach i Sarmatach, o których już mimochodem wspomniał.

„Chętnie, odpowiada Polak, dam o nich objaśnienie, bo to są narody, nam rycerzom awarskim spokrewnione. Ale naprzód chcę słyszeć wywody filozofów o początku świata“.

Rozpuszcza tedy Kaszuba język i rozpowiada ubożuchnemu na duchu Polakowi niesłychanie mądre rzeczy: Na początku świat był napełniony powietrzem. „To się przez atrakcyę i ruch podzieliło na miliony milionów gwiazd albo słońc; a zaś każde słońce wydało przez rotacyę mniej albo więcej ciał, które się planetami zowią... Rozumie się, że są części świata, że są Himalaje i Karpaty, w nich szczyt największy Surula...“

Gada Kaszuba długo, sadzi ogromnemi cyframi, więc nic dziwnego, że mu Polak przerywa, i mówi: „Będzie mnie to wiele czasu kosztować, aby to wszystko spamiętać“. Kaszuba się tem nie zraża, boć jak chorego nawiedzić, tak i głupiego oświecić jest dobrym uczynkiem. Musi więc dowiedzieć się biedny Polak, że jest na świecie matematyka i chemia.

Długi i męczący to był wywód, ale przecież nie bez pożytku, skoro Polak wreszcie po wszystkiem oświadczył: „To mnie nadzwyczajniej cieszy, że ci uczeni ludzie moje zdanie o dawności naszego rodu azyatyckiego tak ślicznie popierają“.

Przyszła teraz kolej na Polaka mówić o Scytach i Sarmatach. W to mu graj, przecież to jego dzieje ojczyste. Zaczyna tedy: „Scytowie, Żydzi, Sarmaci, Hunnowie, Węgrzy, Kozarzy, Kumani, Turcy, Tatarzy i Mongołowie są nasi pobratymcy, Azyaci koczujący. My się wszyscy, jako narody waleczne, z Azyi do Europy dostali“. Powtarzać wszystkiego szanownym czytelnikom nie potrzebujemy, boć także Polakami są, więc te dzieje ojczyste zapewne dobrze znają. Chodziło o szczegółowy wywód, że Polacy od Chińczyków-Awarów rzeczywiście pochodzą, a my to już od pana Cenowy dobrze wiemy. Kaszuba przerwał Polakowi uwagą, że Gotowie musieli kiedyś na Kaszubach siedzieć, bo w jego mowie „słowieńskiej“ jest wiele słów skandynawskich.

Polak bierze stąd pochop do następującego opowiadania: „Ja o naszej (rozumie się chińskiej) rodowitej mowie wam wiele powiedzieć nie umiem, w której, jak się wydaje, wszystkie dwa lub więcej zgłoskowe słowa doraźnik czyli akcent na przedostatniej sylabie miały i ten sposób wymawiania od nas do mowy polskiej się dostał“... Awarowie tedy, jak to u azyatyckich

narodów nie nowina, osiadłszy w Polsce, zrobiwszy się szlachtą, języka swego zapomnieli, od chłopów zaś, którzy Słowianami są, języka słowiańskiego się nauczyli, i o tyle tylko go wykoszlawili, że wyparli z niego zmienny akcent rosyjski, a swój azyatycki zaprowadzili.

Zapomniał tylko p. Cenowa (wybaczyć mu to trzeba, bo on tylko jest Słowianinem i przebiegłości awarskich Azyatów nie ma), że i Czesi nie mają zmiennego słowiańsko-rosyjskiego akcentu. Czyżby i tam Awarowie wpłynęli na wykoszlawienie języka? Wydawałoby się, że nie, bo tam kupiec Samo nie dał im przecież panować. A może to Bolesław Chrobry tę chińszczyznę zaprowadził, kiedy Pragę zajął?!...

Prócz obelg na szlachtę polską, ta część rozmowy już nic ciekawego nie zawiera.

W następnym XI. „Skarbie“ zamiast dalszego ciągu „Rozmowy Kaszuby z Polakiem“, znajdujemy „Stanowisko chłopów za czasów polskich“ (po kaszubsku), artykuł na temat bardzo ulubiony u panslawistów, a zatem nic dziwnego, że i u p. Cenowy powtórnie podjęty. Jak w dawniejszym artykule, tak i w tym niewola chłopska odmalowana naturalnie w strasznych, przesadnych, nieprawdziwych barwach, ale to już być musi, bo inaczej chybiałoby celu. Jedna rzecz przecież teraz jest nowa, ta mianowicie, że szlachtę przedstawia się jako żywioł w narodzie obcy, napływowy, chłopów zaś jako rodzimy, pierwotny słowiański. Nie bez celu zatem przerwano „Rozmowę“ tym właśnie artykułem. Skoro się poprzednio wykazało, że szlachta to azyatyccy, chińscy Awarowie, to właśnie teraz była najlepsza pora, tym najazdem chińskim pańszczyznę i jej okropności wyświetlić.

Oto kilka przykładów dla zilustrowania tej rzeczy:

„Chłopem, to jest niewolnikiem był za czasów, gdzie *(sic)* rząd polski pod wszelkiemi względami wybitny charakter posiadał, każdy mieszkaniec, który nie mógł dokazać, że on do jakiegokolwiek uprzywilejowanego stanu należy. Wogóle panowało w Polsce niewolnictwo aż do jej rozbioru. A tego tu za starodawnych słowińskich czasów w tych stronach nie było,

jak to niemal wszyscy pisarze podają. Nie było jako żywo! Ale jak tylko Polacy w historyi się pokazali, byli u tego lechickiego szczepu niewolnicy; a nie była ich liczba bynajmniej tak mała, bo to byli ci pierwotni, przez cudzoziemców zawojowani mieszkańcy“...

„Z dawna dawien, za słowińskich czasów byli wszyscy mieszkańcy od morza Bałtyckiego aż do gór karpackich rządowi równo podlegli, wolni“... Ujarzmienia dokonali przybysze Polacy, tj. szlachta. I tu następuje szczegółowy opis chłopskiej, tj. słowińskiej niedoli. Powtarzać tego nie będziemy.

W „Skarbie“ Nr. XII. mamy dalszy ciąg „Rozmowy Kaszuby z Polakiem“.

P. „Mój kochany Kaszuba! wyście zapewne zaraz po kościele mnie się spodziewali?“

K. „Tak, tak“.

P. „A mnie się nadarzyła po kościele okazya do zwiedzenia ostatnich kącików słowiańskich na Pomorzu pod Miastkiem, Bytowem i Słupskiem, gdzie się przekonałem, iż istotnie tamtejsi mieszkańcy Słowińcami się mianują, a swój język słowińskim nazywają“.

K. „*Jo, jo!* to jest prawdziwie nasza pierwotna nazwa, jakem już przedtem nadmienił. Teraz proszę mi powiedzieć, jak się waspanu nasz kościół wydał?“

Następuje rozmowa o kościele, szkalowanie na proboszcza, potem na biskupa. „Nasz arcypasterz polubił język łaciński, naturalnie z tej przyczyny, że łączy duchowieństwo rzymsko-katolickie z Rzymem a wstrzymuje takowe od bliższego zapoznania się z Słowiańszczyzną“.

„Przymilenie przy każdej sposobności ku Niemcom, a zaś ciągłe a ciągłe szkalowanie we wszystkich gazetach polskich na Moskali i grecko-katolicką wiarę[1], jednem słowem: na wszystko, co jest słowiańskie; bo wszyscy Słowianie są głupcami prócz Polaków, którzy we wszystkiem dobrem i mą-

[1] Proszę uważać, że schyzmę nazywa grecko-katolicką wiarą!

drem całemu światu przodkują. Pisma tak redagowane ksiądz i szlachcic chwali, a lud głupi kupuje".

P. „To jest bardzo politycznie tak ze strony panów redaktorów jak ze strony księży i szlachty. Stare przysłowie powiada: ‚Pochlebiaj, pochlebiaj, a będziesz szczęśliwym'. A jeszcze daleko lepiej każde pochlebstwo się uda, kiedy się przytem drugich gani, a ostrożnie. Mądry redaktor w Prusach grozi palcem w bucie albo pięścią w kieszeni Prusakom, w Austryi Austryakom; ale jak wpadnie na Ruska, to już pięści z kieszeni bezpiecznie wyjmuje, osobliwie pisząc we Francyi lub Anglii".

K. „Jabym myślał, żeby to było wiele szykowniej przeciwko Francuzom i inszym tak nazwanym narodom cywilizowanym, co to Polaków od wieków za nos wodzą i za głupców trzymają, ostro wystąpić, naukowe rozprawy pisać, i ich zdania zbijać, bo od Zachodu nam nietylko pod względem politycznym i językowym czysta zagłada grozi, ale nawet pod względem religijnym. Stąd przechodzi w coraz większych porcyach trucizna dla Kościoła rzymsko-katolickiego, niestety! dla całego chrześcijaństwa".

Polak się dziwi, jakby to mogło być, skoro tam właśnie najwięcej katolików. „Prawda to, powiada Kaszuba, ale cóż to pomoże, kiedy tam najwięcej parszywych owiec".

P. „Ja o tem nigdy nie słyszałem".

K. „Dajmy tym rzeczom pokój; bo spór między greckokatolickim czyli słowiańskim a rzymsko-katolickim Kościołem o pochodzenie ducha świętego jedynie od Boga Ojca albo od Boga Ojca i Boga Syna razem — jest li fraszką i sofizmatem niemieckich i francuskich mądralów. Dlatego toby było jak najważniejsze dla katolickiego duchowieństwa, te mylne zdania naukowo zbijać, a nie bez ustanku lud słowiański ludem słowiańskim straszyć i tak pobratymców na siebie podszczuwać".

„Ale mówcie, mówcie, — powiada Polak — co się na Zachodzie dzieje?"

Kaszuba bije się w piersi, żeby mu Bóg przebaczył ciężki grzech, jakiego się dopuszcza przez samo opowiadanie zdrożności

Zachodu. Otóż ci pogańscy katolicy w Niemczech i Francyi dowodzą, podług opowiadania Kaszuby, że Biblia nie jest Pismem świętem, że Chrystus nie był Bogiem.

„Tylko dalej, dalej, — powiada Polak — bo ja lubię takich banialuków i dziwolągów słuchać".

Kaszuba strasznie tego nie lubi, ale rozwija szczegółowo bezeceństwa religijne, jakie istotnie na Zachodzie się pojawiły u ludzi bezbożnych, które przecież ogólnego uznania nie znalazły i przez Kościół katolicki były zawsze potępiane. Opowiadanie to prowadzone jest w ten sposób, że musi u prostego człowieka zupełnie zniszczyć wiarę, że wystawia u tego człowieka na największą pogardę Głowę Kościoła, całe duchowieństwo katolickie i cały Zachód katolicki, i prowadzi do konkluzyi, której autor bynajmniej nie ukrywa. „Tak — powiada on dosłownie — groziło i grozi czystej wierze chrześcijańskiej, co to w Chrystusie dwie natury wyznaje, niebezpieczeństwo od Południa i Zachodu, a nie od Wschodu".

Jak podstępnie i niegodziwie umie autor działać, warto dla przykładu przytoczyć choćby następujący ustęp. Oto niby na Zachodzie zapytują się podług Kaszuby ludzie: „Jak ci Święci i te cudowne krucyfikse i obrazy mogły dopuścić, że Prusak luter, Rusek schyzmatyk i Austryak ich ojczyznę rozebrali? Czyli to nie przez zdradę Matki Boskiej Częstochowskiej, co to ją Polacy R u s k o m wzięli i swoją Królową zrobili? Potemu chcą dali wiedzieć (niby ci ludzie na zachodzie), skąd to pochodzi, że gdzie się Kościół ewangelicki zagnieździ, tam się już zaraz cudów nie spostrzega; jakby jedynie ksiądz katolicki miał ten dar w utrzymaniu miejsc cudownych w porządku". „Żebym ja był księdzem, — powiada nakoniec Polak — tobym takim bezbożnikom przy spowiedzi nie dał rozgrzeszenia".

Kaszuba odpowiada: „Dlatego ja jeszcze raz powtarzam, że od Zachodu nam grozi naprzód śmierć duchowa, a potemu naturalne cielesne zredukowanie nas do maszyn, do prostych narzędzi".

Na co Polak: „To mnie nadzwyczajnie cieszy, iż przynajmniej w Prusach muszą (ci filozofowie) po moskiewsku skakać".

Teraz kolej na Polaka wyłożyć, jak można żyć bez pracy. Niewiele już autorowi pozostało do powiedzenia, bo, jak sam mówi, znalazło się już to w ustępie: „Stanowisko chłopów za czasów polskich“. Więc tylko kilka wyimków.

„Kto się na tym świecie — powiada Polak — li tylko bawi, ten żyje, jest szlachcicem; a kto pracuje, ten jest wołem, osłem, chamem, nie-człowiekiem. Tak było w Polsce, kiedy kwitnęła“...

Kaszuba przyznaje, że są takie kraje, a z tego co mówi widać, że ma na myśli Prusy, ale dodaje, że tak przecież nie wszędzie. Żeby jednak kto nie myślał, że przez to nie wszędzie, można rozumieć np. Francyę lub inne kraje niemieckie, Polak oświadcza, że tam bogatego chłopa jeszcze za coś mają, „jednakowoż to rzadki ptaszek, albowiem takich ludzi wkrótce do rzędu szlachty pociągają albo im obroku umkną“.

Na to Kaszuba: „Kiej dziś żołnierz więcej popłaca jak szlachcic, i tobie najlepiejby było zostać żołnierzem i służyć na awans. Bo to jest widoczne, że w tych cywilizowanych, kulturowanych krajach, jakoto we Francyi i w Niemczech, żołnierka więcej znaczy, jak szlachectwo“.

P. „To prawda. Jednakowoż pytam się was, ilu wy tam macie między wyższymi oficerami ze stanu miejskiego lub chłopskiego?“

K. „Dalibóg! niewielu, osobliwie w tych regimentach, gdzie wielkich nauk nie potrzeba“.

P. „Dlatego widzicie, że ja prawdę mówię, kiedy wam powiadam: starajcie się zostać szlachcicem, bo przez to osiągniecie pierwszy stopień do dobrego życia bez pracy“.

Kaszuba przystać nie chce, a wtedy Polak: „Więc skoro wy się do mojej wysokiej idealnej myśli wznieść nie możecie lub nie chcecie, to już z wami trudna rada; każdy z nas musi iść swoją drogą“.

Kończy rozmowę Kaszuba tą godną uwagi myślą: „Niestety! To okropne rozróżnianie i niedostępne odgraniczanie stanów i głupiuchne trudnienie się niebem zamiast ziemią, było jest i będzie na wieczne czasy waszem i naszem nieszczęściem —

jeśli się nie wmiesza jakie insze plemię słowiańskie z lepszemi zasadami. Co daj Boże! Amen".

W „Skarbie" XIII. i ostatnim, jaki mamy pod ręką, jest rozprawka gramatyczna: „Pogląd na wszystkie części kaszubsko-słowińskiej mowy", i przedmowa do słownika „słowińskiej i niemieckiej mowy". Podług tej przedmowy, całe Pomorze i wszyscy Słowianie zachodni między Odrą i Łabą z jednej strony, a Czechami i morzem Bałtyckiem z drugiej, to wszystko byli Słowińcy czyli Kaszubowie. Na ten wielki naród natarli Niemcy i Polacy. Jedni i drudzy zniszczyli ich religię, ich księży pomordowali, a potem starali się wykazać, jak oni są głupi, a to dlatego żeby ich zgermanizować albo spolaczyć. Najwięcej opierali się temu S ł o w i ń c y w Prusach zachodnich, tym Polacy nadali p o g a r d l i w e miano Kaszubów. *Endlich* — kończy autor — *in der neuesten Zeit sind die S l o v i n z e n doch zu dem Bewusstsein gekommen, dass sie alle zusammen gehören und ihre Muttersprache für sie jedenfalls besser ist als irgend eine andere fremde Sprache; zumal sie zu einem Volksstamme gehören, der über 80 Milionen Seelen zählt und beinahe dieselbe Sprache endet(!).* Że między tymi milionami Polaków niema i że tą obcą mową jest także polska mowa, to rzecz oczywista.

II.

Oto krótki przegląd „Skarbów" kaszubskich z dwu lat. Czy ich było więcej, nie wiemy; że rozrzucane bezpłatnie między lud nie znajdowały upodobania, o tem upewnia nas wcale poważne źródło. Słyszeliśmy wszakże o jakichś Mazurach, którzy z Prus zachodnich do Królestwa wywędrowali i tam prawosławie przyjęli. Trzebaby tylko sprawdzić, czy fakt ten pozostaje w jakim związku z agitacyą wyżej opisaną. W to już jednak wchodzić nie będziemy, bo inne nasuwa się nam pytanie: Co na to świat uczony? co na to rząd pruski? co na to społeczeństwo polskie?

Świat uczony, czyli slawiści, wtedy kiedy zaczęły się pojawiać prace p. Cenowy i Hilferdinga, to byli sami prawie cudzoziemcy: Czesi, Niemcy, Rosyanie. Co ich mogła obchodzić tendencya pism? Oni szukali naukowego materyału; tego im do-

starczał Cenowa i Hilferding, więc byli zadowoleni. Materyał sam mógł się wydać podejrzanym, bo jak można być pewnym, że faktów językowych nie poprzekręcał ten, który potrafił tak bezczelnie przekręcać fakta historyczne i lżyć swój własny naród? Nie! z tych uczonych nikt nie oburzył się w imię prawdy dziejowej i moralnej na p. Cenowę, i nikt otwarcie nie wyraził wątpliwości o materyale językowym przez niego i p. Hilferdinga podanym. Owszem zaopatrzono w te „skarby“ wszystkie biblioteki uniwersyteckie, na nich kształci się po dziś dzień młodzież, oddająca się na uniwersytetach studyom słowiańskim, i z nich czerpie materyał do uczonych rozpraw, drukowanych niekiedy przez Akademie Umiejętności. Nasza np. przed kilku laty wydała rozprawę ś. p. Hanusza „O samogłoskach nosowych u Kaszubów“, właśnie na Hilferdingu i Cenowie opartą.

Jaki może być wpływ na młodzież takich „skarbów“ wiedzy, łatwo pojąć. Zrozumieć też trudno, dlaczego profesorowie, nie mówię już dawniejsi, ale późniejsi, na katedrach niemieckich i austryackich jakoś temu nie zaradzili? Prawda, że mieszać politykę do nauki to niełądnie, ale i to prawda, że niełądnie pozwalać, ażeby młodzież wynosiła z uniwersytetów mętne wyobrażenia o dziełach, które studyuje. A wreszcie: czy profesor przestaje być obywatelem państwa i kraju? czy właśnie na tej zasadzie, tak często z pompą głoszonej, że polityka nie powinna mieszać się z nauką, nie jest obowiązkiem profesora skarcić tych, którzy jedno z drugiem tak zmieszali, jak Cenowa i Hilferding?

Otóż ten wpływ, jaki „Skarby“ kaszubskie nie na lud, ale na młodzież uniwersytecką od dawna niezawodnie wywierały i długo jeszcze wywierać mogą, to uważamy za najważniejszy skutek panslawizmu na Kaszubach. Wydawało się nam już przez jakiś czas, że wreszcie rozpoczyna się reakcya. Przed kilku laty wydał o języku kaszubskim rozprawę doktorską ś. p. Biskupski, uczeń prof. Nehringa we Wrocławiu. We wstępie, bez żadnych ogródek wypowiedział, co o „Skarbach“ p. Cenowy sądzić należy, a w dalszym ciągu dał sporo wskazówek o kaszubszczyźnie na własnej opartych obserwacyi. *Wisła* wreszcie wprowadziła te studya na najwłaściwsze tory, umieszczając dalsze w tym przed-

miocie studya Biskupskiego, ks. Pobłockiego, Nadmorskiego. Więc myślałem sobie: Tamte szpargały pójdą w kąt i zapomnienie, skoro powstaną prace świeże, gruntowne, niepodejrzane. Tak rozumując, byłem ogromnie zaciekawiony, kiedy w nr. 44 i 45 *Gazety Gdańskiej* pojawiła się nader pochlebna recenzya „Słownika pomorskiego czyli kaszubskiego“, opracowanego przez Stefana Ramułta, a wydanego przez Akademię Umiej. w Krakowie. Pragnąłem „Słownik“ ten jak najprędzej do rąk dostać, bo obok ciekawości ogarniał mnie i niepokój: raz, że mowę kaszubską nazwano pomorską, a powtóre, że w recenzyi samej naliczyłem bałamuctw wiele. Język kaszubski przedstawiono w niej jako język n i e p o l s k i, a Polacy i Kaszubi stają tam obok siebie jako dwa odrębne narody.

Dobrałem się wreszcie do tego „Słownika“, i żal mnie ogarnął wielki.

We Wstępie wychłostani należycie tacy badacze, jak ks. Pobłocki, dr. Nadmorski, a zwłaszcza niejednokrotnie, w sposób nawet brutalny, ś. p. dr. Biskupski; podniesieni za to Mrongowiusz, Prajs, Hilferding, a zwłaszcza Cenowa. „Na żywsze zajęcie się Kaszubami — słowa p. Ramułta — wpłynęło jednak dopiero pojawienie się na arenie literackiej d-ra Floryana Cenowy. Było to około r. 1850, w parę lat po pamiętnym r. 1848, w którego wypadkach gorący Pomorczyk żywy wziął udział. Dało to oczywiście wiele do myślenia, że znalazł się ktoś, co uznał za stosowne i potrzebne pisać po kaszubsku, a w dodatku wystąpił od razu z programem odrębności narodowej Kaszubów. Idea ta niewielu wprawdzie zyskała zwolenników, sam bowiem autor szkodził jej bardzo wiele, zadzierając z duchowieństwem i czyniąc sobie wrogów naokół. Myśli, wypowiedziane przez Cenowę, wywołały jednak znaczniejszy ferment w dotychczasowych zapatrywaniach. Zaczęto mówić ‚o kwestyi kaszubskiej‘, w ślad za czem świat naukowy zwrócił znowu uwagę na ten zapadły kąt słowiański. W r. 1856 wybrał się na Kaszuby znany slawista rosyjski A. Hilferding i zwiedził je w towarzystwie Cenowy, głównie atoli zajął się krainą Słowieńców i Kabatów.

Owocem jego studyów była książka... przejęta najgorętszą sympatyą dla tych niedobitków pomorskich".

Dla kogo ten „gorący Pomorczyk", ten patryota z 1848 r. pracował i jakiej odrębności kaszubskiej pragnął, dowiedzieliśmy się już z jego własnych słów. Ale o tem we Wstępie ani słowa, owszem powiedziano na str. XL, że „jedyne, najczystsze względnie źródło do poznania mowy dzisiejszych Pomorzan, a przynajmniej jednej ich gwary, stanowią nieliczne książeczki ś. p. d-ra Floryana Cenowy, który pisał w narzeczu wioski swojej rodzinnej, Sławoszyna, w powiecie puckim". To względnie osłabia wprawdzie pochwały dla tych książeczek, ale nie odnosi się do ich tendencyi, jak widać z tego, co niżej Wstęp powiada. Tendencya nigdzie dotkniętą nie została.

Dowiadujemy się dalej ze Wstępu, o czem już wiemy z pism Cenowy, że kaszubski język nie jest polskim, lecz odrębnym językiem słowiańskim, pozostałością języka pomorskiego, którym niegdyś mówili wszyscy Słowianie między Odrą a Łabą z wyjątkiem Łużyczan, a z Przedmowy — że „cały" materyał językowy, zawarty w „Słowniku", „wzięty jest bezpośrednio z ust ludu".

Że język kaszubski jest rzeczywiście nie jakimś odrębnym językiem słowiańskim, lecz tylko narzeczem języka polskiego, o tem wiemy dawno, a świeżo, krytykując „Słownik" p. Ramułta, zadokumentowali to jak najdobitniej dr. Karłowicz w *Wiśle* i dr. Kalina w *Przeglądzie Polskim*. Ten sam dr. Karłowicz wykazał także p. Ramułtowi, że materyał językowy, w „Słowniku" zawarty, nie z ust ludu pochodzi, lecz z prac Cenowy, Hilferdinga, ks. Pobłockiego, Biskupskiego, Nadmorskiego i innych, że z 14.000 wyrazów zawartych w „Słowniku" mało jest kaszubskich, że „Słownik" ten jest po prostu przepisaniem słownika polskiego na „język pomorski". „Nie mielibyśmy nic przeciwko temu — powiada dr. Karłowicz — gdyby to (p. Ramułt) czynił na własne ryzyko jako *Privatvergnügen*, ale gdy na to idą fundusze publiczne, jakoś smutno nam się robi, bo wiemy, ile rękopisów czeka światła dziennego w szafach Akademii, i wiemy, że wśród nich sporo jest takich, które zawierają rzeczy poży-

teczniejsze od przepisywania wyrazów polskich na ‚język pomorski'"... „Pojmowalibyśmy wreszcie i to, gdyby autor (zawsze na własne ryzyko) przepisał w ten sposób cały np. słownik Lindego, albo wileński; wiedzielibyśmy wówczas, jak brzmi każdy wyraz polski w gwarze kaszubskiej, a co najważniejsza, dowiedzielibyśmy się, których wyrazów w niej niema, i odwrotnie, które jej wyrazy nie znajdują się w słownikach polskich. Ale skupienie ‚na wyrywkę' około 14.000 wyrazów, albo przepisanych przez p. Ramułta ze słowników polskich, albo powtórzonych ze słowniczków i pism Cenowy, Prajsa, Hilferdinga i t. d. z dodatkiem nader szczupłego przyczynku własnego zbierania, poucza nas niestety bardzo mało i wydaje się nam zmarnowaniem czasu i grosza". Najwięcej jeszcze wartości, podług d-ra Karłowicza, może mieć tych kilka powiastek, które p. Ramułt na końcu słownika swego zamieścił, lecz i te powiastki, według nas, mogą budzić pewną nieufność, skoro po większej części opowiadają je Józef i Franciszek Cenowowie, wprawdzie to nie dr. Floryan Cenowa, ale zawsze *nomen omen.*

Szpetne zatem panslawistyczne szpargały Cenowy przez „Słownik" p. Ramułta nietylko nie zostały raz na zawsze uśmiercone, lecz owszem zostały przez Akademię krakowską do wysokiej godności podniesione i unieśmiertelnione. I stąd to obudził się u nas wielki żal, kiedyśmy „Słownik" pana R. do rąk dostali.

Tak odpowiedział świat uczony, tak odpowiedziała Polska na panslawistyczne zakusy na Kaszubach.

A cóż rząd pruski? — Na zjeździe imienia Kochanowskiego miałem zaszczyt mówić o tem ze ś. p. Jarochowskim.

— Czemu — rzekłem — Towarzystwo Przyjaciół Nauk poznańskie nie wyśle kogo na Kaszuby, żeby rzecz zbadał, porządnie napisał i raz na zawsze niecną robotę unicestwił?

— Nie możemy — odpowiedział — narażać Towarzystwa na podejrzenie, że agitacye wielkopolskie rozpościeramy na Kaszuby.

— Ależ to, co się tam działo, a może pocichu dotąd dzieje,

jest zdradą stanu, dążeniem do oderwania kraju od państwa pruskiego.

— Pan zupełnie nie zna naszych stosunków. Moskalom wolno w Prusach wszystko robić, co tylko jest na naszą szkodę.

— Ależ tu chodzi o Prusy same.

— Książę Bismark tak nas nienawidzi, że nie wahałby się zgubić całych nawet Prus, byleśmy i my razem z niemi zginęli.

— Tego jednak zdania nie może być przecież cesarz?

— Z pewnością. Ale bez Bismarka do cesarza iść, znaczy powrócić z guzem.

— To ja na własną rękę przyjadę.

— Tak może ujść, chętnie nawet podróż panu ułatwię.

Zamiaru swego nie mogłem wnet uskutecznić, a Jarochowski nie tak długo potem umarł. Dziś wiem, jak zapatrywania jego były słuszne. Rząd bismarkowski nietylko panslawistycznej robocie na Kaszubach nie robił trudności, lecz nawet może nie bez zadowolenia na nią patrzył, skoro, jak się przekonywamy z ostatniego spisu ludności, idąc widocznie za radą panslawistycznych sług, zrobił z Polaków trzy narodowości: Polaków, Mazurów i Kaszubów. P. Ramułt się cieszy, że rząd pruski przecież raz tych Kaszubów od Polaków wyróżnił, ale że to wyróżnienie jest tylko w interesie Moskwy, a nie rządu pruskiego, tego nie potrzebujemy dowodzić, znając już pierwszą przyczynę tej odrębności kaszubskiej.

Nie przypisujemy złej woli p. Ramułtowi, jak nie możemy jej przypisywać Akademii Umiejętności w Krakowie. Zwrócić jednak uwagę na to uważaliśmy za stosowne, bo wychodzi tu na jaw pouczający fakt, ten mianowicie, że ani się spostrzedz możemy, kiedy w sidła moskiewskie popadamy, jak przez nierozwagę swoją na własną niekorzyść działamy. Przed tym wrogiem północnym nigdy zaprawdę dość ostrożnym być nie można. Fakt ten zarazem powinien być nauką dla rządu austryackiego i pruskiego, że nie dając nam przed tym wrogiem dostatecznej opieki, sobie samym wyrządzają jak największą szkodę. Jesteśmy dziś tem w stosunku do Zachodu, czem niegdyś byli Olintyanie

względem Grecyi. Demostenes potrzebowałby tylko zmienić imiona i wołać, jak wtedy wołał:

„Chwila obecna, obywatele ateńscy, ledwie że nie przemawia do was donośnym głosem, że wam samym gorliwie tej sprawy (olintyjskiej) chwycić się trzeba, jeżeli wam o własne idzie ocalenie; a przecież pomimo to postępowanie nasze w obecnem położeniu jest takie, że go sobie żadną miarą wytłumaczyć nie umiem...

„W licznych już razach, obywatele ateńscy, dopatrzyć się mógł każdy z was, jak sądzę, jawnej opieki bogów nad naszą rzecząpospolitą, szczególniej zaś w niniejszym stanie rzeczy. Boć to, co się stało, że rozpocząć ma wojnę z Filipem ludność, mająca wspólne z nim granice i znaczną dość siłę, a co najważniejsze ze wszystkiego, mająca takie zdanie, że układy z nim zrazu za niezasługujące na wiarę, nareszcie za zgubę dla swojej ojczyzny uznaje; to zdarzenie cudownem jakiemś i ze wszech miar boskiem dobrodziejstwem się wydaje. Otóż, Ateńczycy, należy nam pilnie na to baczyć, byśmy sami dla siebie nie byli nieprzyjaźniejszymi od okoliczności, w jakich się obecnie znajdujemy; gdyż byłoby to rzeczą haniebną, a raczej sromotą, oddać na oczywistą pastwę nietylko miasta i miejsca niegdyś naszej władzy podległe, lecz nadto pozwolić się pozbawić sprzymierzeńców i tych stosownych chwil do działania, jakie nam samo szczęście do rąk oddało...

„Twierdzę tedy, że Olintyanom posłać macie posiłki, a kto najznakomitszą i najspieszniejszą pomoc doradza, ten najbardziej trafia w myśl moją“...

Szymon Matusiak.

O SŁOWACH: „POD PONCKIM PIŁATEM".

Przyczynek do historyi Składu Apostolskiego.

W dwóch ostatnich zeszytach *Przeglądu*, wykazał ks. prof. Bilczewski w znakomitej rozprawie historycznej, że starodawność naszego *Credo* sięga apostolskich czasów. Do tych uczonych wywodów niech mi będzie wolno dorzucić jednę cegiełkę, jeden szczegół, który od dawna miałem na myśli, a teraz przy wspomnianej rozprawie sposobność do omówienia go znajduję.

Każdy zapewne zwrócił nieraz uwagę na słowa: „pod Ponckim Piłatem", które w tak krótkiej i do najważniejszych dogmatów ograniczonej formule wiary wydawać się mogą zbyteczne, gdyż nic ważnego dla wiary nie zdają się zawierać. Znajdują się zaś te słowa nietylko w dziś używanem *Credo*, ale, jak wykazał ks. Bilczewski, we wszystkich najstarszych formułach łacińskich i greckich, nie wyjąwszy starorzymskiej, zachodzą; wszędzie nieodmiennie czytamy: ἐπὶ Ποντίου Πιλάτου, *sub Pontio Pilato.*

Otóż zwrot ten — jak wiadomo każdemu, co się choć trochę starożytną literaturą zajmował — jest po prostu oznaczeniem czasu, datowaniem śmierci Chrystusa. Greccy i rzymscy pisarze i fundatorowie pomników datowali wypadki, o których wspominali, nietylko olimpiadami i latami *urbis conditae*, ale także i jeszcze częściej imionami spółczesnych zwierzchników. Epigrafia zna niezliczony poczet starożytnych dokumentów tak datowanych, i nazywa te imiona użyte do oznaczenia dat *eponimami.* — W szcze-

gólności, w epoce założenia chrystyanizmu panował w świecie rzymskim zwyczaj rzymski oznaczania czasu imionami konsulów lub cesarza lub obydwoma sposobami razem: *Isdem (Claudio et Vitellio) consulibus ludi saeculares... spectati sunt*, pisze Tacyt[1]; *sub Tiberio Caesare*, mówi Seneka[2]; *sub Divo Augusto*, Pliniusz[3].

Lecz w naszym Symbolu mamy czas oznaczony, nie przez cesarza ani konsulów, tylko przez prowincyonalnego starostę — co to może znaczyć? Znaczy to, że Symbol ułożony został, nie w stolicy państwa rzymskiego, ale na prowincyi, w Judei. Rzecz naturalna, że piszący lub nauczający na prowincyi, posługuje się dla oznaczenia czasu, imieniem znanego miejscowym czytelnikom i słuchaczom urzędnika raczej niż imieniem cesarza; piszącemu zaś w stolicy ani na myśl coś podobnego przyjść nie może. Leży to w naturze rzeczy; a w dodatku stwierdza się to przez porównanie pomników.

Faktem jest najpierw, że żaden rzymski pisarz nie używa nigdy innego sposobu datowania, jak wyżej wspomniane (imieniem cesarza lub konsulów, albo latami U. C.). Wertując też *Corpus* inskrypcyj łacińskich, znajduje się tylko, albo napisy bez daty, albo datowane w taki sposób:

C. Antistio Vetere II M. Suillio Nerullino cos.[4].

A jeśli kiedy historycy, pisząc o sprawach jakiejś prowincyi, wymieniają tamecznego rządcę, to zawsze po wzmiance o cesarzu, i dodając dokładnie charakter tego rządcy: *proconsul* czy *praetor* czy *legatus*.

Z drugiej strony pełno jest śladów, że na prowincyi posługiwano się dla oznaczenia daty imionami prowincyonalnych urzędników — bez wzmianki o cesarzu. W Grecyi, gdzie każde miasto

---

[1] Annal. XI, 11.

[2] *Ben.* III, 26, 1.

[3] Zauważmy tu nawiasem, że ta konstrukcya z przysłówkiem *sub*, nie całkiem klasyczna, była przecież w używaniu już w I. wieku, skoro się u Seneki i Pliniusza znajduje; użycie więc tejże w naszym Symbolu nic nie przesądza przeciwko jego pochodzeniu z tej samej epoki. Zresztą łaciński tekst symbolu jest prawdopodobnie przekładem z greckiego i pod jego wpływem przyjął tę grecką konstrukcyę.

[4] CIL. I, 2234.

było kiedyś państewkiem, nietylko za czasów niepodległości datowano dokumenta eponimami miejscowych zwierzchników — w Atenach archontów, w Sparcie eforów, w Beocyi boitarchów, w Tessalii strategów, w Rodzie, w Chios timuchów i t. d. — ale nawet w epoce panowania rzymskiego, kiedy już i tam wchodziły w używanie eponimy konsulów, jeszcze obok tego utrzymywała się stara prowincyonalna metoda wymieniania wyłącznie miejscowych urzędników — jak świadczą liczne epigraficzne zabytki [1]. Jest to już coś zupełnie analogicznego z naszem: *sub Pontio Pilato*. Ale są nawet okazy najściślej paralelne, w których mianowicie samo imię rzymskiego urzędnika na prowincyi służy za eponim. Przytoczę tylko dwa, z których jeden zawiera wskazówkę czasu blizkiego naszemu Symbolowi, a drugi wskazówkę blizkiego miejsca.

Niedawno temu, bo r. 1890, znaleziono w Mylasa, między Miletem a Halikarnasem, napis następujący:

Ἀσιανοὶ Ἴωνες
[Ἀνθυ.] Πο. Κορνηλίῳ Τακίτῳ [2]

To znaczy: „Jończycy w Azyi, za prokonsulatu Publiusza Korneliusza Tacyta" — prokonsulat zaś Tacyta w Azyi przypada na rok 110 lub 112, za cesarstwa Trajana.

W zbiorze greckich Inskrypcyj [3] czytamy taki napis znaleziony w okolicy Seleucyi:

Ἐπὶ Καισίου Πρίσκου [Π]οπ[λίῳ ἑκατοντάρχ[ῃ] λεγεῶνος τετάρτ[ης Φ]λ δεῖνα] μνε[ί]α[ς] χά[ριν]

„Za Cesiusza Priskusa; Publiuszowi, centurionowi legii czwartej,

[1] Cf. Reinach, *Traité d'épigraphie gréque*, ch. IV.

[2] Drugi wiersz należy czytać: ἀνθυπάτῳ Ποπλίῳ Κορνηλίῳ Τακίτῳ. Ten *dativus* zastępuje tu łaciński *ablat. absol.* (Por. Waddington, *Inscr. d'Asie mineure*, pag. 358). Napis ten ogłoszony został przez Doublet'a i Deschamps'a w *Bulletin de Corresp.* 1890, pag. 621. Omawia go Andersen w *Zeitschr. für das Gymnasialwesen* 1892, p. 270.

Wyrazić tu muszę podziękowanie profesorom Miodońskiemu i Bieńkowskiemu, którzy mi w poszukiwaniach epigraficznych do tego studyum najuprzejmiej dopomogli.

[3] CIG. 4460.

na pamiątkę". Ta legia czwarta, o której tu mowa, była to *legio Scythica*, konsystująca w Syryi.

Wobec takich danych, możemy uważać za punkt zdobyty, że nasz Symbol, z eponimem Piłata, nie został ułożony w Rzymie, lecz na prowincyi, i to w Judei. Ale z drugiej strony, z dowodów przez ks. prof. Bilczewskiego przytoczonych wynika w sposób pewny, że tenże Symbol był już przyjęty w Rzymie najpóźniej w początkach II. wieku. Nawet taki wróg tradycyi katolickiej jak Harnack na to się zgadza. A więc powstać musiał w Judei jeszcze przed końcem I. wieku, gdyż taka transplantacya formuły wiary, z Judei do Rzymu, nie mogła się stać w jednej chwili; a gdyby nastąpić miała już po ukonstytuowaniu się Kościołów pojedyńczych i po śmierci Apostołów, to jeszcze więcej wymagałaby czasu.

To już nas bardzo zbliża do apostolskiego pochodzenia naszego Symbolu, skoro Kościół Jerozolimski, jak świadczą Józef Flawiusz, Hegesippus i inni, cieszył się obecnością św. Jakuba Mniejszego i był pod bezpośrednim jego zarządem prawie aż do pogromu Tytusowego. — Ale zdaje mi się, że zastanawiając się jeszcze więcej nad samym tym frazesem: *sub Pontio Pilato*, możemy jeszcze dalej idące wyprowadzić wnioski, niezależnie nawet od owych dowodów istnienia Symbolu w II. stuleciu w Rzymie.

Jaki pogląd, jaki kąt patrzenia na chrystyanizm przejawia się w tem datowaniu śmierci Chrystusowej imieniem starosty Judei? Autor, który w taki sposób datuje zdarzenie, o jakiem opowiada, pokazuje nietylko to, cośmy już wytknęli, że na prowincyi pisze, ale także, że patrzy na tę sprawę, jako poniekąd prowincyonalną, obchodzącą miejscowych ludzi, którym znane są imiona miejscowych rządców, lepiej może niż cesarzów. Faktem jest, że wszystkie napisy z eponimem wyłącznie prowincyonalnym, odnoszą się do spraw miejscowych. A zatem formuła wiary, datująca Odkupienie od starostwa Poncyusza Piłata, powstać musiała, nie w późniejszej jakiejś epoce, kiedy już chrystyanizm rozszerzony był po rzymskim świecie, ale w dobie początkowej, kiedy jeszcze pierwiastek chrześcijański gnieździł się

w żydowskiej ziemi, a ludzie składający Symbol mogli mieć jeszcze horyzont zacieśniony górami Judei [1].

Chrześcijanin, choćby żydowskiego pochodzenia, ale patrzący na chrystyanizm już rozszerzony po świecie rzymskim i między poganami, aniby pomyślał o ułożeniu Symbolu wiary z takiem określeniem czasu. Łukasz św. pisząc swą Ewangelię w trzeciej ćwierci pierwszego wieku, datuje początek nauczania Chrystusa przez wymienienie „piętnastego roku panowania Tyberyusza cesarza" [2]; do czego dodaje też, według zwyczaju ówczesnych historyków, imiona zwierzchników miejscowych, dla określenia tła wypadków. Charakterystyczną jest też rzeczą, że apokryficzne Akty Apostolskie, które przytacza Harnack w swej Historyi starochrześcijańskiej literatury, wspominają wprawdzie zawsze Piłata, — bo imię jego za pomocą formuły chrzcielnej już się obiło o wszystkie chrześcijańskie uszy — ale zarazem, chcąc oznaczyć czas, czują potrzebę wymienienia cesarza — bo piszą się później, w epoce szerszego rozwoju chrystyanizmu [3].

To oswojenie ucha i pamięci chrześcijan z tą formułą chrzcielną (ks. dr. Bilcz. wykazał, że wymagano w dawnym Kościele, aby ją każdy umiał na pamięć) tłumaczy nam, dlaczego i w późniejszych utworach wzmianka o Piłacie przyczepia się czasem bez zrozumiałego powodu do wspomnienia o ukrzyżowaniu Chrystusowem. Nie są to właściwie cytaty, ale reminiscen-

[1] Nie znaczy to, żeby nic zgoła ci ludzie nie wiedzieli o przeznaczeniu chrystyanizmu do rozpowszechnienia się po świecie, ale rozpowszechnienia tego nie widzieli i mogli o niem aktualnie nie myśleć.

Potwierdza się jeszcze ten wniosek tem zupełnem ogołoceniem imienia Piłata od wszelkich określeń. Ani urząd jego nie jest wymieniony, ani nawet Judea, w której rządził. Suponuje się, że samo imię Poncyusza Piłata już to wszystko na myśl przywodzi; mówi się więc do takich, którym imię i czasy Piłata były w świeżej pamięci.

[2] Luk. III, 1.

[3] *Acta Pilati Gr. A.* Ὑπομνήματα τοῦ κυρίου ἡμῶν παθόντος ἐπὶ Ποντίου Πιλάτου. *Incipit.* Ἐν ἔτει ιε' τῆς ἡγεμονίας Τιβερίου καίσαρος βασιλέως Ῥωμαίων.

Mors Pilati qui Jesum condemnavit. Incip. Cum autem Tiberius Caesar Romanorum imperator.

Vindicta Salvatoris: Inc. In diebus Tiberii Caesaris Imperatoris, Herode Tetrarcha, sub Pontio Pilato traditus est.

Cf. Harnack, *Geschichte der altchristlichen Literatur*, str. 23.

cye z Symbolu. Tak sobie tłumaczę między innemi wzmiankę o Piłacie w Liście I. św. Pawła do Tymoteusza [1]. — Tak z pewnością trzeba sobie tłumaczyć obecność tych słów: *sub Pontio Pilato* i w rozszerzonej w IV. wieku formie rzymskiej, której do dziś dnia używamy, i w rozmaitych formach greckich, aż do Symbolu niceo-konstantynopolitańskiego; wszystkie te formuły widocznie ułożone zostały na tle pierwotnej starorzymskiej, przez proste dodawanie nowych szczegółów, bez obcinania starych. Za to Symbol tak zwany Atanazyański, ułożony swobodnie i niezależnie co do formy od starego wzoru, nie wspomina o Piłacie, chociaż daleko obszerniej dogmat Wcielenia omawia [2].

Przypatrzywszy się w ten sposób Symbolowi, rzućmy teraz okiem na pierwotny Kościół i uważmy, któremu w szczególności okresowi jego rozwoju przypisać można taki utwór.

Najodpowiedniejszym bezwątpienia czasem, w którym najlepiej się tłumaczy ułożenie formuły wiary ze zwrotem *sub Pontio Pilato*, jest ów okres 15-tu pierwszych lat Kościoła, przed śmiercią Jakuba Starszego, kiedy Kościół jest jeszcze cały skupiony w Judei, a tak mało myśli o rozszerzeniu wiary między poganami, że kiedy już pod koniec tego okresu, cud łaski zmusza Piotra do ochrzczenia Korneliusza, jest to dla wszystkich przedmiotem zdumienia. Sam Piotr się dziwi, „że i na pogany łaska Ducha Św. była wylana“, i potem jeszcze w Jerozolimie musi się z tego przed wiernymi tłumaczyć. Przytem jednak, w tymże samym czasie, Apostołowie tysiące i tysiące dusz w Judei nawracają, jak kilkakrotnie świadczą Akty, i mogą już odczuwać po-

[1] Rozdz. IV, w. 13: „Rozkazuję przed Bogiem, który wszystko ożywia, i przed Chrystusem Jezusem, który dał świadectwo pod Poncyuszem Piłatem, dobre wyznawanie, abyś zachował przykazanie bez zmazy“ i t. d.

[2] Jest przecież w Symbolu Atanazyańskim jeden ustęp zawierający reminiscencyę apostolskiego: *Qui passus est pro salute nostra, descendit ad inferos, tertia die resurrexit* etc.; i w tym właśnie ustępie było miejsce Piłata; autor jednak go pominął, bo imię to w onym wieku nic nie mówiło jako wskazówka czasu: o Piłacie nikt już nie wiedział, jak tylko z historyi Jezusa: żadna więc nie przedstawiała się racya zachowania tego imienia w swobodnie sformułowanym Symbolu.

trzebę ustalonej formuły wyznania przy chrzcie, tem bardziej, że już nie sami go udzielają.

Od śmierci Jakuba i prześladowania Herodowego w Judei pierwiastek chrześcijański poczyna się wyłuszczać z łupiny żydowskiej. Piotr podejmuje wtedy prawdopodobnie pierwszą wyprawę do Rzymu; Paweł i Barnabasz wysłani w świat nawracają mnóstwo pogan; inni też Apostołowie w dalsze rozchodzą się strony, skoro znikają z widnokręgu autora Aktów. Kwestya, czy nawróconych pogan wiąże prawo mojżeszowe, staje już przed oczyma i spory wywołuje. Wreszcie, w ćwierć wieku od założenia Kościoła (około r. 51, w przypuszczeniu, że nasza era jest o 7 lat spóźniona), zbiera się ów sławny sobór Jerozolimski, w którym bierze udział, prócz starszyzny miejscowego Kościoła, kilku Apostołów i na którym Kościół uroczyście przyjmuje do wiadomości przystąpienie pogan po różnych krajach do Chrystusa, legiferuje dla nich i zadokumentowuje rozsadzenie owej łupiny judaizmu.

Sobór ten wydaje nam się ostatnim terminem czasu, w którym mógł powitać Symbol. Jeżeli nie został utworzony w pierwszym okresie, co jest najprawdopodobniejszem, to z pewnością w drugim, między śmiercią Jakuba a soborem. Po nim już powszechność Kościoła zanadto jest jawna, zanadto w oczy bije, aby formuła wiary, nawet w Jerozolimie układana, mogła oznaczać najważniejszą w historyi datę imieniem starosty Judei.— Otóż kiedykolwiek ułożonyby został Symbol w tym drugim okresie, zawsze jeszcze byłby niewątpliwie apostolskim, w ścisłem tego słowa znaczeniu; ponieważ powstał w Judei, a w Judei było ciągle w tym okresie kilku Apostołów: w każdym razie Jakub Mniejszy, najczęściej także Piotr, i zapewne też Jan. Zważając zaś w jaki sposób Apostołowie, według Aktów, wykonywali zwierzchnictwo w pierwotnym Kościele, ani pomyśleć nie można, żeby powstała w tym czasie i ustaliła się jakaś formuła wiary, bez ich udziału i sankcyi.

Wreszcie chociażby kto, mimo wszelkiego prawdopodobieństwa, przypuścił, że Symbol ułożony został dopiero po Jerozolimskim soborze, to bezwarunkowo musiałby umieścić to ułożenie w trzecim okresie, między soborem a zburzeniem Jerozolimy,

skoro zburzenie to i straszliwe spustoszenie Judei zamyka ostatecznie epokę, w której taką inicyatywę Jerozolimskiemu Kościołowi przypisać można. W tym trzecim zaś okresie, jak widzieliśmy wyżej, jeszcze żył i rządził Kościołem w Jerozolimie św. Jakub Mniejszy; więc i w tej ostatniej nawet hipotezie nasz Symbol byłby prawdziwie apostolskim. Wszystko jednak za tem przemawia, jak widzieliśmy, że jeszcze w pierwszem piętnastoleciu Kościoła powstał.

Zarzucićby można, że jeżeli Symbol ułożony został w Jerozolimie przed soborem, to Dzieje Apostolskie nie byłyby tak ważnego faktu milczeniem pominęły. Odpowiedź nasuwa się dwojaka. Najprzód bardzo być może, że nie od razu zdano sobie sprawę z wielkiej doniosłości tej formuły i roli jaką grać miała w przyszłości. Była to może sobie formuła wyznania przy chrzcie, przez jednego lub kilku Apostołów ułożona lub zatwierdzona, o której św. Łukasz nie wspomniał, tak jak i o innych zarządzeniach rytualnych Apostołów nie wspomniał — a było ich pewnie niemało w tych kilkudziesięciu latach. Pamiętać trzeba, że Dzieje, o ile są szczegółowe począwszy od XIII. rozdz. — kiedy św. Łukasz zaczyna towarzyszyć Pawłowi — o tyle są bardzo sumaryczne i niekompletne co do czasów poprzednich.—Po drugie, przypuścić można, że w czasie kiedy św. Łukasz pisał Dzieje, tj. około 60 r. naszej ery, już istniała w Kościele rzymskim ta praktyka, której ślady odnajduje ks. Bilczewski w pomnikach późniejszych: nie pisania tego Symbolu, ale wymagania go z pamięci od katechumenów i od przybyszów z innych kościołów. Toby też mogło być powodem, dlaczego św. Łukasz w swem piśmie o Symbolu zamilczał.

Na zarzut wreszcie Harnacka, że w przypuszczeniu apostolskiego pochodzenia Symbolu, zrozumieć nie można tej swobody, z jaką sobie kościoły wschodnie pozwalały go zmieniać — odpowiedziałbym tak: Kościół, świadomy swej żywotności w Duchu Św., czuł że mocen jest dany sobie depozyt wiary nietylko zachowywać ale rozwijać, uświadamiając sobie coraz więcej głębię prawd w nim zawartych. Otóż podobnie wziął tę formułę wiary od Apostołów, zapewne tylko ustnie, podaną; rozumiał,

że nie godzi mu się nic z niej wyrzucać, ale godzi mu się nowe dodawać wyjaśnienia, w miarę jak heretycy ten lub ów dogmat zaczepiali; czuł, że w tem nie ubliża Apostołom i nie naraża się na zboczenie od ich nauki, bo ten sam Duch, który natchnął Apostołów, nad nim czuwać nie przestawał. Kościoły wschodnie, bardziej herezyami trapione, więcej czyniły dodatków, zachodnie mniej; jeden tylko Kościół rzymski uważał przez kilka wieków za punkt honoru, nic nie dodawać; i on jednak w wieku IV. jak wykazał ks. prof. B., przyjął formułę trochę obszerniejszą. Nietykalność więc Symbolu apostolskiego była uznaną wszędzie, ale w znaczeniu tylko negatywnem. We wschodnich wreszcie kościołach ta łatwość urabiania nowych dodatków przekraczać poczęła miarę; co spowodowało sobór Chalcedoński do wydania dekretu nakazującego poprzestać na niceo-konstantynopolitańskim Symbolu [1]. A to znowu doprowadziło do zaniknięcia na Wschodzie wszystkich dawniejszych symbolów, nawet apostolskiego, a wyłącznego używania formuły nicejskiej.

Tak więc i to najmniej znaczące w Składzie Apostolskim słówko *sub Pontio Pilato* niemało ma znaczenia. Nietylko jest ono nicią łączącą boskie prawdy Symbolu z ziemską doczesnością, oznaczeniem punktu czasu i przestrzeni, w którym się niebo z ziemią pojednało; ale także — jakeśmy się obecnie, sądzę, przekonali — jest ono śladem apostolskiego pochodzenia tego Składu.

Ks. M. Morawski.

[1] Conc. Chalc. Actio 5.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Część II.: Chiny i Japonia. C. d.).

Na jeziorze Biwa, 24 marca 1889.

Korzystam z trzech godzin, które mam spędzić na pokładzie stateczku przewożącego mię z jednego brzegu jeziora Biwa na drugi (na pokładzie woda po kostki, bo od rana deszcz leje), by zapisać wrażenia z ostatnich dni, tj. pobytu w Osaka, Kioto, a wreszcie w Otsu, skąd stateczek mój wypływa. Piszę japońskim atramentem czerwonym, bo europejskiego tu dostać nie mogę.

Poprzedni liścik, jak widzę, kończy się lekką, emfatyczną apoteozą dawnej Japonii — więc ducha rycerskiego dawnej feudalnej Japonii. — Przed chwilą jednak pożegnałem mego najmilszego misyonarza z Kioto, Ojca Compagnon, który mnie aż tu odprowadził. Przy obiadku skromniutkim, któryśmy sobie zjedli w domku najętym przez misyę, rozmowa zeszła była, jak zwykle zresztą, na Japonię, na Japończyków, na ich zalety i złe strony. Tu więc obkroić trochę muszę owo wychwalanie rycerskości, szlachetności i t. d. Japończyków. Mówiąc o cnotach lub zaletach, trzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę, co rozumiemy pod słowem c n o t a? A ponieważ tutaj może być tylko mowa o cnocie w ogólnem, nie europejskiem, że tak powiem, znaczeniu, ale w znaczeniu, jakie temu słowu przypisuje

chrystyanizm — musimy się więc zapytać, jakie są pobudki wewnętrzne jakiegoś czynu, który chcemy skwalifikować jako cnotę. Otóż w życiu, charakterze Japończyka — nie nowej generacyi, bo o tej tego samego dnia, co o cnocie wogóle, mowy być nie może, ale generacyj minionych, w charakterze owych przesławnych, i tak sławionych dajmiów, samurajów i t. p. — dwa są momenta przez adoratorów Japonii pod niebiosa wynoszone, za przykład Europejczykom-chrześcijanom stawiane, a to: po pierwsze: wierność niezłomna, nie ograniczona ni czasem, ni okolicznościami, aż do grobowej deski; po drugie: uprzejmość zawsze, wszędzie i dla wszystkich, spokój przez tę uprzejmość nakazany, i wreszcie ukrywanie istotnych uczuć i myśli, z przyczyny i pod płaszczykiem owego spokoju i owej uprzejmości — boć regułą Japończyka jest: nie okazać nigdy gniewu, ni zmartwienia, ni wogóle uczucia na zewnątrz, aby snać inni ludzie, zwłaszcza socyalnie wyżsi, nie byli tem uczuciem niemile dotknięci. Mój misyonarz, a z nim i ja, przypatrzywszy się nieco dokładniej sytuacyi, znajdujemy w wewnętrznych pobudkach owych objawów duszy japońskiej, owych niby cnót japońskich — wiele twardości serca, pychy, a zwłaszcza wiele kłamstwa.

Istotnie żaden naród na ziemi, zdaje mi się, ni w starym ni w nowym świecie, nie uczynił z kłamstwa chleba codziennego w tym stopniu, co Japończyk! — Tu już nie chodzi o kłamanie przed wyższym, o kłamanie przed obcym, o kłamanie przed cudzoziemcem, kłamanie w okolicznościach nadzwyczajnych, *alias* dyplomatyczne kłamanie — ale o kłamanie od rana do wieczora, w nocy i we dnie, kłamanie w każdej myśli, w każdem słowie, w każdym ruchu. — Japończyk nigdy i w żadnym razie nie powie, nie może powiedzieć prawdy! — Nigdy nie odpowiada na zapytanie: tak, lub nie! — ten rodzaj odpowiedzi nie egzystuje bynajmniej w ich wokabularzu, przez nikogo i nigdy nie bywa używany, — uważanymby był za arcyzłe wychowanie, za sprzeczny z kurtoazyą, którą każdy drugiemu, przedewszystkiem sobie jest winien. — Anonsując, dajmy na to, drugiemu śmierć ojca lub matki, lub dziecka własnego, Japończyk się śmieje — więc kłamie! Witając się z drugim, Japończyk tak się uśmiecha

lub kłania, jak gdyby ten drugi był jego bóstwem wybranem, jego ukochaną a zarazem adorowaną istotą — znowu kłamie, i t. d. i t. d.

Kioto, 6 kwietnia.

Jestem w „raju japońskim“, — tak nazywają to miasto Japończycy — istotnie w starej, niedostępnej stolicy, w Rzymie, raczej w Mekce Japonii. I gdyby nie to, że uchodzę za członka legacyi, nigdybym się tu nie dostał, a przynajmniej nicbym nie mógł zwiedzić.

Przedwczoraj zwiedzałem groby Mikadów. Umyślnie o pozwolenie telegrafowałem do Tokio; od ministerstwa domu cesarskiego przyszło telegraficzne pozwolenie. Przyjeżdżam z księdzem Compagnon, z drugim misyonarzem, z moim przewodnikiem i z urzędnikiem *extra* delegowanym od urzędu zawiadującego pałacami cesarskiemi. Bonza stary, zawiadujący również świątynią gdzie są groby, ubrdał sobie, że mi nie pokaże pewnej części, a mianowicie grobów dawnych Mikadów 43-ch i zęba Buddy, przechowywanego w świątyni obok grobów położonej. Zamiast od razu wyjechać z argumentem, który wytoczył po półtoragodzinnem certowaniu się, i przed którym musiałem ustąpić, tj. że, by same groby widzieć, trzeba jeszcze specyalnego pozwolenia samegoż panującego — kręcił i matał ten istnie szczwany lis, łgając przez półtorej godziny niestworzone rzeczy — dlaczego? — byle kłamać! bo to jego druga natura, potrzeba jego natury, on inaczej nie umie.

Wogóle w tym „Rzymie japońskim“ co 50 kroków prawie spotyka się świątynię wielką lub małą, a wszystko Buddzie hołduje. Religia państwowa, szintoici, prawie zupełnie tu nie reprezentowani! — Nader ciekawa była następnie wizyta w pałacach czy zamkach tutejszych. Jest ich dwa opodal jeden od drugiego; jeden, to dawna, odwieczna rezydencya Mikadów-cesarzy; drugi, również stara rezydencya sajgunów-majordomów japońskich, co przez wieki oddając z ojca na syna, z rodziny na rodzinę swą władzę, jako zastępcy cesarza, jego pierwsi doradcy, panowali tu faktycznie. Pałac Mikadów, ich odwieczne więzienie, jak

wszystko, z białego sosnowego drzewa, kryte grubo słomą ryżową i bambusem; ornamentyki prawie żadnej — istna świątynia! — bo Mikado, to bożyszcze. Tu znać i czuć, że ten, kogo tu trzymano — a trzymał go sajgun — uważany był i uważał się sam za Boga, więc tylko religijnym praktykom oddany, przed światem zakryty, ani sam świata, ani świat jego nigdy nie oglądał.

Pałac sajgunów — kontrast najzupełniejszy! Przepych więcej niż monarszy, a choć wszystko znowu z tego samego arcypięknego sosnowego i cedrowego drzewa, to jednak bogate niesłychanie rzeźby, wspaniałe sufity, ściany okryte cudownej piękności, nieporównanej ceny malowidłami na złocie, świadczą o potędze, bogactwie, niezmiernie wysokim stopniu cywilizacyi, gustu artystycznego i zmysłu tych co tu mieszkali. Tu czuć panów, co się panoszyli — co, cesarza-boga zamknąwszy w rodzaju świątyni, jemu i światu wytłumaczywszy, że on dla nieba, a niebo dla niego, trzęśli kilkudziesięciomilionowym narodem, i to przez wieki. Tomy o tym temacie napisano, tomy jeszcze napisaćby można! — nie jam w możności spisania tych tomów, bo i czasu i zdolności nie mam po temu. — *Conditio sine qua non,* siedzieć tu lat 10 do 20, nauczyć się po japońsku i tłumaczyć, kompilować dzieła starożytne! Zresztą nic lepszego napisać nikt nie może, jak napisał o tych pałacach baron Hübner. Prócz pałaców owych, wiele ciekawych i pięknych miejsc, budowli, więc świątyń, klasztorów buddystowskich zwiedziłem. W szczegóły się nie chcę i nie mogę wdawać. Patrząc na dzieła japońskie, mimowoli się pytanie nasuwa, w jakimże stosunku ta cywilizacya do naszej stoi? kto wyżej, kto niżej? kto bardziej do ogólnie pięknego, wielkiego absolutnie się zbliżył?! Oto temat do odczytu, przy którym, jak w turnieju, łatwoby złocistą koronę zdobyć. Mnie dziś jeszcze sądzić trudno, za mało jeszcze wmyśleć się zdołałem w ducha Japonii; tyle jednak zdaje mi się bezsprzecznie powiedzieć można: w szczególe niezrównani! w całości — mali. Małe rzeczy, drobne, cudownie, nieporównanie wykonywają, na wielkie lepiej niech się nie porywają. Jest to rzeczywiście kraj małych rzeczy: szkatułeczek, nożyków, stoliczków, parawaników, domeczków, ogródków, choć proszę nadto literalnie tych dyminu-

tywów nie tłumaczyć sobie. Ta małostkowość czy jest przyczyną, czy skutkiem małoduszności? — nie wiem; ale idzie z nią, z małem, ciasnem sercem w parze. A jednak nigdzie i nikt takich istnie cudów poświęcenia za ojczyznę, zwłaszcza za pana, za orędownika, takich cudów wierności i przywiązania nie zdziałał, jak dawni samuraje, rycerze-szlachta japońska, co mściła po latach, urazy nie własne, ale pańskie, co pomściwszy, z największym ducha spokojem, z uczuciem tylko spełnionego obowiązku, sama sobie w okrutny sposób życie odbierała. Pytanie jednak, co było powodem, przyczyną, pobudką tych wspaniałych aktów poświęcenia? czy przywiązanie do pana swego, czy przywiązanie do siebie *scilicet* do własnego honoru — do owego honoru, który alfą i omegą był w życiu tych ludzi, owego „honoru lub czci", który nad wszystkiem górował, nadewszystko bo ponad bogów był czczonym?

Dzień dzisiejszy poświęcony był sprawunkom Neydharta, który przyjechał umyślnie do Kioto, by obstalować dla jakiegoś znajomego szkatułkę *cloisonné* u sławnego Hakimata. Po długiem szukaniu znaleźliśmy wreszcie i tę pracownię. Rzeczywiście arcyciekawa wycieczka! Daleko gdzieś w mieście, nader zresztą rozległem, jak wszystkie japońskie, w cichej, ukrytej prawie uliczce, w ślicznym domku japońskim, po którego fizyognomii nigdyby poznać nie można, że to jest fabryka, rezyduje ów dziś na świat cały sławny szkatułkarz. W pokoiku, gdzie nas przyjął, liczne medale i dyplomy świadczą, że gdziekolwiek się ze swemi dziełami pokaże, zbiera laury i wieńce. Pokazał nam swoją pracownię; tu patrzymy na tuzin przynajmniej artystów-męczenników, którzy siedząc na ziemi, zgarbieni, ślęczą nad robotą. Każdy inną farbę (proszek) między cieniutkie, jak pajęczyna, metalowe listewki, kontur rysunku odznaczające, cienkiemi jak szpilki dwoma stalowemi patyczkami wkłada.

Rozumie się, że wyroby, tyle pracy, oczu, czasu, wytrwałości, zgrabności, akuratności wymagające, nie mogą być tanie! Co prawda, ceny przechodzą wyobrażenie. Chciałem kupić dwa wazoniki na kwiaty, wysokości może 15—20 centymetrów mające: cena 100 dolarów = 200 złr. w. a. Dałem pokój, choć nie wiem, czy się jeszcze nie skuszę? Prześliczne bo to są rzeczy, zupełnie

cudne. Gotowego nic zupełnie niema; wszystko co w robocie, obstalowane; trzeba czekać 3 miesiące na najmniejszą drobnostkę. Widziałem tam wazony obstalowane dla Mikada — idealne! 2000 dolarów cena; robią nad niemi przeszło rok, a zdaje się jeszcze sześciu miesięcy potrzebują by skończyć. Po zwiedzeniu jeszcze dwu świątyń, z których jedna ciekawa, bo zawiera aż 1000 figur Kwannony, bogini dobroczynności, o stu rzekomo rękach, a każda figura, choć na pozór jednakie, inną ma twarz, inny wyraz, inaczej owe ręce trzyma, inny słowem odcień dobroczynności w darach przedstawionej wyraża.

Osaka, 12 kwietnia.

Przedwczoraj rano wyruszyłem dwoma „kurumami“ (ludźmi ciągnącymi wózki) z moim przewodnikiem z Kioto ku Nara. Droga piękna z początku, tj. gdy po półtoragodzinnym szybkim biegu kurumów, opuści się nareszcie miasto Kioto i przyległe przedmieścia, staje się nieco monotonną na razie, jednak bardzo ładniutką, bo Nara na stoku gór leży. Świątyń tu niezliczona moc, choć nie tyle, rozumie się, co w Kioto, gdzie co drugi dom prawie bożkowi jakiemuś z nieba Buddy poświęcony. Prawdziwą jednak ozdobą miejscowości, to ogród czy raczej las otaczający świątynię szintoistów. Pyszne drzewa, wiekiem nieraz pochylone, chryptomena, drzewa kamforowe i zwykłe japońskie sosny. Wśród nich aleje nader dobrze utrzymane, po dwu stronach kamienne latarnie przez rozmaitych fundatorów postawione. A wśród tego wszystkiego liczne stadka jeleni japońskich, wielkości grubego daniela, zupełnie łaskawe, tak iż nieraz trzeba między nimi laską torować sobie drogę. Śliczny obrazek!

Zwiedziwszy ciekawości Nary, na drugi dzień rano ruszyłem ku Osaka. W pół drogi mniej więcej chciałem zwiedzić świątynię Horin-ji, jedną z najstarszych w tym kraju, nader nadobną i piękną; cóż, kiedy moje zamiary spełzły na niczem, wobec niechęci, guzdralstwa i głupoty mojego przewodnika, a jeszcze bardziej dwóch stróżów świątyni, równie starych jak idyotycznie głupich. Oglądnąwszy więc całą rzecz z zewnątrz, nie widziawszy 1000-letnich figur Buddy i Kwannony, ruszyłem dalej. Aby mi

podróż uprzyjemnić, puścił się ulewny deszcz, a oprócz tego oczy moje — z jakiej przyczyny, nie wiem — wymówiły mi służbę, tak, iż noc całą na kurowaniu ich spędzić musiałem.

O drugiej z południa stanąłem w Osaka. Idę do pokoju, który mi w maluczkim iście hoteliku wyznaczono; na ganku spotykam kogoś, który mi się kłania; przechodzę — w 5 sekund potem wpada za mną baron Heydebrandt, mistrz dworu hr. Bardi, z oznajmieniem, że hrabia pragnie mnie widzieć. Wymawiam się swoją podróżną tualetą, niegoleniem i t. d.; nic nie pomaga, taszczą mnie przed hrabiego, który w sposób niesłychanie uprzejmy, przyjacielski prawie, mnie wita, każe siedzieć i t. d. Na drugi dzień poznałem hrabinę, siostrę arcyksiężnej Karolowej Ludwikowej, z domu Braganza; zupełnie na portugalskie pochodzenie nie patrzy, mała blondynka, bieluchna; rysy arcyksiężnę nieco przypominają. Wieczorem dnia drugiego mego pobytu, zjadłem z nimi obiad wielce przyjemny.

Nader ciekawem było zwiedzenie arsenału japońskiego, zamku obronnego i mennicy w Osaka. Zamek, dawna rezydencya Tokugawów, musiał być kiedyś wspaniały. Sądząc z ciosów kamiennych, rzeczywiście niewidzianej wielkości, z których złożono mury obronne, musiała to być rzeczywiście w całem tego słowa znaczeniu niezdobyta twierdza, zresztą stylem i rozkładem zewnętrznym murów, bram i t. d. przypominająca nowy pałac Mikadów w Tokio: ogromne mury, mniej więcej kwadrat tworzące, z pawilonami po rogach, od reszty świata ogromnym wodnym rowem odgraniczone.

Arsenał i mennica zupełnie według wzorów europejskich! W arsenale mają dotychczas podobno jednego oficera Włocha, który w gruncie jeszcze wszystko prowadzi; naturalnie niebawem i jego się pozbędą. Czy w mennicy egzystuje także jakiś, chowany na wizyty dostojnych osób, Europejczyk — nie wiem. Wicedyrektor nos wysoko nosi — Japończyk; był w Europie, zwiedzał wszystkie mennice; teraz prowadzi całą rzecz, zdaje się, wcale dobrze — ale bo cóż to za sztuka?

Z Osaka, gdzie po południu jeszcze z Bardim spotkaliśmy się w sklepie *an shoping*, ruszyłem z powrotem do Kioto. — Tym

razem dopiero widziałem w Kioto prawdziwie ciekawe, przez niewielu Europejczyków znane rzeczy! — W pierwszym rzędzie kładę groby Mikadów, miejsce, progu którego przestąpienie, u ludu gardłową, u szlachty brzuszną karą *(hara-kiri)*, karanem było! O kilku świątyniach, które prócz tego zwiedzałem, nie wspominam, boć w gruncie jest to wszystko bardzo jedno do drugiego podobne. — Raniutko otrzymawszy z Tokio od naszej legacyi wiadomość, że pozwolenie, po które osobno telegrafowałem przez ministerstwo domu cesarskiego, zostało udzielone, ruszyłem w południe z ks. Compagnon, zawsze jako tłumaczem, i z drugim Ojcem przybyłym na Kwietnią Niedzielę, nieco ojcu Compagnon pomagać. Smutno przyznać, żeśmy w Niedzielę Palmową po południu groby tych pogańskich kacyków zwiedzali, ale w tem uniewinnienie, że chcąc być na Wielki Czwartek rano na nabożeństwie w Tokio, musiałem spieszyć, i na drugi dzień, w W. Poniedziałek, Kioto opuszczać.—Daleko niezmiernie za miastem położoną, letnią rezydencyę Mikada pobieżnie zwiedziwszy, posunęliśmy, jak można było najszybciej, do grobów, niestety, w przeciwległej stronie miasta położonych. Znowu cała prozopopea, telegrafowanie aż do Tokio, poruszenie ministerstwa i poselstwa, asysta urzędnika pałaców cesarskich, który ze mną dnia tego jeździł. Wszystko to na niczem spełzło, wobec niechęci Japończyka jako takiego do białego, a szczególnie wobec nienawiści bonzów do nas. Może wreszcie poznali po sukni moich misyonarzy, może ich obecność zaszkodziła? — nie wiem. Dość, że faktem jest, że prócz jednego, a raczej wejścia do jednego grobu, ojca dziś panującego cesarza, nie widziałem samychże grobów. Bonza się uparł, i mimo że, jak teraz powróciwszy do Tokio od Siebolda się dowiaduję, sam Mikado udzielił mi pozwolenia na zwiedzenie grobów swych przodków — mimo to wszystko przez upór starego bonzy a przez niedołężność przydzielonego mi urzędnika, najciekawszej rzeczy nie widziałem.

Położenie owych grobów cudowne. Daleko od miasta, daleko od ruchu i życia, w górzystem zalesionem miejscu, wśród przepysznych drzew wiecznie zielonych, wśród szelestu źródlisk, co się z kamiennych, starożytnych urn sączą, wśród śpiewu sło-

wików, spoczywają ci władcy Japonii — jeżeli ich duszom równie dobrze, równie spokojnie, jak ich śmiertelnym szczątkom...

Na drugi dzień, więc w Wielki Poniedziałek, opuściłem Kioto. Mój zacny, poczciwy misyonarz towarzyszył mi aż do Otsa. Droga śliczna, ekspedycya do Otsa również ślicznie i interesująco opisana w dziele Hübnera. W Otsa niewiele do widzenia, prócz ślicznego iście położenia u stoku gór spływających łagodnie ku jezioru Biwa. Jezioro ogromne, zdaje mi się większe od wszystkich, jakie dotąd widziałem. Nad brzegiem jeziora w Karasaki sławna sosna, prowadzona od wieków w formie baldachimu. Mierzyłem obwód przestrzeni przykrytej jej konarami: 150 czy 160 kroków. Wiekuiste to drzewo, czczone jak wszystkie stare drzewa przez Japończyków, choruje; więc je kurują, zalepiając cementem szczeliny; z obawy by konary nie rozdarły swym ciężarem pnia głównego, popodpierano, powiązano je na wszystkie boki; to nieco uroku ujmuje temu staruszkowi.

Wobec czci Japończyków dla starych drzew, nieraz żałować wypada, że wszystkiego co stare w równy sposób nie uczczono! Nad grobami Mikadów żałowałem, żem nie Alfred de Musset lub choćby Lenartowicz! Cóż to za temat do poezyi, jaką śliczną legendę na tem tle usnućby można? Nareszcie przyszła chwila rozstania — muszę wracać do Tokio wprost, bo nazajutrz Wielki Czwartek.

Tokio, 20 kwietnia (Wielka Sobota).

Tu więc spędzam wielki święty tydzień. Niestety, czyż który w świecie kraj, może z wyjątkiem Rzymu, jest w stanie zastąpić naszą kochaną ojczyznę w czasie wielkanocnym? Nigdzie zdaje mi się tak pięknie, tak rzewnie, tak po dawnemu i bożemu nie odbywają się nabożeństwa Wielkiego Tygodnia, jak u nas. Tu poczciwi, zacni misyonarze po francusku odbywają nabożeństwa i zdaje się, że połowa odpada. Pojąć nie mogłem, jakim dzieje się sposobem, że np. ciemnych jutrzni niema! W Wielki Piątek była tylko droga krzyżowa; nie śpiewano jednak wcale trenów Jeremiasza, a to tak piękny, tak

rzewny śpiew, tyle boleści i smutku, żałoby; nigdy tak dusza sama do modlitwy się nie rwie, nigdy tak nie topnieje u stóp krzyża, jak przy dźwięku tego śpiewu żałoby i smutku. Nader mi, wyznaję, naszych nabożeństw żal, bardzo za niemi tęskno! Grobu św. również nie było; procesyi zmartwychwstania, naszej drogiej, kochanej rezurekcyi nie będzie. Widać inny zwyczaj w kościele francuskim. Biegeleben powiada, że w Anglii również nie znają zwyczaju procesyi na Wielkanoc! Nasza piękna, rzewna pieśń rezurekcyjna, także tu nie znana zapewne. Skarżę się jak dziecko, ale .bo te nasze nabożeństwa takie piękne; tak istotnie przez cały Wielki Tydzień żyło się życiem odmiennem, żyło się w kościele; tu rano — wszystko skończone.

A jednak widziałem dziś ceremonię chrztu poganki, może jedyny raz w życiu. Chrzcił sam biskup w asyście. Jutro do Stołu Pańskiego mam przystąpić! Żałuję, że nie mam ze sobą „Naśladowania"; nic mi tej książeczki nie może zastąpić.

Tokio, 22 kwietnia.

Miałem właśnie długą i wyczerpującą rozmowę z młodym, bo ledwie 26 lat liczącym Japończykiem, panem Katsutaro Innabata, dyrektorem towarzystwa akcyjnego, które obecnie zakłada fabrykę wyrobów jedwabnych tu w Kioto. Człowiek ten spędziwszy lat ośm we Francyi, gdzie przybył chłopcem, uczył się najprzód nie wiem w którym instytucie OO. Jezuitów, potem w Lyonie. Przez długie lata nie chciał jednak przejść na katolicyzm, dopiero po powrocie do ojczyzny, przerażony upadkiem, nędzą moralną własnej dotychczasowej religii (buddyzmu), a czując konieczną potrzebę wiary, został katolikiem. Otóż ten młody człowiek opowiedział mi rzeczy, które mię mocno przejęły. Japonia — twierdzi on — znajduje się obecnie nietylko w stadyum przejściowem politycznie i socyalnie, ale przedewszystkiem pod względem moralnym i religijnym! Religia Buddy upada, niknie, topnieje z dniem każdym. Bonzowie dają sami impuls do tego upadku. Żyjąc hulaszczo, trwonią pomału zasoby swych świątyń, a gdy zasób się wyczerpuje, palą świątynie. Dowodów na to

w ręku nikt nie ma, ale to jest *vox populi*, której źródło w coraz się powtarzających pożarach świątyń buddystowskich. Ryba od głowy cuchnie; zmniejszona, osłabiona, zwiędła wiara kleru pociąga za sobą też same objawy u ludu. Miliony więc mieszkańców Japonii pozostaną niebawem bez wiary, bez religii! Ponieważ jednak Japończyk z natury jest nader ciekawy, pragnie dojść wszędzie do dna, zbadać wszystko, niczego niejasnem nie pozostawiając, przeto tracąc potrochu dotychczasową swą wiarę, bada, czem się to dzieje, i dochodzi do wniosku, że dlatego, iż ta wiara nic nie warta.

Bez wiary jednak człowiek egzystować nie może, przeto i Japończyk szuka innej wiary. Tu jądro sprawy. Szukającemu trzeba poddać, wskazać, gdzie ma szukać. Protestanci, wspierani ogromnych rozmiarów składkami północnej Ameryki, skorzystali i korzystają z tego usposobienia wykształconych i kształcących się klas ludu japońskiego. Protestanci przyszli do tego kraju z pieniądzem jako środkiem, to też wspaniałemi mogą się poszczycić rezultatami. Powiedziałem: „przyszli z pieniądzem jako środkiem“, nie wyraża to jednak całej prawdy! Protestanci umieli i umieją wyzyskiwać głód nauki, pragnienie kształcenia się Japonii. Nie widziawszy na własne oczy, trudno uwierzyć, do jakich rozmiarów ten „głód“ w Japonii dochodzi. Dziś każdy Japończyk, ubogi i bogaty, zwłaszcza jednak ubogi, chce, musi się kształcić, pragnie pożerać naukę; bo po pierwsze: tej nauki jako takiej łaknie, bo po drugie: ta nauka mu chlebem, karyerą, wszystkiem. Cóż więc robią misyonarze protestanccy? dają młodzieży tutejszej sposobność kształcenia się. Zakładają szkoły (jak np. tu w Kioto), uniwersytet nawet odpowiadający najkompletniej wszelkim wymaganiom, stawianym przez społeczeństwo i państwo. W ich szkołach jednakże, otwartych dla wszystkich, zaprowadzono ten sprytny system, że nawracający się na protestantyzm za darmo żyje i uczy się, nie nawracający się przeciwnie musi grubo płacić.

Skutki tego systemu oczywiste. Dziś, po mniej więcej 10-ciu latach, mają protestanci w swem liceum przeszło 600 uczniów. A cóż katolicki Kościół? wszystkiego razem liczy gmina kato-

licka w Kioto jednego Ojca misyonarza i 400 wiernych. Protestanci mają między swoimi adeptami śmietankę japońskiej młodzieży, która się ściąga z całego niemal kraju, by się w ich liceum kształcić; katolicy, to z maluczkiemi wyjątkami wyłącznie niemal lud, klasy robocze, najniższe, najmniej wykształcone, najmniej mające, najmniej mogące. I nie będzie inaczej, póki Kościół katolicki nie skupi tu większych i bardziej dobranych sił, większych środków materyalnych, póki nie założy szkół wyższych, uniwersytetu...

Z głową nabitą i sturbowaną temi myślami, poszedłem prosto do kochanego mego O. Compagnon, posłyszeć co też on o tem sądzi. Stary misyonarz oblał mię trochę zimną wodą; ale zarazem rozgadał się i wynurzył z tem, co miał na sercu. Skarży on się, choć w sposób niesłychanie oględny i cichy, na pewną obojętność Europy jako takiej, może nawet Rzymu, dla misyj japońskich. Środki materyalne, jakiemi ci ludzie rozporządzają, są istotnie prawie równe zeru. Miesięcznie pobiera przeciętnie misyonarz 30—45 yenów *alias* dolarów japońskich, co na nasz pieniądz stanowi 60 do 90 złr. w. a. Za to, jeżeli misyonarz w samem miejscu nie posiada własnego budynku, musi opłacić najem mieszkania, ubrać się, oprać, wyżywić, opłacić swoich t. zw. katechistów, zapłacić najem domów, w których wierni lub niewierni mogą się zbierać celem słuchania nauk, sprawić sobie potrzebne paramenta kościelne, utrzymać kościołek, kaplicę, przystroić takową i t. p. Słowem, istotnie ci ludzie żyją, muszą żyć jak ptaki niebieskie, nieraz tylko rosą i światłem słonecznem. Asystowałem raz obiadowi mego zacnego misyonarza: składał się z gorącej wody, w której pływało nieco kartofli źle zaparzonych, i dwóch czy trzech kartofli w wodzie ugotowanych. Jako wety: ser stary, twardy jak kamień, przysłany kiedyś przed miesiącami z Francyi przez jakieś poczciwe siostry Karmelitanki, dalej ser z pigw, również przez siostry nadesłany — i tyle! Dziś wieczór jadłem z nim u niego kolacyę: zupa zrobiona z puszki Liebiga, którą ja przyniosłem, sałata jakaś, którą to biedactwo sam zaprawił, nalewając np. octu z flaszki jakiejś widocznie aptecznej, i jako wielki luksus, umyślnie dla mnie jajecznica

z dwóch czy trzech jaj! Serce topnieje na ten widok, a przytem wszystkiem, mając siedm rozmaitych *quasi* parafij, które musi obsługiwać, nie mając *notabene* wyrobionych katechizatorów, dzień w dzień przez te ostatnie dni lata co wieczór w inne miejsca, by mieć do zgromadzonych katechumenów i pogan przemowy, nauki, kazania. Ponieważ tylko wieczorami schodzić się mogą ludzie pracy oddani, przeto kazania te odbywają się o godzinie 8 lub 9 wieczór, a trwają najczęściej do 10-tej lub 11-tej; musząc na drugi dzień być z powrotem tutaj, by odprawić Mszę, tego samego wieczora wraca swoim wózeczkiem, ciągnionym przez jednego człowieka t. zw. kuruma lub dziuriksa, do Kioto, a że odległość znaczna, więc około godz. 12 lub 1 w nocy się kładzie. Rano o godzinie 4 jest na nogach, by modlitwy odprawić, o 7-ej Msza święta, i tak jak rok długi! — a w pokoiku zimno, bo palić nie ma bardzo za co, — a jedzenie opisałem.

Zaiste, nie trzeba innych dowodów boskości naszej wiary. Przytem ta pogoda umysłu, cierpliwość, słodycz — wesoły jak dziecko. Wyciągam go na zwiedzanie, spacery, pęka na moje głupstwa od śmiechu, i mnie potem dziękuje, że go odwiedzam, bo to go rozrywa — *on est fatigué,* powtarza, i to mu, zdaje się, za spoczynek starczy. Potrzebuje ornatu od święta, zwykłego, i ornatu żałobnego; nie mając obecnie za co sprawić, pożycza od misyonarza bawiącego w najbliższej misyi. Ponieważ oprócz tego biedaczyna wielu rzeczy nie ma, zdecydowałem się sprawić mu takowe.

Ale wróćmy do mojego głównego tematu — do misyj w Japonii. Otóż zarzut przeciw nim, nawet przez nowo nawróconych podnoszony, jest, że wobec świetniej w oczy bijącej działalności protestantów, katolicki Kościół niedość występuje okazale, za mało o sobie samą formą zewnętrzną daje znać, za mało, dbałych o formę i wrażliwych Japończyków, formą, akcyą w oczy bijącą kaptuje, za mało ich uwagę na siebie zwraca, a specyalnie niedość dba o szkolnictwo; a jak już w liście moim powyższym, pisanym do Ojca Morawskiego, powiedziałem: szkolnictwo, podanie sposobności oświaty, nauki, to wobec dzisiejszego usposobienia mas w Japonii, najgłówniejszy, może najpewniejszy, by

nie powiedzieć: jedyny sposób kaptowania, czynienia prozelitów. To byłby rdzeń tego, co, jak powiedziałem, katolicy japońscy mają misyonarzom *(missions étrangères)* do zarzucenia. Na to odpowiedź jedna: jest w tem wszystkiem wiele prawdy, ale to wszystko dlatego, że niema środków, po prostu pieniądz tu na przeszkodzie staje. Misyonarze byliby najszczęśliwsi, wszystkim tym potrzebom zadośćczynić, ale niema *de quibus* — i to przyczyna, że postępy katolicyzmy w Japonii w oczy nie biją, nie są takie, jakichby może spodziewać się można.

Z drugiej jednak strony, mimo że protestanci tak szumnie i bańczucznie występują, poszanowania większego doznają nasi misyonarze. Mimo, że protestanci na oko tak licznych mają adeptów, — adepci ci jednak nie są prawdziwymi wiernymi. W to co im protestanccy, głównie amerykańscy misyonarze głoszą, w to oni najczęściej nie wierzą — religię, formę przyjmują jako środek wyuczenia się po angielsku (cel, dążności dziś każdego młodego Japończyka), jako środek wykształcenia się za darmo. Formę, powtarzam, przyjmują, treści — nie. Skutek: kompletna niewiara; szkoły protestantów, to pepiniera ateuszów. Kościół katolicki, nie przyjęcia formy od swoich adeptów żądający, ale przyjęcia treści, wiary, woli, obawiając się popaść w *extrem*, w który popadli protestanci, woli, powtarzam, pomału, pocichu, w cieniu postępować naprzód.

Tu jedyna objekcya: Kościół nasz musi się tu, jak zresztą wszędzie, liczyć ze stosunkami miejscowemi. W Japonii dzisiaj jest niesłychany ruch umysłowy. Młode i starsze głowy się palą, okrzyk: nauki, wiedzy! po całym kraju, we wszystkich klasach rozbrzmiewa. Te tysiące, które wpadną w szpony protestantyzmu, te raz na zawsze dla katolicyzmu stracone. Co gorsza, ludzie ci, choć nie przyjmują szczerze i do dna religii protestanckiej, przejmują jedno od swych nauczycieli: nienawiść do katolicyzmu. Przez nich nienawiść ta łatwo i w dalsze, wprost nie wchodzące w grę sfery przejść może. To tak mojem, jak i misyonarzy zdaniem, powód, dla którego Kościół katolicki od swych dotychczasowych, wrodzonych, że tak powiem, skłonności od cichości, tutaj odstąpić powinien! Dwa byłyby środki zaradzenia złemu:

albo dać misyonarzom więcej środków materyalnych, więc materyału w ludziach, materyału w zasobach, albo wysłać jednę, dwie lub więcej innych kongregacyj zamożnych, któreby w kilku, kilkunastu punktach od razu działać zaczęły. — Jakie są przyczyny, dla których Rzym tego ostatniego środka nie użył dotąd, i zdaje się nie chce użyć, to wiadomo. Przyczyny natury nader delikatnej, więc nie chcę ich tu rozkawałkowywać, domyśleć się łatwo; historya poucza w tym względzie.

Pozostawałby więc tylko jeden sposób: misyom tutejszym dodać więcej ludzi, dodać więcej środków materyalnych. Ludzi łatwo znaleść. Zamiast rzucać ziarno na piasek, zamiast rzucać miliony i setki inteligencyi i pracowników znakomitych, gdzieś w dzikie puszcze Afryki, lub na jałowe wybrzeża Australii, możeby lepiej było użyć tych pieniędzy, tych sił moralnych, intelektualnych, na rozwinięcie odpowiedniej akcyi w kraju cywilizowanym, cywilizującym się zwłaszcza, w kraju niesłychanie ludnym, w kraju dążącym z jednej strony do znacznego intelektualnego, materyalnego rozwoju, z drugiej zaś strony lecącym na złamanie karku w ręce ateizmu, nihilizmu religijnego i społecznego, — w kraju wreszcie, który jako najbardziej posunięty ze wszystkich kontynentu azyatyckiego w kierunku cywilizacyi „europejskiej“, który dał i daje istne dowody żywotności, przedsiębiorczości — w kraju, który tem samem, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w partyi światowej, która musi się rozegrać może niebawem między katolicyzmem, protestantyzmem, schyzmą a buddyzmem, między cywilizacyą białych i elementem aryjskim a cywilizacyą chińsko-mongolską i elementem niearyjskim, pod egidą może i przewodnictwem Chin — w partyi tej ważną zapewne rolę odegra. Nie przypisuję sobie prawa sądzenia o tych rzeczach — dla mnie jednak jest to rzeczą jasną, że świat katolicki, nie dbając o kraje jak Japonia, a marnując miliony w ludziach i pieniądzach na bardzo problematyczne apostolstwa między słoniami i hipopotami lub kangurami, wielki popełnia błąd.

Afryka środkowa zresztą nigdy, przenigdy aryjskiej cywizacyi nie przyjmie; na to potrzeba przedewszystkiem, by tam klimat się zmienił. Biały w tym klimacie, jaki ma dziś Afryka,

nie wyżyje. Kto twierdzi przeciwnie, ten się daje unosić chwilowym mrzonkom. Widzimy, że we wszystkich krajach z podobnym klimatem, biały zagnieździć się nie może; może on żyć w jednej generacyi, druga już niezbyt dopisuje, a trzeciej niema w regule. Nie tam więc punkt ciężkości rasa biała kłaść powinna, chcąc się wzmocnić, rozróść, do walki niechybnej przygotować! — Powiadam: do walki przygotować, bo choć my zapewne tego nie dożyjemy, to jednak zdaje mi się, nie jest tak pewnem zupełnie, że rasa biała niebawem (może za lat 50 lub 100) stawić będzie musiała czoło nawalnicy chińsko-mongolskiej. Pierwszy krok do przyspieszenia wybuchu tej walki już uczyniony: Ameryka i Australia zamknęły się zupełnie przed napływem Chińczyków. Gdzież, pytam się, te miliony się podzieją? — Zdaje mi się więc, że w onej chwili arcypożytecznem byłoby dla białych, mieć, na tyłach nieprzyjaciela, kogoś za sprzymierzeńca. Tym mogłaby być Japonia — ale tylko Japonia katolicka, bo tylko Japończyk-katolik nie nienawidzi białego! Japończyk ateusz, buddysta lub protestant zawsze i w każdej chwili chętnie rękę do zgładzenia go przyłoży.

Straszniem się rozkołysał i podleciałem może za wysoko. Przeczytać i poprawić tego listu nie mam czasu, więc posyłam go *in natura,* — wszak nie będzie zbyt ostro sądzony. Późna bardzo zrobiła się pora, i kończyć muszę.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

VI.

Huculskie sioło.

Siedmiomiesięczna, do ostatniego stopnia wytężająca praca apostolska, towarzyszące jej niewygody i wzruszenia, jakim równych bodaj czy kiedykolwiek inny jaki misyonarz, w tak zwłaszcza krótkim przeciągu czasu, doznać był w stanie, pozostawić musiała ślady na zdrowiu Antoniewicza. Znana już nam, z portretu naszkicowanego przez samegoż O. Karola, nagoszyńska dziedziczka, Stefania Konopczyna, która od pierwszej chwili zaopiekowała się misyonarzem jak najtroskliwsza matka, a niebawem, jako posłuszna córka, z najzupełniejszem zaufaniem oddała się pod duchowny jego kierunek — przeraziła się odbijającem się na twarzy wycieńczeniem sił, bladością, uporczywym kaszlem, i udała się listownie do prowincyała, O. Baworowskiego, błagając, aby nakazał utrudzonemu, schorowanemu kapłanowi niezbędny spoczynek. Wskutek tego listu prowincyał wezwał, w pierwszych dniach października, Antoniewicza do Lwowa, gdzie go, co prawda, bynajmniej nie czekał spoczynek, ale przynajmniej nieco regularniejsza, mniej szybko zdrowie niszcząca praca.

„Na piersi mi lepiej — donosił Karol w kilka tygodni po przybyciu do Lwowa[1] — ale katar nie ustaje. To pamiątka z Wie-

[1] Do br. Stefanii Konopczynej. W listopadzie 1846 r.

wiórki, gdzie przepędziłem dnie, za które nigdy wdzięcznym być nie przestanę Bogu. Pomimo tego miałem już dwa kazania... Jest tu wiele roboty, szczególnie w konfesyonale, pomimo uprzedzeń względem nas. Gdybyż mogli czytać w sercach naszych! — ale — cóż robić?"...

Wielu, z każdym dniem więcej, było takich, co w sercach czytać umieli; szczupła z początku gromadka, kupiąca się koło żarliwego kapłana, znajdująca u niego zawsze dobrą radę i słowo serdecznej pociechy, szybko rosła. Na pierwszem miejscu w tej gromadce stanęła od razu prawdziwa matka lwowskich ubogich, „opatrzność wszelkiej biedy i nędzy lwowskiej", jak ją tak słusznie, a powszechnie nazywano: księżna Jadwiga z Zamoyskich Leonowa Sapieżyna. Pokrewne to były dusze: kochające Boga całem sercem, pałające pragnieniem czynienia dobrze, nie znające żadnych granic w czynnej i rozumnej miłości bliźniego; nie dziw, że się zrozumiały, odczuły wzajemnie żar w sercach swych gorejący i podały sobie pomocne dłonie w drodze do Boga, w szerzeniu chwały Bożej, w noszeniu krzyża Jezusowego za Jezusem. Znajomość, zawarta w ochronkach, szpitalach, gdzie księżna i ubogi zakonnik leczyli wspólnemi siłami rany ciała i duszy, przemieniła się po niewielu tygodniach w świętą przyjaźń, wzmagającą się odtąd z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, a żadnem, najdrobniejszem nieporozumieniem nigdy nie zakłóconą. Przyjaźń ta nabrała mocy i hartu wśród cierpień, których Bóg nie szczędził; łzami obficie skropiona strzeliła wysoko w niebo same, porosła prześlicznem kwieciem chrześcijańskich, rzewnych uczuć; wydała owoce cnót, tem większych i milszych Bogu, że spełnianych po prostu, jako rzecz w życiu, w domu chrześcijańskim sama z siebie się rozumiejąca.

Ksiądz Antoniewicz w poufnych listach do przyjaciół, do zakonnych braci, zdając im sprawę co się z nim i obok niego działo, nie taił, jak potężne wrażenie księżna na nim wywarła; dziękował Bogu, że dał Lwowowi taką miłosierną a pobożną panią. „Księżna Sapieżyna — pisze do dawnego sądeckiego kolegi, który miał później obok niego i jego śladami niwę misyo-

narską uprawiać [1] — święta to i potężna dusza, prawdziwa Zamoyska. Oprócz ochronki dla sierot i szpitala dla małych dzieci założyła teraz obok nas dom roboty dla ubogich i uczciwych panienek, gdzie przeszło sześćdziesiąt ich co do duszy i ciała mają ochronę. Dużo bardzo tu dobrego się dzieje, ale też i dużo nieszczęść, nędzy i boleści!!... I pani Grocholska z Wołynia święta osoba; 180 sierot swoim kosztem na Wołyniu utrzymuje i tutaj bardzo wiele świadczy. Trzech tarnopolskich konwiktorów we Lwowie na prawie będących przychodzi do mnie; to tak miłe i wdzięczne. Z miłością, z miłością wszystko zrobi z naszą młodzieżą; nie będą oni zawsze dziećmi, a pamięć mają dobrą. Była tu i p. Konopkowa z mężem kilka dni i mówiła, że gwałtem o misye się dobijają w Tarnowskiem. Jeśli przyjdą misye do skutku, wątpię, abym mógł mieć w nich udział. Stary inwalid już z pola schodzę; może ks. Baczyński mnie z lepszym pożytkiem zastąpi. Jak się Panu Bogu podoba!"

Pod żartobliwą osłoną kryło się dużo prawdy. Zdrowie wciąż nie dopisywało; rad nierad musiał Antoniewicz przerwać ściągające do kościoła mnóstwo słuchaczy katechizmowe wykłady; znacznie ograniczyć pracę na ambonie i w konfesyonale i pomyśleć na seryo o radykalnej kuracyi. Tylko rozpoczętego przygotowania do pierwszej Komunii św. córeczki „najlepszej kochanej swej księżnej" — jak ją już niezadługo nazywać będzie — młodziutkiej Tereni Sapieżanki, przerwać nie chciał; przeciwnie, w naukach udzielanych rozwiniętemu, a bardzo pobożnemu dziecku, w następnych, długich rozmowach z jego matką, znajdował najmilsze wytchnienie. Księżna Jadwiga cenila sobie również niezmiernie te rozmowy, ale dla wszystkich bied tak współczucia pełna, i własną pociechę stawiająca z zasady na drugim planie, nagliła Ojca Karola do czem rychlejszego opuszczenia Lwowa i odetchnienia, stosownie do porady lekarzy, świeżem, górskiem powietrzem; nagliła o to zakonnych jego

[1] Do ks. Teofila Baczyńskiego, dawnego zakonnego towarzysza i serdecznego przyjaciela, później gorliwego pomocnika w misyjnych pracach i wiernego w nich przez długie lata naśladowcę. Lwów. W styczniu 1847.

przełożonych, dostarczając im, w wielkiej tajemnicy przed Antoniewiczem, potrzebnych na podróż i kuracyę materyalnych środków. Jakoż nazajutrz po udzieleniu Tereni pierwszej Komunii św. wyjeżdżał, w piękny majowy poranek, utrudzony misyonarz ze Lwowa, żegnany serdecznie przez swych braci klasztornych, przez cały zastęp panów i pań lwowskich, którym drogę do nieba wskazał i ułatwił; zwłaszcza przez rodzinę Sapiehów.

Przepisaną wodno-żętycową kampanię odbyć miał Antoniewicz w zaleconej sobie przez stanisławowskich znajomych i lekarzy Pasiecznej, małej huculskiej wiosce, rozłożonej między Nadwórną a Delatynem, gdzie daleko od ludzi, w górach zakopany, spodziewał się znaleść tak na pierwszem miejscu potrzebny sobie spokój. Drogę obrócił na Tarnopol i tu zabawił kilkanaście dni w klasztorze, znanym sobie dobrze z czasów filozoficznych studyów; w kole i dawniej i świeżo poznanych i pokochanych towarzyszów:

„Dobrze mi tu — donosił lwowskiemu swemu przełożonemu, O. Perkowskiemu [1] — bo jakże może być dziecku źle w domu matki najlepszej!... Jeśli kto mię spyta po com przyjechał, muszę się tłumaczyć listem księdza Prowincyała, gdzie czarno na białem napisano, żem chory. A jeśli ja, jak mi się zdaje, z posłuszeństwa choruję, to i drudzy z posłuszeństwa temu wierzyć muszą; czy nie sprawiedliwie? Tak mi tu spokojnie, swobodnie w celce mojej; tak mi tu miło będzie modlić się za tych wszystkich, których kocham, poważam i którym tyle wdzięczności winien jestem..... I żal mi i dziękuję Bogu, żem wyjechał ze Lwowa; żal mi i więcej, jak powiedzieć mogę, bom znalazł tam tyle pięknych dusz, których poznanie zda mi się że i mnie trochę lepszym uczyniło, a jeśli nie, to moja w tem wina! Chociaż tego na żaden sposób w siebie i wmówić nie

[1] „Listy z zakonu". Poznań 1849. List 1. Jak ten, tak inne, w drukowanych zbiorach umieszczone już listy, znacznie uzupełniliśmy i poprawili wedle oryginałów lub wiernie z nich dokonanych rękopiśmiennych kopij. Dlatego nadal zbiorów tych nie będziemy cytować.

mogę, żebym mógł być komu użytecznym — ale nie wątpię, że Pan Bóg cuda czynić może; a jeśli chciał pobłogosławić pracy mojej, to tylko ze względu na szczere chęci, i tę miłość, którą czuję w sercu ku wszystkim. Przeszedłszy drogę nieprawości, nie mam prawa nikogo potępiać; przeszedłszy drogę boleści, mam przyczynę z każdym zapłakać. Doznawszy i doznając tyle udziału od ludzi, byłbym najniewdzięczniejszym, gdybym się im wzajemnością nie wypłacił! *Sicut passer solitarius in tecto* [1], od roku już z miejsca na miejsce wędruję — wszędzie tę samą piosnkę ku czci i chwale Bożej świergocąc — i wszędzie z miłością przyjęty, z boleścią odlatuję! — Dziękuję zaś Bogu, żem wyjechał ze Lwowa — bom miał za wiele pociechy tak ze strony braci naszych, a szczególniej Wiel. Ojca, jak od wszystkich. Za małą pracę Bóg tak hojnie mi wynagrodził, czegóż się mogę spodziewać po śmierci?...

„Co się mego zdrowia tyczy, to nie wiem, co powiedzieć; jakoś między duszą a ciałem u mnie dobrej równowagi niema, jedno drugie ściera. Wodę selcerską piję, chodzę, modlę się jak mogę, piszę jak mi przyjdzie do głowy; czytam co mam, myśli na rozmaite wysyłam pielgrzymki, i tak cały dzień w swojej celce przebywam. Ale bo mam pomieszkanie takie, jakiegobym w całej Europie znaleść nie mógł, tj. lepszego. Mieszkam albowiem w sąsiedztwie, i tylko o ścianę, Pana i Zbawiciela mego. Okno moje wychodzi na kościół, na wielki ołtarz. Budzę się z rana przy odgłosie organów, a gdy wieczór świecę zagaszę, to jeszcze blask lampki przed Najśw. Sakramentem oświeca celkę moją. O żeby to człowiek tak blizko był sercem Boga swego, jak jest ciałem!“

Jubileusz ogłoszony z powodu wstąpienia Piusa IX. na tron papieski gromadził w tym właśnie czasie po kościołach niezliczone zastępy pobożnych u stóp ambony, u kratek konfesyonału; miło było patrzeć Antoniewiczowi na piękne to Boże żniwo, ale jednocześnie żal serdeczny w sercu wzbierał, że sa-

[1] „Jako wróbel sam jeden na dachu“ (Psalm ci. 8).

memu w liczbie żeńców stanąć nie wolno; głęboka pokora tłumaczyła, że własne to winy zamknęły mu drogę do tak pożądanej pracy.

„Właśnie w tej chwili — pisze do O. Perkowskiego — zaczynają Ojcowie nasi nauki we Lwowie. Niech im Bóg błogosławi i wszystkim słuchającym. Oni pracują na chwałę Bożą, a ja tu próżnuję; toby mogło być na chwałę Bożą, bo z woli Jego, ale czy potrafię i to próżnowanie poświęcić?

„Za udzielone mi nowiny — czytamy w następnym liście — względem szczęśliwie i zbawiennie odbytych nauk, dzięki składam. Oby Bóg raczył oświecić wszystkich serca i przyciągnąć do siebie, aby wszyscy poznali, jak Bóg dobrym jest, i jaki pokój i swoboda Jemu wiernym zostawać; aby obmyli raz z siebie te cudzoziemskie rozpusty i niedowiarstwa brudy, któremi tę piękną, szlachetną, od Boga tylu darami ubłogosławioną polską duszę zeszpecili... Widzi W. Ojciec, jak się to dobrze zrobiło, że mnie Pan Bóg ze Lwowa wypchnął; byłyby te nauki z daleko mniejszym odbyły się pożytkiem, bo się tak szczerze przyznam, żem do niczego. Dajmy P. Bogu tylko w kościele i za kościołem gospodarować bez żadnego „ale“, „gdyby“, a wszystko dobrze będzie. Ja mego bólu gardła jeszcze zupełnie pozbyć się nie mogę; od tygodnia z pokoju nie wychodzę i milczeć muszę. Bardzo dobrze, bom we Lwowie podobno za wiele mówił i za wiele chodził; czem kto zgrzeszył, tem niech pokutuje. *Deo gratias* za wszystko.

„Jednak chciałbym jak najprędzej wyjechać, żeby tę nieszczęśliwą kuracyę rozpocząć. Żeby to przynajmniej można choć spowiedzi słuchać, albo nauczkę powiedzieć; ale dwa miesiące jak bałwan tylko kąpać się i żętycę pić, czy to nie jest upokorzenie największe? Ale bo mi tego bardzo potrzeba, pokory więcej, jak zdrowia; więc z tego względu przynajmniej może będzie jaki pożytek“.

Wyjechał wreszcie w towarzystwie również chorego ks. Piotra Szychowskiego i zakonnego braciszka Brobeila, który miał się chorymi w czasie kuracyi opiekować.

„Wczoraj — pisze pod datą 27 maja [1] — o godzinie wpół do dziesiątej wyjechaliśmy *in nomine Domini* [2] z Tarnopola i szczęśliwie dzisiaj o godzinie dziesiątej stanęliśmy w Stanisławowie. Oto krótki węzłowaty opis naszej podróży, jak to niestety o niejednego z ludzi wielkiej życia wędrówce powiedzieć możem: urodził się i umarł — wjechał i wyjechał z tego świata. Ach! jak to mówi polskie nasze przysłowie: kto chce psa uderzyć, kija znajdzie — to także kto chce pisać, to zawsze znajdzie co do pisania! Czy będę opisywał okolice bogate, błogosławione, żyzne, to prawda, nasze Podole — ale też nudne nie do opisania — pole i pole i nic tylko pole — a ludzie gdzie? To tak jakby wiatr co nam dął przez całą drogę, wsie był wszystkie gdzieś pozmiatał i uniósł w inne strony...

„Wyjechaliśmy przy zachodzącem słońcu do Monasterzysk — jak do raju z czyśca. Pokucka ziemia — może dlatego, że wiele dla mnie zawiera drogich pamiątek — tak piękna, tak miła, gwiazdy dobrze mi znajome powitały mnie tak błogo, oj! nieraz w tych stronach przypatrywałem się im tak radośnie i żałośnie. Wicher zupełnie był ucichł, wieczór był jasny i ciepły; budka nasza żydowska toczyła się z pagórka na pagórek, krętą wężykowatą drogą pomiędzy lasy i zarośla. Tak mi było dobrze, podziękowałem Panu Bogu za tę chwilkę i pomyślałem o niebie i pomyślałem o Lwowie i o kościele naszym i o domku naszym i o wszystkich, wszystkich osobach, dla których tyle w sercu czuję ciągle wdzięczności i uszanowania. Ale noc już zapadła; więc zajechaliśmy do karczmy pustej pod lasem. Żyd nam dał nibyto osobny pokoik i niby parę jajek na miękko na kolacyę — i za to Bogu dzięki niechaj będą! To już tyle lat minęło odkąd takie miałem noclegi. Słodka to pamięć na młode lata, chociaż to się te lata zmarnowało! Oj! dobre to przysłowie: ‚żeby to starość mogła, a młodość wiedziała — wszystkoby było dobrze‘. Ale kiedy to człowiek czasami i na starość do zupełnego nie może przyjść ro-

[1] Do O. Perkowskiego.
[2] „W imię Pańskie“.

zumu (tak np. jak ja) — to już ostatnia nędza, to już cała ostatnia nadzieja miłosierdzie Boskie!...

„Ja nie wiem dlaczego to tak na nasze karczmy krzyczą a zagraniczne hotele wychwalają, że tu brak cywilizacyi, że to barbarzyństwo. Byle cywilizacya była w głowie, a barbarzyństwo nie było w sercu, a mniejsza o karczmy. Ale bo to ludzie koniecznieby chcieli, z ziemi niebo zrobić, aby nigdzie i nigdy najmniejszej nie doznali niewygody, ani przykrości — ale z tego nic nie będzie. Biedny wygnaniec lada gdzie rad głowę przytuli, a więzień kontent gdy i kawałkiem chleba głód zaspokoi — a my czemże jesteśmy na tej ziemi? I przespawszy się kapitalnie, przy blasku księżyca, który tak ciekawie przez szyby nam do izdebki zazierał, i przy melodyi dzwonków naszych koni, wyjechaliśmy zaraz po czwartej, a o piątej rano przy brzegach Dniestru, gdzieśmy się przeprawili na promie, słowiki Panu Bogu i nam dzień dobry odśpiewały! Oj! jaki to świat piękny, jakby to można żyć na nim szczęśliwie i swobodnie, gdyby to tylko mniej miłości własnej, a więcej miłości Boga i bliźniego było! Zjadłszy czyli raczej wypiwszy śniadanie w Niźniowie, przyjechaliśmy do Stanisławowa o godzinie dziesiątej.

„Mieszkamy u siostry [1], zaraz za miastem. Że nam tu dobrze, a może i zanadto i na żadnej wygodzie nie zbywa, o tem zdaje mi się nie potrzebuję i pisać. Pięknie tu bardzo, pięknie, to jak małe Eldorado. Nie wyjedziem stąd aż koło piątego czerwca, gdyż dopiero około czwartego popędzą owce na połoniny. Siostra urządziła nam miejsce i pomieszkanie jak będzie można najwygodniejsze w Pasiecznej, o dwie mile od Nadwórnej, gdyż tam najzdrowsze powietrze ma być lub raczej już jest, i najskuteczniejsza żętyca. Dzisiaj w naszym kościele [2] odprawiliśmy Mszę świętą: obcy przybysz w swoim własnym domu. Wszędzie po ołtarzach naszych świętych obrazy, ale nie masz ktoby z nich nawet prochy pozmiatał. O! jakbym to chę-

[1] Albiny Romaszkanowej.

[2] W kościele pojezuickim w Stanisławowie, przekształconym dziś na katedrę ruską.

nie sam uczynił, gdyby mi pozwolono; ale bo to ja i do tego nawet niezdolny — to nędza!“

Po dwutygodniowym odpoczynku w domu troskliwej i kochającej siostry, podążył wreszcie wzmocniony już nieco i na siłach pokrzepiony O. Karol do właściwego kresu kuracyjnej swej wycieczki.

„Siedm mil od Stanisławowa jest wioska [1] — jeśli wioską nazwać można te porozrzucane po skałach chaty, lub raczej jak orle gniazda na urwiskach zawieszone — Pasieczna, którą wola Boska na jakiś czas na mieszkanie, a może i na grób mój przeznaczyła. Jakem wjechał w te góry nasze, tak mi się dobrze, swobodnie i spokojnie zrobiło; to tak jakby się serce odradzało na nowe życie. ‚Odnowię jako orła młodość twoją‘ — te słowa Pisma św. tak jasno w tej chwili zrozumiałem! Tu wszystko tak wielkie, potężne, olbrzymie, tak godne Tego, co to stworzył! Tu i potoki uroczyściej huczą; tu i lasy posępniej szumią, tu każda chmura zdaje się być żywym hieroglifem wielkości Boga; tu każda ptaszyna zdaje się, że rozumie śpiew swój! A te skały, to jak ręką Boską poosadzane od wieków ołtarze, z których ciągle, jak ofiarne kadzidło, gęstemi kłębami dymy ku niebu się unoszą. A w pośrodku tych wielkości i piękności przyrody, człowiek biedny, nędzny, krząta się i biedzi i płacze i cierpi i umiera! Tu można poznać i całą wielkość człowieka i całą nicość jego. Wielki, bo on panem całej przyrody, bo on jeden wielkość Boga i nicość swoją poznać może, bo on jeden może poznać i uczcić poznaniem i wolą Boga swego! Ach! jeśli tego nie uczyni, jeśli Boga zechce poniżyć a siebie wywyższyć, jeśli Boga ma za nic a siebie za coś, niechaj tu przyjdzie ze wszystkiemi tytułami, orderami, skarbami, herbami, rozumem, pięknością swoją, a jeśli tu rozumu i pokory nie nauczy się, to podobno nigdzie. Po dolinach i miastach rozum i serce ściska się i drobnieje, zanadto wiele przedmiotów nas otacza i całą rozwagę naszą porywa, zanadto wiele nowin wrodzoną ciekawość w kontrybucyę bierze:

[1] Do księżnej Sapieżyny. 13 czerwca 1847.

tu wszystko nowe i wszystko stare, tu Bóg jeden wszędzie się objawia w całej wielkości swojej!...

„Oto już trzeci dzień tu jestem. Słota ciągła, potoki wezbrały, wicher szumi, ani zobaczyć człowieka, a jednak tak mi dobrze i tęskno i wesoło i smutno razem, i tak po całych godzinach stałbym przy małych okienkach huculskiej chaty naszej, przypatrując się tym mgłom i chmurom, co się czepiają wierzchołków skał, a wiatr nielitościwie je odgania i pędzi. To tak jak biedne serce nasze, coby Boga trzymać się chciało, ale świat je gwałtem od niego odrywa. Ale nie uda mu się; jeszcze parę lat wierności i stałości, jeszcze kilka łez, a Bóg sam będzie nagrodą wierności naszej. Oto w tej chwili przedarł się promyk słońca i przez szybkę, przy której piszę, padł na tę ćwiartkę papieru, tak jasny i czysty jak każde wspomnienie moje. Jak patrzę na te chatki tak nędzne i biedne, które lada wicher rozwala i wezbrany potoczek unosi, to mi się wydaje, że ci ludzie nie rozumem i rozmysłem, ale wrodzonym instynktem pojęli powołanie człowieka na ziemi; że podobni do ptactwa przelotnego, lada gdzie przytulą gniazdeczko swoje, aby jakoś przeżyć, lub raczej przepłakać tych kilka ulotnych życia chwilek, i nie troszczą się o to, aby przystroić i uświetnić nędzę wygnania.

„I pod tym nędznym dachem rodzi się ta biedna dziecina! I pod tym samym dachem umiera stary hucuł, i świat o nim nie wie i on nie wie o świecie, tylko tyle, ile mu boleści sprawia! I tak pokolenia po pokoleniach przemykają się pomiędzy temi górami! Tyle grobów na tych odludnych smętarzach, a żadne imię ani na sercu, ani na grobie nie zapisane, chyba imię jakiego opryszka — bo niestety odważna zbrodnia więcej zawsze hałasu na świecie narobi, jak cicha cnota — trwa jeszcze w pamięci huculów! Tubym chciał już pogody się doczekać, aby trochę się rozpatrzyć po tych chatach i zaprzyjaźnić z ich mieszkańcami. Ach! ja tak nasz biedny lud z całego serca kocham, takbym chciał dla niego żyć i umierać, jeśliby taka była wola Boska! Biedna przemokła ptaszyna pod samem okienkiem, przy którem piszę, tak pięknie się odzywa w gęstym krzaku jodło-

wym, jakby ją kto przysłał, aby powitać nowych przybyszów; na kominie wesoły płomień trzeszczącej jodły oświeca ciemne ściany ubogiej izdebki. Tak mi dobrze i modlić się i myśleć!"

W chatach się rozpatrzył, z mieszkańcami ich zapoznał się, przypatrzył się bliżej huculskim tym gniazdkom, tak z daleka poetycznie przedstawiającym się, i poznał jak w nich piękne nieraz serca, a zarazem ile twardej biedy i gorżkich łez się kryje:

„Pasieczna [1], niby to wieś, niby to obóz koczujących pielgrzymów, co przez puszczę świata ciągną do nieba wpośród łez i boleści, bo na łzach, nędzy i boleściach tu nie zbywa. Bieda, głód, choroby dziwnie sobie tę okolicę upodobały i komorą zamieszkały w tych chatach huculskich. Oh! co tu nędzy! gdzie się tylko obrócić, ludzie jak bydło burzany i trawę zbierają po skałach, aby głód zaspokoić; gromady zgłodniałych dziatek, jak te polne ptaszęta otwierają usta za okruszyną chleba; opuchłe matki z głodu, nie mają czem dzieci ratować od strasznej śmierci. Spytasz się może, jak się mam i co robię? Co do pierwszego, zdaje się, że dosyć dobrze — jak Bóg chce, co mi do tego. Co robię? Ot jak zwykle, nic nie robię, a czasu nigdy nie mam. Chodzę po górach sam, bo ks. Szychowski towarzyszyć mi nie może dla osłabienia. Odwiedzam biedne chaty, łażę jak mogę, nauczam jak umiem, ja ich a oni mnie, ja słowem a oni przykładem...

„Biedny góral [2] to podobno najlepiej, jeśli nie rozumem i rozmysłem, ale wrodzonym instynktem pojął, co to jest życie wygnańca na ziemi. Jak ptactwo przelotne gniazda buduje, tak i on gniazdo swoje, bo tych kilka deseczek do kupy zbitych daleko bardziej do gniazda, niż do domu podobne... Dobrze mi tu między nimi, radbym z nimi pozostał i w pośrodku ich grobów złożył kości swoje, zapomniany, nieznany od świata; wątpię, aby się to życzenie spełniło, ale któż to może wiedzieć. Pięknie tu i bardzo pięknie, i smutno i wesoło, i posępnie i ja-

[1] Do ks. Baczyńskiego. Czerwiec 1847.
[2] Do O. Perkowskiego. Czerwiec 1847.

sno, tak jak w duszy, że mi się czasem śmiać, czasem płakać chce, sam nie wiem dlaczego. Jak stare zamczyska dziwnych kształtów skały pilnują nas, abyśmy stąd nie uciekli, a na ich wierzchołkach, jak nieme straże, pojedyńcze sterczą jodły. Gra chmur i słońca, które czasem nadgląduje, co się dzieje w tych zakątkach, dziwna, przedziwna — tu nie mnie, ale Oehleraby potrzeba, bo onby to opisał, a ja tylko patrzeć się umiem, jak to te chmury czepiają się skał wierzchołka, podobne do biednego serca, co się Boga ująć pragnie, ale pomimo całej piękności tych skał, bo to polskie skały, wiatry cudzoziemskie pędzą biedną chmurę, która w rozpaczy łzami deszczu się rozpłynie, tak przynajmniej na rodzinnej zostanie ziemi. Po wszystkich górach i skałach, z kijem w ręku, brewiarzem pod pachą, w imię Boskie wędruję wesoło, lub smutno, jak Bóg da. Znajomość mam tu po wszystkich zakątkach i niejedna chwilka zbawienna spędziła się przy gawędzie w huculskiej chacie. Ja ich nibyto nauczam, ale tymczasem więcej od nich korzystam. Oni cierpią, ale jak cierpią! a kto cierpi, ten ma więcej mądrości jak najmędrszy, nie ubliżając profesorowi filozofii. Tu żywe traktaty *de paupertate, de cruce, de humilitate, abnegatione* spacerują, szukając po skałach i dołach burzanów, aby głód zaspokoić. O! jakże się serce kraje, widzieć tych ludzi zgłodniałych, opuchłych, błąkających się za kawałeczkiem chleba, te matki, co widzą z głodu umierające dziatki! Cobym tu mógł czułych, pięknych, bolesnych, łzawych historyj i wypadków opowiedzieć. Jakoś ze wszystkiemi stosunkami tego ludu obznajomiłem się doskonale...

„... Przed kilkoma dniami [1] dwóch huculów kopało rudę żelazną do hamerni, wtem góra się usuwa i zasypuje jednego z nich do połowy. Towarzysz biegnie spieszno szukać pomocy; żona tegoż, młoda kobieta, mając w polu przy sobie małe dziecię, słyszy, że góra zasypała jednego z pracujących w kopalni. Rzuca wszystko, porywa dziecię, i biegnie w rozpaczy, lecz gdy jej i dziecko jest przeszkodą, zostawia je na środku drogi

[1] Do O. Perkowskiego.

i przybiega na miejsce nieszczęścia, gdy właśnie ludzie zebrani ziemię odrzucali, aby ratować przywalonego — pada na kolana, płacze, ręce załamuje. Napróżno pokazują jej, że nie jej mąż, ona patrzy i nie widzi, słucha i nie słyszy, i dopóty się nie daje uspokoić, dopóki sam mąż nie przyszedł i nie uspokoił jej. A to mówią, że ci ludzie czucia nie mają! Oj mają, ale wtenczas, gdy im potrzeba, nie dla parady, aby się niem popisywać, tylko że to uczucie niezrozumiane, boleśnie zawsze zrażone, kryje się i tai w sercu, jak potok górny w skałach, ale w chwilach ważnych z całą potęgą na jaw się okazuje, i wszystkim wykrzyk podziwienia wywołuje. Ktoby się spodziewał, iż pod tą lichą siermięgą takie serce? Kto? — Nikt ludu naszego nie zna i znać nie chce.

„Tego biednego z pogruchotanemi nogami przyniesiono do domu. Nazajutrz poszedłem go odwiedzić. Mieszka na dzikiem ustroniu, wpośród potężnych skał i jodeł. Wszedłszy na podwórze, posłyszałem dzwonek cerkiewny przewodniczącego hucuła; na co to dzwonią? odpowiedział, że ot właśnie w tej chwili umarła matka tego biedaka, staruszka, słaba już była, ale widok syna w takim stanie dobił ją, dwadzieścia cztery godzin tylko przeżyła tę boleść. Wszedłem do izby. Blady, przy trupie na ławie położony, palił się kaganek, aby ten smutny obraz śmierci i nędzy w ciemnej oświecił izbie. Obok trupa matki, syn cierpiący; dwoje dorosłych dziewcząt przykrywało ciepłe jeszcze ciało staruszki, a gromadka dziatek obojętnem okiem patrzała na życie i na śmierć. A jednak taki był spokój na wszystkich twarzach, zaiste i w wszystkich sercach; bo biedny ten lud nie z książek, ale z własnego nauczył się doświadczenia, że ta ziemia jest łez i płaczu doliną. Zebrało się więcej ludzi z sąsiednich chat i wspólnie przyklęknąwszy, pomodliliśmy się przy ciele, pomówiłem i pocieszyłem, jak i czem mogłem, a z błogosławieństwem ludu pogoniłem w ciemny, głęboki las, skąd też późno wieczór do chaty naszej wróciłem, bo mi dobrze było być jakiś czas samotnym.

„Mój Boże, to tak historya życia naszego rozwinęła się w całej prawdzie przed oczyma memi. Biedna hucułka prze-

żyła lat 70, całe jej życie było pracą, boleścią i nędzą, i boleść była jej śmiercią. A jednak takie samo ma prawo do nieba, jak każdy z nas, tak jest dzieckiem Bożem, jak najszczęśliwszy z ludzi. Dużo cierpiała, a mało grzeszyła, a ja dużo nagrzeszył, a w porównaniu cóżem ucierpiał? I moje grzechy i jej cierpienia będą zważone na jednej szali sprawiedliwości Boskiej. *Quid sum miser tum dicturus!* [1] Miłosierdzia, Panie, miłosierdzia!

„I oto z pogrzebu wróciłem. Gdy ciało do grobu spuszczali, promienie słoneczne, przez ciemną przebijając się chmurę, oświeciły cmentarz i gromadkę zebranych wokoło grobu w poważnem milczeniu hucułów i hucułek! Taką miałem pokusę przemówić do nich, ale *ex obedientia* trzeba milczeć... Jeszcze raz uklęknąwszy, pomodliwszy się wspólnie i po serdecznem pożegnaniu, rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Kto szuka i pragnie wzruszeń, na co mu romansów i teatrów, niech tu przyjedzie, niech te skały odwiedza, a zobaczy, niech się z tym ludem rozmówi, a posłyszy w rzeczywistości to, co najbujniejsza wyobraźnia w czczych marzeniach dać mu nie może. To dziwna rzecz, że o boleściach i cierpieniach wszystkich narodów najodleglejszych, najmniej znanych, wszyscy wiedzą; że dla Irlandyi już niejeden grosz popłynął, niejedna łza się uroniła, ale o polskich boleściach i cierpieniach nikt nie wspomni, i nasz lud z głodu i nędzy ginie, a nawet łza, już nie mówię zagraniczna, ale polska, na wielki ten głód braci nie padnie. Czy to brak uczucia? — Nie; ale jakby to w porządku rzeczy było, że nasz musi cierpieć, bo to polski lud. Takeśmy się na boleściach zaprawili, że cudze nieszczęście bardziej nas wzrusza, niżeli własne, że my już nie w ludziach, ale w Bogu nadzieję pokładać powinniśmy".

Podobnie, nieraz temi samemi, mimowoli pod pióro podsuwającemi się wyrazami, malował straszną nędzę i materyalną i straszniejszą moralną ludu, odzwierciedlał uczucia miłosiernego swego serca, w częstych listach do księżnej Sapieżyny:

„Jak bydło zbierają po drogach i ogrodach burzany, aby

[1] Cóż nieszczęsny wtenczas rzeknę.

głód zaspokoić[1]. Znalazłem kiedyś tu dom w głębokim lesie, gdzie ojciec i matka i sześcioro dziatek od głodu opuchli leżą, oczekując śmierci. Komora pusta, a na ognisku już od kilku dni ognia nie było. A takich chat ileż to w górach znajdzie! Jest o milę stąd wioska Zielona, gdzie wskutek nędzy i głodu straszny tyfus panuje. Z łaski Księżnej Pani[2] rozdałem mąki, krup, bobu między najpotrzebniejszych... Przed parą tygodniami przybiega matka zapłakana, że jej dziecko pięcioletnie, które przez długi czas samemi burzanami żywiła, umiera i prosi — o co? — o trzy krajcary na bochenek chleba, aby mu jeszcze raz przed śmiercią mogła dać kawałek chleba...

„Lecz to tylko nieszczęście chwilowe, któremu zaradzić można. Ale stan moralny tego nieszczęśliwego ludu naszego, to serce rozdziera: tak zaniedbany, opuszczony, tak niewiedzący pierwszych zasad religijnych, a wskutek tego zepsuty w obyczajach; a jednak to ludek dobry, potulny i zdolny wykształcenia, o czem sam przekonałem się. Lecz kto mu rękę poda, kto dla niego poświęcić się zechce?... Dobrze mi tu być z tym biednym ludem. Nie mogąc go nauczać, jednak nie omieszkam korzystać ze sposobności, by pocieszyć go i słówko jakie prawd wiecznych w serce jego wrzucić, a on słucha i pragnie tego. Ale ja bardzo wielem się od niego nauczył, i tak własnemi oczyma przypatrzyłem się życiu ze strony boleści, nędzy i dzikości. Ale z drugiej strony z taką radością poznałem, jak serce ludzkie nawet w najdzikszym człowieku jest zdolnem szlachetnych uczuć".

W podziękowaniu za hojne jałmużny, których księżna nie szczędziła dla mrących z głodu huculów, ułożył Antoniewicz i przesłał na ręce jednej z młodziutkich jej córeczek rzewny wierszyk o przywiązanej do swych gór, do swych lasów, huculskiej ptaszynie:

Przyleciałaś tu ptaszyno, między dzikie góry,
Chcesz przyczepić twe gniazdeczko do przelotnej chmury.

[1] Bez daty.

[2] W listach drukowanych księżna poleciła wypuścić wszystkie wzmianki o czynionych przez siebie jałmużnach, lub tak je przemienić, aby się zdawało, że jałmużny te pochodziły od jakiejś innej, trzeciej osoby.

Leć w doliny, leć w równiny, tam zamki i grody,
Tam są spichrze pełne zboża i kwiatów ogrody!
Na szerokich, żyznych łanach już żółknieje zboże,
Tu ci ziarna biedny hucuł posypać nie może.
Tam weselej, tam swobodniej latać tobie będzie,
A mnie jodły w polu rosną, głaz sterczy na grzędzie.
Tutaj matka nie wyżywi i własnej dzieciny,
Leć ptaszyno w inne strony, w podolskie równiny.
— Nie polecę, nie porzucę huculskiej zagrody,
Bo mi milsze wasze lasy, milsze wasze wody.
Pod tą strzechą matka moja gniazdeczko zlepiła,
Ja w tej chacie z twą dzieciną razem się rodziła,
Tu mnie matka nauczyła smutną piosnkę nucić,
Ja tu z wami chcę pozostać i z wami się smucić,
Z wami będę wszystkie losy dobre i złe dzielić,
Z wami głód i nędzę znosić, z wami się weselić;
Latać będę po tych skałach, kryć się w tej krzewinie,
Z wami będę w ciemnej nocy śpiewać w połoninie.
Dla was ja nie pożałuję do lotu skrzydełek,
Bo wiem, że wy dla mnie zdradnych nie macie sidełek.
I na cmentarz nieraz zlecę, gdzie są wasze groby,
I na krzyżu siadłszy, nucić będę pieśń żałoby.
A więc dajcie mi umierać tam, gdziem się rodziła,
Bo ta ziemia nad świat cały i ptaszynie miła!

Miła była ta ziemia i poecie. Tyle w kilku przepędzonych tu tygodniach dobrego zdziałał, tyle łez osuszył, tyle serc do Boga skierował, że kiedy przyszło z nią się pożegnać, pobłogosławić ostatni raz garnących się całemi tłumami do ukochanego ojca mieszkańców okolicznych gór, trudno mu było od głębokiego wzruszenia się obronić. Ale ciągły ruch i balsamiczne powietrze do tyla już siły przywróciło, że nie było dostatecznej racyi, a przynajmniej surowy dla siebie zakonnik nie uważał, aby była dostateczna racya, dłużej odpoczynku sobie pozwalać.

„Przeżyłem pięć tygodni[1] w tych pięknych górach naszych, oddalony od świata, od ludzi... Księżna pamięta i chce wiedzieć o mojem zdrowiu, — aż mi wstyd o tem pisać; ot, z łaski Boskiej, dobre, poprawiło się, może Pan Bóg pozwoli jeszcze na chwałę swą popracować... Przykro mi będzie, ciężko mi będzie stąd wyjeżdżać, przylgnąłem jakoś sercem do tych gór naszych;

[1] Do ks. Sapieżyny. 14 lipca 1847.

ciężko będzie, gdy już nie będę mógł chodzić po tych krętych, lesistych ścieżkach, gdy turkot powozów zastąpi ten tak uroczy szum górskich potoków, gdy przez ciasną szybkę trzeba będzie wyzierać, aby ujrzeć choć kawałeczek nieba! Ciężko mi będzie na sercu tych poczciwych, zapoznanych huculów porzucić i pożegnać się z nimi bez żadnej powrotu nadziei, — którzy tak dobrzy, tak uprzejmi są dla mnie i pokochali mnie, ja sam nie wiem za co, i ciągle się wywiadują, czy ja ich jeszcze nie opuszczę, a tak najszczerzej wyznam, że mi się tak dziwne zdaje, żebym ja mógł być komukolwiek na coś potrzebnym".

Po wyjeździe z Pasiecznej, opowiada w liście datowanym ze Stanisławowa, jak w przypuszczeniach swych się nie mylił, jak istotnie trudno mu było z huculami się rozstać [2]:

„Żal mi było żegnać tych biednych huculów, którym jaką taką pociechę dać mogłem, której biedacy nigdy od nikogo nie doznają. Jakie to ciężkie zadanie życia, cierpieć tyle, a żadnej, żadnej ani zewnętrznej, ani wewnętrznej nie doznawać ulgi. Jeden Bóg mógłby ich pocieszyć, a i Boga nie znają tak, jako cierpiący znaćby Go powinien. O! jak takie serca łatwo się przywiążą, jeśli znajdą choć jedną istotę, która ich kocha i podziela troski i boleści ich. Byłbym tu chętnie pozostał, bo przynajmniej czułem, że tu mogę coś uczynić, — a gdzieindziej to tak szczerze wyznam, że tylko niepotrzebnie zawadzam"...

Kuracya w Pasiecznej wzmocniła Antoniewicza na ciele; teraz, stosownie do danego sobie przez przełożonych nakazu, obrócił drogę na Lwów do Tarnopola, aby tu trwającemi przez miesiąc rekolekcyami na duszy się pokrzepić, do dalszych prac i walk przygotować i zahartować.

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

[2] Do ks. Sapieżyny. 25 lipca 1847.

Z POBYTU NA ŁUŻYCKICH BŁOTACH.

(Spreewald).

Od dawna już marzyłem o tem, by dotrzeć do kresowej serbsko-łużyckiej placówki, do uroczego Spreewaldu, w którym jak w „arce przymierza“, przechowały się dotąd nieskażenie wendyjskie tradycye i zwyczaje. Przez długi czas jednak rozmaite okoliczności stawały na przeszkodzie urzeczywistnieniu tego zamiaru. Wreszcie podczas pobytu w Saksonii, postanowiłem zboczyć choć na krótko do tego tajemniczego zakątka, który wyobraźnia moja najpiękniejszemi odmalowała już barwami. W pogodny więc dzień sierpniowy, pożegnawszy saską stolicę, znalazłem się w pociągu, który mię na skrzydłach pary miał unieść do Chociebuża, dolno-łużyckiego miasta, leżącego na samem niemal pograniczu spreewaldzkiego terytoryum. Naprzeciw mnie usiadł pewien młodzieniec, widocznie student uniwersytetu, i przez uchylone drzwi wagonu kończył rozmowę z kolegą, stojącym na peronie.

— Odjeżdżasz więc, szczęśliwcze — odezwał się ten ostatni po wendyjsku, co sprawiło, że zacząłem uważniej przysłuchiwać się rozmowie, której mimowolnym byłem świadkiem.

— Tak, ale za miesiąc zobaczymy się znowu — odparł zagadnięty.

— Zazdroszczę ci, — ciągnął dalej pierwszy — że ujrzysz nasze strony, że zaczerpniesz pełną piersią ojczystego powietrza,

gdy ja tu wśród obcych na bruku miejskim pozostać muszę. Ach, gdybyś wiedział, jak mi tęskno za rodzinną wioską, jak bardzo mógłbym zastosować dziś do siebie słowa naszego poety:

Do domu! tam gdzie ojciec, macierz,
Już pod zielonym grobem śpią,
Ostatni chcę odmówić pacierz,
Przypomnieć jasną przeszłość swą [1].

— Ale cóż począć, — zawołał, jakby otrząsając się przemocą z posępnych myśli — trzeba się starać podczas wakacyj o kawał powszedniego chleba, aby w roku szkolnym go nie zabrakło. *Pomhaj sebi sam, a Boh budże ci pomhać* — dodał z pewnym odcieniem szlachetnej dumy.

Sąsiad mój uściskał w milczeniu dłoń przyjaciela i mgła smutku rozpostarła się na jego czole. Chciał mu może coś powiedzieć, pocieszyć go, zachęcić, ale tymczasem rozległ się trzeci dzwonek i konduktor zbliżył się do drzwi wagonu, aby je zamknąć.

— *Postrowi od mojej swojho česniho nana i mać... wšetkich bratřikaj Serbow i našu rjanu Łužicu!...* — zawołał jeszcze na pożegnanie pozostały na peronie.

— *Wutrobny džak!... Boh žehnaj tebje!...* — odparł zagadnięty i wychylił się ku przyjacielowi przez okno wagonu, gdy tymczasem pociąg z sykiem i warczeniem zaczął powoli ruszać się z miejsca.

Po raz ostatni w promieniach słońca zamajaczyły mi wieże drezdeńskie, wyłaniające się jak olbrzymy z niezmierzonego lasu domów, poczem z chyżością ptaka pomknęliśmy w nieznaną dal, która tak nęci swą tajemniczością. Tor kolejowy ciągnął się ponad brzegiem rzeki Pryśnicy, wpadającej pod Dreznem do Elby, na gruncie falistym, pokrytym zielenią, na tle której, jakby z pod ziemi, wyrastały wsie i miasteczka, zmieniając się

[1] Mi chce so dom! Hdżež nan a maćer'
Pod doručkom spitaj zelenym,
Chcu wupłakać swój slědni paćer'
Wo zbožu sonić minjenym.

przez lat kilka służył w wojsku, wstydzi się potem, przynajmniej przez czas pewien, mówić po łużycku. Niedawno temu w naszej okolicy zdarzył się w tej mierze charakterystyczny wypadek. Do chaty jednego z *burów* czyli wieśniaków, powrócił z wojska syn, którego kilkoletnia służba wojskowa zepsuła tak dalece, że się wstydził już używać ojczystej swej mowy i na wszystkie zapytania rodziny odpowiadał po niemiecku. Matka jego, poczciwa kobiecina starej daty, nie rozumiejąca ani słowa z języka Getego i Szylera, zmartwiła się tem niezmiernie, że się nie może porozumieć z własnem swojem dziecięciem, i nazajutrz rano poszła po radę do proboszcza. Ten powiedział jej, że powinna synowi dopóty nie dawać jeść, dopóki nie przestanie mówić po niemiecku. Gdy nadeszła pora obiadowa, matka zaniosła jadło innym swym dzieciom, pracującym w polu, młody zaś wojak, ze skurczonym od głodu żołądkiem, oczekiwał niecierpliwie w domu upragnionego posiłku. Niebawem matka wróciła, ale zamiast nakryć do stołu, zabrała się do prania, żadnej na pozór na syna nie zwracając uwagi.

— *Mutter, essen wir bald?* — zapytał nareszcie głodny rycerz.

Żadnej odpowiedzi. Toż samo zapytanie powtarza się jeszcze kilka razy, ale zawsze z takim samym skutkiem. Nakoniec zgłodniały chłopak woła:

— *Mamo, ne budżemy hać zinša jeść?*

— *Jo, jo, mój synašk, by ty me jeno to dawno pojeżel, aż sy taki głodny* — odparła uradowana matka.

Odtąd młody żołdak musiał przynajmniej w gronie rodziny rozmawiać po wendyjsku.

— Najszkodliwszym atoli czynnikiem wynaradawiania Dolnych Łużyc — ciągnął dalej mój towarzysz — jest brak duchownych serbskiej narodowości, gdy przeciwnie Górne Łużyce, należące do Saksonii, na brak ten wcale uskarżać się nie mogą. Gdzie dla zbyt małej liczby duchownych, mówiących po łużycku, kazania i religijne hymny łużyckie musiały ustąpić miejsca niemieckim, tam w następnem już pokoleniu, jak doświadczenie wskazuje, język nasz powoli zaczyna się zacierać. Z boleścią też wyznać muszę, że w wielu zakątkach Dolnych Łużyc obumiera

on stopniowo, ale nieprzerwanie, w miarę, jak brak wendyjskich kapłanów coraz bardziej uczuwać się daje. Ci ostatni są jakby ogniskiem, w którem się narodowe skupiają żywioły, jedyną niemal dźwignią i podporą, neutralizującą do pewnego stopnia zgubny wpływ zarządu cywilnego każdego miasteczka lub wioski, który od chwili wprowadzenia niemieckiego języka do urzędów jest ogniskiem wynaradawiania. Duchowieństwu nawet przypisać należy to, że nie wszędzie jeszcze zatarł się narodowy nasz zwyczaj i obyczaj. Tak naprzykład gdy w tutejszych wioskach protestanckich ubiór narodowy coraz bardziej znika, w katolickich utrzymuje się jeszcze w całej pełni. Jest to wyłączną zasługą naszych kapłanów, wykształconych w łużyckiem seminaryum w Pradze, oni to bowiem usiłują niezmordowanie zachować wszelkie resztki narodowej odrębności i indywidualności. Wogóle więc rzec można, że z katolickim kapłanem narodowy nasz pierwiastek podnosi się i upada, żyje i umiera.

— Zapewne z tak zacnymi kapłanami idą też ręka w rękę wasi nauczyciele?

— Rzeczywiście takby być powinno, ale, niestety, nie jest. Urząd nauczycielski w naszych wioskach powierzany bywa przeważnie Niemcom, albo też Wendom, wykształconym w niemieckich zakładach naukowych, którzy zamiast stawiać tamę germanizacyjnej fali, sami raczej się przyczyniają do stopniowego wynaradawiania swych uczniów i ich rodzin. Ponieważ pod względem biegłości w niemieckim języku szkoła łużycka nie gorzej od niemieckiej przedstawiać się powinna, dlatego też tacy nauczyciele, pragnąc zyskać na czasie, uczą wyłącznie po niemiecku, a germanizacya przez to tem szybsze czyni postępy. W ostatnich jednak latach coraz więcej naszej młodzieży zaczyna kształcić się w Dreźnie, gdzie podobnie jak w Pradze, ześrodkowywa się do pewnego stopnia serbsko-łużycki ruch umysłowy. Uniwersytecka młodzież łużycka czuje się tam jak u siebie, kształcąc ducha w czystej i zdrowej atmosferze, a nawet łączy się i skupia w patryotycznych stowarzyszeniach, jakiem jest naprzykład *Czornobóh* drezdeński. Zdobywszy zaś gruntowną wiedzę, stara się ją zużytkować w rodzinnych swych zakątkach, poświęcając się całą

duszą zawodowi nauczycielskiemu. Niełatwa to rzecz wprawdzie, gdyż na drezdeńskich wychowańców dolno-łużyckich władze administracyjne, a zwłaszcza niżsi urzędnicy spoglądają niechętnem okiem, zowiąc ich pionierami *des verfluchten Wendismus*, ale bądź co bądź po wielu zabiegach udało się kilku mym drezdeńskim kolegom wyrobić sobie w tej części kraju nauczycielską posadę, mam więc nadzieję, że i mnie się to uda. Za rok właśnie rozpocznę w tym celu starania, a chociaż skromny będzie zakres mojej pracy, poświęcę się jej jednak z zapałem, gdyż będzie mi zawsze przyświecała myśl, że w taki sposób potrafię może z pomocą niebios wlać *lubość k serbowstwu do wutrobow tych wšetkich, mjež kotrymi žywy som a dźełam.*

Rozmowa nasza urwała się na chwilę, poczem mój towarzysz ze zwykłą Serbom uprzejmością zaczął udzielać mi wskazówek co do dalszej podróży.

— Radzę panu — rzekł — nie pominąć naszego Lubinowa. Wprawdzie wprost z Chociebuża możesz pan dotrzeć do Borku, będącego prawdziwem sercem Błot łużyckich, ale dłuższa nieco podróż przez Lubinow opłaci się panu sowicie, jest to bowiem jeden z najpiękniejszych zakątków Spreewaldu, osnuty, jak srebrną przędzą, mnóstwem naszych dawnych, historycznych podań. Wogóle — dodał — winszuję panu tej wycieczki, bo

Nie jeden już widziałem kraj,
Zwiedziłem mnóstwo dolin, gór,
Wieś, miasto, las, pole i gaj
Nie jeden piękna mieszczą wzór,
Lecz dla mnie, słusznie tem się szczycę,
Najpiękniejszemi są Łużyce!...[1]

Niebawem pociąg zatrzymał się w Pulswicy, niewielkiem łużyckiem miasteczku, które było celem podróży mego towarzysza, i po chwili młody Wend znalazł się już w objęciach oczekującej

[1] Sym wobšěrny wohladał kraj,
Jón prěkujo horje a dele,
Wjes, město, lěs, polo a haj
Ma wšudženko rjanosćow wjele:
Mi nihdže pak krasnišo njej'
Hač domiznje we łužiskej.

go na peronie rodziny, w malowniczych, wieśniaczych strojach, mnie zaś samotnego pociąg uniósł dalej na nieznane obszary.

Poza Pulswicą grunt, dotychczas równy i płaski, zaczyna stopniowo się podnosić, z prawej strony widać szczyt Sybillenstein, z lewej Augustusberg, a wpośród gór wije się droga kolei żelaznej, aż do miasteczka Kamenca, leżącego nad Czarną Elstrą, zwaną po łużycku Czornym Halsztrowem. Od Kamenca okolica znowu staje się równą, gdzieniegdzie tylko piętrzą się wzgórza, lub na zielonem tle dolin błękitnieje tafla jeziora. Ponad wodą kołyszą się poważnie szaro-zielonawe łodygi szuwarów, wśród nich zaś szybują niezliczone roje jętek, których skrzydełka mienią się w promieniach słońca wszystkiemi kolorami tęczy. Poza wsią Strassgröbchen wjeżdżamy do Szląska, poczem przebywszy raz jeszcze Czarną Elstrę, wkraczamy pod Komorowem (Senftenberg) na terytoryum Brandenburgii. Dokoła jak sięgnąć okiem roztacza się niezmierzona równina, urozmaicona tu i ówdzie zielonemi gajami.

Lecz oto i Chociebuż, pierwsze *pied à terre* w mojej łużyckiej Odyssei, któremu nieco bliżej przypatrzeć się pragnąłem. Miasto to, zwane przez Łużyczan Chosiebuz lub Khoziebuz, przez Niemców zaś Cottbus, należy do najdawniejszych łużyckich grodów, założenie jego bowiem sięga początku wieków średnich. W połowie XV. stulecia Reinhard, pan na Chociebużu, oddał się w opiekę księcia brandenburskiego, Fryderyka II., który wkrótce potem w r. 1445 nabył to miasto na własność wraz z całą okolicą. Odtąd Chociebuż wchodził w skład Marchii Brandenburskiej, i wówczas nawet, gdy książę Fryderyk odstąpił Czechom cały obszar Dolnych Łużyc, Chociebuż został wykluczony z tego ustępstwa [1]. Wprawdzie w r. 1807 wcielono go na czas pewien do Saksonii, ale w sześć lat później wrócił znowu do zakresu brandenburskich posiadłości.

Starożytne to miasto było przez czas długi głównem ogniskiem oświaty dla wendyjskiej ludności Dolnych Łużyc. W gi-

[1] Lademann, *Kirchengeschichte der Stadt und Herrschaft Cottbus*. Cottbus 1798.

mnazyum chociebuzkiem kształcili się wszyscy niemal dolno-łużyccy pisarze z drugiej połowy XVIII. i pierwszej XIX. stulecia, jak naprzykład Broniš, dwaj Frycowie, Kósyk, Lademann, Markus, Nowka, Schindler, Tešner[1] i wielu innych. Tutaj też w dru-

[1] Paweł Broniš, urodzony w Jasenju, kształcił się w Chociebużu a następnie w Berlinie, w roku zaś 1876 wydał w Chociebużu *Kherluše* czyli śpiewy, napisane bardzo pięknym wierszem.

Boguchwał Fryca, ur. w r. 1744 w Gołkojcach, umarł w r. 1815 w Chociebużu. Był on również dobrym łużyckim poetą jak i prozaikiem. Z poezyj jego zasługuje najbardziej na uwagę wiersz pod tytułem: *Powitarski Karlisch na naschich wojaków*, napisany w roku 1797 na powitanie łużyckich żołnierzy, wracających do rodzinnego ogniska. Młodszy brat jego, Jan Fryderyk Fryca, ur. w r. 1747, uczęszczał do gimnazyum w Chociebużu i Lubinie, później zaś kształcił się na uniwersytecie w Halli. Po ukończeniu nauk był dyrektorem szkoły w Wietuszowie, od roku zaś 1819 zamieszkał w rodzinnej wsi Gołkojcach. Najważniejszą jego pracą jest *Wendische Sprachlehre nach dem niederlausitzischen Dialect*, tudzież przekład Historyi Starego Testamentu na język serbsko-łużycki, wydany w Chociebużu w r. 1796 pod tytułem: *To Boże Pismo Starego Testamenta.*

Mateusz Kosyk, ur. w Wierbniu, zdobył sobie sławę jednego z najbardziej utalentowanych wendyjskich poetów, liczne zaś jego utwory zdobiły szpalty *Bramborskiego Časnika* i *Časopisu Mačicy Serbskeje.* Najudatniejszą z jego poezyj jest idylla pod tytułem: *Serbska swadźba w Błotach*, osnuta na tle wieśniaczego życia, obyczajów i zwyczajów.

Fryderyk Lademann, urodzony i wychowany w Chociebużu, był najlepszym historyografem rodzinnego miasta, którego dzieje skreślił w cennem dziele pod tytułem: *Kirchengeschichte der Stadt und Herrschaft Cottbus* (1798).

Boguchwał Markus, ur. w r. 1815 w Zakrowju, po ukończeniu gimnazyalnych nauk w Chociebużu wstąpił na uniwersytet we Wrocławiu, gdzie założył między swymi rodakami literackie serbsko-łużyckie towarzystwo pod nazwą *Towaŕstwo za łužiske stawizny a rěče.* Za powrotem w strony rodzinne zaczął zbierać skrzętnie ludowe piosnki wendyjskie i tłumaczył rękopis królodworski. Umarł w r. 1880.

Mateusz Nowka znany jest jako założyciel dolno-łużyckiego dziennikarstwa, on to bowiem pierwszy zaczął wydawać w r. 1848 *Bramborski Časnik*, jedyne czasopismo wendyjskie, wychodzące dotychczas na Dolnych Łużycach.

Jan Zygmunt Schindler (1758—1841) był jednym z najgorliwszych szermierzy w obronie ojczystego języka, oraz popierał skwapliwie rozwój wendyjskiego piśmiennictwa. Szlachetne jego starania w celu obudzenia Serbów z umysłowego letargu zjednały nawet uznanie króla saskiego, który w r. 1814 przysłał mu medal srebrny z napisem: *Artium tutela. — Qui vitam excoluere per artes, merito cinguntur tempora quercu.* Nad trumną jego

karni, założonej przez Polaka Fabrycyusza [1], wyszła z pod prasy większa część utworów dolno-łużyckiej literatury.

Mówiąc o literaturze łużyckiej, nawiasem dodać możemy, że najdawniejszym jej zabytkiem jest Nowy Testament pod tytułem: Nowy Zakon Serpsky do serpskeje reecy przinessony pszes Miklawuscha Jakubicu. Pochodzi on z roku 1548 i przechowuje się w rękopisie w cesarskiej bibliotece w Berlinie, odpis zaś jego, dokonany przez profesora d-ra Lotze'go, znajduje się w bibliotece Macierzy łużyckiej. Zasługuje na uwagę, że ten przekład Nowego Testamentu skreślony został nie w górno- lub dolno-łużyckim języku, ale w dyalekcie przejściowym, jakiego dziś jeszcze używają Wendowie z okolic Mużakowa (Muskau) i w którym język górno-łużycki stanowczo przeważa [2]. Dzisiejszy język wendyjski oprócz dwóch głównych dyalektów, używanych na Górnych i Dolnych Łużycach, liczy jeszcze mnóstwo podrzędnych narzeczy. Tak naprzykład na Górnych Łużycach rozpada się aż na pięć dyalektów, po których Wendowie poznają się nawzajem, z jakich pochodzą okolic. Naczelne wśród nich miejsce zajmuje dyalekt budziszyński, przyjęty za język literacki, obok niego zaś mieści się dyalekt lobawski (Löbau), katolicki albo kamieniecki,

płakały tysiące Wendów, Łużyce zaś straciły w nim jednego z najlepszych patryotów.

Jan Fryderyk Tešner położył wielkie zasługi względem łużyckiego piśmiennictwa, najprzód jako założyciel stowarzyszenia *Łužica* w Chociebużu, później zaś jako przewodniczący dolno-łużyckiego oddziału Macierzy serbskiej. On też pierwszy ustalił zasady ortografii, przestrzegane dotychczas w dolno-łużyckich wydawnictwach. (Ob. K. A. Jenč, *Pismowstwo a spisowarjo delnjołužiskich Serbow*. Lipsk 1881).

[1] Krzysztof Fabrycyusz urodził się w r. 1679 w Polsce, kształcił się w Hessen i w Halli, w r. zaś 1701 przybył na Łużyce, gdzie przyłożył się znacznie do rozwoju dolno-łużyckiego piśmiennictwa, gdyż pierwszy niemal utorował mu drogę i gorliwie nad niem pracował. On także założył w Korjeniu pierwszą wendyjską drukarnię na Dolnych Łużycach, którą przeniósł później do Chociebuża. (Por. K. Jenč, *Pismowstwo a spisowarjo delnjołužiskich Serbow*. Lipsk 1881).

[2] Leskien, *Das Serbische Neue Testament von 1548. (Archiv für slavische Philologie.* I, str. 201).

spreewaldzki zwany przez Niemców *Heidedialect*, a wreszcie narzecze pograniczne i przejściowe [1].

Najstarszem wendyjskiem filologicznem dziełem jest gramatyka łużycka, skreślona przez Jezuitę Ticinusa i wydana w Pradze w r. 1679. Prawidła w niej zawarte stanowią do dnia dzisiejszego podstawę tak zwanej wendyjsko-katolickiej ortografii. Natomiast ortografia wendyjsko-ewangelicka opiera się w znacznej części na gramatyce łużyckiej, ułożonej w r. 1721 przez Jerzego Matthia. Przy końcu XVII. wieku zaczęły się też ukazywać niezbyt obszerne wendyjskie słowniki. Oprócz leksykografii i leksykonu napisanego w r. 1868 przez d-ra Puhl'a, nader cennem jest czterotomowe dzieło Abrahama Frencl'a: *De originibus linguae sorabicae*, które wyszło z pod prasy w r. 1693 [2].

Pod względem nastroju i kierunku literatura górno-łużycka różni się znacznie od piśmiennictwa na Dolnych Łużycach, różnica zaś ta nawet w pieśniach ludowych się przebija. Jak ojczyzna Górnych Łużyczan jest bardziej malowniczą i rozpościera się u podnóża gór, tak też i poezya ich jest piękniejszą i w wyższe sięga sfery. Treść tych pieśni ludowych, zwykle poważna, przypomina nieco pogańskie pieśni bohaterskie. Dzielą się one na pieśni *psezpolne*, urozmaicające rolnikom pracę w polu, *roucki* czyli zwrotki, śpiewane przez przewodniczącego tańcom i powtarzane chórem przez resztę tancerzy, pieśni taneczne *(reje)*, pieśni żniwiarskie podczas okrężnego *(wuzenenja)*, pieśni weselne *(kwasne spjewy)*, pieśni błagalne *(stonanja)* śpiewane przed domami tych, którzy sporządzili jakieś smaczne jadło i muszą niem podług zwyczaju ze wszystkimi sąsiadami się podzielić, a wreszcie legendy czyli *podkhyrlušje*. Co się tyczy melodyj, to jedne z nich zaczerpnięte poniekąd z dawnych hymnów kościelnych, okazują starożytne pochodzenie, inne noszą charakterystyczne cechy słowiańskich pieśni ludowych, niektóre zaś zbliżone są

[1] Richard Andree, *Wendische Wanderstudien zur Kunde der Lausitz- und der Sorbenwenden.* Stuttgart 1874. — Tegoż: *Niederlausitzer Fahrten (Germania* 1871. Nr 225—229).

[2] Tamże.

bardziej do niemieckich, co nasuwa wniosek, że dopiero w późniejszych, ostatnich niemal utworzyły się czasach [1].

Do najpopularniejszych w Dolnych Łużycach wydawnictw tych pieśni ludowych, oprócz cennego zbioru, dokonanego za staraniem Haupta i Smoler'a i wydanego pod tytułem: *Pjesnički hornych a delnych łužiskich Serbow*, należą: *Serske arije za našu lubu młožinu*, zebrane przez K. Świelę, i *Spiwanja młodym a starym, tužnym a wjasołym*, ułożone przez Marcina Grüssa. Oba te śpiewniki, podobnie jak i większa część dzieł dolno-łużyckich pisarzy, ogłoszone zostały drukiem w Chociebużu [2]. W mieście tem zogniskowywał się przez lat wiele wendyjski ruch umysłowy z całej tej części kraju. Rzec nawet można, czem jest Budziszyn dla Górnych Łużyc, tem do ostatnich niemal czasów Chociebuż był dla Dolnych. Dzisiaj wprawdzie w tej mierze wielkie zaszły już zmiany; proces germanizacyjny i tu znalazł swe echo, tak że ludność, dochodząca do 25.000 mieszkańców, składa się już przeważnie z Niemców ewangelickiego wyznania. Dotychczas jednak w mieście tem istnieje świątynia, w której dodatkowe nabożeństwo odprawia się w języku łużyckim, biblioteka zaś gimnazyalna zawiera wiele cennych druków wendyjskich, zebranych przez dyrektora tego zakładu d-ra Tirschner'a. Od lat też 57-iu wychodzi w Chociebużu jedyne czasopismo w narzeczu dolno-łużyckim pod tytułem: *Bramborski Časnik*, którego obecnym redaktorem jest nauczyciel p. Świela.

Samo miasto rozrzucone malowniczo nad brzegiem Sprewy, nader wdzięcznie się przedstawia. Porządne, a nawet okazałe domy, zdają się tonąć w powabnej zieleni ogrodów, nad zwartemi zaś ich szeregami panują wieże kilku świątyń, Chociebuż bowiem posiada piękny kościół katolicki i parę świątyń ewangelickich. W pobliżu miasta leży piękny pałac księcia Pückler-Muskau, otoczony parkiem, oraz wznoszą się liczne fabryki, pomiędzy któremi fabryki sukna od dawna już sobie zyskały sławę.

[1] Haupt i Smoler', *Pjesnički hornych a delnych Łužiskich Serbow*. Grimma 1841 i 1843. Tomów 2.

[2] K. A. Jenč, *Pismowstwo a spisowarjo delnjołužiskich Serbow*. Lipsk 1881, str. 49.

Ruch w mieście jest dość ożywiony, gdyż handel i przemysł dosięgły tam dość wysokiego stopnia rozwoju. Ujemne atoli wrażenie wywiera zupełnie niemiecki charakter tego miasta, na ulicach bowiem niemieckie tylko napotyka się napisy, niemiecki słyszy się język, tak że gdyby nie wieśniacy wendyjscy, snujący się na rynku w długich płóciennych kabatach, czerwonych kamizelkach zwanych *kalemanki* i okrągłych czarnych *klobukach* czyli kapeluszach o szerokich skrzydłach, tudzież wieśniaczki w charakterystycznych czepkach i ciemnych wełnianych sukniach, zwanych *szorcami*, to możnaby niemal zapomnieć, że się na łużyckiej znajdujemy ziemi. Na bruku miejskim wszakże postacie wieśniacze tracą poniekąd właściwy sobie charakter, braknie im tu bowiem tej żywości, wesołości i werwy, jaką na domowych odznaczają się progach. Dlatego też każdy wieśniak czyli *bur*, załatwiwszy co mu było potrzeba, opuszcza czem prędzej miasto, gdzie, jak ryba wyrzucona na piasek, w nieodpowiednim dla siebie czuje się żywiole. W taki sposób panami placu pozostają niemieccy kupcy i przemysłowcy, którym, jak to widać z pewnej buty i arogancyi, wcale nieźle tutaj się powodzi. Do zgermanizowania tego miasta przyczyniły się najbardziej, jak twierdzą niektórzy, koleje żelazne, tu bowiem schodzą się linie aż trzech dróg kolejowych, tj. berlińsko-zgorzeleckiej, hallo-gubińskiej i grossenhain-frankfurckiej. Przed kilkudziesięciu laty jedynemi arteryami komunikacyjnemi Dolnych Łużyc było łożysko Sprewy, tudzież trakty pocztowe i gościńce, dość rzadko zresztą przebiegane. Chociaż więc w miastach od dawna już niemiecki rozwinął się przemysł, cała jednak ta część kraju łużycki jeszcze nosiła charakter, prąd zaś germanizacyjny objął ją żelaznym uściskiem dopiero od chwili, gdy sławny Strousberg zbudował linię kolei żelaznej, łączącą Berlin ze Zgorzelcem (Görlitz). Kolej ta, przebiegając wzdłuż całe niemal Dolne Łużyce, stała się jakby wyłomem w murze Słowiańszczyzny, gdyż w tak malutkim nawet budynku, jak budka kolejowego dróżnika, skrystalizował się żywioł niemiecki, działając ujemnie na wendyjskie otoczenie. Każda niemal wieś łużycka, przerznięta torem kolejowym, nowych w tej mierze dostarcza dowodów. Wioski, w których do-

tąd rzadko germańska stawała stopa, zostają wciągnięte coraz bardziej do łożyska obcego prądu i wielkiej też potrzeba im siły, aby temu prądowi oprzeć się zdołały. Toż samo niemal, jak mi mówiono, dzieje się w południowej części Górnych Łużyc. Tam gdzie kolej drezdeńsko-zgorzelecka wendyjskie przerzyna terytoryum, ludność wiejska jest mieszana, wzdłuż zaś linii kolei żelaznej, wiodącej z Gubina do Chociebuża, toż samo niebawem nastąpi. Wszystkie te drogi, do których wkrótce inne mogą się przyłączyć, tną ziemię wendyjską jak nożem i łącząc ze sobą Niemców tu i owdzie rozproszonych, rozbijają stopniowo na coraz drobniejsze kawały, skupione dotąd w jedną całość łużyckie terytoryum.

Jeżeli jednak w Chociebużu, jakeśmy to widzieli, żywioł niemiecki stanowczą odniósł już przewagę, to najbliższe nawet jego okolice prawdziwie wendyjskie noszą na sobie cechy, przez co kontrast pomiędzy dwoma odrębnemi narodowemi pierwiastkami tem jaskrawiej się uwydatnia. Po obu stronach toru kolejowego rozrzucone są tu i owdzie w malowniczym nieładzie ubogie wioski łużyckie, które na pierwszy rzut oka można odróżnić od niemieckich. Cała wieś tworzy zwykle szeroką ulicę, po obu stronach której ciągną się obok siebie wieśniacze zagrody, w pośrodku zaś wznosi się kościół otoczony cmentarzem, a niekiedy także probostwo i szkoła. Ulica wiejska wysadzona bywa zazwyczaj wierzbami lub innemi drzewami, które ją zdobią wdzięcznie swoją zielenią. Ten rodzaj budowania wiosek odróżnia je całkowicie od niemieckich, w tych ostatnich bowiem chaty leżą przeważnie poza rozległemi ogrodami i polami, tworząc każda z osobna odrębną całość, we wsiach zaś wendyjskich domy czyli *khježe* wznoszą się jak najbliżej jedne od drugich, przed niemi zaś zielenią się tylko niewielkie ogródki. Wogóle rzec można, że wioski łużyckie opasane zwykle dokoła wysokim parkanem i otoczone rowem, podobne są ze swemi również starannie obwarowanemi chatami do obozu, złożonego z mnóstwa białych namiotów. Charakter tej budowy wsi jest jednym z zabytków z odległej przeszłości, gdy Wendowie musieli ciągle mieć się na pogotowiu do odpierania napaści dzikich, drapieżnych

zwierząt, które zamieszkiwały olbrzymie niegdyś lasy, jak również do stawiania oporu groźniejszym jeszcze frankońskim i germańskim najeźdźcom, którzy niejednokrotnie w głąb Łużyc zapuszczali swe zagony.

Dokoła wiosek, tych gniazd, do których się tuli poczciwa i pracowita ludność wendyjska, rozpościera się niezmierzony kobierzec bujnych łanów,

malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

Tu i ówdzie na polach przesuwają się przed nami postacie schylonych, w pocie czoła pracujących wieśniaków, na pięknych zielonych pastwiskach pasą się trzody, cała zaś ta sielska przyroda, widziana przelotnie z okien wagonu, tworzy niejeden pełen wdzięku obrazek, godzien zaiste pendzla jakiego rodzajowego holenderskiego malarza.

Poza Chociebużem Sprewa, która dotąd mniej lub więcej wiernie nam towarzyszyła, zwraca się nagle ku wschodowi przerzynając tak zwany wał graniczny, czyli płaskowzgórze od 3 do 5 mil szerokie i wznoszące się na 500 stóp ponad powierzchnią morza. Ciągnie się ono przez południową i południowowschodnią część Dolnych Łużyc, ku zachodowi zaś stopniowo się obniża. Niebawem dojeżdżamy do Wietuszowa (Wetschau), niewielkiej mieściny nad rzeką Trzyszochą, będącej jakby bramą do Górnego Spreewaldu, poza nią bowiem Sprewa rozlawszy się na mnóstwo odnóg, tworzy słynne łużyckie Błota. Znaczne obniżenie poziomu tych ostatnich powiększa siłę spadku całej masy wód, które później szerokiem, spokojnem, majestatycznem płyną sobie korytem.

Ponieważ wkroczymy za chwilę na terytoryum Spreewaldu, przypatrzmy się więc bliżej nieco pięknej i wielkiej rzece, od której otrzymał on swą nazwę i która całemu temu zakątkowi starożytnej Luzacyi nadaje oryginalną barwę, charakter i życie. Sprewa, ten najznaczniejszy dopływ Haweli w obrębie Marchii

Brandenburskiej, wypływa trzema źródłami pod Habraczycami (Ebersbach) w Górnych Łużycach, niedaleko czeskiej granicy. Źródła jej leżą na wysokości 480 metrów ponad powierzchnią morza, wśród przepysznego lasu. Pod Taubenheimem trzy pierwotne ramiona Sprewy zlewają się ze sobą w jedno wspólne łożysko, które płynąc wśród wyniosłych, skałami najeżonych brzegów, przerzyna granitowe górno-łużyckie płaskowzgórze i dochodzi aż do historycznego pola bitwy pod Budziszynem z r. 1809. Odtąd piękna ta rzeka coraz bardziej się rozgałęzia, a wreszcie obejmuje swemi ramionami samotne górno-spreewaldzkie ustronia. Powyżej Lubina niektóre ramiona zlewają się znowu ze sobą, a poniżej tego miasta rozlewają się raz jeszcze w mnóstwo drobnych żyłek i utworzywszy w taki sposób Dolny Spreewald, łączą pod Schlepzig swe wody. Pod wsią Leibach Sprewa zaczyna się już oddalać od Błot łużyckich i staje się spławną, pod Beskowem zaś tworzy kilka jezior, z których największe i najpiękniejsze jest Schwieloch. Dalej nieco zlewa się ze Sprewą kanał łączący ją z Odrą, poczem rzeka ta zwraca się do Berlina, a wreszcie pod Spandau wpada do Haweli. Cała długość jej biegu wynosi 356 kilometrów. Do największych zaś jej ramion, pomiędzy któremi leżą Błota, zaliczają Małksę, Mutnicę, Groblicę, Błośnicę, Młyńską, Prećnik, Szrebenicę, Toński i Werbownę. Wogóle Sprewa posiada wszelkie cechy górskiego potoku, bardzo często się rozgałęzia, lub też w rozległe rozlewa się jeziora, brzegi zaś ma nizkie, lesiste lub piasczyste. Latem łożysko jej niekiedy zupełnie prawie wysycha, na wiosnę jednak, gdy promienie słoneczne stopią śniegi leżące na górach, lub gdy spadną ulewne deszcze, wówczas masa jej wody wzbiera niesłychanie, zalewając w szalonym pędzie nadbrzeżne doliny, przewiercając góry i unosząc ze sobą olbrzymie warstwy piasku, aby je złożyć gdzieś daleko na równinach i zniszczyć w ten sposób pola lub łąki.

Naturalnie na całej przestrzeni, przerzniętej srebrną wstęgą tej rzeki, od źródła jej aż do ujścia, najważniejszym punktem są tak zwane Błota, będące nietylko w Europie, ale nawet na całym może świecie unikatem w swoim rodzaju. Od najdawniej-

szych czasów aż do dzisiaj Spreewald był zawsze regulatorem, który wody, spływające z gór, powstrzymuje w ich biegu, uspokaja, rozdziela, poczem dalej pozwala im płynąć, niestety, częstokroć z własną swoją szkodą. O ile bowiem coroczne wiosenne powodzie wpływają korzystnie na wzrost traw łąkowych, o tyle dla płodów rolnych stają się nieraz zgubnemi. Zdarza się to wówczas, gdy wody wiosenne nie wracają zbyt długo do swego łożyska, lub gdy w lecie niespodziany wylew Sprewy zniszczy młode zboże i uniesie ze sobą skoszone siano. Dlatego też od dawna powzięto zamiar wykopania na samem pograniczu Spreewaldu szerokiego kanału, któryby zabezpieczał pola i pastwiska od uszkodzeń z powodu nagłego wezbrania wód, a zarazem regulował ich bieg i kierunek.

Największą siłą atrakcyjną Spreewaldu dla obcych przybyszów stanowi obecnie i długo jeszcze stanowić będzie nietylko niezwykła malowniczość tego zakątka, ujętego jak w srebrne ramy w fantastyczne ramiona Sprewy, ale bardziej jeszcze niezwykły interes, przywiązany do niego pod względem historycznym i etnograficznym. Mówimy historycznym dlatego, że nigdzie może wendyzm nie postawił sobie tak wspaniałego, jak tutaj, pomnika swej żywotności i siły, stwierdzonej niejednokrotnie w wielowiekowej bohaterskiej walce o narodowość, która i dziś jeszcze wzbudza uczucia zdumienia i podziwu. Jeżeli z uwielbieniem wspominamy Saksonów, którzy w przeciągu lat 30 stawiali mężny opór królowi Karolowi, to tem więcej należy podziwiać nadludzką wytrwałość wendyjskiego ludu, który przez całe pięć stuleci, od 789 do 1289 roku, opierał się niezachwianie licznym nieprzyjaciołom, walcząc z bronią w ręku o niepodległość; w mowie zaś, obyczajach, ubiorze i sposobie życia zachował niezachwianie, pomimo obcych wpływów, narodowe swe cechy.

Pod względem historycznym Spreewald niemal zawsze dzielił losy reszty Dolnych Łużyc. Najdawniejszymi autochtonami tej krainy byli Wendowie, należący do wielkiego słowiańskiego narodu, który się rozsiadł na porzeczach Wisły, Odry, Łaby (Elby) i Wezery, od Karpat i Karkonoszów aż po morze Bałtyckie

Północne, od wschodnich zaś sąsiadów otrzymał nazwę Lachów [1]. Później wielki ten naród rozbił się na pomniejsze plemiona, a gdy w IX. wieku plemię osiadłe nad Wartą i Notecią utworzyło silne państwo polskie, wówczas stopniowo Mazowsze, Chrobacya i Szląsk skupiły się koło niego, tworząc rdzeń jednolitej monarchii Bolesławów. Następnie podlegli berłu polskiemu Pomorzanie i Serbowie łużyccy; tylko mieszkańcy najdalszych krańców Słowiańszczyzny zachodniej, to jest: Rojanie, Wilcy, Obotryci, Drewianie, Glinianie i inni, bezpośrednio do Polski nigdy nie należeli. Z początku Germanie wszystkich Lachów czyli Lechitów nazywali Wendami, później nazwę tę nadawano tylko tym, którzy w skład państwa polskiego nie weszli [2]. Zachodnio-słowiańskie te ludy pomimo ciągłych wojen, jakie musiały toczyć z Frankami, Turyngami, Saksonami i Germanami z jednej strony, a Duńczykami i Flamandami z drugiej, utrzymały się w całości lub części aż do XV. wieku. Oprócz zaś Serbów łużyckich, dziś jeszcze istniejących, nieliczne szczątki tego słowiańskiego szczepu istniały na niedostępnych Luneburskich stepach do XVIII. stulecia pod nazwą Drewian i Glinian [3].

Co do Wendów, to pierwotne ich posiadłości rozciągały się nietylko pomiędzy Odrą i Elbą, ale nadto liczne odrośle potężnego tego plemienia dotarły aż do południowego Tyrolu, Turyngii, a nawet Wenecyi, która od nich prawdopodobnie otrzymała swą nazwę [4]. Cała ta przestrzeń zawdzięcza im początek osiadłego życia, jak również założenie wielu miast i wiosek, których nazwa dziś jeszcze słowiańskie zdradza pochodzenie. Któżby się nie zdziwił, dowiedziawszy się naprzykład, że Ga-

[1] Dr. Nadmorski, „Kaszuby i Kociewie". Poznań 1892, str. 5—6.

[2] Fabricius, *Urkunden des Fürstenthums Rügen.* Strelitz 1843. — G. Weisker. *Slavische Sprachreste insbesondere Ortsnamen aus dem Havellande.* Rathenow 1890.

[3] A. Budiłowicz, Общеславянскій языкъ. Warszawa 1892, t. II, str. 25.— G. Weisker, *Slavische Sprachreste insbesondere Ortsnamen aus dem Havellande.* Rathenow 1890.

[4] P. Fahlisch, *Der Spreewald und seine Bewohner.* Cottbus 1890, str. 5.— Strabo, *Geogr. Lib. VII.* — Narbutt, „Dzieje narodu litewskiego". Wilno 1837, t. II, § 147, str. 140.

blonz pochodzi od łużyckiej nazwy jabłoni, Schwerin — od zwierzyny, Lützen oznacza po łużycku łąkę, Putlitz — stojącego nad wodą, nie mówiąc już o Zgorzelcu przezwanym Görlitz i innych miejscowościach, których nazwy zupełnej uległy modyfikacyi, jak naprzykład Finsterwalde przerobione z dawnego łużyckiego Grabina. Słusznie też mówią niektórzy, że gdyby pomiędzy Elbą i Odrą chciano wymazać na mapie wszystkie miasteczka i wioski wendyjskiego pochodzenia, toby nic niemal nie pozostało.

Przy końcu IV. wieku po Chrystusie ogarnęła stare germańskie plemiona jakaś gorączka emigracyjna, pod wpływem której zaczęły one przebiegać Słowiańszczyznę, dążąc do Francyi, Włoch, Hiszpanii a nawet Afryki północnej. Pewna garstka tych Germanów pozostała na ziemiach słowiańskich, ale musiała niebawem uledz przewadze tubylców, w ciągu zaś następnych stuleci utworzyła niewolniczą warstwę ludności, zwaną przez Serbów łużyckich *ludkami* [1]. Nawiasem mówiąc, dotychczas jeszcze na Łużycach utrzymało się o tych *ludkach* fantastyczne ludowe podanie. Podług niego były to malutkie, podziemne istoty, usłużne i życzliwe względem ludzi, których pomocy same nieraz nawzajem potrzebowały, figle zaś płatały rzadko i to wówczas tylko, gdy im kto dokuczył. Mieszkały one w jaskiniach lub też w łonie piaszczystych gór i pagórków, dlatego też dziś jeszcze wszystkie takie wyniosłości zowią się na Dolnych Łużycach *ludkowa góra* albo *górka*. Ludki były także wybornymi muzykantami i na malutkich cytrach lub cymbałach przygrywały ludziom do tańca, przynosząc im zarazem rozmaite dary. Podróże odbywały w sposób nader wygodny, gdyż wsunąwszy się do jakiego okrągłego naczynia, toczyły się z niem razem. Karzełki te znikły już od dawna, a mianowicie od chwili wprowadzenia kościelnych dzwonów, których dźwięku znieść nie mogły [2]. Tyle głosi bajeczna, ludowa tradycya, osnuta jednak na tle historycznem.

W przeciągu trzech stuleci, to jest V., VI. i VII. wieku, Wendowie żyli spokojnie i szczęśliwie, a nawet stali się powoli

[1] P. Fahlisch, *Der Spreewald und seine Bewohner*, str. 5.

[2] Haupt i Smoler', *Pjesničkí hornych a delnych Łužiskich Serbow*. Grimma 1843, t. II.

potężnym, bogatym i szlachetnym narodem. Przemysł ich i handel rozwinął się tak dalece, że w samym tylko porcie Wineta, przy ujściu Odry, nieraz po 300 okrętów zarzucało kotwicę. Ze wszystkich krain słowiańskich, jak również ze Szwecyi, Danii i Niemiec, a nawet ze Wschodu przybywali tam kupcy w celu wymiany swych towarów, o czem świadczą wymownie rozmaite wykopaliska znalezione w późniejszych czasach. W tym także okresie spokojnego rozwoju i rozkwitu, Serbowie łużyccy musieli założyć większą część swoich siedzib, dotychczas istniejących, ponieważ zaś nie było wówczas żadnych wcale dróg, osady więc swoje budowali zawsze nad brzegami rzek, jako naturalnych komunikacyjnych arteryj.

Po złotym okresie dobrobytu i spokoju, obejmującym całe trzy stulecia, rozpoczął się dla Wendów czterowiekowy okres krwawych wojen. Oto Niemcy po przyjęciu chrystyanizmu zaczęli uważać Wendów już nie za spokojnych i pracowitych sąsiadów, jak poprzednio, ale za pogańskich barbarzyńców, których należało *à tout prix* nawrócić lub wytępić. Nietylko więc przypisywali im niesłusznie ojcobójstwo, pomimo, iż nigdzie może miłość synowska nie jest tak silnie zakorzeniona, jak u Wendów, ale nawet poczytywali ich po prostu za dzikie zwierzęta, względem których wszelkie środki są godziwe. Najwykształceńsi Niemcy z owej epoki nie byli wolni od uprzedzeń przeciwko Wendom. Tak naprzykład Dytmar Merseburski pisał około 1000 roku, co następuje: „Chcąc aby Słowianin był posłuszny, należy go karmić sianem jak wołu, i bić jak osła“. Za nienawiść względem siebie, Wendowie taką samą odpłacali się monetą, z czego niebawem wywiązała się okropna, wielowiekowa walka o hamletowskie „być albo nie być“. Wprawdzie za czasów Ottona Wielkiego, tj. około 960 roku, słynny margraf Gero, zamordowawszy podstępnie 30 najwybitniejszych luzackich *knezów,* zmusił ich podwładnych do uległości, ale większa część Wendów uciekła od swych prześladowców w głąb niedostępnych lasów i długo jeszcze zacięty stawiała im opór. Dopiero w r. 1143, to jest po śmierci wendyjskiego księcia Przybysława, który przyjąwszy chrystyanizm, przekazał swe państwo Albertowi Niedźwiedziowi,

potęga Wendów stanowczo złamaną została. Przez długi czas jednak powtarzały się jeszcze bohaterskie usiłowania, w celu zrzucenia nienawistnego, nieprzyjacielskiego jarzma. Tak naprzykład w r. 1157, książę luzacki Jaczo, krewny zmarłego Przybysława, starał się wydrzeć Albertowi ziemię swoich przodków [1].

Przy końcu XII. wieku, Dolne Łużyce osobne tworzyły margrabstwo, ale w r. 1236 zostały wcielone do Marchii Miśnijskiej, w roku zaś 1304 przeszły wraz z nią w posiadanie Askańczyków, władców Marchii Brandenburskiej, którzy je nabyli od Fryderyka i Diezmanna Hohenstaufów. W r. 1347 Karol IV. przyłączył Łużyce do Czech, zamieszki zaś i rozruchy, jakie po jego śmierci wywiązały się w Czechach, a zwłaszcza okropne wojny husyckie, i w Luzacyi bolesnem odbiły się echem. W r. 1527 kraina ta przeszła na własność rodziny Habsburgów, w 13 zaś lat później przedarły się tam zgubne reformacyjne prądy i licznych sobie, niestety, znalazły adeptów. Atoli południowo-wschodnia część Spreewaldu, z miastami Chociebużem i Picniem (Peitz) dostała się jeszcze w połowie XV. stulecia Fryderykowi II. Brandenburskiemu, a w r. 1555 Jan z Küstrina zdobył także na korzyść Brandenburgii północne krawędzie Błot łużyckich. Uległszy okropnemu zniszczeniu podczas wojny Trzydziestoletniej, Spreewald wraz z resztą Dolnych Łużyc został wcielony do Saksonii na mocy traktatu pragskiego z r. 1635, od roku zaś 1815 pozostaje w ręku Hohenzollernów [2].

Dość już jednak tej zawiłej nomenklatury rozmaitych władców, oraz tych niezbędnych wprawdzie, lecz nieco suchych i bezbarwnych dat chronologicznych. Nie pora sięgać okiem w przeszłość teraz, gdy chwila obecna tak wdzięczne przed nami maluje obrazy, a każdy obrót kół pociągu zbliża nas do celu. Od Radusza (Raddusch), leżącego na połowie drogi pomiędzy Wietuszowem a Lubinowem, coraz częściej liczne dopływy Sprewy przerzynają tor kolejowy, który się ciągnie niemal bez przerwy wśród wzorzystego kobierca łąk. Tu i owdzie na równinach piętrzą

[1] P. Fahlisch, *Der Spreewald und seine Bewohner.* Cottbus 1891.
[2] Tenże, *Der Spreewald.* Berlin 1893, str. 31—34.

się stogi siana, wyglądające z dala jak kraale Hottentotów lub gniazda termitów. Na niewielkich lecz bystrych rzekach snuje się mnóstwo łodzi, obładowanych zbożem lub jarzynami i sterowanych zręczną dłonią hożych wendyjskich dziewcząt. Gdzieniegdzie przeglądają się w wodzie wysmukłe olchy i klony, w oddali zaś rysuje się na czystem tle niebios fantastyczna sylwetka Lubinowa. Z początku sylwetka ta, przysłonięta nieco powiewnym zwojem mgły porannej, wydaje się tak niewyraźną, jak miraż w bezbrzeżnej pustyni, ale stopniowo kształty jej z najdrobniejszemi szczegółami odcinają się coraz wyraźniej od szmaragdowej zieleni, opasującej urocze to gniazdko. Wreszcie pociąg zatrzymuje się przed dworcem, leżącym o dobre półgodziny drogi od miasta, do którego wiedzie szeroka i wygodna szosa. Po obu jej stronach ciągnie się cały szereg ogrodów.

Rzeczywiście Lubinów (Lübbenau) słynie w całym Spreewaldzie ze swoich ogrodów, dostarczających mieszkańcom innych zakątków Spreewaldu wybornych jarzyn i owoców. Ogrody te zresztą przyczyniają się nawet w pewnej mierze do upiększenia miasta, opasując je ślicznym wieńcem zieloności.

W restauracyi mnóstwo Berlińczyków, z których każdy poczytywałby sobie za winę nie do darowania, choć raz w życiu nie zajrzeć do Spreewaldu. Kilku wendyjskich przewoźników stoi i czeka, kiedy berlińscy panowie zawezwać ich raczą. Rozmowa toczy się żywa; dowcipy, nie zawsze dowcipne, krążą wokoło.

Zanim do Borku popołudniową godziną się wybiorę, puszczam się na wędrówkę po Lubinowie i najbliższej jego okolicy. Uwagę moją zwraca przedewszystkiem wspaniały zamek hr. Lynara, właściciela tego miasteczka, zbudowany w głębi przepysznego parku. Cienisty ten ogród, z odwiecznemi drzewami, do podnóża których jak dzieci do rodziców tulą się wonne zarośla, stanowi zarazem jeden z najlepszych punktów, z jakich można rzucić okiem w głąb uroczego Spreewaldu. Z poza pni drzewnych olbrzymów, oplecionych zwojami bluszczu, widnieją w oddali zielone łąki, przerznięte kanałami, po których płyną cicho łodzie Spreewaldczyków. Wysokie trawy zasłaniają do połowy nieruchomych na pozór żeglarzy, podobnych z daleka do lalek

w teatrze maryonetek. Barwna teraźniejszość zdaje się tu podawać dłonie tajemniczej przeszłości, a w szmerze drzew starego parku dźwięczy jakieś echo dawnych podań i posępnych legend, krążących dziś jeszcze o lubinowskim zamku.

Lubinów, miasteczko liczące w danej chwili zaledwie 4000 mieszkańców, zostało założone w drugiej połowie XII. stulecia, gdy jak *fenix* z popiołów powstało z ruin starożytnego miasta Lubina. Niegdyś oba te miasta jedną tworzyły całość i wprzód, niż wiele innych zakątków Luzacyi, przyjęły chrystyanizm. Pewien opat z Zinny opowiada w starej kronice klasztornej, przechowanej w Juterbogu, że w r. 1179 hordy pogańskich Wendów spustoszyły Juterbog, zamordowały opata w Zinnie i margrabiego Dietricha z Beyersdorfu, poczem zadawszy straszną klęskę jego wojsku, podążyły do Lubina, siejąc dokoła mordy i pożogę. Bratobójcza ta walka wynikła z nienawiści, jaką Wendowie poganie powzięli ku swym braciom, nawróconym na chrystyanizm około 920 roku. Wiedzeni zagorzałym fanatyzmem, poganie łużyccy nie oszczędzili nawet ojczystego miasta Lubina, które przyjęcie chrystyanizmu własną okupiło zagładą. Atoli wkrótce na gruzach i ruinach nowe zakwitło życie, gdyż ludność lubińska nietylko odbudowała swe miasto, ale nawet w pobliżu założyła drugie, które otrzymało nazwę Nowego Lubina (Lubin-Now, przerobiony później na Lubinów) [1]. Pierwszym właścicielem tego miasta, o jakim mówią dzieje, był książę Ylenborg, od roku zaś 1621 pozostaje ono w ręku przybyłej niegdyś z Włoch, hrabiowskiej rodziny Lynarów, która się przyczyniła znacznie do jego dobrobytu [2].

W pośrodku miasta na niewielkim placyku wznosi się ewangelicka świątynia, w której aż do r. 1867 wygłaszano kazania i śpiewano hymny w języku serbsko-łużyckim. Zaznaczyć zaś wypada, że z powodu braku świątyń, zarówno katolicy, jak i ewangelicy łużyccy modlą się najczęściej w jednej i tej samej świątyni, ale każde wyznanie ma osobny ołtarz i osobnego ka-

---

[1] P. Fahlisch, *Der Spreewald und seine Bewohner.* Cottbus 1891, str. 7.
[2] Tenże, *Der Spreewald.* Berlin 1893, str. 50—51.

płana. Zresztą na Dolnych Łużycach katolicy, jako stanowiący bardzo znaczną mniejszość, nie mają stałych duszpasterzy, religijne zaś ich potrzeby zaspakajają kapłani, przyjeżdżający od czasu do czasu z Chociebuża lub Budziszyna. Zasługuje też na uwagę nader oryginalne wyrażenie, używane przez Serbów łużyckich w celu scharakteryzowania różnicy pomiędzy katolickim a reformowanym kościołem, a pochodzące zapewne z czasów reformacyi. Oto katolika zowią oni *podjan* od wyrazów *pod* i *jedan*, katolicyzm zaś oznaczają nazwą *podjanstwo*, uwydatniając w ten sposób przyjmowanie przez katolików Przenajświętszego Sakramentu pod jedną postacią i uleganie jednej powszechnej Głowie Kościoła, to jest Ojcu świętemu. Natomiast mówiąc o ewangelikach, używają nazwy *podwobiski* od wyrazów *pod* i *wobaj* (obaj), religię zaś ewangelicką zowią *podwobistwo*. Wogóle Wendowie odznaczają się głęboką religijnością, która się objawia nietylko w słowach powitania, ale też we wszystkich niemal wyrażeniach. *Z Božim slowom witajće! Boh Wjeršny* (najwyższy) *pomhaj!* i najpospolitsze *Pomhaj Boh!* słychać na każdym kroku. Skoro Wend spostrzeże coś pięknego, woła z zachwytem: *Z Boha!* Codziennie też słyszeć można Wendów mówiących o Bożym deszczu, Bożych płodach rolnych, a nawet każdy żebrak prosi o kawał Bożego chleba. Jest to jedna z najpiękniejszych słowiańskich cech, wspólna i naszemu ludowi, a którą Brodziński scharakteryzował tak pięknie następującemi słowy:

Boży duch panuje w mowie,
Z Boga chleb się zboże zowie,
Z Boga mają zyski, straty,
Ten ubogi, ów bogaty.

Lecz wróćmy do Lubinowa. W r. 1866 umarł tam administrator ewangelickiej parafii Stempel[1], i wraz z nim, jak mówią

[1] Tytus Fryderyk Stempel, jeden z wybitniejszych patryotów łużyckich, odbywając studya w Lipsku, zawiązał pomiędzy uniwersytecką młodzieżą stowarzyszenie łużyckie pod nazwą *Korpus Luzatów*. Za powrotem do kraju zaczął pracować na polu literackiem, tłumaczyć bajki Fedra i pieśni pasterskie Teokryta, oraz kreślić oryginalne poetyckie utwory, z których najwybitniejszą jest epopea pod tytułem: *Pytanje za starym mjasecom, abo łužyskich Serbow potłacenje*. Niestety, narodowy ten epos pozostał w rękopisie i zaginął. (Ob. A. Jenč, *Pismowstwo Serbow*. Lipsk 1881, str. 51 i 73).

lubinowscy Wędowie, zeszło do grobu pięć łużyckich wiosek, które pod jego znajdowały się kierunkiem, od tego zaś czasu zupełnej uległy germanizacyi. Ponieważ trudno było znaleść po Stemplu następcę, któryby mógł wygłaszać kazania po wendyjsku i niemiecku, dlatego władze administracyjne zażądały od gmin łużyckich, należących do parafii lubinowskiej, kategorycznego oświadczenia, czy kazania mają być wygłaszane jedynie w języku niemieckim, czy też i w wendyjskim. Na to wezwanie stawiło się tylko trzech wendyjskich starców, którzy nie mogąc dać sobie rady z niemieckim językiem, prosili o utrzymanie i nadal serbsko-łużyckiego dodatkowego nabożeństwa. Widząc się jednak opuszczonymi od innych swych rodaków, którzy zupełną w tej mierze okazali obojętność, biedni ci ludzie musieli również wyrzec się służby Bożej w ojczystej swej mowie, wkrótce zaś wraz z niemieckiem nabożeństwem wprowadzono do całej parafii naukę religii w języku niemieckim. W taki sposób w lubinowskich szkołach, w których już od dawna wszelkie inne przedmioty po niemiecku są wykładane, zatarł się ostatni ślad rodzimej mowy tubylców.

Wynaradawianie Wendów spreewaldzkich, to proces ciągnący się systematycznie od kilku już wieków, z tą jedynie różnicą, że gdy dziś powoli, nieznacznie się odbywa, to dawniej krwawe nieraz towarzyszyły mu sceny. Kilka cyfr chronologicznych nie będą tu może zbytecznemi. Tak naprzykład na początku XIII. wieku używanie wendyjskiego języka pod karą śmierci było wzbronione, w roku zaś 1293 margrabia Bernard II. wykluczył go całkowicie z dolno-łużyckiego sądownictwa. W Altenburgu język wendyjski zaczął się stopniowo zacierać od r. 1327, gdy landgraf Fryderyk obostrzył karą śmierci zakaz jego użycia, oraz usunął Łużyczan od wszelkich urzędów. Takiż sam zakaz wydano niebawem w Lipsku i Cwikawie. W Marchii Miśnijskiej język ten obumarł zupełnie dopiero w połowie XV. wieku, na wyspie zaś Roi (Rügen) wkrótce takiemuż samemu uległ losowi. Wówczas też i w Lubinowie wprowadzono do urzędów język niemiecki; przez długi czas jednak ludność tego miasta była całkowicie wendyjską i dopiero w bieżącem stuleciu niemiecki

nio przybrało już charakter. Ciekawy w tej mierze dokument stanowią dyplomy, wydawane czeladnikom rzemieślniczym w drugiej połowie XVII. wieku, w których zaznaczano starannie, iż czeladnicy ci są *teutschen Gebluts und nicht wendischer Nation.* Widzimy stąd, że w celu wykorzenienia narodowości wendyjskiej, stawiano Wendom na każdej drodze najrozmaitsze trudności i przeszkody, tamując im wstęp nietylko do urzędów, ale nawet do rzemieślniczych cechów i warsztatów.

Atoli jak w politycznem życiu częstokroć po gorliwych zabiegach w jakimkolwiek kierunku gwałtowna następuje reakcya, tak też i w historyi wynaradawiania Wendów takież same dają się spostrzedz zjawiska. Właśnie w chwili największych wysiłków ze strony germanizatorów w drugiej połowie XVIII. wieku, słynny poliglotta Hauptmann z Lubinowa, który władał biegle dziesięcioma językami, obdarzył Wendów dwoma wybornemi słownikami i pierwszą dokładną gramatyką dolno-łużycką, wydaną w r. 1761[1]. Był to jeden z licznych objawów niespożytej żywotności wendyzmu, który pomimo gorliwego tępienia żyje wciąż jeszcze, daje znaki życia i oby jak najdłużej zdołał się utrzymać.

Niegdyś Lubinów wznosił się wśród niedostępnych lasów; na miejscu dzisiejszych wesołych, jasnych, zielonych łąk i dolin piętrzyły się dumnie stare, sękate olbrzymy, jak kolumny w ogromnej świątyni, której sufit tworzyło gęste liściaste sklepienie. Cały zresztą obszar Spreewaldu porośnięty był pierwotnie wspaniałemi dębami, bukami, jesionami i olchami. Majestatycznie i prawie niedostępnie wyglądać musiał ten las dziewiczy na nizkich łużyckich błotach. Pieszo niepodobna było tam się przedrzeć, gdyż bagnisty grunt uwięziłby każdego nierozsądnego wędrowca, który niebawem znalazłby śmierć w niezgłębionym moczarze. Dziś jeszcze Wendyjki opowiadają sobie przy kądzieli o wielu przodkach, którzy w głębi lasów zaprzepaścili się bez śladu. Naturalnie, że w podaniach tych główną rolę odgrywają *Hobry* czyli bajeczne olbrzymy, *Kobołty* to jest upiory, jak również

[1] A. Jenč, *Pismowstwo Serbow.* Lipsk 1881, str. 10, 13, 63 i 64. — P. Fahlisch, *Der Spreewald und seine Bewohner.* Cottbus 1891, str. 8—9.

czarownice zwane *Kuźlarnicami* lub *Khodojtami* i *Błudniczki* czyli błędne ogniki, które podczas zimnych nocy tumaniły ludzi, wprowadzając ich w bagno, a których Spreewald, podług ludowej tradycyi, uprzywilejowanem był siedliskiem. Daleko niebezpieczniejszemi od tych urojonych nieprzyjaciół były rozmaite dzikie zwierzęta, a zwłaszcza dziki, rysie, niedźwiedzie, żubry, łosie i wilki, które aż do XVIII. wieku w ogromnej znajdowały się ilości. Na początku zeszłego stulecia zastrzelono tam ostatniego niedźwiedzia. Błota obfitowały również w sarny i jelenie i podczas łowów, wyprawionych w r. 1784 we wsi Radusz pod Lubinowem, zabito 293 sztuki tych zwierząt. Ze względu na niebezpieczne sąsiedztwo zwierząt drapieżnych można było zapuszczać się w głąb Spreewaldu tylko na ogromnych łodziach, zwanych *plaunikami*, a wyciosanych z olbrzymich pni drzewnych, podobnie jak *kanoes* indyjskie [1].

Podczas wojen niedostępne lasy służyły niejednokrotnie za jedyne schronienie mieszkańcom sąsiednich miast i wiosek. Skoro tylko rozeszła się wieść o wtargnięciu nieprzyjaciela, natychmiast Wendowie z rodzinami i całym dobytkiem odpływali w głąb lasu, gdzie się czuli zupełnie bezpieczni, gdyż żaden obcy najeźdźca nie śmiał dotrzeć do tych dzikich i samotnych ustroni. Dziś jeszcze Spreewaldczycy, mówiąc o dawnych czasach, wspominają z upodobaniem, że ukochane ich Błota były niegdyś postrachem dla Saksonów, których rumaki cofały się z przerażeniem przed temi posępnemi kniejami. Teraz ta dzikość, nie pozbawiona uroku, znikła już całkowicie, ogromne zaś lasy wytępiono tak dalece, że w Górnym zwłaszcza Spreewaldzie niewielkie już z nich tylko pozostały oazy. Dolny Spreewald, jak to później zobaczymy, w lepszych nieco pod tym względem znajduje się warunkach, chociaż i tam w niektórych miejscowościach topór już po barbarzyńsku gospodarzy.

(Dok. nast.).

Tytus Sopodźko.

[1] P. Fahlisch, *Der Spreewald u. s. Bewohner.* Cottbus 1891, str. 11—13.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Piast Dantyszek. Kartka twórczości J. Słowackiego. *Gubrynowicz Bronisław.* Lwów 1894.

Przyczynek do genezy Maryi Stuart Juliusza Słowackiego. *Wiktor Hahn.* Warszawa 1894.

Nad wyraz życzliwie przez krytykę przyjmowany pisarz [1], p. Gubrynowicz, obdarzył nas czwartą z rzędu swą pracą p. t.: „Piast Dantyszek. Kartka twórczości (?) J. Słowackiego". Malutka ta rozprawka (o siedmnastu stronicach), napisana nader zręcznie, jest odbitką ze sprawozdania Zakładu narodowego im. Ossolińskich, za rok zeszły. Rzuciwszy tło, złożone z kilku urywków wyjętych bądźto z listów Słowackiego, bądź z ocen prac tego poety, dotknął kilkoma zdaniami pan G. uderzającej i znanej od dawna zależności tego poematu Słowackiego od arcydzieła włoskiej literatury A. Dantego: *Divina commedia.* Być może, iż ta okoliczność, że pracę swą czytał pan G. na publicznem posiedzeniu Zakładu Ossolińskich, stała się powodem tej pobieżności, którą po części usprawiedliwia szan. autor dopiskiem: „Dokładniej uwzględniam to w pracy: ‚Dante a Słowacki'"; ponieważ jednak do dziś drukiem tej pracy pan G. nie ogłosił, przeto o należytem wykazaniu zależności poematu Słowackiego od Boskiej Komedyi nie można jeszcze mówić.

Druga praca o Słowackim, niedawno ogłoszona drukiem przez p. Wiktora Hahna, nosi tytuł: „Przyczynek do genezy Maryi Stuart

[1] Zobacz recenzye: Biegeleisena w *Muzeum* 1892 r., Konarskiego w *Gazecie lwowskiej* 1891 r. i Fr. Rawity w *Tygod. ilustr.* 1894 r. i t. d.

Juliusza Słowackiego". Dowodzi ta praca znakomitego oczytania autora. P. Hahn wykazał nader dokładnie znachodzące się w Maryi Stuart Słowackiego reminiscencye z dzieł Walter Scotta, a jest tych reminiscencyj cały szereg z następujących powieści angielskiego romansopisarza: *The fair maid of Perth*, stanowiącej drugą część *(2 series) Chronicles of the Canongute, The Abbot, The monastery, The lady of lake, Gay Mannering of the astrologer, Quentin Durward, Kenilworth, Iranhoe* i *Tales of Granfuter*. Pierwszy pomysł napisania dramatu, poświęconego losom nieszczęśliwej królowej szkockiej, miał się zrodzić w głowie Juliusza po przeczytaniu przedmowy Walter Scotta do *The fair maid of Perth*, tła zaś historycznego dostarczył najprawdopodobniej naszemu poecie Robertson W., który w r. 1788 wydał dzieło p. t.: *The history of Scotland During the reigns of Queen Mary and of King James VI.* etc. Charakterystyka Duglasa i Doornleya również z Walter Scotta powieści jest zaczerpniętą. Druga część dramatu Juliuszowego zależną jest od tragedyi włoskiej Wiktora da Asti Alfierego: *Maria Stuarda*. O wpływie Szekspira, Byrona i Szyllera na dramat, którym się obecnie zajmujemy, mówiono dotychczas wiele, lecz zawsze ogólnikowo, wpływ ten jednak okazuje się dzięki pracy p. Hahna bardzo małym.

Prześliczna ballada:

Synu mój, czemu od rana
Jesteś smutny? Twarz obłąkana,
Miecz krwawą splamiony skazą?

i t. d. i t. d., którą w scenie pierwszej piątego aktu paź śpiewa królowej, jest wolnem tłumaczeniem szkockiej ballady (nieznanego poety): *Eduard, Eduard.*

W lwowskim *Przewodniku naukowo-literackim* drukuje p. Hahn obecnie pracę swą o Lilli Wenedzie, zamierza więc prawdopodobnie p. Hahn przejść po kolei wszystkie dramata Słowackiego; w takim razie byłby Słowacki pierwszym z naszych poetów, którego stosunek do zagranicznej współczesnej literatury przestałby być czemś mitycznem. Na zakończenie wyrazić muszę szczery żal, iż znakomitą tę pracę szpecą usterki stylowe i wady w kompozycyi.

L. M. Dziama.

Pisma Walentyny z Trojanowskich Horoszkiewiczowej. Tom I. Poezye. Lwów 1892.

Ile musiała sobie zjednać uznania swą pracą i poświęceniem, jaką się cieszyć sympatyą ś. p. Horoszkiewiczowa, tego najwymowniej-

szym dowodem ten tom jej pism, wydany staraniem i nakładem jej uczennic. Obejmuje on poezye, wiersze przeważnie drobne, okolicznościowe, wywołane wrażeniami chwil przebytych cierpień i bólów, czy wesołych uniesień i zawiedzionych nadziei. Nie odznaczają się one głębszą treścią, niepospolitą wartością artystyczną, ale cechuje je przecież ponad inne tego rodzaju zbiorki duch zacny miłości Boga i ojczystej ziemi, wśród przejść i doświadczeń duch pełen uległości woli Bożej. Znać od razu z tych kart wpływ ducha wielkich postaci, z jakiemi żyła, z któremi ongi pracowała autorka, najwyraźniej czuć wpływ ks. Antoniewicza.

Jakkolwiek siła poetyczna tych utworów nie jest nadzwyczajną, czytają się one przecież swobodnie, lekko i przyjemnie, z niektórych tryska siła uczucia i ciepła prawdziwego, a już z każdego zdrowa nauka, dojrzała myśl. Mamy niepłonną nadzieję, iż podobnie jak życie autorki zaznaczyło się doniosłą w dobre skutki działalnością w społeczeństwie naszem, tak i to pośmiertne wydanie jej pism nie pozostanie bez dobrego wpływu na młode pokolenia. Dlatego właśnie szczera wdzięczność należy się tym, którzy pomyśleli o zbiorowem wydaniu tych pism.

Ks. A. Boc.

Z niwy śląskiej. Wiersze *Czesława Lubińskiego.* Bytom G. S. 1893.

Świat i życie — mgłą ponurą,
A nauka — zimną chmurą,
W nich błyszczącą gwiazdą pieśń;
Świat i życie — las cienisty,
Doświadczenie — step ciernisty,
W nich pachnącym kwiatem pieśń.

Powyższe słowa służą za *motto* do całego szeregu piosnek, wyśpiewanych na niwie szląskiej, na tej kresowej placówce dawnej piastowskiej Polski. Sympatyczny to wielce zbiorek, bo chociaż napróżno szukalibyśmy w nim szerszego polotu myśli, albo też cech genialnego poetyckiego natchnienia, jednak wszystkie zawarte w nim utwory owiane są takiem ciepłem serdecznem, tak gorącą miłością Boga, Kościoła, a zarazem tego „co swojskie, co nasze“, że pomimo usterek formy, z przyjemnością się je czyta. Sam zresztą autor nie rości sobie wcale pretensyi do laurów poetyckich, owszem, wyznaje skromnie, że poezye jego są wiązką domorosłych kwiatów, której jedyną zaletę stanowi to, iż niema w niej ani ostu, ani pokrzywy. Pobudki zaś, jakie go skło-

niły do ofiarowania tych utworów braciom Szlązakom, określa następującemi słowy:

Niech przypomną wam te świeże
Kwiaty hasło ślązkiej ziemi,
Że przy ojców mowie, wierze,
Aż do zgonu stać będziemy.

Niech przypomną prawdę starą:
Że nie cudem, ale trudem,
Miarą, wiarą i ofiarą,
Zostaniemy wolnym ludem.

Dalej zaś nieco dodaje:

Po co śpiewam? Tak się pytasz;
Ale wprzód mi powiedz, po co —
Chociaż nikt ich nie podziwia —
Tyle gwiazdek błyszczy nocą?

Ach, to wszystko całość składa,
Która Pana swego chwali,
A Pan mile na nią patrzy,
Choćby ludzie mało dbali.

Powiedz, po co tyle kwiatów
Kwitnie, których nikt nie zrywa?
Po co tyle ptaszków, których
Nikt nie słucha, ciągle śpiewa?...
. . . . . .

Z tą całością, z tymże chórem
Łączę moje skromne pieśni,
Obojętny, czy dla świata
Przebrzmią później albo wcześniej...

To właśnie głębokie religijne uczucie, połączone z dobrze pojętym patryotyzmem, jest struną dźwięczącą najsilniej na lutni szląskiego pieśniarza. Utwory swoje, których ilość dość pokaźnie się przedstawia, podzielił autor na pięć cyklów, stosownie do ich treści. Pod względem lekkości i potoczystości formy największą stosunkowo wartość posiada cykl pierwszy, zawierający ulotne poezye, a oznaczony tytułem: „Z życia i świata“. Do celniejszych fragmentów z tego cyklu należą między innemi następujące poezye: *Gloria Deo*, „Tęcza“, „Lipa słowiańska“, „Moja ojczyzna“, „Pieśń-Sierota“, a zwłaszcza śliczny wiersz pod tytułem: „Nasz oręż“, z którego kilka główniejszych przytaczamy strofek:

... bo nas dziś armaty
Nie wybawią i warownie:
Nam twierdzami dziś warsztaty,
Dwory, szkoły i pracownie.

Naszą bronią — pacierz rzewny,
Korny, zbożny, pełen skruchy;
A że szczery, skutku pewny,
Przeto pełen też otuchy.

Nam wojenną sztuką — praca,
Bronią — wiedza lub narzędzie:
Co kto umie, to popłaca,
Byle robić — zawsze — wszędzie...
. . . . . .

Naszem hasłem: Bóg i wiara!
Naszem godłem: miłość, zgoda!
Naszą siłą: to ofiara!
A wygraną: to swoboda!...

Mniej udatne są utwory, należące do dwóch następnych cyklów: „Z podróży“ i *Baltica*, główną zaś ich wadę stanowi pewne lekceważenie wymagań rytmu, rymu, a nawet gramatyki, zanadto przesadny i zagmatwany szyk wyrazów, a zwłaszcza nader częste rozpoczynanie wiersza wyrazami: mi, mię, się, jak naprzykład na str. 103:

Ptastwo bijąc w skrzydła,
Tłumi dzwonny brzęk oręży,
A śród jeźdźców czołga węży
Się chmara obrzydła.

Również rażącym błędem jest umieszczanie na końcu wiersza przyimka, należącego do następnego zdania, jak naprzykład na str. 124:

Jak przed laty sklepi się nad
Siołem niebo promieniste.

Błędy takie, podobnie jak i mnóstwo wyrażeń, biorących stanowczy rozbrat z gramatyką, jak naprzykład: broilim (str. 10, t. II.), zamiast broiliśmy; wejź, zamiast weź; ponurzył, zamiast zanurzył — nader często niestety się zdarzają.

W obszernym dziale „Opowiadań“ najbardziej zasługuje na uwagę powieść poetyczna pod tytułem: „Piotr Dunin, wojewoda wrocławski“, w której autor kreśli barwnie i zajmująco losy jednego z najwybitniejszych możnowładców na dworze króla Bolesława Krzywoustego i syna jego Władysława. Opowiadanie to, oparte na historycznych źródłach, odznacza się starannem i plastycznem ugrupowaniem faktów, ale pod względem estetycznym wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Mniejszą znacznie wartość posiadają utwory pod tytułem: „Róża“, „Kasper Karliński“ i t. d. Niekiedy też p. Lubiński próbuje ozdabiać swe poezye odrobiną humoru i satyry, co mu się jednak nie bardzo udaje. Jedyną udatniejszą humoreską jest: „Flisaka opis Wrocławia“, w którym ludowy sposób wyrażania swych myśli dość trafnie i charakterystycznie został uchwycony.

Zbiór utworów p. Lubińskiego zamykają „Wiersze treści religijnej“, ale niestety brak im prawdziwego natchnienia, tak, że pod względem nastroju nie przechodzą one, z nielicznemi wyjątkami, miary zwykłych kantyczek. Piękne są tylko niektóre legendy, osnute na tle życia Pana Jezusa i Najświętszej Panny, jak naprzykład: „Róże białe i czerwone“, „Słońce w sobotę“ i t. p.

Wogóle wiersze, umieszczone w zbiorku „Z niwy ślązkiej“, nie są zupełnie pozbawione wartości, bo chociaż nie zadawalniają całkowicie estetycznych wymagań i nie noszą na sobie piętna wybitnego poetyckiego talentu, w każdym z nich jednak przebija się myśl zacna, poczciwa i szlachetna. Dla Szlązaków, których piśmiennictwo jest jeszcze tak ubogie, stanowią one zdrowy i pożyteczny duchowy pokarm, dla nas zaś są dowodem, że pomimo sześciowiekowego odłączenia od Polski, Szląsk pozostał wierny narodowym tradycyom, oraz że duch

polski w nim żyje i daje słabe wprawdzie, lecz bądź co bądź pocieszające znaki życia. Ze szczerem więc uznaniem dla dobrych chęci autora, łączymy życzenia, aby z większą niż dotąd starannością zabierał się do dzieła, wówczas bowiem może stać się istotnie pożytecznym pracownikiem na ojczystym zagonie.

Tytus Sopodźko.

Zwięzła gramatyka języka polskiego. Dla IV. klasy szkół pięcio- i sześcio-klasowych. *Fr. Konarski.* Lwów. Nakładem Zakładu narod. im. Ossolińskich. 1894. (Str. 96). Cena 30 cnt.

Brak przejrzystej a krótkiej gramatyki języka ojczystego dawał się od dłuższego czasu dotkliwie uczuwać w niższych szkołach. Brakowi temu zaradzi w zupełności niniejsza książeczka, w której profesor I. gimnazyum lwowskiego, p. Fr. Konarski, w myśl planów dla szkół ludowych na 96 stronicach w 198 paragrafach wyłożył jasno i zwięźle wszystkie prawidła naszego języka. Jasne sformułowanie prawideł, trafnie dobrane przykłady, świetna korekta, czynią tę pracę odpowiednią do spełnienia zadania, jakie jej przeznaczono.

L. M. Dziama.

Ceremoniał parafialny. Przewodnik liturgiczny dla duchowieństwa pasterstwem dusz zajętego. Napisał *ks. Antoni Nowowiejski*, mag. św. Teologii, prof. sem. duch. w Płocku. Tom I. Warszawa, u Czerwińskiego. 1893. (W 8-ce str. 415). Cena z przesyłką 1 rs. 40 kop.

Akolici i ich czynności podczas Mszy św. i w innych obrzędach Kościoła katolickiego. Opracował... (jak wyżej). Warszawa 1893. (W 16-ce str. 88). Cena 30 kop.

Turyferarz i jego czynności... (zresztą jak wyżej). Str. 70.

Prawdziwe to zjawisko w naszej literaturze — książka ceremonij i rubryk liturgicznych w ścisłem znaczeniu słowa. I trzeba przyznać, że pod tym — tj. literackim — względem wcale dobrze się przedstawia. Styl płynny, jędrny, gdzieniegdzie tylko zbyt może lakoniczny, albo raczej zaniedbany [1].

---

[1] Np.: „Znak krzyża czyni Turyferarz takim sposobem: dłoń ręki lewej ze wszystkiemi pięcioma palcami wyciągniętemi ku sobie, obraca ku piersiom i końcami palców przykłada do ich niższej części; jednocześnie końcami palców trzech prawej ręki podobnie jak lewej *(sic)* mającej wyciągnięte palce, dotyka lekko czoła mówiąc: *In nomine*“ i t. d. (Turyferarz, str. 12). Także niektóre prowincyonalizmy, a może solecyzmy, w następ-

Co do treści — znać wielką erudycyę i oczytanie w przedmiocie. Dowodzi tego mnóstwo cytat, tak dekretów Kongr. Obrz., jak i autorów-liturgistów. Z drugiej jednak strony daje się spostrzegać pewien brak własnego doświadczenia, czyli osobistego widzenia ceremonij w rozmaitych krajach Europy, z czem się też łączy niedostatek, choć w bardzo małym stopniu, tego coby można nazwać *ratio liturgica.*

Nie dla tej *ratio liturgica,* ale z powodu celu tej książki (Ceremoniał parafialny), należało, zdaje nam się, albo wcale nie podawać w niej, albo przynajmniej nie po polsku tak specyalnych rzeczy, jak rubryki brewiarza i mszału, a więc prawie wszystko, co jest w części II., III. i z IV. rozd. 1. Dobrze jest wprawdzie o tem pisać w języku narodowym, ale w popularniejszy sposób. Tak jak jest, jest dla kapłanów niepotrzebne, bo każdy, jeśli będzie chciał odświeżyć sobie te rzeczy w pamięci, uda się do źródeł łacińskich — dla wiernych niebezpieczne, bo z samych suchych przepisów liturgicznych nietylko nie pojmą ducha liturgii, ale się jeszcze będą gorszyć, widząc tylu kapłanów tak różnie stosujących te przepisy w praktyce.

A przypuściwszy nawet, że sami tylko księża będą korzystać z tych dziełek, to jednak nie powinny one zawierać choćby drobnych omyłek rzeczowych, nie mówiąc już o drukarskich. Błąd bowiem liturgiczny, wydrukowany w książce specyalnie o tym przedmiocie traktującej, dziwnie się utrwala, i wykrzywia cześć Bożą zewnętrzną na całe pokolenia.

Z radością przyznajemy wprawdzie, że wiele takich wiekowych naszych polskich błędów jest w tej książce poprawionych. Tak np. o świecach na ołtarzu: że nie wolno na nim ani nad nim innych jak woskowe stawiać, na co jest *decretum generale S. R. C.*[1]. Szkoda tylko, że na tej samej stronie (71) szan. autor osłabia to poprawienie, gdy mówi: „Stearyna używa się tylko... kiedy rubryka dozwala używać nie *cereos,* ale *candelas*". Rubryce ani przez myśl nie przeszło robić taką różnicę; *candelae* tak samo są z wosku jak i *cerei,* tylko

nych wydaniach mogłyby być poprawione (tak np. „obracać się lewą lub prawą ręką", „ampułka pusta" zamiast próżna, „cały siebie zwracając", „kandelabr" zamiast świecznik lub lichtarz, „świece jasne" w znaczeniu: białe, czyli z białego wosku i t. d.).

[1] U Gardelliniego pod nr. 4578 z d. 31 marca i 3 kwietnia 1821 r. *ad* 7. Szan. autor cytuje, widocznie przez pomyłkę druku, rok tego dekretu 1851. Dwa zaś inne tamże zacytowane (z d. 27 czerwca 1868 r. i 4 września 1875 r.), zupełnie się świec nie tyczą.

cieńsze. Dowód na to oczywisty *ex rubricis gener. missalis tit. XX. (De praeparatione altaris...)*. Również zwyczaj rzymski zna tylko wosk w kościołach, a także cały Szląsk i kościół prawosławny.

Taką „omyłką rzeczową“ w tym „Ceremoniale“ jest np. rzecz o kadzidle (str. 41). Wiadomo przecież, że w całych Włoszech, ba nawet w schyzmatyckiej Rosyi, używa się oliban nie „w braku kadzidła prawdziwego“, jak mówi autor, ale jest on właśnie, i tylko on, prawdziwem kadzidłem kościelnem *(thus)*. A co do botanicznych wiadomości autora o tymże przedmiocie, to potrzebują one stanowczego sprostowania [1]. Nie można też, jak na to pozwala szan. autor, „w braku zastępujących kadzidło aromatów używać żywicy z naszych drzew iglastych, byle pachnącej“ — bo *Ceremoniale Episc.* (l. I. c. 23, n. 3) mówi wyraźnie: *Materies, quae adhibetur (ad thurificandum), vel solum et purum thus esse debet, suavis odoris; vel si aliqua addantur, advertatur, ut quantitas thuris longe superet.*

Prowincyonalny to też zwyczaj i przeciwny *rationi liturgicae*, żeby chłopiec na mszał a nie w rękę odbierał biret od kapłana przystępującego przed Mszą do ołtarza, albo żeby mu tak podawał, gdy odchodzi. Mówi o tem Falise.

O palce też nieprawdziwie (w znaczeniu liturgicznem) powiedziano (str. 44). Na str. 29 w przypisku 5-tym, *abusum contra omnem rationem liturgicam*, szan. autor przedstawia jako *rectum usum;* mianowicie chowanie próżnej puszki „w cyborium ołtarza wielkiego“. Ani też nie należy się próżnej puszce „opona“, jak ją nazywa szan. autor, zwykle zwana sukienką.

Mimo tych i kilku innych usterków, „Ceremoniał parafialny“ mnóstwo zawiera rzeczy niezmiernie pożytecznych i cennych, i dlatego przynajmniej u każdego proboszcza znaleźć się powinien.

„Turyferarz“ i „Akolita“, dwie książeczki mogące się bardzo

---

[1] Podajemy je tu według *Synopsis der Botanik* von Leonis-Frank: Kadzidło właściwe = *oliban* = *gummi olibanum* = *thus orientale*, pochodzi z dużego drzewa rosnącego w Arabii i na wschodniem pobrzeżu Afryki. Nazwa jego botaniczna: *Bosvellia sacra.*

Bosvellia thurifera jest to drzewo indyjskie; żywicy z niego używają wprawdzie Indyanie do celów religijnych, atoli w handlu nie spotyka się; dlatego niema właściwie „kadzidła indyjskiego“, jak chce szan. autor. *Juniperus thurifera* (nie *lycia*, bo ta nie daje takiej żywicy) rośnie w południowej Europie. Z niej w handlu znajduje się t. zw. „złe kadzidło“, albo „arabskie“ *(olibanum arabicum).*

przydać klerykom, spełniającym te funkcye. Wiele rzeczy w nich wspólnych możeby lepiej było raz tylko wydrukować i w jednej książeczce zamknąć obie te dość łatwe i krótkie posługi.

Ks. H. P.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die russisch-schismatische Kirche, ihre Lehre und ihr Cultus. Von *Dr. Ferd. Knie.* Graz 1894.

Cóż łatwiejszego na pozór, jak poznać kraj sąsiedni, ani morzem, ani górami od Europy nie oddzielony? Tymczasem Europa lepiej zna Japonię, lepiej zna dno morza, niż Rosyę. Bo też Rosya jest morzem głębokiem, nieprzezroczystem, do którego dna trudno się dobrać. My Polacy, poznawszy trochę bliżej czynowników grasujących po Królestwie i trochę przeczytawszy rosyjskich powieści, łatwo pochlebiamy sobie przypuszczeniem, że już znamy Rosyę do gruntu. A cóż dopiero ci, co są trochę dalej na Zachodzie lub Południu? Każdy sobie wyobraża Rosyę fantastyczną, jaka mu pasuje do jego planów lub marzeń o przyszłości. — A jednak wiedzieć prawdę o Rosyi, leży w interesie wszystkich, czy się kto polityką zajmuje, czy religią, czy społecznemi sprawami, i do jakiejkolwiek należy narodowości. Zdaje się więc, że książki pouczające o Rosyi powinnyby być chętnie czytane.

Dzieło, które mamy przed sobą, nie jest bynajmniej wyczerpującem studyum o Rosyi, ani nawet o jej Cerkwi, jest jednak bardzo cennym i poważnym przyczynkiem do jej znajomości. Autor, zanim się wziął do pióra, dobrze się obeznał z literaturą rosyjską, zwłaszcza kościelną, był jakiś czas w Rosyi, przypatrzył się religijnemu jej ustrojowi, i w końcu zrozumiał doskonale, że przyczyna bezprzykładnej martwoty i gnicia tej Cerkwi leży nie gdzieindziej, tylko w jej schyzmie, z której koniecznie i nieuchronnie wynika jej absorbcya przez państwo.

Rzucając najprzód okiem na historyę cerkiewną, wykazuje on z dokumentów, że kijowski Kościół, znacznie dłużej niż bizantyjski, w jedności z Rzymem zostaje; oraz, że w tym czasie rozkwita się, owoce chrześcijańskiego życia przynosi. Ale niedługo po zerwaniu jedności przekwit się objawia; już w XVI. w. dokumenta cerkiewne pełne są skarg na niesłychane rozpasanie kleru, mnożenie się herezyj,

spoganienie ludu. Te wszystkie zaś nędze potęgują się coraz dalej, w miarę jak carat moskiewski owłada jedne po drugich ruskie dzierżawy i coraz cięższemi Cerkiew kajdanami okuwa.

Przechodząc następnie do obecnego stanu Cerkwi, wytyka przedewszystkiem autor jej nieznajomość nauki religii, nawet „prawosławnej". Nie mając własnych teologów, a bojąc się aż do śmieszności katolickich dzieł, wolą się kształcić na książkach protestanckich, nieraz w protestanckich uniwersytetach, gdzie wszystkie ich dogmata wyśmiewane są i podkopywane; wolą narazić swą młodzież na utratę wiary, niż na niebezpieczeństwo zbliżenia do latinizmu. Cóż więc tej Cerkwi zostaje, jeżeli nawet o jedność wiary nie dba? — Z uderzającą siłą dowodów wykazuje autor, że Cerkiew rosyjska nie jest, i sama się nawet nie uważa za opartą na jedności wiary, ale tylko na jedności obrządku, na czystym formalizmie. Zachowanie form jest jedynym warunkiem i miarą należenia do Cerkwi. Stąd ta praktyczna konsekwencya, że niczego się nie uczy i nie wymaga od ludu, jak tylko form. I ta druga konsekwencya, która słusznie oburza autora, że Cerkiew prześladuje sekty, choćby najmoralniejsze, najzgodniejsze z nią co do wiary i obyczajów, ale uchylające się od udziału w oficyalnych obrzędach — a toleruje i w spokoju zostawia sekty, które notorycznie oddają się bezeceństwom, wierzeniom i praktykom pogańskim, a zalecają przytem swym członkom uczęszczanie na urzędowe nabożeństwa. I czyni to Cerkiew, nie z nieświadomości, z lenistwa, ale zasadniczo, według danych sobie rozporządzeń, które autor przytacza.

Rozumie się, że owocem takiego postępowania jest bezgraniczne szerzenie się tych sekt tajnych potwornych, o których Cerkiew wiedzieć nie chce, których ani nie wspomina w urzędowych raportach i spisach. Kiedy się czyta co mówi autor, co opowiadają przywiedzione przez niego powagi, o naukach tych sekt, odrzucających wręcz całą istotę chrystyanizmu, o ich praktykach niemoralnych, posuwających się aż do kultu szatana, a przytem o ogromnej liczbie adherentów — to aż dreszcz przerażenia przejmuje, i stawia sobie człowiek pytanie: czy Rosya jest prawdziwie chrześcijańskim krajem? czy się nie łudzą tacy jak p. Sołowiew, kiedy mówią, że lud ten jest moralnie zdrowy, szczerze chrześcijański, a jedynie Cerkiew urzędowa jest zakażoną?

Po tych rozdziałach o prawosławiu i razkole, znajdujemy w książce d-ra Knie rozprawy o dogmatach spornych, tj. pochodzeniu Ducha Św. i prymacie papieskim — gdzie są dobre rzeczy, ale nic nowego; dalej rozdziały o Sakramentach Cerkwi, o jej liturgii, o klerze czarnym

i białym (tj. zakonnym i świeckim) — i tu różne ciekawe wiadomości, ale fragmentaryczne i żadnej całości nie przedstawiające. Ciekawą jest między innemi długa rota przysięgi, jaką składają biskupi przy święceniu, charakteryzująca służalcze ich podleganie rządowi i absolutną władzę cara nad Cerkwią.

De Maistre przepowiadał niegdyś Cerkwi, że spoiwszy się z gnijącym trupem, jakim jest maszyna państwowa rosyjska, sama zgnić musi. Tem zdaniem kończy dr. Knie swą książkę. Ja po przeczytaniu tej książki zaczynam myśleć przeciwnie, że Cerkiew sama w sobie jest bardziej strupieszała niż państwo — nic dziwnego, kiedy od ośmiu wieków umarła — i że w tym uścisku z państwem, choć do czasu jest dla niego jednym punktem oparcia więcej — jednak istotnie go zakaża, i będzie kiedyś przyczyną jego śmierci.

Ks. M. Morawski.

Vie de S. François D'Assise. Par *Paul Sabatier*. Paris. Fischbacher. 1894. Ed. VI. (Str. CXXVI. i 418).

Coby powiedział Luter, gdyby zmartwychwstał, że pastor reformowany w Strasburgu pisze żywot świętego Franciszka? On, który całą ascezę chrześcijańską nazywał „uwiedzeniem szatana“ [1], rad ewangelicznych wcale nie uznawał, a wszystkie zakony w czambuł potępiał, cóżby powiedział na to, że jeden z jego następców wielbi dobrowolne ubóstwo, dożywotnią czystość i posłuszeństwo przełożonym zakonnym? Ale nie sięgając tak daleko, dosyć zapytać: co powiedzą niemieccy członkowie postępowego *Protestanten-Verein*, którzy już nawet Składowi Apostolskiemu odmówili kanonicznego znaczenia, a w Bóstwo Chrystusa Pana dawno nie wierzą i jawnie tę niewiarę głoszą — że przeciwny kierunek, bądź co bądź do wiary katolickiej się zwracający, tak już daleko się posunął?

Paweł Sabatier daje właśnie tego kierunku dodatniego najlepszy dowód, a wielki rozgłos, który książka jego sobie zjednała, tak, że ukazawszy się w listopadzie p. r., już w marcu b. r. ósmego wydania się doczekała, dowodzi najlepiej, że we Francyi także się budzi chęć do poważnej lektury.

Z tego punktu widzenia powitaliśmy tę książkę życzliwie, bo ma niewątpliwie zaletę poważnej pracy historycznej, a owiana jest duchem wierzących protestantów. Oceniając zalety tego dzieła, nie omieszkamy

[1] Opp. ed. Walch Bd. IX, p. 506.

wytknąć jego wad i błędów, które wyniknąć musiały już z tego samego, że każdy protestant dopóty nie może pojąć całej prawdy katolickiej, ani zrozumieć ducha kościelnego, dopóki cięży na nim, jakby klątwa grzechu pierworodnego, nienawiść do papieża. To błogosławieństwo, którem Luter żegnał uczniów swoich, wyjeżdżając ze zjazdu w Schmalkalden (1537): *impleat vos Deus odio papae*, przygniata ich umysły i stanowi u niektórych jedyną już tylko przeszkodę do nawrócenia się zupełnego. Potężna organizacya Kościoła, hierarchia, która przetrwała wiekowe burze, napełnia ich niechęcią, bo nie pojmując tego dobrowolnego posłuszeństwa, wynikającego z wiary, które stanowi niespożytą siłę Kościoła katolickiego, poczytują ją za niewolę w porównaniu do tej rzekomej wolności protestanckiego kościoła, która stanowi jego słabość i musiała zgotować zupełne rozprzężenie, na jakie dzisiaj patrzymy.

To stanowisko autora pokazuje się najlepiej w przedmowie (str. I. do XXX), w której daje wyraz przekonaniu, że naprawa społeczeństwa, jaką zamierzył św. Franciszek, była tylko możliwa, gdyby mu się było udało zaprowadzić „powszechne kapłaństwo i prawo indywidualnego sumienia". Jednym tchem jednak zaraz przyznaje, że ani rewolucya kościelna XVI. wieku nie potrafiła wszystkich ludzi przemienić w kapłanów — mimo to, że Luter także powszechne kapłaństwo ogłosił — ani rewolucya polityczna XVIII. wieku nie zamieniła wszystkich ludzi w królów, chociaż wszystkim równość obiecywała. Lepiej więc nie można zaprzeczyć własnemu twierdzeniu, a mimo to przez całą książkę wije się jak nić przewodnia, narzekanie na to, co Luter nazywał *römische Vermessenheit*, a mianowicie na Grzegorza IX., który jeszcze jako kardynał Ugolino, był protektorem św. Franciszka, że on to zwichnął pierwotny, czysty pomysł, przez to, że jego zakon ujął w karby hierarchiczne, a tem samem nie przyszło więc do skutku owo „duchowe kapłaństwo" *(sacerdoce spirituel)*, którego wyższość św. Franciszek miał przeczuwać (str. VIII). Wszelako znowu sam autor przyznaje niebawem, że w średnich wiekach był Kościół dla wszystkich ludzi tem, czem dzisiaj jest ojczyzna, tak, że nawet ci, którzy dążą do zmiany rządu, administracyi, konstytucyi, nie przestają być patryotami. Takim więc rewolucyonistą, wedle nowoczesnych pojęć, miał być, wedle p. Sabatier'a, św. Franciszek. On zakładał zakon, ale niezakonny *(antimonastique)*, dążył do ideału niedoścignionego i wyższego nad pojęcia kleru. Tak samo miał też, wedle p. Sabatier, i Chrystus Pan zamiar założyć Kościół bez ustawy dogmatycznej i ceremoniału,

gle Kościół katolicki przekształcił tę myśl i stał się dogmatycznym i kapłańskim. Przez to właśnie miała się wyrodzić ta niewłaściwość, że duchowny jest pośrednikiem pomiędzy Bogiem i człowiekiem przez ofiarę i modlitwy, podczas gdy w innych religiach — ma się rozumieć protestanckich — „modlitwa nie jest błaganiem, tylko medytacyą, męskim wysiłkiem, a każde sumienie ma bezpośredni związek z Bogiem“ (str. XIII—XV).

Nie będziemy polemizowali z tego rodzaju deklamacyami, wygłaszanemi na pochwałę protestantyzmu, bo jużeśmy na wstępie wspomnieli, do czego doszedł ten kościół bez dogmatyzmu i ceremoniału, bez ofiary i modlitwy, bez kapłaństwa i grzechów odpuszczenia, a powiemy tylko tyle, że mimo całej jego rzekomej wolności sumienia, byłby p. Sabatier w Niemczech obecnie jako pastor niemożliwy. Tyle jest pewnego, co zresztą sam autor przyznaje (str. XVII), że jeśli nam trudno dzisiaj zrozumieć zupełnie ducha Greków i Rzymian, to jeszcze trudniej pojąć ducha wieku XIII., zwłaszcza jeśli się kto, jak p. Sabatier, nie może pozbyć uprzedzeń protestanckich. Dlatego też sam autor przyznaje, że te wieki podobne są do kwiatu albo do motyla, których delikatne barwy łatwo giną za dotknięciem niepowołanej ręki (str. XXIII). Cóż więc powodowało autorem, że właśnie ku tym zamierzchłym czasom zwrócił swoje badania, że nawet trawił długi czas pomiędzy zakonnikami, aby lepiej zbadać ducha ich reguły? On sam to tłumaczy na przykładzie.

Po raz pierwszy przybywszy do Asyżu, zwiedził bazylikę i podziwiał freski Giotta o zmroku wieczornym. Wydawały mu się jakby żywe i świeżo malowane. Wywarło to na nim wielkie wrażenie. Po raz drugi, przybywszy w to miejsce, zastał malarzy na rusztowaniu, z którego przy pomocy reflektora badali szczegóły malowania, i wtedy uderzyły go różne błędy, okazujące się na malowidłach. Tak też i żywot św. Franciszka chciał sam napisać przy świetle historycznych badań, przedstawić go, nie tyle jako Świętego, ile jako człowieka. Praca jego zwraca się więc „przeciwko uczonym i przeciwko hagiografom“ (str. XXXV) — ma więc tworzyć coś pośredniego. To też wydając taką monografię, zwraca się do Braci św. Franciszka, pomiędzy którymi tyle spędził czasu i tyle okazywał czci dla ich Ojca Seraficiego, i przeprasza ich, że niektóre karty tej książki sprawią im może przykrość. Prosi tedy, żeby je szybko odwrócili, a za to czytali z przyjemnością inne, które cześć dla św. Franciszka jeszcze bardziej podnieść mogą (str. XXX).

Nie wiemy co odpowiedzą na to Franciszkanie? Radzono im już aby z tej książki ani jednej karty nie czytali, lecz odrzucili ją na bok; nam się zdaje, że ona warta przeczytania dla tych, którzy kwas protestancki oddzielić potrafią od czystej mąki. Prawda, że łatwiej książkę rzucić niż przeczytać przeszło 500 stron druku, ale lektura to bardzo zajmująca [1]. Pomijając bowiem piękny styl i barwny sposób opowiadania, budzi ta książka interes najpierw przez to, cośmy już na wstępie powiedzieli, że protestant pisze te rzeczy, że pisze je z wielkiem dla Świętego uwielbieniem, a co jeszcze ciekawsze, że studyum to wywiera na niego wpływ daleko większy i dodatniejszy, niżby się po tem, co powiedział w przedmowie, spodziewać można. W tej mierze sprawdziło się na nim to, że kto się zbliża do ognia, rozgrzać się musi. Wiadomo przecież, że nawet Renan *(Nouvelles études d'histoire religieuse,* Paryż 1884) mówi z wielkim zapałem o św. Franciszku Serafickim, bo żywot tego Świętego wywiera dziwny urok, nawet na takie umysły sceptyczne. Sabatier pisząc go, podobny jest do człowieka, który stoi na progu kościoła i nie wchodząc do wnętrza, z daleka podziwia jego piękności. Miejscami znowu podobny jest do owych turystów, zwiedzających bazyliki włoskie, którzy sami wprawdzie nie oddają czci należnej, ale z uszanowaniem patrzą na pobożnych, którzy się modlą i klęczą przed Najśw. Sakramentem. Rzeczywiście to co np. mówi o stygmatach św. Franciszka, a szczególnie o Najśw. Sakramencie (str. 224) i Komunii św. (str. 337), dowodzi, że sam stoi na progu wiary i że pojmuje co znaczy rzeczywista, prawdziwa pobożność, która rodzi ową wesołość, jaka nie odstępowała nigdy św. Franciszka. „Jakże być smutnym — powiada autor — kiedy się posiada niewyczerpany skarb wiary i życia, który tem bardziej rośnie im się więcej z niego czerpie. Jakże być smutnym, kiedy się nie ustaje w postępie, mimo upadków“ (str. 223). Nie są to słowa kalwińskiej ani luterskiej nauki, negującej wszelki postęp w dobrem. Autor więc ani się spostrzegł, jak na wielu miejscach dał się porwać innym przekonaniom, niż te które głosi z urzędu, jako kalwiński pastor.

Przeszło sto stron drobnego druku zajmuje w tej pracy studyum

---

[1] Już po oddaniu do druku niniejszego artykułu otrzymaliśmy *Voce della Verità* z 12 czerwca r. b., która ogłasza dekret św. Kongregacyi Indeksu z dnia 8 czerwca r. b., zamieszczający książkę p. Sabatier'a na Indeksie.

krytyczne źródeł, z których p. Sabatier czerpał. Dzieli je na pięć gatunków: dzieła św. Franciszka; biografie we właściwem znaczeniu tego słowa; dokumenty dyplomatyczne; kroniki zakonne i wreszcie kroniki autorów, nienależących do zakonu św. Franciszka. Przy omawianiu pierwszych źródeł, tj. pism św. Franciszka, pomija milczeniem jego *Fioretti*. Co się zaś tyczy dalszych źródeł, odstępuje od krytycznej metody Bollandystów, mianowicie O. Suyskena T. J. i nie uważa najstarszej biografii Tomasza Celano za najlepszą, lecz zastosowuje całkiem nową metodę, swojej własnej inwencyi, wynikającej oczywiście z własnego jego ducha (str. XLIX).

Biografia Tomasza Celano nie podoba się autorowi dlatego, że to był umysł ireniczny, u którego posłuszeństwo uchodziło za pierwszą cnotę. Zbyt wielką rolę odgrywa więc ta cnota w jego biografii i przez to samo nie zasługuje na wiarogodność. Świętego przedstawia też zbyt idealnie, a p. Sabatier szuka w Świętym tylko człowieka. Więcej łaski znajduje w jego oczach t. zw. *Legenda trium sociorum*, chociaż ją uważa za fragment większej całości, która uległa w znacznej części zniszczeniu przez przełożonych zakonu. Jednakże zaginione części tej legendy, odnajduje autor w zbiorze rozmaitych legend, wydanych r. 1504 w Wenecyi p. t.: *Speculum Vitae s. Francisci*.

Za dalekoby jednak nas zaprowadziło ocenianie akrybii p. Sabatier'a. Każdy znajduje to czego szuka, nie dziw więc, że w żywocie św. Franciszka, napisanym przez św. Bonawenturę, autor także nie znajduje upodobania. Odmawia mu też wszelkiej historycznej wartości (str. LXVIII).

Opowiadanie swoje podzielił autor na 20 rozdziałów. W pierwszych mówi o młodości św. Franciszka, daje ciekawy obraz zajęć i sposobu życia ówczesnych kupców, do których ojciec św. Franciszka, Piotr Bernardone, należał. Dalekie jego podróże i wyprawy po towary, wzbudziły w nim zamiłowanie do Francyi, wskutek czego i syna swego chciał wychować na Francuza, i dlatego, mimo że z woli matki otrzymał na chrzcie św. imię Jana, nazywał go Franciszkiem i wcześnie kazał po francusku uczyć. Tej okoliczności przypisać też można, że św. Franciszek kilkakrotnie wybierał się następnie z misyą do Francyi, chociaż zamiar ten do skutku nie przyszedł.

Kupiectwo nie przypadało do serca młodemu Bernardone, wojenna wyprawa, na którą się wybrał w świetnej zbroi rycerskiej, także spełzła na niczem, wesołe zabawy z towarzyszami obudzały w nim nie-

smak i w 22 roku życia stał się innym człowiekiem. Przemianę tę wewnętrzną opowiada autor (rozdz. II.) wedle swoich pojęć i wyobrażeń, koniecznie bowiem chce w nas wmówić, że religia nie odgrywała przy tem żadnej roli, i dlatego właśnie upatruje w pobożności św. Franciszka „zapach szerokich pól i błoni, który ją czyni odmienną od pobożności zakrystyi i salonów“ (str. 27). Dlatego też miał św. Franciszek najchętniej przebywać w kościele Porcyunkuli, o porze wieczornej, kiedy już ustały „machinalne modlitwy i znikła cała tandeta kultu *(friperie de culte,* str. 77). P. Sabatier bowiem twierdzi, że publicznie wcale się modlić nie można *(on ne prie pas en public,* str. 335). Ciekawa rzecz w takim razie, jak wygląda nabożeństwo w Strasburgu, jeśli się członkowie gminy szan. autora publicznie nie modlą? Nie ulega wątpliwości, że wszyscy Święci pragnęli samotności dla modlitwy i rozmyślania, i przeto św. Franciszek spędzał czas w jaskini opodal miasta rodzinnego, ale nie dlatego, żeby nabożeństwo w kościele miał uważać za *friperie,* bo przecież sam p. Sabatier unosi się na innem miejscu (str. 71—72) nad pięknością psalmów i hymnów kościelnych, nawet nad tem, że je Kościół śpiewa w języku martwym, więc chyba tego także „tandetą“ nie nazwie. Tak samo nikt na seryo nie przypuści, żeby Święty naprawdę miał unikać pociech Kościoła i stronić od duchowieństwa, dlatego, że „ksiądz był w XIII. w. antytezą Świętego, a jest prawie zawsze jego nieprzyjacielem“ (str. VII).

Stan Kościoła na początku XIII. w. (około 1209) opisany w III. rozdziale, nie jest mimo to zbyt tendencyjny, bo i katoliccy pisarze nie żałują czarnych barw na jego odmalowanie. Autor przyznaje nawet, że papieże, tłumiąc herezyę Waldensów, „nie stali po stronie reakcyi i obskurantyzmu“. Spodziewaliśmy się jednakże w tym rozdziale znaleść coś więcej nad to, co autor daje.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że największem niebezpieczeństwem dla całej ludzkości była w XIII. w. rewolucya socyalna, której rozliczne herezye były tylko sporadycznemi objawami. Ale z tego nie wynika bynajmniej, żeby to wszystko było dowodem, że Kościół „chybił swego powołania“, jak chce w nas wmówić p. Sabatier (str. 41), jeno służy za dowód, że wówczas natrafił Kościół w wykonywaniu swego posłannictwa na takie same przeszkody, na jakich, niestety, i dzisiaj mu nie zbywa. Jeśliby zaś z tego miała wynikać ta prawda, że protestanckie kościoły lepiej spełniają misyę społeczną, to kłam takiemu twierdzeniu zadawałaby ta okoliczność, że najzaciętszy socyalizm grasuje obecnie właśnie tam, gdzie panujące religie nie są katolickie,

w drugim rzędzie tam, gdzie katolicki Kościół ma skrępowane ręce przez liberalne ustawy. Mimo to zażegnanie socyalnej rewolucyi w XIII. w. jest wyłączną zasługą Kościoła, bo on to wydał dwóch wielkich Świętych: Dominika i Franciszka, i przez nich dokonał tego wielkiego dzieła. Autor usiłuje wprawdzie wciąż przedstawić św. Franciszka jakoby nienależącego do Kościoła katolickiego, jakoby działającego na swoją rękę, wbrew i przeciw woli i ustawom Kościoła; ale ta skrzywiona tendencya wywołuje następnie liczne sprzeczności.

Tak np. całe postępowanie biskupa Assyżu i duchowieństwa wobec pierwszych lat działania św. Franciszka, było — ze stanowiska kościelnego — zupełnie poprawne, ale i sam Święty nic nie czynił wbrew woli biskupa. Ani jeden ani drugi nie wiedzieli, jaki obrót weźmie to dzieło, które „biedaczek Boży“ *(poverello del Dio)* rozpoczynał. Biskup pozwolił mu prawić kazania, a Święty nie pozwalał nigdy Braciom swoim prawić kazań, bez pozwolenia duchownej władzy. Takich ubogich żebrzących bywało przed św. Franciszkiem wielu. Z Lyonu wzięła nawet początek sekta takich ubogich, a Piotr Valdo, tak samo jak św. Franciszek, głosił ewangeliczne ubóstwo, lecz skończył jako heretyk, podczas gdy św. Franciszek pozostał wiernym synem Kościoła. Sam autor to przyznaje (str. 43), a przecież wciąż się gniewa na papieża i biskupa, że posłuszeństwa od Świętego żądali, a do Świętego ma widoczny żal, że oporu żadnego nie myślał stawiać.

Nie ulega wątpliwości, że krótkie kazania św. Franciszka wywierały wielkie wrażenie i poruszały serca, ale z tego nie wynika, że np. kazania powinni prawić świeccy ludzie, i że naprawdę sekty protestanckie zawdzięczają wielki swój rozwój tej właśnie „wyższości kaznodziejstwa świeckiego nad duchownem“ (str. 80). Moglibyśmy służyć p. Sabatier'owi ciekawemi i nawet zabawnemi szczegółami, któreby może osłabiły w nim tę emfazę, z jaką prawi o *cette supériorité de la prédication laïque sur la prédication cléricale.* W Bydgoszczy np. przystał do sekty menonitów, albo nowochrzceńców, i fungował jako kaznodzieja, były zakrystyan tamtejszego katolickiego kościoła. Kazania bardzo się podobały menonitom — cóż, kiedy je czerpał z książki, ukradzionej dawnemu swemu proboszczowi... *Voilà la supériorité!*

Na myśl nie przyszło zapewne św. Franciszkowi, że jego kaznodziejstwo wyzyskane będzie do tego rodzaju porównania. Ale niebawem wciska się pod pióro p. Sabatier'owi inne, jeszcze lepsze, a mianowicie przyrównanie papieża Innocentego III. do Kalwina (str. 207). Wedle niego był to raczej król, niż papież, podobny bardziej do Mojżesza,

niż do Pana Jezusa — ale upatruje w nim jednak podobieństwo do „wybornej inteligencyi teokraty, całkiem oddanego swemu dziełu, tj. Kalwina". Główny zaś powód niechęci do tego papieża pochodzi stąd, że on nałożył na św. Franciszka „jarzmo" reguły, które sprawiło, że odtąd nie był już jego zakon zupełnie zgodny z ewangelią (str. 115), bo „on i jego bracia byli legalnymi synami ewangelii, a członkowie duchowieństwa byli tylko *extranei*" (str. 113). Skoro więc przyjęli „pęta hierarchiczne", które nawet „złotemi więzami" na innem miejscu (str. 231) są nazwane, przestali być tem, czem ich chciał mieć — nie św. Franciszek, tylko oczywiście p. Sabatier, tj.: nienależącymi do katolickiego Kościoła, świeckimi ludźmi. „Ruch franciszkański sprzeniewierzył się swoim początkom. Prorok zrzekł się swej godności w ręce duchownego (str. 116).

Gdyby to nie zakrawało na to, co Niemcy nazywają *Retourkutsche*, nazwalibyśmy tego rodzaju elukubracye *friperie*, bo odrzuciwszy tę tandetę protestanckich naleciałości, które raz po raz się plątają po książce, czytamy z rosnącem zajęciem opowiadanie o misyonarskiem działaniu św. Franciszka i coraz liczniejszej drużyny jego braci. Opowiadanie to przeplata autor mnóstwem szczegółów, które całą piękną duszę Świętego odsłaniają naszym oczom, a nawet cuda przezeń zdziałane, przytacza bez jakichkolwiek zastrzeżeń i uwag.

Olbrzymi wpływ na całe społeczne stosunki ówczesne, jaki wywarł św. Franciszek, jest tu bardzo dobrze uwydatniony. „Ubodzy poczuli, że znaleźli przyjaciela, brata, obrońcę, prawie mściciela. Myśli, które zaledwie śmieli szemrać, wypowiadał Święty głośnym krzykiem i miał odwagę nawoływać wszystkich, bez różnicy, do pokuty i wzajemnej miłości. Jego słowa były okrzykiem serca, odwołaniem się do sumienia wszystkich obywateli, przypominającym zupełnie zapał proroków Izraela. Jak owi posłańcy Jehowy, ubierał się biedaczek z Asyżu w wór pokutniczy, aby wytykać grzechy ludu, jak oni posuwał odwagę do heroizmu i tak samo jak oni czuł w sercu boskie pociechy" (str. 130).

W miarę opowiadania rośnie też u autora zapał i uwielbienie dla Świętego, chociaż tu i owdzie odzywa się fałszywa nuta. Tak np. dowodzi, że kazania św. Franciszka są zupełnie wolne od „zielska dogmatów i scholastyki", które jako dowód „niezmiernego upadku" już upatruje u św. Antoniego Padewskiego. To też pomiędzy tymi dwoma Świętymi widzi tak wielką różnicę, jak pomiędzy Panem Jezusem a św. Pawłem (str. 147—148).

Jeden z najpiękniejszych rozdziałów (IX.) poświęcony jest św. Klarze Sciffi, która pierwsza z niewiast porzuciła świat i poszła w ślady św. Franciszka. Gotowibyśmy wiele wybaczyć kalwińskiemu pastorowi, za to, że się zdobył na tak piękny ustęp, gdyby nie to, że nawet i św. Klarę usiłuje przedstawić, jako wyznawczynię owej „niezależności sumienia“ bez „pośrednika pomiędzy sumieniem i Bogiem“, o jakiej prawić lubią protestanci, o której przecież ani św. Franciszkowi, ani św. Klarze się nie śniło. Wiadomo, że Grzegorz IX. chciał złagodzić zbyt surową dla niewiast regułę, ale św. Klara obstawała przy jej pierwotnem brzmieniu. Autor przedstawia to jako straszliwą walkę, jako jeden z najpiękniejszych obrazów historyi religijnej, ową niewiastę walczącą z szeregiem papieży i odnoszącą wreszcie zwycięstwo (str. 182 sq.). Na szczęście, wiemy dobrze, że tak Grzegorz IX., który znał św. Klarę od czasów kiedy jeszcze był kardynałem i pisywał nawet do niej listy pełne uwielbienia i ojcowskiej troskliwości, jak i Honoryusz III., nie myśleli toczyć walki ze Świętą, a jeżeli, ulegając jej woli, nie złagodzili w niczem reguły, to w tem najlepszy dowód, że o jakimś „ucisku sumienia“ wcale nie myśleli.

Ale właśnie ta okoliczność, że reguła św. Franciszka nie była od razu ułożona, że już rodzina jego braci była się znacznie rozmnożyła nim sam się widział zmuszony ująć dotychczasowe ogólne przepisy w stałą i ścisłą normę, przyczem z rzeczywistością położenia i stosunków było się trzeba liczyć — daje powód autorowi do zupełnie błędnych teoryj. Z tej też przyczyny nie znajduje łaski w jego oczach św. Dominik, który z góry przyjął regułę św. Augustyna, a dopiero za pobytu swego w Porcyunkuli postanowił, idąc śladem św. Franciszka, przyjąć ubóstwo. I odtąd go też we wszystkiem kopiował, tak dalece, że wielu z jego towarzyszów się zbuntowało, nie chcąc iść nowemi drogami (str. 251—252). Niech Dominikanie biorą w obronę swego założyciela, nie będzie im to zapewne trudno, sam bowiem autor przyznaje, że historya zakonu św. Dominika wolna jest od zaburzeń i rozdwojeń, jakie rozdzierały następnie Franciszkanów, właśnie z powodu tego, że św. Dominik nadał im regułę, licząc się z praktycznemi względami i wymaganiami rzeczywistości. P. Sabatier daremnie więc usiłuje postępowanie kardynała Ugolino, a następnie Grzegorza IX., przedstawić jako coś niehonorowego (str. 265), gdy starał się idealne przepisy św. Franciszka ująć w praktyczne i wykonalne formy. Również nic to nie ubliża św. Dominikowi, że zakon jego „nietylko za-

twierdzony, ale właściwie założony został przez papieża“ (str. 267), bo katolicy wszyscy dobrze rozumieją co to znaczy.

Autor nie może np. pojąć, jak mogła istnieć przyjaźń pomiędzy św. Franciszkiem a kardynałem Ugolinem (str. 277), podczas gdy nam katolikom wydaje się to bardzo zrozumiałem. Kardynał wielbił św. Franciszka, ale wiedział dobrze, że jego zakon nie będzie się składał ze świętych Franciszków, tylko Franciszkanów i dlatego uznawał potrzebę reguły, ułożonej dla ludzi a nie dla Świętych.

Już też za życia św. Franciszka zachodziły wypadki, dowodzące że Stolica Apostolska się nie myliła w obawach swoich, bo wiadomo, że jeszcze za życia św. Franciszka, mianowicie w czasie jego pielgrzymki do Ziemi Świętej, usiłowała jedna część braci złagodzić przepis absolutnego ubóstwa.

Również i na innym punkcie nie mógł zakon pozostać wiernym pierwotnej myśli swego założyciela, bo mając wychowywać z pomiędzy siebie kapłanów, musiał ich kształcić w naukach. To także gniewa pana Sabatier i daje powód do nowego zarzutu Kościołowi katolickiemu. „Pod pozorem, że naukę należy oddać w służbę Boga i religii, Kościół wywołał najgorszy grzech — pychę. Niektórzy poczytują mu to za chwałę, lecz to będzie jego największą hańbą“, bo „teologia zabiła religię“ (str. 320). Na dowód przytacza ten argument, że Pan Jezus nie zasiadał w szkole rabinów i że Apostołowie byli nieuczeni. Wielka racya, tylko że Pan Jezus był Bogiem, Apostołowie mieli dary Ducha Św., a p. Sabatier nie pisałby z pewnością tej książki, gdyby się nie był naukom oddawał. Gdyby zaś Franciszkanie byli zupełnie nauki zaniedbali, nie mielibyśmy św. Bonawentury, a protestanci czyniliby nam jeszcze śmielej zarzut ignorancyi, z którym się tak często spotykamy.

Cały rozdział XVII., w którym autor opowiada o stygmatach św. Franciszka (1224), jest napisany z takim zapałem, że czytelnik zapomina o „tandecie kalwińskiej“. W wigilię podniesienia św. Krzyża, spędził Święty całą noc na modlitwie. Nad ranem miał widzenie, a gdy przyszedł do siebie, uczuł ból dotkliwy i spostrzegł na swem ciele ślady męki Pańskiej. Jesteśmy wdzięczni p. Sabatier za tę delikatność, że nie przykłada tutaj skalpelu zimnej krytyki do ran Świętego, ale zostawia tę operacyę do osobnego dodatku, na końcu swego dzieła, w którym kwestyę stygmatów obszernie rozbiera (str. 401—412). Mniejsza o to, że tam usiłuje wytłumaczyć te znaki jako objaw naturalny. Już Strauss i Spinoza zbijali przed nim wszelką wiarę w cuda w ten spo-

ob, że przyszłym zdobyczom naukowym pozostawili wytłumaczenie tego, czego obecnie jeszcze nauka wytłumaczyć nie umie (str. 402). Nam to chwilowo wystarcza, że autor przyjmuje stygmata za fakt rzeczywisty.

Również następne dwa rozdziały, (XVIII.) poświęcony „pieśni o słońcu“ *(laudes creaturarum)* i następny (XIX.) opisujący ostatnie dwa lata żywota Świętego, są wielkiej piękności. Żegnając górę Alwerni, na której doznał nadzwyczajnej łaski stygmatów, śpiewa Święty prześliczny kantyk, nad którym nawet Renan tyle się unosił. Wiadomo, że św. Franciszek tak był rozmiłowany w przyrodzie, że nawet ptaszki nazywał braćmi i siostrami, a jaskółki, posłuszne jego rozkazowi, przestały hałasować, żeby Święty mógł bez przeszkody modlitwy odprawić. Poczem, za jego pozwoleniem, rozpoczęły na nowo świegotaniem chwalić Pana Boga. Powrót Świętego do Porcyunkuli, gdzie pragnął umrzeć, jest tutaj opowiedziany ze wszystkiemi niezmiernie zajmującemi szczegółami. Lud wybiega wszędzie tłumnie na powitanie „biedaczka Bożego“, ale siły jego nikną coraz bardziej. Lekarze ratują jego zdrowie jak umieją. Między innemi palą mu czoło rozpalonem do białości żelazem, a kiedy bracia, nie chcąc patrzeć na takie męczarnie, uciekają on ich karci łagodnie i mówi: „bracie lekarzu, jeśli tego trzeba, możesz powtórzyć swoją operacyę“. Środki te jednakże nie skutkują, lecz Pan Bóg zsyła anioła, który cudowną muzyką rozwesela serce Świętego (str. 359). Do cierpień fizycznych przyłączyła się bowiem troska, że zakon, przezeń założony, nie wytrwa w pierwotnej doskonałości, i dlatego dyktuje Braciom ostatnie swoje upomnienie, które kończy gorącą do Boga modlitwą (str. 373). Jednakże tym, którzy go otaczają, każe wciąż śpiewać pieśń na pochwałę przyrody, do której jeszcze dodaje nową zwrotkę na pochwałę śmierci. W ten sposób „śpiewając szedł naprzeciw śmierci“. Zbliżają się wreszcie Bracia, niosący na ramionach swojego ojca, do Asyżu, a Święty, mijając szpital trędowatych, w którym rozpoczął pierwsze służby swoje, każe się posadzić na ziemi, aby po raz ostatni zobaczyć z daleka i pobłogosławić swojemu gniazdu rodzinnemu.

Przybywszy wreszcie do Porcyunkuli, dyktuje swój testament i każe aby go położono na gołej ziemi, żeby umierać w objęciach „swej pani-ubóstwa“, i 3 października 1226 r. kończy cichą, spokojną śmiercią. Bracia niosą ciało Świętego i nadkładają umyślnie drogi aby przejść pod oknami klasztorku św. Klary, aby go siostry mogły pożegnać po raz ostatni. Nie minęły dwa lata, a już do Asyżu przybywa

przyjaciel osobisty Świętego, Grzegorz IX., na uroczystą kanonizacyę we wspaniałej bazylice, którą kazał zbudować. Nawet ta bazylika gniewa p. Sabatier'a i to poczytuje za grzech papieżowi, że jest tak pyszna i bogata, bo wyraża przepaść pomiędzy ideałem św. Franciszka, a tem co papież z niego zrobił (str. 399). Nie będziemy się już o to z autorem sprzeczali. Jeśli jednak w jednej z bardzo licznych recenzyj, jakie o niniejszej książce drukowano, powoływano się na to, że autor otrzymał list pochwalny od Leona XIII., to Sekretaryat Stanu już wyjaśnił w *Osservatore romano* z 24 kwietnia r. b., że podziękowania, posyłane autorom z polecenia Ojca św., są tylko prostym aktem grzeczności, ale nie aprobatą. Myśmy zaś obeszli się z tem dziełem dlatego tak pobłażliwie, żeśmy przyzwyczajeni ze strony protestantów do stokroć gorszych wycieczek przeciw Kościołowi.

Ks. Chotkowski.

Institutiones theologicae dogmaticae specialis. *R-mi P. Alberti a Bulsano,* recognitae ect. a *P. Gottfried a Grann Ord. Cap.* Tom I. De Deo in se spectato, de Deo Creatore et Redemptore. Oeniponte 1893. Libraria cath. societatis. (Pag. 869).

O. Albert Knoll, zwany także a Bulsano, wydał od r. 1853 do 1859 dzieło w sześciu tomach, pod tytułem: *Institutiones theol. dogm.*, a przed niedawnym czasem wyszła jego „Teologia fundamentalna", opracowana wedle wymagań dzisiejszej umiejętności, przez O. Norberta Tux'a, tegoż samego zakonu co i O. a Bulsano. Obecnie takąż samą pracę zadał sobie O. Tux nad moralną teologią O. Alberta, której można było zarzucić, że część spekulatywna cokolwiek była zaniedbaną, a za to pozytywna zbyt wiele miejsca w dziele zajmowała. Jest to wadliwe, gdyż dzieło teologiczne nie powinno być jedynie jakimś wyższym katechizmem. Nowe wydanie teologii O. Alberta jest zatem zupełną przeróbką starego dzieła, a przez to samo nową książką, w której na każdej karcie występuje scholastyczna spekulacya.

Czcigodny wydawca nie posunął wprawdzie naprzód teologicznej umiejętności nowemi wywodami, ale z nowszych autorów doskonale wybrał te właśnie dowody, które najlepiej wyjaśniają znane prawdy teologiczne. Różnice w zapatrywaniach teologów są wszędzie podane, a błędne twierdzenia obecnych czasów daleko lepiej odparte, niż w dawnem dziele O. Alberta, w którem niemało błędów zupełnie nawet pominięto.

Dzieło to w obecnem opracowaniu może oddać wielkie usługi księżom, w ich prywatnych studyach teologicznych, a dowody przytoczone z dzieł Ojców Kościoła są bardzo pożyteczne dla uczniów teologii, obznajmiają ich bowiem niemało z duchem chrześcijańskiej starożytności.

Musimy także zauważyć, iż tekstów łacińskich nie wolno naruszać niemieckiem tłumaczeniem.

Krytyczne opracowanie poglądów czcigodnego wydawcy, nie leży w zakresie *Przeglądu*, należy ono raczej do specyalnego teologicznego czasopisma.

Z literatury angielskiej.

Książka posła Popowskiego w angielskiem tłumaczeniu. — Naturaliści francuscy w Londynie. — Rozwój poezyi. — Biografie przywódców katolickiego ruchu w bieżącem stuleciu. — Spuścizna po Newmanie i Manningu. — Oksfordzkie publikacye. — Religijne i historyczne studya. — Praca Morfilla o Polsce. — Benedyktyńskie dzieła. — Opisy zaoceańskich krajów; wrażenia z podróży. — Pamiętniki. — Sprawozdania z dziedziny polskiej literatury.

Olbrzymie dzierżawy, podlegające berłu dumnego Albionu, tem ważniejsze znaczenie nadają każdej książce po angielsku napisanej i wydanej, że ona przemawia do kroci poddanych królowej Wiktoryi. Patrząc z blizka na przerażający i przygniatający ogromem wzrost rosyjskiej potęgi, zapominamy nieledwie, iż jakkolwiek bezmierne przestrzenie rozciągają się od Polski do Kamczatki lub stoków Pamiru, zaludnieniem swych kolonij, oraz ich rozmiarami, Anglia przerasta jeszcze państwo carów rozległością i liczbą mieszkańców; czy i siłą wewnętrzną i oporną? trudno rozstrzygnąć, w przededniu sporu rozgrywającego się i zaostrzającego wciąż na azyatyckiem pograniczu wysuniętych obu potęg posterunków, gdzie u stóp „Dachu świata“, w miejscu kędy uczeni badacze mieszczą ślad utraconego ziemskiego raju, zetrzeć się muszą w ostatecznem spotkaniu wrogie sobie hasła i znaki, i rosyjski niedźwiedź z lampartem angielskim zwiedzie bój na śmierć lub życie. Kto zwycięży, kto z zwycięstwa skorzysta? orzec dziś trudno, odgadnąć niepodobna. A tymczasem szczep żółty, rasa chińska, przygląda się współzawodnictwu zachodnich mocarstw, wyczekuje ich osłabienia się nawzajem utrwaloną zazdrością, a może wkońcu sięgnie po przewagę, i zaleje świat falą taniego robotnika, dla przeludnienia Niebieskiego państwa wyrzuconego z własnych granic

na podbój reszty świata. Książka posła Józefa Popowskiego, dotycząca owej kwestyi, doczekała się i angielskiego tłumaczenia, i przychylnej oceny ze strony krytyki angielskiej. Szkoda tylko, iż w autorze upatrują Niemca, i o pisanie z niemieckiego punktu widzenia go pomawiają. *The rival powers in Central Asia,* oto angielski tytuł książki naszego posła. Znaczenie jej podniosło się szerszą przedmową, dostarczoną przez jednego z wyższych urzędników biur geograficznych Indyjskiego Zarządu. Oddając najzupełniejszą słuszność nagromadzonym przez autora i doskonale uporządkowanym wiadomościom, krytyka angielska nie godzi się wszelako na jego polityczne konkluzye i wywody, z pewnym szowinizmem narodowym ufając w zbrojny opór stawiany postępom Rosyi i broniąc zakwestyonowanej wartości angielskiego wojska w Indyach.

Rok 1893 zaznaczył się niektóremi osobnemi rysami i zwrotami w literaturze angielskiej. Wczoraj jeszcze tłumacz „Nany“ i „Ziemi“ dostawał się za kraty więzienne — dziś Londyn fetuje autora wywołanych powieści. Przed kilkoma laty, Jerzy Moore był może jedynym romansopisarzem twierdzącym, iż powieść ma być odzwierciedleniem życia, nawet gdy życie to jest wstrętne lub brudne, ogólne przeciw sobie wywołujące oburzenie. Dziś tryumfalne przyjęcie Zoli, stwierdza stanowczy zwrot w powieści angielskiej, wprzężonej w rydwan skrajnego realizmu. A choć rodzaj nowelek, i za cieśninę Kaletańską sięgnął po przewagę nad kilkotomowem opowiadaniem, i tu nie brak dowodów zwycięstwa naturalizmu, a sameż pióra kobiece dziś nie sromają się traktować kwestyj i przedmiotów niegdyś unikanych wśród męskich nawet przy butelce rozhoworach.

Dziwną sprzecznością, gdy z jednej strony przemaga skłonność do zanurzania się w błocie, z drugiej widnieje żądza przypięcia sobie skrzydeł, aby uciec w błękity. Sami księgarze przyświadczają rozbudzonemu popytowi na poetyczne płody i wydawnictwa, stwierdzają poczytność wierszy, które płyną znów dzisiaj nieco obfitszą falą. Wielkiego poety dotąd nie widać, i jest może trochę śmieszności w peryodycznem witaniu przelotnych metecrów tytułem gwiazdy, lub mianowanie skromnego talentu geniuszem. A jednak może to zdrowy objaw, lepszy w każdym razie od ugrzęzłej w materyalizmie obojętności uprzedniego okresu.

Z daleka przywykliśmy w Anglikach upatrywać naród handlarzy, plemię kupieckie, zaprzątnione wyłącznie zyskiem i dobrobytem, kiedy tymczasem odwieczne zagadnienia nie przestają tu zajmować nietylko

wyższych i wyjątkowych umysłów, lecz nawet szerszych kół czytających i myślących. I oto w zmateryalizowanej na pozór Anglii, przejawia się przedewszystkiem jakieś nie zawsze jasne, nie zawsze proste, ale zawsze szczere i usilne szukanie duszy ludzkiej, duszy nieśmiertelnej, której istnienia niedawno zaprzeczali agnostycy lub skrajni w swych konkluzyach pozytywiści. Owo szukanie nieraz zmyla drogi, przerzuca się na szlaki spirytyzmu, ugania się za zwodniczemi światłami i błędnemi ognikami, ale nieraz co innego zbiera aniżeli się z zasiewu spodziewać było można, i manowcami dochodzi na szlaki prawdy. Inny to ruch, niemniej atoli ożywiony jak ten, który przed pół wiekiem skupił się w Oksfordzie i przywiódł tylu rozbitków do przystani wiary, tylu pątników prawdy do jej nieśmiertelnych wybrzeży. Czując może pewne powinowactwo dążeń i dusznego niepokoju między bieżącą chwilą a okresem, który się w połowie bieżącego stulecia zamknął nawróceniem Manninga, Newmana i innych koryfeuszów odradzającego się na ziemi angielskiej katolicyzmu, spółcześni pisarze zwrócili się z upodobaniem ku tej epoce duchowego przełomu i rozkwitu zarazem. Katoliccy i protestanccy autorowie współzawodniczą w czerpaniu ze spuścizny wybitniejszych ruchu oksfordzkiego przedstawicieli. Spadkobiercy jednego z dostojników anglikańskiego kościoła, kanonika Liddona, wydają i uzupełniają jego olbrzymią biografię nieszczęśliwego Pusey'a, który przywiódłszy przyjaciół swoich i towarzyszów do portu prawdy, sam do niego zawinąć nie zdołał, przyrównany przez Piusa IX. do dzwonu co wzywa wiernych na nabożeństwo, lecz pozostaje poza murami świątyni. Zbyt obszerna biografia zakrawa na kopalnię materyałów raczej aniżeli na wyczerpujący życiorys męża, który dał początek i pochop prześcigającemu jego własne zamiary ruchowi. Historyograf Pusey'a stoi na gruncie protestanckim, i nie umie sobie też wytłumaczyć owego prądu łaski, który niebawem miał unieść jednych a zostawić drugich, rozłączając niepowrotnie towarzyszów oksfordzkiego zwrotu.

Najsilniejszem może ogniwem onego związku dusz, najbardziej wpływowym czynnikiem w skierowaniu ku Rzymowi serc niezaspokojonych chłodem anglikańskiego kościoła, był niezaprzeczenie William Ward. On bodaj pierwszy z pośród Oksfordczyków dał przykład stanowczego kroku. Gdy we wrześniu 1845 r. wrócił na łono katolickiego Kościoła, domyślano się od razu, iż niebawem za sobą Newmana pociągnie. Syn wielkiego konwertyty przystąpił z miłością do odwzorowania ojcowskich walk i zasług. Walki zapełniły część pierwszą podjętej roboty. Obecnie p. Wilfrid Ward pod tytułem: *William George*

Ward and the Catholic revival, kreśli obraz życia dzielnego szermierza, odkąd znalazł prawdę i pokój, a żarliwą służbą wywdzięczał się Kościołowi, dobrej matce, który go przytulił do łona. Zaczem wstaje przed nami ta postać oryginalna i w swoim rodzaju jedyna, mieszcząca prostotę dziecka w kształtach olbrzyma, wzór pokory zespolonej z największą nauką i najświetniejszemi darami umysłu i serca, nareszcie uosobienie zdrowia duszy i ciała, stwierdzonego niezamąconem weselem synów Bożych. Humor niezrównany, kipiący dowcip i fantazya, cechowały-bo Warda przez cały ciąg jego życia, niewoląc mu liczne i wyborowe przyjaźnie. Umiał je ocenić, owszem, zamłodu doznawszy snać jakichś bolesnych rozczarowań, tem czulszy stał się na ludzką dobroć i przychylność, a mawiał nieraz, jak długo mu się serce krwawiło przeczuciem, iż go nikt nie kocha. Od ślubu przestał doznawać owego sieroctwa duszy, nie przestał łaknąć życzliwości ludzkiej. Z kolei „dzielny szermierz wiary", jak go nazywa napis grobowy, szukał drogi najczynniejszej służby. Zanim stanął na czele *Dublin Review*, znamienitego katolickiego przeglądu, przez siedm lat z rzędu był profesorem filozofii dogmatycznej w kolegium św. Edmunda, usiłując zgotować Anglii pokolenie światłych i pobożnych kapłanów. Ten świecki nauczyciel, nasycony znajomością Ksiąg świętych i pism Ojców Kościoła, bynajmniej teologii nie traktował jako abstrakcyę, lecz raczej się troskał o ukształcenie duchownego powołania. W dogmatach szukał on nie tyle wykładu teologów, ile raczej pokarmu Świętych. Wpływ jego na uczniów i słuchaczy w równej mierze był etyczny jak intelektualny. „Nieraz podczas wykładów — wspomina dzisiejszy kardynał-arcybiskup Westminsteru — słuchacze z podziwem przyglądali się profesorowi, który w ręku trzymając swe zapiski, wylewał potoki, strumienie najjaśniejszych wywodów, stosując je do codziennego życia i powinności, popierając wykład swój żarem słowa, oraz własnem wzruszeniem. Nieraz bowiem głos jego drżał cały i łzy obficie mu się z oczu puszczały", tak serce jego gorąco się przejmowało doktryną, którą z niezrównanym wykładał ogniem. Oczywiście, nie brakło przeciwników, którym się nie podobało obsadzenie teologicznej katedry świeckim nauczycielem. Odniesiono się do samego papieża w tej sprawie. Atoli Pius IX. dowcipnym żarcikiem zamknął usta dostojnikowi Kościoła, który się domagał usunięcia Warda: „Chyba niewystarczający to zarzut przeciw mężowi, służącemu Bożej sprawie i dziełu, że otrzymał on ten właśnie Sakrament, którego ani ja, ani waszmość, przyjąć nie możemy". Gdy po upływie lat kilku znaleziono dla Warda duchownego zastępcę, ujął

on ster dublińskiego czasopisma, występując przedewszystkiem jako wróg wszelkiego odcienia liberalizmu w zasadach katolickich. Powtarzał, iż liberalizm zdolen jest zatrzeć katolickie pojęcia, lecz sam nigdy się nie da ogarnąć i owiać katolicyzmem, zaczem wojował zacięcie przeciw wszelkim liberalizującym katolikom, a gdy przyszły pamiętne orzeczenia Piusa IX., przyjął je z uniesieniem i zachwytem, upatrując w papiestwie jedyną rękojmię ładu i porządku w epoce umysłowej anarchii, wśród spustoszenia krytycyzmem zdziałanego. „Radbym co rana wespół z *Times*'em odbierać nową bullę papieską", powtarzał narażając się na utratę przyjaciół, raczej aniżeli by miał się dopuścić jakiegobądź zasadniczego ustępstwa. Typ to był skończony pełnego żywotności i kipiącej energii Anglika. Sprzeniewierzał się chyba charakterowi prawowitego syna Albionu wstrętem do narodowych sportów. Gdy mu lekarze takowe dla higieny zalecili, codziennie używał konnej jazdy w manežu, nigdy w tem osobliwej nie znajdując rozkoszy. Gdy go raz pewien zagorzały sportman zapytał, azali lubi swoje konie, odparł żywo: „Chyba mnie jeszcze spytasz, czy lubię i pigułki przez doktora mi zapisane?" Cała książka ożywiona jest konceptami nieporównanego humoru jej bohatera, a krytyka angielska podnosi takt, delikatność i miarę synowskiego biografa, który kreśląc dzieje ojca i katolickie odrodzenie *(revival)*, umiał to uczynić w ten sposób, iż zjednał sobie nietylko katolickich, lecz i protestanckich czytelników, żadnem ich słowem nie urażając. Odpowiada to całemu życiu Williama Warda, który potrafił zachować stosunki przyjaźni z najróżniejszymi ludźmi, z lordem Tennyson, profesorem Huxley, Ruskinem, Gladstonem i t. d. i t. d. Spotykali się oni na zebraniach Towarzystwa metafizycznego, złożonego z najskrajniejszych żywiołów, które się wzajemnie ścierały lub uzupełniały. „Abstrakcyjni myśliciele uczyli się tu konieczności jasnego i praktycznego wysłowienia, a mężowie stanu lub prawnicy wydobywali się z ciasnej rutyny biurowych zajęć, aby rozwijać skrzydła myśli i folgować intelektualnym potrzebom".

Acz świecki człowiek, Ward dla wielu pozostał ojcem dusz, kardynałowie Wiseman, Manning i Vaughan, najlepszego w nim mieli doradcę. Starsi nawet ludzie zdawali się na jego sąd i zdanie, jak dzieci na wolę doświadczonego rodzica.

Jednocześnie niemal z życiorysem Warda, pojawiła się biografia innego znakomitego konwertyty, sierżanta Bellasis. Tytuł to nie wojskowy, lecz prawniczy, przywiązany do wyższego w palestrze urzędu. Bellasis znajdował się daleko od wszelkich katolickich wpływów, co

potęguje znaczenie jego powołania ku prawdzie. Owszem, nasycony od dzieciństwa sekciarską do papizmu nienawiścią, w Lutrze i Kalwinie upatrywał ludzi świętych, od Boga zesłanych, aby zreformować Kościół. Podróże po kontynencie starły w części owe uprzedzenia, wrażeniem chłodu, który go ogarniał, ilekroć z krajów katolickich do własnej ojczyzny powracał. Zetknięcie z katolikami wielce się przyczyniło do wzbudzenia w nim żądzy szukania prawdy. Ich pobożność, uszanowanie dla najświętszych tajemnic i potrzeba odżywiania duszy modlitwą, zastanawiały go niewymownie. Katolickie w Anglii domy zachowały coś z żarliwości katakumb. Ilekroć w nich gościł Bellasis, dziwnego doznawał wzruszenia, bądź gdy patrzył na słynnego naturalistę, Watertona, któremu wesołe w towarzystwie usposobienie nie przeszkadzało sypiać na gołej ziemi, odprawiać rannej medytacyi, mnożyć umartwień i pobożnych praktyk — bądź gdy zachodząc przypadkiem do kaplicy zamkowej, w chwili gdy myśliwska drużyna wyruszała na łowy, i konie i sfory czekały już w bramie, spostrzegał lorda Herries w czerwonym fraku, w butach z ostrogami, klęczącego u kratek ołtarza i zatopionego w myślnej modlitwie. Zetknąwszy się z przywódcami oksfordzkiego ruchu, Bellasis zaczął coraz bardziej się zagłębiać w odwiecznych zagadnieniach. Tak atoli wszystko ważył i brał na rozum, iż pewien znamienity duchowny powątpiewał, aby mu czasu i życia starczyło na usunięcie tylu piętrzących się zewsząd wątpliwości. „Ten już chyba nigdy do Kościoła nie zajdzie — mawiał uczony dr. Schöll z Trewiru — nadto on ma przeróżnych skrupułów". Potrzeba ugięcia niesfornego ducha pod jakąś nieomylną, rozstrzygającą powagą, zniewoliła Bellasisa do kroku stanowczego. „Posłuszeństwo Kościołowi jest kamertonową nutą katolicyzmu, niezależność oraz prawo osobistego zdania i sądu, przewodniem tętnem protestantyzmu. Każdy protestant, jeśli chce żyć wedle zasad swoich, musi sobie sam dobrać i wynaleść religię, a zadanie to nieskończone, któremu nigdy podołać nie jest w stanie, skoro czas, który winienby być poświęcony posłuszeństwu i wypełnianiu zakonu, uchodzi w daremnych usiłowaniach, aby sobie ów zakon odkryć i wytworzyć". „Trzeba nam się zabrać do poprawy kościoła", ozwał się raz jeden z protestanckich przyjaciół do Bellasisa. „Przeciwnie — odparł zagadniony — pragnę kościołowi powierzyć mą naprawę osobistą".

Coraz to nowe skarby wyłaniają się z piśmiennej spuścizny dwóch wielkich kardynałów angielskich. Jednocześnie pojawiły się medytacye Newmana i zbiór świeckich artykułów Manninga, rozpierzchłych po różnych dziennikach. Pod tytułem: *Pastime Papers*, otrzymujemy rozprawy

o honorze, popularności, dumie i próżności, o demonie Sokratesa, o czwartym stanie, obejmującym redaktorów i prenumeratorów dzienników, o odwadze, egoizmie i t. d. Znakomitą jest mianowicie rozprawka o honorze, następną zakończona konkluzyą: „Honor nie jest tedy ceną, jaką świat do człowieka przywiązuje, lecz raczej wartością, którą sam sobie przypisuje“. Prześliczne medytacye kardynała Newmana są fragmentem nabożeństwa całorocznego, księgi, którą pragnął dla użytku wiernych ułożyć. Zaledwie częściowo dopełnił zamiaru, szeregiem majowych rozmyślań o litanii loretańskiej, dalej drogą krzyżową i postnemi medytacyami, które w trzeciej części się rozszerzają, obejmując główniejsze punkta chrześcijańskiej doktryny.

Często spotykać przychodzi te same nazwiska w dziedzinie katolickich wydawnictw. I oto znowu O. Bernard Ward kreśli nam dzieje głównego, przez czas dłuższy jedynego seminaryum duchownego w Anglii, kolegium św. Edmunda w Old Hall. Kronika ta nabiera tem większego i szerszego znaczenia, że obejmuje całość trzechwiekowych usiłowań, podjętych przez katolików angielskich, dla zapewnienia katolickiego wychowania dziatwie prześladowanych. Gdy za panowania Elżbiety spróbowano wyplenić dawną wiarę ustawami, wymierzającemi najsroższe kary przeciw rodzicom i nauczycielom, dbałym o zachowanie jej w sercach uczącej się młodzieży, kardynał Allen w Donai, później w Saint Omer, otworzył przystanie nauki dla uciśnionych współrodaków. Długo katolicy angielscy tutaj wysyłali potajemnie synów swoich, chcąc im zapewnić zbożne wychowanie w ojców zasadach i wierze. Gdy nieco łagodniejsze nastały czasy, a biskup Talbot, syn hr. Shrewsbury, jeden z ostatnich kapłanów, narażonych na śledztwo i karę za odprawienie Mszy św., w 1771 r. nabył Old Hall pod Hertford, umyślił tamże otworzyć kolegium, które się niebawem rozwinęło w seminaryum duchowne, chociaż jeszcze w onych latach każdy katolik, podejrzany o nauczanie, mógł być wedle ustawodawstwa krajowego na całe życie uwięzionym. Wtem wybuchła rewolucya francuska, a motłoch nie oszczędził obu kolegiów angielskich w Donai i St. Omer. Zaczem rozbitki stąd wróciły do ojczyzny, nowy zagajając okres świetności dla seminaryum w Old Hall, które tymczasem jęło swobodniej się rozwijać i dostarczać Anglii gorliwych kapłanów, przybliżających królestwo Boże na wyspie niegdyś wianem Najśw. Panny nazwanej. Roczniki zakładu, spisane przez obecnego kierownika, wskazują, jak uciśnione narody i wyznania mogą sobie zdobyć i wywalczyć dobrodziejstwo nauki chrześcijańskiej.

Obok monografii miejscowości i biografij mężów znamienitych, nie brak i życiorysów ludzi mniej głośnych niż owi naczelni konwertyci, których imię i sława od dawna do nas doszły. Wspomnijmy tu żywot O. Augusta Law, z Towarzystwa Jezusowego, nakreślony przez Ellis'a Schreiber. Syn duchownego protestanckiego, wychowany w anglikańskim kościele, od dzieciństwa okazywał owe katolickie instynkta, które nieraz uprzedzają nawrócenie. Wstąpił do marynarki, a nieprzejrzane mórz przestrzenie i dalekie żeglugi, rozwinęły jeszcze w młodzieńcu tęsknotę za nieskończonością. Gdy ojciec jego, porwany oksfordzkim ruchem, przeszedł na łono rzymskiego Kościoła i czuł się w obowiązku usprawiedliwić się z onego kroku wobec synów, młody marynarz wnet przykładem rodzica pociągnięty, prześcignął go jeszcze na drodze doskonałości; wkrótce bowiem po swem nawróceniu wstąpił do zakonu Jezuitów, a następnie wysłany na misye do Afryki południowej, ofiarą życia przypieczętował swe poświęcenie.

Świeżo Towarzystwo Jezusowe poniosło w Anglii dwie dotkliwe straty najczynniejszych swych członków i najprzedniejszych pisarzy. Zgasł O. Henryk Coleridge, z możnego domu pochodzący, autor „Żywotu Zbawiciela", o którym wspominaliśmy na tem miejscu przed rokiem, a niemal jednocześnie padł na wyłomie wśród niedzielnego kazania Ojciec Morris, głośny wydawca roczników męczeńskich: *The troubles of our catholic forefathers*, w chwili gdy się zabierał do spisania tyle ciekawego i znaczącego żywotu kardynała Wisemana. Nie wiadomo, kto dziś podejmie owo zadanie, kto skorzysta ze znojnie nagromadzonego materyału. Celował w podobnej robocie O. Morris, a zebrane przezeń pamiątki i wiadomości z okresu krwawego prześladowania, niemało się przyczyniły do przyspieszenia beatyfikacyi angielskich męczenników i przysporzenia Anglii uczczonych patronów.

Nie można wejrzeć w życie i literaturę angielską, żeby natychmiast nie zawadzić o Oksford. I tak z rąk p. Shadwell otrzymujemy metryki sławnego Oriel-college p. t. *Registrum Orielense;* p. Fowler pióro swe i prace poświęca kolegium zwanemu *Corpus Christi;* inny znów towarzysz starej szkoły, Fellow, wydaje szereg prac różnych autorów o dzisiejszym stanie oksfordzkiej wszechnicy, stosunkach i życiu uczącej się tu młodzieży. Spotykamy się kilkakrotnie z ubolewaniem, iż wśród mnóstwa studentów, zaledwie połowa ubiega się o stopnie uniwersyteckie, reszta zaś bez wyraźnego naukowego celu gości tu przelotnie, hołdując staremu obyczajowi bardziej aniżeli żądzy wiedzy. Corocznie wszelako około sześciuset studentów otrzy-

muje stopnie uniwersyteckie. Dowiadujemy się dalej, iż kontyngens studentek dziś już stanowi cztery procent ogólnej liczby słuchaczy starej szkoły. Z nowszych publikacyj, które się do niej odnoszą, najkrótsza, może najświetniejsza dowcipem i pewną głębokością poglądów nosi tytuł: *Aspects of Modern Orford by a mere Don.* Satyryczne pióro z lekka dotyka zmiennych kolei oksfordzkiego systemu i ducha. Jakim był cel życia średniowiecznego studenta? Postęp nauki wyłącznie go zaprzątał. Jakiż jest cel życia dzisiejszego studenta? Nauka jest najczęściej tylko poboczną onego stroną. Dawny student żył dla uniwersytetu, nowoczesny żąda aby uniwersytet dla niego istniał. Wtedy, podobnież jak dzisiaj, kwestya karności i ładu zaprzątała władze szkolne. Pilny i spokojny młodzian chronił się w murach kolegialnych przed napaścią ulicznych swawolników. Dziś po trochu się stan rzeczy odmienił: średniowieczny bedel kijem lub toporkiem zbiegowiska rozpędzał, dziś ulice wzorem bywają porządku, natomiast anarchia zbyt często panuje wewnątrz szkoły. Średniowieczny student podlegał karze cielesnej, nowoczesny bezkarnie płata figle przełożonym i nauczycielom. Dawniejszy uczeń miał się za dziecko, dzisiejszy za dojrzałego męża. Ćwiczenia gimnastyczne i sporty nieznane były pracowitemu studentowi z XVI. w., dziś zajmują one bodaj wyłącznie czas i życie uczestników oksfordzkiej wszechnicy. Mnóstwo ilustracyj dopełnia cięte spostrzeżenia Oksfordczyka, śledzącego z ironią rdzenne odmiany, które czas wnosi w zakres starej szkoły.

Najpiękniejszą bezwarunkowo książką z ostatnich miesięcy zostało obwołane przez poważną krytykę dzieło p. t. *Plato and Platonism,* przez p. Waltera Pater, pisarza, który skąpo darzy czytelników, ale za to sumiennie opracowywa każdy podjęty przedmiot. Rozwielmożnienie się buddyzmu na Zachodzie, coraz to nowych wzbudza mu badaczy. Do najważniejszych w tym względzie przyczynków zaliczają wyczerpującą pracę anglikańskiego w Colombo biskupa Copleston'a, który religię Nirwany i historyę jej założyciela bada na Cejlonie, i jako biegły znawca wschodnich narzeczy, przedmiot znakomicie opanować potrafił. Sława angielskich *essayiste*'ów nie przygasa, owszem nowego nabrała blasku wydaniem szeregu rozpraw głośnego poety, p. Coventry Patmore, p. t. *Religio poetae.* Religia, sztuka, kobieta, oto główne przedmioty owych świetnych *essaye*'ów, które niebywałe zdobyły sobie powodzenie w Anglii, jednym dowodem więcej, do jakiego stopnia anglo-saksońskie plemię jest nawskróś religijnem. Coventry Patmore należy do szczupłego zastępu żarliwych obrońców wiary w zobojętnia-

łym dziś świecie. Chrześcijanin jawny, katolik żarliwy, kawał mistyka, nie zna jednostronności ani zacieśnienia poglądów, i z wolnością synów Bożych roztrząsa najprzedniejsze zagadnienia piękna i prawdy. Protestancka nawet krytyka nie waha się przyznać książce Patmore'a doniosłości i zalet niezwykłych.

Z działu historycznych badań na najwyższą uwagę zasługuje poważne dzieło profesora Ramsay p. t. *The Church in the Roman Empire before A. D. 170.* Księga ta urosła z odczytów publicznych wygłoszonych w Oksfordzie i Cambridge, rozpada się na dwie wyraźne części. Pierwsza wyczerpuje okres objęty Aktami Apostolskiemi, druga studyuje stosunek Kościoła do państwa od panowania Augusta cesarza, aż do r. 170. Profesor Ramsay zwycięsko odpiera błędne teorye niemieckich uczonych, nie lęka się niezbite wysnuwać pewniki, wojując z ustalonemi wśród protestantów uprzedzeniami, sam jednak chyba hołduje pewnym przesądom, gdy się nie ucieka do wyczerpujących prac katolickich uczonych, jak Rossi lub Allard, a raczej osobiście wywalcza sobie zgodne z ich wywodami konkluzye. To też prawdopodobnie przyjdzie mu jeszcze całość poważnej swej pracy przerobić, uzupełniając ją światłem płynącem ustawicznie z grobów i podziemi.

Zanim się pojawi w naszych czasopismach szersze sprawozdanie o książce profesora Morfilla, poświęconej Polsce w historycznem wydawnictwie zatytułowanem: *The story of nations*, ciekawem może być zdanie angielskiej o tem dziele krytyki. „Uczona ta kronika przeszłości polskiej, niewiele okazuje sympatyi dla nieszczęśliwych, którzy historyę onego kraju ukształtowali. Zapewne, trudno się zdobyć na szacunek, a choćby i litość dla ludzi, którzy z taką wytrwałością zawsze szkodliwej chwytali się drogi. A jednak opromienia dotąd Polskę pewien blask przemawiający do wyobraźni. Była to nadzwyczajna republika błędnych rycerzy, których pojęcia rycerskiej cnoty i powinności czysto były wschodnie i oryginalne, a których kultura i wysoka cywilizacya tem jest godniejszą uwagi, gdy się zważy na położenie geograficzne i ciągłe wewnętrzne lub zewnętrzne wojny, które mąciły pokój tej krainy. W czasach gdy Rosya pogrążoną była we wschodniej ciemnocie, a Prusy w zupełnem barbarzyństwie, Polska uprawiała nauki i sztuki, utrzymywała świetny dwór, oraz stosunki z zagranicą. Samowładna, dumna, niezgodna, ale wysoce ukształcona, stara polska szlachta dostarcza najbardziej malowniczych typów w XV., XVI. i XVII. wieku. Dzielność, wspaniałość, zdolność do języków i wrażliwość Polaków, wielkie ich cnoty i wielkie też wady, wywierały bądź

bądź wpływ cywilizujący na ościenne narody, Rosyę, Austryę i Prusy. Wobec tego chyba należało się, aby p. Morfill okazał był więcej pobłażliwości dla tego poetycznego plemienia i mniej surowo osądził Polaków".

Tradycya pracy benedyktyńskiej nie ustaje na arenie angielskiej; wspomnieć tu należy bardzo piękny żywot św. Grzegorza Wielkiego, przez opata Suow, który w osobnym ustępie starannie opracowanym, przypomniał zasługi przez świętego papieża położone około ustalenia śpiewu liturgicznego prawidłami łańcuchem przykutemi do grobu Piotrowego. Wielce pracowitem jest też dzieło ojca Liviusa, Redemptorysty, o kulcie Matki Boskiej w pismach Doktorów Kościoła z sześciu pierwszych wieków. Jeżeli starej w Oksfordzie szkole nie braknie nigdy hołdów, Irlandya, wyspa uprzywilejowana, nosząca tytuł: *Insula sanctorum et doctorum*, doczekała się z rąk biskupa Healy pomnikowego dzieła p. t.: *Ireland's amient schools and scholars;* niejeden stąd rozdział zda się być wyrwaną kartą z nieporównanych „Mnichów Zachodu" hr. Montalemberta, który bodaj najrzewniejsze ustępy poświęcił zakonnemu w Irlandyi życiu, postaciom świętych Kolumbana i Kolumby.

Śledząc doroczny ruch wydawniczy w Anglii, przedewszystkiem uderza mnogość domowych studyów i badań, to jest monografij pojedyńczych okolic, gmachów, miejscowości. Każde hrabstwo osobnych wzbudza dziejopisów i archeologów, każdy zabytek właściwych posiada miłośników. Lecz obok tego wewnętrznego żniwa, naród żeglarzy i wędrowców, oczywiście dostarcza mnóstwa kresowych odgłosów, przedewszystkiem z tej nieznanej Afryki, którą poniekąd angielscy pionierzy za dni naszych odkryli. W pierwszym rzędzie wspomnieć należy obszerną księgę kapitana Lugarda p. t.: *The Rise of our East African Empire*, wznawiającą dzieje religijno-politycznej zamieszki, która wyprowadziła autora na widownię, uwydatniając jego zaślepienie i niechęć przeciw katolickim misyonarzom, którym ostatecznie rząd angielski musiał przyznać faktycznie słuszność. Ilekroć też Lugard stawa na spornym gruncie stosunku wyznaniowego i nienawiści do francuskich misyonarzy, należy z przygodną ostrożnością przyjmować jego świadectwa. Prócz tego jednego zastrzeżenia, niepodobna nie przyznać wielkiego znaczenia obszernej księdze, bądź gdy jej autor roztrząsa przyszłość polityczną wschodniej Afryki i rozstrzygające położenie Ugandy, panującej nad wewnętrzną czarnego kontynentu żeglugą, bądź gdy zapisuje swe wrażenia i spostrzeżenia podróżne z dziedziny fauny równikowej,

lub traktuje sprawę możliwego oswojenia i zużytkowania do domowej posługi różnych dzikich zwierząt wnętrza Afryki.

Podczas gdy kapitan Lugard przeważnie polityczne snuje poglądy, Anderson Bryden z południowej Afryki głównie myśliwskie zapisuje przygody p. t.: *Gun and Camera in Southern Africa.* Dwa zaś pióra niewieście wiodą nas z kolei, to w zaczarowane egipskich haremów progi, to na zaklęte Madagaskaru wybrzeża. Pani Zelie Colville pod nieco zagadkowym tytułem: *Round the black man's garden,* obiegła znaczną część czarnego kontynentu, najbarwniejsze kartki poświęcając wielkiej wyspie położonej nieopodal wschodnich Afryki brzegów. Dziwny ten kraj, gdzie wysoka cywilizacya nie zdobyła się dotąd na drogi i środki komunikacyi, kędy niema prawie koni, a jedynem miejscowem zwierzęciem to lemury, gdzie patryotyzm i cześć dla despotyzmu w jednem się zlewa uczuciu — doczekał się tu jaskrawego opisu. Pańszczyzna, obejmująca tu wszystkie sfery, opłakane dla całego społeczeństwa Madagaskaru wytwarza stosunki i skutki: każdy bowiem zazdrośnie ukrywa swe zdolności i talenta, z obawy aby ich rząd nie wyzyskał bezpłatnem i przymusowem zajęciem. Miss Chennells, nauczycielka córki kedywa Ismaela, kreśli osobiste wspomnienia i doświadczenia p. t. *Recollections of an Egyptian princess.* W niepohamowanej żądzy szybkiego ucywilizowania na modłę zachodnią egipskiego społeczeństwa, kedyw przydał angielską guwernantkę swoim dzieciom. Do piętnastego roku życia, księżniczka Zeyneb zażywała swobody europejskiej dziewczynki. Tem boleśniej uczuła jarzmo wschodniego obyczaju, gdy przyszło jej zamknąć się w murach haremu. Zrazu nauczycielka towarzyszyła jej w one zawarte progi. Stąd miss Chennells poznała dokładnie czczość i nudy życia kobiet na Wschodzie, oraz nieład domowy gospodarstwa Ismaela, marnotrawstwo i bezradność wewnętrznego zarządu pałaców. Odechciało się zaś Angielce jakiebądź zanosić skargi, gdy widziała, iż jedynie ostre plagi na winowajców ściągała, ale prócz owych plag nie odnosiła żadnego skutku swych usiłowań. Pełno tu znalazło się ciekawych szczegółów o ścieraniu się nowoczesnych reform ze starym wschodnim obyczajem, o zanikaniu dawnej martwej cywilizacyi, zastępowanej niestrawnem pochłanianiem płynącej z Europy oświaty.

Miss Marsden darzy nas wspomnieniami odbytej z wielkim trzaskiem i rozgłosem wycieczki w Sybir daleki, p. t.: *On sledge and horseback to outeast Siberian Lepers;* odważna Angielka opisuje swe

przygody i doświadczenia pośród trędowatych, których obdzielała na przemian paczkami herbaty i traktacikami ewangelickiemi. Rozgłos jej wyprawy, przeszedł ostatecznie takowej cele i skutki. Odnalazła może sześćdziesięciu kilku zaledwie trędowatych na tych olbrzymich przestrzeniach, co dowodzi, iż plaga ta nie jest bynajmniej w Syberyi rozpowszechnioną. Ciche poświęcenia ojca Damiana nowego nabierają blasku wobec przechwałek nieco awanturniczej Angielki, która łączy zachcianki niezwyczajnego poświęcenia z głodem wrażeń bodaj spacerowej w nieznane krainy wycieczki.

Na osobną wzmiankę zasługuje trzytomowe dzieło Augusta Hare p. t.: *Two noble Lives*, pozwalające nam wejrzeć w domowe stosunki najprzedniejszych Anglii domów, z okazyi biografii dwóch wykwintnych i wybranych kobiet, hrabiny Canning i margrabiny Waterford.

Na niższe zstępując stopnie społeczne, wspomnieć nam wypada rozgłośny pamiętnik Gutteridge'a, prostego rzemieślnika i tkacza, który, p. t.: *Lights and Shadows in the life of an artisan*, w zajmujący sposób kreśli świetlane lub zachmurzone życia swego koleje, doświadczenia samouka i samodzielnego w walce o byt, oraz mrok pojęć religijnych, który trwały cień rzucił na jego duszę.

Należałoby jeszcze wejrzeć w powieściowe szranki, ale cofamy się przed tem zadaniem, wobec istnego potopu utworów wyobraźni, co tygodniowo pojawiających się na półkach księgarskich. Żadne zresztą celniejsze dzieło nas tam nie uderza, jak i żaden wybitniejszy talent nie podnosi się nad dość pospolity poziom powieściowej twórczości. Godzi się wytknąć coraz częstsze wkraczanie żywiołu izraelskiego w osnowę angielskich romansów. Raz po raz Żyd występuje na tle fantastycznej opowieści, najczęściej przybrany w nadzwyczajną cnotę i hart niezłomny. Jakby nie wystarczały rodzinne utwory, przyswajają sobie i zagraniczne. Widzimy między innemi przekład „Żyda“ Kraszewskiego w poczcie nowości tegorocznych. A jednocześnie ubolewać nam przychodzi coraz więcej nad obojętnością własną i brakiem zapobiegliwości wobec ciekawych obcej produkcyi Anglików. Skorzy do szukania nowych dróg i nowych wrażeń, chętnie dziś oni swe oczy i kroki ku innym zwracają literaturom, gotowi sobie przyswajać obce płody i poznawać obcego ducha twory. Tymczasem my nie troskamy się wcale o przypominanie się zagranicy, nie dostarczamy jej żądanych odgłosów. Rzadkim wyjątkiem, katolicki miesięcznik: *The Month*, świeżo zamieścił w skróceniu nasze wspomnienie o sybirskim proboszczu, co

tak zajęło angielskich czytelników, iż niespodziewanie płynąć stamtąd zaczynają ofiary na rzecz księdza Gromadzkiego. *Tablet* chętnej udziela gościnności wiadomościom o prześladowaniu katolików polskich w Rosyi. Niestety! zbyt szczupłe i rzadkie otrzymując stamtąd echa. Krytyczne *Ateneum* niby zamieszcza półroczne sprawozdania z ruchu wydawniczego w Polsce, tak atoli niezręcznie zrobione, iż licha powieść lub komedyjka szerzej tam bywa wspomnianą, aniżeli wyczerpujące historyczne prace. Kiedyż się otrząśniemy z przygodnego lenistwa i zabierzemy się na seryo do odzyskania utraconego wśród narodów ziemi stanowiska, przynajmniej w dzierżawach ducha, w zakresie żniwa myśli i podbojów wiedzy?!

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dymisye czterech gabinetów. — Węgierskie konwulsye. — Drugi kongres francuskich robotników chrześcijańskich. — Powrót Jezuitów do Niemiec. — Stosunki Rosyi z Watykanem.

DYMISYE CZTERECH GABINETÓW. W przeciągu dwóch tygodni upadły cztery gabinety: Stambułowa w Zofii, Kazimierza Périera w Paryżu, Crispiego w Rzymie i Wekerlego w Peszcie; upadły i — z wyjątkiem może pierwszego — powstały po kilkunastu dniach na nowo, z tym samym programem, z temi samemi występującemi w pierwszej linii osobistościami. Po co te przesilenia, chciałoby się powiedzieć, te komedye? Dlaczego były prezes ministrów, K. Périer, zamienił ministeryalny fotel na fotel prezesa Izby, dlaczego były prezes Izby Dupuy rozsiadł się w fotelu prezesa ministrów, kiedy obydwaj kierują się w gruncie rzeczy, zwłaszcza w zajmującem dziś najbardziej umysły uspokojeniu religijnem, jednemi i temi samemi ideami przewodniemi? Dlaczego Crispi, dlaczego zwłaszcza Wekerle złożyli swe teki, kiedy tak szybko, choć stan rzeczy w niczem na jotę się nie zmienił, napowrót oburącz je pochwycili? Crispi zamyśla podobno przynajmniej wprowadzić pewne oszczędności, które jeśli nie powstrzymają, to odwloką ostateczne bankructwo wycieńczonych, obdłużonych, na głód w ścisłem słowa tego znaczeniu chorują-

cych Włoch; natomiast Wekerle przechwala się, że od kościelnego swego programu, który właśnie przecież upadek jego spowodował, na włos nie odstąpi. A w takim razie — znowu to samo pytanie koniecznie się nasuwa — po cóż do dymisyi się podawał; jak mógł, raz już na odstąpienie od rządów zdecydowawszy się, podjąć się ich napowrót, choć nie otrzymał znikąd — ani od Korony, ani tem mniej od kraju, do którego odwołać się lęka — żądanych gwarancyj, które uważał przed paru dniami za niezbędne, choć z pewnością stanowisko jego w Węgrzech nie podniosło się, ale raczej osłabiło?

WĘGIERSKIE KON-WULSYE. Pytań tych nie oszczędzili Wekerlemu liczni i posłowie i magnaci; nie zapomnieli go też zapytać, jakiem czołem, przemawiając w imieniu odpowiedzialnego przed krajem i parlamentem rządu, śmie wysuwać wciąż naprzód królewską powagę i nią się w rozprawach zasłaniać; jak wystąpić mógł z projektem zgwałcenia i ośmieszenia Izby magnatów przez wprowadzenie do niej za jednym zamachem paru tuzinów świeżo w tym wyłącznie celu kreowanych baronów i hrabiów? Na projekt ten, stojący w jaskrawej sprzeczności z fundamentalnemi zasadami parlamentarnego ustroju i całej konstytucyi, cesarz się nie zgodził; Wekerle musiał rad nierad, w tym przynajmniej szczególe, poddać się woli monarszej, ale niemiłe to poddanie usiłował sobie wynagrodzić, piętnując przeciwników ustawy o małżeństwach cywilnych, jako niemal osobistych wrogów cesarskich, wołając na prawo i na lewo: Kto jest przeciwko mnie, ten jest przeciw cesarzowi. Przywódca katolickich magnatów, hr. Ferdynand Zichy, zaprotestował w bardzo energicznych wyrazach przeciw temu postępowaniu:

„Jako obywatel wolnych Węgier, nie mogę sądzić i nie sądzę, aby prezes ministrów zamierzał przez niezwykłe wprowadzenie na arenę imienia J. Królewskiej Mości, wywrzeć ukrywający się pod pozorami lojalności nacisk na zdanie i sumienie członków Izby magnatów... My z naszej strony nie nadużywaliśmy nigdy w ten sposób imienia J. Królewskiej Mości".

„Bądź co bądź — stwierdzał w Izbie posłów znany dobrze

z ostatnich rozpraw Jan Asboth — niezwykła to broń, wprowadzać w parlamencie oświadczenia królewskie za lub przeciw przedłożonemu projektowi. Nie chcemy stawać w opozycyi przeciw tronowi i nie staniemy; nie chcemy z Koroną polemizować i polemizować z nią nie będziemy. Nie zrzucamy też na Koronę odpowiedzialności za przedłożone nam oświadczenie. W niezwykłej tej, użytej dziś broni widzimy jedynie oświadczenie rządowe, za które sam wyłącznie rząd odpowiedzialność ponosi, a które na nasze przekonanie nie jest w stanie wywrzeć najmniejszego wpływu, najmniejszego nacisku... Dlaczego z pola walki ustąpił hr. Csaky, dlaczego właściwego inicyatora rządowych projektów nie widzimy dziś na rządowej ławie? Sądzę, że nie dla własnej wygody i przyjemności, ale ponieważ zrozumiał, że dalsza walka do niczego dobrego nie doprowadzi. O hr. Csakym powiedzieć można, co przyjaciele byłego ministeryum o wszystkich jego członkach zaręczali, że wrócą z tarczą lub na tarczy. Ale kiedy powrócili bez gwarancyj, bez solidarności, bez Csakego, cóż o nich powiedzieć? Wracają żywi, lecz poranieni!... Zła to polityka, sprowadzać na kraj, sprowadzać za jednym zamachem wszelkiego rodzaju walki: walkę narodowościową, religijną, społeczną; walkę z uczuciami i tradycyami ludu, z Kościołem, z magnatami, a wreszcie i z Koroną. A nie łudźcie się, jakoby walki te skończyć się miały z chwilą zawotowania nowych praw. Wtedy dopiero, gdy te prawa wejdą w życie i szerokie warstwy ludowe odczują idący z niemi rękę w rękę przymus i obrazę sumieniu zadaną; wtedy dopiero ujrzycie wybuchającą z elementarną siłą wojnę religijną i nieobrachowane jej następstwa na stosunki narodowościowe i społeczne, na całe dzieło Franciszka Deaka, na europejską rolę monarchii"...

W Izbie niższej — jak w dzisiejszym składzie inaczej być nie mogło — wnioski rządowe przeszły oczywiście powtórnie — „imponującą, kolosalną, niewidzianą większością", aby użyć frazeologii peszteńskich dzienników. A Izba wyższa? Dla przekonania jej, mówiąc prawdziwiej, dla przestraszenia i zmuszenia do zaparcia się własnego swego zdania, użyto wszelkich możli-

wych i niemożliwych środków: ministeryalnych gróźb i ulicznych manifestacyj. Jak groźby te, tak bardziej jeszcze tolerowane, jeśli nie forytowane przez rząd manifestacye przeszły istotnie wszelką dozwoloną miarę; wzbierające z dnia na dzień ich fale godziły pozornie w Izbę magnatów a uderzały właściwie w sam tron, podmulały fundamenta istniejącego dziś państwowego porządku. Wrzekomo poważni politycy, jak np. poseł Eötvös, jak do pewnego stopnia sam prezes liberalnego stronnictwa br. Podmaniczky, nie zawahali się uciec do pomocy peszteńskich studentów, dziękować im „z głębi serca“ za wiwaty wnoszone na cześć Wekerlego, zaręczać w długich przemowach, że oporni, reakcyi sprzyjający magnaci będą musieli wreszcie ugiąć hardą głowę przed jawną wolą narodu. Studenci klausenburscy, zachęceni trofeami zbieranemi przez swych peszteńskich kolegów, wydali manifest, w którym z całą powagą oświadczają się za kościelnemi reformami. Dla wzmocnienia wrażenia, wywołanego temi mowami i odezwami, zebrano w Peszcie 10.000 dzieci ze wszystkich szkół i szkółek i kazano im pielgrzymować do grobu Kossutha, „duchowego inicyatora wekerlowskich ustaw“. Oczywiście teatry nie pozostały w tyle poza szkołami; rano manifestowali studenci i studentki, wieczorem aktorzy i aktorki, rano i wieczorem rozbawiona uliczna hołota, prowadzona przez liberalnych posłów i dziennikarzów. Dzienniki rządowe, opisując obszernie te szkolno-teatralne procesye, notując skrzętnie do znużenia powtarzane: „Eljen Wekerle!“ nie omieszkiwały każdym razem z patosem dodawać: „Słuchaj! niecna wiedeńsko-rzymska kamaryllo! — oto jasna, święta wola narodu!“

Wola narodu! — do iluż komedyj, do iluż fars mogłaby dostarczyć materyału owa „wola narodu“, o której właściwy naród ani wie, ani wiedzieć nie chce. Bo i któż jest owym „narodem?“ Słowacy, lud głęboko religijny, protestują od dawna przeciw całej kościelnej polityce peszteńskiego rządu; Serbowie wyrazili o niej dosadnie swe zdanie na wspaniałym wiecu w Karłowicach; Rumuni również ani słyszeć o niej nie chcą, jak nie chcą słyszeć i Węgrzy, którzy nie z samego tylko imienia są chrześcijanami. Wierzący katolicy, schyzmatycy, protestanci nie

mają w tym względzie dwóch zdań. „Narodem“ zatem, którym Wekerle i jego organy się zasłaniają, to po prostu nieliczna szajka peszteńskich liberałów z liczniejszą gromadą peszteńskich Żydów, z rozbawionym interesującem widowiskiem tłumem uliczników i studentów. Nie w jednych wprawdzie Węgrzech krzyczący i domagający się przeróżnych reform „naród“ podobny obraz przedstawia; ale nigdzie może obraz ten nie jest tak oczywistą karykaturą. I taki kilkunastotysięczny żydowsko-studencki „naród“, ma właściwemu kilkunastomilionowemu chrześcijańskiemu narodowi prawa dyktować, odwieczne jego tradycye z korzeniem wyrywać, sumienia gwałcić!?...

Przyjęcie ustawy w Izbie magnatów czterema głosami większości, to nowy — nie przesądzamy, czy ostatni — akt tej komedyi. Bodaj tylko zbyt prędko komedya w bolesną tragedyę się nie przekształciła!

DRUGI KONGRES FRANCUSKICH ROBOTNIKÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

Drugi kongres francuskich robotników chrześcijańskich, który w czasie Zielonych Świątek obradował w Reims, nowym jest krokiem na drodze wskazanej przez Papieża w socyalnej jego encyklice, nowym dowodem, że droga ta prowadzi do wspaniałych, praktycznych rezultatów, byle wytrwale i konsekwentnie na niej kroczyć. Ślusarz Robert rozpoczął obrady dłuższą mową, w której rozproszyć się starał obawy, z jakich wielu jeszcze otrząść się nie umie, patrząc na usiłowania chrześcijańskich robotników; w której zarazem kreślił wytyczne linie tych usiłowań:

„Kiedy w roku zeszłym otwieraliśmy pierwszy nasz kongres robotniczy, nie brakło obaw, wątpliwości. I nie dziw; wszak wstępowaliśmy na teren nieznany, wszak sami siebie pytać musieliśmy się: Dokąd zaprowadzi nas ta droga? Wokoło panowała niepewność. Nieprzyjaciele szydzili, przyjaciele wyrażali powątpiewania o szczęśliwym wyniku naszego przedsięwzięcia.

„Dziś, Bogu za to dziękować, pomyślne rezultaty kongresu z r. 1893 pokrzepiły serca. Dziś, zdaje mi się, nikt już nie wątpi, że dokonać zdołamy pracy w owoce bogatej, że obrady

nasze doprowadzić mogą do wyników praktycznych i rzucić pewne światło na ważne społeczne zagadnienia.

„Czyż dziwić się temu należy, gdy w sali tej razem i obok robotników widzimy księży, przedstawicieli klas wyższych, którzy spieszą nam z tak ważną, niezbędnie potrzebną pomocą swego wykształcenia i doświadczenia? Czyż pomyśleć kto może, że takich mając doradców zejdziemy z prostej ścieżki i puścimy się na manowce uchwał zuchwałych, lub niebezpiecznych?... Badając przedłożone sobie pytania, stać będziemy na stanowisku chrześcijańskiem; rozwiązania społecznych zagadnień szukać będziemy w nauce Kościoła i encyklikach Papieża Leona XIII... Nie wynika stąd wcale, abyśmy się mieli wyłącznością kierować. Tak na kongres, jak do naszych „Kółek nauk społecznych“ wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli, bez względu na to, jakiemi rządzą się przekonaniami, do jakiego stronnictwa należą. Bramy tej sali otwarte dla nich naoścież. Przyjmiemy ich jak braci, złączonych z nami pracą i cierpieniami; bo nie powinniśmy zwiększać dźwiganego ciężaru nierozumnemi waśniami. Szeroka ta tolerancya, będąca częścią naszego programu; ta dłoń braterska, którą wyciągamy ku wszystkim uczciwym robotnikom, mogła może w błąd wprowadzić opinię o nas i o programie naszym. Mnie się zdaje, że bronić się nie potrzebujemy... Powtarzam, studyować tu będziemy tylko naukę zawartą w pismach papieskich; w nich prawdę znaleźliśmy, obecnie prosimy, zapraszamy braci naszych, aby w nich prawdy szukali...“

Jakże po bożemu i po ludzku pięknie brzmią te słowa; jakże brzmią inaczej, niż pełne nienawiści, wzajemnych podejrzeń i oskarżeń przemówienia przywódców socyalnej demokracyi! Coraz częściej i głośniej rozbrzmiewają i u nas, niestety! te przesycone nienawiścią wyrazy; czyż, i kiedy, głośno a systematycznie odzywać się zaczną tak rozumne, tak prawdziwie i bez zastrzeżeń chrześcijańskie słowa, jakiemi ślusarski rzemieślnik w Reims otworzył tamtejsze społeczno-chrześcijańskie obrady?

POWRÓT JEZUITÓW DO NIEMIEC.

Berlińska Rada Związkowa nie ma jakoś ochoty zajmować się przekazaną sobie przez parlament kwestyą powrotu Jezuitów do Niemiec. Tem bardziej za to zajmuje się nią publiczna opinia; protestanckie gazety utworzyły stałą „antyjezuicką“ rubrykę, emisaryusze „Związku ewangelickiego“ obiegają Niemcy, ostrzegając i wzywając Boga i ludzi na pomoc przeciw najazdowi jezuickiej hordy; nawet bardzo wysoko, nawet — mówiąc urzędowym stylem — „najwyżej położone osobistości“ przyłączają się do tej kampanii. Zjadliwym artykułom organu Bismarka *Hamburger Nachrichten* dziwić się trudno; nie wychodzi on zupełnie z swej roli i wiernie myśl pana swego oddaje, kiedy zniesienie banicyi ciążącej na Jezuitach przedstawia jako ostateczny tryumf Rzymu i Centrum, depcącego po upokorzonym protestantyzmie. Mniej łatwo zrozumieć słowa króla wirtemberskiego do deputacyi protestanckich pastorów, którzy przyszli go zaklinać, aby nie dopuścił powrotu Jezuitów. Król wysłuchał łaskawie przemowy, a następnie — jeśli wierzyć doniesieniom sztutgarckich gazet — zaręczył, że Rada Związkowa nigdy się nie zgodzi na odnośną uchwałę parlamentu, co zresztą — miał dodać — odpowiada najzupełniej i moim osobistym zapatrywaniom. — „Ciekawa rzecz — pytał słusznie dr. Lieber wspominając o królewskich tych słowach w mowie wypowiedzianej w Bochum na wielkiem zebraniu katolickiem — ciekawa kwestya, coby też powiedzieli protestanci, gdyby katolicki jaki wiec, dajmy na to wiec kolonski, zwrócił się do króla pruskiego z żądaniem wypędzenia z kraju pewnej liczby protestanckich duchownych? Na pomyślną dla nas uchwałę Rady Związkowej nie mamy co wiele rachować, ale katolicy mieli się już czas do tego przyzwyczaić, że pozostałości liberalnych rządów w parlamencie, powoli, bardzo powoli jedne po drugich giną. Ostatecznie Jezuici muszą, bądź co bądź, do nas powrócić“.

STOSUNKI ROSYI Z WATYKANEM.

Pod datą 29 maja (17 maja st. st.) ogłoszony został w petersburskim *Gońcu Urzędowym*, następny „ukaz najwyższy do senatu rządzącego“:

Pozostającemu w ministeryum spraw zagranicznych szambelanowi dworu naszego, radcy stanu Aleksandrowi Izwolskiemu, najmiłościwiej rozkazujemy być naszym ministrem rezydentem przy osobie Jego Świątobliwości Papieżu Rzymskim, z zachowaniem tytułu dworskiego.

Nominacya ta, będąca dobitnym znakiem pewnego polepszenia dotychczasowych stosunków między Watykanem a Petersburgiem, wywołała, nie straszne zapewne, ale bardzo zabawne gniewy we włoskiej i w pewnej części niemieckiej prasy. Wiedeński korespondent dość zazwyczaj poważnej *Allgemeine Zeitung*, wiąże w oryginalny sposób tę nominacyę z węgierskim *kulturkampfem* i utrzymuje, że Rzym dlatego głównie zdecydował się na zawarcie uroczystego rozejmu z Rosyą, aby wszystkie swe siły skoncentrować na węgierskiem polu bitwy. *Diritto*, nie wdając się w tego rodzaju nieco naiwne kombinacye, zawodzi również bardzo posępną piosenkę. „Nam Włochom — wyznaje po prostu — niemało na tem zależeć musiało, aby przeszkodzić zbliżeniu się Stolicy św. do Rosyi; dziś, niestety! zbliżenie to nastąpiło... zaprzeczyć niepodobna, że Papież dał dowody niezwykłej zręczności pozyskując dla siebie cara, i kłamalibyśmy zaprzeczając, że polityka watykańska odniosła zwycięstwo... Dla nas to bardzo, bardzo niemiłe, bo każdy wzrost międzynarodowych stosunków z Papieżem, posuwa dalej kwestyę rzymską na grunt międzynarodowy, a tem samem stać się może nieszczęściem lub przynajmniej groźbą dla Włoch i włoskiej wolności“...

Komentarze gazet petersburskich są o wiele bardziej znaczące i interesujące. Potwierdzają one, na co już i prasa zachodnia zwróciła uwagę, że ostatecznym motywem do zawiązania ściślejszych stosunków między Watykanem a Petersburgiem była prawdziwie po mistrzowsku — teraz dopiero w całej pełni okazuje się, jak przezornie, z jaką znajomością rzeczy i ludzi — ułożona encyklika do Biskupów polskich.

Ważność — zaznacza *Journal de St. Pétersbourg* — przywrócenia stosunków urzędowych ze Stolicą Apostolską nie ujdzie niczyjej uwagi, a jest ono zarazem oznaką normalnego porządku rzeczy i rękojmią pokoju oraz zadatkiem dobrej harmonii na przyszłość. Dzięki to światłym zamysłom Papieża i jego duchowi pojednawczemu, owo przywró-

cenie stosunków stało się możliwem i pożądanem i nabiera szczególnej wartości. Wywrze ono, nie wątpimy o tem, najzbawienniejszy wpływ na ludność katolicką cesarstwa rosyjskiego, przyczyniając się do utrzymania wśród duchowieństwa i wiernych uczuć prawowitości, które świeżo jeszcze zostały im zalecone przez duchowną Głowę katolicyzmu w encyklice do Biskupów polskich...

Jest to dzisiaj — czytamy w *Petersburger Zeitung* — najważniejsza niezawodnie wiadomość polityczna, to też stawiamy ją na czele „Przeglądu". Pośród licznych i wielkich zdobyczy naszego rządu, przywrócenie stałych i dobrych stosunków ze Stolicą Apostolską nie należy do najmniejszych. Rosya liczy wiele milionów poddanych katolickich, którzy wobec rozterki władzy świeckiej, której są podlegli, z najwyższą władzą duchowną, panującą nad ich sumieniami, mogli mieć w dawniejszych czasach niejedno do zniesienia. Bądź co bądź Kurya rzymska jest dziś jeszcze pierwszorzędną potęgą świecką, potężną organizacyą, nie mającą sobie równej na kuli ziemskiej. Kościół katolicki bowiem słynął zawsze z umiejętności powiększania władzy doczesnej z pomocą dóbr niebieskich i dzierżenia silnej władzy na ziemi. Nie jest przeto rzeczą małej wagi, gdy Rosya potrafiła wejść w stałe i przyjazne stosunki z tem mocarstwem, które i dzisiaj bez bull i interdyktów reprezentuje potężną siłę. Szambelan Izwolski nie jest bynajmniej nowicyuszem na przeznaczonym sobie ślizkim i niebezpiecznym gruncie wobec dyplomacyi papieskiej, z którą ze względu na odwieczną tradycyę i wyrobienie żadna nie może iść w zawody. Można być spokojnym o interesa Rosyi w zręcznych jego rękach.

Nowe Wremia następne robi uwagi: Nowe to określenie wzajemnych stosunków między rządem rosyjskim i Kuryą rzymską wydaje się nam bardzo pożądanem i zupełnie zgodnem z interesami państwowemi naszej ojczyzny. Pod władzą monarchy rosyjskiego znajduja się dziesiątki milionów jego katolickich poddanych, którzy w kwestyach religijnych ulegają licznemu duchowieństwu, uznającemu za głowę duchową Papieża. Leon XIII. doszedł w ostatnich czasach do przekonania, że mieszanie się duchowieństwa katolickiego do polityki, popierane otwarcie przez jego poprzednika, przynosi tylko uszczerbek rzeczywistym interesom Kościoła katolickiego. Dobrze jest wiadomo, że dzięki z naciskiem wyrażonej woli obecnego Papieża, duchowieństwo francuskie zostało zmuszone do przerwania długoletniej walki z rządem republikańskim swego kraju. Później i do polskiego duchowieństwa Austro-Węgier, Niemiec i Rosyi zostały zwrócone napomnienia Papieża,

które wywołały silne niezadowolenie „patryotów“ polskich. Niezadowolenie to jest bardzo charakterystyczne i wprost wskazuje na to, że nadszedł czas odnowienia w zupełności tych stosunków wzajemnych, które istniały przed rokiem 1863 między rządem rosyjskim i Watykanem. Im prędzej nastąpi odnowienie tych stosunków, tem więcej będzie szans, że będzie ono silnie ugruntowanem i trwałem... Wielka mądrość polityczna i rozumne patrzenie w przyszłość Leona XIII. są jego zaletami osobistemi, których może zabraknąć u jego następcy. Dzisiejszy Papież umiał sobie zdobyć zaufanie u wszystkich rządów europejskich, oraz zupełnie szczerą sympatyę zdrowo myślących ludzi bez różnicy wyznania. Poglądy jego na przeznaczenie Kościoła katolickiego są zupełnie wolne od tego fanatyzmu *(sic!)*, który za Piusa IX. zaostrzył do ostatniego stopnia stosunki Kuryi rzymskiej do wszystkich przedstawicieli władzy świeckiej w Europie. Kilka lat normalnych stosunków między Petersburgiem i Watykanem, mamy nadzieję, zupełnie wystarczy do tego, ażeby nikomu nie wydawało się dziwnem i niewłaściwem to przyjemne wrażenie, które wywołuje w nas wiadomość o pomyślnym przebiegu rokowań, prowadzonych w ostatnich czasach w Watykanie.

Nie myślimy naturalnie prostować pewnych wyrażeń i zdań zawartych w petersburskich gazetach; w każdym razie i mimo owych zdań, nie przemawiały one od dawna, jeśli wogóle przemawiały kiedykolwiek, z takim szacunkiem dla Kościoła i jego widomej Głowy. Ogłoszenie w pismach publicznych encykliki do Biskupów polskich nie jest również bez symptomatycznego znaczenia dla każdego, kto wie, jak trudno w Rosyi słowa papieskie do szerszego ogółu przedostać się mogą; kto sobie przypomni, ile to miesięcy przeczekać musiała w cenzuralnych biurkach np. encyklika o studyach biblijnych, choć z pewnością o jakikolwiek związek z polityką niepodobna jej było podejrzywać. Symptomatyczne to znaczenie tem jest większe, jeśli prawdziwe są wiadomości dziennikarskie, że *dozwòleno cenzùroju* udzielone zostało polskiej encyklice na bezpośredni rozkaz samego cara, zdziwionego niepomału, jak i dlaczego warszawscy cenzorzy mieć mogą w tym względzie trudności.

Czyż dlatego łudzić się już możemy nadzieją, że era prześladowania Kościoła w Rosyi stanowczo skończona; czy dziwić się będziemy, jeśli niezadługo może obiją się nam o uszy nowe

bolesne wiadomości o uciemiężeniu katolickiej religii i jej sług; dziwić się i pytać: Cóż pomogła encyklika, na co się przydała cała pojednawcza polityka papieska? Tak z góry już dzisiaj pytają niektóre polskie organa, i z góry, w przewidywaniu przyszłych walk, prawdopodobnych prześladowań, cieszą się, że „na nic się wszystko nie zdało". — Co przyszłość przyniesie, to oczywiście w rękach Bożych, i przewidzieć trudno; ale dlaczego mamy się irytować, że choć na chwilę spokojniej odetchnąć możemy; dlaczego się gniewać, że jaśniejszy jakiś promyk słoneczny, choćby na krótko, na bardzo krótko, przez chmury się przedarł? W życiu codziennem zdarzają się czasem ludzie, którzy tak sobie postępują; są to z zasady pesymiści, z rzemiosła zawsze i ze wszystkiego niezadowoleni. Prawda, że w życiu codziennem, nikt tego rodzaju ludzi na seryo nie bierze.

Ks. Jan Badeni.

Kilka wrażeń z poznańskiego wiecu.

Gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w Imię Moje, tamem jest w pośrodku ich. Temi słowy rozpoczął ks. arcybiskup Stablewski przemowę, kiedy udzielić miał arcypasterskiego błogosławieństwa uczestnikom wiecu katolickiego w Poznaniu. Łzy w oczach a serdeczne wzruszenie w głosie dostojnego książęcia Kościoła niech będą nam miarą, jak ten mąż Boży, którego mądrość iście chrześcijańską świeżo dopiero uznał i wyróżnił sam Ojciec święty, ocenił wysoko wspaniały ten objaw życia katolickiego, ową manifestacyę całej Polski na cześć Krzyża Chrystusowego, urzędowe niejako wyznanie wiary ojców przez wszystkie stany, wszystkich synów jednej ojczyzny. I zaprawdę każdy z tych, co szczęście mieli uczestniczyć w poznańskim wiecu, uczuł, że w tem miejscu, gdzie nie „dwaj albo trzej", lecz tłum kilkotysięczny zebrany był w Imię Boże, był obecny i Duch Boży, że Chrystus panował w tem zgromadzeniu a Duch Św. kierował obradami i natchnął mówców.

W historyi katolicyzmu w Polsce epokę stanowić będzie ów rok wiekopomny, kiedy ludzie dobrej woli a wielkiej energii powzięli zamiar rozbudzania życia katolickiego za pomocą katolickich wieców

wydobywając w ten sposób na publiczną arenę społeczno-polityczną, praktykę katolickich zasad, wypartych do ciasnego obrębu katolickiego domu i stosunków prywatnych, w erze, oby na zawsze minionej, smutnej pamięci pseudo-liberalizmu. Jak żywotną i bogatą w następstwa była myśl owa, tego dowodem, że w tak krótkim stosunkowo czasie po zjazdach w Toruniu i Krakowie, wiec w Poznaniu nietylko przyszedł do skutku, ale i wykazać mógł ogromną liczbę uczestników — rozeszło się 6000 kart wstępu. Dowodem zapał i głębokie rozrzewnienie, z jakiem tłum kilkotysięczny, po brzegi zapełniający olbrzymią salę, wysłuchawszy prastarej pieśni o Bogarodzicy, rzucił się na kolana, by odebrać błogosławieństwo swego Arcypasterza.

Potrzebę, dziś już — śmiało powiedzieć można — konieczność wieców katolickich wykazał wymownem słowem jeden z pierwszych mówców wiecowych, hr. H. Kwilecki. Nie mojem zadaniem streszczać tę mowę i inne tak liczne, znakomite treścią i formą, podniosłe i podnoszące ducha nietylko słuchaczy, ale i tych wszystkich, którzy w pismach codziennych czytać je mieli sposobność. Nie było jednej pomiędzy niemi, któraby nie zawierała wybitnych na kwestyę katolicką poglądów, a wiele z nich stanowią prawdziwe perły polskiej wymowy. Dość wspomnieć obydwa przemówienia ks. arcybiskupa Stablewskiego, mowy księcia Zdzisława Czartoryskiego, ks. penitencyarza Stychla, ks. d-ra Wolszlegiera, p. Kozłowskiego i tylu innych.

Poruszono wszystkie kwestye dotyczące życia katolickiego, wypowiedziano wszystko co nas boli i cieszy, za co Bogu dziękować, o co prosić Go mamy. Od kwestyi socyalnej do stosunków naszego wychodźtwa, od kwestyi szkolnej do wychowania naszych sierot, dalej obrona interesów katolickich w organach samorządu, powrót zakonów, kwestya antysemicka, kanonizacya naszych Świętych, św. Wincenty à Paulo i Bracia Miłosierni, encyklika papieska, sprawa Unitów i sprawa doczesnej władzy Ojca świętego, sprawa budowy domu katolickiego w Poznaniu, na który ks. kanonik Kubowicz pospieszył zaraz wspaniałomyślnie ofiarować 10.000 mrk. — nic nie zostało pominięte, każda kwestya gruntownie i wyczerpująco opracowana, w pięknej i przystępnej formie podana była; w każdej powzięto rezolucyę, zgodną z duchem i zasadami Kościoła.

Doniosłość tego objawu jak jest wielka, pojąć łatwo, gdy pomyślimy, że na salę wiecową wszystkie warstwy społeczne wysłały licznych reprezentantów, a mówcy rekrutowali się ze wszystkich stanów i obozów. Duchowieństwo z całej archidyecezyi — na czele oby-

dwie kapituły, ks. Arcybiskup, księża biskupi Likowski i Andrzejewicz. Z szlachty książęta Czartoryscy i Radziwiłłowie, dalej Chłapowscy, Czarlińscy, Czarneccy, Bnińscy, Kwileccy, Łąccy, Mielżyńscy, Morawscy, Mycielscy, Ponińscy, Sczanieccy, Skorzewscy, Żółtowscy — i wielu, wielu innych. Mieszczaństwo poznańskie nadzwyczaj licznie reprezentowane, począwszy od słynnych lekarzy i inteligencyi, a skończywszy na cechach rzemieślniczych — wreszcie liczny zastęp włościan z najdalszych stron Wielkopolski przybyłych. Godziłoby się zapytać istotnie, kogo tam nie było! Barwne tło tego obrazu to panie, zajmujące obszerne galerye, bandery z herbami Papieża i Arcybiskupa, draperye o barwach krajowych, gwardya obywatelska przybrana w szarfy żółto-niebieskie. Poznań w tej chwili, przywdziawszy szatę odświętną, poszedł za głosem Arcypasterza, wzywającego do zgody i jedności, zapomniał waśni i swarów partyjnych, jakie go rozdzielały w czasie niedawnych wyborów. Pochód a raczej procesyę, posuwającą się z Arcybiskupem na czele przez strojne, jak na Boże Ciało, ulice miasta, zasypaną kwiatami, rzucanemi z okien i balkonów, wszędzie witano okrzykami szczerego entuzyazmu. Wszystkie pisma poznańskie, z wyjątkiem jednego najmłodszego organu partyi niewiadomej, zamieściły o wiecu sympatyczne wzmianki, o ile nie podawały obszernych sprawozdań, streszczeń i opisów. Ogólnie wyrażają się one jak najpochlebniej o duchu wiecu, podnosząc znakomitą tegoż organizacyę, w czem główna zasługa komitetu lokalnego.

Nie unikano i kwestyj drażliwych — była na wiecu i sekcya niemiecko-katolicka, którą ks. Arcybiskup zaszczycił swą obecnością. Sekcya ta przyjęła rezolucyę, domagającą się nauki języka ojczystego w szkole ludowej i założenia polskiego uniwersytetu w Poznaniu. Rezolucya, a więcej zapewne jeszcze grzmiące „niech żyje“, z jakiem Niemcy-katolicy przyjmowali swego Arcypasterza, wywołuje dziś wściekłe protesty ze strony niemieckich dzienników liberalnych i ewangelickich.

Wobec poznańskich stosunków politycznych i narodowościowych, katolicyzm na wiecu naszym święcił prawdziwe tryumfy. W istocie, nikt prócz Namiestnika Chrystusowego na ziemi nie potrafiłby gnębionej od wieku narodowości wpoić tak głęboko zasady oddawania „cesarzowi co jest cesarskiego“, cóż dopiero wywołać te pełne zapału okrzyki na cześć Wilhelma II. Nikt, prócz następców Apostołów, nie natchnąłby narodowość panującą tą bezprzykładną bezstronnością, niebywałą w historyi, prawdziwą a szczerze chrześcijańską miłością bliźniego. Uczestnicy wiecu poznańskiego wynieść musieli przekonanie,

że potęga katolickiego chrześcijaństwa jest pojednawcza i kojąca, łącząca wszystkich wiernych w jeden zakon miłości Boga i bliźniego, jest zawsze niespożyta jedna i ta sama, jak była przed 19 wiekami, kiedy nad stajenką Betleemską w święto Narodzenia Pańskiego Aniołowie śpiewali ludzkości, tak jak dziś smętnej i niespokojnej: „Chwała na wysokości Bogu a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Ż.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Wolny azot powietrza a rośliny[1].

Atmosfera, otaczająca grubym płaszczem skorupę ziemi, jest nieoszacowaną skarbnicą dla ludzi, zwierząt i roślin. Na sto części objętościowych powietrza przypada 23 na tlen, ów materyał najbardziej może potrzebny do utrzymania w ruchu jakiejkowiek machiny życiowej. Wszystkie żywiny potrzebują również nieodzownie pierwiastku węgla; jest to główny składnik wszelkich związków organicznych, których w ustrojach tak zwierzęcych jak roślinnych krocie znajdujemy. Otóż ciekawa rzecz, że i węgiel zawdzięczamy wraz ze zwierzętami i roślinami ostatecznie osłonie powietrznej. Wprawdzie ludzie i zwierzęta czerpią go bezpośrednio z roślin lub zwierząt, za to rośliny zielone czerpią węgiel jedynie z bezwodnika węglowego, który w bardzo małej ilości znajduje się w atmosferze.

Przeważającym składnikiem powietrza jest azot; procent jego jest

---

[1] Cfr. A. B. Frank, *Lehrbuch d. Botanik.* 1892. T. 1. — Idem. *Untersuchungen über d. Ernährung der Pflanze mit Stickstoff.* 1888. — Idem. *Die Assimilation des freien Stickstoffs durch die Pflanzenwelt. (Botan. Zeitung* 1893).

P. Kossowitsch, *Untersuchungen über die Frage, ob die Algen freien Stickstoff fixiren. (Bot. Zeit.* 1894). — Idem. *Durch welche Organe nehmen die Leguminosen den freien Stickstoff auf? (Bot. Zeit.* 1892).

A. Prażmowski, „Brodawki korzeniowe grochu". 1890.

P. P. Dehérain, *Les fermens de la terre. (Revue d. d. Mondes* 1893. T. 3).

Compt. rend. 1885—1894. Memoryały o pobieraniu azotu Berthelota, Schloesinga, Winogradzkiego.

F. Nobbe und L. Hiltner, *Wodurch werden die knölchenbesitzenden Leguminosen befähigt den freien atmosphaerischen Stickstoff für sich zu verwerthen?* 1893.

Jahrbuch der Naturwissenschaften. 1894. (Herder). — Odkrycie Liebschera, etc. etc.

ogromny, bo 77. Roślina również nie może się obejść bez azotu. Roślinne połączenia organiczne są różne: połączenia węglowodanowe, jak glukozy, cukry, skrobia czyli mączka, błonnik czyli celluloza, połączenia tłuszczowe, aromatyczne z najrozmaitszemi olejkami, żywicami, barwikami, są bezazotowe; atoli wielu związków koniecznym składnikiem jest azot, a takiemi są połączenia białkowate i nukleiny, główna treść zasadniczych materyj życiowych plazmy i jądra komórkowego, dalej rozmaite amidy i zieleń, odgrywająca bardzo ważną rolę w życiu roślinnem. Nie ulega zatem najmniejszej wątpliwości, że roślina azotu koniecznie potrzebuje. Czy między tą koniecznością roślin a wolnym azotem powietrza zachodzi jaki stosunek? Czyżby ten element, uważany za najbierniejszy z pierwiastków, zachowywał się rzeczywiście biernie wobec ciągłego cyklu życia, wobec ustawicznych przewrotów i ewolucyj w świecie żywotnym i nieżywotnym?

Odpowiedź na to pytanie nie jest tak łatwą, jakby się to z góry wydawać mogło. Przekonamy się o tem najlepiej, jeśli choć pobieżnie rzucimy okiem na rozwój poglądów naukowych w tym kierunku od połowy naszego stulecia aż do obecnej chwili.

Mniej więcej od r. 1850 kwestya, czy rośliny mogą przyswajać wolny azot powietrza, wychodzi na stół, staje się od razu głośną i jest odtąd na porządku dziennym. Fizyolodzy i agronomowie zajmują się nią bezustannie. Na piedestale postawili ją dwaj sławni uczeni, Boussingault i Ville.

Boussingault, właściwy twórca umiejętności rolniczych, chcąc otrzymać odpowiedź na powyższe pytanie, postępował w następujący sposób. Analizował pewną ilość nasion fasoli lub łubinu i oznaczał dokładnie ich zawartość azotu. Taką samą ilość zupełnie podobnych nasion wsadzał w ziemię przygotowaną z pumeksu wyżarzonego, a więc pozbawionego wszelkich połączeń azotowych; dodawał nieco popiołów roślinnych, by kiełkujące nasiona nie cierpiały niedostatku w solach mineralnych, rośliny podlewał wodą wolną od amoniaku; by się wreszcie ochronić przed amoniakiem, który się w małych ilościach w atmosferze znajduje, umieszczał wazoniki pod dużemi dzwonami szklanemi, zamkniętemi z dołu bardzo rozpuszczonym kwasem siarkowym pochłaniającym wszelkie ślady amoniaku, a do wnętrza wprowadzał tylko potrzebną ilość bezwodnika węglowego. W tem dla jestestw żyjących może nie bardzo przyjemnem więzieniu, nasiona kiełkowały i rozwijały się wprawdzie, ale bardzo słabo. Z takiego posiewu zebrane plony Boussingault analizował, oznaczał dokładnie ilość azotu, a dodając do

tego ilość azotu, która w ziemi z drobnemi korzonkami zostawała, zestawiał sumę otrzymaną z zawartością azotową nasion. W bardzo przybliżonych granicach ilości te bywały zawsze równe. Wniosek zatem z tego, że rośliny nie asymilowały wcale azotu z powietrza, jeno przerabiały azot zapasowy nasienia. Doświadczenia te, przeprowadzone z największą dokładnością i sumiennością, Boussingault powtarzał wielokrotnie od r. 1851 do 1854, zawsze jednak otrzymywał te same rezultaty. Mimo to wystąpił przeciwko nim energicznie George Ville, który w tym samym czasie przeprowadzał podobne kultury z wręcz przeciwnym wynikiem. Za podłoże używał podobnie wyżarzonego piasku, dodawał soli mineralnych, a prócz tego dorzucał zawsze do kultur odważoną ilość pokarmu azotowego. Po zebraniu plonów przekonywał się, że otrzymana z nich ilość azotu przewyższała często nawet znacznie sumę azotu zawartego w nasieniu i dodanego jako pokarm do podłoża. Paryska Akademia umiejętności nie wiedziała, na czyją stronę się przechylić. Przeznaczyła do zbadania tej kwestyi osobną komisyę z Chevreul'em na czele, który wreszcie wypowiedział zdanie swoje na korzyść Ville'a.

Boussingault nie poddał się, lecz twierdził stanowczo dalej, że rośliny nie posiadają zdolności przyswajania azotu atmosferycznego. I w krótkim czasie zdanie to stało się zasadniczym dogmatem w teoretycznej fizyologii roślin.

Trudno było zgodzić się na to w praktycznej uprawie roślin, od dawna bowiem utrzymywano, że rośliny groszkowe czyli motylkowe wzbogacają ziemię zwłaszcza w azot. Zaczęły się więc doświadczenia na wielką skalę. J. B. Lawes obrócił całą majętność swoją w Rothamsted pod Londynem na pole doświadczalne, gdzie wraz z Gilbertem wielkie oddali usługi sprawie rolnictwa. Właśnie wkrótce po sporze Boussingaulta i Ville'a, zasłużeni ci agronomowie donoszą, że zwłaszcza rośliny groszkowe, jak bób lub koniczyna, przynoszą corocznie ogromne zasoby azotu, chociaż wysiewane będą na tej samej roli i chociaż nie będzie się im dodawało pokarmu azotowego. Rezultaty późniejsze, zebrane z owego pola doświadczalnego, nie różniły się wcale od poprzednich, a kiedy jeszcze przyłączył się do nich znany rolnik Schultz z Lupitz w Niemczech, nadto eksperymentatorowie francuscy, jak P. P. Dehérain, wiara we wzbogacające własności roślin motylkowych musiała powrócić w umysły rolników.

Jak pogodzić te rezultaty z doświadczeniami Boussingaulta, w których na seryo nikt jeszcze niedokładności nie wykazał? Trudno

było teraz pójść za czemś stanowczo. Jedni uważali za ścisłe doświadczenia Ville'a i przyjmowali, że rośliny mogą za pośrednictwem liści pobierać z powietrza wolny azot podobnie jak bezwodnik węglowy; inni trzymali się silnie spostrzeżeń Boussingaulta, a własności roślin strączkowych starali się tłumaczyć wszelkiemi możliwemi sposobami.

Tymczasem pod koniec 1885 roku pojawił się pierwszy memoryał znanego dziś powszechnie sekretarza paryskiej Akademii umiejętności, Berthelota, o pobieraniu azotu przez ziemię orną. Po pięknych doświadczeniach Pasteura, po zapoznaniu się nieco z niewidzialną przyrodą żyjącą, zapanowała pewna moda w nauce, zwalać wszystko na karb jakichś bakteryj, fermentów, mikroorganizmów wogóle. Moda ta zdaje się jeszcze najmniej zaszkodziła nauce. I Berthelot przypisał teraz wzbogacanie się ziemi w zapasy azotu jakimś drobnoustrojom, utwierdzało go zaś w tem przekonaniu to, że świeża ziemia niewyżarzona wykazywała zazwyczaj po pewnym czasie przybytek azotu, podczas gdy ta sama ziemia, podniesiona raz do ciepłoty stu stopni, nie pokazywała i śladu wzbogacenia się w azot nawet po dłuższym czasie. Spostrzeżenia Berthelota w latach następnych popierały jeszcze bardziej to zapatrywanie. Tymczasem zaraz po pierwszem wystąpieniu Berthelota stanął do walki przeciwko niemu zaszczytnie znany eksperymentator w rzeczach agronomii, Schloesing. Zastosował on do doświadczeń Berthelota inną metodę, może trudniejszą nieco, i wykazał, że takie pobieranie azotu przez ziemię orną za pomocą fermentów nie ma wcale miejsca w naturze. Powstał nowy spór między dwoma uczonymi gorącej zawsze Francyi.

Badacze innego kraju, zimniejszych Niemiec, mieli spór ten przyciszyć, jeśli nie zakończyć. Pod koniec 1886 r. Hellriegel podał wiadomość o wynikach swoich badań na zjeździe przyrodników w Berlinie, a w dwa lata później ogłosił wraz z Wilfarthem ważną w tej mierze pracę.

Hellriegel powtarza przedewszystkiem doświadczenia Boussingaulta, ale je znacznie upraszcza. Nie wydziela amoniaku z powietrza, bo i niewiele go jest i już na doświadczenia Boussingaulta nie wywierał żadnego wpływu; za podłoże używał czystego piasku niewyżarzonego, dodawał doń potrzebnych soli mineralnych i zasiewał w nim ziarna o znanej zawartości azotu. Tym sposobem azot nie był kompletnie wydzielony z podłoża kultury, ale była to ilość bardzo mała, na kilka kilogramów piasku kilkanaście miligramów azotu. Cóż się po-

kazało? Kultury owsa, jęczmienia, zgadzały się zupełnie z rezultatami francuskiego badacza, natomiast kultury grochu i innych roślin motylkowych wypadały rozmaicie. Pewne osobniki roślinne rozwijały się bardzo słabo i zanikały zwolna, podobnie jak w doświadczeniach Boussingaulta, za to inne rozwijały się znakomicie, a w plonach wykazywały ilość azotu stokrotnie i bardziej zwiększoną. Skąd pochodzi ciekawa ta różnica w zachowaniu się różnych indywiduów? Czemu dawniejszy eksperymentator francuski ani razu tej rozmaitości nie zauważył?

Już dawniej znaną było w botanice rzeczą, że rośliny motylkowe posiadają na korzeniach swoich szczególnego rodzaju narośle, t. zw. bulwki lub brodawki korzeniowe, które występują mniej lub więcej licznie, mają różne kształty, stosownie do gatunku, do którego należą, są zazwyczaj drobne, lecz mogą dochodzić i do wielkości zwykłego orzecha laskowego. Wewnątrz tych brodawek znajdują się ciałka, kształtem nieco bakterye przypominające, dlaczego nazwano je też bakteryoidami. Ciekawe te guzy roślinne były już nieraz przedmiotem mniejszych i obszerniejszych studyów. Uważano je to za objawy patologiczne, to za pasorzyty, to wreszcie za narządy normalne roślin motylkowych do tego stopnia, że nawet bakteryoidy miały być tylko szczególnie ukształtowanemi ciałkami białkowatemi.

Taki był stan rzeczy aż do Hellriegla. Przyrodnik ten, zdziwiony niejednostajnym wynikiem dwóch kultur z roślinami groszkowemi, zaczął zastanawiać się i śledzić przyczyny tego ciekawego zjawiska. Przekonał się, że wszystkie rośliny, które mimo niedostatku azotu rozwijały się bujnie i normalnie, posiadały właśnie na korzeniach swych liczne brodaweczki, podczas gdy inne osobniki, które z powodu braku azotu ginęły najprawdopodobniej śmiercią głodową, były pozbawione zupełnie tego rodzaju wyrostków. Mimowoli nasunęło mu się podejrzenie, że pobieranie azotu, a więc rozwój normalny, ściśle jest związany z brodawkami, te zaś występują pod wpływem jakiegoś organizmu obcego. Rozpoczął więc nowy szereg doświadczeń. Zasiewał rośliny jak przedtem, lecz zabijał wszelkie ustroje, co mogły się w piasku znajdować. Następnie do jednej seryi dolewał wyciągu z ziemi, by umożliwić zakażenie, do drugiej seryi dolewał takiego samego wyciągu, lecz ogrzanego. Obie więc serye posiadały te same warunki otoczenia, tylko że pierwsza otrzymała najprawdopodobniej wielką ilość żywych mikroorganizmów, podczas gdy druga dostała w zamian za to same ich trupy. Z początku roślinki obu seryj zaczęły się rozwijać jedna-

kowo, wkrótce jedne i drugie zaczęły zdradzać objawy t. zw. głodu azotowego, tj. że starsze listki zaczęły zamierać a młode się tylko rozwijały, po pewnym jednak czasie wystąpiły różnice między jedną serya a drugą. Rośliny zakażone wylizywały się z swojej choroby, zwolna wracały do normalnego stanu i rozwijały się następnie tak, jakby miały poddostatkiem pokarmu azotowego — natomiast rośliny drugie poddawały się coraz bardziej chorobie, aż wreszcie skończyły śmiercią głodową. Analiza jednych i drugich wykazała następnie, że u zakażonych ilość azotu zwiększyła się ogromnie, u drugich nie przewyższała bynajmniej pierwotnego posagu. Nadto korzenie rozwiniętych normalnie roślin posiadały liczne brodawki, zamarłych — nie miały ich wcale. Hellriegel tłumaczy doświadczenia swoje w ten sposób, że rośliny groszkowe mogą przyswajać wolny azot powietrza za pośrednictwem mikroorganizmów, które powodują wytworzenie brodawek korzeniowych. Teraz można było zrozumieć doświadczenia i spór Boussingaulta i Ville'a, jak również spostrzeżenia agronomów. W fizyologii też roślin zaczął się ustalać pogląd, że tylko rośliny motylkowe mogą pobierać azot z powietrza za pomocą drobnoustrojów, same zaś rośliny, jako takie, tej zdolności wcale nie posiadają.

Trzeba jednak było przekonać się jeszcze, czy w istocie i jakie mikroorganizmy znajdują się w brodawkach korzeniowych. Zadania tego podjęło się wielu badaczów, do najpomyślniejszych jednak i najważniejszych rezultatów doszli Beyerinck i mało co później nasz rodak Prażmowski. Obu udało się wyhodować w osobnych kulturach bakterye brodawkowe. Bakterye różnych roślin motylkowych przedstawiają wprawdzie pewne, jakkolwiek nieznaczne modyfikacye, wszystkie jednak zbudowane są według tego samego typu. Beyerinck zaliczył tę bakteryę do laseczników i nazwał ją *Bacillus radicicola*, Prażmowski zaś, nie widząc w niej prawie żadnych cech *bacillus*'a, proponuje nazwę *Bacterium radicicola*.

Z poszukiwań tych, zwłaszcza Prażmowskiego, wynika, że istnieje między bakteryami brodawkowemi a roślinami motylkowemi pewien stosunek symbiozy, mianowicie, że bakterye rozmnażają się kosztem pokarmów, dostarczanych przez rośliny motylkowe, natomiast te rośliny za pomocą bakteryj zaopatrują się w potrzebny azot z atmosfery. Zaopatrywanie to pojmuje Prażmowski w sposób następujący: W młodych jeszcze brodaweczkach znajdujemy dużo właściwych bakteryj korzeniowych, tj. prostych ciałeczek pałeczkowatych, z czasem pałeczki te rosną się grubsze, często rozgałęziają się, czyli przemieniają się w t. zw.

bakteryoidy. Dopiero teraz może je roślina groszkowa wessać i odnieść z nich korzyść.

Dużo światła rzuca na tę kwestyę najnowsza praca Nobbego i Hiltnera. Po długich i cierpliwych obserwacyach dochodzą ci badacze do ciekawych konkluzyj. Brodawki korzeniowe, zawierające same bakterye nie zaś bakteryoidy, szkodzą raczej roślinie niż pomagają, dopiero kiedy zaczynają się tworzyć bakteryoidy, rozpoczyna się również najprawdopodobniej asymilacya azotu. Powstają zaś bakteryoidy z bakteryj przez kilkakrotne dzielenie się, z którem jednak nie łączy się rozdział na osobne indywidua. Tym sposobem bakterye nie miałyby zdolności pobierania wolnego azotu, jeno bakteryoidy, nadto sama roślina nie pobierałaby pokarmu azotowego przez wessanie bakteryoidów, lecz w jakiś inny sposób, gdyż skutki posiłku azotowego pojawiają się o wiele wcześniej niż rozpoczęcie wessania.

Po dokładniejszych zatem i specyalniejszych poszukiwaniach pokazuje się, że kwestya pobierania azotu z powietrza przez rośliny motylkowe nie jest wcale rzeczą tak jasną, jak się zaraz po doświadczeniach Hellriegla zdawało. Bo naprawdę, jeśli bakterye same nie mogą przyswajać azotu atmosferycznego i pasorzytują jedynie na wyższych roślinach, a dopiero z pojawieniem się bakteryoidów, a więc po przekształceniu bakteryj, zaczyna się asymilacya azotu — co stoi na zawadzie, przypisać zdolność tej asymilacyi samej roślinie, jeno pobudzonej do tego w szczególniejszy sposób?

Zapatrywanie to nie jest rzeczywiście bardzo nowem w literaturze fizyologicznej. Prawie od dziesięciu lat broni go energicznie znany profesor wyższej szkoły rolniczej w Berlinie, autor najnowszego podręcznika botaniki, A. B. Frank. Sławny badacz symbiozy roślin, zwłaszcza t. zw. mykorhizy, utrzymuje, że zdolność pobierania elementarnego azotu przyznać należy wszystkim roślinom, że jest to funkcya zwyczajnej plazmy roślinnej, tylko jedne rośliny posiadają tę zdolność w większym, inne w mniejszym stopniu, nadto wiele roślin potrzebuje pewnego pobudzenia, by ową zdolność w czyn wprowadzić. Dla roślin motylkowych takim bodźcem mają być, podług Franka, właśnie bakterye symbiotyczne. Zresztą i rośliny groszkowe w doświadczeniach niemieckiego botanika przyswajają azot atmosferyczny, chociaż nie są w zwykłej symbiozie z bakteryami korzeniowemi. Za taką zdolnością roślin groszkowych przemawiałoby i to, że bakterye korzeniowe mają się rozwijać bardzo licho, jeśli za pokarm azotowy mają do dyspozycyi tylko wolny azot powietrza, udają się zaś bardzo dobrze, jeśli się doda

do ich podłoża organicznych połączeń azotowych. Nadto w ostatnim czasie przekonano się z największem prawdopodobieństwem, że wiele innych roślin niegroszkowych może pobierać azot atmosferyczny. I tak z grzybów pleśń *Penicillium cladosporioides* może korzystać z azotu elementarnego, jeśli inne warunki do życia są wystarczające, jak to Frank wykazał. Z rozmaitych wodorostów tę samą zdolność, podług obserwacyj Franka, posiadają glony *Oscillaria, Nostoc, Ulothrix* i inne, co stwierdzili również znakomici francuscy eksperymentatorowie, Schloesing i Laurent. Wreszcie z jawnokwiatowych a niegroszkowych stwierdzili Nobbe, Schmid, Hiltner i Hotter możność pobierania azotu z powietrza u znanego krzewu z srebrzystemi liśćmi *Elaeagnus angustifolius*, na którego korzeniach znaleźli liczne bulwki, a w nich jakieś ustroje, różniące się jednak od bakteryj korzeniowych roślin motylkowych. Frank sam przeprowadza liczne kultury, w których nietylko rośliny groszkowe asymilują azot bez pomocy bakteryj, ale nadto robi to samo wiele innych roślin, jak: owies, rzepak, tatarka, kartofle, klon i t. d. Wielu przyrodników nie dowierza doświadczeniom Franka, tym właśnie, co się odnoszą do roślin jawnokwiatowych, natomiast na korzyść jego przemawiałoby doniesienie Liebschera, że biała gorczyca potrafi przyswoić trzy razy więcej azotu z powietrza, niż bujny groch, bób albo koniczyna ze swojemi normalnemi brodawkami. Doniesienie to czy odkrycie jest bardzo ważne, nietylko pod względem teoretycznym, ale i praktycznym, bo ułatwia bardzo i ulepsza modne dzisiaj zielone nawozy

Przeciwko poglądom Franka występuje w ostatnich latach badacz rosyjski, Kosowicz. Ponieważ w myśl berlińskiego profesora możność pobierania azotu wolnego jest funkcyą plazmy roślinnej, najodpowiedniejszym narządem tej funkcyi u roślin wyższych byłyby liście zielone zanurzone zawsze w łonie powietrza. Kosowicz przeprowadził szereg doświadczeń, z którychby wynikało, że rośliny groszkowe za pomocą liści wcale nie mogą przyswajać azotu. Jednakowoż sam autor częściowo przyznaje, a Frank jeszcze dosadniej wykazuje, że doświadczenia owe nie są wcale przekonywające. W ostatniej pracy udało się Kosowiczowi wyhodować czyste kultury dwu glonów *Cystococcus* i *Stichococcus;* następnie postawił im pytanie, czy mogą żywić się azotem powietrznym. Oba glony przetrwały mężnie wszelkie tortury i zawsze dawały odpowiedź przeczącą. Przy tej sposobności Kosowicz wypowiada ciekawy pogląd na asymilacyę azotu przez różne glony, którą zauważyli Frank, Schloesing i inni badacze. Według niego miałaby się rzecz z glonami tak samo jak z roślinami motylkowemi; nie glony, jeno

bakterye pobierają wolny azot, między glonami jednak a bakteryami istnieje jakiś stosunek symbiozy.

Naprawdę nie jest to żaden wniosek wyciągnięty z faktów, jeno czyste podejrzenie. Chociażby ostatecznie dwa owe glony a nawet tysiąc glonów nie było w stanie korzystać z ogromnej masy azotu atmosferycznego, może kilka tysięcy innych alg zdolność tę posiadać. Z podejrzeniem tem jednak łączą się częściowo poszukiwania dawniejsze Berthelota i Winogradzkiego, z których wynikałoby, że w ziemi żyje wiele bakteryj mogących wciągać azot powietrzny w nieprzerwany wir życia na skorupie ziemskiej.

Tak więc i dzisiaj jeszcze nie wiemy, czy wolny azot powietrza mogą przynajmniej niektóre rośliny wyższe pobierać same przez się albo też li tylko przy pomocy niewidzialnych żyjątek-bakteryj. Od 50 lat stawia się to samo pytanie przyrodzie, stawia się ile możności jak najdokładniej — a przecież odpowiedzi pod każdym względem zadowalającej nie mamy jeszcze. Mimo to praca tylu badaczy nie była nadaremna. Dowiedzieliśmy się mnóstwa rzeczy nadzwyczaj interesujących, ważnych niemniej teoretycznie jak praktycznie. Wreszcie najważniejsza rzecz, że przez takie spory, spostrzegania i doświadczenia toruje się, wyrównywa i upraszcza droga przyszłym studyom i poszukiwaniom. Każdy przyrodnik, każdy co przyrodników słuchać i na ich powagę odwoływać się lubi, patrząc się trzeźwo na taką ewolucyę naukowych poglądów i widząc naocznie, jak trudną jest rzeczą nieomylność w wyprowadzaniu nawet najbezpośredniejszych wniosków z licznych faktów i obserwacyj, winien głęboko wziąć sobie do serca, że błąd i to gruby jest o wiele łatwiejszym, kiedy idzie o wnioski i prawa najogólniejsze tam zwłaszcza, gdzie fakty i spostrzeżenia są tylko rzekome lub bardzo skąpe.

J. Nuckowski.

Druk ukończony 28 czerwca 1894 r.

O OBOWIĄZKU KONKURENCYJNYM FILIALISTÓW

na rzecz kościoła i budynków plebańskich parafii matrycznej.

(Przyczynek do dziejów reformy § 9-go ustawy krajowej z dnia 15 sierpnia 1866 r. o konkurencyi kościelnej i parafialnej).

Ustawa krajowa z dnia 15 sierpnia 1866 Dz. u. i r. kr. nr. 28, dotycząca pokrycia kosztów stawiania i utrzymywania budynków kościelnych i plebańskich w parafiach wyznania katolickiego, tudzież sprawiania przyrządów i sprzętów kościelnych, okazała się w zastosowaniu pod niejednym względem wadliwą, potrzebującą przeróżnych zmian i uzupełnień, a potrzebę reformy uznał i sejm krajowy, podejmując ku temu kilkakrotnie akcyę, która jednakże dotąd nie odniosła pomyślnego skutku.

Jedna z najdonioślejszych i najgłębiej odczuwanych wadliwości tej ustawy tkwi niewątpliwie w postanowieniach § 9-go, któremi unormowano obowiązek konkurowania tak zwanych filialistów do wydatków na kościół i budynki plebanalne parafii matrycznej. O tej właśnie kwestyi, która w czasie ostatniej sesyi sejmowej w roku ubiegłym dała powód do interpelacyi c. k. rządu, domagającej się rychłego sankcyonowania uchwalonej przez sejm w r. 1893 noweli zmieniającej postanowienia § 9-go, zamierzam wypowiedzieć kilka uwag i poddać je pod rozwagę sfer, którym rychła sanacya niewłaściwości spowodowanych temi postanowieniami ustawy leży na sercu.

Ogłoszenie tych uwag uważam właśnie w chwili obecnej

na czasie, bo przewłoka w uzyskaniu najwyższej sankcyi tej noweli wskazywać się zdaje na pewne jej braki, o których już komisarz rządowy w czasie toczących się nad nią rozpraw sejmowych wspomniał, możliwą więc jest ewentualność, że sejm sprawę reformy § 9-go będzie musiał ponownie rozpatrywać i inny projekt reformy tego paragrafu uchwalać. Przedstawienie więc dotychczasowych usiłowań, podejmowanych w tej kwestyi, i kilka uwag krytycznych nad niemi, może nie będą zbyteczne i może się przyczynią do stanowczego uporania się z tą dla kościoła i ludności w kraju żywotną sprawą, domagającą się napróżno od lat kilkunastu skutecznego załatwienia.

Obecnie obowiązujące postanowienia § 9-go ustawy z dnia 15 sierpnia 1866 są następujące: „Kościoły filialne i zabudowania mieszkalne dla duchownych, którzy przy nich są eksponowani, mają przy pomocy rozporządzalnego majątku kościelnego stawiać i utrzymywać ci, w których interesie kościoły te i zabudowania mieszkalne istnieć mają lub istnieją, jeżeli inne prawne zobowiązania w tej mierze nie zachodzą.

„Okoliczność ta nie uwalnia ich wszakże, wyjąwszy osobną umowę, od obowiązku konkurowania do wydatków na kościół i budynki parafialne".

Filialiści przeto, tj. parafianie, którzy utrzymują u siebie kościół filialny (ustawa nie odróżnia, czy kościół ten w siedzibie urzędu parafialnego jest położony, czy też w innej gminie), mają ustawą włożony na siebie obowiązek podwójny: raz — konkurowania do parafii matrycznej razem z resztą parafian, należących do związku parafialnego, a powtóre — ponoszenia z własnych funduszów kosztów stawiania i utrzymywania kościoła filialnego i budynku mieszkalnego dla kapłana-ekspozyta, który przy kościele filialnym urząd duszpasterski sprawuje. Jakkolwiek obowiązek konkurowania filialistów na rzecz kościoła matrycznego i budynków plebanalnych parafii matrycznej płynie wprost z zasady wypowiedzianej w § 8-ym ustawy, według której koszta stawiania i utrzymywania kościoła parafialnego i budynków plebanalnych ponosić mają „parafianie" właściwego obrządku, a więc

i „filialiści“ do parafii należący, postanowienia przeto § 9-go, ustęp drugi, zdawałyby się zbędne — to jednak wyraźnie je zamieszczono w ustawie dla usunięcia wszelkiej w tej mierze wątpliwości, wyniknąć mogącej z przypuszczenia, że płacenie podwójnych datków konkurencyjnych przez filialistów w równym rzędzie i mierze z resztą parafian miejsca mieć nie może, gdyż byłoby niesłusznem obarczaniem parafian-filialistów. Takie nakładanie na nich podwójnej powinności konkurencyjnej, równomiernej z resztą parafian, jest rzeczywiście dotkliwem przeciążeniem ludności, któremu tem bardziej zaradzićby należało, ile że filie istnieją przeważnie w gminach uboższych, a podwójny ciężar konkurencyjny i na rzecz własnej filii i dla parafii matrycznej przechodzi nieraz siłę finansową ludności włościańskiej, obarczonej i tak nad miarę wydatkami na inne cele publiczne.

Kwestya konkurencyjnego obowiązku filii, a względnie filialistów, do ponoszenia wydatków na rzecz kościoła i parafii matrycznej, i w teoryi i w praktyce była i jest dotąd sporną. Podczas gdy jedni, mając wzgląd na związek kanonicznej łączności filii z kościołem matrycznym, uważają pierwszą za obowiązaną w całej pełni do konkurowania na rzecz parafii matrycznej, to inni, bądź tylko pod pewnym względem, bądź też zupełnie, od wszelkich prestacyj konkurencyjnych tego rodzaju mieć ją chcą uwolnioną.

Prawo kanoniczne nie podało żadnej ogólnej i stanowczej dyrektywy o tych obowiązkach tej kategoryi parafian, a uznając obowiązek konkurencyjny filialistów jako wypływ stosunku, stworzonego przy każdym poszczególnym akcie założenia filii, miało litylko na oku ścisłe przestrzeganie zasady, zawartej w postanowieniach Soboru Trydenckiego, o konkurencyjnym obowiązku „parafian“ do utrzymania kościoła parafialnego [1]. Sprawa ta również i w austryackiem prawie partykularnem nie była stale

[1] „Parochiales ecclesiae, etiamsi juris patronatus sint, (vetustate vel alias) collapsas refici et instaurari procurent (Episcopi) ex fructibus et proventibus quibuscunque ad easdem ecclesias quomodocumque pertinentibus. Qui si non fuerint sufficientes, omnes patronos et alios, qui fructus aliquos ex dictis Ecclesiis provenientes percipiunt, aut in illorum defectum

unormowaną, a dotycząca judykatura władz administracyjnych była zawsze, aż do czasu wydania ustaw krajowych o konkurencyi kościelnej, chwiejna i niejednostajna[1]; przeważało jednak w praktyce zdanie, zgodne z zasadą Soboru Trydenckiego, że filialiści, których z kościołem matrycznym jeden związek parafialny łączy, od konkurencyi na rzecz tegoż kościoła, jak długo w tym związku zostają, uchylać się nie powinni. Taką też zasadą kierował się i rząd, kiedy po roku 1862 przystępował do uregulowania sprawy o konkurencyi kościelnej i parafialnej w drodze ustawodawstwa krajowego, do którego, po myśli postanowień §. 11-go ustawy konstytucyjnej z dnia 26 lutego 1861 i § 18-go II. 2. Statutu krajowego, unormowanie ustawowe spraw tych należało i dotąd jeszcze należy[2].

---

parochianos omnibus remediis opportunis ad praedicta cogant, quacunque apellatione, exemptione et contradictione remota". *(Conc. Trident.* l. 1, med. Sess. 21 de reform. cap. 7).

[1] Porówn. *Anträge zur Regelung der gesetzlichen Bestimmungen über die Aufbringung der Kosten zur Herstellung und Erhaltung der katholischen Pfarrkirchen und Pfründengebäude.* Wien. Hof- und Staatsdruckerei, 1862. Str. 80 et seq. 116, 120, 125.

[2] Kompetencya ustawodawstwa krajowego do unormowania konkurencyi kościelnej i parafialnej bywa nieraz poddawaną w wątpliwość, ponieważ § 12 zasadniczej ustawy państwowej z d. 21 grudnia 1867 D. p. p. nr. 141, zmienił zasadę przyjętą w ustawie konstytucyjnej z dnia 26 lutego 1861. Gdy bowiem ta ostatnia ustawa wyjęła z zakresu działania Rady Państwa takie sprawy, które statutami krajowemi przekazane zostały ustawodawstwu krajowemu (sprawy kościelne), ustawa zasadnicza z dnia 21 grudnia 1867 na odmiennem stojąc stanowisku, zastrzegła tylko te sprawy ustawodawstwu krajowemu, które w tej ustawie nie są wyraźnie wymienione jako należące do zakresu działania Rady Państwa. Gdy zaś w § 11 l. 6 tej ostatniej ustawy zaliczono ustawodawstwo w sprawie stosunków konfesyjnych do rzędu spraw należących do kompetencyi Rady Państwa, przeto i postanowienia Statutu krajowego, przekazujące unormowanie spraw konkurencyi kościelnej i parafialnej, jako spraw konfesyjnych, doznały zmiany na rzecz kompetencyi Rady Państwa, i odtąd rzeczą być powinno ustawodawstwa państwowego wydawanie potrzebnych dla poszczególnych krajów w Radzie Państwa reprezentowanych, ustaw konkurencyjnych. (Porównaj motywa podane w sprawozdaniu komisyi konkurencyjnej Izby poselskiej Rady Państwa do § 35 ustawy z dnia 7 maja 1874 D. p. p. nr. 50, o stosunkach prawnych kościoła katolickiego, i debaty nad tym paragrafem w Izbie). Pominąwszy już wzgląd na tę okoliczność, że argumentacya ta

Odnośne przedłożenie rządowe, wniesione do sejmu w r. 1863, zawierało w kwestyi konkurencyjnego obowiązku filialistów w § 19-ym następujące postanowienia:

„§ 19. Kościoły filialne i budynki mieszkalne eksponowanych przy nich duchownych obowiązani są stawiać i utrzymywać, jeżeli inne zobowiązania prawne nie zachodzą, ci, w których interesie takie kościoły i budynki mieszkalne istnieją. Okoliczność ta nie uwalnia ich wszakże, wyjąwszy osobną umowę, od obowiązku konkurowania do wydatków na kościół matryczny i plebanię".

Te postanowienia przedłożenia rządowego weszły z niektóremi zmianami stylistycznemi do § 8-go projektu Wydziału krajowego, który w zastępstwie sejmowej komisyi administracyjnej

z mylnego a przynajmniej spornego wychodzi założenia, że ustawa krajowa z 15 sierpnia 1866, której istnienie legalne postanowieniem § 57 ustawy z dnia 7 maja 1874 D. p. p. nr. 50, jest zagwarantowane, zmieniona być nie powinna i nie może inaczej, jak tylko w drodze ustawy państwowej, należy jeszcze i ten ważny moment zasadniczej doniosłości wziąć na uwagę, że ustawa państwowa, wyjmując w § 11 l. 6 uregulowanie „spraw konfesyjnych" z pod ustawodawstwa, krajowego a przekazując je kompetencyi Rady Państwa, nie mogła mieć na oku spraw konkurencyi kościelnej, których uregulowanie nie może być po myśli § 11 *alinea* pierwsza l. c. zaliczone do sprawy odnoszącej się do „interesów wspólnych" wszystkim krajom w Radzie Państwa reprezentowanym, lecz zadośćczynić powinno, jeżeli ma odpowiedzieć zadaniu, poszczególnym właściwościom ustroju i stosunków kościoła, tak rozmaitym w każdym kraju. Pod wyrażeniem „uregulowanie stosunków konfesyjnych", raczej rozumieć należy uregulowanie doniosłych dla państwa całego zagadnień ogólnej natury, a więc stosunku prawnego poszczególnych wyznań do państwa, określenie ustawowe spraw wspólnych każdemu wyznaniu i wzajemnych stosunków wyznań między sobą t. zw. międzywyznaniowych. Sposób i rodzaj pokrywania datków konkurencyjnych dla kościołów przy pomocy elementu świeckiego z temi kwestyami ogólnego znaczenia politycznego żadnej nie ma wspólności, a uregulowanie tej kwestyi należy z natury rzeczy do ustawodawstwa krajowego, zawsze jednak pod warunkiem, że wykraczać ono nie może poza ramy zasadnicze, ustawą państwową, ogólnie obowiązującą, zakreślone. W tem przypuszczeniu dalszy rozwój ustaw krajowych o konkurencyi kościelnej i parafialnej jest możebnym, i na tem stanowisku stanął i rząd, sankcyonując nowelę z d. 15 listopada 1888 D. u. i r. k. nr. 96, uzupełniającą ustawę krajową o konkurencyi kościelnej co do ubezpieczenia budynków kościelnych i parafialnych od ognia.

z powodu wczesnego zamknięcia sesyi miał sobie poruczone opracowanie projektu ustawy konkurencyjnej kościelnej i projekt ten sejmowi przedłożył [1]. Sejmowa komisya konkurencyjna nie przychyliła się jednak do postanowień zawartych w § 8-ym projektu (§ 19-ty przedłożenia rządowego), a powodowana uwagą, iż nałożenie „gminom“ filialnym, mającym własny kościół i własnego „parocha“, obowiązku ponoszenia także kosztów konkurencyi odnoszących się do kościoła „głównego“, stałoby się jednym z pierwszych powodów odstraszających od zakładania kościołów filialnych, zaleciła sejmowi w swojem sprawozdaniu [2] w miejsce § 8-go projektu Wydziału krajowego, § 9-ty w następującej osnowie:

„§ 9. Gminy filialne, które nie mają własnego duchownego, mają przecież własny kościół, przyczyniają się tylko do kosztów konkurencyjnych, odnoszących się do budynków plebańskich kościoła głównego, a nie do kosztów konkurencyjnych, odnoszących się do zabudowań kościelnych. Gminy filialne zaś mające własny kościół i własnego duchownego, wolne są od wszelkich datków i prestacyi konkurencyjnej, odnoszących się do budynków kościelnych i plebańskich lub innych potrzeb kościoła głównego. Jeżeli zaś kościół główny i filia lub filie znajdują się w jednem mieście lub miasteczku, natenczas filia lub filie winny przyczyniać się do wydatków kościoła głównego, jeżeli inne prawne zobowiązania w tej mierze nie istnieją“.

Postanowienia te odstępowały zupełnie od przedłożenia rządowego. To też komisarz rządowy, zaznaczając stanowisko rządu w toku dyskusyi nad tą sprawą w sejmie, nazwał wniosek komisyi nowością, niezgodną z dotychczasową praktyką, i oświadczył, iż postanowienia podobne, jakie komisya proponuje, ułatwią wprawdzie poszczególnym gminom wybudowanie małych kościołków według swojej potrzeby, jednakże wielce i znacznie osłabią siły konkurencyi do kościoła-matki i uniemożebnią utrzymywa-

[1] Sprawozdanie Wydziału krajowego z dnia 31 października 1865, nr. 787 ex 1865, i projekt ustawy (Alegat xv. do Sprawozdań sejmu 1865).

[2] Sprawozdanie komisyi konkurencyjnej do l. 2969 z 1866 (Alegat LXXXVI. do Sprawozdań sejmu z r. 1866).

nie świątyń katolickich w tej wspaniałości i okazałości, któremi te świątynie od domów dla nabożeństw innych wyznań przeznaczonych się odznaczają. Po ożywionej dyskusyi[1] sejm uchwalił na posiedzeniu z 24 kwietnia 1866, wbrew wnioskowi komisyi, którego i sprawozdawca komisyi tylko słabo bronił, § 9-ty w brzmieniu zgodnem z § 8-ym projektu Wydziału krajowego (§ 19 przedłożenia rządowego), a tylko posłowie włościańscy gorąco popierali wniosek komisyi konkurencyjnej, uzasadniając zdanie swe tem, że odpowiada on istniejącym u nas stosunkom i nie da powodu do narzekań na niesłuszne przeciążenie ludności włościańskiej datkami konkurencyjnemi i na rzecz filii i na rzecz kościoła matrycznego.

Obawy te nie były bezpodstawne. Dlatego też już w r. 1880 Wydział krajowy, wypracowując z polecenia sejmu nową ustawę o konkurencyi kościelnej, zająć się musiał w szczególności rewizyą postanowień § 9-go. W tej ostatniej mierze oświadczył się Wydział krajowy, przedkładając sejmowi w sprawozdaniu z 22 czerwca 1883 opracowany przez siebie nowy projekt ustawy o konkurencyi kościelnej i parafialnej, iż postanowienia co do filialistów dotychczas obowiązujące, tylko w tym wypadku są usprawiedliwione, jeżeli przy filii niema eksponowanego duchownego, sprawującego wszystkie obowiązki parocha, gdyż filialiści, stawiając budynki dla swojej wygody, nie mogą z tego tylko powodu żądać uwolnienia od obowiązku konkurencyjnego do matki, której są parafianami. Jeżeli zaś przy takiej filii stale eksponowany jest duchowny i sprawia z ramienia biskupa wszystkie czynności parocha, a parafianie tej miejscowości budują i utrzymują budynki kościelne i parafialne, wtenczas faktycznie mają osobną parafię i duszpasterza, i niesłusznemby było, żeby jeszcze pociągani byli do konkurowania do parafii matrycznej. W tym duchu zaproponował Wydział krajowy w § 10 swojego projektu następującą zmianę postanowień co do obowiązku konkurencyjnego filialistów:

[1] Por. Sprawozdanie stenograf. z posiedzeń sejmu krajowego (posiedzenie 76, III. sesya z 1866, str. 1821 do 1826).

„Kościoły filialne i zabudowania mieszkalne i gospodarskie dla duchownych, którzy przy nich są eksponowani, mają przy pomocy rozporządzalnego majątku kościelnego stawiać i utrzymywać ci, w których interesie kościoły te i zabudowania istnieć mają lub istnieją, jeżeli inne prawne zobowiązania w tej mierze nie zachodzą.

„Okoliczność ta nie uwalnia ich wszakże od obowiązku konkurowania do wydatków na kościół i budynki parafialne (§ 1), wyjąwszy osobną umowę i wyjąwszy wypadek, jeżeli ekspozyt aplikowany jest przez biskupa do samoistnego zawiadywania *(ad universitatem causarum)*".

Za tym projektem Wydziału krajowego i z przytoczeniem tych samych powodów [1] poszła i sejmowa komisya konkurencyjna, a § 11-ty jej projektu do ustawy, odpowiadający § 10-mu projektu wydziałowego, zawierał tylko drobną poprawkę stylistyczną w drugim ustępie, niezmieniającą w żadnym kierunku samej rzeczy. Ponieważ projekt nowej ustawy konkurencyjnej, zmieniający i część materyalną i formalną obowiązującej ustawy, odstępował w kilku ważnych kwestyach zasadniczej doniosłości od tej ustawy, przeto po wniesieniu go na porządek dzienny posiedzenia sejmowego z dnia 4 września 1884, wywiązała się nad nim w sejmie nader gorąca i wyczerpująca dyskusya, na podstawie której stanęła po odbyciu jeneralnej debaty uchwała, aby przedłożony projekt zwrócić komisyi konkurencyjnej w tym celu, by projekt swój wobec objawionych w toku ogólnej rozprawy zdań i wobec złożonego ze strony c. k. rządu oświadczenia — zastępca rządu zastrzegł sobie głos przy dyskusyi specyalnej co do niektórych postanowień projektu, między temi i co do kwestyi konkurencyjnej filialistów w § 11 zawartej — ponownie wzięła pod rozwagę i sejmowi zdała sprawę. Gdy

[1] Por. Sprawozdanie Wydziału kraj. z 22 czerwca 1883, L. 26569, z projektem ustawy „o pokryciu potrzeb kościelnych i parafialnych w parafiach wyznania katolickiego", i sprawozdanie sejmowej komisyi konkurencyjnej o przedłożonym przez Wydział krajowy projekcie nowej ustawy o konkurencyi kościelnej i parafialnej z dnia 13 października 1883, L. S. 871 z 1883 (Alegata do Sprawozdań sejm. z r. 1884).

jednak sesya sejmowa już 10 września 1884 zamkniętą została, więc dopiero w sesyi następnej nowo wybrana komisya wywiązała się z poruczonego zadania i przedłożyła sejmowi, nie już projekt nowej ustawy konkurencyjnej, lecz tylko nowelę zmieniającą §§ 4, 9, 12, 14, 16, 20, 21 i 22 ustawy z d. 15 sierpnia 1866.

Co do zmiany omówionego § 9-go, były w komisyi zdania podzielone; przedłożono więc sejmowi dwa odrębne wnioski, z których pierwszy — wniosek większości — oparty na poprzednim przez Wydział krajowy i dawniejszą komisyę sejmową opracowanym projekcie; drugi — wniosek mniejszości — idący znacznie dalej w przyznaniu filialistom ulg od ciężaru konkurencyjnego na rzecz parafii matrycznej.

Może nie będzie zbytecznem podać tu obydwa wnioski wraz z pobieżnem streszczeniem toku rozpraw nad niemi w sejmie [1], gdyż rzucają one poniekąd światło na trudności, jakie zamierzonej reformie § 9-go ustawy stanęły w drodze, i dają niejako wskazówkę, według którejby przy rozwiązaniu tej kwestyi postąpić należało.

Większość komisyi popierała wniosek swój temi samemi argumentami, które przytoczył Wydział krajowy, przedkładając sejmowi projekt nowej ustawy konkurencyjnej. Dotychczasowe postanowienia § 9-go, nakładając na filialistów obowiązek do konkurencyi dla kościoła i parafii matrycznej, tylko w tym wypadku są uzasadnione, jeżeli przy kościele filialnym niema osobno eksponowanego kapłana dla sprawowania funkcyj duszpasterskich, gdyż postawione w takim razie budynki kościelne służą tylko ku wygodzie własnej filialistów, aby uniknąć dalszej drogi do parafialnego kościoła, z którego od czasu do czasu wysyłany bywa kapłan dla odprawiania nabożeństwa. Usunąć więc w tym wypadku filialistów od konkurowania na rzecz parafii matrycznej, byłoby rzeczą niesłuszną. Jeżeli jednak przy filii stale jest eksponowany duchowny i z ramienia biskupa spełnia wszystkie funkcye parocha, a parafianie tej miejscowości budują i utrzy-

[1] Por. Sprawozdanie stenograficzne z posiedzeń sejmowych II. sesyi 5. peryodu.

mują budynki kościelne i parafialne, to, właściwie rzecz biorąc, mają oni faktycznie parafię osobną i duszpasterza, i nie zgadza się z poczuciem słuszności, zobowiązywać takich filialistów do kontrybucyi konkurencyjnej na cele matrycznej parafii. Z tych więc powodów, z któremi zgodziły się i konsystorze i rady powiatowe, które tę kwestyę badały, komisya była zdania, że tylko filialiści wspomnianej kategoryi mają być wolni od obowiązku konkurowania do kościoła-matki, i zaprojektowała zmianę § 9-go w następującem brzmieniu:

„§ 9. Kościoły filialne i zabudowania mieszkalne i gospodarskie dla duchownych, którzy przy nich są eksponowani, mają przy pomocy rozporządzalnego majątku tych kościołów stawiać i utrzymywać ci, w których interesie te kościoły i zabudowania istnieją, jeżeli inne prawne zobowiązania w tej mierze nie zachodzą.

„Okoliczność ta nie uwalnia ich wszakże od obowiązku konkurowania do wydatków na kościół i budynki parafialne, wyjąwszy, jeżeli osobna istnieje umowa, albo jeżeli ekspozyt aplikowany jest przez biskupa do samoistnego spełniania wszelkich funkcyj parafialnych".

Wniosek zaś mniejszości komisyi opiewał:

„§ 9. Kościoły filialne i zabudowania mieszkalne i gospodarskie dla duchownych, którzy przy nich są eksponowani, mają przy pomocy rozporządzalnego majątku tych kościołów stawiać i utrzymywać ci, w których interesie te kościoły i zabudowania istnieją, jeżeli inne prawne zobowiązania w tej mierze nie zachodzą.

„Parafianie jednak tych miejscowości, w których się znajduje odpowiedni tylko nieparafialny kościół publiczny, ich staraniem utrzymany, wolni są od konkurencyi do wydatków na budynek kościoła parafialnego. Od obowiązku konkurowania do wydatków na budynki parafialne, uwalnia tylko osobna w tym względzie istniejąca umowa, albo okoliczność, że ekspozyt przy takim kościele aplikowany jest przez biskupa do samoistnego spełniania wszelkich funkcyj parafialnych".

Według wniosku mniejszości, mają być uwolnieni od wy-

datków na budowę i utrzymywanie samego kościoła-matki nietylko filialiści, przy których stały ekspozyt pełni funkcye parocha, jak to chce mieć wniosek większości, lecz wszyscy ci parafianie z innej miejscowości, jak ta w której się znajduje kościół parafialny, jeżeli w tej miejscowości własnym kosztem utrzymują odpowiedni kościół do publicznego użytku przeznaczony; uwolnienie ich zaś od prestacyi konkurencyjnej do pokrycia kosztów stawiania i utrzymywania innych budynków parafii matrycznej uczyniono zawisłem od warunku wskazanego i we wniosku większości, tj. aby mieli osobnego u siebie, z ramienia biskupa ustanowionego ekspozyta, sprawującego samoistnie funkcye parafialne.

Potrzebę zmiany § 9-go ustawy w tym kierunku uzasadniał sprawozdawca i zwolennicy wniosku mniejszości względami słuszności, faktycznemi stosunkami kościołów w znacznej większości kraju, i względem na *cura animarum*. Wielkie parafie, o kilku a częstokroć i kilkunastu gminach, nie należą u nas do wyjątków, zwłaszcza we wschodniej części kraju, gdzie utworzenie większych kompleksów parafialnych nastąpiło skutkiem zniesienia za cesarza Józefa II. znacznej liczby kościołów parafialnych, skąd też poszło, że większa część kościołów filialnych ma swoje historyczne uprawnienie i nie zawdzięcza początku swego „li wygodzie samej“, ile raczej istotnej potrzebie dla umożliwienia Mszy św., odbywania praktyk religijnych i sprawowania funkcyj kościelnych dla tych, którym dostęp do kościoła matrycznego, czy to ze względu na zbytnią odległość, czy też z powodu przeszkód komunikacyjnych, nader jest utrudniony a czasem niemożebny, jak w okolicach karpackich i podkarpackich lub stepowych Podola. Istnienie więc kościołów filialnych, w których się odbywają co druga lub trzecia niedziela Msze święte, spowiedź wielkanocna, katechizacye, modlitwy, przy których obecność proboszcza nie jest konieczną, w niedziele i święta — ma swe uprawnienie w potrzebie duchownej filialistów; a skoro utrzymanie tego kościoła ciąży na nich samych, nie można i nie powinno się ich pociągać do konkurencyi na kościół matryczny. Prawo kanoniczne nakłada wprawdzie na filię obowiązek konkurowania do wydatków na kościół matryczny. Norma ta po-

trzebuje jednak korektury ze względu na stosunki kościelne, jakie się z biegiem czasu u nas wytworzyły. Jeżeli kościół filialny odpowiada pod względem rozmiarów i urządzenia wszelkim potrzebom parafialnym ludności w miejscu, to spełnia on przeznaczenie instytucyi kościelnej w daleko doskonalszej mierze i z większym duchowym pożytkiem dla filialistów, niż kościół parafialny matryczny. Inna jest rzecz z plebanem; ten udziela niejako, tam gdzie niema stałego ekspozyta, swojej firmy, daje opiekę religijną i ofiarowywa usługi swoje zarówno parafianom jak filialistom. Słuszną więc jest rzeczą, aby filialiści pociągani byli jeno do konkurencyi przy stawianiu i utrzymywaniu budynków mieszkalnych i gospodarskich plebańskich, zaś od wydatków na rzecz kościoła matrycznego byli uwolnieni. Byłoby zresztą w wysokim stopniu niesprawiedliwością, aby ludność, która, wiedziona pobożnością lub względami istotnej potrzeby, postawiła i utrzymuje własnym kosztem w miejscu swego zamieszkania odpowiedni dom boży — właśnie dlatego, że miała tak wiele tej pobożności, albo że miejscowość filialna niekorzystnie jest położona lub nadto oddalona od kościoła matrycznego, płacić musiała podwójną konkurencyę i dla kościoła własnego i dla kościoła matrycznego. Byłaby to poniekąd kara, nałożona na filialistów za to, że ofiarą materyalną zaspokoiła potrzebę swoich uczuć religijnych. „Wyglądałoby to tak — woła jeden z mówców — jakbyśmy chcieli ludowi powiedzieć: dobrze ci tak, płać dwa razy, sam sobie winien jesteś, po coś postawił kościół; za nieroztropność swoją musisz odpokutować, nie trzeba było stawiać nowego kościoła".

Przeciwnicy wniosku mniejszości (między nimi: Paweł Popiel, Koziebrodzki) nie zapoznawali wprawdzie doniosłości tych wszystkich argumentów, przyznając, że wchodzą one w rdzeń stosunków społecznych, ekonomicznych i religijnych, ukształtowanych odmiennie w naszym kraju; należy jednak wziąć na uwagę, że przyjmując wniosek mniejszości komisyi w proponowanem przez nią brzmieniu, narazi się kościoły matryczne, mające wysoką doniosłość religijną i administracyjną, na upadek w najbliższej przyszłości. Skutkiem uwolnienia wszystkich filia-

listów, mających kościół ich potrzebom odpowiedni, zmniejszą się i zmaleją stanowczo fundusze na utrzymanie kościołów parafialnych matrycznych, źródła dochodów rozstrzelą się w parafii na kilka kościołów i osłabi się wpływ religijny, jaki kościół parafialny matryczny wywierać powinien. Powstaną liczne kościoły nowe, oderwane od kościoła matrycznego — bez księży, a nie wiadomo, czy i o ile utrzymywanie takich kościołów bez księży i wędrówka kapłanów z nabożeństwem od kościoła do kościoła jest w interesie instytucyi kościelnej i religii. To pewna, że uwolnienie filialistów od obowiązku konkurowania do kościoła-matki będzie zachętą do powstawania nowych kościołów, gdyż skutkiem tego odpadłaby obligacya utrzymywania kościoła matrycznego, a pewna część kościołów matrycznych, zwłaszcza we wschodniej części kraju, świecić będzie ruiną. Zresztą dla jakiej prawnej przyczyny mają parafianie być pozbawionymi prawa żądania pomocy od parafian-filialistów przy stawianiu i utrzymywaniu matrycznego kościoła parafialnego? Czy okoliczność, że postawili kościół filialny, może sama przez się uwalniać ich od obowiązku, ciążącego na nich z mocy należenia do jednego i tego samego związku parafialnego i pozbawiać ten ostatni praw przy pierwotnym ustroju związku tego nabytych? Wywiązuje się także pytanie, które kościoły filialne mają uprawniać do uwolnienia od datków konkurencyjnych na rzecz matrycznej parafii, i jakie tu kryteryum przyjąć należy za rozstrzygające: czy wielkość i w jakich rozmiarach kościoła filialnego, czy wzgląd na liczbę parafian-filialistów, czy odległość od kościoła-matki i jaka, i czy nie byłoby najlepiej uważać w duchu prawa kanonicznego za kościoły filialne tylko te, które mają osobnego ekspozyta z ramienia biskupa ustanowionego?...

Po replice ze strony zwolenników wniosku mniejszości, streszczającej się w tem, że obawa zbytniego pomnożenia kościołów filialnych skutkiem uwolnienia filialistów od konkurencyi na *matrix* jest płonną, gdyż pozwolenie do stawiania filialnych kościołów zawisło od ordynaryatu, który je w porozumieniu z władzą administracyjną państwową tylko tam udzielać będzie, gdzie tego wymaga istotna potrzeba parafii i gdzie to jest zgo-

dne z interesem matrycznej parafii — sejm 56 głosami przeciw 44 przyjął projekt mniejszości komisyi.

Uchwalonemu wszakże projektowi noweli do ustawy konkurencyjnej odmówiono najwyższej sankcyi, a to według reskryptu Prezydyum Namiestnictwa galicyjskiego z dnia 26 września 1887 do Wydziału krajowego, z tego powodu, że przy uchwalaniu tego projektu nie uwzględniono ścisłej łączności krajowej ustawy kościelno-konkurencyjnej z 12 sierpnia 1866, z ustawą państwową z dnia 7 maja 1874 D. p. p. nr. 50, która to łączność przy jakiejkolwiek zmianie pierwszej ustawy w każdym razie musiałaby znaleść wyraz przez wymienienie rozporządzeń nieposiadających już mocy prawnej, co jednakże w tym projekcie ustawy nie nastąpiło; zresztą § 9-ty noweli jest zasadniczo niedopuszczalny, ponieważ filialiści nawet pod wskazanemi w tym paragrafie warunkami, których urzeczywistnienie zresztą wymagałoby, jak się to samo przez się rozumie, zatwierdzenia rządu, o którem w tym paragrafie niema wzmianki, pozostają w związku parafialnym, a tem samem pozostają także obowiązanymi do konkurencyi, ponieważ dalej postanowienia tego paragrafu musiałyby doprowadzić do osłabienia siły konkurencyjnej związków parafialnych i wprost zachęcałyby do wyemancypowania się z pod kościoła parafialnego.

Tak więc podjęta przez sejm reforma § 9-go ustawy konkurencyjnej nie doszła do pożądanego skutku, a tylko archiwum sejmowe zbogacone zostało cennym materyałem do przyszłych projektów.

Sprawa zmiany postanowień § 9-go na nowo poruszoną została dopiero w r. 1890[1] przez posła d-ra Zolla, który na nalegania posłów koła włościańskiego na 19-tem posiedzeniu 2-giej sesyi VI. peryodu w sejmie postawił wniosek, aby komisya administracyjna ewentualnie Wydział krajowy w porozumieniu z ordynaryatami biskupiemi zbadała, jak dalece pożądaną jest zmiana § 9-go ustawy konkurencyjnej w tym kierunku, aby parafianie

[1] Por. Sprawozdania stenogr. z posiedzeń sejmu galicyjskiego z r. 1890, II. sesya VI. peryodu, str. 698.

posiadający i utrzymujący kościoły filialne uwolnieni byli od obowiązku konkurowania do wydatków na kościół i budynki parafialne (tak zwane matryczne), i odpowiedni wniosek przedłożyła na najbliższej sesyi sejmowej. Uzasadniając ten wniosek, wnioskodawca wykazał nieodzowną i rychłą potrzebę zmiany tych postanowień; przyczem, nie zapuszczając się w szczegółowy rozbiór powodów odmówienia sankcyi noweli przez sejm w r. 1884 uchwalonej, dodał, że obecnie obowiązująca ustawa wstrzymuje gminy od postawienia kościoła filialnego tam, gdzie go potrzeba, tylko z tego powodu, że parafianie nie chcą ponosić podwójnych kosztów, tj. na kościół filialny i na kościół parafialny.

Wniosek Zolla przyjęto, a z polecenia sejmu Wydział krajowy opracował, zasięgnąwszy poprzednio opinii ordynaryatów biskupich, ponowny projekt zmiany § 9-go i przedłożył [1] go sejmowi sprawozdaniem z dnia 10 grudnia 1891. Według osnowy tego sprawozdania, oświadczyły się wszystkie bez wyjątku ordynaryaty za zmianą rzeczonych postanowień w duchu ulgi dla filialistów, obciążonych podwójną konkurencyą. Z powodów, dla których ordynaryaty zmianę taką uważają za pożądaną, przytoczono w sprawozdaniu motywa konsystorza książęco-biskupiego w Krakowie i gr.-katolickiego we Lwowie. Pierwszy z nich pisze: „Do r. 1866 żyli parafianie kościoła głównego z parafianami filialnego nietylko w harmonii i zgodzie, ale nawet w stosunku pewnej przyjaźni. Stosunek ten od chwili zjawienia się tego paragrafu tylko tam jeszcze się utrzymał, gdzie parafianie kościoła matrycznego u siebie w domu lepiej rzecz osądziwszy, przy konkurencyach paragraf ten ignorowali, i bądź w poczuciu wrodzonej sprawiedliwości, bądź też w obawie wywołania nienawiści i procesu, zupełnie korzystać z niego nie chcieli. Tam zaś, gdzie na korzyść kościoła matrycznego zastosować go usiłowano, natrafiano natychmiast na opór nieugięty, łatwy do wytłumaczenia tem, że filia nie chciała nagiąć karku pod ciężar, którego przez parę wieków swej egzystencyi nie znała (?). Obudzonej wskutek

[1] Sprawozdaniem z d. 10 grudnia 1891 L. W. K. 23117 ex 1891 Alegatów do Sprawozdań sejmowych z r. 1892, nr. 22.

tego nienawiści, podsycanej długoletnim kosztownym procesem, który na podstawie § 9-go kończyć się musi ze szkodą i krzywdą filii, czas wcale nie ukoi; owszem, rozgoryczenie sięga dalej, dotyka szkodliwie samego rządu i instytucyj prawodawczych, najszkodliwiej zaś oddziaływa na autonomiczne, którym zawsze usłużni *odiosa* wszystkie przypisać nie zaniedbują".

Te same mniej więcej powody przytacza i ordynaryat metropolitalny obrządku grecko-katolickiego. „Obowiązek wsi filialnych — powiada w swojej opinii — konkurowania do budowy cerkwi matrycznych, dawał wszędzie prawie powód do wnoszenia rekursów, osobliwie tam, gdzie gminy filialne mają swe własne cerkwie, które utrzymują własnemi funduszami. Nieuwzględnianie rekursów i środki przymusowe rozgoryczają ludność do ostateczności, a podżegania nieproszonych agitatorów doprowadziły już do tego, że parafianie wsi filialnych, aby tylko uchylić się od konkurencyi, porzucali swój grecko-katolicki obrządek i przechodzili na drugi obrządek, a nawet na bezwyznaniowość. Ordynaryat usiłuje wprawdzie w danej sposobności za pomocą delegowania duchownych komisyj załatwiać te spory w duchu chrześcijańskiej zgody i miłości, ale to, niestety, nie wszędzie odnosi zamierzony skutek".

Tylko co do sposobu przeprowadzenia pożądanej zmiany objawiły się ważne różnice zdań między ordynaryatami.

Ordynaryaty rzym.-katolickie w Krakowie, Lwowie, Przemyślu i Tarnowie oświadczyły się za zwolnieniem od obowiązku konkurowania do wydatków na kościoły i budynki parafialne tylko filij ze stałymi ekspozytami, którzy wszystkie obowiązki z duszpasterstwem połączone przy kościele filialnym wypełniają, i metryki niezależnie i oddzielnie od urzędu parafialnego w kancelaryi filii swej czyli swej ekspozytury z polecenia i upoważnienia biskupa i za zezwoleniem rządu pod osobistą odpowiedzialnością prowadzą. Tym sposobem dalsze dwie kategorye filialistów, mianowicie w filiach, w których także stały duszpasterz niektóre funkcye duchowne w zastępstwie właściwego plebana sprawuje, ale który ksiąg metrykalnych oddzielnie nie prowadzi, tudzież w filiach, w których tylko *excurrendo* bądź

pleban sam, bądź też jego zastępca od czasu do czasu nabożeństwa odprawia lub nauk katechetycznych udziela — od konkurowania na rzecz kościołów matrycznych uwolnieniby być nie mieli. Zaś ordynaryaty grecko-katolickiego obrządku i ordynaryat metropolitalny obrządku ormiańskiego oświadczyły się za uwolnieniem wszystkich wogóle filij od obowiązku konkurowania do wydatków na kościół matryczny. Natomiast oświadczyły się te ordynaryaty, jednak bez ordynaryatu ormiańskiego, za tem, aby wszystkie filie były obowiązane i nadal do konkurowania na budynki parafialne, nawet gdyby u siebie budynki mieszkalne i gospodarskie dla eksponowanego przy kościele filialnym duchownego posiadały.

Wydział krajowy, mając na względzie tę okoliczność, że zmiany § 9-go, poprzednio przez sejm uchwalone, z powodu sprzeczności z zasadą ustawy państwowej z 7 maja 1874 sankcyi nie otrzymały, ograniczył się w projekcie swoim tylko do zaproponowania ulg dla filialistów tych filij, przy których stale eksponowany kapłan urząd duszpasterski sprawuje i księgi metrykalne samoistnie prowadzi, zaznaczając, że takie filie uważane być mają za wyjęte ze związku parafialnego, do którego faktycznie i tak tylko ze względu na ponoszenie ciężarów konkurencyjnych należą. Projekt ten opiewał jak następuje:

„Kościoły filialne i zabudowania mieszkalne i gospodarskie dla duchownych, którzy przy nich są eksponowani, mają przy pomocy rozporządzalnego majątku tych kościołów stawiać i utrzymywać ci, w których interesie te kościoły i zabudowania istnieją, jeżeli inne prawne zobowiązania w tej mierze nie zachodzą. Okoliczność ta nie uwalnia ich wszakże, wyjąwszy osobną umowę, od obowiązku konkurowania do wydatków na kościół i budynki parafialne (§ 1).

„Jednakże parafianie tych miejscowości, w których znajduje się kościół publiczny, nieparafialny, ich staraniem utrzymywany, uważani będą za wyłączonych ze związku parafialnego i uwolnieni od konkurowania do wydatków na kościół i budynki parafialne (matryczne), jeżeli przy owym nieparafialnym kościele z ramienia władzy duchownej i za zezwoleniem c. k. rządu usta-

nowiony jest stale duchowny, sprawujący wszystkie funkcye duszpasterza i prowadzący oddzielnie i niezależnie od plebana księgi metrykalne".

Nim jednak sejm przystąpił do obrad nad tym projektem Wydziału krajowego, poseł dr. Okuniewski, wychodząc z założenia, że przedłożony projekt nie usuwa całkowicie złego, gdyż pomija filie bez ekspozytów, postawił następujący wniosek[1] na zmianę paragrafu 9-go: „§ 9. Kościoły (cerkwie) filialne, tudzież budynki przeznaczone do zamieszkania i gospodarstwa duchownych, którzy przy nich są eksponowani, mają przy pomocy rozporządzalnego majątku tych kościołów (cerkwi) stawiać i utrzymywać ci, w których interesie te kościoły (cerkwie) lub budynki istnieją, jeżeli pod tym względem nie zachodzą jakie inne prawne zobowiązania. Jednakże parafianie tych miejscowości, w których znajduje się odpowiedni, chociaż nieparafialny (macierzysty) kościół publiczny, ich staraniem utrzymywany, wolni są od konkurencyi do wydatków na budynek kościoła matrycznego. Od obowiązku konkurowania do wydatków na budynki parafialne uwalnia tylko osobna, istniejąca w tym względzie umowa, lub ta okoliczność, że ekspozyt przy takim kościele za zezwoleniem rządu przeznaczonym jest przez biskupa do samodzielnego spełniania wszystkich funkcyj parafialnych".

Sejmowa komisya konkurencyjna, zdając sejmowi sprawę z tego wniosku i z projektu Wydziału krajowego[2], przychyliła się do projektu Wydziału krajowego z 10 grudnia 1891, a jakkolwiek nie zaprzeczyła, że żądania objęte wnioskiem d-ra Okuniewskiego są słuszne, to jednak zalecić go nie mogła do uchwalenia, gdyż w drodze zmiany ustawy krajowej nie da się obecnie cel wnioskiem tym zamierzony osiągnąć, stoją mu bowiem na przeszkodzie postanowienia paragrafów 35-go i 36-go ustawy państwowej z dnia 7 maja 1874 D. u. p., nr. 50. Zaproponowała

[1] Dr. Okuniewski uzasadnił swój wniosek (L. sej. 257 ex 1892) na posiedzeniu z dnia 24 kwietnia 1893. Porów. Sprawozdania stenogr. z posiedzeń sejmowych, IX. posiedz. IV. sesyi VI. peryodu, str. 348.

[2] Sprawozdanie komisyi konkurencyjnej o wniosku posła Okuniewskiego, w przedmiocie zmiany § 9-go o konkurencyi kościelnej i parafialnej z 15 sierpnia 1866 L. S. 1027, nr. aleg. do sprawozdań sejm. 237.

jednak sejmowi przyjęcie rezolucyi, wzywającej rząd do jak najrychlejszego przeprowadzenia takiej zmiany w przepisach tej ustawy, któraby umożliwiła sejmowi uchwalenie zmiany § 9-go krajowej ustawy konkurencyjnej w kierunku, wskazanym przez ordynaryaty obrządku grecko-katolickiego i ormiańskiego, tudzież przez posła Okuniewskiego [1].

Przy rozprawach nad tym przedmiotem w sejmie oświadczył się komisarz rządowy [2] przeciw proponowanej przez komisyę zmianie § 9-go, zaznaczając, że nie da się ona, jakkolwiek pożądana i zgodna ze zdaniem ordynaryatów, pogodzić z postanowieniami paragrafów 20-go, 35-go i 36-go ustawy państwowej z dnia 7 maja 1874. Okoliczność bowiem, że niektórzy parafianie z własnych funduszów utrzymują kościół publiczny (filialny), nie może sama przez się spowodować wyłączenia ich ze związku parafialnego, dopóki to wyłączenie nie zostanie orzeczone w sposób istniejącemi przepisami unormowany; należałoby więc odroczyć zmianę § 9-go ustawy krajowej do czasu, gdy po myśli proponowanej rezolucyi zostanie przeprowadzoną zmiana odnośnych postanowień ustawy państwowej. Po odpowiedzi sprawozdawcy komisyjnego, streszczającej się w tem, że zarzuty komisarza rządowego nie są skierowane przeciw *meritum* rzeczy, tylko raczej względy formalnej natury mają na oku, i że nie są one przy łagodniejszej interpretacyi §§ 20-go, 35-go i 36-go ustawy państwowej z 7 maja 1874, w myśl rozstrzygnień Trybunału administracyjnego [3] należycie uzasadnione — sejm projektowaną

[1] Rezolucya ta opiewa: „Sejm wzywa c. k. rząd, aby jak najrychlej na właściwej drodze przeprowadził takie zmiany w ustawie z dnia 7 maja 1874 D. u. p. nr. 50, któreby umożliwiły uchwalenie zmiany w ustawie krajowej z d. 15 sierpnia 1866, skierowanej do uwolnienia parafian tych miejscowości, w których znajduje się utrzymywany przez nich publiczny kościół nieparafialny, od obowiązku konkurowania do wydatków na budynek kościoła parafialnego (macierzystego)".

[2] Stenograficzne sprawozdania z posiedzeń sejmowych w r. 1893, str. 913 (XXIV. posiedz. IV. sesyi VI. peryodu z 19 maja 1893).

[3] Sprawozdanie komisyi konkurencyjnej z dnia 13 maja 1893, i przemówienie sprawozdawcy komisyjnego, odnoszą się do decyzyi Trybunału administracyjnego z dnia 10 listopada 1877 L. 1437 (Zbiór Budwińskiego z r. 1877 nr. 152). Decyzya ta, którą zniesiono rozstrzygnięcie ministerstwa

przez komisyę zmianę § 9-go, zgodną z przedłożeniem Wydziału krajowego, większością głosów uchwalił, mimo wyrażonego ze strony sprawozdawcy komisyi powątpiewania, czy projektowana nowela sankcyę monarszą uzyska.

Taki był dotychczasowy przebieg usiłowań, podejmowanych u nas celem uregulowania obowiązku konkurencyjnego filialistów.

Jeżeli zarys ten wypadł może nieco za szczegółowo, to stało się to w przekonaniu, że rozwiązanie spornej tej kwestyi tylko na podstawie dokładnego i wszechstronnego przedstawienia jej i kierunków, w jakich reformę przeprowadzić usiłowano, nastąpić może i powinno.

I jeszcze w jednej kwestyi krótkie słowo.

W toku rozpraw sejmowych nad postanowieniami § 9-go ustawy konkurencyjnej, w czasie pierwotnego ich uchwalenia, i nad reformą tych postanowień odwoływano się często do przepisów prawa kanonicznego, a przy tej sposobności wyłoniła się co do tej kwestyi rozmaitość poglądów, uprawniająca do wniosku, że nie zawsze się z należytego punktu widzenia na sprawę kościołów filialnych i dotyczące jej przepisy kanonicznego prawa zapatrywano. Może więc nie będzie od rzeczy wspomnieć tu

---

wyznań w sprawie zobowiązania filialistów z gmin Niezwisk, Hucisko i Trześń od konkurencyi na rzecz kościoła matrycznego w Rzochowie, kwestyi merytorycznie nie rozstrzygnęła; zniesiono rozstrzygnięcie ministeryalne dla braków formalnych, a w szczególności z powodu niedokładnego zbadania stosunku, jaki zachodził między rekurentami a kościołem parafialnym; natomiast porównaj decyzyę Trybunału administracyjnego z dnia 9 maja 1894 L. 1803, względem konkurencyi rz.-kat. filialistów w Odporyszowie na rzecz budynków plebanalnych matrycznych w Żabnie, którą utrzymano w mocy rozstrzygnięcie ministerstwa wyznań i oświaty, zobowiązujące ich do tej konkurencyi, mimo że filia ta w r. 1787 była samoistną, a przy regulacyi Józefińskiej otrzymała stałego ekspozyta; w powodach do tej decyzyi podano, że filia za samoistną parafię, wolną od konkurencyi do *matrix,* tylko wtedy może być uważaną, jeżeli z wyraźnem pozwoleniem władz państwowych wydzielenie jej z dotychczasowego związku parafialnego nastąpiło, i jeżeli za samoistną i odrębną parafię przez te władze uznaną została.

pokrótce o właściwem znaczeniu instytucyi kościoła filialnego, jak się ona nam przedstawia w prawie kanonicznem [1].

Stosunek kościoła filialnego do matrycznego nie jest w prawie kanonicznem, jak to już wyżej wspomniano, ogólnie unormowany i może być różnoraki w miarę tego, jakiemu aktowi filia zawdzięcza swoje powstanie. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że mylnemby było ograniczenie pojęcia kościoła filialnego do dosłownego znaczenia tego wyrazu i uważanie każdej „filii" za latorośl, wyrosłą niejako z pnia kościoła matrycznego, którego urodziny muszą z porządku rzeczy poprzedzać założenie filii i od tegoż być wcześniejszej daty.

Pierwotną pobudką zakładania kościołów filialnych była bez wątpienia istotna potrzeba pomocniczego kościoła w parafiach większego rozmiaru dla łatwiejszego sprawowania duszpasterstwa i umożliwienia parafianom praktyk religijnych, przez kościół przepisanych. Kościoły takie zawdzięczały istnienie swoje bądź to prywatnej inicyatywie, bądź też kościołowi matrycznemu, który z własnych zasobów, często i kosztem swojego funduszu zakładowego uposażał taką filię, zwaną *capella, oratorium, ecclesia succursalis, ecclesia filialis.* Ścisły stosunek łączności, jaki w tym wypadku między matką a córką zachodził, był to stosunek zupełnej zawisłości *filii* od *matrix,* i o żadnej odrębności samoistnej kościoła filialnego, ani co do *cura animarum,* ani co do obowiązków konkurencyjnych w tej kategoryi kościołów filialnych mowy być nie mogło. Ale jak filia obowiązek miała wspierania swojemi zasobami kościół matryczny, tak również i ten pospieszać powinien filii w razie potrzeby z pomocą [2].

[1] Por. Paul Hinschius, *System des katholischen Kirchenrechtes.* Berlin 1878, tom II, str. 427 et seq., i Berlin 1888, tom IV, str. 313; Permaneder, *Lehrbuch des katholischen Kirchenrechtes,* II. Auflage, Landshut 1853, § 507 r., str. 956—989.

[2] Judykatura dawniejsza w Austryi w specyalnych wypadkach wychodziła z podobnej zasady przy kościołach filialnych z ekspozytami niestałemi *(ad nutum amovibiles).* Dekretem kancelaryi nadwornej z 31 maja 1827 L. 13796 (do Tyrolu) oznajmiono: „...oder sie sind Expositurен, und dann sind diese Expositurен nur Caplangebäude, welche mit dem Pfarrhofe derart ein ganzes ausmachen, dass alle zur Pfarre gehörigen Gemeinden

Inaczej przedstawia się stosunek ten wtedy, jeżeli z ważnych powodów zajdzie potrzeba podziału parafii na dwa odrębne beneficya, t. zw. *dismembratio, disiunctio beneficii.* Przy takim podziale kościół pierwotny uważany był jako *ecclesia matrix,* a kościół z parafii matrycznej wydzielony otrzymywał miano *filiae.* Przy takim akcie dysmembracyjnym nakładano zazwyczaj na filię ku wiecznej pamięci jej duchownego pochodzenia pewne zobowiązania, bądź to w formie czynszów lub datków w wosku i światle, bądź też obowiązku brania udziału w pewnych uroczystościach i nabożeństwach w kościele matrycznym. Dysmembracya, tylko w wypadkach istotnej potrzeby przyzwalana [1], ten miała skutek, że powstawały z jednego beneficyum dwa odrębne od siebie, niezawisłe osobniki; kościół więc filialny, jakkolwiek pochodzeniem duchownie spokrewniony z kościołem matrycznym, miał sobie w tym wypadku zastrzeżoną zupełną samoistność pod względem uprawnień parafialnych i majątkowych i stawał się samodzielnym osobnikiem prawnym. W dalszej przeto konsekwencyi tego rodzaju filialiści tylko do konkurencyi na rzecz swojego kościoła, który się dla nich stawał kościołem parafialnym, zobowiązani być mogli, nigdy zaś na rzecz kościoła matrycznego, do którego przed dysmembracyą jako parafianie należeli.

Proweniencyę swoją zawdzięczają jednak filie najczęściej — u nas w kraju przeważnie — aktowi unii dwóch beneficyów [2],

---

zu allen bei diesem Ganzen, also Pfarrhof- und Cooperatorswohnungen vorfallenden Baulichkeiten zu concurriren sich um so mehr verpflichtet ansehen müssten, als widrigens die einen Gemeinden unbilliger Weise mit einer doppelten Last beschwert würden". (Por. *Anträge zur Regelung der Bestimmungen über kirchliche Baulast.* Wien 1862, str. 82).

[1] „...In iis vero (scil. parochiis) in quibus ob locorum distantiam sive difficultatem parochiani sive magno incommodo ad percipienda sacramenta et divina officia audienda accedere non possint, novas parochias constituere possint" (a. Trident. Sess. XXI, c. 4 de ref.). Również *„evidens" utilitas* może być powodem rozdziału (np. zbytni wzrost liczby parafian i i.).

[2] Kanoniści rozróżniają następujące rodzaje unij beneficyalnych:

I. *Unio per aequalitatem* — jeżeli złączone z sobą urzędy duchowne zatrzymują swoją samoistność, a łączącym je elementem jest tylko osoba parocha;

których równorzędność i odrębna samoistność ze względu na dane stosunki okazała się z biegiem czasu z rozmaitych powodów bądź niepotrzebną, bądź nieodpowiednią, i to tak zwanej *unio per subiectionem*, czyli *per accessionem*, zwanej także: *unio subiectiva vel absoluta*. Tego rodzaju unia ten ma skutek, że jedno z beneficyów utraca pod względem juryzdykcyi parafialnej swoją samoistność i niezawisłość na rzecz drugiego i zostaje temu ostatniemu przydane i temuż podległe. Beneficyum jednak, które swoją samoistność pod względem juryzdykcyi parafialnej na rzecz dominującego beneficyum utraciło, nie utraca wszakże tem samem samoistności pod względem materyalnym[1], a przez złączenie z beneficyum głównem *(principale)*, żadna *mutatio status* beneficyum złączonego nie ma miejsca. O zlaniu się majątku beneficyum pobocznego, filii, z majątkiem głównego, *matricis*, niema tu mowy, majątek własny filii pozostaje odrębnym od majątku *matricis*, chociaż zarząd majątku filii do beneficyata *ecclesiae matricis* należy. Ale ta właśnie przynależność beneficyum pobocznego do głównego to ma do siebie, że wywiązuje się między niemi stosunek wzajemności o tyle, że nadwyżki dochodów z majątku beneficyum złączonego mogą być użyte w razie potrzeby na rzecz beneficyum głównego, a na odwrót to ostatnie ma obo-

---

II. *Unio per inaequalitatem*, która znów może być:

1. *Unio per confusionem*, tj. zupełne zlanie się dwóch beneficyów w jedną odrębną całość;
2. *Unio per subiectionem* czyli *accessorie*, jeżeli jedno ze złączonych beneficyów drugiemu, z którem się łączy, podlega; pierwsze staje się „filią“ drugiego *(matricis)*. To podporządkowanie jest albo:
   a) absolutne — *absoluta* — jeżeli paroch sam lub przez swojego *excurrendo* zastępcę urząd swój we filii sprawuje; albo:
   b) względne — *relativa, subiectio secundum quid* — jeżeli filia ma swojego duchownego (ekspozyta-wikaryusza), który funkcye duchowne spełnia we filii, ale co do pewnych obrzędów kościelnych zawisłym jest od *matrix*. (Por. *Lehrbuch des katholischen Kirchenrechtes*. Dr. Silbernagel. Regensburg 1880, str. 172).

[1] Niektórzy kanoniści charakteryzują ten rodzaj unii w tych słowach: „Unio unius beneficii facta alteri accessorie operatus exstinctionem et suppressionem ‚nominis et tituli' beneficii uniti, ita ut amplius beneficium dici non possit, sed iudicatur ut praedium eius cuius fit unio“. Porów. Hinschius l. c., tom II, str. 428, nota 1.

wiązek zasilania nadwyżką rozporządzalną swoich zasobów potrzebującą pomocy filię. Co do sprawowania funkcyj kościelnych, ma beneficyat-paroch obowiązek, jeżeli przy wydaniu pozwolenia na unię nie było innej umowy, odprawiania Mszy św. *(missa pro populo)* i w filialnym kościele, bądź to osobiście, bądź przez swojego zastępcę. O obowiązku konkurencyjnym takich filialistów na rzecz kościoła matrycznego prawo kanoniczne wyraźnej nie zawiera normy, wynika to jednak z ducha postanowień kanonicznych, które przedewszystkiem dobro kościoła matrycznego mają na oku, aby tacy filialiści bez względu na to, czy mają przy kościele filialnym osobnego ekspozyta, jako należący do parafii, wspólnie z resztą parafian przyczyniali się do kosztów z utrzymaniem kościoła parafialnego matrycznego połączonych. Bezwarunkowo obowiązanymi do konkurencyi na rzecz *matrix* są oni jednak w tym wypadku, jeżeli unia beneficyów złączonych była tak zwaną *unio per confusionem (translativa, extinctiva vel plenaria)*, tj. gdyby obydwa beneficya zlały się i pod względem duchownej juryzdykcyi i pod względem majątkowym w jedno całkiem nowe beneficyum, tworzące osobną, jednolitą kuracyę.

Jeżeli przy złączeniu dwóch beneficyów *per subiectionem* przeciw zobowiązywaniu filialistów do prestacyi konkurencyjnej, zwłaszcza na rzecz budynków plebanalnych przy parafii matrycznej, mogą być podnoszone pewne wątpliwości, to natomiast pewną jest rzeczą, że kościoły, a względnie parafianie beneficyów złączonych z sobą sposobem równorzędnym *(unio aeque principalis vel per aequalitatem)* nie mogą być pociągani do innej konkurencyi, jak tylko do konkurencyi na rzecz własnego kościoła lub budynków plebanalnych, które przy ich kościele istnieją. *Unio per aequalitatem* (rzadka przy beneficyach parafialnych) wtedy przychodzi do skutku, jeżeli złączenie dwóch lub kilku beneficyów ogranicza się jedynie i wyłącznie do tego, iż otrzymują razem jednego beneficyata, którego osoba łączy je razem, przyczem każde zatrzymuje całkowicie wszystkie swoje prawa, przywileje, majątek i zobowiązania. Beneficyat ma prawo wyboru zamieszkania w jednej ze złączonych miejscowości, według własnego upodobania, i sprawuje swój urząd i funkcye duchowne

dla każdego beneficyum z osobna. O istnieniu więc stosunku filialnego niema tu mowy.

Jest wkońcu jeszcze jeden rodzaj łączenia beneficyów (pomijając t. zw. inkorporacyę), u kanonistów wspominany, jakkolwiek nie wszyscy uznają w nim odrębny sposób łączenia, zaliczając go wprost do kategoryi unii *per subiectionem*, bez wszelkiej odrębnej doniosłości prawnej, — a tym jest *unio subiectiva vel relativa secundum quid*. Jest to złączenie uskutecznione *per subiectionem* w ten sposób, że z zachowaniem funkcyj i tytułu zjednoczonego beneficyum, stały wikary do sprawowania czynności duszpasterskich i funkcyj kościelnych bywa ustanowiony i opłacany z dochodów beneficyalnych. Prawa zupełnej samoistności taka filia, zaopatrywana przez stałego ekspozyta, nie ma, gdyż jeżeliby je miała, nie mogłaby być mowa o jej „połączeniu“ z innem; zawsze ona jest podporządkowaną pod *beneficium principale*, a tem samem i tę kategoryę filialistów te same obowiązują zasady, jakie wogóle obowiązują innych filialistów, należących do jednej parafii skutkiem unii *per subiectionem*.

(Dok. nast.).

Dr. Edwin Płażak.

Z POBYTU NA ŁUŻYCKICH BŁOTACH.

(Spreewald).

(Dokończenie).

Przebiegłszy wzdłuż cały Lubinów, złożony z jednej długiej ulicy, ciągnącej się nad brzegiem Sprewy i przerzniętej licznemi poprzecznemi uliczkami, wracam nareszcie do oberży, gdzie miał oczekiwać przewoźnik, aby jak nowożytny Charon zawieźć mię po modrych falach Lety (*recte* Sprewy) do łużyckiego Elizyum czyli Borku. Gwarne berlińskie towarzystwo już się rozproszyło; Wenda mego jeszcze nie ma, tylko na werandzie siedzi gospodarz, używając po trudach zasłużonego spoczynku; dalej zaś nieco pije flegmatycznie kawę jakiś jegomość, którego jasne faworyty i jowiszowa powaga objawiają na pierwszy rzut oka, że mamy do czynienia z synem Albionu.

— Zwiedziłeś więc pan nasze miasteczko? — zapytuje mię oberżysta. — Nieprawdaż, że ładne?

— Tak, a przedewszystkiem bardzo czyste i porządne, czem nie wszystkie większe nawet miasta mogą się pochlubić. Ale co to za fabryki wznoszą się na przedmieściu?

— To przędzalnia płótna i fabryka łyżew, z których Lubinów słynie w całym Spreewaldzie. Mamy też tutaj ogromny warsztat tokarski, w którym bardzo ładne wyrabiają rzeczy... no i kilka nieladajakich browarów. Ale, ale — dodaje — jeżeli pan chcesz być zadowolony ze swego przewoźnika, to radzę

zabrać ze sobą kilka butelek piwa, bo bez tego nektaru każdy prawdziwy Spreewaldczyk niechętnie puszcza się w drogę. Poczciwi to są ludzie, lecz niestety zanadto hołdują Bachusowi.

Każę więc podać sobie pewną ilość butelek tego trunku, gospodarz zaś spełniwszy moje żądanie, zasiada z fajką w ustach na dłuższą gawędkę.

— Wiecie panowie, — odzywa się po chwili — ponieważ w jedną dążycie stronę, moglibyście więc razem odbyć tę żeglugę, tem bardziej, że ten pan — dodaje, wskazując na Anglika — nie znajdzie już dzisiaj żadnej innej łodzi, bo teraz właśnie największy ruch u nas panuje.

Naturalnie, zgadzam się chętnie na tę propozycyę, Anglik zaś, przedstawiwszy mi się jako Sir William Norris, sztywną i etykietalną składa mi podziękę. Niebawem nadpływa mój przewoźnik i ucieszony tem, że zamiast jednego będzie miał dwóch pasażerów, przenosi na łódź pakunki moje i Anglika, który mu zaleca wielką ostrożność, gdyż są tam rzeczy mogące uledz stłuczeniu.

— *Glückliche Fahrt!* — woła do nas z ganku oberżysta, gdy my tymczasem zabieramy miejsce w łodzi i niebawem odbijamy od brzegu. Po chwili miasto i zamek lubinowski nikną nam z przed oczu, z daleka tylko, z pomiędzy długiego szeregu czerwonych dachów, kryjących się coraz bardziej poza drzewami, żegna nas jeszcze wyniosła wieża świątyni.

Cóż to za rozkosz w piękny dzień letni kołysać się na szerokiej, spokojnej, błyszczącej powierzchni wody, prując coraz dalej a dalej szmaragdową jej taflę! W miarę posuwania się w głąb Spreewaldu, majestatyczna Sprewa z coraz większą zalotnością rozwija przed nami swe powaby, płynąc z łagodnym szmerem po kamykach, wśród kwiatów i zieleni. Tu płacząca wierzba kąpie w wodzie melancholicznie zwieszone swe gałęzie, tam wiąz albo lipa rzuca miły cień dokoła, gdy tymczasem opodal grupa starych olch, odosobnionych i posępnych, przegląda się w falach, które ścigają się nawzajem u ich podnóża. Od czasu do czasu napotykamy łódź, a na niej młode Wendyjki wiozące podwieczorek dla mężów lub braci, zajętych pracą

w polu, gromadkę dzieci, które wracają ze szkoły, albo też takich samych jak my turystów, szukających wrażeń. Następuje więc krótkie powitanie, uderzenie wiosłami o wiosła i znowu sami płyniemy dalej wśród cichych, zielonych brzegów.

Jeżeli jednak mnie ta żegluga bardzo się podoba, to, niestety, mój towarzysz nie zdaje się wcale nią być zachwycony. Biedak wyczytał w jakimś *Reisebuch*'u ogólnikowe określenie, że Spreewald jest to *das deutsche Venedig* i wyobraził sobie, iż znajdzie tu miasto przynajmniej pół tak majestatyczne i wspaniałe, jak piękna królowa Adryatyku. Już więc w Lubinowie doznał niemiłego rozczarowania, które w miarę zapuszczania się w głąb Spreewaldu coraz bardziej się potęgowało. Napróżno pocieszam go tem, że pod względem malowniczości i życia Spreewald przewyższa znacznie, przepyszną wprawdzie i bogatą w dzieła sztuki, lecz pozbawioną piękna przyrody Wenecyę, oraz że tutejsza lekka i zgrabna łódź nie jest wcale gorszą od włoskiej gondoli; stroskany Anglik przez długi czas pozostaje głuchym na moje perswazye.

— *No, no here is all very ugly!* — powtarza uporczywie. — Bo i cóż tu osobliwego! rzeka, łąka, pola, chaty i nic więcej. Wszystko to samo mógłbym widzieć u siebie, nie wyjeżdżając z mego Yorkshire.

Zły humor Anglika bawi mię niezmiernie, i nasuwa wspomnienie pewnej anegdoty, słyszanej niegdyś w Kongresówce. Jak wiadomo, w Chęcinach znajdują się kamieniołomy marmuru. Otóż jacyś Anglicy wyczytawszy w opisie Polski, skreślonym zapewne przez cudzoziemca, że miasto Chęciny jest zbudowane z marmuru, wyobrazili sobie, iż wszystkie jego domy lśnią jak płyty marmurowe na stolikach lub nagrobkach, i natychmiast puścili się w podróż, w celu ujrzenia tego ósmego cudu świata.

— A gdzież to marmurowe miasto? — zapytali jakiegoś jegomościa.

— Innego miasta tu niema, oprócz tego, które panowie widzicie — odparł zapytany, wskazując brudne i liche domki chęcińskie.

Rozgniewani Anglicy, nakląwszy brutalnie, jak to nie-

którzy z nich umieją, zaniechali dalszego zwiedzania Polski i niezwłocznie wyruszyli do kraju, aby swych rodaków jak najrychlej wyprowadzić z błędu.

Atoli mój towarzysz, jako prawdziwy *gentleman*, nie wymyśla, nie łaje, owszem z wytrwałością i zimną krwią, godną praprawnuka Anglo-Saksonów, postanawia zwiedzić wzdłuż i wszerz cały Spreewald, zdejmując nawet widoki piękniejszych miejscowości.

— Patrzcie panowie, — woła po niejakim czasie przewoźnik — to *groziśćo*.

Rzeczywiście na brzegu, koło którego łódź nasza przesuwa się powoli, widać niewielką wyniosłość, otoczoną dokoła, jakby pierścieniem, nizkim wałem ziemnym, tu i ówdzie już uszkodzonym. Groziszcza takie czyli horodyszcza napotykają się dość często, jak w Górnych, tak w Dolnych Łużycach, które ich liczą około czterdziestu.

— Przed kilkudziesięciu laty, jak mi ojciec opowiadał, — ciągnie dalej młody Spreewaldczyk — wykopano tutaj przypadkiem mnóstwo starych garnków glinianych, w których znaleziono węgle, popiół i kości, ale wkrótce potem przyjechali jacyś Niemcy i zabrali to wszystko do Berlina. Starzy ludzie mówią, że na tem wzgórzu musiały być niegdyś szańce szwedzkie lub tureckie.

— Mylisz się mój przyjacielu, — odrzekł Sir Norris — nigdy tu, jak wiemy z historyi, Turków nie było, Szwedzi zaś chociaż podczas wojny trzydziestoletniej zaglądali może do Spreewaldu, ale nie obwarowywali się szańcami. Przypuszczać więc raczej należy, że to wasi przodkowie zabezpieczali się niegdyś w taki sposób od napaści swych wrogów.

— Nie sądzę tak, — odparłem — gdyż miejsce to wydaje się za szczupłe, aby mogło pomieścić znaczną ilość wojowników. Słyszałem nawet, że takie horodyszcza są to starożytne cmentarzyska, albo ofiarniki, za czem zresztą znalezienie tutaj w urnach kości i popiołu zdaje się przemawiać. Ofiarniki takie Wendowie obwarowywali starannie, aby podczas składania ofiar czuć się zabezpieczonymi od natarcia nieprzyjaciół.

— *Ah! the dolmens of the Slaves!* — zawołał Anglik — *all right!* — i kazawszy przewoźnikowi zatrzymać się na chwilę, włożył kasetę z kliszą do przyrządu fotograficznego, aby natychmiast przenieść na nią widok starego horodyszcza, co mu się nieźle udało.

Po dwudziestu minutach żeglugi wypływamy na ulicę wsi Leda *(Lehde)*, której nazwa pochodzi może od słowiańskiej bogini Lado, czczonej niegdyś przez Wendów. Wieś ta, to prawdziwa perła Górnego Spreewaldu, gdyż za każdą niemal chwilą, za każdem uderzeniem wiosła, coraz to nową odkrywa się niespodziankę, tak jedyną i wyłączną w swoim rodzaju, że oko tym widokiem nasycić się nie może.

Przed nami otwiera się rzeczywiście jakby nowa Wenecya, tylko w miniaturze, wszędzie zaś dokoła tętni oryginalne, fantastyczne życie, pełne poezyi i uroku pomimo swej prostoty. Łodzie obładowane sianem, drzewem, jarzynami lub rybami, przesuwają się koło nas i przybijają to tu, to tam do małych przystani, urządzonych przed każdym domem i zawierających prawdziwą flotyllę niewielkich czółen. Domy, oddzielone jedne od drugich wodą lub kawałkiem ogrodu, stanowią każdy z osobna jakby odrębną kolonię, niby malutki światek sam dla siebie istniejący. Ściany ich zbudowane są z grubych kloców drzewnych, wspartych na wysokich murowanych podwalinach, słomiany zaś dach, porośnięty mchem, zdobią od frontu ładnie rzeźbione krokwie, na których szczycie mieści się głowa jakiegoś bajecznego potwora, również wyrzeźbiona z drzewa.

W Ledzie zatrzymujemy się na chwilę, i pod pozorem wypicia mleka wchodzimy do jednego domu, oplecionego wdzięcznie dyniami i bluszczem. Nad dachem jego kilka starych olch rozpościera rozłożyste konary, pukając nawet swemi gałązkami do okien, które zdobią kwitnące w doniczkach rośliny. Wnętrze chaty również schludnie, chociaż skromnie się przedstawia. W dużej izbie *(stwa)* ciągnie się dokoła ścian ława przykryta kilimkiem, ponad nią zaś aż pod samym sufitem zawieszone są półki *(polca)*, dźwigające stare dzbany *(karany)*, filiżanki *(šalki)* i inne naczynia domowe, czyli *domjącą nadobę*, wystawioną tylko na okaz i stanowiącą pamiątkę po przodkach. Nie braknie także

kolorowego ręcznika *(twela)*, zawieszonego tylko od parady. Jeden kąt pokoju zajmuje ogromny piec kaflowy *(kachle)*, przy którym podczas długich zimowych wieczorów zasiadają Wendyjki na tak zwane *śpinty* czyli *pražu*, to jest przędzenie urozmaicone wesołą pogadanką i śpiewem. Umeblowanie chaty uzupełnia wreszcie stół *(blido)* i kilka rzeźbionych krzeseł, jak również ogromna szafa zwana *kamor*, a służąca do przechowywania żywności, oraz naczyń kuchennych do codziennego użytku.

Przez wązkie otwarte drzwi rzucamy też okiem do drugiej mniejszej izdebki *stwićki*. Tam na kilku łóżkach piętrzy się aż pod sufit pościel, na którą własny drób dostarczył pierza, własny zaś len płótna, utkanego pracowitą dłonią gosposi. Wszystko bowiem niemal, co w spreewaldzkich znajduje się chatach, jest wytworem domowego przemysłu. Miło też i swojsko byłoby pod tym dachem, gdyby niestety uprzejma gosposia nie zmroziła mię na wstępie niemieckiem powitaniem: *Seien Sie willkommen!* Dałoby się to jeszcze usprawiedliwić, gdyby języka tego używano tu tylko w rozmowie z obcymi przybyszami, ale niestety, nawet pomiędzy sobą mieszkańcy Ledy mówią już wyłącznie niemal po niemiecku.

Gdyśmy znowu znaleźli się w łodzi, Sir Norris, już zupełnie pogodzony ze swym losem, przyznał, że nie żałuje wcale podróży swej do Spreewaldu, gdyż nigdzie może piękno natury w tak czarownej i oryginalnej, jak tutaj, nie ukazuje się szacie.

— Wogóle — dodał — ziemie słowiańskie posiadają wiele zakątków ciekawych i godnych widzenia. W roku ubiegłym naprzykład zwiedzałem wyspy na morzu Adryatyckiem, należące do Dalmacyi. Niektóre z nich są prześliczne, nigdzie jednak nie widziałem nic tak pięknego, jak przepyszna grota zwana „Modra Szpila“ na wyspie Biszewie, w pobliżu Lissy, z którą nawet słynna grota Fingala nie może iść w porównanie. Wyobraź pan sobie odnogę morską, przedzierającą się w głąb ogromnej pieczary, w której światło słoneczne, przepuszczane przez niewielki otwór w górze, cudowny na gładkiej powierzchni wody i skalistych ścianach jaskini wywołuje efekt. Czy uwierzysz pan, że gdy szalupa nasza zatrzymała się u wejścia do czarownej tej

groty, dłonie moje i moich towarzyszy mimowoli złożyły się do modlitwy, na ustach zaś jednogłośny zabrzmiał okrzyk: O Boże!

— A po zwiedzeniu Spreewaldu dokąd pan podąży?

— W tym roku już nigdzie nie wyjadę z domu, bo wkrótce w naszem hrabstwie rozpoczną się wybory, w których muszę wziąć udział. Ale na rok przyszły wyruszę w Tatry, gdzie, jak słyszałem, ma się znajdować wiele malowniczych krajobrazów, a między innemi jakieś prześliczne jezioro Morskie Oko, podobne do naszego Loch-Lomondu; stamtąd zaś jeszcze zamierzam udać się do Krymu.

Tymczasem przewoźnik, znudzony naszą rozmową, zaczął coś nucić półgłosem.

— Głośno, śmiało! — zachęcamy go obaj.

Naturalnie chłopak nie każe sobie tego dwa razy powtarzać i nie przestając wiosłować, śpiewa:

W Bożej mocy we dnjo, w nocy
Čuju, myslu, konjam;
Jeho wolu radšo zwolu,
Hač so ludźom kłonjam.

Wón mje wjedźe w prawym rjedźe
Zawše dny a lěta;
W Jeho rucy přeńdu ducy
Złoby, horja swěta.

Boža miłosć stawam čiłosć,
Ziwjenje da duši
Boh mje škita, Boh mje wita,
Hdyž su ludźo hłuši.

Woči k Bohu, swoju dróhu
W dowěrje tuž póńdu,
Hač poboli w Jeho woli
Njebja wjes'le dóńdu.

W Bożej mocy we dnie, w nocy
Czuję, myślę, działam,
Z woli Jego dla bliźniego
Wciąż miłością pałam.

On mię będzie zawsze, wszędzie
Wiódł przez dni i lata,
Z Jego ręki przyjmę męki,
Klęski, złości świata.

Stwórca miły, krzepi siły,
Życie w duszy budzi,
Bóg mię chroni, Bóg mię broni
Od niedobrych ludzi.

Z okiem w niebie, wciąż przed siebie
Idę ufnie, śmiało,
Bo co boli z Jego woli,
Bóg nagradza chwałą.

Czysty, dźwięczny głos młodego Wenda rozpływa się daleko w powietrzu, odbijając się echem o grupy drzew nadbrzeżnych i niknąc w oddali na *zelenych holach*.

W taki sposób dopływamy do Lipy *(Leipe)*, drugiej wsi spreewaldzkiej, takież same mniej więcej, jak jej poprzedniczka, posiadającej cechy, chociaż mniej od niej malowniczej i powabnej. Wieś ta w dawnych już bardzo musiała istnieć czasach,

o czem świadczą czarne, grube pnie dębowe, leżące tu i ówdzie w wodzie pomiędzy sitowiem. Są to dawne łodzie, wydrążone za pomocą ognia, jakich używali starożytni Wendowie i które zdają się do nas przemawiać językiem przeszłości. W Lipie nie odpoczywamy wcale, gdyż słońce coraz bardziej zniża się ku zachodowi, około zaś półtorej godziny drogi dzieli nas jeszcze od Borku. W miarę zbliżania się do tego ostatniego, ruch na dopływach Sprewy, które kolejno mijamy, potęguje się i wzrasta, co sprawia wrażenie, że się zbliżamy do jakiegoś większego ogniska ludności. Jak w wielkich miastach dorożki, tak tutaj łodzie wymijają się nawzajem z nieporównaną zręcznością, gdyż wioślarze nietyle może z troskliwości o wygodę podróżnych, ile z przywiązania do swoich czółen, unikają starannie wszelkiego starcia się z innemi. Łódź, to dla nich drugi dom rodzinny, na niej upływa bowiem większa część ich życia, nie dziw więc, że ją kochają jak najlepszego przyjaciela, z którym wiele miłych i drogich łączy ich wspomnień. W łodzi Wendowie spreewaldcy udają się na nabożeństwo, wiozą do chrztu nowonarodzone dziecię, młodą parę oblubieńców do ślubu, trumnę zaś ozdobioną kwiatami na miejsce wiecznego spoczynku; w łodzi myśliwy ściga zwierzynę, lekarz odwiedza chorego, listonosze, żandarmi, kupcy, rybacy spełniają swoje obowiązki — słowem na każdym niemal kroku napotyka się tu ludzi wszelkiego wieku, stanu i urzędu, posługujących się tym jedynym środkiem przewozu na Łużyckich Błotach.

Stopniowo coraz gęstszy mrok zalega ziemię, przysłaniając szarą oponą wszystkie najbliższe nawet przedmioty, które oko z trudnością może już rozróżniać. Dokoła panuje uroczysta cisza, przerywana tylko pluskiem wioseł, lub świergotem jakiegoś spóźnionego ptaka. Wreszcie na czystym stropie nieba zaczynają migotać gwiazdki, wypływa tarcza księżyca, cały zaś roziskrzony firmament odzwierciedla się w kryształowej powierzchni wody. Do duszy ludzkiej spływa niepostrzeżenie uroczysty spokój, kołyszący do snu całą przyrodę, myśl zaś i serce odrywa się od ziemi i tak dziwną napełnia rozkoszą, że chciałoby się z głębi piersi zawołać z poetą:

Coraz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal,
Płyńmy, płyńmy, tak bez końca
W ciszę, w jasność, w błękit, w dal!...

Lecz oto z oddali przez łąki i gaje dolatuje nas odgłos wieczornego dzwonu, i powoli, z powodu coraz częściej napotykanych łodzi, zbliżamy się do ogromnej wsi Borku, głównego siedliska spreewaldzkich Wendów, niebawem zaś w hotelu *Zur Bleiche* znajdujemy równie gościnne, jak tanie przyjęcie.

Ponieważ nazajutrz była niedziela, od rana więc ulice Borku zaczęły roić się mnóstwem wieśniaków i wieśniaczek, spieszących na nabożeństwo. Była to dla mnie najlepsza sposobność przypatrzenia się ich strojom, spodziewałem się bowiem, że jako w dzień świąteczny ukażą się one w całej swej okazałości. Nadzieja ta nie zawiodła mię wcale, wszędzie bowiem, gdziem rzucił okiem, snuły się gromadki wendyjskich kobiet w sznurowanych aksamitnych stanikach czyli *tackawach*, jedwabnych chusteczkach, szerokich fałdowanych spódnicach i pięknych naszyjnikach ze srebrnych lub bursztynowych paciorków. Obok nich, jak rój różnobarwnych motyli, uwijały się hoże, a nawet niekiedy bardzo ładne dziewczęta, Spreewald bowiem słynie w całych Łużycach z piękności i wrodzonego wdzięku swych kobiet. Miały one po większej części krótkie kolorowe spódniczki i czarne aksamitne gorseciki, odbijające się efektownie od białej jak śnieg koszuli, haftowanego fartuszka, oraz sztywnej krezy na szyi. Czoła ich osłaniały jedwabne chusteczki, których końce, związane na wierzchu głowy, zwieszały się na obie strony, podobnie jak olbrzymie uszy u słonia. Bez chustki tej Wendyjki od lat niemal dziecięcych nie wychodzą nigdy za próg domu. Z wygodną i malowniczą odzieżą kobiet, nader niemiły kontrast tworzyły miejskie stroje mężczyzn, którzy od dawna już, niestety, narodowego wyrzekli się ubioru. Na tem większe więc uznanie zasługują ich matki, siostry i żony, gdyż przywiązanie tych ostatnich do dawnych zwyczajów i tradycyj zjednało już sobie zasłużoną sławę.

Borek, zwany przez Niemców Burg a przez Wendów Bórkowy, liczy w danej chwili około 5500 mieszkańców i składa się

z trzech części, zupełnie od siebie odrębnych. Pierwszą z nich stanowi wieś tegoż nazwiska, zbudowana na piaszczystem wzgórzu, z kościołem ewangelickim sięgającym r. 1799, probostwem, szkołą, apteką, pocztą, oberżami i sklepami. Poza nią w kierunku zachodnim ciągnie się tak zwana kolonia Borkowa, założona w jak najpomyślniejszych warunkach w r. 1765 przez Fryderyka Wielkiego, który ją zaludnił przeszło stu wychodźcami z ówczesnego arcyksięstwa austryackiego, jak również z Czech, Węgier, Saksonii i Szląska. Wszyscy ci nowi przybysze ulegli niebawem wpływowi tubylców, przyjmując ich język, obyczaje, zwyczaje i tworząc z nimi zupełnie jednolitą warstwę ludności. W bardziej jeszcze oryginalny sposób powstała trzecia część Borku, zwana Kupy albo Kępy (Kaupen). Oto Fryderyk Wilhelm I. i Fryderyk Wielki, pragnąc zaludnić puste obszary Spreewaldu, będące własnością rządu, nadali tam grunta starym, zasłużonym żołnierzom za bardzo nizką stosunkowo opłatą. Jeżeli zaś taki osadnik w przeciągu jednej doby sklecił sobie z drzewa jakąkolwiek budę i nazajutrz rano dym już stamtąd się wydobywał, wówczas całkowicie uwalniano go od czynszu. I ci jednak weterani, którzy mieli być filarami idei pangermańskiej na Łużyckich Błotach, zbratali się niebawem z Wendami tak dalece, że wielu z nich stało się nawet później najgorliwszymi obrońcami wendyjskiej narodowości [1].

Nie należy jednak sądzić, aby trzy odrębne zakątki Borku skupioną w sobie stanowiły całość. Przeciwnie, tylko w samej wsi, noszącej tę nazwę, domy ugrupowane ładnie dokoła świątyni wznoszą się jedne obok drugich. Natomiast w kolonii i na Kępach chaty, zbudowane z kloców i otoczone cienistemi gajami, leżą w odległości kilkuset metrów względem siebie, ostatnie zaś z nich oddalone są już od Borku o parę godzin drogi. Do domów tych wiodą wązkie ścieżki, ponad kanałami zaś i niezliczonemi ramionami Sprewy, tworzącemi tutaj prawdziwy labirynt, zarzucone są tu i ówdzie tak zwane ł a w y, czyli

[1] P. Fahlisch, *Der Spreewald.* Berlin 1893, str. 44—46. — *Der Spreewald und seine Bewohner.* Cottbus 1891, str. 9—10.

kładki nader pierwotnej budowy. Aby nie tamować żeglugi, Wendowie wbijają w dno rzeki kilka wysokich pali, przytwierdzają na ich wierzchu poprzeczną belkę, ponad nią zaś długi drąg służący zamiast poręczy, i improwizowany most już gotów. Ponieważ zaś jest on bardzo wysoki, po obu więc jego końcach znajdują się drewniane schody, również prymitywnego kształtu. Przez kładkę taką, wznoszącą się zwykle o kilka metrów nad wodą, może przechodzić jedna tylko osoba, gdyż wymijanie się jest niemożliwe, a nawet dla ludzi skłonnych do zawrotu głowy przejście to nader groźne przedstawia niebezpieczeństwo.

Pomiędzy wsią Borkiem a Kępami leży tak zwany G r ó d, to jest wzgórze, na którem niegdyś, jak głosi tradycya, wznosił się zamek wendyjskich królów. Wzgórze to ma 470 długości i 250 szerokości, dawna zaś jego wysokość wynosiła około 50 stóp, ale uprawa sąsiednich pól i częste spłókiwanie przez deszcze znacznie je już obniżyły. Tu i ówdzie widać jeszcze ślady dawnych wałów, w kierunku zaś południowo-wschodnim ciągną się dwie długie, równoległe wyniosłości, uważane przez Wendów za resztki dawnej drogi serbskiego króla *(draga Serbskego krala)*. Na szczycie wreszcie mieści się głębokie wydrążenie, skoro zaś nad jego krawędzią uderzy się jakimś ciężkim przedmiotem w ziemię, to słychać głuchy odgłos.

Mnóstwo też ciemnych historycznych podań krąży dotychczas o spreewaldzkim grodzie, któremu nowożytna cywilizacya nie zdołała dotąd wydrzeć cennej tej spuścizny i który dla każdego Wenda niewysłowiony posiada urok. Podania te jednak i legendy niezupełnie zgadzają się ze sobą. Podług jednego z nich, na górze tej stał niegdyś zamek, w którym ostatnia wendyjska para królewska dwór swój utrzymywała. Ale pewnego razu okropna nawałnica przyprawiła o zagładę króla wraz z zamkiem i cały przepych znikł na zawsze, rezydencya zaś monarsza zapadła się pod ziemię. Dotąd jeszcze, jak mówią zabobonni Wendowie, nie został zdjęty czar, rzucony na to miejsce, konie bowiem przyszedłszy tam, okazują trwogę, wiadomo zaś, że zwierzę widzi zawsze więcej od człowieka. Często też na górze

jeździ stary król, ale bez głowy, królowa zaś siedzi głęboko w ziemi i przędzie na kołowrotku, musi bowiem uszyć dwanaście koszul, robiąc po jednym ściegu na rok, gdyż wówczas dopiero zostanie wraz z królem oswobodzoną i wszystko do dawnego powróci stanu [1].

Istnieje jednak i druga, wręcz odrębna wersya, podług której ostatni król wendyjski uciekł ze swego grodu na tratwie splecionej z gałązek wierzby i ukrywszy się w jakiejś wiosce, aż do śmierci rządy sprawował. Po jego zgonie dawny władca wendyjski Przybysław ukazał się pewnej nocy Wendom, szukającym schronienia na zamkowej górze pod Borkiem, i zalecił im wybierać zawsze z pomiędzy siebie najcnotliwszego i najmędrszego męża na króla. Dalej tradycya ta głosi, że Wendowie dziś jeszcze mają swego monarchę, któremu potajemnie ulegają i składają hołdy [2]. Ciekawe w tej mierze szczegóły znajdujemy w jednem z dzieł niejednokrotnie już przez nas wymienionego łużyckiego pisarza Jencza, który o mitycznych tych władcach w następujący wyraża się sposób: „Aż do najnowszych czasów zarówno wśród ludu, jak i wśród inteligencyi łużyckiej utrzymało się przekonanie, że Wendowie, chociaż uciśnieni i pozbawieni dawnej swobody, oraz praw narodowych, a nawet wcieleni całkowicie do niemieckiego mocarstwa, mają swych własnych królów z dawnej monarszej rodziny. Tu i ówdzie opowiadają nawet, że chociaż dolnołużyccy Serbowie z Lubinowa i całego Spreewaldu we wszystkich kwestyach państwowych posłuszni są wymaganiom niemieckiego rządu, płacąc sumiennie podatki i pełniąc służbę wojskową, w sprawach jednak wendyjskich słuchają wyłącznie rozkazów swego własnego serbsko-łużyckiego monarchy. Inni znowu zapewniają, że potomkowie dawnej królewskiej rodziny mieszkają i dziś jeszcze we wsi Kamjenki (Kaminchen) w pobliżu Spreewaldu. Co się tyczy dzisiejszego wendyjskiego króla, to nie różni się on wcale od każdego innego

[1] Wilibald v. Schulenburg, *Wendische Volkssagen und Gebräuche aus dem Spreewalde.* Leipzig 1880. — Dr. Edm. Veckenstedt, *Wendische Sagen Märchen und abergläubische Gebräuche.* Graz 1880.

[2] Tamże.

wieśniaka, co mu wszakże nie przeszkadza odbierać od swych podwładnych królewskie honory, oraz pewną kwotę na swe utrzymanie, gdyż oprócz państwowych podatków Wendowie składają corocznie daninę dla swojego króla. Ten król przechowuje nawet u siebie koronę i berło dawnych wendyjskich władców, cała ta rzecz wszakże trzymana jest w tak ścisłej tajemnicy, że nikt, nie związany z nią osobiście, niczego dowiedzieć się nie może. Ja sam nawet — dodaje Jencz — pomimo wszelkich usiłowań nie zdobyłem w tym względzie żadnych pozytywnych szczegółów i nie dostąpiłem zaszczytu oglądania tajemniczego władcy“ [1]. Dlatego też pewien poeta niemiecki wyśpiewał co następuje:

. . . . . und jetzt ob unbekannt,
Herrscht noch ein Wendenkönig, doch nie wird er genannt,
Das wird geheim gehalten noch bis zu dieser Stund'
Und nimmer wird's erfahren je eines Deutschen Mund.

Jeżeli jednak żadnego z powyższych podań niepodobna udowodnić na podstawie historyi, to bądź co bądź liczne wykopaliska z odległej słowiańskiej przeszłości, jak np. krótkie kamienne toporki, wrzeciona, urny i inne naczynia gliniane, a nawet pierścienie i łańcuchy z bronzu, złota lub srebra, wygrzebywane niejednokrotnie na zamkowej górze w Borku, jak również niepospolity kształt jej położenia — świadczą, że musiała ona w przeszłości ważną odgrywać rolę. Nie da się też zaprzeczyć, iż wówczas, gdy zamiast łąk ciągnęły się dokoła lasy i moczary, góra ta została najpierwej zamieszkaną przez ludzi. Jeżeli zaś nawet żadnej nie zbudowano tam osady, to była ona jakby stworzona na cmentarzysko lub miejsce ogólnych zebrań, gdzie wśród bagien, lasów i wody składano ofiary dawnym bogom wendyjskim, błagając ich o pomoc przeciw coraz bardziej nacierającym nieprzyjaciołom. Czy stał tu jakikolwiek zamek lub twierdza, to zagadka nigdy nie zbadana, o ile zaś przyroda lub ręka ludzka przyczyniła się do utworzenia tej góry, to dziś również zaledwie w przybliżeniu możnaby oznaczyć.

[1] Richard Andree, *Wendische Wanderstudien zur Kunde der Lausitz- und der Sorbenwenden.* Stuttgart 1874.

Bądź co bądź samotne to miejsce stanowi jedną z niezatartych pamiątek odległej przeszłości wendyjskiego ludu.

Gdyśmy z Sir Norris'em wracali z góry zamkowej do naszego schronienia *Zur Bleiche,* usłyszeliśmy nagle, przechodząc w pobliżu jednego domu, śpiew choralny kilku głosów kobiecych. Pieśń ta była tak rzewna i smętna, że nie ulegało wątpliwości, iż musiała ona jakiemuś żałobnemu towarzyszyć obrzędowi. Stwierdzały to zresztą szczelnie zasłonięte okna, oraz ciągłe wchodzenie i wychodzenie wieśniaków, na twarzach których jakaś uroczysta malowała się powaga.

— Wstąpmy tu na chwilę, — odezwałem się do swego towarzysza — a może zobaczymy coś godnego uwagi, Borek bowiem słynie z charakterystycznych zwyczajów swych mieszkańców.

— *Very well.*

Wchodzimy więc do dużej izby, w pośrodku której na nizkim tapczanie stoi zamknięta trumna, otoczona mnóstwem jarzących się świec, oraz gronem kobiet, osłoniętych, jak Hinduski, białemi płachtami, które w malowniczych fałdach spływają po ich twarzach, ramionach i całych postaciach. Charakterystyczną bowiem cechę Wendów stanowi to, że kolor biały, podobnie jak w Chinach, oznacza u nich żałobę, czarne zaś szaty przywdziewane bywają podczas radosnych, weselnych obchodów.

— Mój przyjacielu, — odzywa się do jednego z obecnych Anglik, na wszystko baczną zwracający uwagę — dlaczego tu się pali aż 65 świec?

— Dlatego, — odrzekł zagadnięty — że u nas istnieje zwyczaj zapalania przy zwłokach tylu świec, ile zmarły przeżył lat na ziemi. Ale oto już zaraz wyprowadzimy zwłoki, bo nasz *wučer* (nauczyciel) nadchodzi.

W tejże chwili do chaty wszedł nauczyciel miejscowy i stanąwszy przy trumnie, rzekł:

Časni gości a starejšeje! bratři a šostry, hujki a šoty, šeški a šešenicy, šwagry a šwagernicy, kmotry a sušedy! Kšjeli wy jednu mału chylku šicho byš, ja kšjeł z wami njekotera słowa groniš. Koń ma štyry nogi, woń se potokonijo na jednu, a teke na drugu, tak teke

mogu ja se z jadnym, abo z drugim słowom přegroniś. My mamy how tego časnego Handrija, ktery je wumreł. Won dajo wotpřosyś nejperwej lubego Boga na ńebju, přeto bžez Togo se ne možu nic staś, daniž dokończowaś; Ten jo před nas, sled nas a srezi nas. Won dajo wotpřosyś swojeju lubeju starejšeju, bratřow a šostřow, hujkow a šiotow, šeśkow a šešenicow, šwagerow a šwagernicow, kmotřow a sušedow na hobadwa boka. Won dajo wotpřosyś celu česnu gmejnu a wšyknych přegljedarjow, małych a welikich, husokich a nizkich, dalokich a blizkich i t. d [1].

Po tem przeproszeniu Pana Boga i wszystkich obecnych w imieniu zmarłego, mówca zaczął wychwalać jego przymioty jako wzorowego gospodarza i podpory całej rodziny; gdy zaś skończył swój panegiryk, wówczas kilku młodych *burów* wzięło trumnę na ramiona. Tymczasem jeden z obecnych przewrócił tapczan, na którym poprzednio stała trumna, aby nikt na nim nie usiadł, bo w takim razie umrze. Jednocześnie otwarto też naoścież wszystkie drzwi i okna, aby dusza zmarłego, przebywająca w mieszkaniu dopóty, dopóki stoją tam zwłoki, mogła swobodnie ulecieć do wieczności.

W tej chwili nader piękna i rozrzewniająca nastąpiła scena. Jeden z braci zmarłego wyszedł do ogrodu, w którym stało kilka ulów i uderzywszy o każdy z nich laską, zawołał: *Tužite pčelki, knez waš je wumreł!* (Smućcie się pszczółki, pan wasz nie żyje!). Taż sama charakterystyczna odezwa do współczucia istot żyjących, jakiemi zmarły się opiekował, powtórzyła się przed stajnią, obórką i gołębnikiem. Wówczas dopiero, na znak dany przez najstarszego członka rodziny, orszak pogrzebowy wyruszył.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej dziwnego i jaskrawego, jak nagrobki na wendyjskim cmentarzu. Składają się one zwykle z nizkiego drewnianego krzyża, lecz kształt jego znika niemal całkowicie wśród rozmaitych stolarskich ornamentów, pomalowanych na zielono i ozdobionych pąsowemi różami lub

[1] Zasługuje na uwagę, że ludowe przemowy na Białej Rusi czyli Krewiczanii, wygłaszane podczas rozmaitych rodzinnych obchodów, takiż sam zupełnie posiadają charakter, a nawet pod względem języka zdradzają pewne podobieństwo.

innemi kwiatami, które co prawda świadczą niezbyt korzystnie o malarskim talencie swych twórców. Dodajmy nadto urnę na wierzchu krzyża i kilka poprzecznych deseczek z niemieckiemi i wendyjskiemi napisami, a będziemy mieli wendyjski nagrobek.

Lecz oto stajemy już nad dołem, mającym pochłonąć niebawem zwłoki biednego wieśniaka, którego tylu innych współbraci na wiejskim oczekuje cmentarzu. Przed rozpoczęciem religijnego obrzędu nastąpił przy trumnie poczęstunek, złożony z mięsa, bułek czyli *całt*, i piwa, a przypominający starożytną słowiańską tryznę. Potem raz jeszcze jeden z obecnych wygłosił przemowę, wyliczając w niej wszystkich żyjących krewnych nieboszczyka, gdyż podług przekonania Wendów każdy członek osieroconej rodziny, którego imię nie zostałoby wymienione nad grobem, musiałby umrzeć w przeciągu roku. Po dopełnieniu tej czynności, przystąpiono do religijnego pogrzebowego obrzędu, gdy zaś ostatnia grudka ziemi spadła na świeżą mogiłę, wówczas najstarszy krewny zmarłego zaprosił wszystkich obecnych na stypę.

Jak widzimy z powyższego opisu, w żadnym może zakątku Słowiańszczyzny nie przechowały się tak wiernie dawne zwyczaje i tradycye, jak w tej odosobnionej od reszty świata osadzie, która pod względem etnograficznym stanowi nader bogate i ciekawe pole do studyów. Miłe też wrażenie wywiera niezbyt wprawdzie piękna, lecz swojska dla polskiego ucha mowa serbsko-łużycka, dźwięcząca tu na każdym kroku, Borek bowiem jest dotąd na Dolnych Łużycach jakby opoką wendyzmu, której obce prądy podminować nie zdołały.

Z pewnym więc żalem opuszczałem to gniazdo prastarych zwyczajów, obyczajów i podań, tę poczciwą ludność wiejską, stojącą tak wiernie na straży swych narodowych pamiątek. Nie było jednak czasu do stracenia i już nazajutrz rano bystre fale Szrebency i Młyńskiej *(Mühlspree)* uniosły mię na srebrzystych swych grzbietach do dawnej stolicy Spreewaldu, Starego Lubina.

Z początku łódź nasza mknie jak przed Borkiem, wpośród łąk pokrytych trawą, równych jak step ukraiński i rozległych

jak morze zieleni, na którem się tworzą niby lekkie bałwany, przybierające barwę blado-zielonawą. Tu i ówdzie tylko, jak na Ukrainie burzany, na niezmierzonej płaszczyźnie spreewaldzkiej wychylają głowy rosochate wierzby, w oddali zaś, na krańcu widnokręgu, czernieją we mgle sinawej lasy Dolnego Spreewaldu. Dzień jest gorący, upalny, i pod wpływem dokuczliwego skwaru wszystko dokoła zdaje się obumierać, na łąkach zaś nie słychać ani śpiewu kosiarzy, ani wesołego świergotu ptasząt.

Wreszcie przestrzeń, dzieląca od cienistych borów, zmniejsza się stopniowo, na wstępie zaś do nich wita urocza leśniczówka Dube *(Eiche)*. Tu owiewa nas miłe tchnienie lasu, łagodny zaś wietrzyk chłodzi rozpalone skronie, przynosząc zarazem ze sobą zapach drzew i kwiatów. Niebawem płyniemy już wpośród gęstwiny wysokopiennego, liściastego lasu, który wznosząc się jak ściana po obu stronach rzeki, zawiesza ponad naszemi głowami jednolite sklepienie z gałęzi. Przez otwory w tem sklepieniu, jakby przez okienko w dachu, przebijają się promienie słoneczne, złocąc spokojną powierzchnię rzeki. Tu i ówdzie gałęzie olch, wiązów i dębów zwieszają się ku wodzie, jak gdyby wśród letniego skwaru chciały ugasić pragnienie. Od czasu do czasu jakaś nieostrożna muszka, komar lub inny owad wpada w wodę i usiłuje wydobyć się z topieli, ale napróżno, gdyż łakome rybki, pływające pod samą niemal powierzchnią, dążą na wyścigi do nieszczęśliwej ofiary, z pluskiem wciągając ją w głąb rzeki. Dramat ten trwa chwilę tylko, poczem fala dokoła zarysowywa kręgi i daleko się rozchodzi. W niewielkich, spokojnych zakątkach albo u samych brzegów pływają, niby meksykańskie ogrody w miniaturze, olbrzymie liście tarczowate lilij wodnych *(Nymphea alba)*, których białe kwiaty z lekkim różowym odcieniem królują wśród spreewaldzkiej flory, jak *Victoria regia* w podzwrotnikowych strefach; obok nich zaś, jak paziowie, trzymają straż piramidalne żabieńce *(Alisma plantago)*. Czasami u góry nad naszemi głowami zaświergoce mały jakiś ptaszek, albo też dzika kaczka lub bekas zrywa się z nadbrzeżnej trawy i z krzykiem znika w gęstwinie. Zresztą dokoła panuje

niczem nie zakłócona cisza, uspasabiająca jednych do marzeń, drugich po prostu do drzemki.

O godzinę drogi poza leśniczówką spotykamy wreszcie pierwszą łódź, pierwsze twarze ludzkie od wyjazdu z Borku. Jest to towarzystwo niemieckie, złożone z matki, brata i siostry. Niezbyt powabna *Gretchen* czy *Lieschen,* ubrana jest nader pretensyonalnie, najbardziej zaś zwraca na siebie uwagę ogromnym kapeluszem, tak obficie ozdobionym kwiatami, że wygląda jak olbrzymi bukiet. Brat jej, wesoły *Bursche,* z arogancką nieco twarzą, w okrągłej zielonej czapce bez daszku, narzuconej na bakier, pragnie widocznie uchodzić za wszechstronnego sportsmana, gdyż odebrawszy wiosło przewoźnikowi, próbuje sam szczęścia na głębokich nurtach rzeki. Nie poprzestając zaś na tem, w chwili spotkania z nami, młody turysta stanąwszy na krawędzi łodzi, budzi echa uśpione w lasach, donośnym choć chrypliwym śpiewem:

Zu jeder Zeit,
An jedem Ort,
Sei frei das Lied
Und frei das ....

Niestety ostatni wyraz *Wort* uwiązł mu już w gardle, gdyż w tejże samej chwili jego łódź uderzyła gwałtownie o naszą i przechyliwszy się, nabrała wody, młodzik zaś stracił równowagę i wpadł do rzeki, dokąd też w jego ślady podążyło ogromne jakieś pudło, a nawet, o biada! kapelusz panny.

— *My plates!* — woła Anglik, przerażony tak dalece o los swych klisz fotograficznych po tak gwałtownem wstrząśnieniu, że stracił nawet na chwilę zwykłą swą zimną krew i stoicyzm.

— *Ach mein Sohn!... mein lieber Karl!* — wtóruje mu z drugiej łodzi starsza Niemka.

— *Mein Hut!* — cieniutkim dyszkantem uzupełnia ten koncert nadobna jej córa.

Bądź co bądź katastrofa okazała się daleko mniejsza, niż się wydała na pierwszy rzut oka. Młody chłopak wydobył się szczęśliwie z wody, dzięki płytkości jej w tem miejscu, chociaż powierzchowność jego nie była do pozazdroszczenia. Obie panie

siedzące w łodzi, napełnionej do połowy wodą, dąsały się lub narzekały, co zaś do kapelusza, ten popłynął sobie z prądem rzeki i zatrzymał się dopiero przy moście kamiennym w Kannowie, gdzie kilkanaście gęsi, ujrzawszy niespodzianie tę pływającą wyspę, zaczęły wrzeszczeć chyba nie gorzej od swych kapitolińskich poprzedniczek.

W kilka chwil później całe towarzystwo wylądowało w Kannowie i zaczęło suszyć się na słońcu, oraz przyprowadzać do porządku swoje toalety; Anglik zaś, przekonawszy się o dobrym stanie swych narzędzi, odfotografował z łodzi komiczną tę grupę jako rodzajowy obrazek.

Po parogodzinnej żegludze, przerwanej obiadem, w łodzi pod zielonym liściastym namiotem, przybyliśmy do Starej Niwy *(Alt-Zauche)*, stamtąd zaś już powozem dotarliśmy do Lubina.

Jakeśmy to wyżej powiedzieli, Lubin wraz z Lubinowem tworzył niegdyś jedną całość, zajmującą prawie milę przestrzeni ponad brzegami Sprewy. W przedhistorycznej może jeszcze epoce, Wendowie wykarczowawszy trochę lasu po obu brzegach rzeki, zbudowali tam chaty, odosobnione jedne od drugich, cała zaś śliczna ta miejscowość, osłoniona z obu stron olbrzymią ścianą lasu, otrzymała nazwę Lubina. W X. wieku po Chrystusie jacyś Niemcy, zabłąkawszy się pewnego dnia podczas łowów wpośród płaszczyzny, pokrytej moczarami i lasami, natrafili przypadkiem na dolinę pełną domków z grubych kloców drzewnych. W taki sposób odkryto Lubin, stolicę Spreewaldu, oznaczaną od tego czasu nazwą *Urbs Lubin*. Wkrótce potem na samotnych tych nizinach zajaśniał krzyż Chrystusowy, ale nawrócenie spreewaldzkich Wendów stało się, niestety, dla ich pogańskich rodaków hasłem do rzucenia się wściekle na swych współbraci i ukarania ich za wyrzeczenie się wiary przodków. Widzieliśmy też poprzednio, że Lubin padł wówczas ofiarą zupełnego zniszczenia. Niebawem jednak napotykamy znowu w dziejach Luzacyi nazwy Lubina i Lubinowa, to jest dwóch miast, powstałych z popiołów dawnego Lubina. Pierwotna siedziba władz miejscowych mieściła się na przeciwległym brzegu Sprewy, w niewiel-

kim zameczku, zbudowanym na wzgórzu, które dziś jeszcze starożytny wał ziemny opasuje dokoła. Później, w r. 1380, zbudowano w samym Lubinie zamek, który przez czas niejaki służył za rezydencyę czeskim starostom, a następnie saskim burgrabiom. W wieży zamkowej odbywały się sejmy wszystkich stanów łużyckich, górne zaś piętro zawierało salę śledczą, gdzie się znajdowały tortury. Posępna ta wieża, będąca najstarszym zabytkiem architektonicznym w Lubinie, dotychczas jeszcze istnieje [1].

W danej chwili Lubin pod wielu względami przewyższa sąsiedni Lubinów. Kiedy ten ostatni, idąc za popędem chciwości, pozwolił wyciąć swój las, Lubin zachował go z gorliwością, godną największego uznania. Las ten, mający przeszło 80 mórg przestrzeni i zwany przez Wendów *haj*, stanowi prawdziwą perłę okolic tego miasta. Ze zdumieniem błądzi wzrok po niebotycznych dębach, olchach, wiązach, bukach i innych drzewach; na gałęziach tych liściastych olbrzymów śpiewają tysiące ptasząt, u podnóża zaś płynie mnóstwo przezroczystych strumieni. Podług podania, wpośrodku tego lasu wznosił się niegdyś posąg pogańskiej bogini Ljuby, od której prawdopodobnie nazwa samego miasta pochodzi [2]. Dziś jeszcze na głównej drodze, przerzynającej las, leży na pamiątkę tej bogini ogromny kamień z napisem:

L. I. U. B. A.

Dokoła zamku ciągnie się stare miasto z pięknym gotyckim kościołem św. Mikołaja i t. zw. kościołkiem wendyjskim, długa zaś sieć kanałów oddziela tę część Lubina od nowego miasta, założonego w XVII. wieku. Chociaż dawniej Lubin musiał być dość ważnem ogniskiem ludności, dziś jednak zaledwie do 6000 osób dochodzi cyfra jego mieszkańców, trudniących się drobnym przemysłem, albo uprawą roli. Podobnie jak wszyscy Spreewaldczycy, są to ludzie pracowici, uczciwi, weseli, zamiłowani w śpiewie, muzyce i tańcu. Ulubionem miejscem ich wycieczek jest

[1] P. Fahlisch, *Der Spreewald*. Berlin 1893, str. 35—40.

[2] Wilibald v. Schulenburg, *Wendische Volkssagen und Gebräuche aus dem Spreewalde*. Leipzig 1880.

góra Spielberg, leżąca poza miastem, na której, zwłaszcza podczas świąt Wielkiejnocy, nader ożywiony przedstawia się widok, tutaj bowiem odbywa się corocznie ludowa wendyjska zabawa z farbowanemi jajami, zwana *walenje*. Na sąsiedniej górze Frauenburg, wznosił się aż do r. 1540 klasztor katolicki z kościołem pod wezwaniem Najświętszej Panny, do którego corocznie napływały tłumy pobożnych pielgrzymów. Dziś na tem miejscu pusto i smutno, bo reformacya, jak gwałtowny huragan, obaliła w gruzy dom boży, ciche zaś pracownice w winnicy Pańskiej rozproszyła po świecie.

Lubin był krańcowym punktem w mojej wędrówce po Łużyckich Błotach. Tam po raz ostatni rzuciłem pożegnalne spojrzenie pięknej Luzacyi i jej mieszkańcom, aby się znowu powierzyć skrzydłom pary i przez Berlin dotrzeć na stepy Luneburskie, ostatnią placówkę Słowiańszczyzny na terytoryum dzisiejszych Niemiec.

Tytus Sopodźko.

UNICI W KURLANDYI.

Kiedy się Unia w Kurlandyi ukazała, niema na to wyraźnych wskazówek, lecz można wnioskować, że to nastąpiło już w XVII. wieku. Unickie cerkwie były w Kurlandyi tylko w powiecie iłłuksztańskim, najbardziej na południe wysuniętym, a zatem najbliżej z województwem wileńskiem, Inflantami i Połockiem graniczącym. Z tych więc stron mogli się przesiedlać Unici do Kurlandyi, ale oprócz tego, jak wiadomo, przychodzili i z innych części Rzeczypospolitej wyznawcy tego obrządku i osiedlali się w teraźniejszym iłłuksztańskim powiecie; nadto z czasem w niektórych miejscach i Łotysze, choć w niewielkiej liczbie, obrządek ten przyjęli.

Najprzód koncentrowała się Unia w Kurlandyi około dwóch monasterów bazyliańskich: w Jakobsztadzie i Iłłukszcie, a potem, już przy końcu XVIII. wieku, powstało nawet kilka parafij unickich, które przetrwały aż do katastrofy 1839 r. i były pod władzą arcybiskupów unickich połockich, należąc z początku do dekanatu bracławskiego, r. g., w dawnem województwie wileńskiem położonego, a potem nawet osobny dekanat unicki w Kurlandyi utworzyły. O początku jednakże tych dwóch monasterów niewiele mamy szczegółów i wiadomości, a i te co są, bardzo poplątane.

Monaster w Jakobsztadzie. O powstaniu miasta Jakobsztadu i znajdujących się w nim świątyń wschodniego

obrządku, tak opowiada dokument wiarogodny w dosłownem brzmieniu[1]: „Po odeyściu do Moskwy większey części woiewodztw Kiiowskiego, Czernihowskiego y Smoleńskiego, exulańci tych woiewodztw rozeszli się w rożne strony, szukaiąc nowych siedlisk. Cząstka tych exulantow religii katolickiey, rzymskiey y ruskiey poszła do Kurlandii i osiadła w powiecie Selburskim[2] nad rzeką Dzwiną naprzeciw dzierżaw dworu Holmhoff. Xiąże wowczas panuiący w Kurlandii Jakob w r. 1610[3] z tych exulantow na tym mieyscu osiadłych ufundował miasto, nazwawszy go od swego imienia Jakobsztadt y wydał tymże exulantom przywiley *locationis*. Ze roznosc narodow y religii zamieszanie czynic zwykło — są słowa dokumentu — przeto tym przywileiem ubezpieczył exulantow, iż nikt w tym mieście z żadnego narodu lub religii miescic się ani na urzędach bydz nie może, tylko narodu y religii rzymsko-katolickiey y ruskiey...“

Następnie przywilej ten był potwierdzony przez królów polskich i innych książąt kurlandzkich[4].

Z tego dokumentu wypływa, że owi egzulanci, którzy nie chcieli pod moskiewskim pozostać zaborem, byli to Polacy katolicy obu obrządków, „religii rzymsko-katolickiey y ruskiey“, i do nich więc ściągały się pierwotne te przywileje, bo o nich można było powiedzieć, że różności narodowej i religijnej nie mieli, zamieszanie przeto z tego powodu nie mogło powstać: mieszkali razem w jednem mieście, modlili się wspólnie w unic-

[1] Cfr. *Archeograficzeskij Sbornik*, tom XI, Wilno 1891, p. 146 et seq. — Wydawnictwo to, pod opieką rządu w Wilnie zostające i drukowane, chyba nie może być o stronniczość dla Unii posądzone.

[2] Tak zwany *Oberhauptmannschaft*, czyli okręg. zelburski, składał się z powiatów: iłłuksztańskiego i frydrychsztadzkiego.

[3] Tu zaszła omyłka w druku: książę Jakub panował 1642 — 1682, i należy tu rozumieć rok 1670, wspominany przy innych okolicznościach.

[4] Czytamy w *Staats-Recht der Herzogthümer Curland und Semgallen* przez Ziegenhorna, Królewiec 1772, p. 138 i 384, że przywilejem 12 lutego 1670 r.: *Herzog Jacobus hat die Uniten in Jacobusstadt aufgenommen;* a potem dopiero mowa o dyzunitach.

kich świątyniach, a kościół łaciński zbudowano tam dopiero w połowie tego wieku (gdy już *de jure* i *de facto* Unitów w Jakobsztadzie nie było)[1]. Ale z czasem przywędrowali do tego miasta i dyzunici, którzy chcąc także korzystać z tych przywilejów, udali się do rządu kurlandzkiego z zapytaniem, czy przywilej fundacyjny z r. 1670 może być i do nich zastosowany. Otrzymali odpowiedź przez dekret *judicii appellationis* w r. 1761, że pod wyrazami „narodu y religii greckiey“ (chociaż w powyższym przywileju ów ustęp brzmi inaczej), „maią się rozumieć y nieunici“[2]. To jeszcze jaśniej potwierdza, że mowa była najprzód tylko o Unitach, a później rozciągnięto prerogatywy unickie i na dyzunitów. Jakoż w drugiej połowie XVIII. wieku, a może nawet i wcześniej, był w Jakobsztadzie dyzunicki monaster, którego ihumen, German, skarżył się episkopowi konisskiemu na Niemców, donosząc o smutnem położeniu monasteru i prosząc o wsparcie i pomoc[3].

Z tego wszystkiego wynika, że w drugiej połowie XVII. w. byli już Unici w Jakobsztadzie, mieli tam swoje świątynie, kapłanów i przywileje, nadane im od księcia Jakuba. Tyle na podstawie tego dokumentu Jakubowego.

Do tego samego wniosku doprowadza wizyta kanoniczna w Kurlandyi, dokonana w 1780 r. przez ks. J. Franc. Ksawer. Goldbergera, kanonika inflanckiego, oficyała kurlandzkiego[4], z której dowiadujemy się o Jakobsztadzie, co następuje:

Kościół w tem mieście unicki wzniesiony, za przywilejem księcia kurlandzkiego Jakuba z r. 1670 dnia 12 lutego, przez znakomitego obywatela tego miasta i razem kupca, Jana Werpichowskiego. Kościół ten pod wezwaniem św. Mikołaja ukończony został 15 czerwca 1678 roku i oddany w zarząd kapłanowi unickiemu, z archidyecezyi połockiej sprowadzonemu. Ten

[1] Prywatna kapliczka *r. l.* staraniem i kosztem ks. Miszkiewicza wystawiona do 1837 r., a znacznie później stanął kościół.

[2] *Archeogr. Sbornik*, t. XI, p. 147.

[3] *Archeogr. Sbornik*, tom XI, p. 140—150. Charakterystyczną jest rzeczą, że ów ihumen korespondował z dyzunickim episkopem po polsku.

[4] *Status dioecesis Curoniensis et Livoniensis sub anno 1780*, manuskrypt.

paroch i jego prawni następcy, od arcybiskupów połockich zależni, zarządzali tym kościołem i utrzymywali go aż do r. 1708 dnia 11 listopada, w którym, podług tej wizyty, na „uroczyste dopraszanie się całego miasta“, ówczesny prowincyał litewskich Bazylianów, Antoni Zawadzki, przysłał kapłana z tego zakonu, O. Józefa Koziełłę, wychowańca alumnatu papieskiego w Wilnie, i odtąd kościół był już w ręku Bazylianów w spokojnem władaniu aż do r. 1765, w którym rząd kurlandzki począł ich niepokoić [1].

W tymże Jakobsztadzie — tak dalej głosi ta wizyta — był jeszcze drugi unicki kościół, wzniesiony pierwotnie z drzewa przez Jana Dominika Borcha, starostę lucyńskiego, który przy nim zaprowadził szkółkę parafialną i szpital i zbudował klasztor dla trzech zakonników, lecz kościół ten w 1772 r. zgorzał [2]. Potem Bazylianie zaczęli murować nową parafialną świątynię własnem staraniem, korzystając z jałmużny, którą przeważnie zbierali od flisaków na strugach [3], płynących Dźwiną do Rygi i wstępujących na nabożeństwo, odbywające się w prywatnej tymczasowej kaplicy. Była to dość znaczna parafia; wiernych obu katolickich obrządków liczono tysiąc dusz. Katolicy rzymscy, nie mający swego kościoła i kapłana własnego obrządku, uczęszczali do unickiej cerkwi i tam nawet przyjmowali sakramenta podług wschodniego rytuału, co, jak wiadomo, zabronione było

---

[1] Właśnie około tego czasu zaczęli dyzunici rościć sobie prawa w Jakobsztadzie, a Unici i wcześniej, 1717 r., skargi na ucisk zanosili do królewskiej komisyi w Mitawie.

[2] O tym wypadku jest także wzmianka w „Odzie“, którą Bazylianie jakobsztadzcy, manifestując swoje lojalne uczucia względem panujących w Kurlandyi książąt, wydrukowali po polsku i po łacinie w Mitawie u Staffenhagena w 1787 r. pod tytułem: „Chęć wierności y uniżoności najjaśnieiszemu Xiążęciu Imci Kurlandzkiemu Panu swojemu Miłościwemu... na szczęśliwy powrót z cudzych krajów“. Jednocześnie wydrukowana mowa, miana w kościele Bazylianów w Jakobsztadzie na szczęśliwe Piotra II., księcia kurlandzkiego, urodzenie, wygłoszona dnia 4 marca 1787, także po polsku, z dodaniem do tego tłumaczenia łacińskiego. Wszystko to w 4-ce, kartek nieliczbowych 12. Przy tej sposobności notujemy, że już w XVII. w. były w Mitawie druki polskie.

[3] Strug jest to łódź wielka z płaskiem dnem.

prawem kościelnem. Bazylianie utrzymywali się przeważnie z jałmużny i różnych datków od wiernych. Superyorem ich natenczas był O. Olimpiusz Zajkowski, O. Joachim Tujewski spełniał obowiązki parafialne, a O. Jazon Sarnowski był kaznodzieją, będąc biegłym w niemieckim i łotewskim języku; przy klasztorze była szkółka i zaczęto budować szpital [1].

O. Guépin w znanem swojem dziele o św. Jozafacie powiada, że w 1774 r. w Jakobsztadzie było trzech zakonników i uprawiano tam język łaciński i niemiecki, tyluż było tam duchownych i w roku 1804, podług twierdzenia hr. Tołstoja [2]. Otóż nie wiemy, na jakiej podstawie utrzymuje p. Petrow [3], że około 1774 r. była w jakobsztadzkim klasztorze retoryka, gromadząca tam 200 słuchaczy; zresztą nie mogliśmy nigdzie znaleść wzmianki o tej szkole, istnienie której musiałoby pociągnąć za sobą urządzenie klasztoru na większą skalę, a skądinąd wiadomo, że w Jakobsztadzie była tylko misya bazyliańska.

Lecz nierównie więcej znajdujemy wiadomości o powstaniu tego monasteru i dziejach jego w XVIII. w. w pracy episkopa Pawła, z której postanowiliśmy skorzystać, bo nam wyjaśnia niejedną kwestyę i rzuca obfite światło na działalność zakonu bazyliańskiego na dalekich Rzeczypospolitej kresach [4]. Episkop Paweł jest tego przekonania, iż nie da się dokładnie powiedzieć,

[1] Dotąd z wizyty ks. Goldbergera.

[2] *Saint Josaphat*, Poitiers 1874, t. II, p. 519. — *Le catholicisme romain en Russie*, w anneksach.

[3] M. Petrow, *Istoria bazilianskawo ordena*, w *Trudách kijewskoj duchownoj Akademii*, 1870, 1871, 1872.

[4] Tytuł tej pracy taki: *Koje-czto iz prežnich zaniatij*, przez episkopa pskowskiego i porchowskiego Pawła. Psków 1872, w 8-ce, str. 160. — Autor miał pod ręką bardzo ważne dokumenta i materyały do historyi Bazylianów w litewskiej prowincyi; dla prostego śmiertelnika nie są one dostępne; nic nie pozostaje, jak brać je choćby z drugiej ręki, a nawet i w taki sposób są one bardzo pouczające i ciekawe. Autor korzystał z takich np. rzeczy: *Collectanea Zawadzciana, status monasteriorum cum nonnullis documentis*, Zebranie uchwał kongregacyj, współczesne różne listy i rozporządzenia jenerałów zakonu i prowincyałów i t. p. Wszystko, co się tyczy jakobsztadzkiego monasteru, zajmuje miejsce od str. 79 do 87. Nakoniec potrzeba przyznać, że episkop Paweł, jako historyk, prawdomówniejszy jest i sumienniejszy od wielu bardzo swoich rodaków.

w którym roku monaster w Jakobsztadzie powstał, ale na kapitule bazyliańskiej w Nowogródku w 1703 r., na sesyi piątej po południu dnia 29 sierpnia, jest wzmianka o rezydencie krzyżborskim, tj. kreuzburskiego monasteru, a wnioskować można, że monaster krzyżborski i jakobsztadzki, to toż samo. Na poparcie swego wniosku przytacza episkop Paweł takie np. wyrażenia: „bractwo kreycborskie *alias* jakubsztadzkie“, spotykane w *Collectanea Zawadzciana* i w innych współczesnych dokumentach [1].

Jeżeli więc to przypuszczenie słuszne, to wzmianka na owej kapitule w 1703 r. byłaby najdawniejszym śladem istnienia monasteru w Jakobsztadzie. Ów rezydent krzyżborski nazywał się O. Spirydyon Nowosielski. Na kapitule wileńskiej w 1713 r. dnia 25 lipca na trzeciej sesyi ma być także wspomnienie o tym monasterze. Późniejsze świadectwa są jeszcze wyraźniejsze.

Gdy Antoni Zawadzki, jenerał zakonu bazyliańskiego od r. 1719, zjechał na wizytę kanoniczną do Iłłukszty dnia 28 lipca 1721 r., przyszli do niego, posłani od bractwa „krzyżborskiego *alias* jakobsztadzkiego“, Michał Chmakowicz i Jan Wejner, z listami i prośbą, aby im przysłał zakonnika reguły św. Bazylego do spełniania duszpasterstwa; bractwo zaś to, wyraźnie siebie w listach „unickiem“ nazywające, było w Jakobsztadzie przy cerkwi św. Mikołaja i utrzymywało, że już poprzednicy O. Zawadzkiego Bazylianów im za na ojców duchownych przysyłali. Listy te były pisane z Jakobsztadu dnia 8 lipca 1721 r. i podpisane przez Jana Zurkiewicza, burmistrza, Michała Borowskiego, parocha cerkwi św. Mikołaja *(praefectus)* i „całą congregatią miasta Jakubsztatt“. Z ksiąg zaś metrycznych, które w tem mieście

[1] W bibliotece Towarzystwa starożytności w Rydze jest oryginał wizyty kanonicznej kościołów w Kurlandyi się znajdujących, bez daty, ale można się domyślać, że dokonano jej r. 1710. Czytamy w niej: *Ecclesia Christburgensis* — a więc to Krzyżbork, teraz Kreuzburg, w gubernii witebskiej — *Graeco-Unitorum, templum ibi parvum ligneum, ruinae proximum, a tempore pestis* — było to w r. 1710 — *per triennium caret sacerdote. Ibidem templum alterum schismaticorum, duo ibi monachi schismatici. Populus ibi partim schismaticus, partim lutheranus et pauci catholici uniti, qui et ibi facile, ubi schisma, deficient ob defectum sacerdotis uniti.* — Cf. *Status et Necessitates Ecclesiarum Dioecesis Livoniae,* manuskrypt.

Bazylianie prowadzili, widać, że przy cerkwi św. Mikołaja od r. 1708—1711 parochem był O. Izajasz Koziełło [1], od 1711—1712 O. Karpowicz, od 1712—1716 O. Piotr Bohuszewicz, po nim znowu Karpowicz; potem następuje przerwa — w prowadzeniu ksiąg metrycznych — do r. 1723, w którym znowu prowadzi księgi metryczne O. Benedykt Michałowski, w 1747 r. O. Smykowicz, w 1758 r. O. Sergiusz Zyburt [2].

Jest to pierwsza faza istnienia w Jakobsztadzie Bazylianów; stałe ich uposażenie nastąpiło trochę później. Jan Dominik Borch, starosta lucyński, obywatel kurlandzki, uczynił zapis dla Bazylianów jakobsztadzkich, jakeśmy to także wyżej o tem mówili, przy cerkwi św. Mikołaja zostających, w 1715 r. dnia 20 stycznia, a potem stanęła dla nich druga w Jakobsztadzie cerkiew pod wezwaniem „Pokrowy M. B.“ *(Protectionis B. V. M.)*. Bazylianie mieli za to obowiązek modlić się za rodzinę Borchów.

Historya tego zapisu taka: mieszczanin jakobsztadzki Buchoł był dłużny Borchowi 660 czerwonych złotych, których nie był w stanie mu oddać, i wskutek tego dom, ogród i pola, należące do Buchoła, przeszły do Borcha (chociaż prawdopodobnie wszystko to nie wynosiło 660 czerwonych złotych), a on wszystko to zapisał Bazylianom. Na akcie tego zapisu, jako świadkowie podpisani: ks. Mikołaj Korn, kanonik inflancki, Adam Kazimierz Kościuszko, starosta zelburski, i Władysław Korn, stolnik wendeński [3]. Uposażenie było bardzo niewielkie i mona-

[1] Już z poprzedniej wizyty wiemy, że w 1708 roku był w Jakobsztadzie misyonarz Koziełło, tylko on tam nazwany Józefem.

[2] Wysłani do O. Zawadzkiego z bractwa, oświadczyli, że przysłanemu zakonnikowi dadzą zupełne utrzymanie i oprócz tego 200 talarów z zapisu Tymoteusza Zurkiewicza. Fundusz ten potem znacznie się powiększył wskutek nowych zapisów i różnych datków, tak że w 1724 r. cerkiew św. Mikołaja posiadała około 6 włók ziemi i kilkaset talarów, z których w 1738 r. klasztor pożyczył 860 Ferdynandowi i Kunegundzie Kościuszkom, a w 1747 pożyczający pieniądze zwrócili.

[3] Rodzina Kościuszków w XVII. wieku już się w Kurlandyi spotyka, gdzie piastowała różne urzęda i miała posiadłości; jeszcze ich więcej w XVIII. wieku. Niesiecki wspomina o jakimś Adamie Kościuszce, kasztelanie kurlandzkim, ale urząd ten wydaje się nam problematycznym; znamy Adama K., miecznika inflanckiego. Kościuszkowie nie zostali zamatrykulo-

ster w Jakobsztadzie był tylko misyą, zależącą od klasztoru Bazylianów w Iłłukszcie.

Starszyzna duchowna w zakonie, miała jednakże na oku tę swoją siedzibę i dbała o jej potrzeby, bo była to placówka otoczona dyzunią, z którą niejednokrotnie walczyć trzeba było. Wzmianki o tej walce znajdują się w notatkach O. Zawadzkiego, a także w listach superyorów iłłuksztańskich, którzy prosili o energicznych i czynnych zakonników do Jakobsztadu, gdzie czasem wskutek opieszałości unickiego kleru *populus ad schismam dilabitur*. Takie do dyzunii lgnięcie trwało, mniej więcej, do roku 1730; potem O. Dyonizy Smykowicz, przełożony jakobsztadzki, donosił (23 kwietnia 1731 r.) swojej zwierzchności, że lutrzy i dyzunici nawracają się, lecz za to od połowy XVIII. wieku zaczęły się niesnaski w Jakobsztadzie pomiędzy unią i dyzunią (monaster Św. Ducha), z powodu osobistej obrazy i sporów o posiadłości. Wmieszał się w to poseł rosyjski w Mitawie mieszkający i doniósł (1760), że jego współwyznawcy są prześladowani i spotwarzani przez unitów, dominujących liczbą i znaczeniem w Jakobsztadzie; z tego powodu zebrana była komisya dla zbadania tej sprawy, ale z czynności tej komisyi dyzunici nie byli zadowoleni [1].

Jako ciąg dalszy historyi tego klasztoru, może służyć powtórna wizyta ks. Golbergera, w 1790 r. na początku marca dokonana [2].

Ten wizytator jeneralny tak opisuje misyę jakobsztadzką: Po spaleniu się kościoła, OO. Bazylianie wymurowali swojem staraniem, korzystając z jałmużny, nowy, już poświęcony, lecz jeszcze nie konsekrowany i zewnątrz jeszcze nie otynkowany, a wewnątrz bez posadzki; kościół ten był dość obszerny, o pięciu ołtarzach, wielki zaś ołtarz, jak cała świątynia, pod wezwa-

---

wani w szlachectwie kurlandzkiem, jakoteż i koronnem, o których Niesiecki wspomina. Kto był ów Jan Dominik Borch — nie wiadomo nam!

[1] Dotąd z pracy episcopa Pawła.

[2] *Acta visitationis generalis dioecesis Curonensis sub regimine Domini Casimiri Kossakowski, Episcopi Liv. et Curn., per J. Fr. X. Goldberger, canonicum cath. liv., vicarium in spiritualibus, officialem Curu. ac Piltinensem etc.* 1790—1792, w 8-ce, str. 215, manuskrypt.

niem Opieki N. M. P. (t. z. Pokrowy). Obok kościoła był klasztor także murowany, w którym było obszerne oratoryum, gdzie się także Msza św. odprawiała. Klasztor ten był otoczony różnemi gospodarskiemi zabudowaniami, miał także własne pola i łąki przez dobrodziejów ofiarowane.

Superyorem był natenczas O. Martynian Olechnowicz; oprócz niego mieszkało jeszcze trzech zakonników. Liczba wiernych: około 600 dusz, z tych około 400 *r. l.* i 200 *r. g.* Komunikanty dla obrządku łacińskiego otrzymywano z Iłłukszty [a więc teraz inaczej już sobie postępowano w tej kwestyi][1]. Druga świątynia unicka w tem mieście, pod wezwaniem św. Mikołaja, była już bardzo stara i zrujnowana; otaczał ją cmentarz, do którego przytykał ogród i dom z pierwszej fundacyi.

Oficyał Goldberger zwraca uwagę w swojej wizycie na trzy dokumenta, które się znajdowały natenczas w Jakobsztadzie: księcia Jakuba, wydany w 1670 r. dnia 12 lutego (dziwna rzecz, że i tu omyłka w dacie!), fundacyjny z 1715 roku Jana Dominika Borcha, i wydany przez bractwo św. Mikołaja, dla wezwanych Bazylianów[2].

Te dwie świątynie unickie były w Jakobsztadzie jeszcze na początku tego wieku. Ziabłowski, opisując to miasto, powiada, że był tu murowany unicki kościół z murowanym bazyliańskim klasztorem, a oprócz tego znajdował się jeszcze drugi także murowany i obok niego drewniany monaster tejże reguły. Nadto mieli Unici swój własny szpital. Dyzunicka cerkiew była natenczas jedna tylko[3].

Ale w pierwszej ćwierci XIX. wieku znajdujemy w Jakubowym Grodzie jeden tylko unicki kościół z klasztorem i dwie dyzunickie świątynie[4].

---

[1] Patrz wyżej, str. 202 u dołu.

[2] Cfr. *Acta visitationis*, p. 127—129. Niektóre szczegóły z tej wizyty, znane nam z poprzedniego opowiadania, opuściliśmy.

[3] Ziabłowskij, *Ziemleopisanie Rossijskoj Imperii*. Petersb. 1810, t. VI, pag. 289.

[4] Bienenstamm, *Geographischer Abriss der drei Ostseeprovinzen*. Riga 1826, pag. 407.

W 1805 roku liczono tam niewiele mieszkańców, bo tylko dusz 1510 wszystkich razem, a w ośmnaście lat później — 1761, w roku zaś 1827 wiemy, że katolików obu obrządków było 297 mężczyzn i 354 kobiet [1].

W dziewiętnastym wieku zaledwo kilku znamy superyorów jakobsztadzkich. Tak np. wiemy, że na początku tego wieku był tu O. Sarnowski (od r. 1796) [2]; potem, od r. 1812—1822, piastował tę godność O. Merkury Hołownia, po nim był O. Damian Dawlewicz, a od r. 1824 był O. Filemon Kowzan kilka lat na tem stanowisku [3].

Uposażenie misyi bazyliańskiej zawsze było niewielkie; Siemaszko w 1827 r. taką podaje jej posiadłość: trzy włoki ziemi i 838 rs. kapitału. Wówczas już przeznaczony był ten monaster, jako bardzo ubogi, na skasowanie, ale dotrwał jednakże aż do katastrofy 1839 roku [4].

Tymczasem niektórzy rosyjscy autorowie — powiadamy: niektórzy, bo nawet episkopa Pawła nie można do nich zaliczyć — zupełnie inaczej przedstawiają dzieje Unii w Jakobsztadzie. Twierdzą oni najprzód, że dyzunia była wpierw w tem mieście i że do niej stosują się wszelkie przywileje, dla Unii rzeczywiście wydane, jak to wykazaliśmy na swojem miejscu; potem ignorują zupełnie działalność i przybycie Bazylianów do miasta Jakubowego prawie aż do pierwszej ćwierci XVIII. wieku, co także się z prawdą nie zgadza, nawet na podstawie tych źródeł, jakie episkop Paweł, niepodejrzany wcale o sprzyjanie rozwojowi Unii i zakonu bazyliańskiego, cytuje [5].

Monaster w Iłłukszcie. Nie bardzo też wiele posiadamy wiadomości o monasterze Bazylianów w Iłłukszcie. Znany

[1] *Inland*, 1836, p. 481, i *Gubernsk. Kurland. Wiedomosti*, 1880, p. 261.

[2] Cfr. *Akty wilenskoj archeograficzeskoj Komisii*, t. XVI, p. 566.

[3] Ze współczesnych zapisków, manuskrypt.

[4] „Pamiętniki", tom I, p. 462.

[5] Cfr. *Drewnij Swiato-Duchowskij chram w Jakobsztadtie*, przez M. Wasiliewa. Petersburg 1889, w 8-ce, 64.—*Swiato-Duchowskij monastyr*. Ryga 1888.— Autorowie tych broszurek widocznie znali pracę episkopa Pawła, ale z niej nie chcieli korzystać w zupełności.

szematyzm lwowski [1] nie zna tego monasteru, niema także o nim wzmianki w „Starożytnej Polsce"; „Słownik geograficzny" wprawdzie podaje o nim wiadomość, ale bardzo niedokładną i z omyłką w dacie. Z innych źródeł współczesnych [2] także niewiele się dowiadujemy: cerkiew była drewniana, przy której mieszkało dwóch zakonników; ludność w okolicach była przeważnie katolicka obu obrządków. Za czasów biskupa inflanckiego, hr. Szembeka (1711—1716), w Iłłukszcie mieszkało dwóch Bazylianów. O. Guépin twierdzi [3], że w 1774 r. było w niej czterech zakonników, i że tam pielęgnowano język litewski. Hr. Tołstoj notuje, że w 1804 roku dwóch tylko Bazylianów się znajdowało w tym klasztorze [4]. Nakoniec ks. Goldberger w wizycie z 1780 r., o której była wyżej mowa, pisze, że w Iłłukszcie był kościółek w posiadaniu Unitów, zarządzany przez Bazylianów, z jałmużny i ich staraniem przeważnie zbudowany, mający 200 dusz parafian greckiego obrządku. Najwięcej szczegółów i skądinąd nieznanych faktów, w kwestyi tego monasteru, znowu znajdujemy w pracy episkopa Pawła, za którym pójdziemy w tym opisie [5].

Najdawniejszą wzmiankę o iłłuksztańskim monasterze spotykamy na kapitule nowogrodzkiej, 1703 roku dnia 26 sierpnia, gdzie jest wymieniony superyor tego monasteru O. Konstanty Kaszczyc [6].

Na kapitule bialskiej, 1709 r. 27 sierpnia, także jest mowa o monasterze iłłuksztańskim i jego superyorze O. Ignacym Rodkiewiczu. Podczas kapituły wileńskiej (w 1713 r.) wymieniony jest superyor iłłuksztański O. Nowosielski. Do tego czasu monaster ten, jak się zdaje, nie miał stałego funduszu i był bardzo ubogi. Gdy bowiem za czasów superyorstwa O. Daniela Piotro-

[1] *Szematyzm prowincji Swiatoho Spasytela.* Lwów 1867.

[2] Cytowany wyżej manuskrypt: *Status et Necessitates Ecclesiarum Dioecesis Livoniae* i *Relatio de statu episcopatus Livoniae,* manuskrypt.

[3] *Saint Josaphat* l. c.

[4] *Le catholicisme romain en Russie,* l. c.

[5] *Koje-czto iz prežnich zaniatij,* p. 73—79.

[6] Tłumaczenie z polskiego dzieła, napisanego przez Ignacego Kulczyńskiego, po rosyjsku przez I. Kozłowskiego p. t.: *Sjezdy Bazilián w západnoj Rusi.*

wicza (w 1719 r.) zbierano składkę we wszystkich klasztorach bazyliańskich na alumna tego zakonu, wychowującego się w Rzymie, to na Iłłukształę wyznaczono tylko 5 złotych (a były i takie klasztory, które zapłaciły 100 zł.).

Pragnąc uczynić egzystencyę monasteru pewniejszą, zwierzchność zakonna zawiązała korespondencyę o stały fundusz dla monasteru z dziedzicami Iłłukszty, na co, w zasadzie, panowie na Iłłukszcie się zgadzali, jednakże ciągnęło się to dość długo bez widocznego skutku, chociaż prowincyał bazyliański często przypominał ze swojej strony obietnice, a Zybergowie, do których należała Iłłukszta, ciągle je wznawiali.

Takie obietnice składali: Alojzy Zyberg, kanonik inflancki, w 1709 r., podczas kapituły bialskiej, i Jan, następnie zakonnik Towarzystwa Jezusowego. w czasie kapituły wileńskiej w 1713 r.[1].

Ale, jak się zdaje, wszystko się na obietnicach kończyło. Energiczniej się wziął do tej sprawy O. Antoni Zawadzki, jenerał zakonu — o którym już mówiliśmy wyżej — polecając ją szczególnie ówczesnemu superyorowi w Iłłukszcie, Benedyktowi Michałowskiemu, i oświadczając jednocześnie, że jeżeli od kolatorów nie otrzyma stałego, odpowiedniejszego funduszu dla tego klasztoru, to go zamknie. Lecz podobno i to nie okazało się zupełnie skutecznem; zjechał więc sam Ojciec jenerał do Iłłukszty (dnia 27 lipca 1721 r.), aby osobiście pomówić o tem z ówczesnym dziedzicem dóbr iłłukształńskich, Jozafatem Zybergiem,

[1] Rodzina Zybergów, właściwie Syberg zu Wischling, pochodzi, jak wiadomo, z Westfalii, i na początku XVI. wieku posiadała już znaczne dobra w Inflantach. Jeden z nich, Jan Jerzy, ur. 1602 r., pan na wszystkich dobrach tego rodu w Kurlandyi i Inflantach, do których i Iłłukszta należała, był żonaty z Sybillą Lüdinhausen-Wolff, zostawił takie potomstwo: 1) Fryderyka Jana, Jezuitę, 2) Samuela, miecznika inflanckiego, 3) Annę Joannę za Feliksem Pacem, kanclerzem W. Ks. L., 4) Katarzynę, niezamężną, 5) Jerzego Alojzego, oficyała inflanckiego, kanonika smoleńskiego, proboszcza mitawskiego i ostatecznie zmarłego 1717 r. w zakonie jezuickim, 6) Gottarda Ksawerego, krajczego inflanckiego, żonatego z Maryą Berg-Carmel, który zostawił liczne potomstwo, a syn jego Jozafat, woj. inflancki, pierwszy senator polski w tym rodzie, prowadzi dalej tę gałąź, 7) Walter Stanisław Waleryan zmarł bezpotomnie. Zybergowie tem się odznaczają, że nigdy nie byli protestantami.

i tyle na nim wymógł, że dnia 31 lipca t. r. oświadczył, i wydał na to dokument, że daje Bazylianom w Iłłukszcie wieś swoją Kazimierzyszki, z tym warunkiem, żeby jeden z księży tego klasztoru co trzeci tydzień jeździł do Podunaju (także w dobrach iłłuksztańskich) i tam odprawiał nabożeństwo dla wiernych unickiego obrządku [1].

Majątek ten (Kazimierzyszki) jednakże dopiero dnia 23 marca 1722 r. oddany został Bazylianom, o czem sam Zyberg doniósł jenerałowi zakonu, że superyor iłłuksztański, O. Benedykt Michałowski, już otrzymał tę wieś z zabudowaniami i inwentarzem.

Z tego wszystkiego, co się wyżej powiedziało, wypływa, że już na początku XVIII. wieku Bazylianie byli w Iłłukszcie, gdzie sobie sami, prawdopodobnie z pomocą Zybergów, kościołek i siedzibę zbudowali; długi czas nie mieli stałego funduszu, który dopiero od Jozafata Zyberga, woj. inflanckiego, otrzymali, i z tego powodu nazywają go niekiedy fundatorem Bazylianów w Iłłukszcie.

W r. 1775 miał klasztor takie posiadłości: należał do niego ów „folwarczek“ — a do uprawy roli najmowali robotników, — kapitału mieli 2000 złp., od których procent, wraz z dochodami z parafii, wynosił rocznie 900 złp. Lecz z czasem kapitały klasztoru znacznie się powiększyły, wskutek pobożnych legatów i różnych zapisów, tak, że w 1791 r. z tych swoich kapitałów mieli u Zaranka 1650 talarów, u Zajkowskiego 100, u starościny Subockiej 680, razem 2430 talarów, które przynosiły procentu na rok 145 bitych talarów, 1 złp. i 15 groszy. Wtedy to dziedzic ówczesny Iłłuksztу, Jan Tadeusz Zyberg, wojewoda brzeskolitewski [2], zawarł z Bazylianami następującą umowę: oni odstąpili mu wszystkie swoje kapitały, oddali ów folwarczek Kazi-

[1] Podunaj, po łotewsku *Dunawas mujża*, gdzie został zbudowany kościół *r. l.* w 1787 r. przez Jana Tadeusza Zyberga, woj. brzeskiego, i jest dziś filią parafialnego w Dwecie, fundacyi Zybergów-Platerów.

[2] Ten Jan Tadeusz, woj. brzeski, był synem Jozafata i ostatnim męskim potomkiem swego rodu; zostawił, z Ludwiki Kleist, jedyną córkę Izabellę, która wszystkie dobra Zybergów wniosła w dom Platerów, poślubiwszy Michała hr. Broel-Platera, którego potomkowie utworzyli linię Platerów-Zybergów.

mierzyszki, a on im wyznaczył rocznej pensyi 600 talarów, dał trochę ziemi na ogród, 8 morgów łąk, 20 sążni rocznie drzewa na opał przeznaczył i obiecał bezpłatnie mleć ich zboże w swoich młynach. Potem do tego wszystkiego jeszcze dodał, na instancyę ówczesnego superyora O. Izydora Rogowskiego, ziemi ornej pod zasiew 8 purów [1] i sianożęci na 30 wozów siana. Warunki te podpisał wojewoda brzeski, dnia 27 grudnia 1791 r., z tem zastrzeżeniem, że gdyby zakon Bazylianów kiedy w Kurlandyi przestał egzystować, to cały ten fundusz napowrót powraca do potomków wojewody. Ówczesny jenerał zakonu, Atanazy Falkowski, potwierdził tę umowę w Żyrowicach dnia 12 marca 1792 r.

Główny kontyngens ludności unickiej w Iłłukszcie byli to przeważnie włościanie łotewskiego pochodzenia, ale w okolicach miasta dużo było Rusinów. Z superyorów iłłuksztańskich w XVIII. wieku, oprócz wyżej wymienionych, znani są jeszcze: O. Gerwazy Brzozowski, około 1738 r.; po nim byli: Podernia, Doliński, Uszacki i O. Klemens Tyszko około 1789 r. Za czasów tego ostatniego były zatargi w Iłłukszcie pomiędzy obrządkiem łacińskim i greckim z powodu przejścia niektórych Unitów na rzymski obrządek i odwrotnie, lecz wdanie się w to O. A. Falkowskiego, jenerała zakonu, położyło temu koniec, i potem zgoda i harmonia pomiędzy obydwoma klasztorami: księży Bazylianów i Misyonarzy, stale panowała w Iłłukszcie.

Około r. 1796 zarządzał rezydencyą iłłuksztańską O. Pańkiewicz, „pożyteczny dla klasztoru i miły kolatorowi“ [2]. Na początku zaś tego już stulecia spotykamy w Iłłukszcie superyorem O. Jozafata Cywińskiego, który pobierał nauki w wileńskiej wszechnicy. Od r. 1791—1798 był t. zw. ekklezyarchą przy kościele unickim św. Bacha i Sergiusza w Rzymie, potem długo był przełożonym w torokańskim monasterze, gdzie się odznaczył w guście Siemaszki i odbierał od niego pochwały. Jak się zdaje,

[1] Pur inflancki = 32 garnc. litewskim.

[2] *Akty Wilenskoj archeograf. Komisii*, t. XVI, p. 566.

umarł przed katastrofą 1839 r.[1] Od roku 1818—1824 był superyorem w Iłłukszcie O. Melecy Sierzputowski, następnie do Lad posłany. Nie mamy o nim bliższych szczegółów. Po nim zjechał na toż stanowisko O. Herakliusz Lebell, ostatni unicki przełożony w tym monasterze. O. Herakliusz urodził się na Litwie w 1782 r., pochodził ze szlachty, uczył się na wileńskim uniwersytecie, ale już w 1799 r. wstąpił do zakonu, a w 1807 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Odznaczał się wielką prawością i stałością w wierze, co go zaprowadziło na wygnanie do kurskiego unickiego monasteru, w którym więził Siemaszko tych, co się nie chcieli jego poddać woli. Dużo tam było takich wyznawców, zanim ich rozpędzili w inne miejscowości na prawdziwe już męczeństwo. W 1842 r. O. Herakliusz był jeszcze w Kursku w trzeciej kategoryi, najszczytniejszej, o której Siemaszko utrzymywał, że niema nadziei, aby „się kiedy nawrócić mogła“ [2].

Uposażenie monasteru w Iłłukszcie zawsze było bardzo niewielkie. Siemaszko referował do t. zw. kolegium w Petersburgu w 1827 r., że ten monaster, raczej rezydencya, posiadał 12 włók ziemi i rs. 5035 kopiejek 6 kapitału [3].

Cerkwie unickie parafialne w Kurlandyi. Unia pierwotnie skupiała się tylko obok tych dwóch klasztorów bazyliańskich, i dlatego to w wizycie Goldbergera z 1780 r. niema wzmianki o innych w Kurlandyi świątyniach unickich, które powstały później, jak się o tem dowiadujemy z drugiej wizyty tegoż prałata, w dziesięć lat później dokonanej. Wszystkie te nowo pobudowane kościoły unickie były także w powiecie iłłuksztańskim kosztem i staraniem miejscowych obywateli utrzymywane, którzy, czyniąc zadość duchownym swoich poddanych potrzebom, starali się mieć w dobrach swoich świątynie wschodniego zjednoczonego z Rzymem obrządku.

[1] „Współczesne zapiski“ i „Pamiętniki Siemaszki“, III, p. 16, 20.
[2] Tamże, III, p. 666.
[3] „Pamiętniki Siemaszki“, I, p. 462.

W iłłuksztańskim powiecie znajdowały się następne unickie świątynie i oratorya[1]:

Kuremujża. W XVII. wieku Kuremujża, po niemiecku Kurzum, należała do magnackiej rodziny Lüdinghausen-Wolff, razem z innemi dobrami bardzo licznemi w Kurlandyi i Inflantach (np. Krasław, Liksna, Łaukessa, po niem. Lautzen i t. d.). Od Fryderyka Jana, jenerała wojsk polskich, żonatego z Małgorzatą hrabianką Doenhoff, wojewodzianką pomorską, przeszły one do jego jedynego syna Teodora, najprzód sufragana, potem na krótko biskupa inflanckiego (1710—1711), nakoniec biskupa nominata chełmińskiego († 1712). Biskup zapisał wszystkie swoje dobra w 1708 r. siostrze swojej rodzonej Maryannie, żonie Jana Kossa, wojewody chełmińskiego, której synowie wkrótce bezpotomnie z tego świata zeszli; wtedy potomstwo drugich dwóch sióstr biskupa, Anny Sybilli Zybergowej i Konstancyi, żony Władysława-Franciszka Berg von Carmel — który z synem swoim fundował Jezuitów w Schönbergu w Kurlandyi — upomniało się o swoje schedy z majątków biskupa. Najenergiczniej działały córki Konstancyi, Brygida Strutyńska i Franciszka Podbereska. Proces trwał od 1736—1747 r. i skończył się w taki sposób, że Kurzum i Lautzen dostały się Strutyńskim, ale nie długo były w ich ręku, bo w 1752 r. należały już do Kczewskich i w 1752 r. odziedziczył je Antoni Kczewski, żonaty z Konarską. Jedyna ich córka, Joanna, wyszła za Józefa Piechowskiego, mającego także w Kurlandyi posiadłość Fabianiszki, i wniosła mu te dobra. Piechowski w 1799 r. umarł, a żona jego powtórnie wyszedłszy zamąż za Jana Buchowieckiego, bardzo prędko przeniosła się do wieczności, zapisawszy swoje majątki mężowi († 1808) i przyrodniej siostrze Michałowej Dąbrowskiej. Później wszystkie te dobra nabył znany w dziejach naszych Szymon Zabiełło i w tym rodzie były do 1832 r., tj. do czasu kiedy kapitan Reinhold Engelhardt kupił Kurzum, Lautzen, Fabianiszki i Girwiszki. Obecnie

[1] *Acta visitationis generalis dioecesis Curonensis etc.*, manuskrypt z roku 1790—1792, jak wyżej.

Kurzum z folwarkami Waldhof, Woksal, z miasteczkiem Kczewo, należy do Rudolfa barona Stromberga; ma dworskiej ziemi 1707 dziesięcin, a włościańskiej 1253. W Kczewie jest cerkiew panującego w Rosyi wyznania, od r. 1839, i szkółka [1].

O unicką cerkiew w Kuremujży postarał się Józef Ignacy na Piechowicach Piechowski, podkomorzy nadworny i chorąży pancernych wojsk litewskich. Otóż, jak widać ze wszystkiego, ów Leliwczyk Piechowski był to człowiek bogobojny, dbały o chwałę bożą i zwracający uwagę na religijne potrzeby swoich poddanych. Mając bowiem dużo poddanych Rusinów, postanowił dla nich zbudować w dobrach swoich cerkiew unicką i jednocześnie założyć miasto Kczewo, nazwawszy je od rodowej nazwy swojej żony; zamierzał także sprowadzić Bazylianów do swoich posiadłości. „Nim zaś w czasie — tak powiedziano w erekcyi tej cerkwi — da Bóg przyszłym, wedle układu i życzenia naszego na Grzywie, nad brzegiem Dźwiny, w linii założonego miasta, cerkiew i klasztor dla zakonu św. O. Bazylego Wielkiego Imci XX. Bazylianów wystawione i wyerygowane zostaną, i nim cerkiew w Kuremujży, w mieście Kczewie, jako filialna temuż wprowadzić się mającemu na lokacyą zakonowi wedle ustaw i rozporządzenia naszego wszystko pod dozór i rząd oddano będzie, tymczasem mieć chcemy, ażeby z klasztoru iłłukształskiego Bazylianów, dwóch lub jeden w Kuremujży we dworze naszym na kapelanii przemieszkiwał“...

Sprowadzenie Bazylianów do Grzywy nie przyszło do skutku, ale dom boży dla Unitów stanął. Już w 1786 r. nosił się Podkomorzy z tym projektem i, żeby go prędzej urzeczywistnić, tymczasem zbudować postanowił „szopę“, w którejby nabożeństwo odprawiać było można, i we wrześniu tego roku otrzymał na to pozwolenie od ordynaryatu unickiego z Połocka. Opat boryso-hlebskiego monasteru, koadjutor metropolity (Jazona Smogorzewskiego), Izajasz Szulakiewicz, działający w imieniu metropolity, polecił ks. Janowi Zaborowskiemu, dziekanowi brac-

[1] Cfr. *Archivum d. Kurisch. Ritterhauses* w Mitawie i *Kurländisches Verkehrs- und Adressbuch für.* 1892/3. Kröger, Riga 1892.

ławskiemu *r. g.*, aby zjechał do Kuremujży, poświęcił miejsce na którem ma stanąć cerkiew, kamień węgielny położył, i tymczasowo upoważnił i pozwolił odprawiać nabożeństwo w szopie na ten cel urządzonej dla wygody i pożytku chrześcijan Unitów.

Jakoż dnia 9 (st. st.) listopada 1786 r. przyjechał ks. dziekan bracławski do Kuremujży, z drugim sąsiednim parochem ks. Tadeuszem Adamowiczem, i znalazłszy kaplicę zewnątrz i wewnątrz dostatecznie urządzoną, poświęcił ją pod wezwaniem t. zw. „Pokrowy", tj. Opieki Matki Boskiej. Poświęcenie to odbyło się bardzo uroczyście, przy udziale licznego duchowieństwa obu obrządków, ogromnej masy ludu z Litwy i Kurlandyi, przy odgłosie armat i wystrzałów z różnej broni, przy muzyce nadwornej kapeli Podkomorzego i t. d. Kolator zgłosił się potem do Bazylianów iłłukształskich, prosząc aby mu stamtąd przysłali kapłanów, jednego lub dwóch, którzyby we dworze jego mieszkali na utrzymaniu zupełnem dziedzica, pobierając dla siebie dochody z parafii, a klasztorowi obiecał rocznie płacić 200 zł. pol. za jednego kapelana. W r. 1790, podczas wizyty ks. Goldbergera, oratoryum w Kuremujży było jeszcze drewniane, z wieżyczką nad dachem, w której umieszczony był dzwon, z trzema ołtarzami i dwiema zakrystyami. Kapelanował natenczas O. Beniuszewicz O. S. B. M., który mieszkał we dworze, pobierając 200 zł. pol.; jednakże podczas wizyty nie było go na miejscu. Nieobecność jego trwała tak długo, że kolator postanowił szukać innego kapelana. Liczba wiernych wynosiła przeszło tysiąc dusz, lecz większość była obrządku łacińskiego. Przy tej kaplicy znajdował się także szpital.

Z załączonego przy wizycie inwentarza tej cerkwi widać, że była ona dobrze zaopatrzona we wszystko potrzebne do służby bożej podług obrządku greckiego i nawet łacińskiego. Kaplica posiadała srebrne naczynia, jakoto: puszkę, łyżeczkę do rozdawania Komunii św., kielichy, pateny i t. p.[1].

Cerkiew unicka w Kuremujży była właściwie filią łacińskiej parafii w Łaukessie (niem. Lautzen), gdzie kościół *r. l.* fun-

[1] Cfr. *Acta visitationis*, p. 70—79.

dowany był przez ks. biskupa Teodora Lüdinghausen-Wolff. Parafia ta dotąd istnieje w Kurlandyi w dekanacie semigalskim.

Oratorya unickie w dobrach Mohlów. Rodzina von der Mohl miała przyjść z Mieczowymi Kawalerami do Inflant, a stamtąd przeniosła się w Smoleńskie i na Litwę. W 1725 r. Hieronim von der Mohl, koniuszy starodubowski, kupił Sekelmujżę, Alt i Neu, i Sołłonaj (za 5000 albertów) w teraźniejszym powiecie iłłuksztańskim. Był on żonaty z Katarzyną Sielecką i miał z nią trzech synów: Jana w zakonie dominikańskim, Ludwika dziedzica Imbrodu, na Litwie, i Aleksandra obożnego starodubowskiego, pana na Sekelmujży i Sołłonaju, żonatego z Rozalią Gedrojciówną († 1774), który miał kilkoro dzieci. Z tych: Adam podstoli inflancki, dziedzic Imbrodu, Jan obożny starodubowski, żonaty z Joanną Szydłowską, na Sołłonaju, Wincenty na Sekelmujży, Franciszek dziedzic Dubna w Inflantach, Władysław na Wyszkach w Inflantach. Potomstwo pozostało tylko od Adama, Jana i Franciszka, lecz dobra kurlandzkie wkrótce sprzedane zostały [1].

Otóż trzej bracia Mohlowie, Adam, Jan, Wincenty, do których należały Sekelmujża, Sołłonaj i Kułakowo, mieli w swoich kurlandzkich dobrach unickie kaplice, które zawdzięczały im swoje istnienie. I tak kaplica w Sołłonaju, przy samym dworze dziedzica, zbudowana była z drzewa, dość obszerna, bo mogła pomieścić około 600 osób, miała sześć okien i trzy ołtarze: Pana Jezusa, Matki Boskiej i św. Antoniego. Pomiędzy różnemi obrazami Świętych, był jeden N. M. P. Różańcowej i M. B. Częstochowskiej. Sprzęty kościelne, aparaty, bielizna, księgi liturgiczne, pomiędzy niemi polska ewangelijka, wszystko było stosownie do potrzeb.

Druga kaplica była w ogrodzie dworskim w Sekelmujży, od dawna zbudowana, podczas wizyty prawie w ruinie będąca, także drewniana, gontami pokryta, z trzema ołtarzami: Matki Boskiej, Pana Jezusa i św. Mikołaja.

[1] Z „Archiwum szlachty kurlandzkiej".

Trzecia kaplica była we wsi Kułakowie, od niedawna na cmentarzu zbudowana, nie wielka, o pięciu oknach i jednym tylko ołtarzu, z podłogą z tarcic.

Wszystkiemi temi trzema kaplicami zarządzał, w 1790 r., kapłan unickiego obrządku ks. Eliasz Onufry Charudecki, który mieszkał stale w Sołłonaju i pobierał roczną ze dworu pensyę. Liczba parafian nie była dokładnie znaną, ale większość ich należała do obrządku łacińskiego [1].

Kopyłowo. Miasteczko Kopyłowo dziedziczyli naówczas Bystramowie [2], a mianowicie było ono wtenczas własnością Jana Adama, kapitana gwardyi litewskiej. Unicka cerkiewka, znajdująca się w tem miasteczku, zbudowana ze starych materyałów, poświęcona przez dziekana bracławskiego *r. g.*, miała trzy ołtarze: N. M. Panny, św. Mikołaja i św. Jerzego; ściany były oklejone kolorowym papierem. Wszystkie kościelne rzeczy i sprzęty znajdowały się w porządku. Kapelanem owej cerkwi był ks. Stefan Szczotkowski, ksiądz grecko-unicki, pobierający ze dworu dziedzica 30 talarów bitych na rok bez ordynaryi, utrzymanie to zatem było bardzo nędzne a pomieszkanie w lichym bardzo stanie. Liczba wiernych niepewna, ale równa obu obrządków.

Kopyłowo po niemiecku nazywa się Koplau; należy teraz do dóbr Alt-Born barona Rudolfa Engelhardta. W miasteczku tem bywają dwa razy do roku jarmarki i jest tam, od r. 1839, rosyjska cerkiew [3].

Czerwonka, po niemiecku Sallensee, należała do ogromnych w Kurlandyi posiadłości Felkerzamów *(Foelkersahm, alias Voelkersahm)*, a wtedy mianowicie do Adama-Ewalda (1734—1794),

[1] *Acta visitationis*, p. 96—101.

[2] Krystyn Gabryel Bystram, żonaty z Magdaleną Fürstenberg, miał syna Jana Magnusa, litewsk. gward. porucznika, który się ożenił z Maryą Brunowówną i zostawił syna Jana Adama, kapitana gward. lit., ur. 1746 r., który 1780 wstąpił w związki małżeńskie z Amelią Koenigsfels, pułkowniką wojsk polsk., mieli tylko jedną córkę. — Cfr. „Arch. szlachty kurlandzkiej".

[3] *Kurländisches Adressbuch.*

naprzód kasztelana witebskiego, a potem wojewody inflanckiego, pana na Ellernie, Essernie, Taborze, Gross-Lassen, Klein-Lassen, Sallensee, Lautzensee, Ilsensee, Grendsen i t. d. [1]. Cerkiew w Czerwonce zbudował Felkerzamb (i tak ich czasem nazywają), będąc jeszcze kasztelanem witebskim (1787—1790), z drzewa sosnowego, na podmurowaniu; na froncie cerkwi był wymalowany obraz Zbawiciela i herb fundatora. Cerkiew ta nie była wielka, o trzech ołtarzach: św. Mikołaja, Św. Trójcy, św. Jerzego; proboszcz nazywał się Mikołaj Wajtkiewicz; wszystkie sprzęty i aparaty potrzebne były w porządku i odpowiedniej ilości, plebania zaś już stara. Liczba parafian przeważała po stronie łacińskiego obrządku, dla którego sprowadzano komunikanty z sąsiednich łacińskich kościołów [2].

Czerwonka jest teraz własnością barona Henryka Hahna, i posiada ziemi dworskiej 1580 dziesięcin, a włościańskiej 445 [3].

Jakóbów, *alias* Ilgen, na samej granicy litewskiej, wchodził w skład dóbr essernskich tegoż rodu Felkerzambów. Cerkiew unicką zaczął tu budować kasztelan witebski, a dokończył brat jego Jerzy, podkomorzy nadworny [4]. Była to niewielka drewniana budowa z kopułką pośrodku, w której była sygnaturka; ołtarz jeden tylko; poświęcał ją Jan Zaborowski, dziekan bracławski *r. g.*, pod wezwaniem św. Jakuba. W uroczystość tego Świętego nadała Stolica apostolska odpust zupełny dla tej cerkwi, ale oprócz tego były jeszcze odpusty na św. Piotr, na św. Teresę i na św. Jerzy. Pomiędzy wizerunkami Świętych był obraz M. B. Czę-

[1] Wojewoda inflancki był synem Henryka Ewalda, porucznika wojsk polskich, pana na Lautzensee i Ilsensee, i Heleny Elżbiety von Witten. Jedna i druga rodzina wyznawała religię katolicką. Potomstwo wojewody: Adam Henryk, ożeniony z Maryą v. der Mohl, Antoni pojął w małżeństwo Białopiotrowiczównę, Marya za Mikulskim, i Gotard. Wojewoda był żonaty z Ewą Maryanną Oskierczanką, starościanką mozyrską. — Cfr. „Archiwum szlachty kurlandzkiej"; „Złota księga szlachty polsk.", IV, p. 207.

[2] *Acta visitationis*, p. 94—96.

[3] *Kurländ. Adressb.*

[4] Jerzy Gedeon Felkerzamb 2 razy był żonaty: z Teresą Rudominówną i jakąś Dudzińską.

stochowskiej. Sprzęty kościelne, chociaż nie tak obfite jak w tamtych świątyniach, zawsze i tu były wystarczające na potrzeby. Podczas wizyty (w lutym 1790 r.) miał tę cerkiew w swojej pieczy ksiądz Stankiewicz, wydalony z dyecezyi żmudzkiej, pobierając od kolatora 30 talarów bitych na rok. Ale, niestety, kapłan ten dawał zgorszenie wiernym swojem postępowaniem, i wskutek tego gorliwy o chwałę Bożą dziedzic starał się o innego księdza [1].

Jakóbów, mający teraz 1122 dziesięcin ziemi, należy do sukcesorów Zygmunta Salmanowicza i ma obecnie kaplicę rzymsko-katolicką filialną parafialnego kościoła w Ellernie, gdzie właśnie pochowany jest wojewoda inflancki, Felkerzamb; dobra zaś ellernskie, posiadające dworskiej ziemi 2083 dziesięciny, a włościańskiej 1265, są własnością spadkobierców Petersenn'a [2].

Fabianowa, *alias* Iwanówka, w 1790 r. należała do Engelhardta, wyznawcy luterskiej wiary. Cerkiewka w niej zbudowana z brusów, słomą pokryta; były w niej ławki dla modlącej się publiczności, jak prawie we wszystkich unickich cerkiewkach w Kurlandyi. W wielkim ołtarzu znajdował się obraz M. B. Bolesnej, mający wiele wotów i bogatych upiększeń i ornamentacyj. Sprzęty kościelne w wielkiej ilości. Mieszkanie plebana dość wygodne, z różnemi gospodarskiemi zabudowaniami. Zarządzał parafią ksiądz Jakub Dyman, mający władzę administrowania Sakramentów i dla wyznawców łacińskiego obrządku, których było więcej w tej parafii niż Unitów [3].

Fabianowa, teraz miasteczko, należące do szlacheckiej rodziny Bruggen'ów; są tam dwa jarmarki rocznie i, od r. 1839, cerkiew schyzmatycka, a przy niej szkółka parafialna [4].

[1] *Acta visitationis*, p. 87—90.

[2] *Kurländisch. Adressbuch.*

[3] *Acta visitationis*, 90—97.

[4] *Kurländ. Adressbuch.* — Bracia Engelhardtowie, Gedeon Fabian i Jakób Jerzy, w r. 1762 posiadali w Kurlandyi dobra Brüggen, Neuhof i Schönheiden; podzielili się niemi, i scheda Fabiana, który umarł 1791 r., została nazwana od jego imienia Fabianową, i on to był kolatorem tej cerkiewki unickiej. — „Arch. szlachty kurlandzkiej".

Oprócz tych parafialnych i filialnych cerkwi unickich, były jeszcze niektóre kościoły łacińskiego obrządku w iłłuksztańskim powiecie, w których niekiedy odbywało się unickie nabożeństwo dla ludności tego obrządku, o czem także się dowiadujemy z tejże wizyty ks. Goldbergera. I tak w pałacowej Platerów kaplicy w Warszowiczach bywało takie unickie nabożeństwo, a w łacińskiem oratoryum w Engelburgu komunikować się można było i wedle łacińskiego i wedle greckiego obrządku, jakoż komunikujących się w tem oratoryum bywało 47 osób obrz. łać. i 68 obrz. grec. [1].

Tyle wiadomości z wizyty ks. Goldbergera. Ale wiemy jeszcze o istnieniu trzech unickich świątyń w Kurlandyi w tymże powiecie.

W Tartaku, niedaleko od wyżej wspomnianej Czerwonki, włościanin Kewity wybudował unicką cerkiewkę, nie wiadomo tylko kiedy, która była filialną, i przetrwała do r. 1839. Była także cerkiew w Matuliszkach. Dobra te, o półtorej mili od Alt-Born, nabył w 1769 r. Konstanty Ludwik Plater, kasztelan trocki, i w następnym roku zbudował tu dla Unitów świątynię, która, jak się zdaje, nie egzystowała długo. Dłużej, bo aż do ostatka Unii, przetrwała cerkiew w Skrudelinie jako parafialna. Kto ją pobudował i kiedy, nie wiadomo, wiemy tylko, że Adam Henryk Felkerzamb, syn wojewody inflanckiego, pan na Sallensee, Alt-Ellern, Essern i Ilsen, wezwał dnia 10 kwietnia 1812 r. do cerkwi w Skrudelinie, która wchodziła w skład dóbr Sallensee, na parocha ks. Antoniego Kotlińskiego, ponieważ dotąd nie było tam stale mieszkającego kapłana, i wyznaczył mu rocznej pensyi 120 rs. i 8 sążni drzewa. W 1828 r. cerkiew ta była bardzo zrujnowaną; miała trzy ołtarze i ośm okien [2].

Dekanat unicki w Kurlandyi zależał — jak już wspomnieliśmy — od arcybiskupów połockich. Przed katastrofą 1839 r.

[1] *Acta visitationis*, p. 104, 106.

[2] Wiadomość o tych trzech cerkwiach czerpana z „Arch. szlachty kurlandzkiej".

zarządzał tą archidyecezyą Wasyl Łużyński, który bardzo wcześnie wydał na siebie cyrograf Siemaszce i skłaniał do tego samego kroku podwładne sobie duchowieństwo. O tem „zapędzaniu i łowieniu w swoje sieci“ opowiada sam Łużyński w swoich pamiętnikach. Wielu bardzo już zjednał był sobie adeptów i popleczników, a do Kurlandyi się jeszcze nie zgłaszał, bo tam bardzo mało było Unitów, na których nie zwracał długo uwagi. Aż dopiero w późnej jesieni w 1834 r. zjechał Łużyński do Iłłukszty, aby skłonić na swoją stronę „bardzo wykształconego i światłego“ ihumena tego monasteru, Siatkowskiego, i na drugi dzień po przyjeździe — tak głosi Łużyński [1] — był on już skaptowany [2]. Zachęcony tak łatwem zwycięstwem, dalej prowadził swoje dzieło, zapraszając po kolei po jednemu do Iłłukszty parochów unickich dekanatu kurlandzkiego, na czele którego stał ks. Tomkowid, „człowiek bardzo rozumny“; umysły tych parochów „nie były zaciemnione tradycyjną nienawiścią i uprzedzeniem“, więc i z nimi prędko poszło, i oni dali się z ochotą „nawrócić“; tę łatwość w części Łużyński przypisuje i tej okoliczności, że obywatele byli luterskiego wyznania, a nie katolicy. Wydali więc wszyscy duchowni tamtejsi na siebie cyrografy i najświęciej obiecali razem z innymi przyjąć schyzmę. Zgodził się na to wszystko i O. Błyszczyński, ihumen jakobsztadzkiego monasteru. Cerkwie unickie parafialne w tym dekanacie cytuje Łużyński następne: fabianowska, chruszczewska, skrudelińska, sołłonajska, kopyłowska i faszczowska [3].

Episkop Paweł powiada, że prawosławie przed r. 1839 miało w powiecie iłłukształńskim tylko dwie cerkwie w Jakob-

[1] „Zapiski Wasilia Łuzinskago“. Kazań 1885, p. 96.

[2] Jak wiadomo, spisał Łużyński swoje pamiętniki znacznie później, pamięć mu nie zawsze dopisywała; może i w tej dacie się omylił, ponieważ mieliśmy w ręku własnoręczne, współczesne zapiski ks. Kołosowskiego, superyora Misyonarzy w Iłłukszcie, który notuje, że ów Siatkowski przyjechał do Iłłukszty dopiero na wiosnę 1839 r., a Lebell podążył, wezwany do Połocka.

[3] Tej faszczowskiej cerkwi, jeżeli to nie omyłka, niema w żadnym innym spisie!

sztadzie, unickie zaś kościoły wylicza: w Skrudelinie z filią, w Kopyłowie, w Fabianowie, w Sołłonaju z filią, i Chruszczewie [1].

Skądinąd wiadomo, że w 1835 r., oprócz dwóch monasterów, w iłłuksztańskim powiecie były jeszcze unickie cerkwie: w Fabianowie, Sołłonaju, Kopyłowie, Kczewie, Skrudelinie, Czerwonce i Tartaku, dwie ostatnie filialne [2].

Wołyniak.

[1] *Koje-czto iz prežnich zaniatij,* p. 99.

[2] *Inland*, 1838 r., nr. 2. Owe Kczewo potem nazywano, jak się zdaje, Chruszczewo.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

VII.

Tabor i Golgota.

Wedle ustaw, zostawionych przez św. Ignacego duchownym swym synom, każdy Jezuita, który w zakonie odbył, ścielące drogę do wykonywania kapłańskiego urzędu, filozoficzne i teologiczne studya, zakończyć je winien powtórnym, tym razem rok trwającym nowicyatem. Czas ten nader ważny, nadający ostateczną formę i piętno całemu zakonnemu życiu, na to jest przeznaczony, aby z większą siłą, lepszem i głębszem zrozumieniem rzeczy, wznowić nowicyackie tradycye; z nową siłą rozpalić przygasły nieco wskutek zmudnej, naukowej pracy, ogień miłości bożej. Teologiczna szkoła dostarczyła naukowej broni do walki o chwałę bożą; następująca po niej, „szkoła pobożności“, wyuczyć ma, jak z bronią tą się obchodzić, jak cnotę z nauką łącząc, królestwo boże szerzyć i w duszach bliźnich i we własnej. Antoniewicz zrozumiał znaczenie i ważność tej, grającej tak wielką rolę w duchownem wykształceniu Jezuity, „szkoły pobożności“, i gorąco pragnął rok cały w niej spędzić; przełożeni jednak, ze względu na wiek jego podeszlejszy, krótki stosunkowo czas od ukończenia starowiejskiego nowicyatu ubiegły, ze względu wreszcie na doświadczoną w tylu próbach i cierpieniach cnotę, nie przychylili się do jego życzeń i próśb, i pozwolili mu tylko odprawić całomiesięczne rekolekcye, stanowiące fundament jak

pierwszego, tak powtórnego nowicyatu, źródło z którego całe zakonne życie wypływa, tło na którem się rozwija.

Rekolekcye te rozpoczął Karol w tarnopolskim klasztorze dnia 7 sierpnia, a zakończył 14 września, w uroczystość Podwyższenia Krzyża św. Szczęśliwe to były dni, poświęcone wyłącznie własnej duszy i Bogu, zdala od wszelkich innych trosk, od wszelkich innych zajęć; kilka krótkich notatek z tych dni przechowanych, pozwala nam nie zajrzeć w głąb serca modlącego się kapłana, bo na to ich za mało i za dorywczo spisywane, ale przynajmniej uprzytomnić sobie kilka uczuć, kilka myśli, które mu głośniejszym tonem w duszy się odezwały:

„Całe szczęście duszy — czytamy w tych zapiskach — jest w poznaniu nicestwa swojego i miłosierdzia boskiego! Jak to wiemy, wszystko wiemy, i dopiero wówczas zaczynamy być czemś w oczach boskich, gdy jesteśmy niczem w oczach naszych".

„Pokąd siebie kochamy, potąd siebie nie kochamy. Bo tylko wtenczas siebie kochamy, kiedy Boga kochamy".

„Im większa ufność nasza w Bogu, tem stalszy i świętszy pokój w nas... Im więcej Bogu ufamy, tem większe będzie miał o nas staranie".

„Jeśli chcemy dla Boga coś uczynić, pierwej pozwólmy, niech On z nami czyni co chce".

„Niechaj Bogu będą nieskończone dzięki za te rekolekcye, bo to niemała łaska, i mam nadzieję w miłosierdziu boskiem, że będę z tego czasu korzystał!"

Ostatnie te słowa napisał Antoniewicz po upływie pierwszych dwóch tygodni rekolekcyj; z nowym zapałem, z nową wdzięcznością powtórzył je po zupełnem ukończeniu duchownych „Ćwiczeń"; powtarzał je sobie na drodze do Lwowa, dokąd przełożeni niebawem go wysłali dla podjęcia na nowo przerwanych apostolskich znojów; powtarzał w modlitwie, w rozmowach, listach, rozchodzących się na wszystkie strony Polski z ubogiej celki w klasztorze św. Mikołaja. Przed wyjazdem do Tarnopola na rekolekcye mieszkał Antoniewicz w domu misyjnym przy kościele świętych Apostołów Piotra i Pawła, i w tym kościele pracował; obecnie polecono mu zamieszkać w oddanym Jezuitom

przed pięciu latami konwikcie św. Mikołaja. Jak tam, tak tu nie brakowało pola do pracy, nie miało nieraz brakować gorżkiego cierpienia; ale jeśli już dawniej Antoniewicz wybrał sobie za *motto* życia: pracować i cierpieć! — to teraz, w ogniu rekolekcyjnych rozmyślań o Boskim Wodzu apostołującym, o niebieskim Mistrzu zawisłym na krzyżu, *motto* to nabrało takiego hartu i blasku, że przed jego ostrzem wszystkie trudności musiały ustępować, jego promienie najgęstsze ciemności rozświecały.

Istotnie pole do pracy we Lwowie było bardzo wielkie, było jednocześnie z niejednego względu trudne, niewdzięczne. Jak do pewnego stopnia w całej Galicyi, w jej miastach, miasteczkach, dworach, tak szczególnie w stolicy płynął w pewnych dolnych, średnich warstwach wartkim strumieniem prąd rewolucyjny; w innych, niejednokrotnie w tych samych kołach kupieckich, mieszczańskich i oczywiście urzędniczych, niemczyzna święciła swe tryumfy; szlachta i arystokracya bawiła się, kupiła około arcyksiążęcego dworu, mówiła, a w pewnej części i myślała po niemiecku; duchowieństwo, zarażone józefinistycznym jadem, zadawalniało się — ogółem mówiąc — urzędowem wypełnianiem urzędowych swych czynności. Ze wszystkiego złego, to ostatnie było bodaj najgorsze, bo podcinało w samym korzeniu religię i moralność.

Rozkładowa józefinistyczna trucizna, wchłaniana przez kleryka w seminaryum z przepisanych przez wiedeński rząd podręczników, przy najsurowszym zakazie książek w Rzymie czy gdzieindziej drukowanych, a zawierających trochę światła i ciepła katolickiego; wyuczana od mianowanych przez lwowskie gubernium, wyłącznie od tegoż gubernium a nie od biskupa zależnych profesorów; wchłaniana następnie w silniejszej dozie w Wiedniu dokąd wysyłano zdatniejszych uczniów, z góry na wyższe duchowne posady przeznaczanych — przedostawała się do szpiku kości późniejszego kapłana, profesora, kościelnego dygnitarza. Nie pomyślał on, niejednokrotnie przy najlepszej nawet skądinąd woli, o pozbyciu się tych trujących soków, bo przez myśl mu nie przeszło, bo przy wychowaniu jakie odebrał, w otoczeniu w jakiem się znajdował, przez myśl mu przejść niemal nie mogło, że one są niezdrowe, cały organizm zatruwają i niszczą. Ksiądz,

przyzwyczajony od młodych, seminaryjskich lat patrzeć w państwową władzę jak w słońce, z którego spływało wszelkie światło i ciepło; zniżony do roli płatnego, państwowego urzędnika, który — jak wyraża się gorżko, ale nie bez słuszności, jeden z współczesnych pisarzy [1] — uzupełniać miał gubernialną policyę, być pomocnikiem straży finansowej przeciw kontrabandzie, i audytoryatu wojskowego przeciw dezerterom; ksiądz, stawiający obok, dobrze jeśli nie ponad Ewangelię, ministeryalne i gubernialne reskrypta, lepiej znający austryacką niż kościelną historyę, lepiej może niż Biblię i teologię; — ksiądz taki nie miał i nie mógł mieć wpływu na społeczeństwo, nie mógł należycie spełniać wzniosłego a w skutkach swych tak doniosłego powołania. To też praca jego, nie natchniona prawdziwie ewangelicznym duchem, nie przynosiła ewangelicznych owoców. Kazania, odczytywane z karty, nudne, monotonne, obracające się w kole humanitarno-filozoficznych teoryj, nie pociągały, ani do stóp ambony, ani tem mniej do konfesyonałów. Rekolekcye odgrywały zawsze jeszcze rolę strasznego, czarnego kominiarza, którym straszono niegrzecznych i opornych. Częstsze przystępowanie do Sakramentów, gorliwsze spełnianie religijnych praktyk i obowiązków wzniecało powszechne zdziwienie, i wywoływało głośniej lub ciszej lecz niechybnie rzucane, modne, raz po raz o uszy obijające się wyrazy: faryzeizm, bigoterya, jezuityzm!

Wobec tego powszechnego ciężkiego snu, zakony miały przed sobą tem ważniejsze zadanie, tem wyraźniejszy obowiązek ducha budzić, wiarę ożywiać; niestety! zabójcza rządowa „opieka“ dała się i tutaj dotkliwie we znaki. Józef II. zniósł mnóstwo klasztorów, w samym tylko Lwowie ośm klasztorów męskich, siedm żeńskich; pozostałym wzbronił komunikacyi z jenerałami rezydującymi w Rzymie, poddał je pod władzę miejscowych biskupów, zmienił samowolnie ich ustawy, nakazał pełnić parafialne obowiązki. Cóż dziwnego, że klasztory, w których prócz habitu niewiele więcej klasztornego, zakonnego zostawiono, po-

[1] „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem“. Paryż 1853. Str. 401.

woli również do snu się układły i nie bardzo poczuwać się były w stanie do spełniania ciążącego na sobie zadania. Jedni Jezuici, którzy przybyli do Galicyi w stosunkowo pomyślniejszych już czasach, zdołali wyrobić sobie uwolnienie od najuciążliwszych, z duchem i ustawami zakonnemi wręcz niezgodnych przepisów, i dzięki temu rozwinąć mogli, jak gdzieindziej tak zwłaszcza we Lwowie, pożyteczną działalność [1]. Wielka misya, odprawiona przez nich tutaj w r. 1840, poruszyła sumienia; miłością i żarliwością płomieniejące kazania, głoszone po niemiecku przez OO. Thuinera, Rinna, Karola Barańskiego, ściągały tłumy słuchaczów; polskie kazania OO. Władysława Kieynowskiego i Jozafata Zaleskiego, również przynosiły zbawienne owoce, choć stosunkowo mniej licznych miały wielbicieli, może dlatego, że nie widziano na nich arcyksięcia z dworem; że wielu najczystszej krwi Polaków, nietylko panów, ale i pań i panien uważało język polski za mniej dźwięczny, mniej cywilizowany. Wszakże dotąd zbawcze promienie apostolskiej pracy zaledwie stopiły zewnętrzną skorupę długoletniej religijnej obojętności; sięgnąć do głębi, szerzej święty ogień rozprowadzić, przeznaczonem było z woli bożej pokornemu zakonnikowi. Bez wątpienia nie sam Antoniewicz sprowadził we Lwowie tyle pożądany i konieczny zwrot ku Bogu, nie on sam cucił mieszkańców galicyjskiej stolicy z duchowego letargu, w którym znajdowali się zbyt długo; jak przed niewielu miesiącami nie sam korzył i znaglał do pokuty nie obmytych jeszcze z przelanej krwi zbójów, jak nie sam później otwierał jakby nową erę religijnego odrodzenia w Krakowie, w Poznańskiem. Czego mu zaprzeczyć nie można, to że jeden z najpierwszych i najgłośniej dał hasło do tej nowej ery, że hasło to rzucone przezeń wymownem słowem na ambonie, w konfesyonale, w prywatnych i publicznych pismach, poparte przykładem świątobliwego życia, znalazło wszędzie niebywały dotąd oddźwięk, poruszyło tysiące serc i skierowało ku Bogu, wstrząsnęło, zostawiło po dziś dzień — śmiało to twierdzić można — niezatarte ślady.

[1] Por. „Zniesienie zakonu Jezuitów w Polsce“, przez ks. Stanisława Załęskiego T. J. Rozdział VI.

Pracę swą w dobrze znanym sobie Lwowie rozpoczął tym razem O. Karol od szkolnej młodzieży, uczącej się w konwikcie św. Mikołaja. „Jestem teraz — pisze w kilkanaście dni po przybyciu do Lwowa[1] — w domu naszym, u św. Mikołaja, spowiednikiem konwiktorów, do których miewam także, co niedziela, nauki. O! żebym tylko mógł dobrze ten ważny obowiązek wypełnić i choć trochę przyczynić się do wykształcenia serca tej młodzieży, która jako nadzieja lepszej przyszłości wzrasta wpośród nas. Na chęci najszczerszej, na miłości i przywiązaniu pewnie nie zbywa — byle tylko Bóg raczył błogosławić nędznej pracy mojej. Zatrzymano mię także na kaznodzieję u św. Piotra, gdziem pierwsze miał kazanie w dzień św. Michała".

Po tem pierwszem, poszły długim szeregiem inne, wśród coraz zwiększającego się natłoku słuchaczów. W całem mieście opowiadać sobie zaczęto o wymownym kaznodziei, o niezrównanej sile, to znów rzewnej poezyi jego słowa; przypomniano sobie dawniejsze jego pisma i goryczą obficie zaprawne losy, i tłumnie zewsząd spieszono do kościoła; wielu spieszyło nieraz z ciekawości, aby przysłuchać się i przyjrzeć sławionemu misyonarzowi-poecie; wielu z tychże samych ciekawych wychodziło z kościoła ze łzami w oczach, ze skruchą w sercu. Za pobożnymi i ciekawymi podążali i tajni wysłańcy policyi, patrzącej niechętnie i podejrzliwie na tak liczne tłumy w jezuickim kościele; lękającej się jakiejś niedozwolonej, jakiejś patryotycznej agitacyi; rozdrażnionej gęsto dochodzącemi wieściami o szczytnych ustępach poświęconych przez kaznodzieję dla nakazanej przez Boga, z wielu i z ciężkiemi nieraz obowiązkami połączonej miłości ojczyzny.

Antoniewicz wiedział, jak różne przyczyny ściągają mu słuchaczów do stóp ambony, i głęboko nad tem bolał. „Powiem szczerze, — pisał do Nagoszyna[2] — że każdym razem, jak idę na ambonę, jakoś mi tęskno i ciężko na sercu: jest to zupełnie odmienne uczucie, jak to którego wstępując na naszą polową

[1] Do ks. L. Sapieżyny. 10 października 1847.
[2] Do br. Stefanii Konopczyny. 8 lutego 1848.

ambonę nagoszyńską doznawałem... Ten tłum ludzi, z których większa część z ciekawości, nudoty, mody, lub z gorszych jeszcze pobudek się zbiera, ściska jak lodem serce! Jednak jest także bardzo wiele i dusz szlachetnych, pięknych, uczciwych, staropolskiej wiary i cnoty — to cała pociecha moja".

Hojnym strumieniem spływała mu ta pociecha do serca w konfesyonale, w którym przesiadywał dzień w dzień długie ranne i wieczorne godziny. „Pociecha moja i pierwszy obowiązek, konfesyonał, gdzie, dzięki Bogu, dużo dobrego, bardzo dużo tu uczynić można. Oj! gdyby człowiek tylko chciał i mógł korzystać z łask, których Bóg użycza!" Wielka również pociecha spływała, wielkich łask Bóg użyczał przy łożu chorych, umierających; wszędzie, gdzie ból ciała czy duszy zagościł i gdzie słowem, modlitwą, współczuciem ukoić go trzeba było. Mogiłki dziatek, groby matki, żony, liczne głębokie rany, których w życiu doznał, wyuczyły Antoniewicza, co to cierpienie; kazały w krzyż się wpatrywać i wyuczyły, jak innych do krzyża prowadzić. Bolesną tę, ale, jak sam tylokrotnie się wyrażał, najwznioślejszą i najpraktyczniejszą lekcyę, jakiej Bóg człowiekowi udziela, miał sposobność odświeżyć sobie znowu w sercu i pamięci w pierwszych tygodniach, spędzonych we Lwowie przy śmiertelnem łożu, przy trumnie siostry, towarzyszki nauk i zabaw dziecinnych, Katarzyny Romaszkanowej.

„Podobało się Bogu bolesnym nawiedzić mię krzyżem [1], za który Jemu cześć, chwała i dzięki na wieki. We wtorek, dzień Zaduszny, o pół do drugiej z północy, umarła siostra moja, którą tak szczerze i serdecznie kochałem. Śmierć jej była tak spokojna i błoga; miałem pociechę, żem jej sam ostatnie święte Sakramenta mógł administrować. W sam dzień imienin moich był jej pogrzeb. Odprowadziłem jej zwłoki na ten cmentarz, gdzie już tyle najdroższych sercu spoczywa... O! jak to człowiek, lub raczej łaska boska człowieka pomału, pomału od świata odrywa...

„Im dalej w życie [2], tem pustszą, samotniejszą i boleśniejszą

[1] Do br. S. Konopczyny. W listopadzie 1847.
[2] Do Ksawery Grocholskiej. W listopadzie 1847.

staje się droga pielgrzymstwa naszego; każda śmierć drogiej osoby kruszy ogniwo po ogniwie tego łańcucha, co nas przykutych trzyma do ziemi, i w tym stosunku, jak życie co rok z uroku swego utraca, ta posępna myśl o śmierci w coraz jaśniejszą i swobodniejszą się przekształca. Im więcej serce liczy drogich grobów, tem tęskniej wzdycha do nieba. Tak pomału, nieznacznie serce się odrywa od świata i obumiera w każdej boleści, która je dotknie, w każdej nadziei, która je zawiedzie. Ale ta śmierć przed śmiercią nie paraliżuje bynajmniej działalności naszej, ucząc nas, aby tego krótkiego życia nieczynnością nie ukracać, ale myślą, czynem i mową pracować dla wieczności. O biedni ci, którzy wiarę w Boga i wieczność stracili, dla których grób nie głosem nadziei, ale głosem rozpaczy przemawia!"

Serdeczne, myślą o Bogu, o niebie uszlachetnione cierpienie po śmierci siostry, było tylko jakby przegrywką do innych i prywatnych i publicznych, do bolesnych ciosów i klęsk prawdziwych, które wnet spaść miały całą nawałą na kraj, na zakon, na oddanego, przed Bogiem i ludźmi zasługującej, pracy zakonnika. Kilka jaśniejszych promieni, które na chwilę przed tą nawałą w pierwszych jej godzinach zajaśniały i złote obudziły nadzieje — zostawiły po sobie tylko tem większy żal, gdy okazało się, że nie były to światła jutrzenki, gońce dnia, lecz błyskawiczne blaski, zapowiadające nadciągającą burzę. Rzucona w Paryżu, 24 lutego, rewolucyjna iskra, wpadła snać w dobrze i długo naprzód gotowane palne materyały, bo wybuchła w jednej chwili pędzącym naprzód z niepowstrzymaną siłą płomieniem, który w przeciągu paru tygodni zajął całą zachodnią Europę: oświecił olbrzymią łuną Wiedeń, Berlin, Rzym. Rozentuzyazmowane tłumy wiedeńskiego ludu, przez studentów prowadzone, wymusiły na cesarzu Ferdynandzie, bez zbytnich zresztą trudności i zachodów, uroczystą obietnicę zniesienia absolutystycznych, za długiego zwłaszcza panowania Metternicha, znienawidzonych rządów i nadania krajowi konstytucyi, owego najwyższego ideału ówczesnych politycznych aspiracyj. We Lwowie otrzymał pierwszy wiadomość o wypadkach wiedeńskich gubernator, hrabia Franciszek Stadjon, i natychmiast — może dla powstrzymania groźniejszego

jakiegoś ruchu, może dla naprawienia sobie opinii i zdobycia niewiele kosztującej popularności, a kto wie, czy i nie wskutek otrzymanych z góry wskazówek — sam podsunął paru wybitniejszym osobistościom myśl zorganizowania wielkiej ludowej petycyi o udzielenie konstytucyjnych wolności[1]. Nie było w tem trudności; znaleźli się natychmiast chętni i chętnie słuchani przewódcy, i 18 marca, w niespełna tydzień po wiedeńskiej rewolucyi, w trzy dni po podpisaniu przez cesarza konstytucyjnego patentu, o czem, rozumie się, ludność nie wiedziała, swem zjawieniem się miała wszystko złe zażegnać, skarby nieprzebranej pomyślności otworzyć. Kilka tysięcy Lwowian wszelkiego wieku i stanu zgromadziło się przed gubernatorskim gmachem i wręczyło Stadjonowi mnogiemi podpisami zaopatrzoną prośbę, domagającą się wolności druku, zaprowadzenia języka polskiego w szkołach, sądownictwie, urzędach, zrównania wszystkich stanów wobec prawa, wypuszczenia na wolność licznych politycznych więźniów i t. d. Stadjon przyjął bardzo grzecznie wysłaną do siebie przez zgromadzonych deputacyę, więźniów kazał zaraz wypuścić, a co do innych punktów obiecał, że jak najprędzej cesarzowi je przedstawi i nie omieszka całym swym wpływem poprzeć tak sprawiedliwych żądań. Śmiało dać mógł tę obietnicę, niewielka była jego zasługa w wychwalaniu wolności, w Wiedniu już słowem cesarskiem zagwarantowanych; ale chwilowo zyskał sobie niezmierną popularność, a kiedy sam jeszcze zachęcać począł do tworzenia akademickiej legii, kiedy i miastu dozwolił uformować narodową gwardyę, zapomniano mu wszystkie dawne urazy, i gdyby w tych dniach powszechne głosowanie miało rozstrzygać, kto na przyszłość rządzić ma Galicyą, wielkie pytanie, czy szczęśliwym tym wybrańcem nie pozostałby dotychczasowy jej gubernator, sprytny — bo sprytu odmówić mu niesposób — hr. Stadjon.

Wśród tłumu zgromadzonego, po południu 18 marca, przed

[1] Opieramy się tu na ustnych i pisemnych relacyach paru naocznych świadków, najlepiej, z samej natury stanowiska jakie zajmowali, z tokiem wypadków obznajomionych.

domem gubernatora, zwracało na siebie uwagę kilkudziesięciu młodych chłopców, parami uszykowanych, w jednakowych mundurkach, stosowanych kapelusikach i miniaturowych szpadach przy boku, którzy ile sił i piersi im starczyło powtarzali za innymi: „Żądamy konstytucyi!“ — „Prosimy o konstytucyę!“ — „Wiwat konstytucya!“ — Byli to uczniowie z konwiktu św. Mikołaja, przysłani tu przez rektora, O. Józefa Browna, wskutek nalegań i przedstawień kilku szczerych przyjaciół zakonu, którzy pragnęli prawdopodobnie przez ten krok odwrócić od Jezuitów szerzone przeciw nim podejrzenia o sprzyjanie reakcyi i absolutyzmowi; zabezpieczyć ich przed prześladowaniem, przed wybrykami, które w tym czasie dawały im się tak dotkliwie we znaki wszędzie, gdzie tylko rewolucya sztandar swój podniosła. Na czele młodocianych zastępów stali dwaj Ojcowie, najbardziej może we Lwowie kochani i cenieni: Ksawery Kieynowski i Antoniewicz. Ukazanie się ich powitano gromkiemi okrzykami radości; z wiwatami na cześć konstytucyi zmieszały się wiwaty na cześć Jezuitów, konwiktu jezuickiego, ulubionych kaznodziejów-patryotów. Nie długo trzeba było czekać, a rewolucyjną tradycyą i z rewolucyjną szybkością brzmiące: *Hosanna!* zmienić się miało w niemniej donośne: Ukrzyżuj!

Tymczasem cały Lwów, jak kraj cały, oddawał się niepodzielonej radości; wzajemnie sobie winszowano, że po długich, smętnych latach zaświtała wreszcie złota jutrzenka wolności; że dobito wreszcie do celu, do którego od tylu lat z tęsknem upragnieniem wyciągano ręce, do — konstytucyi. Niewielu, co prawda, wiedziało zupełnie dokładnie, czemby właściwie owa konstytucya być miała, jaki zakres jej i skutki. Każdy przedstawiał ją sobie w nieco odmiennem świetle, stosownie do własnych upodobań i potrzeb; nie brakowało podobno i takich, co mówili o niej, jako o „pannie Konstancyi“, która tak się spodobała austryackiemu cesarzowi, że dla jej miłości przyrzekł odbudować Polskę od morza do morza, a każdego jej mieszkańca złotem i srebrem obsypać. O czem nikt nie wątpił, to że konstytucya jest uniwersalnem, nieomylnem lekarstwem na wszystkie choroby, trapiące państwo i społeczeństwo, że jest czarnoksięską

różczką, co wszystko złe za siódmą granicę wygania; jest złotą bramą do wymarzonego raju na ziemi. Nikt nie wątpił; czyż dziwić się można, że i w sercu Antoniewicza zakwitła w całej pełni nadzieja lepszej, lepszej przyszłości; że usta do ciągle w uszy wpadającego hymnu się złożyły?

Wiadomość o uroczystem ogłoszeniu w Wiedniu „najwyższego konstytucyjnego patentu“ z 15 marca, doszła do Lwowa 20 marca. Natychmiast, za przykładem Krakowa, gdzie 18 marca urządzono uroczyste dziękczynne nabożeństwo w kościele świętej Anny [1], postanowili Lwowianie podziękować Bogu „za powróconą swobodę“ podobnem nabożeństwem, a na kaznodzieję w czasie niego wybrali i uprosili O. Antoniewicza. Nabożeństwo to odbyć się miało 28 marca w jezuickim kościele, jako leżącym w samem centrum miasta, a prawdopodobnie też i przez wzgląd na kaznodzieję. Już w święto Zwiastowania N. Panny, 25 marca, przygotował on słuchaczów do tej uroczystości rozważaniem, jeśli zawsze, to w tej chwili rozbudzonego patryotyzmu tak bardzo na czasie będącego pytania: „Co to jest naród i jakie powołanie jego; jaki jest, jaki być powinien stosunek narodów do Kościoła; czem jest, czem się objawia, na czem prawdziwy patryotyzm zależy“ [2].

„Bóg stworzył narody i wytknął każdemu granice, a wpośród narodów tak rozróżnionych mową, usposobieniem wewnętrznem i stosunkami zewnętrznemi, wzniósł Kościół swój święty, jako ten słup ognisty, co prowadził Izraela wśród puszczy i jemu oddał w opiekę kraje i ludy. Jako ze słońca wypływają wszystkie promienie, tak z Kościoła wszystkie tegoczesne wypłynęły narody. I te tak różne narodowości, Kościół-matka — bo takie dzieło wykonać matka tylko wydoła — w jedną spoił całość i miłość... Związek narodu z Kościołem, to jest związek narodu z Bogiem, jest kamieniem węgielnym wszelkiej narodowości, bo jest kamieniem węgielnym siły moralnej, która wszystko uszla-

[1] Por. *Jutrzenka* z 21 marca, nr. 1.

[2] Kazanie w dzień uroczystości Zwiastowania Najśw. Maryi Panny. Lwów 1848.

chetnia, uświęca, która w sercu rozwija ten nadziemski, szlachetny, zbawienny patryotyzm nie przemijającego, chwilowego szału i przelotnej egzaltacyi, który po sobie tylko echo głośno brzmiących słów zostawia, ale patryotyzm wytrwałości, poświęcenia, jedności, miłości, dojrzałości w pomyśle i tęgości w działaniu; dusi tego węża piekielnego sobkostwa, niezgody, próżności, rozwijając siłę żywotną, siłę nieprzełamaną, która choć na jakiś czas odrętwiałą się wydaje, gdy wybije godzina od Boga oznaczona, jako olbrzym z grobu powstaje, wyciąga wolne ku niebu ramiona, jako orzeł wzbija się pod obłoki, pije rosę boskich natchnień. Ta siła, to ten mądry, przezorny, roztropny budowniczy, co się bierze do wielkiego dzieła, do odbudowania tego gmachu narodowego życia, opartego na wierze i cnocie!... Głębokim rozmysłem i długiem cierpieniem wyuczony, poznał naród powołanie swoje, i wskrzeszony na nowe życie, zostawił w prochach grobowych dawne błędy i występki, które były pierwszą przyczyną upadku jego; — poznał, że nie grzechy, ale cnoty narodowe narodowość stanowią. Zagasił pochodnię niedowiarstwa, ciemnoty i występku; zapalił pochodnię wiary, cnoty i postępu!“...

Rzucone tu pokrótce myśli rozwijał i wyłuszczał obszerniej kaznodzieja w trzy dni później wobec przepełniającej obszerną świątynię, z najwyższych, najwpływowszych warstw społecznych zebranej publiczności. Jaki — pytał — cel dzisiejszego zebrania naszego?[1] „Abyśmy, upokorzywszy serca nasze, Bogu dzięki złożyli za to wszystko, co się u nas do dziś dnia spełniło, ale oraz prosili, błagali Boga o łaskę, opiekę, oświecenie nadal, aby ta narodowość krajowa coraz piękniej i zbawienniej rozwijać się mogła: aby ta wolność nam użyczona, przez winę lub złość pojedyńczych osób nie została źródłem niepokoju i rozdwojenia serc, ale czystą, życiodawczą krynicą...

„Nad szczytami Tatrów, nad podolską niwą, zabłysła nowa, nowego życia jutrzenka, i ujrzała ją Europa, i ujrzał ją świat

[1] Przemowa w czasie dziękczynnego nabożeństwa za nadaną krajowi konstytucyę. „Kazania“ t. IV, str. 340 np.

cały, i zapytał z podziwieniem, coby ta zorza północy znaczyć miała. I głosy i okrzyki radośne odpowiedziały: To jutrzenka narodowości krajowej, która tak błogo, jasno, swobodnie świecić poczyna. I przybędą wysłańce Europy, aby się przekonali, co się to stało na ziemi naszej! I przewędrują kraj cały i wzdłuż i wszerz, i w lewo i w prawo, i odwiedzą miasta i wioski, doliny i góry, pałace i chaty, i posłyszą wszędzie pienia radośne, i modły dziękczynne, i nie znajdą jednej kropli krwi, coby była splamiła tę piękną sprawę, i nie ujrzą jednej łezki, coby była zasępiła radość tej uroczej chwili! Dziś żadna matka nie płacze nad grobem dziecka, dziś każda matka przyciska radośnie syna do serca, odrodzonego na nowy żywot; bo to zmartwychwstanie narodowości krajowej stało się także — zmartwychwstaniem cnót narodowych! Dzisiaj radość w tysiącznych sercach, bo jakby różczką czarodziejską tknięte, opadły kajdany więźniów, miliony rąk się wznoszą, nie do walki, ale do pojednania i zgody; nie do oręża, ale do modlitwy dziękczynnej, a nadzieja przyszłości okryła kirem grobowym wszystkie drażniące, cierpkie pamiątki przeszłości! I wszystkie narody świata, które zawsze sympatyzowały z losami polskiemi, klasnęły z radości w dłonie i powitały młodą, piękną, nowem życiem natchniętą narodowość krajową; i błogosławią i podziwiają tę szlachetność, umiarkowanie, jednomyślność i zgodność, jaką naród w tej stanowczej przesilenia rozwinął chwili!...

„Lecz za to wszystko, co się u nas stało, komu najpierw dzięki złożyć mamy? Oto Bogu i Panu naszemu; Jego jest to dziełem, a jeśli Jego dziełem, to coraz świetniej, potężniej, zbawienniej rozwijać się będzie, byle tylko duch niezgody, bezbożności i rozpusty, nie zawichrzył tego błogiego pokoju i porządku, krusząc te święte ogniwa, miłości Boga i bliźniego. Od Boga wszystko mamy, za wszystko więc Bogu dziękujmy! Dziękujmy za przeszłość, pracujmy w teraźniejszości, módlmy się o przyszłość! A po Bogu, złóżmy dzięki najłaskawszemu cesarzowi i królowi naszemu konstytucyjnemu, który z taką ochoczą miłością przychylił się do wysłuchania próśb ludu swego... Cześć i chwała i dzięki wam, którzy stoicie na czele narodu, dając

przykład umiarkowania, sprężystości i szlachetności; pamiętajcie, że w ręku boskiem i waszem są przyszłe losy narodu! Dzięki i chwała tobie, młodzieży krajowa; nie zawiodłaś nadziei, jaką kraj w tobie pokładał, przewyższyłaś wszystkich oczekiwania, a twoje zachowanie się w tych dniach pamiętnych, wróży szczęśliwą przyszłość dla kraju, a dla ciebie błogosławieństwo boskie i ludzkie"...

W paru jeszcze, w najbliższym czasie wygłoszonych przemowach, ta sama entuzyastyczna, tryumfalna odzywa się nuta; odzywa się w kazaniu na dzień Matki Boskiej Bolesnej, a silniej jeszcze w kazaniu na uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, co sama już z siebie nasuwała tyle prześlicznych obrazów, tyle chwytających za serce, pocieszających i pouczających alluzyj do „zmartwychwstającej narodowości", „wstającego z grobu społeczeństwa" [1]. Niedość na tem! — aby własne uczucia przelać w jak najwięcej serc, aby rozpalić w nich jasne pochodnie wiary' nadziei, miłości, których światło jedynie ustrzedz mogło od zabłąkania się na manowcach, wskazywanych z ambony z taką siłą przekonania i męską odwagą — ułożył kaznodzieja-poeta cztery krótkie wierszyki o boskich tych cnotach i wydrukowawszy je na obrazkach, przedstawiających Chrystusa ukrzyżowanego, rozrzucił w tysiącach egzemplarzy, jako „pamiątkę jedności, zgody i bratniej radości w 1848 roku". Wiara wskaże Boga, raj, zaszczepi w sercach moc krzyża; nadzieja poprowadzi wązką ścieżką życia za błyszczącą gwiazdą, za krzyżem Jezusowym; miłość, najpiękniejszy kwiat krzyża, najwznioślejsza nauka z krzyża wciąż płynąca, zwycięży świat i złe. Kto nie kocha, kto bliźniemu nie chce być bratem, ten żyć nie wart, nad tym zagrzmi boski sąd; a więc: Kochaj! — zaklina poeta w ostatnim wierszyku:

Kochaj! w tem jednem, w tem tak krótkiem słowie,
Ileż to szczęścia, mądrości się mieści!

[1] Na Poniedziałek Wielkanocny. „Kazania" t. III, str. 165 np. Por. również naukę na dzień Matki Boskiej Bolesnej, powiedzianą 14 kwietnia 1848 r. w kościele jezuickim św. Mikołaja i drukowaną tegoż roku, nakładem F. Pillera i Sp.

Kochaj! a słowu kiedy czyn odpowie,
W zbolałem sercu swobodę wypieści!
Kochaj! to słowo każdą łzę ociera,
Którą zmroczona źrenica wysączy!
Kochaj! to słowo niebo ci otwiera,
To jedno słowo z Bogiem cię połączy!
Kochaj! to słowo na ciebie sprowadzi,
I na kraj cały boskie zlitowanie,
Kochaj! to słowo stare grzechy zgładzi,
Wywoła nowe w żywot zmartwychwstanie!

Cudowny, słodki był sen; tem sroższe miało być zbudzenie. Ledwie minęło dni kilka, a jasne, zdawało się, dotąd niebo, pokrywać się zaczęło nadciągającemi ze wszech stron chmurami. Wielu z tych, co jak w Wiedniu, tak we Lwowie najgłośniej wołali: „Równość i wolność“ — teraz falą wypadków na wierzch wydobyci, powtarzali dawne hasło, ale z przekazanym sobie przez dawnych rewolucyjnych tyranów dodatkiem: „Dla nas wolność; dla tych, którzy słuchać nas nie chcą, lub nam się nie podobają, jeśli nie śmierć, to niewola, więzienie, wygnanie“. Zachodni przewódcy rewolucyjnego ruchu zwrócili się przeciw Kościołowi, papieżowi, zakonom; na proskrypcyjnej liście, wygotowanej przez paryskich, rzymskich i wiedeńskich obrońców wolności i równości, znaleźli się na pierwszem miejscu Jezuici; najpierwszą może książką, jaką drukować zaczęto w Wiedniu, korzystając ze świeżo nadanej wolności druku, był pamflet Giobertego przeciw Jezuitom; — jakże było nie iść i we Lwowie za danym z Zachodu przykładem, nie zwrócić się przeciw Kościołowi i jego instytucyom, jakże było i tu przynajmniej jakiejś hecy przeciw Jezuitom nie urządzić? Wprawdzie nie było do tego żadnej a żadnej przyczyny; wprawdzie dopiero co stawiano Jezuitów innym za przykład, jako prawdziwych patryotów, na wszystkich ustach stały jeszcze, pełne płomiennej miłości ojczyzny, słowa Antoniewicza; — ale któżby w czasie rewolucyjnego zamętu o racyę i logikę pytał? Zakrzyknął ktoś poprzednio: „Niech żyją!“ — a tłumy na ulicy zebrane stokrotnem echem odpowiedziały: „Niech żyją!“ — zakrzyknie niezadługo ktoś inny, może i ten sam: „Precz z nimi!“ — a echo tłumów odpowie: „Precz!“

W ostatnich dniach marca dobrzmiewało jeszcze pierwsze

owe echo; w pierwszych dniach kwietnia, już drugie, cicho z początku i wstydliwie z niem się łączyło. Antoniewicz widział i czuł, że wypadki nie idą wymarzonym torem, królestwo boże raczej oddala się, niż zbliża, a różowa zorza, wschodząca w myślach jego i pragnieniach nad Kościołem i zakonem, przetwarzać się zaczyna w groźną, purpurową łunę. Widział, i choć w niebo patrząc, bieg wypadków pełnem wyrozumiałości okiem śledząc, sobie i innym otuchy dodawał, smutnym przeczuciom oprzeć się nie mógł.

„Jeśliśmy dobre z rąk boskich przyjmowali, czemuż nie mamy przyjąć i złego? — tak rozpoczyna datowany 5 kwietnia list do doświadczonego, zakonnego przyjaciela[1] — Bóg z nami! Pokąd te słowa możemy powiedzieć — dobrze nam jest i dobrze nam będzie, wszędzie i zawsze. Bóg nas zasmuca, Bóg nas pociesza: kogo wieczór zafrasuje, tego rano umiłuje! Czegóż mamy się lękać i trwożyć, kiedy wiemy, że cała przyszłość nasza w ręku jest boskiem — i dlatego w pokoju, pokorze i cichości chwalmy Boga, módlmy się, pracujmy — nie opuści Pan czeladki swojej! Zresztą, dzięki Bogu, nie mamy żadnej przyczyny do wielkiej obawy. Nikt przeciw nam nie powstaje, żadnej demonstracyi, jak w innych krajach, nie czyniono, przeciwnie, prawie wszyscy dobrze myślący, jako pierwej tak i teraz okazują się przychylnymi, a może i więcej. A jeśli są tacy, co na nas krzyczą, sami nie wiedząc dlaczego, to tak zawsze było, jest i będzie i być musi — i święty Ojciec nasz nie napróżno wyprosił u Boga dla gromadki swojej tę łaskę: być zawsze potwarzaną i prześladowaną! Więc nie narzekać, ale dziękować mamy za co Panu Bogu!... Tu nowin jest aż za wiele... Ta jedna najlepsza, że wszystko zgodnie, spokojnie i cicho, chociaż bardzo wielki napływ osób we Lwowie".

Co prawda, to owa zgoda i spokój bardzo były problematycznej natury, bardzo, w najlepszym razie, krótko trwały. Nie upłynęło kilkanaście dni, a lwowski korespondent do krakowskiej *Jutrzenki* donosił również utartym, na uspokojenie umysłów obra-

[1] Do ks. Teofila Baczyńskiego, bawiącego podówczas w Starejwsi.

chowanym frazesem o „panującej we Lwowie największej spokojności, porządku i bezpieczeństwie“, lecz w temże samem zdaniu mimochodem dodawał: „wyjąwszy cztery kocie muzyki, znacznym wyprawione urzędnikom i Jezuitom, którym i okna potłuczono“ [1]. Kilku awanturników, podnieconych pilnem wertowaniem modnego wówczas w pewnych sferach „Żyda wiecznego“, podnieconych jednocześnie i piwem i wódką i opowiadanemi sobie wzajemnie historyami o jezuickich lochach i sztyletach, krzyknęło: „Hejże na Jezuitów!“ — i zebrawszy bez trudu garść cieszącej się na nową zabawę gawiedzi, do której przyłączył się spory zastęp akademików i narodowych gwardzistów — posunęło się późnym wieczorem ku klasztorowi przy kościele śś. Piotra i Pawła. Tu ekspedycya się nie udała, bo zajmujący cały parter cukiernik, lękając się nie bez słuszności o swe okna i nagromadzone w nich słodycze, wybiegł naprzeciw manifestantów i, częścią groźbą, częścią prośbą, częścią zgrabnie wysuniętemi naprzód patryotycznemi frazesami, usiłował ich namówić, aby gdzieindziej złożyli dowody obywatelskiej swej odwagi.

— Dobrze mówi, — krzyknął ktoś z tłumu — chodźmy na Chorążczyznę, na jezuicki konwikt!

— Chodźmy, chodźmy! — przywtórzono, i cały zebrany tłum, wśród krzyków, przekleństw i pijanych śmiechów, ruszył we wskazanym kierunku. Brzękły pod gradem kamieni szyby klasztorne, odezwały się nieludzkie wycia, i kto wie, na czem zakończyłaby się smutna ta burda, gdyby szczerze przywiązani do duchownych swych ojców okoliczni obywatele i obywatelki nie przybyli na odsiecz. Silne a gęste razy męskich kijów, kobiecych mioteł, uporały się wnet z napastnikami i zmusiły ich do szybkiego odwrotu.

Naturalnie rano po wytrzeźwieniu niewielu chciało się przyznać do udziału w niesławnej tej, humorystycznie zakończonej wyprawie; nastąpiły urzędowe i nieurzędowe przeprosiny; gwardziści, dla jawnego okazania że nie solidaryzują się z żakow-

[1] *Jutrzenka* z 26 kwietnia. Korespondencya ze Lwowa datowana 21 kwietnia.

skiem postępowaniem pewnej liczby swych kolegów, ofiarowali się sami pełnić honorową straż przy Grobie Pańskim w jezuickim kościele. Mocno się to znowu nie podobało niektórym wpływowym członkom lwowskiej „Rady Narodowej“, która, choć przez rząd nie uznana, była jednak faktycznie najwyższą, najbardziej słuchaną władzą; nie podobali się wogóle Jezuici, i to tak dalece, że kilku najzacieklejszych wystąpiło z projektem zwinięcia — bez dalszych zachodów i układów — konwiktu św. Mikołaja i przeznaczenia go na koszary dla gwardyi narodowej. Gubernator, hr. Stadjon, sprzeciwił się energicznie tej samowolnej zachciance; tem większa racya, aby nie szczędzić żadnych zabiegów w doprowadzeniu jej do pożądanego rezultatu. Rzucone hasło: „Kiedy Jezuici dobrowolnie ustąpić nie chcą, zmuśmy ich do ustąpienia!“ znalazło łatwy oddźwięk w szeregach ludzi nie złych może nawet, ale obałamuconych, marzących tylko o tem, jak i w czem dorównać zagranicznym bohaterom rewolucyi. Zredagowanie petycyi, lub — jeśli kto woli — memoryału, wymierzonego przeciw Jezuitom, i wysłanie go do Wiednia, nie dużo kosztowało namysłu i czasu. Niewiele jednak podobno ów memoryał pomógłby był lub zaszkodził, gdyby trzęsąca Wiedniem uniwersytecka młodzież nie podała ręki lwowskim kolegom i nie była również, z prądem czasu idąc, oświadczyła się przeciw wszelkim wogóle zakonom, a w szczególności przeciw Redemptorystom. Byli oni od dawna solą w oku, podobnie jak Jezuici we Lwowie, wszystkim, którzy z wiarą i z obyczajami wskazanemi przez wiarę rozbrat wzięli; jakże było nie skorzystać z tak dobrej sposobności i nie pozbyć się natrętów, prawiących niemiłe morały o grzechach i karze za grzechy? Świeżo wyniesiony do władzy minister, br. Pillersdorf, ani chciał, ani, choćby chciał, nie bardzo mógł opierać się tym żądaniom; wszak sam rewolucyi, a w pierwszej linii ulicy, przez studentów prowadzonej, władzę zawdzięczał, na nowe uliczne burdy ani myślał się narażać, owszem rad być musiał, że tak tanim kosztem może wdzięczność swą wyrazić a popularność powiększyć. O głębsze jakieś racye, o powody nikt nie pytał. Młodzi lwowscy radykaliści żądali wypędzenia Jezuitów; wiedeńscy ich koledzy pro-

sili o wypędzenie Redemptorystów; minister przeto napisał dekret spełniający żądania i jednych i drugich, i wespół ze stosem innych aktów podsunął go cesarzowi Ferdynandowi, spokojny, że tenże, fizycznie i moralnie zmęczony, nie będzie się bliżej wgłębiał w treść przedłożonych sobie do podpisu papierów. Istotnie, 7 maja, cesarz dekret podpisał, a nazajutrz ukazał się w urzędowej *Wiener Zeitung* następny, lakoniczny komunikat:

„Ponieważ zgromadzenie Redemptorystów i Redemptorystek, równie jak i zakon Jezuitów, kilkakrotnie dały powód do zaburzenia publicznej spokojności; ponieważ wskutek niechęci, na jaką u wszystkich światłych mieszkańców państwa natrafiały, przeznaczeniu swemu odpowiedzieć nie były w stanie; zważywszy, że istniejące instytucye kościelne dla zadośćuczynienia potrzebom religii, nauk i wykształcenia ludu wystarczą: Rada ministrów postanowiła wnieść u Najj. Pana o zniesienie tychże zakonów, któremu to wnioskowi Najj. Pan zezwolenia swego udzielić raczył".

Kiedy w dni kilka poczta przywiozła do Lwowa urzędową gazetę, dowiedział się z niej dopiero gubernator o zapadłym wyroku; dowiedzieli się nie bez zdziwienia członkowie „Rady Narodowej", z których wielu zapomniało już o wysłanej przez siebie do Wiednia petycyi, wielu nie brało jej nigdy na seryo; dowiedzieli się i Jezuici z głębokim bólem, choć z mniejszem zdziwieniem, bo zakonna historya i tradycya wyuczyła ich gotowymi być każdej chwili na najmniej skądinąd spodziewane i zasłużone ciosy. Hr. Stadjon, któremu wiedeńskie rządy i dekrety dość dawno już i silnie dawały na nerwy, odczytał kilka razy komunikat *Wiener Zeitung*, wzruszył ramionami i odezwał się głośno, że to chyba jakaś mistyfikacya.

— Nie jestem wcale — oświadczył wezwanemu do siebie prowincyałowi, O. Baworowskiemu — waszym przyjacielem; nie jestem też waszym nieprzyjacielem; ale czego jestem przyjacielem, to zdrowego rozsądku i porządku, a ani jednego, ani drugiego odnaleść nie mogę w tem rozporządzeniu. Zasięgnę więc potrzebnej instrukcyi i powiem co macie robić; tymczasem żyjcie i pracujcie, jakeście dotąd żyli i pracowali.

Jezuici zastosowali się do tych słów, tem bardziej, że wskutek wskazówki, danej przez gubernatora, dzienniki lwowskie — i to nietylko urzędowa *Gazeta Lwowska*, ale i bardzo czytana i popularna *Rada Narodowa* — nie wspomniały ani słowem o wiedeńskim dekrecie. Jak dawniej, tak teraz głosili słowo boże, spowiadali, odwiedzali chorych, czuwali w konwikcie św. Mikołaja nad poruczoną sobie młodzieżą: — lecz co dalej będzie, co dziś, jutro nam przyniesie? — pytał każdy, i każdy, choć wirem codziennej pracy porwany, choć całą siłą woli z wolą bożą związany, od dręczącego niepokoju uwolnić się nie mógł, bo czuł, że miecz nad głową mu wisi.

„W tych pięciu dniach — pisze Antoniewicz, a czuć, że ze łzami w oczach pisze[1] — wiele, wiele wypiła dusza boleści; za każdą, Bogu niechaj będą nieskończone dzięki!

„Wyszedł dekret zniesienia naszego! W jednej chwili tysiące go czytało, jedni się cieszyli, drugim to tak obojętnem było; bo kto nie cierpiał i nie kochał, ten nigdy cierpienia nie zrozumie! Przeczytała ten dekret mała garstka biednych zakonników, którzy nikomu nigdy nic złego nie uczynili, a których świat tak bezprzykładnie prześladuje. Ciężki to krzyż i nad wszelki wyraz bolesny, ale ciężki był i ten krzyż, który Zbawca świata dla nas nosił. Ucałowaliśmy go z boleścią i weselem, ze łzami i wdzięcznością! Niech się dzieje święta wola Jego! Co się z nami stanie, nie wiem; bliższych rozporządzeń do dziś dnia nie mamy; w pokoju duszy czekając, wypełniamy obowiązki nasze, dziękując Bogu za każdą chwilkę, w której jeszcze jako dzieci w domu matki wspólnie żyć i cieszyć się i płakać możemy, pokąd nam jeszcze wolno tę drogą nosić sukienkę!“

„Do dziś dnia — pisze w parę dni później[2] — żadnego uwiadomienia nie mamy. Stadjon obiecał jak tylko co z Wiednia przyjdzie, udzielić nam. To jedno wiemy z gazety, że jesteśmy rozwiązani. W jaki sposób, czy wolno nam będzie pojedyńczo tułać się po kraju, wygnańce na własnej ziemi, czy

[1] Do Julii Kownackiej. 15 maja 1848.
[2] Do księżny J. Sapieżyny. Bez daty.

też każą nam na zawsze tę drogą opuścić ziemię, nie wiemy dotychczas. Ucałowaliśmy z boleścią i pokorą, ze łzami i wdzięcznością, ten krzyż, który dobry, miłosierny Bóg na nas włożył. Oj! bo to krzyż nie lekki, ale nie lekki był i ten krzyż, który Zbawiciel Pan za nas dźwigał! Od samego powstania zawsze nasz zakon był na krzyżu, zawsze cierpiał za prawdę, i dziś za nią cierpieć musi: ‚Jeślim źle mówił, daj świadectwo o złem, a jeśli dobrze, czemu mnie bijesz?'

„Wszyszy i wszędzie powstali przeciw nam — ale do dziś ani w Szwajcaryi, ani we Włoszech, ani w Niemczech żadnej nie zarzucono nam zbrodni, a tem mniej żadnej nie dowiedziono — a jednak z żadnym zbójcą, zbrodniarzem tak sobie świat nie postępuje, jak z nami. Wypędzeni z domów, zaledwie życie bracia nasi uratować mogli, nie pytani, nie sądzeni, dźwigają najboleśniejszy wyrok. Jest to taka dla mnie pociecha, że jedna Polska takich gwałtów przeciw nam się nie dopuściła. Nie idzie tu o nas, bo my na wszystko, i na śmierć gotowi, ale szlachetności polskiej chwałę przyniesie! Mówią, że nasz zakon Polskę zgubił. O! żeby wszyscy tak się byli przyczynili jak my do upadku Polski, stałaby ona do dziś dnia! Jeśli chcemy sądzić o dawnych czasach, nie sądźmyż z teraźniejszego stanowiska, ale przenieśmy się w one czasy. Weszły dawne potwarze w historyę, tak jak i dzisiejsze o rzezi tarnowskiej i t. p. w historyę wejdą! *Mentez, mentez toujours mes amis, si on ne croira pas tout, il en restera toujours quelque chose!* mawiał Voltaire do zwolenników swoich"...

„Jak mi teraz ciężko[1] i przykro iść na ambonę! bo wiem że pomimo — Bóg świadkiem tej prawdy — najszczerszej chęci być użytecznym, najserdeczniejszej szczerości, jednak wszystkie słowa ważone, źle od wielu wykładane, podejrzanemi są. Miałem już nieraz i bolesne bardzo w tym względzie doświadczenia w tych czasach. Cóż robić? byłem choć odrobinę mógł się do dobrego przyczynić, choć jednemu dziecku do zbawienia pomódz, to wszystka praca moja aż zbytnie nagro-

[1] Do księżny Sapieżyny. W maju.

dzona! My teraz, jak te ptaszęta w polu, w opiece jednego tylko Boga zostajemy; On nas nie opuści, i to przekonanie tak spokojnym mię czyni i obojętnym na wszystko, co Bóg rozkaże. Mój rachunek ze światem już dawno ukończony. Ojciec, matka, żona, pięcioro dzieci, wszystkie marzenia, nadzieje—już w grobie; świat mi już nic dać nie może i niczego od świata nie żądam. Wszędzie jest Bóg, którego kochać, wszędzie są ludzie, którym w całej miłości serca służyć mogę...

„Lud nasz pomimo tych nieustających potwarzy, aż już do znudzenia na nas rozszerzanych, garnie się do naszych kościołów i do spowiedzi. Ach! bo ten lud nie czytał ‚Wiecznego Żyda' i Giobertego, i zna nas nie z książek ale z życia, i wie że my od kolebki aż do grobu, we dnie i w nocy jemu na usługi jesteśmy. Ale i tę przychylność ludu za grzech nam poczytują, jakobyśmy lud fanatyzowali i zaciemniali. I tak, cokolwiek tylko mówimy i robimy, to wszystko złe!...

„Czy nam przynajmniej[1] jako świeckim księżom pozostać tu pozwolą? Wielka partya temu przeciwna i słowem i pismem to objawia. Cośmy im złego uczynili? Do Benedyktynek i Sakramentek chciano przyjąć za kapelanów klasztornych dwóch naszych staruszków księży. Ale zaledwie o tem się dowiedziano, oba klasztory groźną odebrały odezwę, aby się nie ważyły tego czynić. Nie dają nawet gdzie głowy skłonić".

„Nie wiem — pisze w kilkanaście dni później do jednego z przyjaciół — czy Pan czytujesz rozmaite gazety wychodzące we Lwowie? Znajdziesz tam całe pasma misternie wysnute najhaniebniejszych obelg, potwarzy, nienawiści, posądzania i przekręcanych słów, jak np. to, że jeden z braci naszych w Starejwsi chwalił rzeź 1846 r., tymczasem on istotnie chwalił starowiejskich chłopów za rok 1846. Ale za co? Za to, że gdy wszędzie rzeź panowała, ta wieś zachowała się spokojnie. Lub to drugie *factum* w gazecie szyderczo wyśmiane, żeśmy zbierali podpisy starych dewotek i dzieci, i ułożyli prośbę aby nas trzech jako świeckich księży przy parafii św. Mikołaja zatrzymano.

[1] Do Julii Kownackiej. W pierwszych dniach czerwca.

A my ani prośby nie pisali, ani żadnych kroków do zbierania podpisów nie czynili, ani nawet prośby czytać, ani wiedzieć o niczem nie chcieliśmy. Pomimo tego prośba ta od najuczciwszych obywateli miasta podpisaną i wręczoną została p. Gołuchowskiemu[1]. Lecz artykułu przez kilku obywateli lwowskich napisanego i podpisanego i potwarz tę zbijającego, nigdzie do żadnego czasopisma przyjąć nie chciano. A gdy wszystkim wolno nas potwarzać, ani nam, ani nikomu nie wolno nas bronić. Nie szczędzą w tych artykułach na nas epitetów: łotrów czarnych, bandytów i t. d. i t. d. W zeszłym tygodniu przedstawiano w teatrze dramat pod tytułem: ‚Jezuici'. Siedmiu Jezuitów, jeden większy łotr jak drugi, wchodzą na scenę; są tam i sztylety i trucizna i krzywoprzysięstwa i ksiądz w ornacie czarujący i t. d. I ta suknia nasza zakonna i ten charakter kapłański, wydany na wzgardę, obrzydzenie i pośmiewisko Żydów i pospólstwa galeryjnego. O! jak to boli, bo to nie o nas idzie, ale o ten biedny lud, któremu wiarę i obyczaje chca wydrzeć, i nizkich namiętności jego do swoich używać celów. Wieczór widzi księdza na scenie jako najobrzydliwszego łotra; czyż ma go szanować nazajutrz przy ołtarzu? Ten gatunek ludzi nie pojmuje tego, że to nas j a k o Jezuitów prześladują, ale rozciąga te potwarze i niegodziwości na cały stan kapłański. I cóż znaczy polski lud bez wiary? A myśmy teraz przy nadanej większej wolności tak szczerze, tak serdecznie dla dobra kraju chcieli pracować! Ale nie wiem, czy nam nawet rozproszonym pozwolą żyć na własnej ziemi".

Gorąco nad tem i wogóle nad pytaniem: „Co z Jezuitami zrobić?" debatowała „Rada Narodowa", w skład której weszło tymczasem paru Dominikanów, dość znaczny zastęp świeckich księży i kilku kościelnych dygnitarzów. Zdawałoby się, że kiedy Stadjon przyłożyć nie chciał ręki do wykonania proskrypcyjnego dekretu, kiedy wyjeżdżając do Wiednia, i to dla uformo-

[1] Hr. Agenor Gołuchowski, późniejszy minister i na dwa zawody galicyjski namiestnik, objął dopiero co urząd wiceprezydenta rządu krajowego. a po odjeździe Stadjona do Wiednia, rządził faktycznie Galicyą.

wania, jak wieść niosła, nowego ministeryum, zostawił Jezuitów w spokoju — to tem bardziej spokoju tego nie powinnaby była naruszać, ustanowiona w pierwszej linii do obrony wolności a w dodatku przez rząd arcy-niechętnie tolerowana, „Rada Narodowa“. Tymczasem „Rada“, nie pytając czy i jaką ma do tego władzę, i ściślej strzegąc ministeryalnych ukazów niż samo ministeryum, zadecydowała odebrać Jezuitom posiadane przez nich klasztory; zabroniła im surowo nadal razem mieszkać, choćby nawet we trzech, lub we dwóch; ogłosiła ich za niezdolnych — dotąd przynajmniej, dokąd który z nich publicznie zakonuby się nie wyrzekł — do zawiadowania jakimbądź kościelnym urzędem z pewnemi dochodami połączonym. Jak duchowni członkowie „Rady“ — o innych już nie mówiąc — mogli się zgodzić, jak mogli uroczyście nie protestować przeciw tego rodzaju samowolnym rozporządzeniom, stojącym w jawnej sprzeczności z prawami Kościoła? czy nie dosyć rozumieli całej wielkości popełnianego bezprawia, czy może, kierując się oportunistycznemi względami, rzucali Jezuitów na łup rewolucyjnemu smokowi, aby zabawiając się tym kąskiem, dalej i gdzieindziej po żer nie sięgał? Jakkolwiek wypadnie rozwiązanie tej zagadki, nie wypadnie zbyt pochlebnie; smutnem będzie świadectwem, jak bujnie w idealnej zgodzie z wybijającym się na wierzch patryotyzmem, zmieszane ze sprowadzonemi dopiero co z Zachodu liberalnemi teoryami, kwitły na dnie józefinistyczne tradycye.

Gdybyż skończyło się na dekrecie „Rady“! Nieszczęściem w połowie czerwca nadszedł znowu do Lwowa ministeryalny reskrypt, który, wyjaśniając rozporządzenie z 7 maja, nakazywał Jezuitom złożyć zakonny habit i opuścić swe klasztory najdalej do 1 lipca. Gołuchowski zakomunikował nowy reskrypt prowincyałowi a blizkiemu swemu krewnemu, O. Baworowskiemu. Czy komunikując go, nalegał na ścisłe wypełnienie, czy i jakiemi zagroził środkami i jakich istotnieby się chwycił, gdyby Jezuici oświadczyli, że do niczego złego się nie poczuwając, tylko przed siłą ustąpić gotowi? Niektórzy z najgorętszych przyjaciół zakonu sądzili i wtedy i później, że takie oświadczenie załatwi-

łoby stanowczo i najpomyślniej całą sprawę; może, czekając nim burza przejdzie, trzebaby przerwać głośną pracę w kościele; może urzędnik jaki trochęby się krzywił, inny trochęby się sierdził, ale do gwałtów się uciekać nikomuby się nie chciało i po kilku miesiącach wróciłoby wszystko zwolna do dawnego ładu i składu. Tak niektórzy sądzili, kto wie czy nie bez racyi; samym Jezuitom, wdrożonym do ścisłej karności, wiedzącym w pewnej części i pamiętającym z jaką bezwzględnością rozpędzano ich i wyrzucano ze wszystkich niemal z kolei europejskich państw, coś podobnego i na myśl nie przychodziło. Kazano im opuścić swe klasztory, więc je opuścili — rozejść się, więc się rozeszli.

Z 52 kleryków pewna liczba wystąpiła z zakonu; inni doświadczyli prawdziwie braterskiej gościnności w jezuickich klasztorach belgijskich i francuskich. Kapłani — liczono ich wówczas 78 w galicyjskiej prowincyi zakonnej — znaleźli pracę i przytułek jako wikaryusze na probostwach, kapelani w kilku klasztorach i w licznych pańskich pałacach i szlacheckich dworach. Częścią obok nich, częścią w innych dworach, na innych probostwach, zamieszkało, i pilną, wierną pracą starało się sobie na codzienny chleb zasłużyć 49 zakonnych braci.

„Spełniło się! — pisał Antoniewicz, otrzymawszy wiadomość o zapadłym, stanowczym wyroku[1]. — Aż do dna trzeba było wychylić kielich goryczy; przeszedłszy przez wszystkie boleści i smutki i obelgi i zniewagi, trzeba ofiarę uczynić ze wszystkiego, co tylko było najdroższem sercu memu. Jak się Bogu podobało, tak się stało; niechaj imię Jego będzie pochwalone na wieki... Za parę dni wszyscy ze Lwowa wyjeżdżamy, z rozdartem, zbolałem, ale spokojnem sercem, bo się do żadnej nie poczuwamy winy, jaką potwarz chce nas napiętnować...

„Nie jestem teraz w stanie opisać[2], przez jakie boleści przechodzimy. Już nie mówię o tych wszystkich potwarzach najpodlejszych i obelgach, na które wszędzie i co chwila na-

[1] Do ks. Sapieżyny. W uroczystość Bożego Ciała, późnym wieczorem.
[2] Do br. Konopczyny. 29 czerwca.

rażeni jesteśmy... ale cóż mówić o tym wewnętrznym smutku i tęsknocie, która goryczą serce zalała! Trzeba było tak kochać zakon i siebie wzajemnie, aby poczuć to opuszczenie i rozłączenie... Jak mi bolesno porzucić i ten kościół nasz i ten lud, który tak całą duszą do nas przylgnął: to rozstanie jest boleścią i pociechą, patrząc na takie przywiązanie, jakiego co chwila najszczersze odbieramy dowody...

„Pierwszego lipca wojsko[1] zajmuje nasz dom u św. Mikołaja; trzeciego zdajemy kościół nasz w mieście, i po oddaniu natychmiast się rozjeżdżamy. Dokąd?... Ten co pamięta o biednej ptaszynie, i o nas nie zapomni! Ja do dziś nie wiem, co ze sobą uczynię. Chciałbym kraj, ach! zawsze tak drogi, opuścić; ale jeszcze pozostanę jakiś czas, a jeślibym mógł być pożyteczny, nie opuszczę tej ziemi, chociażbym miał nie wiem jakie obelgi ponosić. Na razie wyjadę ze Lwowa".

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

[1] Tak więc „Rada Narodowa", starając się tak usilnie o wypędzenie Jezuitów, pracowała nie dla gwardyi narodowej, ale dla austryackiego wojska. Po zbombardowaniu Lwowa przemieniono dawniejszy konwikt, późniejszy szpital wojskowy, na uniwersytet.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Część II.: Chiny i Japonia. C. d.).

Tokio, 24 kwietnia 1889.

Wczoraj, między innemi asystowałem wielkiej towarzyskiej uroczystości, a mianowicie *garden partie*, danej przez dwór, tj. cesarza i cesarzową. O godzinie trzy kwadranse na trzecią, przy cudownie pięknym czasie, ruszyliśmy dwoma powozami (na koźle Japończyk wspaniale ubrany) ku t. zw. letniej rezydencyi Mikada. Wśród niezliczonych tłumów ludu, co przyszedł patrzeć na przejazd cesarstwa, wśród szeregów policyi, wojska, dostaliśmy się nareszcie, jadąc za setką co najmniej powozów, do pierwszej bramy pałacu. Gwardya przyboczna cesarska u głównego wejścia; nareszcie pawilon, dwóch portyerów wygalonowanych i wyszamerowanych od stóp do głów otwiera drzwiczki kolasy; wysiadamy. U szczytu schodów przyjmuje nas jeden z mistrzów ceremonii. Idziemy dalej; tu wita nas wielki mistrz ceremonii, hrabia Iszimura. Otoczeni całem stadem innych zaproszonych, suniemy ku miejscu, gdzie mamy oczekiwać przybycia najjaśniejszych. Tu grono pań, grono panów z nieco kwaskowatemi minami; trzeba bowiem wiedzieć, że ci panowie dworzanie tutejsi żyją między sobą jak psy z kotami, co naturalnie nie przeszkadza, że spotykając się, najsłodszemi witają się uśmiechami; ponieważ jednak te uśmiechy i słodkie słowa nadto są wymuszone, przeto państwo ci starają się jak najrzadziej spotykać.

Po półgodzinnem czekaniu przechodzimy do pawiloniku nad samym brzegiem morza położonego; widok piękny, nie do opisania! Nareszcie dają znać, że Ich Cesarskie Moście się zbliżają. W gajach stosownie od nas oddalonych muzyka intonuje hymn ludowy japoński, idealnie piękny, osnuty na tle starojapońskiej pieśni, niezmiernie charakterystyczny, stworzony dla Verdi'ego, by na tem tle coś równie pięknego jak „Aida“ stworzył! Wtem, poprzedzony przez cały orszak dygnitarzy dworskich i ministrów, zbliża się Mikado — jak zawsze brzydki i śmieszny — w małym uniformie piechoty, boć i w tem każą biedakowi naśladować monarchów europejskich. Parę kroków za nim cesarzowa — malutka, drobniutka, bielutka, z noskiem cienkim, orlim; twarz niezmiernie charakterystyczna japońska, a jednak nie brzydka; jeszcze dość młoda; mimo tego wzrostu lalki, ma pewną prestancyę; a chociaż chodzić biedactwo nie umie, zwłaszcza w bucikach paryskich, to jednak robi o wiele lepsze wrażenie, niż jej czcigodny małżonek, który doprawdy na idyotę zawsze trochę patrzy. Naturalnie, cesarzowa, jej otoczenie, wszystkie księżniczki krwi, po europejsku ubrane; bo według najnowszych rozporządzeń, kostyum japoński stary, piękny i szlachetny, zupełnie z dworu wykluczony, tak, że na dworze nikomu nie wolno pokazać się w takowym. Aż litość bierze patrząc na tych biedaków.

Ceremonia właściwa ograniczyła się do krótkiej po większej części rozmowy cesarstwa z pojedyńczymi przedstawicielami mocarstw zagranicznych. Jako ciekawość dodam, że dziwnym trafem przy przejściu cesarstwa w szpalerze utworzonym przez ciało dyplomatyczne, znaleźliśmy się między poselstwem chińskiem a koreańskiem. Obu na chwałę trzeba powiedzieć, że nie porzucili stroju przodków. Ambasador króla koreańskiego był w nader ciekawym, oryginalnym stroju; opisać go trudno; jest to coś zupełnie i od chińskiego i od japońskiego odmiennego. O tyle piękniejszy strój, że o wiele żywsze kolory, bo czerwony, niebieski i *crême*. Nakoniec, po owej rozmowie z posłami, cesarstwo przeszli do pawilonu przygotowanego umyślnie, i tu podano wszelkiego rodzaju *Erfrischungen*. Gorąco było wcale przyzwoicie,

więc ambasadorzy rzucili się ochoczo do szampana. Niestety i tu już wszystko niby po europejsku; nawet lokaje w białych pończochach i frakach.

Gdy cesarstwo odeszli, poszedłem sobie sam oglądać ogród. Cudowny istotnie. Kwiatów jak zwykle żadnych, tem mniej klombów; za to co za drzewa i krzewy, jaki rozkład artystyczny drzew, jakie perspektywy cudowne! Krzewy o liściu pąsowym, żółtym, zielonym; a to wszystko na tle wspaniałych starych sosen japońskich; u stóp, ślicznej formy wielka sadzawka, nad nią mostek drewniany prowadzi do pawilonu malutkiego, śliczniutkiego, na wysepce położonego. Niezmierniem kontent, że widziałem tę fetę, tak bądź co bądź oryginalną i ciekawą.

Jutro miałem opuścić Tokio; z powodu strasznej burzy, która dziś się rozszalała, muszę znowu czekać. Daj Boże, bym jakoś szczęśliwie na stały ląd się przedostał!

Tokio, 27 kwietnia.

Przed paru dniami byłem w teatrze. Grano sztukę (niby tragedyę) „Czterdziestu siedmiu Roninów", osnutą na tle podania, które właśnie z angielskiego na polskie tłumaczę. Nic równego, jako mimika, w życiu nie widziałem. Realizm szalony, chwilami przechodzi wszelkie granice. Tu mogłaby Sara Bernhard odbywać studya, jak się mordować, jak umierać na scenie. Asystuje się w tej sztuce aż czterem samobójstwom i dwom czy trzem zabójstwom. Samobójstwa niezmiernie przerażające; najpierw, bo przedstawiają t. zw. *harakiri* czyli przerżnięcie sobie brzucha własną ręką; dalej, bo realizm posunięty do tego stopnia, że krew (naturalnie udana) bucha z ran, zalewa samobójcę, który wyciąga z siebie kiszki na scenie, by takowemi akt przysięgi podpisać. Widzi się tu rzeczy doprawdy dla nas nowe, nietylko pod względem grozy przedmiotu, ale także pod względem znakomitej gry — rzeczy, o których doprawdy wielu naszych najsławniejszych artystów pojęcia nie ma. Przytem przedstawienia te są niezmiernie ciekawe, bo wszystko występuje w dawnych, pię-

knych kostyumach dworskich i innych, które dziś już tylko ledwie na obrazach egzystują.

Oby wraz z temi staremi ubiorami nie poszły w niepamięć inne cenne zwyczaje i cechy starej Japonii! Tak między innemi jest jeden szczegół albo raczej rys charakteru Japończyka — o którym wielu podróżnych mówić zapomina, a który przecież godzien jest wzmianki — bo nawet, rzecz szczególna, arcymiły do skonstatowania — który wyróżnia Japończyka, ku wielkiej jego chwale, od wszystkich, zdaje mi się, narodów kuli ziemskiej, przedewszystkiem jednak od Chińczyka i Koreańczyka, jego najbliższych krwią i położeniem geograficznem sąsiadów. Rysem tym charakteru jest nie co innego, jak zamiłowanie czystości. Jak kraj długi i szeroki, biedny i bogaty, młody i stary, mężczyzna czy kobieta, wszyscy i wszędzie, dzień w dzień muszą mieć kąpiel, i to kąpiel ciepłą! Zwyczaj ten tak jest rozpowszechniony, tak przeszedł w krew i kości tych ludzi, że najprostszy *rikśa*, najprostszy chłop, nieszczęśliwym, bo chorym czułby się, gdyby mu odmówiono wieczorem przed spoczynkiem kąpieli. Jest to instytucya, nad którą doprawdy wartoby się zastanowić, aby ją u nas zwłaszcza zaprowadzić, przynajmniej po miastach. W Japonii w każdej najmniejszej mieścinie jest przynajmniej jedna publiczna kąpiel, gdzie za jednego centa każdy do woli wykąpać się może. Jak we wszystkiem, tak i tu cechą prawdziwie wielkiej, prawdziwie ogólnie użytecznej instytucyi, jest prostota. Instytucya ta może być tak niesłychanie tanią i przeto dla najbiedniejszego dostępną i wpływającą zbawiennie na ogół, jedynie w skutku swej niesłychanej prostoty. Kąpiel japońska, to mniejszy lub większy pokój, mniej lub więcej zamknięty, w środku którego jest jedna lub więcej kadzi drewnianych z wodą gorącą. Aby woda nie stygła, jest przy kadzi umieszczony rodzaj piecyka z blachy, tworzącego z kadzią jedno, w który to piecyk z chwilą, kiedy się rozpoczyna ogólna pora kąpielowa tj. wieczorem, wkładają nieco węgli drzewnych rozżarzonych. Jako dalsze akcesorya kąpieli, jedna lub więcej putni drewnianych z wodą zimną i czerpaczka również drewniana, służąca do oblewania się wodą — na tem koniec!

Proceder przy kąpieli japońskiej następujący: wchodząc umywa się każdy mydłem i wodą, zwykle już bardzo ciepłą, przygotowaną w jednej z owych mniejszych putni, stojących obok głównej kadzi; dobrze wymywszy całe ciało, wchodzi do głównej kadzi z gorącą wodą, i tu przez kilka minut, najwięcej 2—3 minut, zanurza się po szyję, oblewając za pomocą czerpaczki głowę gorącą wodą — i koniec. Ciało wysycha natychmiast i kąpiel skończona.

Sekret cały leży w temperaturze wody gorącej, która dochodzi do najwyższego stopnia gorąca, jakie nie Europejczyk, ale Japończyk znieść może. Nieprzyzwyczajony, nie jest początkowo zupełnie w stanie ani palca w tę wodę wsadzić, tak jest gorąca. Ten właśnie stopień wysokości temperatury ma taki skutek, że zamiast zaziębiać, jak nasze letnie kąpiele, owszem hartuje. Uczucie w pierwszej chwili, wchodząc do tego ukropu, jest zupełnie podobne do uczucia przy wchodzeniu do bardzo zimnej, lodowatej wody — więc przypuszczam, że oddziaływanie na skórę bardzo gorącej wody, musi być takie samo, jak bardzo zimnej. Kąpiel gorąca ma jednak tę przewagę nad zimną, że rozgrzewa niezmiernie ciało; po zimnej, dopiero gimnastyki, awantur potrzeba, by się zagrzać; w zimie zwykle się to nie udaje — człowiek, zwłaszcza zmuszony do życia siedzącego, marznie przez pół dnia po zimnej kąpieli. Po japońskiej kąpieli, ciało jest tak niesłychanie rozgrzane, że bez obawy zaziębienia się, można w największe zimno wyjść na dwór, choćby bez ubrania. Ciepło to zatrzymuje ciało przez kilka godzin. Proszę teraz pomyśleć, jak niezmiernem dobrodziejstwem dla starych, dla ubogich, dla dorożkarzy, tragarzy i t. d. i t. d. byłaby taka kąpiel — wogóle dla ludzi, którzy przez całą zimę nigdy naprawdę rozgrzać się nie mogą.

Mam zamiar przypatrzyć się jeszcze dokładniej owym publicznym kąpielom tutaj, by módz ewentualnie coś podobnego u nas zaprowadzić. Przedewszystkiem trzeba jednak zaprowadzić coś takiego po domach prywatnych, zwłaszcza dla służby — tutaj nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, któryby wydawał niemiły odór. — Co za szczęście w takim kraju żyć!

Drugim, niezmiernie ważnym czynnikiem ochędóstwa jest mycie zębów. Takich zębów jak tu, nigdzie się nie widzi. I tu znowu muszę powiedzieć: jak kraj długi i szeroki, każdy co rano myje zęby. Och, czyżby nie można w Galicyi tego zaprowadzić? Tyle na teraz o czystości Japończyków. A rzecz szczególną przytem zauważyłem, że to dziwne zamiłowanie ochędóstwa, sposobem jakimś, ogranicza się jakoś u Japończyków do swojskich sprzętów i przyrządów; wszystko co importowane, europejskie, jak serwety, noże, grabki i t. p., bywa i niewymyte i arcybrudne. Widać, że zamiłowania czystości we krwi nie mają.

Tokio, 30 kwietnia.

Fatalna aura dni ostatnich wstrzymała mnie nieco w zwiedzaniu ciekawości — to też nowych wrażeń, nowych notatek niema. — Arcyciekawe widziałem jednak w muzeum tutejszem zabytki katolickie z przed 300 lat. Cały zbiór krzyżów, różańców, obrazów Świętych. Portret papieża Pawła V. Borghese czy Sykstusa V.; portret IMci pana Faxecura Roenyemon, zrobiony w początku XVII. wieku w Rzymie, klęczący przed krucyfiksem. Są to zabytki pochodzące z Sendaju, prowincyi położonej na cyplu północnym wyspy głównej (Nippon). Książę panujący nad tą prowincyą, t. zw. Dajmio Sendaju, jak niesie fama, sam katolik, wysłał był do Rzymu deputacyę z dwóch swoich podwładnych złożoną. Panowie ci zajechali po sześcio- czy ośmio-miesięcznej podróży na miejsce; tu przyjęci po monarszemu przez Ojca św. i obdarowani sowicie, ruszyli do Hiszpanii, poczem po dwóch latach niebytności i niesłychanych przygodach, powrócili do Japonii, przywożąc ze sobą całą ową kolekcyę krucyfiksów, ornatów i t. d. i t. d. — a między innemi i ów portret jednego z posłów, malowany w Rzymie. — Przedmioty te, jak wogóle wszystko co do religii katolickiej się odnosiło, musiano po wybuchu prześladowania z początkiem XVII. stulecia chować i kryć. Obrazy wyjmowano z ram i zwijano, przenosząc co chwila z miejsca na miejsce, celem ukrycia ich, resztę zakopywano i t. d. Tym sposobem przedmioty te święte, których większość natu-

ralnie zagubiono, spalono lub zniszczono, przechowały się do dni naszych. Przez długie lata leżały gdzieś na strychu u gubernatora Sendaju. Dopiero wypadkiem przed laty kilku sekretarz legacyi austryackiej przy dworze tutejszym, pan Siebold, bawiąc w Sendaju, dowiedział się o egzystencyi tych pamiątek. Długie toczyły się rokowania celem uratowania ich od niechybnej zaguby, aż wreszcie rząd japoński zdecydował się przenieść takowe z Sendaju do muzeum narodowego, założonego w Tokio, gdzie je właśnie oglądałem. Smutny to widok; krzyże i obrazy święte pozamykane w gablotach, a obok zaraz stoją i wiszą bożyszcza i ozdoby zborów pogańskich.

Obiecano mi, że zobaczę przed wyjazdem rzecz może jeszcze ciekawszą, mianowicie cały zbiór również przedmiotów religijnych katolickich, skonfiskowanych przy wybuchu prześladowań w rozmaitych okolicach kraju. Zbiór ten jest do dziś dnia w posiadaniu potomków owego wielkiego Taiko-Sama, regenta i władcy wszechpotężnego, który to tak strasznie katolicyzm prześladował; a mianowicie jest w posiadaniu brata sajguna, niedoszłego również sajguna. Obiecano mi, że poznam tych panów obu, tj. ostatniego sajguna i jego brata. Są to ostatni potomkowie rodu, który przez wieki tym krajem rządził, trzymając niemal w więzieniu prawnych władców, tj. mikadów, jak opowiedziałem w jednym z poprzednich listów, jeżeli się nie mylę, z 10 marca. — To mię naprowadza na dokończenie w krótkich abcugach tego szkicu historyi Japonii, który zacząłem.

Otóż opowiedziałem już wtedy, jak sajgunowie, uchwyciwszy ster państwa, doprowadzili w XVII. wieku do zupełnego zamknięcia Japonii dla Europejczyków. Stan ten utrzymał się do połowy naszego stulecia. Aż do 1854 r. nietylko nie wolno było żadnemu Europejczykowi stanąć na ziemi japońskiej, ale, gdy raz jakiś żaglowiec angielski, znienacka zajechawszy do portu Nagasaki, zmusił załogę tamtejszą do dostarczenia sobie słodkiej wody i zapasów żywności — komendant załogi musiał sobie za karę rozpruć brzuch, a z nim wszyscy oficerowie. XIX-te stulecie musiało, jak wszędzie tak i tu, nieuniknienie wszystko do góry nogami przewrócić. Wielki Jemiton przewi-

dział wszystko inne, ale zastosowania, jakiego doznała para wodna w naszem stuleciu, nie przewidział. Parowce doszły z łatwością tam, gdzie żaglowcom tylko z trudnością dostać się można było. Tajfuny, cyklony, prądy morskie i podwodne rafy, które tak strzegły Japonii, tak skutecznie przystępu do jej wybrzeż broniły, straciły dziś na powadze. Zregistrowano je, poznano, odkryto. Dla tajfunów założono stacye meteorologiczne, które je śledzą i nieszkodliwemi czynią; rafy morskie dokładnie na kartach wyrysowano; słowem, żeglugę do Japonii ułatwiono i Japonię do Europy, Indyj, kolonij angielskich zbliżono. Między Chinami a Ameryką handel znalazł dogodne dla siebie, nieodzowne stacye w portach japońskich. Z drugiej strony od wschodu Stany Zjednoczone, dosięgłszy Oceanu Spokojnego, zapragnęły zajrzeć, co tam dalej leży i jak wygląda. Kalifornia, połączona z wielką siecią kolei Ameryki północnej, musiała szukać za morzami odbytu dla swych płodów rolniczych i metalurgicznych. We dwa ognie, od wschodu przez Amerykę, od zachodu przez Europę, wzięto Japonię. Zażądano „gościnności“ tak energicznie, że opór stał się niemożliwym.

A jednak — jak mi mówił baron Siebold — patrząc, temu lat trzydzieści, na tę Japonię, na owych feudalnych panów, zdawało się, że *status quo* wieki jeszcze przetrwa. Wszystkie bowiem czynniki, które system feudalny w Europie przewróciły — tam, zdawało się, usunięto, ubezwładniono. Religia jedna, państwowa, przez wszystkich uznawana i co do formy wykonywana. Dynastyi nikt praw jej nie zaprzeczał. Filozofia nie kopała dołków pod porządkiem społecznym. Lud bez szemrania, bez żadnych aspiracyj znosił potulnie swą odwieczną pańszczyznę, dążności do zrównania stanów nie znał i nie rozumiał. Przemysł istniał, ale tylko w odmiennych, ciasnych ramach tego, coby u nas przemysłem domowym nazwano. Ogół i każda jednostka zadawalniały się granicami zakresu działania, po ojcach i dziadach odziedziczonego. Jeść miał każdy dosyć — więc spał spokojnie. Zdawało się, że plutokracya, jako rywalka arystokracyi, nie ma wcale racyi bytu. Szlachta nie ciemiężyła podobno ludu nad miarę; wolno jej było zresztą bawić się nieszkodliwem filozo-

fowaniem, układaniem zgrabnych wierszyków niewinnej treści, muzyką, kobietami, i to nie nadmiernie. O polityce nikt już w końcu nie myślał, bo to do niczego nie prowadziło, a mogło tylko niepotrzebnie tułów od głowy oddzielić. W stosunkach wzajemnych ludzi do ludzi wiedziano zawsze i we wszelkich okolicznościach jak sobie postąpić, bo wszystko było przewidziane, unormowane odwiecznym zwyczajem; temu się sprzeciwiać, uchodziło za złe wychowanie, a złych manier każdy się gorzej śmierci obawia w Japonii. Któryś z rzadkich Francuzów, którzy Japonię dokładniej znali, powiedział: „Jeżeli szczęście ludów polega na absolutnym spokoju i nieruchomości, to ostatnie stulecie rządów dawnego systemu w Japonii było ideałem złotego wieku".

Jednak, szczęściem czy nieszczęściem, wszelka ludzka instytucya, a zwłaszcza każda forma rządu, nosi w swem łonie zaród choroby, który ją o śmierć przyprawia. Wielki Jejasa, tworząc swą maszynę rządową, myślał przedewszystkiem o zapobieżeniu wybuchom krewkości i ambicyi książąt udzielnych (dajmio). Zapomniał, że odejmując im wszystko co w mężczyznie utrzymuje męskość — nieuniknienie ich w zniewieściałość wpędzi. To samo stało się i z samymi sajgunami. W biegu czasów przestał sajgun rządzić; za niego rządzili jego ministrowie, on używał i babiał.

Tokugawowie stali tem, że umieli ze swojemi interesami zjednoczyć interesa kilku najmożniejszych rodów. Arystokracya pomału zaczęła znajdować przyciężkiem to panowanie jednej rodziny; pomyślano, czy nie możnaby wziąć samemu nieco udziału w tej władzy. Trzeba było znaleść kogoś dość potężnego, aby go jako antagonistę arcypotężnemu sajgunowi można przeciwstawić. W tym celu aż do zapomnianego od dawna Mikada się cofnięto. Syn boskiego słońca mógł śmiało z sajgunem rywalizować, bo mógł liczyć na wpływ i znaczenie u ogółu idei monarchicznej. Podobno już od początku bieżącego stulecia, w prowincyi Mito zaczęła kiełkować w cichości ta myśl. W r. 1815 ukazała się książka *Dai Niponshi* (historya Japonii), której myślą przewodnią było wykazać, że właściwym panem nie jest sajgun,

lecz Mikado. A wykazania tego bardzo było potrzeba, bo nikt już prawie w Japonii nie pamiętał o tem. Szintoiści przyszli tu w pomoc politykom. Podstawą szintoizmu jest teorya, że ród Mikadów od bogów pochodzi, że im się więc cześć boska należy. Serca poczęły bić gorącej „dla tronu i ołtarza“. Ale organizm społeczny przemienił się był w biegu wieków tak doszczętnie w rodzaj automatu, organa jego tak były już zamarły, że długiego trzeba było czasu, nim znowu krew mogła w tych zastygłych żyłach zacząć obiegać.

Katastrofę przyspieszyło przybycie flotylli wojennej amerykańskiej pod wodzą komandora Peny, który wpłynąwszy do zatoki Kobe, oświadczył wręcz, że za ofiarowaną przez się przyjaźń i przymierze żąda znacznych ustępstw, a przedewszystkiem otwarcia kilku portów dla handlu amerykańskiego. Wieść o żądaniach Amerykanów rozeszła się lotem błyskawicy po całym kraju, wywołując wszędzie najwyższe oburzenie. Peny tymczasem odpłynął, zapowiedziawszy że za rok po odpowiedź wróci. Postanowiono mu dać odpowiedź Leonidasową. Na wszystkich punktach poczęto się zbroić; topiono dzwony, by lać armaty. Sajgun widział się zmuszonym wrócić wolność rozlicznym więźniom stanu, a przedewszystkiem księciu Mito, znanemu wrogowi białych barbarzyńców, dzielnemu nad dzielnych, a oddanemu całą duszą sprawie dworu i Mikada. Gdy jednak Amerykanie się zjawili, zmiękł i ostygł zapał wojenny. Zaczepić tak potężnego wroga nie śmiano. Zaczęły się rokowania bez końca; wreszcie sajgun, a raczej zastępujący go jako małoletniego regent, podpisał traktat formalny, otwierający Amerykanom, Anglikom, Rosyi i Francyi trzy porty japońskie. Prawa do podjęcia rokowań i samowładnego ich zakończenia sajgun nie miał. Fakt ten, oburzył więc niepospolicie cały zastęp możnych i dwór. Coraz silniej dawało się czuć wzburzenie umysłów, które doszło do punktu kulminacyjnego, gdy regent wysłał w r. 1860 ambasadę do Ameryki. Powodem tego kroku regenta było przekonanie że dłużej myśleć nie można o zamykaniu się wobec wspólnie działających Europy i Ameryki. Widząc zbliżający się wybuch malkontentów w kraju, regent jął ścinać, więzić, wy-

pędzać z kraju całemi masami. Wstrzymał tym sposobem wybuch rebelii; nie przewidział jednak, że w Japonii nie zapomniano o tem, że kto nie może otwarcie, ten zabija skrycie. Wieczorem, w połowie marca 1860 r., w chwili gdy regent opuszczał zamek w Jeddo, banda sprzysiężonych a księciu Mito oddanych samurajów otoczyła jego palankin, ludzi jego wycięła w pień, a głowę regenta w tryumfie poniosła do Tokio.

Od tej chwili zaczyna rewolucya wrzeć na dobre w Japonii. Okrzyk „śmierć barbarzyńcom“ łączy się z okrzykiem *Daigi Meibu*, „lud z panującym“. I zaczyna się ta jedyna może w swoim rodzaju rewolucya, gdzie lud szedł oswobadzać swego prawowitego pana i monarchę, przeciw własnemu jego namiestnikowi. Rozpoczęto od mordowania Europejczyków; mordowano ich gdzie spotkano, a każdy biały zamordowany sprawiał nowe trudności oficyalnemu reprezentantowi władzy, sajgunowi, dyskredytował go wobec obcych i swoich. Faktem jest, że z chwilą upadku sajguna, z chwilą gdzie walka między monarchistami a partyą Tokugawów ustała, ustały jak na skinienie różczki czarodziejskiej mordy i napaści na białych. Na chylący się coraz bardziej kark Tokugawów poczęły się walić gruzy ich wielkości. Czem większą była ku nim uległość dotąd, z tem większą bezczelnością teraz obrzucano ich błotem. Najzacięciej występowały wszystkie klany południowe; północna część kraju pozostała wierną Tokugawom. Już w r. 1866 walki uliczne po miastach, zwłaszcza w Kioto, dowodziły o ciągle wzrastającej sile i odwadze partyi Mikada. W styczniu 1868 r. skoalizowani książęta i rozmaici trybunowie, wzywają sajguna do złożenia godności w ręce cesarza. Młodziuchnego cesarza otaczają radą przyboczną, na czele jej Iwakura i Sandżo, dwaj zapaleni południowcy, ludzie czynu, postępowcy, których własne dzieło niebawem (jak zresztą zwykle bywa) zgnieść miało. Sajgun wprawdzie zrezygnował, ale jego partyzanci nie. Północne klany nie chciały dopuścić do przewagi południowych. Zaczyna się walka w otwartem polu. Piędź za piędzią muszą cesarscy zdobywać od cofających się powoli ku północy obrońców, ośmiu wiekami utrwalonego porządku rzeczy. Krew potokami płynie. Nareszcie

w r. 1869 cesarscy, po bitwie pod Hakodate, na wyspie Jesso, zwyciężają ostatecznie. Cały kraj łączy się pod sztandarem Mikada, partya Tokugawów niknie z powierzchni. Oni sami schodzą na prostych śmiertelników, po dziś dzień jednak strzeżonych, bo podejrzywanych na każdym kroku. Rozumie się, że ledwie obaliwszy Tokugawów, zwycięska partya, mając jeszcze przezornych mężów stanu u steru, zaczęła od podjęcia na nowo rozpoczętych przez rząd sajguna układów z białymi. Nienawiść do wszystkiego co obce istniała i teraz jak przedtem, boć istnieje do dzisiaj, ale kierujący nawą państwową rozumieli aż nadto dobrze, że zadzierać z o wiele potężniejszymi od siebie cudzoziemcami nie można. Ogółowi perswadowano, że, by zgnieść białych, by im módz raz na zawsze zakazać wstępu do kraju, trzeba najpierw nauczyć się od nich tego wszystkiego co ich siłę stanowi. Część narodu ciekawą była po prostu poznać, przypatrzyć się z blizka, dotknąć się tych białych djabłów, co jednak takie ogromne mieli statki, tak strzelali celnie i t. d. Najmniejsza, ale najrozumniejsza część widziała w zetknięciu się z obcokrajowcami ogromne dla ojczyzny korzyści. Przemysł i handel, oświata, miały na tem tylko zyskać, i byłyby zyskały, gdyby ster rządów był pozostał w ręku ludzi statecznych, a nie był wpadł na nieszczęście w ręce szałaputów i szowinistów, którzy zakosztowawszy cywilizacyi białych, upili się nią, przejęli z niej co najgorsze, nie potrafili jej do wymagań kraju i miejsca zastosować, chcieli by w kilku latach Japonia skoczyła o całe stulecia, i przy tem nóg nie połamała!

Pierwszym krokiem menerów restauracyi było zainaugurować nową erę, pokazując światu a przedewszystkiem ludowi głowę, w imię której i dla której tyle krwi popłynęło. Młodziuchnego cesarza wprowadzono do zgromadzenia możnych państwa. Oddano mu niejako faktycznie wykonywanie tej władzy, o którą tak walczyli. Sama osobistość cesarza-Mikada nie nadawała się bynajmniej, albo może lepiejby powiedzieć, nadawała się nadzwyczajnie do roli, jaką mu wypadało grać. Było to bowiem i jest podobno absolutne zero, narzędzie, z którem łatwo było robić co się chciało. Już w pierwszych latach nowych rzą-

dów zarysowywa się w Japonii dążność do nadania pewnego rodzaju konstytucyi, prawa brania udziału w rządach przez reprezentantów ludu. Jednem z najśmielszych i najdalej idących pociągnięć Iwakury i Sandża było obalenie terytoryalnych, udzielnych księstewek, któremi władali pojedyńczy dajmiowie. Jak wszystko, tak i to udało się. Znaczniejszym książętom kazano opuścić dotychczasowe siedziby, ściągnięto ich wszystkich do Jeddo; tu przez większą część roku kazano mieszkać; zabroniono im opuszczać Jeddo bez zezwolenia policyi. Iście po rewolucyjnemu traktowano ich zamki, równając je po prostu z ziemią. Co skarbów sztuki przy tem poniszczono, sam Budda chyba wie! Indemnizowano tych książąt, wyznaczając im pensye roczne, innemi słowy, zrujnowano ich doszczętnie, z wyjątkiem kilku, którzy będąc u wielkiego ołtarza, o sobie pamiętali. Razem z dajmiami runęli i samuraje czyli szlachta-rycerstwo, wisząca z reguły u klamki pańskiej. Jednem pociągnięciem pióra zdmuchnięto cały organizm feudalny; na jego miejsce przyszli jak i gdzieindziej rozmaici dorobkiewicze, boć bez arystokracyi społeczeństwa niema i nie będzie. Arystokracyę rodową zastąpiła arystokracya pieniężna i urzędowa. Czy społeczeństwo na tem lepiej wyszło, to inna kwestya! Między nowymi panami sytuacyi zgoda naturalnie nie długo trwała; każdy w swą stronę ciągnął, każdy chciał się obłowić. Pierwszych oswobodzicieli tronu od kurateli sajgunów, zastąpili wnet inni. Zwykłą ludzkich rzeczy koleją, drudzy od pierwszych, pierwsi od sajgunów nie lepsi, tylko coraz inni. Duch idei europejskich i amerykańskich, pochwytany przez te tysiące młodych Japończyków kształcących się na uniwersytetach i w szkołach obu zamorskich kontynentów, rozsadzał a raczej wprawiał coraz bardziej te lekkie, do tak pieprznej strawy nie przygotowane mózgownice. Religia, ów jedyny hamulec, jedyna baryera mogąca społeczeństwa od zbytnich koziołków chronić, to słowo w dzisiejszej Japonii tak dobrze jak nieznane. Inteligencya japońska, podobnie jak rosyjska, nie wierzy w nic, a raczej w żadną z religij istniejących. Wierzy w formułki masońskie, w sofizmata najrozmaitszych szkół filozoficznych, ekonomicznych i t. p., i gwałtem chce to

stare społeczeństwo w nowe wtłoczyć formy. Kraj i społeczeństwo aż syczą z bólu, ale na to wielcy reformatorzy nie uważają. Byle naprzód! Dziś już nihilizm w Japonii grasuje. Nie oszczędzono sobie nawet szopki parlamentarnej! *Quousque tandem* możnaby tym panom zawołać. Zapewne znajdą się tacy co to kiedyś powiedzą — ale tymczasem, biedna Japonio, zapłacisz drogo zachcianki swych synów, co nie rzeczy ale formy szukają.

Kiedyś była o tem mowa między kilkoma Japonii życzliwymi europejskimi dyplomatami, czy nie byłoby lepiej dla Japonii pozostać jeszcze pod berłem wielkorządczem Tokugawów. Pozwoliłem sobie przypomnieć, co Taine o francuskiej rewolucyi napisał: Wiele nieszczęść, wiele klęsk, wiele strasznych chorób byłaby sobie Francya a z nią Europa oszczędziły, gdyby tego przejścia od *ancien régime* do nowego porządku nie byli przeprowadzali Robespierzy i Dantonowie, ale ludzie dawnej szkoły.— Tokugawowie, w chwili gdy ich z siodła wysadzono, byli na najlepszej drodze, by wprowadzić Japonię na nowe tory, zwalić mur co ją od reszty świata zamykał, i napół już zgniłe belkowanie budynku państwowego zmienić. Gdyby Tokugawa, a nie gorące, zapalone a niedoświadczone głowy, Japonię przez tę ciężką fazę przeobrażenia był prowadził, może — jabym myślał, że z pewnością — nie byłby się kraj tak zrujnował, tak wyczerpał, tak wycieńczył — byłoby wszystko logicznie, racyonalnie, pomału poszło.

Czy Japonia znajdzie w sobie siłę, aby wszystkie rany, jakie poniosła, zagoić, i zmiany gwałtowne, jakim uległa, przetrawić — nie wiem. Nie widzę nawet, skądby tej siły zaczerpnąć mogła. Ale życzę jej tego serdecznie — bo ją mam w sercu.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Średniowieczne ustawodawstwo synodalne biskupów polskich. I. Życie i obyczaje kleru w Polsce średniowiecznej na tle ustawodawstwa synodalnego. *Ks. Jan Fiałek.* Kraków. Nakładem Akad. umiejęt. 1893.

Szanowny autor podzielił pracę swoją na trzy części: w pierwszej mówi szczegółowo o stroju osób duchownych, w drugiej przechodzi ich zabawy i zajęcia niedozwolone, w trzeciej nareszcie kreśli uzasadniony na źródłach prawa kanonicznego stosunek księdza do kobiet i prawną stronę konkubinatu.

Rozdział I.: „Strój duchownych. § 1. Tonsura; pielęgnowanie włosów i brody". Z pomiędzy synodów polskich, które się ubraniem księży zajmowały, zasługują szczególnie na uwagę uchwały: synodu sieradzkiego z r. 1233, statuta legata Filipa z r. 1279, synodu uniejowskiego z r. 1326, i synod kaliski Mikołaja Trąby. Biskup Jakub Kurdwanowski, który rządził dyecezyą od r. 1398—1423, wydał pierwszy w tym przedmiocie statut dyecezalny. Szczególnie ważne były te przepisy dyecezalne, gdyż jak wiadomo i szlachta nosiła narodową tonsurę, jak o tem wyraźnie mówi Długosz (I. str. 269). Ciekawą jest rzeczą, co wspomina autor na str. 9, że za czasów Jagiełły duchowieństwo nosiło wieńce na głowie miasto przepisanej tonsury kleryckiej. Co do brody, to zakazywano tylko by nie była długa.

§. 2. Suknia klerycka. Jak na Zachodzie tak i w Polsce nosił kler parafialny suknie na wzór ludzi świeckich. W r. 1420 na synodzie kaliskim występują już biskupi przeciw przepychowi w ubraniu księży,

sprzecznemu z przepisami Kościoła. Inne dyecezalne synody poszły za tym przykładem. I tak: zakazano duchowieństwu nosić szerokich rękawów na wzór habitów zakonów żebrzących, szczególnie w dyecezyi płockiej i krakowskiej. Zakazano także nosić suknie różnokolorowe czyli szachowane i tak zwane kaszanijcze, w dyecezyi kaliskiej.

§. 3. Zakaz noszenia broni. Do takich broni należą: pociski (katapulty) i łuki *(baliste, arcus)*. Włocławskie statuta dodają nadto: miecze, kordelasy i włócznie, *gladia, cultella magna, cuspides*. Pierwsze zakazy pochodzą z lat 1323 i 1331.

Rozdział II.: Zajęcia i zabawy niedozwolone: *per omnia laicorum moribus et habitibus se conformant clerici.* (Bisk. włocławski Jan Pella). W szczególności zaś: §. 1. Chodzenie do karczem i utrzymywanie ich. Zwłaszcza zakazuje się duchownym trudnić się obsługą gości w gospodach. Co do opisu, zamieszczonego na str. 23, musimy zrobić zastrzeżenie, które się nietylko tego jednego ustępu tyczy. Jeżeli bowiem biskupi na synodach dyecezalnych, a tem bardziej na prowincyonalnych, wydają zakazy, lub też pewne czynności duchowieństwa karami obkładają, nie można stąd na pewno wnosić, że złe, które takie zakazy lub groźby wywołało, głębokie już zapuściło w duchowieństwie korzenie. Dające się słyszeć na takich zebraniach skargi, nietyle przedstawiają ogólne rozszerzenie się złego, jak raczej jego nadzwyczajną szkodliwość, i zupełną niezgodność pewnych postępków z tak zacnym i wzniosłym stanem, jakim jest duchowny. Nie można zatem utworzyć sobie prawdziwego obrazu życia duchowieństwa z tych walk i uchwał wymierzonych przeciw upadkom i słabościom ludzkim. Mówimy zaś to nie dlatego, jakobyśmy chcieli szanownemu autorowi coś nowego powiedzieć, ale przeto, że gdybyśmy tego zastrzeżenia nie uczynili, czytelnik spotkawszy taki np. ustęp, jak zaczynający się od słów: Jedna tylko (str. 23), prawie mimowoli musiałby się na całą rzecz z fałszywego historycznie stanowiska zapatrywać.

§. 2. Gry hazardowne (w kostki i gałki lub nawet w szachy). — §. 3. Tańce i śpiewy, szczególnie w czasie uczt prymicyjnych neoprezbiterów w dyecezyach kujawskiej i poznańskiej. — §. 4. Udział w widowiskach scenicznych, zwłaszcza w XIII. w., i przy okolicznościowych przedstawieniach wędrownych szkolarzów-artystów.

Rozdział III.: Stosunek duchownych do niewiast, i konkubinat. §. 1. Przebywanie kobiet w domach księży. Legat papieski Filip w roku 1279 surowo zakazał, by się żadna niewiasta na plebanii nie znajdowała, ale ten surowy zakaz został potem cokolwiek złagodzony.—

§. 2. Prawne skutki konkubinatu. Zasługuje szczególnie na uwagę artykuł V. statutów włocławskich. — §. 3. Wolność testowania i zapisy konkubinaryuszów. Chodziło przedewszystkiem o to, aby konkubinom i ich dzieciom nie zapisywano czegośkolwiek z dóbr kościelnych.

Nawiasem zauważyć musimy, że wyjaśnienia dane na str. 1-szej nie są dosyć wyczerpujące. Jezuici na uniwersytecie Gregoryańskim jak i w papieskiem liceum wykładają tak dobrze *Institutiones* jak i *Decretalia*. Dzieło np. Sanguineti'ego S. J.: *Juris ecclesiastici institutiones*, jest w ciągłem użyciu. We Włoszech rozpowszechniona jest bardzo książka Vecchiotti'ego *Institutiones canonicae*, która w r. 1876 wyszła w szesnastem wydaniu.

Ks. Augustyn Arndt.

Koniec Morstina. Studyum historyczne z czasów Jana Sobieskiego. *Ernest Deiches*. Kraków 1894. (Str. 131).

Morsztyn ma jakieś szczególne szczęście u naszych pisarzy. Równocześnie prawie ukazały się o nim dwie monografie: jedna literacka, druga historyczna. Co prawda, miał on to szczęście już dawniej, bo o żadnym poecie XVII. w. tyle u nas nie napisano, co o nim właśnie. Praca, której tytuł wypisaliśmy, ukazywała się poprzednio w dwutygodniku *Świat*, a jest pióra młodego lecz ruchliwego i płodnego pisarza. Należy się wdzięczność autorowi, że dał nam nowy przyczynek do dziejów Jana III., dotąd tak mało zbadanych, mimo dość licznego już zasobu nowo ogłoszonych źródeł. Niepocieszająca to jednak wcale karta naszej historyi, jeden to ze smutnych epizodów naszych dziejów, wykazujący przekupstwo i zdradę na wielką skalę, przyczynek do dziejów anarchii szlacheckiej. Poddany spiskujący z obcem mocarstwem na szkodę własnej ojczyzny, mimo że oburza na siebie cały naród, uchodzi kary. Autor kreśli najpierw wizerunek duchowy swego bohatera, a nadto działalność jego za rządów dwóch ostatnich Wazów, od czasu jego pobytu w Paryżu, w poselstwie po Maryę Ludwikę, aż do r. 1681. Przedstawia go jako człowieka wielkich zdolności dyplomatycznych, wykwintnego salonowca, u którego jednak główną namiętnością są pieniądze, i dla nich gotów wszystko co najświętsze nawet poświęcić. Rozdział ten nie jest jednak dość przejrzysty, a kreślenie charakteru Morsztyna daje autorowi pole do rozwinięcia w całej pełni swego oryginalnego, z bombastem często graniczącego stylu. Powódź słów i szumnych frazesów, określeń często dziwacznych i wyklucza-

jących się wzajemnie, tem więcej musi zacierać i tak już w niewyraźnych konturach skreślony obraz podskarbiego (np. str. 23, cała 21 i 22).

Dalej przedstawia nam autor podskarbiego w poselstwie do Paryża w sprawie ligi książąt chrześcijańskich przeciw Turcyi. Król Jan III., z początku tak ściśle złączony z Ludwikiem XIV., doznał od niego zawodu. Nie mogąc po pokojach w Nimwedze i St. Germain myśleć o wykonaniu swych planów względem Prus Książęcych, powrócił do myśli, która na czas pewien doznała zawieszenia — do myśli odzyskania Kamieńca. Z książki p. Deichesa zdawaćby się mogło, że cały naród bolał bardzo z powodu utraty Kamieńca (str. 26). Można jednak o tem powątpiewać, bo już przed żórawińskim pokojem odzywały się bardzo nawet poważne głosy, aby go zostawić Turcyi, byle tylko zyskać pokój, a przecież wtedy strata tej ważnej twierdzy była świeższą. Chyba sam król i najbliżsi mu boleli tylko nad jego utratą, bo rozumieli dobrze jego strategiczne znaczenie. Turcya obecnie gotowała się do nowej wyprawy, w Węgrzech wrzały zaburzenia, a nie wiadomem było, dokąd sułtan zwróci wielkie swe wojska. Mogła się wojny obawiać Polska, bo pokój żórawiński nie był jeszcze ratyfikowany. Jan III. podjął za namową papieża myśl ligi, co już zaraz po zawarciu pokoju w Żórawnie Innocentemu IX. obiecał.

Poselstwo do Wersalu powierzono W. podskarbiemu. Nie wywiązał się on z polecenia dobrze, owszem działał ze złą wiarą, odmawiał i tak nieskłonnego do ligi Ludwika XIV. od przystąpienia do niej; szukał natomiast swego interesu, nabył wielkie dobra i tytuł królewskiego sekretarza. Wróciwszy do kraju, stanął na czele przeciwników ligi, i doprowadził nareszcie do tego, że zerwany został sejm r. 1681; innego bowiem sposobu przeszkodzenia habsburskiej polityce dworu polskiego nie było.

Zarzuca autor Janowi III. miękkość i niestałość wyjątkową w ciągu sejmu. Cóż jednak mógł zrobić król, gdy sejm zerwano? Prawda, że król był politykiem miękkim, ale przecież wobec *liberum veto* był bezsilny. Co zaś do drugiej sprawy, tj. zamążpójścia Ludwiki Radziwiłłównej, to również liczyć mu się przychodziło z faktem dokonanym. Upieranie się przy swojem zdaniu i prawie, mogło sprowadzić wojnę, konstelacya jednak polityczna nie była teraz taka jak w czasie, gdy kurfirst walczył z Francyą. Tem mniej można było doprowadzać do konfliktu, gdy ważniejsze sprawy odwoływały na południowo-wschodnie kresy. W dalszym ciągu przeprowadza autor zabiegi Morsztyna i niedołężnego markiza de Kitry, posła francuskiego, w ciągu r. 1682,

aby ubezpieczyć się na sejm następny, który zbierał się pod wrażeniem niebezpieczeństwa od Turcyi, a wśród coraz to usilniejszych zabiegów cesarza o sojusz z Sobieskim. Król od dłuższego już czasu zwracał czujne oko na knowania Morsztyna. Przy pomocy Gratty, pocztmistrza gdańskiego, a nieraz i umyślnie nasadzonych ludzi, przejmował jego z Wersalem korespondencyę, z czego zamierzał korzystać w celu wystąpienia z oskarżeniem przed sejmem, żeby tym sposobem osłabić stronnictwo francuskie. Ludwik XIV. robił wszelkie wysiłki, byle tylko odciągnąć Polskę od Austryi, proponował Janowi nawet rolę rozjemcy, która mu się raz już dawniej uśmiechała (przed zawarciem pokoju w Nimwedze), ale na szczęście wszystkie zabiegi rozbijały się o stałość królewską. Sejm także stanął, mimo licznych stronników Francyi, po stronie króla a przeciw podskarbiemu. Sprawa cyfrowanych listów i wrzekomo spalonego do nich klucza, przyszła, po scenie na pokojach królewskich w zamku krakowskim i klasztorze Franciszkanów, przed sejm i kończy się zasądzeniem Morsztyna. Zręczność Sobieskiego dobrze się tu okazuje, zyskuje sobie szlachtę i tak już uprzedzoną przeciw gospodarce skarbowej Morsztyna, a choć mógł i innych skompromitować, wolał ich oszczędzić, a uderza jedynie tylko na podskarbiego, bo wiedział dobrze, kto jest naczelnikiem francuskiej partyi. Morsztyn musiał się zrzec podskarbiostwa, przyrzec że nie zerwie sejmu, dostarczyć żołnierza na obronę Rzeczypospolitej, zwrócić zastawione klejnoty koronne i dostarczyć klucza do cyfry w przeciągu ośmiu tygodni. Smutne to były czasy, gdy w ten sposób musiano sobie wypraszać całość sejmu i wolność obrad. Król osiągnął czego pragnął, liga z cesarzem przyszła do skutku. Morsztyn przeniósł się do swych dóbr we Francyi, zmienił rodowe nazwisko, i tu umarł w zapomnieniu od wszystkich, a niebawem wyginął i ród jego, bo i syn jego, hr. Chateauvilain, poległ w dwa lata po śmierci ojca przy oblężeniu Namur.

Taka jest treść pracy p. Deichesa. Starał się on zebrać skrzętnie wszelkie dotyczące źródła drukowane, a nie poprzestając na nich, sięgnął do źródeł archiwalnych. Pracy jednak można zrobić kilka zarzutów. Pierwsza rzecz, to sam tytuł książki. Mimo że używa formy niezwykłej Morstin, ani słowem nigdzie nie uzasadnia, dlaczego zrywa z tradycyjnym sposobem pisania. Racyonalniej byłoby pozostać przy dawniejszej pisowni, co czyni p. Porębowicz, autor drugiej pracy o Morsztynie, wyszłej w tym roku. Na podobnej zasadzie trzebaby pisać np. Spytek z Melstina i t. p. Stale także używa autor Marienburg zamiast Malborg; nie dobrze zrozumiał wyraz dowcip (str. 16), bierze

go bowiem w znaczeniu dzisiejszem. Na str. 46 źle odczytane *campus*, zamiast *tempus;* w kilku miejscach zamiast Marya Kazimiera, czytamy Marya Ludwika. Ważniejszą jednak wadą książki jest jej styl. Żeby choć kilka dać tu próbek: „znalazł klucz do otwierania zagadek marszałkowskiej chimery“ (str. 7), „przeraźliwie zawiódł oczekiwania“ (49). Jużto bądź co bądź poważny podskarbi wyprawia „akrobatyczne figle“ (8), jużto znowu dostaje mu się epitet „spowiednika, który czasem wychyla się z za kratek swego konfesyonału“ (49). Epitetu spowiednika bardzo lubi p. Deiches używać, ale zawsze nietrafnie, np. biskup Załuski jest spowiednikiem — myślałby ktoś że króla lub królowej, a tymczasem dowiaduje się, że gabinetowych intryg (113). Ze wzrokiem Morsztyna też coś było źle, bo „w najczarniejszym pryzmacie widzi jasne plamy i idzie za ich połyskiem“, a mimo że dość rozsądny, „nie pomny, że to tylko plamy“ (50). Jużto baje autor o jakiejś cywilizacyi chrześcijańskiej nie spekulatywnej, lecz cywilizacyi odrodzenia (109). Z ostatnich zaś dwóch stron chyba nic zrozumieć nie można; kończy się zaś wszystko szczęśliwie wzmianką o Baltazarowem ternie, choć przecież Polska w loteryę nie grała.

Pomylił się autor, doliczając do wakansów, rozdawanych przez króla, marszałkostwo sejmowe, a przynajmniej niejasno się wyraził (63). Co do Paca, to nie był on aż do końca życia stronnikiem Austryi (52). Za rządów króla Michała stał rzeczywiście przy dworze, a w partyi przeciwnej W. hetmanowi Sobieskiemu. Motywem Paca była zawsze nienawiść ku Sobieskiemu, to też gdy tenże został królem, stał po stronie Austryi. Później jednak stronnictwo Austryi nie miało celu; że zaś ostrze polityki Sobieskiego zwracało się przeciw elektorowi, więc i wojewoda wileński przeszedł od r. 1676, jak świadczą o tem jego listy, do tego obozu. Ta sama *causa movens* byłaby mogła zrobić z niego, gdyby był pożył do r. 1683, na przekor Sobieskiemu, stronnika francuskiego.

Na końcowych kilkunastu stronach pomieścił autor niektóre listy z archiwalnych swych studyów.

*

Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezyi polskiej. *Edward Porębowicz.* Kraków. Nakładem Akademii umiejętności. 1893. (Str. 95).

O Morsztynie, nie licząc ostatniej pracy p. Deichesa, pisano u nas wiele; zajmowali się tym poetą Małecki, Mecherzyński, Bełcikowski, Świderski i inni. Z tych, pierwszy tylko przeczuł blizkie po-

krewieństwo po lutni naszego poety z kawalerem Giambattistą Marinem; inni w hipotezach swoich daleko odbiegali od rzeczywistości, szukając wzorów dla Morsztyna w starożytnej, klasycznej wyłącznie literaturze lub, co więcej, chcieli zeń, jak Bełcikowski, zrobić oryginalnego i swojskiego poetę. Pan Porębowicz znalazł w Bibliotece Jagiellońskiej oprawną w pargamin książkę, „z wyciśniętą na okładce Leliwą, herbem Morsztynów, czego chyba największy sceptyk nie wyłoży inaczej jak: *Hieronymus Morstin* (stryj poety) *Dapifer Regius*“... „Stąd do odkryć“ nie było już daleko. Porównał więc pan P. poezye Morsztyna z utworami G. Marina, tudzież innych poetów epoki zwanej w literaturze włoskiej *seicentismo,* i przedstawił nam Andrzeja Morsztyna w całkiem innem, niż w tem w jakiem dotychczas bywał ten poeta widywany, świetle. Ponieważ nazwa seicentysty chociażby wystarczała, brzmiałaby jednak zbyt obco, „by się przyjęła w naszej terminologii“, proponuje pan P. nazwać Morsztyna „poetą barokowym“, tem bardziej, że nazwa ta, zdaniem autora, stosowna jest do charakteru stylu, „odpowiadającego w zasadniczych punktach stylowi spółrzędnych tworów artystycznych: architektury, rzeźby i malarstwa“. Zestawienie utworów Morsztyna z obcemi wzorami tak staranne, jakie chyba niełatwo da się napotkać u najsumienniejszych badaczy literatury, daje rękojmię, iż zdanie pana P. nie zachwieje się już nigdy, a wykazanie wpływu łacińskich poetów na Morsztyna dorównywa zestawieniu poezyj Morsztyna z poezyami włoskiemi. Ostatni rozdział tej pracy, zatytułowany „Rozbiór psychologiczny“, przypomina nam, iż Morsztyn, jak w polityce był samolubem, tak w poezyi sztucznemi tylko ogniami płonął, nie ulegając, zdaje się, nigdy głębszym i żywszym uczuciom.

L. M Dziama.

Bańki mydlane. Wykład początkowy o zjawiskach włoskowatości. *C. V. Boys.* Przełożył z upoważnienia autora *Wiktor Biernacki.* Z licznemi drzeworytami w tekście i jedną tablicą litografowaną. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1894.

Dobra i bardzo zajmująca książeczka. Z samego tytułu: „Bańki mydlane“, możnaby wnosić, że jest to jakieś liche, powierzchowne, pogmatwane opowiadanie dla dzieci początków fizyki. Tymczasem tak nie jest. Mamy tu wprawdzie popularność, ale popularność w dobrem i właściwem tego słowa znaczeniu, która nie zasadza się na płytkości i powierzchowności, tylko na jasności i przystępności wykładu, opanowaniu, i w zakreślonych granicach dokładnem wyczerpaniu przed-

miotu. Ciekawe zjawiska włoskowatości, i wszystko co się z niemi bezpośrednio łączy lub z czem same są przyczynowo związane, uwzględnione są w całej niemal rozciągłości; więc: napięcie powierzchniowe cieczy w najrozmaitszych swoich objawach, powstawanie i drganie kropel i strug płynnych, najrozmaitsze doświadczenia z bańkami mydlanemi — wszystko to przeprowadzone jest swobodnie, wszechstronnie. Podane są różne zastosowania praktyczne, zachowanie się tych zjawisk pod wpływem elektryczności, magnetyzmu, drgań akustycznych. Nadto wszędzie przebija się zajęcie i zapał młodzieńczy, które mimowoli jakby przez suggestyę jaką udzielają się czytelnikowi. Komu popularności niedostaje, a z obowiązku mieć ją powinien, może się jej pod wielu względami z tej książeczki nauczyć. Dlatego mogą to dziełko czytać z zajęciem i korzyścią nietylko młodsi czytelnicy, co fizyki wcale nie lub bardzo mało umieją, ale i nauczyciele fizyki, ci zwłaszcza, co może za często wolą wykładać uczenie czyli odstraszać, niż popularnie czyli do nauki pociągać.

Tłumaczowi, który oryginał nie tak przełożył jak raczej częściowo według wskazówek autora przerobił, na jedno przynajmniej możnaby zwrócić uwagę: że za często bo prawie zawsze używa po „jeżeli“ trybu bezokolicznego, co w tej książeczce zdarza się czasem i kilka razy na jednej stronicy.

J. N.

Flora Litwy w Panu Tadeuszu. *Kazimierz Łapczyński.* Kraków. Gebethner i Spółka. 1894. (W 8-ce, str. 86).

Flora Litwy, nie wliczając w nią roślin skrytokwiatowych, przedstawia się w eposie Mickiewicza wcale pokaźnie, obejmuje bowiem 89 gatunków. Porządek, albo raczej nieporządek, jakiego autor trzyma się w przeprowadzeniu rzeczy, jest następujący. Cała flora rozdzielona jest na dwa wielkie działy: a) rośliny kwiatowe dziko na Litwie rosnące, i b) hodowane. Rośliny każdego działu uszykował pan Ł , jak się sam wyraża, chronologicznie, tj. roślina która pierwej w „Panu Tadeuszu“ występuje, zajmuje też u autora wyższe miejsce; po pierwszem jednak spotkaniu się z każdą rośliną dołącza zaraz autor i inne miejsca poematu, podaje nazwy botaniczne łacińskie, polskie, nadto zazwyczaj rozmieszczenie geograficzne.

Nieporządek ten, jakkolwiek logicznie przeprowadzony, może nie wszystkim podobać się będzie. Jeśli chodziło o podanie flory, to najlepiej było trzymać się t. zw. systemu naturalnego; jeśli zaś ze względ-

dów i celów praktycznych miał być już wprowadzony inny porządek, to może najbardziej jeszcze nadawałby się do tego rodzaju rzeczy alfabet. Częściowo naprawił to autor przez dodanie na końcu książeczki dwu spisów: alfabetycznego nazw Mickiewiczowskich, i łacińskiego systematycznie ułożonego. Autor stara się zawsze wykazać dokładnie, jaką roślinę Mickiewicz przez swoją nazwę rozumiał — trzeba przyznać, że mu się to prawie zawsze udaje. Za taką udaną rzecz np. uważam i to, że „fiołek" Zosi nie jest fiołkiem wonnym właściwym *(Viola odorata)*, ale pachnącym lakiem ogrodowym *(Cheiranthus cheiri)*; nie wiem natomiast, czy wszyscy się zgodzą na to, że „macierzanka" w domowej apteczce Wojszczanki nie była tymiankiem *(Thymus Serpyllum)*, jeno lebiodką *(Origanum vulgare)*.

J. N.

Dola Marusi. Piśnia *M. Czajki*. W Krakowie. W drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Spółki. 1893. (W 4-ce, str. 26).

Niezbyt dawno jeszcze słychać było po polskich domach często śpiewane ruskie pieśni i dumki; nie potrzeba dodawać, że taki śpiew korzystnie pod niejednym względem wpływał na nasze społeczeństwo w jego stosunkach z ruskim narodem. Zawdzięczamy te dobre skutki w znacznej części pisarzom, którzy obierali do swoich piosnek treść, zdolną zająć zarówno Rusinów jak Polaków, i wydawali te utwory czcionkami łacińskiemi, co ułatwiało im dostęp do rąk czytelników nieobeznanych z grażdanką.

Kiedy od niejakiego czasu coraz rzadziej słyszymy ruską piosnkę z ust polskich, witamy tem chętniej „Dolę Marusi", której nie spotka zarzut, że czy treścią, czy innym jakim powodem utrudnia sobie wstęp do polskiego domu. Treść, zaczerpnięta ze zwykłych kolei sierocego życia, płynie gładkim wierszem, potrąca o struny łagodnego smutku i nosi na sobie stepową barwę dumki kozackiej. Czy dola Marusi nie ma przedstawiać kolei, przebywanych przez cały naród ruski? Mimowolnie przychodzi na myśl podobieństwo jakieś pomiędzy Marusią, na opiece starszej siostry swojej, a Rusią, złączoną z dzielnicami rzeczypospolitej polskiej; Marusia odchodzi potem od siostry, i „dobro jej minęło, zakpiła z niej dola"; potem wychowuje synka *swoho sołowejka* na chlubę Ukrainy, a po jego śmierci znajduje jaskółkę... Tu także możnaby odgadywać Szewczenkę i któregoś z jego następców. Ale nawet i bez tej alegoryi utwór M. Czajki zasługuje na chlubną wzmiankę. Szczególnie ustęp pod liczbą VIII. udatnie podchwytuje jęki ukraińskiej

tęsknoty i naśladuje tok i zwroty skargi ludowej. Dla tych zalet zasłużyła sobie ta *Pieśnia* z Białocerkwi na strojną szatę, w jakiej wyszła w Krakowie. Szkoda tylko, że kilka błędów druku wybrało sobie miejsce tam, gdzie rażą najjaskrawiej, bo zmieniają iloczas, a przez to psują budowę wiersza.

Ks. K. C.

Sto rozmyślań o Przenajświętszym Sakramencie na tle Pisma św. Kraków. W drukarni „Czasu". 1894.

Z bogatej spuścizny filozoficznej francuskiego myśliciela, Ojca Gratry, najbardziej pociągającą przejrzystą głębokością i przystępną praktycznością zda nam się być drobna książeczka, pełna złotych wskazówek dwojakiego życia, wewnętrznego i zewnętrznego, zatytułowana znacząco: *Les Sources*. Autor zaprasza młodzieńca do czerpania w źródłach, z których jedynie wypływa moc i mądrość i zwycięstwo. A zaraz na wstępie, rozwodząc się nad koniecznością dobrego i ścisłego dnia rozkładu, osobny rozdział poświęca rozmyślaniu codziennemu, zalecając uczniowi, aby w danym razie medytacyę z piórem w ręku odprawiał, i rozmowę swą z duszą własną i Bogiem ustalał w piśmiennej formie. *Méditez en écrivant,* powtarza wielokrotnie ks. Gratry, żądny nadać pozytywny kierunek duszy przyjmującej jego przewodnictwo. Owo zalecenie francuskiego filozofa stanęło nam żywo w pamięci, gdyśmy otrzymali i otworzyli drobną książeczkę, której tytuł wypisujemy powyżej. Nie jest to rzecz układana do druku, lecz raczej owoc osobistych rozmyślań, echo pobożnych wrażeń, żniwo zebrane przez długi dzień pracy i upalenia, odgłos wewnętrznego życia i zewnętrznych dźwigni, których Bóg nie skąpi duszy wiernie nasłuchującej głosu Jego... *Symphonialis est anima,* mawiała pewna wielka Święta z średnich wieków. A określenie to przypomniało nam się za pierwszem otworzeniem niniejszej książeczki. Wdzięcznym bo i dźwięcznym instrumentem jest dusza ludzka, byle nie przeszkadzała samemu Bogu grać na strunach swoich... Stwierdza tę prawdę mistrz doskonałości chrześcijańskiej, natchniony autor ksiąg o Naśladowaniu Chrystusa Pana, gdy się odzywa do dusznego Oblubieńca: *Si das pacem, si gaudium sanctum infundis, erit anima servi tui plena modulatione.*

Owe to modulacye wewnętrznych harmonij zdało nam się odnajdywać w stu rozmyślaniach, pobożną ręką nam dziś podawanych. Maleńka książeczka, króciuchne medytacye, a jakże treści wiele, ile podniet do rozwijania dalej i dłużej rzuconych tu myśli, zdań, wskazówek!

do rozpamiętywania każdego słowa i zapalania się uczuciem ogrzewającem te karty. Jak tytuł sam opiewa, rozmyślania te zwracają się wszystkie do Najdroższego Utajonego. I słuszna, bo życie wewnętrzne ostać się i oprzeć jedynie może o tę Najświętszą Tajemnicę. Wystygły świat zaczyna to rozumieć, powiał nad nim prąd ożywczy rozbudzonego nabożeństwa do Sakramentu Ołtarza. Powstają zgromadzenia i stowarzyszenia ku czci odbieżanego, opuszczonego i osamotnionego Jezusa, mnożą się wydawnictwa sławiące ów cud miłości, wznawia się praktyka częstej, bodaj codziennej Komunii. Francya, która jansenizmem spłoszyła dusz wiele od zasiadania do Stołu Pańskiego, przoduje dziś w wynagrodzeniu za dawne błędy, i daje pochop ruchowi eucharystycznemu, ogarniającemu dziś i inne kraje. Wspaniałość dzieł i kongresów eucharystycznych, tego ostatniego mianowicie, który się odbył w Jerozolimie, nie dość jest u nas ocenianą i znaną. Ale skądinąd, nigdy w Polsce nie doszło do zobojętnienia innych narodów dla najświętszych Tajemnic. A wystarczy znaleść się w wiejskim kościołku w czasie Podniesienia, gdy jęk nieopisany przebiega tłum prostaczków, witających schodzącego na ołtarz Pana Zastępów, lub np. ujrzeć na rynkach miejskich lud rozklęczony przed jadącym do chorego z Panem Jezusem kapłanem, aby ocenić jak dalece zachowało się w duszach polskich nabożeństwo do Najświętszego Sakramentu. Tylko, niestety, wierniejsze w tem pozostały serca maluczkich, aniżeli wyższe warstwy społeczne. Tych tedy zwrócić do stóp ołtarzy, tych przyciągnąć do uczestniczenia w świętych Tajemnicach, tych rozpalić miłością, której iskry zaledwie tleją pod popiołem bezbożnych i studzących naleciałości, jest zadaniem książeczek w rodzaju niniejszej. I to nas jeszcze ku niej niewoli, iż oparta na tle Pisma św., snuje z tego lub owego słowa ksiąg Zakonu wątek do medytacyi, a wraz próbuje zwrócić czytelników do tej odwiecznej, jedynej Krynicy mądrości i miłości, z której dzisiejsi ludzie za mało piją. Rozczytywanie się w Piśmie św. powinnoby stać się codziennym zwyczajem i potrzebą duszy chrześcijańskiej, kiedy tymczasem nawet pobożniejsi z pośród nas najrzadziej się nad tem pochylają źródłem. Niniejsza książeczka wskazuje wymownie, co za skarby od razu wydobyć się dają z onej skarbnicy prawdy, miłości i mocy.

A teraz, czy z obowiązku recenzenta mamy wskazać i przytoczyć co nam się lepszem, ważniejszem i doskonalszem wydało w tej przedziwnej książeczce? Chyba to niepodobna, bo medytacya, nawet czytana, zależy od stanu usposobienia duszy, jest raczej odpowiedzią na

to co sami czujemy, i zmienia doniosłość wedle miary zbudzonego w czytelniku echa. Na chybił-trafił wspomnijmy rozmyślanie na słowa, iż „nie masz niedostatku bojącym się Jego“ (R. 26), z pięknem określeniem czem jest bojaźń Boża, obawa Jego obrazy, Jego krzywdy, a więc raczej bojaźń o Niego, niż o nas; dalej medytacya o Przemienieniu Pańskiem (R. 51), gdzie czytamy, iż „Natura jak rozhukana woda bierze nas ciągle z sobą, lecz gdy grunt duszy ma kierunek ku Bogu, niełatwo przepadniemy, bo nas doleci wołanie Boże, bo zrozumiemy Jego wolę, a na niezrozumieniu ciągle się rozbijamy“. Albo jeszcze śliczne, pełne głębokości rozważanie słów Apostoła, że „nie jesteśmy swoi, ale kupieni zapłatą wielką“ (R. 89).

Na chybił-trafił wypisujemy ustępy, które nas bardziej chwyciły za serce i zachwyciły, może w chwili osobistej dusznej potrzeby i skutkiem osobnego usposobienia. Kończymy życzeniem, aby ten drobny podręcznik rozgorzałej pobożności trafił do wszystkich domów chrześcijańskich i przyniósł pomoc skuteczną wszystkim duszom łaknącym skupienia i myślnej z Bogiem rozmowy. A korzyść stąd osiągnięta, niechże się wróci błogosławieństwem ku tej duszy, która pisząc rozmyślała i rozmyślając układała niniejszą książeczkę, dla chwały bożej i pożytku bliźnich.

M.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Lehrbuch des katholischen, orientalischen und protestantischen Kirchenrechts mit besonderer Rücksicht auf Deutschland, Oesterreich und die Schweiz. *Dr. Friedrich H. Vering.* 3. Auflage. 1893. (1031 S.).

Rzadko się zdarza, żeby jaka książka wychodziła pod korzystniejszemi warunkami, jak pierwsze wydanie tego dziełka w r. 1876, tak dalece dawała się czuć powszechnie wówczas potrzeba gruntownego podręcznika prawa kościelnego, podręcznika, któryby się liczył tak z dekretami soboru watykańskiego, jakoteż i z nowemi prawami państwowemi. Głęboko i szeroko przedmiot swój ogarniająca nauka d-ra Vering'a, jego szczery i prawy katolicyzm, ożywił jego pracę najlepszym duchem. Z tej też przyczyny książka ta została przyjęta przez katolików ze szczerem uznaniem i podzięką; ze strony zaś przeciwników Kościoła św. — gwałtownemi napaściami. Drugie wydanie autor

znacznie powiększył, gdyż dodał prawo kościelne wschodnie i protestanckie, jakoteż procedurę kanoniczną sporną i karną. Obecnie trzecie wydanie szanowny autor opracował jeszcze gruntowniej, o wiele ulepszył i wielostronnie powiększył; mianowicie praktycznie obrobił wiele ważnych spraw, zwłaszcza przez wciągnięcie nowych rzymskich decyzyj i postanowień w kwestyi prawa państwowo-kościelnego. Szczególnie jest uznania godnem, że autor wyłożył stosunki państwowo-kościelne wielu krajów. Niema bowiem ani jednego dzieła historyi kościelnej, w któremby wykład praw państwowo-kościelnych w różnych krajach nie był zmieszany z różnemi innemi kościelnemi i kościelno-historycznemi kwestyami, gdzieby wogóle prawo samo było traktowane ze stanowiska prawniczo-historycznego i opatrzone źródłowemi objaśnieniami. Jest to, wychodząc nawet z praktycznego stanowiska, rzeczą ważną, aby przy studyowaniu kościelnych rozporządzeń można było zarazem zbadać, o ile one zostały w pojedyńczych państwach zmienione, zmodyfikowane. Wtedy dopiero nauka prawa kościelnego staje się rzetelnie praktyczną.

Gdy tedy nowsi katoliccy kanoniści, jak Walter i Phillipps, opracowali historyczno-filozoficzną stronę prawa kościelnego, a Schulte w swojem kompendyum zbadał przedewszystkiem materyał jurydyczny tegoż prawa, brak jeszcze było dzieła, któreby wykazywało zmiany zaszłe w stosunkach rządów z Kościołem św. (jakoteż i z innemi wyznaniami). Dzieło d-ra Vering'a ten brak zapełniło.

Trzeba przyznać autorowi, że na dany materyał zapatruje się zawsze bezstronnie, katolickie bowiem prawo ocenia z katolickiego stanowiska, protestanckie z protestanckiego i t. p. Wszystkie zarzuty, jakie sami protestanci temu dziełu uczynić mogli, ograniczają się do mało znaczących drobnostek; a nawet zastanawiając się nad temi zarzutami, często pokazuje się oczywiście, że nie antagoniści d-ra Vering'a, ale on ma słuszność. Jako dopełnienie tego dzieła o prawie kościelnem służyć może przez tegoż autora już od kilkudziesięciu lat redagowane czasopismo *Archiv für Kirchenrecht* (Moguncya, u Kirchheim'a), do którego w wielu miejscach autor się odwołuje.

Po tych ogólnych uwagach przystępujemy do ocenienia głębokiej a bogatej treści tego dzieła.

We wstępie autor w dziesięciu paragrafach zajmuje się pojęciem, podziałem i charakterystyką prawa kościelnego, i daje przegląd całego piśmiennictwa o niem.

Księga I. zawiera: Źródła i zewnętrzną historyę prawa kościelnego (art. 11 do 64).

Księga II. Urządzenie Kościoła (art. 65 do 178).

Księga III. Juryzdykcya kościelna (art. 179 do 203).

Księga IV. Prawo własności Kościoła (art. 204 do 218).

Księga V. Prawo kościelne odrębnych i kościelnych stowarzyszeń (art. 219 do 273).

W części historycznej, system cesarza Józefa II. co do *jura circa sacra*, jest poddany szczegółowej a jasnej i gruntownej krytyce. „Józef II. postępował względem władzy duchownej zupełnie tak samo jak protestanccy książęta, miał jednak co prawda głęboką i niczem niezachwianą wiarę w swoją słuszność. Nie chcąc przyznać papieżom najwyższej kościelnej juryzdykcyi, poddał, sam nawet o tem nie wiedząc, cały ustrój Kościoła państwu. Naukę wiary św. i modlitwę, publiczne nabożeństwo, kazalnicę i pogrzeb chrześcijański, wychowanie i kształcenie duchowieństwa, tworzenie i rozdawnictwo kościelnych urzędów, zakony, przepisy i juryzdykcyę, w czysto nawet kościelnych sprawach, jak np. w sprawach małżeńskich, a tem bardziej prawo posiadania — poddał, wbrew nauce Kościoła katolickiego, państwowemu kierownictwu i rządom, jak gdyby to były zwykłe sprawy państwowe“. Te słowa szanownego autora tłumaczą, czemu to jego tak czysto katolickie dzieło nawet w Austryi znalazło wielu nieprzyjaciół.

O naszym konkordacie mówi (str. 121) w ten sposób: „Konkordat nie zapewnił Kościołowi w Austryi żadnej samodzielności, jakiej Kościół, na mocy konstytucyjnego urządzenia państwa, mógł się był spodziewać. Wprawdzie konkordat przyznał zasadę kościelnej swobody i samorządu (art. 1), zapewnił cywilną ważność katolickiemu prawu małżeńskiemu, jakoteż kościelnej małżeńskiej juryzdykcyi, zapewnił dla katolickiej młodzieży szkoły w katolickim duchu prowadzone i pod kościelną opieką zostające (art. 5 do 8): ale złączył to wszystko z dawniejszemi państwowo-kościelnemi urządzeniami, pozostawił nietknięty w wielu kierunkach dawniej wykonywany wpływ i działanie państwa nawet w czysto kościelnej dziedzinie, nadawszy tylko tym przestarzałym zapatrywaniom nowy kościelny tytuł prawny“.

O prawie z 7 maja 1874 r. mówi (str. 137): „Zasada, z której ono wychodzi, nie może się pogodzić z powagą Kościoła, ponieważ jest to wyłączne, absolutne samodzierstwo państwa“.

Doskonały też jest pogląd autora na pruskie prawa majowe i na *kulturkampf* w Niemczech, *respective* w Prusach. „Konkordaty są to —

słusznie mówi autor — obustronne kontrakty". Autor mógł był nie bez słuszności powołać się na powagę Leona XIII., który toż samo twierdzi. (List do francuskich biskupów i wiernych).

Druga księga zajmuje się w trzech głównych poddziałach organizacyą Kościoła, stanem duchownym i urzędami kościelnemi w ogólności, a organami władzy duchownej w szczególności.

Dowód, że starokatolicy już katolikami nie są, jest dla Prus szczególnie ważny. Bardzo też na uwagę zasługuje wykład o seminaryach kościelnych, o prawach stanu duchownego, o prawie patronatu, wreszcie o kościelnych urzędach w Kościele wschodnim. W trzeciej księdze jest wzór procesu we wszystkich jego fazach, co zasługuje na szczególną uwagę. W czwartej księdze autor z wielką, wszelkiego uznania godną gorliwością dowodzi, że Kościół ma prawo nabywać i posiadać własność. Prawa i przepisy państwowe o amortyzacyi i opodatkowaniu kościelnego majątku są dokładnie przedstawione. Subjektem kościelnego majątku jest każda kościelna instytucya, ale w ten sposób, że on nie jest niezależnym panem tego majątku, tylko zawiadowcą na pewne szczególne kościelne cele przeznaczonej części. Jest to rodzaj *peculium profectitium* całego zbiorowego majątku, tak że właściwym posiadaczem kościelnego dobra jest cały Kościół. Zbijając fałszywą zasadę, że dobra Kościoła są własnością państwa lub gminy, musial autor z powodu niektórych ziem Prus i Niemiec. badać i francuskie prawa. Wielkiej praktyczności są obszerne wyjaśnienia wielu praw krajowych, dotyczących zarządu majątku kościelnego i obowiązku utrzymywania kościelnych zabudowań (str. 786 i nast.). Księga piąta zajmuje się w szczególności prawem małżeńskiem i stosunkami prawnemi zakonów i kongregacyj. Autor nietylko tłumaczy przepisy prawne, kościelne i cywilne, ale nadto daje cenne, praktyczne wskazówki. Tyczy się to także przepisów cmentarnych.

Oby wszyscy studyujący prawo kanoniczne mogli mieć to dzieło w rękach. Lepszego ducha w żadnem innem tego rodzaju dziele nie znajdą; a erudycya i znajomość tej gałęzi piśmiennictwa jest u autora rzeczywiście zadziwiająca. Styl jest i tak nadzwyczaj jasny, ale jeszcze jaśniejszą staje się rzecz przez zmiany druku, tj. większemi lub mniejszemi czcionkami, odpowiednio do ważności treści.

Jeżeli na zakończenie zwracamy uwagę na niektóre drobne usterki, to nie czynimy tego bynajmniej aby krytykować to mistrzowskie dzieło, ale jedynie aby objawić nasze pragnienia, których spełnienie byłoby, sądzimy, nie bez pożytku dla przyszłego wydania tak szacownego

dzieła. Przedewszystkiem zdaje nam się, że O. Nilles T. J. (w *Innsbrucker Zeitschrift* z roku 1877, str. 276) słusznie twierdzi, że nie należy odrzucać podziału na prawo publiczne i prywatne. Podzielamy także zapatrywanie ks. Schneemanna T. J. *(Die kirchliche Gewalt und ihre Träger)*, że nie godzi się tak absolutnie odrzucać naturalnej, rozumowo wywiedzionej władzy Kościoła (Fr. Tarquini'ego T. J. *Jus publicum*). Z tą uwagą jest w związku i to, że dr. Vering (art. 9) prawo natury wyklucza tak ze źródeł jak i z umiejętności pomocniczych prawa kościelnego (art. 54). — W art. 80, uwaga 2, możnaby zarzucić, że przywilej skracania Mszy św. i brewiarza był dany jedynie włoskim a nie ruskim Bazylianom. Do art. 227, uwaga 7, można dodać, że jeszcze Urban VIII. d. 14 grudnia 1629 i 21 kwietnia 1632 rozciągnął przywilej *Cap. Tametsi* do wszystkich ruskich probostw (Bened. XIV. *De synodo dioeces.* lib. XII. 5 n. 5 sequ.). Przy art. 238, IX, trzeba zauważyć, że unici-Rusini rachują stopnie pokrewieństwa na sposób łaciński, i dlatego wynikającą stąd przeszkodę małżeńską przyznają tylko do IV. stopnia, podczas gdy unici-Rumuni, wedle świadectwa II. *Con. Togan.* Tit. IV. sect. I. c. 2, utrzymują rzeczywiście rozrywające przeszkody małżeńskie aż do 7 stopnia cywilnej komputacyi. Do art. 239, VI, trzeba także wziąć na uwagę tenże sobór (l. c. art. 16, 17, 18). I jeszcze niektóre inne drobnostki bylibyśmy gotowi przedłożyć autorowi, gdyby chodziło o nowe wydanie tego znakomitego dzieła.

Ks. Augustyn Arndt.

Lehrbuch der Moral-Theologie. *Th. H. Simar*, Bischof von Paderborn. 3. verbesserte Auflage. Freiburg. Herder. 1893. (XV. 446).

Drugie wydanie tego dzieła zbyt dawno ujrzało światło dzienne, gdyż wyszło w r. 1876. Po tak długim przeciągu czasu, trzecie wydanie było tem potrzebniejsze, że drugie zostało wyczerpane. Czcigodny autor obdarzył tą swoją pracą młodzież duchowną nietylko podręcznikiem wystarczającym w pierwszych studyach teologii moralnej, ale który zarazem zachęca i uzdalnia do wyższych studyów.

Z drugiej strony musiał autor mieć na uwadze plan nauk uniwersytetów niemieckich, i dlatego, w dziele przeznaczonem do ich użytku, musiała teologia zawierać wywód powszechnych zasad, na których opierają się obowiązki duszpasterzy. W nowem wydaniu dzieła, wszyscy kościelni pisarze, szczególnie Ojcowie Kościoła, na których powagę autor się powołuje, dosłownie są przytaczani. W dziale kaznodziejskim i katechizmowym toż samo ma miejsce.

Po przedmowie (od 1 do 27 str.) następują dwa główne działy ogólnej a krótszej części dzieła, tj. po 1-sze: Moralność ludzka w danych faktycznie przez Boga warunkach, i po 2-gie: Wolne czyny ludzkie w stosunku do porządku moralnego. Druga, specyalna część dzieła zajmuje się: po 1-sze duchowem życiem chrześcijanina w stosunku do Pana Boga, po 2-gie: w stosunku do samego siebie, po 3-cie: w stosunku do swych bliźnich. — Znajomość autorów ogromna.

Gdybyśmy śmieli na zakończenie objawić nasze dezyderata, to one ograniczałyby się tylko do żalu, iż czcig. autor nie poświęcił oprócz podstawowego wykładu (art. 51 do 54) jeszcze kilku słów *probabilismo moderato*. Uznania godnem jest, że czcig. autor za przykładem danym przez Mare'a O. S. Redempt., nie widzi różnicy między probabilizmem umiarkowanym a *aequi*-probabilizmem, i przez to, nawet umiarkowanemu probabilizmowi daje za patrona św. Alfonsa. Nawiasem zaznaczyć trzeba, że po dekrecie Aleksandra VII. w r. 1665 w całym katolickim Kościele niema już żadnego obrońcy probabilizmu absolutnego.

Dzieło to jest tem bardziej polecenia godne jako podręcznik wyższych studyów, że jest wynikiem długiej nauczycielskiej pracy czcigodnego autora.

Il Papa secondo la teologia e la storia. Catechismo pel *P. Enrico Legnani D. C. D. G.* Trento 1893.

„Nic tak bardzo nie szkodzi nauce Chrystusa, jak nieznanie jej. Dobrze zaś zrozumiana, wystarczy sama przez się by rozwiać ciemności i błędy". Słowa te Ojca św. zachęciły ks. Legnani do napisania tej książeczki, która w 26 naukach katechizmowych tłumaczy podstawową instytucyę Kościoła katolickiego, czyli instytucyę papiestwa. W pierwszych dziesięciu naukach autor rozprowadza i udowadnia te prawdy dotyczące papiestwa, które są dogmatami Kościoła; w następnych sześciu zajmuje się wyłącznie świecką władzą papieża; w czterech dalszych rozjaśnia zarzuty, jakie zazwyczaj podnosi się przeciw papiestwu. Następuje krótki rzut oka na szereg papieży od św. Piotra aż do naszych czasów. Ostatnia wreszcie nauka traktuje o obowiązkach chrześcijanina względem papieża.

Wszystkie nauki odznaczają się wielką jasnością. Autor określa dokładnie, co jest dogmatem, jakie jest znaczenie, jaka rozciągłość każdej prawdy dogmatycznej. Od tych prawd wyróżnia z naciskiem prawdy, które wcale dogmatami nie są, ściśle jednak z niemi się wiążą, a nadto przez nieomylną powagę Kościoła orzeczone zostały. Taką

prawdą między innemi jest, że państwo kościelne jest w obecnym stanie rzeczy dla papiestwa potrzebne. Kwestya ta jest dzisiaj na czasie, a mimo to zdarza się nieraz, że nawet między dobrymi katolikami pojęcia o niej nie są zupełnie jasne. Dlatego też autor zatrzymuje się dłużej przy tej kwestyi i, o ile skromne ramy tego dziełka pozwalają, traktuje ją wyczerpująco. Na zarzuty przeciw papieżowi, a w szczególności przeciw państwu kościelnemu, odpowiada gruntownie, opierając się na rozprowadzonej nieraz dość obszernie prawdzie historycznej.

Z samej treści tego dziełka widać, że nie jest to katechizm dla dzieci lub ludu prostego; wprawdzie forma katechizmu robi je przystępnem i jasnem, rzecz sama jednak traktowana jest głęboko i ściśle teologicznie. Dlatego też zdaje się nam, że śmiało można polecić przetłumaczenie tego dziełka na język polski, tem bardziej, że pojawia się dzisiaj wiele tłumaczeń książek słabszych i mniej pożytecznych.

Jeden tylko zarzut podnieść wypada. Autor dając historyczny obraz rządów papieskich, za mało zwraca uwagę na słabe ich strony i błędy. Prawdą jest, iż żaden szereg panujących nie może się równać z ciągnącym się bez przerwy szeregiem papieży nawet pod względem osobistych zalet; z drugiej jednak strony papieże często błądzili, nawet bywali przewrotnymi, i ta właśnie słabość a ułomność tych narzędzi bożych dodaje dziwnego blasku instytucyi papiestwa. Zdaniem naszem, autor w częściach historycznych za mało to zaznacza, a przecież wielu jest katolików, którzy tej ułomności papieży pojąć nie mogą.

W. L.

Les 52 serviteurs de Dieu, Français, Annamites, Chinois, mis à mort pour la foi en Extrême Orient de 1815 à 1856, par *A. Lannay.*

Gesta Dei per Francos nieprzebrzmiałem dziś jeszcze hasłem. W miejsce wojen krzyżowych i rycerskich wypraw, misye na dalekim Wschodzie, przeważnie we Francyi, wzbudzają nowych Apostołów. Szczycący się tylu zbiorami i muzeami Paryż, posiada jeszcze muzeum w swoim rodzaju jedyne, mało uczęszczane a nad inne ciekawe. W głównym domu misyj zagranicznych przy ulicy du Bac, zebrano mnóstwo przedmiotów ciekawych, obrazów wschodnich, chińskich lub tonkińskich strojów, sprzętów i sprzęcików nieznanych naszej zachodniej cywilizacyi, nareszcie narzędzi mąk zadawanych wyznawcom wiary świętej. A więc miecze katowskie, powrozy, które służyły do pętania lub duszenia męczenników, ciężkie jarzma (kangi) na ich ramiona wtła-

czane, nareszcie kielichy, w których spełniali Najświętszą Ofiarę, zanim własnej dopełnili pod nożem oprawcy.

Rzewne to i niezwykłe zbiory, świadczące wymownie, iż w tym wieku rozpasania, zbytku, pościgu za złotem i wygodą, pychy żywota i egoizmu bez granic, źródło wielkich poświęceń i wielkich miłości nie wyschło, posiew ofiarności nie przestaje bujnem wschodzić żniwem. Skromne to muzeum starego Paryża stanowi jednocześnie rodzaj szkoły misyonarskiej, przedsionka, skąd wychodzą apostołowie i męczennicy utrwalający wiecznie zagrożony byt wysuniętych posterunków wiary na dalekim Wschodzie.

Zbyt mało o nich wiemy, słyszymy, czytamy. Okrom w *Rocznikach rozkrzewiania wiary* i wydawnictwach *Missyj katolickich*, rzadko gdzie spotkać się można z doniesieniem, iż nowy poczet wysłańców Ewangelii odbił od brzegów Europy, i spieszy ku siedzącym w cieniu śmierci i pogaństwa narodom; rzadko kiedy dowiedzieć się przychodzi o losach poszczególnych misyj i misyonarzy. A niewiadomość ta tem więcej jest do pożałowania, im większą korzyść odnieść można ze śledzenia podbojów wiary w onych dalekich krainach. Dla młodzieży mianowicie, kształtującej czytaniem umysł swój, pojęcia i poglądy, niema bodaj lepszej strawy nad one odgłosy szlachetne, krzepiące hartem i wzywające do poświęcenia. Potoczne i powszednie wrażenia nie wystarczają młodym umysłom, łaknącym rzeczy pięknych, podniosłych a nadzwyczajnych. Świeże wyobraźnie posiadają skrzydła, których przycinać niepodobna. Znanem jest upodobanie młodych czytelników w zapiskach podróżnych i odgłosach dalekich wycieczek. Dziś przedewszystkiem onej żądzy nowości i nadzwyczajności dogadzają podróże Verne'a, plątające prawdę z prawdopodobieństwem, podboje wiedzy z przekroczeniem jej granic, wytwarzające w młodych główkach dziwne pomieszanie wyobrażeń, nad któremi żadne czystsze światło ni wyraźniejsza nie świta zasada. O ileż trafniejszem było przed kilkudziesięciu laty karmienie ciekawości dziecięcej echem dalekich misyj! Piszący te słowa zawdzięcza najmilsze chwile i najlepsze w życiu podniety pożyczanym mu z biblioteki OO. Jezuitów w Śremie listom O. de Smet z północnej Ameryki i Gór Skalistych, lub zapiskom misyonarzy w Hindustanie, zatytułowanym: *Missions du Maduré*. Dziecko chce prawdy, a nadzwyczajności pragnie. Chcąc tej dwojakiej dogodzić żądzy i potrzebie, najlepiej nie podniecać fantazyi urojonemi gadkami, lecz duszę hartować przykładem cnoty i wytrwałości, lecz umysł bogacić odbiciem czarownych obrazów dalekich stref i krain.

Dyrektor seminaryum misyonarskiego, ks. Launay, dobrał się do bogatego archiwum domu przy ulicy du Bac, aby przygotować materyał do ogólnej historyi misyj powierzonych Lazarystom. Zanim owo przedsięwzięcie w całości dojrzeje, wyrwał z niej karty męczeńskie, z których urosło dwutomowe dzieło, którego tytuł wypisujemy powyżej. Nowe to, współczesne martyrologium przedewszystkiem uderza tożsamością prób i wyznawstwa, jednakich od dwudziestu blizko wieków. Mandaryni chińscy lub annamiccy przemawiają słowy rzymskich prokonsulów, męczennicy dalekiego Wschodu dają im odpowiedzi godne Ignacych i Wawrzyńców, Agnieszek i Cecylij. Na dalekich Annamu kresach powtarzają się oszczerstwa w starożytnej Romie przeciw chrześcijanom miotane. Posłuchajmy aktów męczeńskich wielebnego sługi bożego, Józefa Marchand.

— Jakichże to sprosności dopuszczacie się podczas uczt i schadzek waszych?

Męczennik, wyczerpany straszną katuszą rozpalonych obcęg, któremi ciało jego szarpano, obyczajem od Rzymian zapożyczonym, odpowiada głucho, iż żadnych sprosności wśród chrześcijan niema.

— Czemże tedy jest ów chleb zaczarowany, który rozdajecie waszym współwyznawcom, aby ich utwierdzić niewzruszenie w ich wierze?

Skatowany męczennik nie ma już siły na wyjaśnienia żadne, na odparcie owego pomawiania o zabobon i czary, które tak w Chinach jak w Rzymie w śledztwach stałem powraca oskarżeniem.

Rzekłbyś, znajdujemy się wobec jakiego rzymskiego *praeses,* gdy mandaryn stojący na czele trybunału rozkazuje, aby przed oczy przysposobionej ofiary stawić tabliczkę z wypisanym na niej wyrokiem.

— Gotów jestem na wszystko, i wszystko też chętnie wycierpię — odzywa się ks. Minh.

Na tabliczce bowiem błyska wyrok śmierci od miecza, a potem zatopienia głowy przywódcy niedozwolonego wyznania w nurtach rzeki, na wieczny innym przykład i groźbę.

Co powiedzieć o tym innym kapłanie, któremu ktoś mniej ciężkie podsuwał okowy w zamian przygniatających go kajdan, a który przemawia jakby głosem św. Ignacego z Antyochii:

— Gdybyście cięższe jeszcze na mnie włożyli pęta, tem większą z nich odniósłbym korzyść. Lżejsze mniejby mi pożytku zapewniły. Nie chcę tedy zmieniać kajdan, skoro nie mogę przydać ciężkości tym które noszę, a ulgi nie pragnę.

Albo ta chińska niewiasta, imieniem Agnieszka, czyż nie odzywa się słowami której z mężnych rzymskich męczennic?

— Jeśli nie porzucisz obcego wyznania, odbiorę ci życie.

— Odbieraj je, jeśli ci się podoba, mnie nic nie zniewoli do zaparcia się wiary w Pana mego na niebie.

— Jakąż chcesz zginąć śmiercią?

— Tą, którą zadano Mistrzowi memu.

Albo jeszcze inny tubylec, nazwiskiem Mateusz Gam, czyż nie przemawia on, idąc na miejsce stracenia, językiem najpierwszych i najprzedniejszych męczenników?

— Jakżem rad umierać! nigdym równego nie zaznał szczęścia! Jedno słowo wystarczyłoby, aby mnie od śmierci wybawić. Wolę atoli uchybić monarsze, aniżeli Boga mego obrazić. Za małą chwilę posiędę wiekuistą nagrodę!

Niektórzy mandaryni używają argumentów jakoby zapożyczonych z rzymskich trybunałów:

— Mistrzu, młody jesteś, uczony, po co ci tak przedwcześnie umierać? Wierzaj nam, zamknij oczy, przejdź po leżącym na ziemi krzyżu lub obok niego; jeśli wolisz, żołnierze nasi przeciągną cię po nim gwałtem, a my podpiszemy wyrok ułaskawienia.

Lecz ks. Dung nie chce słyszeć o żadnym kompromisie z sumieniem:

— Nigdy na to nie zezwolę, wolałbym stokroć dać się posiekać w kawałki!

Cuda, towarzyszące dawnym męczeństwom, wznawiają się tu niejednokrotnie. Oto np. zjawisko, które naznaczyło zgon ostatniego z wyżpomienionych męczenników:

„Wielu świadków jego śmierci zapewnia, jako ujrzeli jednocześnie niebieskiego ptaka, większego od gołębia, który unosił się w powietrzu nad miejscem stracenia".

Oto znów cud, towarzyszący męczeństwu wielebnego Chapdelaine, to jakby wznowienie zjawiska, upamiętnionego w Rzymie trzema źródłami i trzema też przybytkami opactwa *Tre Fontane,* na cześć męczeństwa św. Pawła wzniesionemi:

„I oto w czwartek, siepacze wynieśli za miasto zwłoki męczennika, aby mu uciąć głowę; aż gdy kat miecz spuścił, trysnął po trzykroć strumień krwi ku niebu, zaczem obecni poganie jęli między sobą szemrać i zdumiewać się, iż mąż ten musiał być od innych różny, skoro nawet po śmierci krew z jego żył płynie".

Jeszcze jeden przykład, niby komentarz do słów Pisma świętego, sławiących piękność stóp tych, co niosą pokój ziemi i opowiadają Ewangelię:

„Gdy męczennika złożono w trumnie, syn mój Sang zauważył anielską piękność jego twarzy. Odsłoniłam tedy oblicze, które istotnie dziwną jaśniało urodą; następnie spojrzałam i na nogi, których nadzwyczajna białość mnie uderzyła, tem bardziej, iż drogi o tej porze były niegodziwe i błoto niemal po kolana sięgało. Spytałam wtedy siostry mojej, matki męczennika, azali mu umyła nogi? — Bynajmniej! odparła stanowczo. Dwaj inni świadkowie to samo postrzegli i sprawdzili dziwną białość stóp męczennika, acz nikt stóp jego nie był obmył. Chrześcijanie w Annamie chowają dotąd pamięć owego zjawiska“.

Inne cudowne rysy uwydatniły chwałę pewnego męczennika w Annamie, imieniem Minh:

„Drzewo, pod którem na chwilę postawiono trumnę ze zwłokami męczennika, nagle zapłonęło dziwnym blaskiem, świecąc przez chwil kilka niby pochodnia gorejąca. Gdy chrześcijanin, imieniem Łukasz, zabrał i schował u siebie bawełnę, w której owiniętą była głowa świętego wyznawcy, podobne powtórzyło się zjawisko; cały bowiem dom jego następnej nocy wydał się być napełnionym jarzącem światłem“.

Nie brak i cudów, otrzymanych za wstawieniem świętych męczenników. Wszystko to ujęte w barwne i staranne opowiadanie, poparte dokumentami, a mianowicie pełnemi wdzięku listami samychże wyznawców wiary. Portrety ich uzupełniają tę piękną książkę, ze wszech miar godną polecenia, zwłaszcza na wspólne czytanie pośrodku rodzin chrześcijańskich, ażeby w dzieciach budzić święte zapały i ducha ofiarności. Może znajdą się lękliwi rodzice, którzy obawiać się gotowi, aby ich synowie nie dali się porwać tak szczytnemi przykłady. Niechże się uspokoją. Wezwanie do apostolstwa nader rzadką jest łaską bożą, nie każdy godzien powołania misyonarskiego, ani też zdolny dosłyszeć głosu rozesłania. Tym atoli małodusznym rodzicom, którzy w obawie głębszych wrażeń, wolą karmić umysł dzieci swoich czczemi i jałowemi gadkami, rośnie potomstwo pozbawione hartu i woli, niezdolne już ukochać żadnej szlachetniejszej sprawy, ani się dla niej poświęcić. I oto coraz wątlejsze, słabsze na duchu, następują po sobie pokolenia, miotane tam i sam wichrem zepsucia, bo nie ukrzepione zamłodu przykładami cnoty, nie zaprawione do ofiarności i wyrzeczenia, nie wpatrzone w promienne ślady męczenników i wyznawców.

Boże to nasienie, sól ziemi, siejba przyszłości. Nie zwątpić o czasach, o narodach, które męczenników wydają. Ale podczas gdy francuscy misyonarze na dalekim Wschodzie spełniają życia ofiarę, nam patrzeć przychodzi na bliższe męczeństwa, nie spisane w osobnem martyrologium, znane chyba samemu tylko Bogu, jak ów bezimienny napis grobowy z pierwszych wieków chrześcijaństwa: *cuius nomen Deus scit.* Z tak blizkiemi wśród nas ofiarami, chyba niema obawy, aby duch poświęcenia w nas zagasł i zamarł...

M.

Les Bulgares, par *un diplomate.* Paris. Leroux editeur. 1894.

Pod tym tytułem ukazała się świeżo w Paryżu broszura, która zwróciła uwagę zagranicznej prasy.

Szlachetna tendencya tej broszury, której autor zdradza głęboką znajomość kwestyi wschodniej, i sympatya z jaką się odzywa o Bułgarach, zrobiła silne wrażenie w tym kraju; dzienniki bułgarskie przytoczyły z niej długie ustępy.

Autor tej zajmującej broszury broni sprawy uciśnionych ludów, a z tego względu ta praca francuskiego dyplomaty i nas interesować może.

Autor zastanawia się nad położeniem, jakie Europa wytworzyła Bułgaryi od czasu wojny 1877 r. Wymienia błędy polityczne, popełniane przez Rosyę w Bułgaryi. Mówi o niepowodzeniu absolutystycznych rządów księcia Czerkaskiego; dalej podnosi zalety narodu bułgarskiego: ich wytrwałość, inteligencyę, energię, zamiłowanie spokoju i zmysł polityczny, który ich czyni zdolnymi do rządzenia się bez obcej pomocy.

Autor jest przekonany, że jeśli Bułgarya stanie się kiedyś tą iskrą, która wznieci ogień co ogarnie całą Europę, Azyę a nawet Afrykę, to chyba tylko z przyczyny jakiego wielkiego mocarstwa, które zechce zaspokoić swe zaborcze pragnienia. Zdaniem autora, pretensye Rosyi wobec narodu bułgarskiego są nieuzasadnione.

Rosya na poparcie swych pretensyj, nie może nawet powoływać się na traktat berliński, który zresztą sam wytworzył samorządowi Bułgaryi istniejące trudności. Bułgarzy, mówi dalej autor, zawojowani przez Turków, nigdy się swej narodowości nie wyrzekli. Na mocy nieprzedawnionych praw *(postlimine)* powrócili do pierwotnego stanu, gdy w r. 1878 Rosya dopomogła im do odzyskania niepodległości.

Głos opinii publicznej w Rosyi — mówi autor, potrącając od czasu do czasu w swych pismach ewentualność ponownego panowania Rosyi

w Bułgaryi — utrzymuje naród ten tak zazdrosny o swą niezawisłość, w nieustannym niepokoju i wytwarza tak silne naprężenie stosunków między temi dwoma narodami. Słuszność i prawo międzynarodowe są po stronie Bułgaryi, a mocarstwa, zdaniem autora, powinnyby pozostawić Bułgarów samym sobie.

Na zakończenie stawia autor mocarstwom propozycye w formie żartobliwie-humorystycznej dla rozstrzygnięcia kwestyi bułgarskiej:

Art. I. Niema kwestyi bułgarskiej.

Art. II. Żadne mocarstwo nie podejmuje się wykonania niniejszego postanowienia, ani żadnych postanowień dawniejszych.

Wobec prądów, jakie obecnie panują we Francyi, ukazanie się tej broszury jest faktem godnym zanotowania.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

List apostolski. — *Słowo Polskie* i prasa rosyjska o encyklice do biskupów polskich. — List papieski do kardynała Schoenborna. — Oświadczenia ministra Madejskiego.

LIST APOSTOLSKI.

„List apostolski“ Ojca świętego, wydany pod datą 20 czerwca „do książąt i ludów świata“, jest — wedle wyrażenia samegoż Papieża — jak gdyby testamentem, w którym już nie do biskupów tylko, nie do duchowieństwa, nawet nie do samych katolików lub chrześcijan, ale do całego świata się odzywając, omawia najważniejsze kwestye, poruszające wszystkie umysły, wysuwające się na pierwszy plan we wszystkich krajach i państwach; zestawia razem i streszcza, niejednokrotnie w różnych okolicznościach podawane przez siebie nauki, z apostolską powagą wykładane zasady chrześcijańskie, które same różnorodne te kwestye mogą pomyślnie rozwiązać; nawoływa i prosi: „Niech się przybliżą czasy przez Chrystusa obiecane; niechaj nakoniec jedna będzie owczarnia i jeden pasterz“.

„Piastując na ziemi — tak rzewnie tłumaczy Ojciec św. powody, które skłoniły go do napisania i ogłoszenia teraz właśnie apostolskiego Listu — urząd namiestniczy Boga Wszechmocnego, który chce, aby wszyscy ludzie ‚byli zbawieni i przyszli ku uznaniu prawdy‘; ponieważ także Nasz wiek podeszły i gorżkie troski zbliżają Nas do końca wspólnego śmiertelnikom; umyśliliśmy

naśladować wzór naszego Odkupiciela i Nauczyciela Jezusa Chrystusa, który tuż przed powrotem do niebios, najgorętszemi słowy błagał Boga Ojca, żeby Jego uczniowie i naśladowcy zostali jednem i myślą i duszą... Ta to modlitwa i prośba boska dostarcza Nam wątku do ufnego odkrycia swych pragnień; do wezwania wszystkich ludzi, bez różnicy plemion i krajów, do jedności w wierze".

Do jedności tej wzywa najprzód Ojciec św. najnieszczęśliwsze owe ludy, które albo wcale nie dostały światła ewangelicznego, albo otrzymane zgasiły; błaga Boga, aby mnożyć raczył sprawców bożych tajemnic, godnych apostolskiego posłannictwa, którzyby dla rozrostu królestwa Chrystusowego nie wahali się poświęcić wygód, bezpieczeństwa i życia samego. Następnie zwraca się ku Wschodowi, skąd na świat cały wyszło zbawienie; wyraża słodką a głęboką nadzieję, że „już niedaleko do chwili, w której wrócą tam skąd wyszły, słynne wiarą pradziadów i chwałą starożytną kościoły wschodnie. A to tem bardziej, że nie dzieli ich różnica nieprzebyta; owszem, z nielicznemi wyjątkami, tak w inne prawdy zgodnie wierzymy, że w samemże bronieniu wiary katolickiej nierzadko czerpiemy dowody i świadectwa z nauki, z obrzędów, ze zwyczajów, przechowanych na Wschodzie; tem bardziej, że, jak z radością uważamy, wieje dziś na Wschodzie jakiś duch dla katolików życzliwszy. Oczywiście myślimy o połączeniu zupełnem i doskonałem, polegającem na tem, co Założyciel Kościoła, Jezus Chrystus, ustanowił: na jedności wiary i rządów. Nie bójcie się, aby czy to My, czy następcy Nasi nie ujęli czego z waszych praw, z patryarchalnych przywilejów, albo z obrzędowych zwyczajów któregobądź kościoła; bo leżało i leżeć będzie zawsze w tradycyach i zamiarach Stolicy Apostolskiej, udzielać każdemu narodowi, wedle jego zwyczajów, wszystkiego co słuszne i dobre...

„I was imiennie na tem miejscu wypada wezwać, słowiańskie ludy wszystkie, o których sławnem imieniu świadczą pomniki dzieł dokonanych. Wiecie, jak niepospolite dla Słowian zbierali zasługi, święci Ojcowie po wierze, Cyryl i Metody, których nie tak dawno staraliśmy się rozgłosić pamięć czcią należytą. Ich

cnoty i trudy wielkiej części waszych plemion przyniosły ogładę i zbawienie. Stąd na długo nastały między Słowiańszczyzną a biskupami rzymskimi najpiękniejsze stosunki: z jednej strony dobrodziejstwa, z drugiej najwierniejsze przywiązanie synowskie. A jeżeli koleje smutnych czasów odepchnęły waszych przodków po wielkiej części od wyznania rzymskiego, rozważcie, ile zależy na powrocie do zgody. Do was także Kościół ustawicznie wyciąga ramiona, aby udzielić różnorodnej pomocy do zbawienia, pomyślności i wielkości.

„Z niemniejszą miłością spoglądamy na narody odłączone za świeższej pamięci od Kościoła rzymskiego. Bracia ci nasi, zostający z nami w rozterce przez trzy wieki, zaprzeczyć nie mogą, że z owej spuścizny prawdy, którą twórcy nowych nauk zabrali ze sobą przy odstępstwie, nie pozostał u nich żaden prawie skład wiary pewien i nie pozbawiony powagi; wielu z nich burzy samą podwalinę religii i nadziei: wiarę w boską naturę Odkupiciela; zaprzecza boskiej powadze ksiąg Starego i Nowego Zakonu. Dozwólcie, abyśmy i was zaprosili do jedności Kościoła; abyśmy do was z największą miłością dłoń wyciągnęli".

Z kolei zwraca się teraz Ojciec św. do katolików, i ostrzega przed dwoma grożącemi im w pierwszym rzędzie niebezpieczeństwami: zapoznaniem właściwego stosunku państwa do Kościoła, i intrygami wolnomularskiej sekty. Kto chrześcijanin, niech zrozumie, że należy koniecznie z tą sektą zerwać, z tego upokarzającego jarzma się otrząść; niech zwłaszcza energiczniej przeciw niej walczą, którzy najbardziej są przez nią uciemiężeni: Włosi i Francuzi.

Zażegnanie podwójnego tego niebezpieczeństwa, przywiedzenie społeczeństwa do jedności wiary, odwróciłoby grożące światu nieszczęścia, a zarazem stałoby się dlań obfitem źródłem najbardziej pożądanych dóbr. Kościół wolny, szanowany, rozsiewałby wkoło siebie bez przeszkody łaskę i prawdę; rozszerzyłby panowanie prawa i sprawiedliwości, tych najsilniejszych podstaw społeczeństwa. Dalej dokonałoby się zbliżenie między narodami; ustąpiłaby straszna groza wojny. Od pewnej liczby lat żyjemy

w pokoju raczej pozornym, niżeli rzeczywistym. Ludy, niemal wszystkie trapione wzajemnemi podejrzeniami, przygotowują się do walki na wyścigi. Niepodobna z tego przesilenia wyjść i wstąpić w erę prawdziwego pokoju bez dobroczynnego pośrednictwa Jezusa Chrystusa. Do stłumienia ambicyi bowiem, chciwości, ducha sprzeczności, tego potrójnego ogniska, przy którem zwykle zapalają się wojny, nic nie pomaga więcej, jak cnoty chrześcijańskie, a zwłaszcza sprawiedliwość... Na wewnątrz, odnowienie, o którem mówimy, dałoby bezpieczeństwu publicznemu pewniejsze i trwalsze rękojmie, aniżeli dać je mogą prawa i siła zbrojna. O podwójną chodzi kwestyę: polityczną i społeczną; ażeby je rozwiązać mądrze i sprawiedliwie, nic nie dorówna wierze chrześcijańskiej, która rozbudza w duszy poczucie obowiązku i dodaje odwagi do spełnienia go...

Kiedy o tem myślimy i z całej duszy tego pożądamy, z daleka przewidujemy, jaki porządek zapanowałby na całym świecie, a nie znajdujemy nic milszego nad widok pożytków, jakieby stąd płynęły. Ledwo myśl zamarzyć o tem zdoła, co za popęd nagle w każdym narodzie powstałby ku wszystkiemu, co wzniosłe i pomyślne, gdyby nastały czasy spokojne i swobodne, nauki znalazłyby pochop do rozwoju, a nadto powstawałyby i rosły w liczbie, po chrześcijańsku zakładane według naszych wskazówek, związki rolników, rzemieślników, przemysłowców, które tem samem powstrzymałyby drapieżną lichwę i rozszerzyłyby pole do prac pożytecznych. Jak potok wezbrany płynęłyby te dobroczynne skutki, wcale nie powstrzymywane granicami ludów ogładzonych i oświeconych... Jeżeli ma zgoda powrócić, a dobrodziejstwo chrześcijańskiej mądrości dojść do bujnego rozwoju, to czasy dzisiejsze są ku temu najstosowniejsze, bo uczucie braterstwa wszystkich ludzi nie zapuszczało nigdy głębszych korzeni w sercach, żadna doba nie widziała człowieka, któryby szukał pilniej bliźnich, żeby ich poznać i oddać przysługę. Niezmierzone są szlaki na lądzie i morzu, pokryte statkami i wozami, które pędzą z szybkością niepojętą, a to wszystko znakomicie pozwala nietylko zarabiać na kupiectwie, albo zaspakajać ciekawość, ale także rozsiewać naokoło słowo boże od wschodu słońca do zachodu.

Nie zakryte to przed nami, jak ciężkich i długich mozołów wymaga rozsądek, który pragniemy by powrócił; ani może i takich nie brak, którzyby mniemali, że zbyt unosi Nas nadzieja, że szukamy tego, czego słuszniej jest pragnąć, niż oczekiwać. Ale nadzieję wszelaką i zupełną

otuchę pokładamy w Zachowawcy rodu ludzkiego, Jezusie Chrystusie, żywo pamiętając o tem, czego niegdyś i w jakich rozmiarach dokazało „szaleństwo Krzyża“ i jego przepowiadanie, kiedy zdumiło i zawstydziło mądrość tego świata. — A imiennie prosimy władców i rządców państw, niech z obywatelską roztropnością i troską wierną o narody ocenią wedle prawdy nasze rady, niech poprą je swoją powagą i łaską. Choćby część tylko pożytków zapragnionych nastać miała, niemałem to byłoby dobrodziejstwem, kiedy tak wszystko pochylone ku upadkowi, kiedy skarga na czasy obecnie idzie w parze z trwogą o przyszłe.

. Ostatki ubiegłego wieku zostawiły Europę znękaną klęskami i wzruszoną przewrotami. Ten wiek, który spieszy do schyłku, czemużby, przeciwnie, nie przekazał rodowi ludzkiemu w spadku wróżb zgody z nadzieją dóbr największych, w jakie opływać będzie jedność wiary chrześcijańskiej?

Już z tego streszczenia apostolskiego Listu nie trudno poznać, jakie ma znaczenie; łatwo się dorozumieć, jakie wrażenie obudzić musiał różne, w różnych obozach, ale wszędzie równie wielkie. Wiele organów, występujących z zasady przeciw Watykanowi, uchyliło tym razem głowy, przyznając z dziennikami, tego nawet zakroju jak *Diritto* lub *L'Italie*, że: „Szlachetne, wzniosłe uczucia, wyrażone przez Papieża, dyskusyi nie mogą podlegać. Widać wybornie, że jedna myśl na seryo umysł Papieża zajmuje: rozszerzenie wiary katolickiej. Zupełne oderwanie od wszystkich rzeczy tego świata unosi się niejako ponad całą odezwą papieską; w imię religii zwraca się do wiernych i przywieść wszystkich usiłuje do dawnej wiary swych ojców“. Podobnie, choć na nieco odmienną nutę, wyraża się *Opinione*. W pierwszych wierszach, entuzyazmem porwana, oddaje bez zastrzeżeń hołd wielkiemu Papieżowi; w następnych dopiero, jakby lękając się, aby jej ktoś nie posądził o przejście w szeregi watykańskiej prasy, wynajduje przeróżne trudności, które w praktyce życia stanąć muszą w poprzek nakreślonemu przez Papieża ideałowi, i woła melancholijnie: „Piękny to, szlachetny sen — ale sen niestety!“ Co dziwniejsza, nawet *Riforma*, bodaj po raz pierwszy w czasie swego istnienia, obronić się nie potrafiła przed kilku słowami wymuszonego koniecznością uznania dla papieskiej inicyatywy.

Naturalnie, nie zabrakło i bardzo zabawnych komentarzy.

Gazzetta Piemontese wierzyć każe swym czytelnikom, że „List apostolski“, ułożony napół w Rzymie, napół w Paryżu, jest wielkim politycznym spiskiem przeciw Włochom i potrójnemu przymierzu. Wedle *Kreuzzeitung*, układano „List“ nie w Rzymie i w Paryżu, ale w Rzymie i Petersburgu. Bismarkowskie *Hamburger Nachrichten* piętnują odezwę papieską jako wypowiedzenie wojny protestantyzmowi. „Po tem wszystkiem — czytamy w organie byłego kanclerza — co się stało w ostatnich latach w Niemczech, dziwić się nie można, że Papież uznał za stosowne chwycić się polityki ostrzejszego tonu. Dlaczegóż udaćby mu się nie miało, dlaczegóż nie mielibyśmy mu ustąpić, kiedyśmy uznali się za zwyciężonych przez Anglików, Polaków, Welfów i socyalistów?“

„SŁOWO POLSKIE“ I PRASA ROSYJSKA.

Do tego chóru uznało za stosowne przyłączyć się i jedno z polskich pism. Wychodzący we Lwowie „poważny“ dwutygodnik: *Słowo Polskie*, zapewnia z powagą: „Ojciec św. spóźnił się co do ocenienia faktów, o jakie sto lat z górą“; wyjaśnia, że „encyklika o wierze“ (tak ją lwowski organ zatytułował) powstała nie pod wpływem dyplomacyi paryskiej, — jak mniemała *Gazzetta Piemontese* — nie pod wpływem dyplomacyi petersburskiej, — jak znowu utrzymywała *Kreuzzeitung* — nie pod wpływem Centrum, — jak organ Bismarka dawał do zrozumienia; — ale pod wpływem przemożnych i rządzących w Watykanie — Jezuitów. Prawda, — i to do pewnego stopnia rzecz całą nie tłumaczy, ale wyjaśnia — iż kronikarz *Słowa Polskiego* pisząc o owej „encyklice o wierze“, przyznaje się naiwnie, że zna ją tylko — z telegraficznych streszczeń; prawda, że pisząc dawniej o encyklice do biskupów polskich, która jak Polska długa i szeroka tyle najgłębszej wdzięczności dla Ojca św. wywołała, również zdobył się tylko na obelgi.

Z obelg tych, z kilku nieostrożnych wyrażeń paru jeszcze galicyjskich organów, ucieszyła się najbardziej nieprzychylnie dla nas usposobiona rosyjska prasa, szczęśliwa, że może przedstawić nas i w Rzymie i przed całą zagranicą jako niepoprawnych rewolucyonistów; zawsze chmurnych, zawsze na wszystko krzy-

wiących się malkontentów. „Polskie gazety zagraniczne — tryumfuje petersburskie *Nowoje Wremia* — wypowiadają otwarcie swe niezadowolenie z papieskiej encykliki, z wyjątkiem jednego ultramontańskiego *Czasu*, który ją pochwalił, ale i to bardzo umiarkowanie. Artykuły te wiernie wyrażają zapatrywanie się na encyklikę większości Polaków, którzy poczytują ją za ‚małoduszną' i dosadnie ją krytykują". — Przeciw oskarżeniu temu energicznie zaprotestował warszawski *Przegląd Katolicki*. „Czy nie dochodziły — pyta — do ucha oskarżyciela naszego wieści, że wszyscy — naturalnie nie mamy tu na myśli bezwyznaniowców i niedowiarków — zachwyceni są encykliką?"... Widział i wiedział; wiedział, że wcale nie jeden tylko „ultramontański" *Czas*, ale cała poważna galicyjska i poznańska prasa, encyklikę z najgłębszą czcią i wdzięcznością przyjęła. Lecz jakże się dziwić, że kiedy parę galicyjskich pism podało znowu tak wyborną okazyę do ulubionej piosneczki o polskiej nielojalności, o nadużywaniu religii i napomnień papieskich „dla politycznych marzeń" — niechętne nam żywioły nieomieszkały z żywą wdzięcznością z gratki tej korzystać!?

LIST PAPIESKI DO KARDYNAŁA SCHOENBORNA.

W odpowiedzi na wspólny adres, wysłany do Ojca św. przez biskupów austryackich, zebranych na wspólnej konferencyi w Wiedniu, przesłał Papież na ręce kardynała Schoenborna serdeczne podziękowanie, a zarazem kilka wskazówek, odnoszących się głównie do tak ważnej, tak aktualnej, jeśli wszędzie to zwłaszcza w Austryi, kwestyi szkolnej. Pismo papieskie nosi datę pierwszego maja; ale obecnie dopiero ogłoszonem zostało w wiedeńskim *Vaterland*'zie. Najważniejszy ustęp, budzący żywe zainteresowanie we wszystkich kołach i pismach, brzmi:

Wśród różnych spraw, nad któremi obradowaliście w czasie ostatniej Waszej konferencyi, nie mogliście pominąć kwestyi katolickiego wychowania w szkołach publicznych; nie mogliście tej kwestyi na ostatniem miejscu traktować. Wiecie, jaką miłością otaczamy tę dobę życia ludzkiego, jaki smutek nas przejmuje, gdy myślimy o grożących jej nieustannie zasadzkach i jak bardzo pragniemy, aby z zasadzek tych wyszła bez szkody. Dowiedzieliśmy się też z niemałem

zadowoleniem o ponownych oświadczeniach w tym kierunku cislitawskiego ministra oświaty.

Niema nic gorszego i szkodliwszego dla społeczeństwa, jak wyrabiające się zdanie, że między Kościołem a powagą państwową musi koniecznie istnieć niezgoda. Kościół i państwo mają odrębne zakresy działania, których przekroczyć im nie wolno; państwo starać się ma o ziemskie, przemijające szczęście; Kościół — o wieczne szczęście dusz. Ponieważ jednak ziemska pomyślność opiera się głównie na sprawiedliwości i moralności, przeto władza państwowa potrzebuje pomocy religii, której zadaniem jest utrzymywanie umysłów w pewnych szrankach i kształcenie we wszystkich cnotach. Z drugiej znów strony religia, która nietylko ma panować nad duszami, lecz i nad ludźmi, o ile ci tworzą pewne społeczeństwo, wymaga ze strony władzy państwowej przyjaznej pomocy. Dlatego godnem potępienia jest usiłowanie oddzielenia Kościoła od państwa, które w ścisłym ze sobą sojuszu winny zostawać. Jeżeli zaś ta zasada w innych rzeczach ma mieć znaczenie, to tem bardziej trzeba ją uwzględniać przy nauczaniu młodzieży, tak iżby władza świecka, starając się o oświecenie młodzieży w umiejętnościach i naukach, które zmierzają do dobra publicznego, jednocześnie kształciła ich obyczaje, religijne wychowanie zapewniała za pośrednictwem nauczycielskiego urzędu Kościoła i pod tegoż kierunkiem i nadzorem. Żywimy nadzieję, że nowy minister oświaty postara się, aby księża zajęli w austryackich zakładach naukowych należne sobie stanowisko, i aby w nich nic takiego miejsca nie miało, coby mogło młodociane umysły wrogo usposabiać przeciw katolicyzmowi. Jesteśmy też pewni, że i z Waszej strony, kochany Synu, niczego nie zaniechacie, co tylko zrobić można w tym kierunku.

OŚWIADCZENIA MINISTRA MADEJSKIEGO.

Gazety przypominają obecnie uczynione w parlamencie 21 kwietnia b. r. oświadczenia ministra Madejskiego, o których Ojciec św. z taką pochwałą się odezwał, dodając im w ten sposób osobnej wagi, stawiając je poniekąd za program, do którego istotnego we wszystkich szczegółach urzeczywistnienia, mają katolicy austryaccy przynajmniej na razie dążyć.

Jest rzeczą naturalną, — mówił p. Madejski — że w teoretyczne omawianie tej kwestyi, stosunku między Kościołem a państwem, wdawać się nie będę, gdyż w sprawie tej, która od wieków zajmowała

najbardziej wybitnych reprezentantów polityki i umiejętności, nie zdołałbym wynaleść nowych poglądów. Sądzę jednak, że dla ukształtowania się praktycznych stosunków — o co obecnie chodzi — nie tyle miarodajnemi są abstrakcyjne teorye, ile raczej rezultaty dziejowe, rezultaty historycznego rozwoju w każdem państwie. Nie będę się wdawał w szczegółowe badanie tego historycznego rozwoju, lecz rezultat takowego w Austryi streszcza się w tem zdaniu, że bez ujmy dla interesów państwowych, dla kościołów i stowarzyszeń religijnych wolność ruchu, nazwijmy ją autonomią, zdaje się być zapewnioną.

O ile pierwej panowała tendencya przedstawiania Kościoła i państwa jako zawsze gotowych do walki zapaśników, o tyle obecnie ideałem wzajemnego stosunku wydaje się wielu zupełne rozłączenie obu zakresów działalności. Takie zapatrywanie nie odpowiada stanowisku zarządu wyznań. Samodzielność i niezależność obu zakresów działalności jest już ze stanowiska istniejącego prawa niewzruszalną zasadą. Ale samodzielność nie oznacza koniecznie rozdziału, zaś niezależność nie powinna się wyrodzić w zupełną obojętność. O ile te dwa najwyższe czynniki w społeczeństwie zarówno w swych celach, jak w środkach działalności się różnią, o tyle istnieje niezmierzone wspólne pole zadań etycznych i humanitarnych, gdzie się zbiegają interesa państwowe z kościelnemi, gdzie zatem zgodne działanie obu tych władz ułatwia każdej z nich zadanie i osiągnięcie celu.

Jeszcze wszyscy mają w żywej pamięci wzywające do umiarkowania słowa, pełne mądrości i pieczołowitości, w których ze strony najbardziej potemu powołanej wyświecone zostały zadania, przypadające Kościołowi na polu społecznem. Czyż obecnie kwestya ta nie przedstawia zarazem jednego z najtrudniejszych zadań państwa? Jestem przeto przekonany, że nie należy pojmować państwa i Kościoła jako instytucyj zupełnie wobec siebie obojętnych, lecz, iż takowe zniewolone są w wielu różnorodnych i dla ludzkości ważnych sprawach do wzajemnego wspierania się. Z jednej strony należy się spodziewać i życzyć sobie, by organa Kościoła w prawdziwem poczuciu miłości bliźniego dążyły skutecznie do wyrównania kontrastów politycznych i socyalnych; równocześnie zaś zarząd wyznań będzie zawsze gotowym do popierania interesów kościelnych w granicach ustawy i w miarę środków, jakiemi rozporządza.

Ks. Jan Badeni.

Listy australskie polskiego emigranta.

(Ciąg dalszy).

Sydney, 22 października 1889.

Ponieważ teraz częściej niż przedtem do Sydney jeździć muszę, kupiłem konika i lekki wózek. Konik maleńki, gniady, istne cacko, chodzi jak kula; wózeczek amerykański, tak lekki, że go z łatwością mógłbym sam na plecach unieść; wszystko czyste, ładne, wyczesane, wymyte, błyszczące. Żebym tu miał matulę, jakbym ja ją woził, cackał, pielęgnował! Jakibym dla niej pokoik miał w Sydney i w Grodnie! Cóż, kiedy tak daleko i kiedy tyle matulę do Europy przywiązuje...

O drugiej po południu przychodzi poczta z Europy: może mi co od was przyniesie?....

Poczciwemu Millerowi, który teraz u mnie pracuje, urodziła się trzecia córka; będę prawdopodobnie jej chrzestnym ojcem.

Oto i wszystko! Daj nam Boże prędko się zobaczyć! wtedy jak zacznę opowiadać, tak nie skończę, aż chyba matula się zdrzemie...

...Nie wiem czy pisałem, że spółkę z Cavalchinim rozwiązałem za wspólną zgodą, dając mu za jego część 1320 ff., których część dopiero zapłaciłem, resztę mam oddać partyami w przeciągu $2^1/_2$ lat. I zdaje się dobrze zrobiłem, gdyż on, lubo najlepszy w świecie chłopiec, w gospodarce swoją niepraktycznością raczej przeszkadzał niż pomagał.

Spędziłem tydzień w Melbourne, dokąd za interesami jeździłem; tą razą nawet koszta podróży mi się nie wróciły.

Mam obecnie w ręku patentowany wynalazek jednego z tutejszych Polaków, który jeśli się uda, uczyni nas kolosalnie bogatymi, lub się całkiem nie uda, wtedy stracimy na tem po parę funtów. Pan D... wynalazł sposób spożytkowania siły przypływu i odpływu morza, rzecz, za którą od lat już kilkunastu ludzie się ubiegają. Do wykonania choćby prób tylko, tak znacznego trzeba kapitału, że... kto wie, co z tego będzie. Jednym z ludzi, któremuby się ten wynalazek mógł wielce przydać, jest Edison; mam też zamiar do niego się z tem udać, mu-

simy jednak poczekać, aż będzie wszędzie opatentowany. *Qui ne risque rien, n'a rien*, — ryzykuję zatem...

Sydney, 11 grudnia 1889.

... Wiele miałem w ostatnich czasach przykrości i zawodów, spowodowanych przez zamieszkałych tu rodaków. Pisałem wam przed rokiem, że ich tu kilku przyjechało i prawie wszyscy osiedli na selekcyach koło mojego Grodna; że żaden z nich bez pomocy się nie obszedł, mówiłem także; otóż dziś bankrutują i mnie zarywają na kilkadziesiąt funtów; nadziei nawet nie mam odebrania tych pieniędzy. Na jednym szczególnie się zawiodłem, gdyż pominąwszy stratę pieniężną (czego mu za złe nie mam, owszem jeszczebym mu dalej pomagał, by tę małą Polskę w Australii utrzymać), dużo mi krzywdy i przykrości językiem narobił, o czem dowiedziawszy się, najkompletniej się z nim widywać przestałem, bez robienia scen lub wymówek, pomny na ukraińskie przysłowie: *Hde moje ne w ład, ja z swoim nazad;* i dobrze mi z tem zawsze było. Ciekawy to naród, ci nasi; gdzie się ich paru zbierze na obczyźnie, to zamiast iść ręka w rękę i wspólnie się wspierać czem kto może, to się swarzą. Po tem wszystkiem, pewno odpowiedzi co do bratanka pani S.... wymagać nie będziecie. Co tu wogóle pisać? Ma chłopak odwagę i parę groszy w kieszeni a olej w głowie, to nie zginie i na biegunie południowym, choć tam pono ziemi prawie niema; chce przyjechać z tem, a ja mu będę mógł być w czemkolwiek użytecznym, to i bez obietnic lub próśb z pewnością nim być się postaram. Jednego tylko nie zrobię, to jest: namawiać jego lub kogokolwiek do przyjazdu; za wielka odpowiedzialność w razie zawodu, a nagrody żadnej, nawet wdzięczności w razie powodzenia. Jedyny, któregobym w antrepryzę wziął, Ig...., przyjechać nie chce. Mógłby mieć swą pracownię tuż obok mojego biura, przez ścianę tylko. Jeśli lęka się przyjechać z powodu zdrowia, to proszę mu powiedzieć, że podróż morska i pobyt tu, bardzoby skutecznie na cały jego ustrój oddziałały. Co do upałów, nie bywają one tutaj większe niż na Ukrainie lub w Odessie (w najgorętsze dnie), a za to zima cudownie piękna i łagodna, bez śniegu, z trochą tylko deszczu, którego on, mieszkając w mieście, nie czułby nawet. Portretów do robienia mógłby tu mieć w jednym roku więcej, niż tam w lat dziesięć, a do tego lepiej płatnych. Wszyscy moi znajomi o niego się dopytują, bom im był przyjazd jego zapowiedział. Jemu, zdaje się, ktoś bardzo poważny i mądry musiał mate-

matycznie udowodnić, że lepiej „siedzieć w domu, biedę klepać, lecz krajowi służyć!“ niż wyjechać i angielskie pieniądze zarabiać, by je potem w kraju zostawić. Rozmaite są pod tym względem zapatrywania.

Sydney, 16 stycznia 1890.

...Pracuję jak dawniej, w ciągłej podróży między Grodnem a Sydney; interesa nieświetnie idą, lecz idą. Za dwadzieścia miesięcy będę mógł z selekcyą robić co mi się podoba, a za dwa lata do Europy przyjechać. Czy przyjadę, a raczej czy będę miał ochotę do tego, pisać nie potrzebuję. Strasznie mi się tu już przykrzyć zaczyna; nie jest to nostalgia, lecz ogromna, nieprzeparta chęć odświeżenia myśli.

Dostałem z Paryża agencyę na pewien rodzaj mostów; nie wiem jeszcze, czy mi się uda je wprowadzić w Nowej Południowej Walii. Pracuję także nad utworzeniem kompanii ogłoszeń na rogach ulic, i nad założeniem drukarni. Myśl tych ogłoszeń wzięta z Berlina; wszystko zależy od tego, czy mi miasto da koncesyę na stawianie słupów do nich. Grube w tem są zyski. Jeśli mi się to nie uda, będę zakładał kompanię biur rekomendacyjnych i posługaczy (ekspresów) — nie egzystują tu jeszcze na sposób europejski. Czyby w jaki sposób nie można się dowiedzieć, jak to jest urządzone w Warszawie? jaka kontrola i skąd właściciele zyski swe pobierają? bardzoby mi się ta wiadomość przydała.

Ludzie z pieniędzmi zarobili tu setki tysięcy na minach srebra, które wszystkie prawie poszły w górę, szczególnie kopalnie „Broken Hill“. Znam je już od dawna i od lat paru prorokowałem to co zaszło. Miałem kilkaset akcyj, warteby były dziś parę milionów franków, lecz że pieniędzy trzeba było, musiałem sprzedać, nim miały jakąkolwiek wartość. Kilku z moich przyjaciół tutejszych zawdzięczają mi to co obecnie posiadają. Jeden z nich, pewien J. M. White, kupił za moją poradą akcyj kopalni sztuk 10, po 6 penny (30 cent.) — dziś każda akcya warta 18 ff. i jeszcze pójdą w górę, bo kopalnia tak jest dobra, jak żadna tutaj. Ja pierwszy próby robiłem, ja pierwszy kopać kazałem.

Grosz robi grosz, bez pieniędzy trudno się czegoś dużego nagle dorobić. Pomimo wszystkiego co piszę, nie narzekam, bo i tak mogę się „szczęśliwym“ nazwać, będąc jedynym z dotychczas tutaj osiadłych Polaków (prócz Żydów), który się czegoś dorobił. Tem czemś u mnie są nie tak pieniądze, gdyż mi takowych gotówką zawsze brak, lecz imię i stanowisko. Inni zbankrutowali lub przy selekcyach utrzymać się nie mogli; Millera musiałem odprawić, selekcya jego zatem także

przepadła, tak że jak przed trzema laty, tak i dziś ja jeden z Polaków mam dom własny i coś koło niego.

M... jest w Rous w cukrowej fabryce, pracować ze mną nie mogąc, z biura jako wspólnik wychodzić musi, i tu więc sam zostaję. Wszystko to ma swą dobrą i złą stronę. Na X. straciłem — źle!... pozbyłem się fałszywego przyjaciela — dobrze... M... ze spółki wyszedł, muszę za dwóch pracować po nocach — źle!... więcej zarobię może — i owszem! Tak to, drodzy moi, ja sobie filozofuję i siebie pocieszam; do takiej wprawy w tem doszedłem, że mię nic już, zdaje się, bardzo wzruszyć lub zadziwić nie zdoła; zdaje się nawet, że gdyby mi dachówka na głowę spadła, jeszczebym sobie wynalazł przy złej, i dobrą w tem stronę...

Sydney, 10 lutego 1890.

...O sobie nic wam nowego powiedzieć nie mogę, gdyż dzień jeden podobny do drugiego; praca, zarobek, strata, nadzieja lub rozczarowanie, zapełniają mi każdą chwilę.

19 lutego. Przerwany przed kilku dniami list, dziś chcę dokończyć, by jutro odszedł. Odpowiem więc najprzód na pytania listu waszego, który przed chwilą otrzymałem. Wynalazek Diamanta do tej pory jeszcze nie zupełnie wydoskonalony, pracujemy nad nim. Takie wynalazki lat potrzebują, chcąc je doprowadzić do doskonałości i dostatecznie wypróbować; wykończenie naszego jest, jak sądzę, kwestyą blizkiej przyszłości.

Winnica moja pysznie w tym roku wygląda, bo też i rok wyjątkowo dżdżysty i wilgotny. Wszystko rośnie w oczach. Co posucha zeszłoroczna zniszczyła, to ten rok z procentem zapłaci. Miałem dużo jabłek, których dotąd nie sprzedałem; winogron dużo nie było, bo naumyślnie szczepy winne krótko bardzo ciąć kazałem, by ich nie wycieńczać; za to w przyszłym roku spodziewam się co najmniej 7000 funtów z akra. Wina sam robić nie będę jeszcze, bo mi brak piwnic i przyrządów; jest to ogromny wydatek, którego ponieść nie mogłem.

Przygotowuję znowu 5 akrów pod drzewa owocowe i winnice, które sadzić będę w lipcu i sierpniu. Z drzew owocowych wybrałem przeważnie duże, kuchenne jabłka zimowe, gdyż się dają bardzo łatwo wywozić do Anglii, doskonale wytrzymując drogę; przytem owoc nadpsuty i opadły, wysuszony sposobem amerykańskim, dobrą osiąga cenę. Jedna jabłonka, zasadzona w przeszłym roku, dała mi już owoce; każde

jabłko ważyło w przecięciu 15 uncyj, a kilka przeszło funt. Kawonów, melonów, harbuzów, miałem więcej, niż skonsumować potrafiłem, to też kto chciał, brał i jadł; nizkie ceny targowe spowodowały, żem nic z nich nie sprzedał.

Cena ziemi bardzo spadła ostatniemi czasy; ludzie się przespekulowali i strat dużo ponieśli z powodu suszy. Jeśli przyszły rok podobny będzie do teraźniejszego, ceny pójdą znowu szybko w górę. By wam dać wyobrażenie o tem, co suchy a co mokry rok w Nowej Południowej Walii sprawić może, podam parę cyfr statystycznych od roku 1881. Wiadomo wam, że głównem źródłem bogactw Australii nie jest złoto ani srebro, lecz pasterstwo, i to w najprymitywniejszym jeszcze stanie, bez irrygacyi, sztucznych łąk lub pól pastewnych. Spadnie deszcz, jest trawa, lecz nie zawsze deszcz pada! Ja już pamiętam 9 miesięcy bez kropli deszczu, bez rosy nawet, ze słońcem tak palącem, że źdźiebełka zieloności nigdzie ujrzeć nie było można, prócz eukaliptusu. Owce i bydło żyło tą suchą, przepaloną trawą, wyjadając ją aż do korzeni i zostawiając ziemię czystą, jak droga pocztowa. Wody nie było do picia, to też bydło padało tysiącami. Tonna słomy kosztowała 10 ff., tonna kartofli doszła do 26 ff. i t. d. Susze w latach od 1881—1884 zabiły 29 milionów owiec; susza w 1886 zabiła 5 milionów: w 1889 r. 7,852.000 sztuk owiec, wołów zaś 1,200.000. Gdy deszcz padać zacznie, wszystko do życia zdaje się powracać razem z zielonością, i ludzie prędko zapominają strat poniesionych.

Przyrost owiec jest $7\frac{1}{2}$ miliona rocznie, przyrost bydła 170.000 sztuk.

Nowa Południowa Walia ma, prócz posuch, inne jeszcze źródło cierpień: tem jest zmienność nadzwyczajna cen wełny. W r. 1883 sprzedano 188 milionów funtów wełny za $9\frac{1}{2}$ miliona ff.; w r. 1887 sprzedano 216,000.000 funtów wełny za 8,750.000 ff.; w r. 1889 wełna przyniosła 11 milionów ff. Gdy do powyżej wymienionych strat, dodamy jeszcze straty poniesione w uprawie roli, dojdziemy do tak wysokich cyfr, iż nam się przyjdzie zapytać: jakże tu ludzie żyją i nie rujnują się kompletnie, bez nadziei odzyskania strat? Wielu też jest zrujnowanych co roku, lecz nigdy bez nadziei. Mało ludzi przyjechało tu z kapitałami; każdy prawie sam się dorobił tego co stracił, to też żaden, chyba że już za stary, nadziei nie traci; lecz choć dziś pan a jutro robotnik, na nowo czem i jak może dorabiać się zaczyna. Miałem tu przyjaciela, niejakiego pana Mathey; gdym, cztery lata temu do Sydney przyjechał, on już był majętnym kupcem. Interesa

przez lat parę tak źle poszły, że w r. 1889 musiał wierzycielom wszystko co miał odstąpić, sam zostając bez grosza na życie. Pomagałem mu przez pewien czas, on roboty szukał, gdy jej jednak prędko nie znalazł, postanowił Sydney opuścić. Dałem mu 5 ff. na drogę, wyjechał, i wieść o nim przez pewien czas zaginęła; aż onegdaj dowiaduję się, iż go ktoś poznał w grubej, flanelowej koszuli, z długą brodą i t. d., jednem słowem zdziczałego, pracującego w kopalniach złota „Pick Hill", koło Dubbo. Mieszkał w starym namiocie, lecz pieniędzy już się trochę był dorobił. Niebawem zapewne do Sydney wróci, odcywilizuje się i będzie na nowo „Mathey Esq". Przejścia takie są częste, tak tu jak i w innych koloniach, nie przestają jednak nigdy być ciekawemi do obserwacyi; a człowiek, który w ten sposób z losem się boryka, zasługuje na uznanie i szacunek.

20 lutego. Leje jak z cebra, rzeka wzbierze i nie będę mógł pojechać do Grodna w przyszłą sobotę. Osadziłem tam Szwajcara, Tester, z żoną staruszką; on pracuje w winnicy, ona zaś porządek ma utrzymywać, i jak jestem w domu, jeść mi ugotować. Musiałem to uczynić, by zawsze kogoś mieć u siebie, inaczej wszystko mi rujnowano, a ja przyjechawszy, zamiast fermy dojrzeć i robót, musiałem czas na myciu, porządkowaniu i gotowaniu tracić

Zeszłej niedzieli przyjechało do mnie czterech panów z Sydney. Deszcz zaczął padać ulewny, odjechać nie mogli, więc zostali na noc. Dwa łóżka na pięciu, nie dużo, ulokowałem jednak gości jak mogłem, po dwóch w jednem, a sam wyniosłem się z krzesłem na ganek, bo w pokoju zanadto mi chrapali; tam mię komary tak opadły, że gdyby nie to, iż trochę utyłem i za ciężki jestem, przeniosłyby mię były może z krzesłem gdzieindziej. W ciągłych utarczkach z temi krwiożerczemi bestyami, przesiedziałem do $4^1/_2$ z rana; gdy świtać poczęło, rozpaliłem ogień na kominku, ugotowałem herbaty i jaj na miękko (jedno z nich spadło przypadkiem na nogę jednego z gości, — do dziś dnia kuleje, boję się by mi procesu nie wytoczył *pour domages*). Śpiących pobudziłem, nakarmiłem i napoiłem, na kolej odesłałem, a sam poszedłem spać. Trzeba wam wiedzieć, że jestem wielkim śpiochem i do niczego przez dzień cały, jeśli w nocy nie śpię ośmiu godzin bez przerwy. Gdy mam jaki kłopot, z którego nie wiem jak wybrnąć, kładę się spać: rzadko bardzo śnię, lecz sen jest moim doradcą. Zdarzyło mi się jednak nie spać dni cztery. Sen bardziej mię pokrzepia niż jedzenie, gdyż jadam niewiele. Z rana filiżanka herbaty z jednym lub dwoma sucharkami solonemi: o godz. 1-szej obiad z trzech potraw, gdym

w mieście, — z jednej potrawy, na wsi; wieczorem około 7-ej herbata i kawałeczek zimnego mięsa gdy jest, a w braku tegoż owoce.

Jak się to człowiek starzeje! 10 kwietnia kończę już lat 30! Niezadługo pewnie zacznę łysieć i siwieć, no i pasa popuszczać, bo i to stanowi podobno ozdobę dojrzałego wieku; jednem słowem stanę się poważnym *épouseur*'em u was, a starym kawalerem w Australii. Tutaj ludzie się żenią bardzo młodo i rzadko dla posagu. *Marry for love, and work for monney* (żeń się z miłości, pracuj dla pieniędzy), mówi tutejsze przysłowie. Rodzice wydając córki zamąż, rzadko posag dają, najbogatsi nawet powstrzymują się od tego chwalebnego u nas zwyczaju. Pan młody musi sam wszystkie wydatki ponieść, musi mieć nawet własną zastawę i bieliznę stołową, bo mu jej panna nie wniesie. Mam tu znajomego, p. F. Mac Gnade, — ożenił się z panną Skarrat. Ojciec jej jest właścicielem kopalni „Mount Morgan", ma 190.000 ff. rocznego dochodu, a młodzi żyją z dochodów swoich, wynoszących zaledwie kilkaset ff. rocznie. Przypomina mi się ustęp z listu wuja K.: „Ty jak się chcesz żenić, to się żeń z Polką, po co masz dla innych pracować, Matka ci coś dobrego wyszuka". Oczywiście, że w tym składzie rzeczy, trzeba będzie chyba z Polką się żenić; niech nie będzie powiedziano, że starszych i ich rad doświadczonych nie słucham. Otóż jak trochę jeszcze dojrzeję, podłysieję i utyję, a będę mógł do Europy przyjechać, to się udam z pokorną prośbą do Matuli, no i Wujka, kiedy taki doświadczony w tych sprawach...

Sydney, 2 kwietnia 1890.

...Piętnastego maja b. r. wspólnik mój, p. Buhrow, jedzie za naszemi sprawami do Europy i Ameryki w celu uregulowania i rozszerzenia naszych stosunków. Proszę łaskawie powiedzieć o tem Wujom, aby jeśli zechcą australską wełnę importować, niech się z nim zniosą, a będziemy może razem interesa prowadzić...

Sydney, 8 maja 1890.

...Wracam raz jeszcze do winnicy mojej, założonej trzy lata temu. Powinienem był i mógłem już mieć z niej dochód; lecz zeszłoroczne posuchy tak uszkodziły większą część roślinek, iż bojąc się je osłabiać, dopuszczając do owocu, wszystko równo z ziemią obciąć kazałem. Dziś winnica tak jest ładna i silna, jak rzadko; gałązki nie-

których mają od 18—25 stóp długości. Winnica składa się z trzech kawałków, z których największy, 22 morgi mający, zasadzony na górze, około domu, jest najlepszy. Między winnicami na ziemi, której orać nie można, bo zbyt kamienista, mam drzewa owocowe, przeważnie jabłonie; prócz tych mam wszystkie inne owoce, począwszy od agrestu, aż do owoców podzwrotnikowych, jak: banany, granaty i t. d., lecz te tylko w małych ilościach, dla własnego użytku. Wątpię bym mógł na rok przyszły mieć własne wina; sprzedam winogrona memu nowemu sąsiadowi, p. Frère. Ma on rozległe winnice w Albury, w północnej Australii, tam jednak, dla zbytnich upałów, niektóre gatunki mu się nie udają. Zwiedzając Nową Południową Walię, był i w Grodnie, gdzie winnica tak mu się podobała, iż podał artykuł o niej w *The Sydney Morning Herald* z 4 kwietnia 1890, a następnie sam nabył ziemię w mojem sąsiedztwie. Jemu więc sprzedałem wszystkie winogrona po 6 ff. za tonnę.

Sprowadziłem z Krakowa dwa wózki na drążkach, jako próbki, bo mi się zdaje, że powinny się tu podobać, w takim razie brać będę obstalunki w komis. Przyszedł mi także pierwszy ładunek soli adeńskiej i 40.000 papierosów rosyjskich na próbę.

Pan Buhrow wyjeżdża za dwa tygodnie do Europy. Dam mu listy rekomendacyjne do niektórych osób, jakoteż i do was. Oprócz dawnego mego biura musiałem donająć nowe na York lane nr. 13; używam go na skład towarów; są przy nim dwa małe pokoiki, w których mieszka jeden z moich urzędników, p. Karwat, przez to jest tam ciągła opieka. Co do mieszkania własnego: wyprowadziłem się z francuskiego klubu do prywatnego domu, lecz mi tu nie lepiej; wysoko, a do tego dzieci hałasują, spać nie dając; będę się starał o jaki cichszy kątek.

Sydney, 5 lipca 1890.

Jadę na parę dni do Grodna, by dopilnować cięcia winnicy. W przyszłym tygodniu posadzę paręset drzewek jeszcze. W całej prawie winnicy dałem drzewkom paliki; wielki to wydatek: 1000 palików kosztuje 2 ff. 10 szyl., prócz zaostrzenia, zwiezienia i wbicia, a ja takowych musiałem kazać zrobić 16 tysięcy. Śliczne to moje Grodno! nietylko dla Australii, ale i w Europie niktby się go nie powstydził. Byle mi się opłaciło!...

(C. d. n.).

Wrażenia z drugiego zjazdu literatów i dziennikarzy polskich.

Nie przebrzmiały jeszcze echa zjazdu pedagogów, brzmiały właśnie wiwaty i toasty na ich cześć wznoszone; kiedy nie mogący sobie rościć prawa do urzędowego tytułu pedagogów, ale w gruncie rzeczy na szczęście, czy raczej nieszczęście, nie tu miejsce dyskutować) niemniej istotni pedagogowie społeczeństwa: literaci, dziennikarze, zebrali się razem w gościnnych salach lwowskiego Koła artystyczno-literackiego, aby przed przyszłemi turniejami oko w oko sobie spojrzeć, przyjazną dłoń uścisnąć, grzecznie wyciągniętą potrząść. Wedle urzędowego programu, mieli uczestnicy zjazdu na pierwszym tym raucie wzajemnie się zaznajomić; trochę trudne zadanie, tyle nowych twarzy przed oczami się przesuwa; tyle nazwisk, nie nowych wprawdzie, ale dotąd wyłącznie z dziennikarskiej bibuły, z książkowego welinu znanych, do uszu wpada. To też cały czas zjazdu, wszystkie następne rauty, obrady, przyjęcia, są właściwie naturalnym dalszym ciągiem wstępnego owego zapoznawczego rautu; poważne nawet obrady nieraz w rodzaj rautu się zmieniają; a choć garstka pilniejszych słuchaczów objawia rozmawiającym i szepczącym niedwuznacznie swe niezadowolenie, choć nawet czasem dzwonek przewodniczącego zbyt głośno rozmawiających do milczenia przyzywa — trudno nie przyznać, że w tych właśnie konferencyach, rozmowach, zapoznawaniach się, tkwi najważniejsze praktyczne znaczenie całego walnego sejmu dziennikarskiej braci. Czerwony, purpurowy radykał staje wobec czarnego jak smoła Jezuity; zażarty „liberał“ z niemniej zażartym „konserwatystą“ się spotyka — i wzajemnie sobie się dziwią, że jak pierwszy tak drugi, jak trzeci tak czwarty, nietylko twarz człowieczą mają, nietylko głosem ludzkim mówią, ale w dodatku mówią po polsku, a nawet na niejedną, nietylko już polską, ale ogólnie-ludzką fundamentalną zasadę zupełnie ze sobą się godzą. I mimowoli, przy drugiej, przy trzeciej rozmowie nasuwa się pytanie: „Czemuż my sobie dotąd zawsze tylko przeszkadzali; czemuż nie szliśmy razem, tam gdzie jedne zasady i cele; czemuż tam, gdzie cele te i zasady ze sobą się rozchodzą, podejrzywaliśmy się o brak dobrej woli, i zamiast lojalnie i w spornych tylko kwestyach się potykać, używaliśmy nieraz strzał zatrutych; czemuż,

byle rozszerzyć pożogę w nieprzyjacielskim obozie, nie pytaliśmy, czy i własne nasze namioty od tego ognia się nie zajmą?“...

Pytania te cichaczem każdemu się nasuwają; wielu głośno się z niemi odzywa; wielu głośno się odzywając i rozglądając się po przybyłych i wciąż przybywających, wyraża żal, że nie wszystkie polskie publicystyczne centra poczuły się do obowiązku wysłać na zjazd swych przedstawicieli. Petersburg, Warszawa wysłać oczywiście nie mogły, i o to nikt ich nie wini. Ale czemu dwa najgłówniejsze organa poznańskie, które przecież wogóle i dziś zwłaszcza nie należą wcale do propagatorów polityki abstencyjnej, tutaj się jej chwyciły? Czemu, kiedy słyszeć się dały bardzo i do zbytku ostre zarzuty przeciw najstarszemu i bądź co bądź bardzo poważnemu i wpływowemu krakowskiemu pismu — nie było nikogo z grona jego redakcyi, któryby mógł i chciał z dostateczną znajomością rzeczy na zarzuty te odpowiedzieć? Kiedy ich niema, to my ich bronić nie będziemy — mówili między sobą bardzo poważni, a trochę może rozgoryczeni organizatorowie i uczestnicy zjazdu; inni, mniej z galicyjskiemi stosunkami obeznani, nie pytali, czy kto jest do obrony upoważniony, tylko wprost twierdzili: „Kiedy się nie bronią, to widać że bronić się nie mogą!“ — Zawsze przecież szkoda, i dla Krakowa pewien wstyd, jeśliby do Czechów, do Łużyczan, do Kaszubów, do Warszawiaków przedarły się takie mniej pochlebne wieści, i zwolna wyrabiać się zaczęło mniemanie, że właściwem dziennikarstwem galicyjskiem, jest tak dotąd niejednokrotnie okrzyczane dziennikarstwo lwowskie. W czasie całej wystawy składa ono dowód rzadkiej solidarności, bezprzykładnej niemal ofiarności z własnych chęci i niechęci na wspólnym wystawowym ołtarzu; nowy dowód pięknej tej solidarności złożyło na zjeździe, biorąc w nim żywy udział — i to we wszystkich barwach swych i odcieniach; przyczyniając się głównie tym właśnie swym udziałem, że zjazd nie stał się zjazdem dziennikarzy liberalnych, konserwatywnych lub radykalnych, ale był — jak powinien był być — zjazdem „dziennikarzy i literatów polskich“.

Tematów nie brakło, a każdy niemal z przedłożonych tematów zająć musiał żywo każdego polskiego dziennikarza, literata; nie dziw, że w czterech sekcyach, na które zjazd się podzielił, żwawe, często gorące toczyły się rozprawy, a jeśli na co się skarżono, to na zbytnią krótkość wyznaczonego na nie czasu. Istotnie, urzędowo i z góry zgłoszonych, w „Pamiętniku zjazdu“ wydrukowanych referatów było 24: obok nich stanęło parę „korreferatów“, zowiących się tak głównie dla-

tego, że zostały komitetowi przesłane w ostatniej chwili i nie starczyło czasu na ich wydrukowanie; a na właściwe obrady nad wszystkiemi temi, nieraz ważnemi i bardzo ważnemi kwestyami, wyznaczono właściwie jeden tylko dzień. Wprawdzie i następnego dnia, na wspólnem posiedzeniu wszystkich sekcyj w sali ratuszowej, przemawiać i dysputować każdemu było wolno; ale audytoryum tak było mieszane, a w znacznej części tak niespokojne, tak swobodnie i głośno gawędzące, że o poważnych, jakkolwiek wyczerpujących rozprawach mowy na seryo być nie mogło. Zresztą, jak dysputować np. z p. Stan. Szczepanowskim, który w przemówieniu swem: „O potrzebie swojskiego kierunku w naszej literaturze", tyle poruszył filozoficznych, religijnych, społecznych, literackich pytań, że aby choć w części na nie odpowiedzieć, własne swe zdanie wyjawić, a cóż dopiero słuchaczów dla niego zjednać, mówićby trzeba godzin kilka, kilkanaście, lub co lepiej, kilka tomów zapisać?! Jak dyskutować — jeśli kto dyskutowaćby miał ochotę — z d-rem Roszkowskim co do pewnych jego zapatrywań o własności literackiej, kiedy na twarzach, cały środek sali zajmujących, bardzo licznych pań, tak wyraźne przebijało się pragnienie, aby przejść co prędzej do bardziej dla nich zajmującego, lepiej rozumianego przedmiotu; przejść wśród grzmotu oklasków, wśród okrzyku uwielbienia, ale — przejść. To też chodząc po sali, po korytarzach, na których męscy uczestnicy dziennikarskiego parlamentu, parlamentarnym zwyczajem gęstemi szeregami spacerowali, spotkać się można było raz po raz z pytaniem: „Po co tu dyskusya?" — z wykrzyknikiem: „Tu dyskusya niemożebna!" — ze zdaniem twierdzącem: „Szkoda, że choć połowy dnia dzisiejszego nie przeznaczono na obrady sekcyjne, gdzie szczuplejsze koło ludzi, pewnego rodzaju kwestyami interesujących się i którym więcej chodzi o treść niż o formę, o popis, mogłoby się ze sobą porozumieć, posprzeczać, a z tych przyjacielskich sprzeczek, iskrę ożywczego światła wykrzesać".

Mało, za mało było czasu na pracę sekcyjną, ale pomimo to — przyznawali to sobie wszyscy z radością — wykrzesały one niemało światła, przyprowadziły do nietylko w chmurach i mgłach nurzających się dezyderatów, lecz i do rezultatów istotnych, praktycznych. Obrady, niestety! — jak to ma, i do pewnego stopnia musi (znowu: niestety!) mieć miejsce na wszystkich tego rodzaju zjazdach — toczyły się jednocześnie we wszystkich czterech sekcyach; kto w jednej zasiadł, kto nadomiar raz w niej do dyskusyi się wmieszał, — a cóż dopiero mówić o biedaku, który referatowy ciężar na barkach dźwigał — ten

już do ławki swej przykuty, ani zamarzyć nie mógł, aby przejść do sąsiedniej sali, choćby go tam najbardziej interesujący przedmiot pociągał.

Do sekcyi językowej najmniejsza mię jeszcze pokusa ciągnęła; domyśleć się naturalnie nie mogłem, że ta właśnie sekcya, nagle w groźny a tajny trybunał się zmieni, który nie odczytawszy aktów [1], nie przesłuchawszy ani oskarżonego (obecnego w tym samym gmachu), ani świadków, rzuci zaoczny potępiający wyrok na dwa pisma, i osądzi że takim wyrokiem naukowy spór się rozstrzyga. Lecz któż domyśleć się, przewidzieć mógł, że taki piorun padnie nagle w spokojne morze poważnych rozpraw o narodowym folklorze, lub o uwzględnieniu narzeczy ludowych w gramatykach?

Gdzie z góry na burzę — oby tylko powietrze oczyszczającą! — można było być przygotowanym, to w sekcyi oświaty ludowej, tem bardziej, że paru znanych agitatorów zajęło w niej stanowisko i z godnym podziwienia sprytem rękę sobie podało, aby wyzyskać kongres dla swych celów; wprowadziło zręcznie do sali obrad całe zastępy swych zwolenników, a przedewszystkiem zwolenniczek, aby z ich pomocą zwycięstwo sobie wywalczyć. Wielu, zwłaszcza niegalicyjskich członków, żaliło się później, że niezmiernie ważne i ciekawe referaty, jak o oświacie ludowej w Poznańskiem, o ludowej literaturze Szląska Pruskiego i Łużyc, o piśmiennictwie i wydawnictwach ludowych na Szląsku Austryackim, traktowano nieco po macoszemu, z pewną tendencyą, aby co prędzej z niemi się załatwić, i dopiero w najbardziej dla ogółu zebranych osobistej, najbardziej umysły roznamiętniającej sprawie oświaty ludowej w Galicyi do boju na ostre wystąpić. Czy tak istotnie było? Trudno temu osądzić, kto tymczasem na innem polu walki musiał kopię kruszyć; ale to pewna, że skargi tego rodzaju nie raz i nie dwa obijały się o uszy; jak również niejednokrotnie obijało się pytanie: Czemu jednemu z mówców, który znany jest z tego, że każde obrady zatruwa kwasem społecznej, klasowej niechęci, pozwa-

[1] Tylko w ten sposób wytłumaczyć sobie możemy parę niekoniecznie parlamentarnych frazesów w komunikacie przyjętym przez sekcyę językową. Kto czytał rozprawę p. Matusiaka: „Panslawizm na Kaszubach“, ten wie, że autor nietylko nic „nie insynuował“, lecz przeciwnie dobrą wolę p. Ramułta wyraźnie brał w obronę. Mówiąc krótko, arcyniemiła to była sprawa, wytoczona w bardzo niewłaściwy sposób — jak zgodnie dziennikarska sekcya uznała.

iano sześć lub siedm razy nad jednym przedmiotem głos zabierać, kiedy w regulaminie wyraźnie było zastrzeżone: „Nikt w tej samej sprawie więcej niż dwa razy mówić nie może“?!

Między „dziennikarzami“ — w ściślejszem tego słowa znaczeniu, na dziennikarskiej sekcyi zgromadzonymi — nie było na szczęście nikogo, któryby sobie wziął za zadanie uniemożliwiać spokojne, przedmiotowe rozprawy; jeśli kto taki na chwilę się zjawił, wychodził co prędzej, widząc grunt dla siebie niesposobny. Padały i tu czasami ostrzejsze, bywało że i bardzo ostre słowa; sypały się zarzuty, bywała czasem obawa, aby padające wokoło iskry płomieniem nie wybuchły — ale czy dziennikarze twardszą mają skórę, czy pancerzem lepszej, wyrozumialszej woli uzbrojeni; dość, że panująca o dziewiątej rano harmonia między czarnymi, czerwonymi, ba! nawet między hebanowymi i purpurowymi, nie została i o piątej, i o szóstej wieczorem naprawdę zakłócona; jakeśmy się serdecznie a przynajmniej zawsze grzecznie witali, takeśmy się żegnali w szerszem jeszcze kole serdecznie, a w każdym razie i ze wszystkimi grzecznie.

Tam gdzie szło o ogólne, narodowe interesa, zgoda była wzorowa: odmienne, nie zasad, ale ich praktycznego zastosowania dotykające wnioski, sformułowane i wypowiedziane były zawsze spokojnie, przedmiotowo. Wzburzyły się dopiero umysły, odezwały się grzmoty i błyskawice ostrzegające o wiszącej w powietrzu, nadchodzącej nawałnicy, — gdy popołudniowi mówcy dotknęli ostrem, może aż zbyt bezwzględnem słowem ran i chorób, na które, zdaniem ich, cierpi dziennikarstwo galicyjskie; gdy wszczęła się arcydrażliwa, jakby z komedyi wyjęta, a naprawdę do niczego nie prowadząca kwestya: Odkąd choroby te datują, i kto im głównie winien: „starsi“ czy „młodsi“ dziennikarze? Co czy kto winien, — pytano już słusznie, szkoda że czasem o jedną nutę za wysokim tonem — że ogólny poziom naszego dziennikarstwa tak się obniżył; że np. o kwestyach i sprawach dotyczących Rosyi tak mało jesteśmy poinformowani; że do dziennikarskich korespondencyj tyle się wciska niedokładności; że drobne, nic nie znaczące fakciki skrzętnie bywają notowane, a o ważnych, całe społeczeństwo obchodzących faktach, o wydanych ukazach, rozporządzeniach, nie znajdziesz ani słowa wzmianki? Co? czy kto winien?

— Winno — twierdzili jedni — skąpstwo redaktorów, którzy wytrawnych i zdolnych współpracowników zniechęcają zbyt nizką płacą.

— Winniśmy sami, — przyznawał bez ogródek jeden z redakto-

rów naszych na kresach — bo nie umiemy dziennikarzy wyrabiać; bo co gorzej, choć niejeden rok na dziennikarskiej pracy spędziliśmy, sami siebie wyrobić, wychować nie potrafiliśmy.

— Tak! wieleśmy sami winni! — streszczał te wyznania, rekryminacye i rezolucye, doświadczony bądź co bądź dziennikarz, członek Wydziału krajowego, p. Romanowicz. — Nie wszystko zapewne tak czarno w dziennikarskiem królestwie, jak niektórzy sądzą i przedstawiają; nie brak w niem i ludzi utalentowanych; — lecz co prawdziwem nieszczęściem, to, że utalentowanemu koledze nie chce się odczytać napisanego już artykuliku przed oddaniem do drukarni; nie chce się zwrócić bacznej uwagi na czystość, na poprawność języka. I jak ma się na nią uwagę zwracać, kiedy praca w redakcyi to wyścigi, kto więcej wierszy napisze, a zatem kto więcej pieniędzy za swą robotę dostanie. Płaca od wiersza, — oto najbardziej demoralizujący element w dziennikarskim zawodzie! Chcecie podnieść poziom naszej prasy, znieście opłatę od wiersza; chcecie pisać jędrnie, poprawnie, czytajcie codzień wieczorem parę kartek ks. Piotra Skargi!...

Przysłowie głosi: „Szczęśliwe ludy, które nie mają historyi"; — szczęśliwa literacka sekcya, z której nie zaleciały w szersze koła odgłosy toczonych walk. Czy ich nie było, czy przy ocenianiu działalności polskiej sceny, w omawianiu wzajemnego stosunku literatury polskiej i ruskiej, w dyskusyi jaką jest, a jaką byćby powinna literacka krytyka — nie zabrzmiały ani razu wojenne surmy: — czy może tylko ich dźwięki niedość były mocne, niedość na nerwach grające, aby echa ich między tłumami się rozeszły, w prasie się odezwały? W każdym, nawet w tym drugim wypadku, szczęśliwa, wyjątkowo szczęśliwa literacka sekcya!...

Ścierały się zdania, toczyły się boje; ze ścierających się zdań tryskała iskra prawdy, po ukończonych bojach łączyły się prawice zapaśników, niejednokrotnie tem silniej i goręcej, im gorętsze spory przed chwilą je rozdzielały. Jakże łączyć się nie miały, gdy w tych kilku dniach wspólnego zbliżenia się, tyle wspólnej, dobrej woli na jaw wyszło; gdy i ci co w bardzo od siebie różnych kierunkach idą, co nieraz już na siebie pióra ostrzyli, przekonali się dowodnie, jak wiele wspólnych ideałów im przyświeca, jak często odmiennemi drogami, ale do tego samego celu dążą. Łączyły się dłonie, a usta — niby streszczając myśl przewodnią, ożywiającą i tych co kongres zwołali, i tych co na nim radzili — powtarzały wspaniałe wiersze, ułożone

na cześć zjazdu przez jednego z jego uczestników, przez wielkiego czeskiego poetę, Jarosława Vrchlickiego:

Po dobie męczarń, wielkich snów, złej doli,
Czas nastał pracy, i dziś wasze życie
To posiew kwiecia na skrwawionej roli,
Aby z pożarów, dymów, nowym ruchem
Do lepszej mety naród szedł powoli.

Ks. Jan Badeni.

Korespondencya Redakcyi.

Z poważnego źródła otrzymujemy następujący: Dopisek do artykułu „Panslawizm na Kaszubach“:

Dla uzupełnienia wiadomości o usiłowanem szerzeniu panslawizmu na Kaszubach, dodaję przedewszystkiem to, że smutną rolę w tych usiłowaniach odgrywający doktor medycyny Floryan Cenowa, rodowity Kaszuba, praktykujący przez wiele lat w Bukówcu w powiecie Świeckim, a jeżdżący od czasu do czasu na kongresy panslawistyczne, przez pewien czas dla wykroczeń przeciw moralności, od rządu pruskiego był pozbawiony prawa do leczenia; że jednakże wkońcu się szczerze nawrócił i umarł pojednany z Bogiem i Kościołem katolickim.

Warto do owego artykułu dopisać też jeszcze jeden szczegół, szerszej publiczności nieznany a jednak mogący być stwierdzonym świadectwem kilku wiarogodnych osób.

Otóż w lecie r. 1880 zjawił się w stolicy Kaszub, w Gdańsku, jakiś p. L....., pisujący artykuły w gazetach też pod nazwiskiem „Zielonka“, i zaczął tam czynić zabiegi celem wydawania tygodnika polskiego. Ś. p. T. J. z J., z którym się zetknął, doradził mu, żeby owo czasopismo wydawał raczej w Pelplinie w drukarni p. St. R. Ów p. L. zamieszkał następnie w J. jako gość p. T. J., a po 2 albo 3 miesiącach przeniósł się do Pelplina. Ów tygodnik miał wychodzić pod tytułem: *Przedświt.* Ale gdy zwrócono uwagę na to, że prostemu ludowi zrozumialszą jest *Jutrzenka,* zgodził się na to. Sprawiono też już odpowiednią winietę wedle rysunku malarza artysty p. St. L. Tymczasem oczekiwane każdego dnia z Polski Kongresowej czy też Rosyi kilka tysięcy rubli na wydawnictwo nie nadchodziły. Aby przyspieszyć

sprawę, ułożył p. L. program owego tygodnika i przesłał go na to miejsce, skąd rubli się spodziewał. Ów program, który mi został przeczytany, naprowadził mnie na domysł, że to agitacya panslawistyczna: bo głównym celem owego czasopisma miało być „budzenie na tych kresach świadomości należenia do wielkiej rodziny słowiańskiej“ — tak mniej więcej brzmiał najważniejszy ustęp. Nadszedł rok 1881. Wydawnictwo było już na poczcie zapowiedziane, ale wstrzymanem zostało dla braku rubli. W miesiącu lutym znikł nagle p. L. Dnia 13 marca zabity został car rosyjski Aleksander II. wskutek wybuchu rzuconej mu pod nogi przez spiskowca bomby. Z niektórych słów p. L., powiedzianych krótko przed wyjazdem, można było wywieść wniosek, że już w grudniu 1880 r. zanosiło się na zmianę polityki rosyjskiej (zamach na cara Aleksandra II. w grudniu r. 1880) i że z tego powodu owych rubli nie nadesłano.

O.

Pelplin, dnia 10 lipca 1894.

Druk ukończony 30 lipca 1894 r.

PRZEBIEG POJĘĆ RELIGIJNYCH U CHIŃCZYKÓW.

Wstęp.

Nazwa Chiny, jaką dają ludy zachodniej Europy temu krajowi, wzięta jest od ludów semickich i hinduskich, które ten kraj nazywały *Tszin* albo *Czina*. Rosyanie nazywają to państwo *Kitaj*, od nazwy ludu zamieszkującego na pograniczu Syberyi. Chińczycy nazywają swój kraj *Czung-Hué*, „Królestwo Środkowe“, z powodu tego, że pierwszy zawiązek państwa powstał w prowincyi Honan, która zajmuje środkowe miejsce kraju. W poezyi nazywają Chińczycy swój kraj „Ziemią Hana“, „Krajem Kwiatów“, *Thien-hia*, tj. „światem, ziemią, tem co leży pod niebem“. Tę ostatnią nazwę niektórzy pisarze europejscy przetłumaczyli: „państwo niebieskie“, i nieraz z nią spotkać się można, choć całkiem niewłaściwie.

Klasyczni pisarze nie mówią o Chinach; czy Pismo św. wspomina ten kraj [1], nie jest rzeczą pewną; wogóle Europa bardzo późno dowiedziała się o istnieniu potężnego i kwitnącego państwa na dalekim Wschodzie azyatyckim. Wtargnięcie hord mongolskich w XIII. w. do środkowej Europy, podróże Marco-Polo

[1] Czy wyraz *Sinim*, jaki spotykamy u Izajasza, tekst hebrajski XLIX. 12, odnosi się do Chin, nie jest rzeczą dowiedzioną.

po Azyi, dostarczyły pierwszych wieści; właściwie jednak misyonarze jezuiccy z XVII. wieku zapoznali nas dopiero z Chinami. Wiadomości, jakie misyonarze nadsyłali o Chinach, wprawiały w podziw uczonych europejskich i wywołały ogólne zaciekawienie.

Kultura, tak materyalna jak i umysłowa, stała w Chinach na wysokim stopniu, a początek jej sięgał w daleką przeszłość. Podczas kiedy tak świetna, w swoim czasie, cywilizacya Aten i Rzymu była jeszcze w powiciu, państwo chińskie znajdowało się już w pełnym rozwoju cywilizacyjnym: znakomite rękodzielnictwo i przemysł kwitły tam na wiele wieków przed naszą erą; podczas kiedy Europejczycy zadawalniali się zapewne skórami zwierząt dla okrycia swego ciała, Chińczycy nosili jedwabie; kiedy pierwsi obywali się niezawodnie czarkami drewnianemi do czerpania wody, ostatni wyrabiali swe słynne porcelany, które i dziś tak poszukiwane i przepłacane są u nas. Wyroby z kamienia, kruszców, drzewa, z sitowia nawet, dokładnością szczegółów, barwnością i artyzmem przewyższają i dziś wyroby europejskie: chińskie laki i barwy są *hors de concours*. Wynalazki, które tak potężnie przyczyniły się do rozwoju kultury w Europie: igła magnesowa, proch, papier, druk — od dawna znane były w Chinach. Cóż dopiero mówić o piśmiennictwie! Dwadzieścia pięć wieków przed naszą erą Chińczycy znali już pismo, i od tego czasu poczęli starannie zapisywać w kronikach znaczniejsze zdarzenia dziejowe swego kraju.

W miarę nadsyłanych wiadomości rosło zaciekawienie. W ciągu dwu poprzednich wieków w samej Francyi wyszło kilkadziesiąt uczonych dzieł, traktujących o Chinach. Przewroty polityczne i społeczne z końcem ostatniego stulecia przerwały na jakiś czas dalsze badania i wiadomości; kilka dopiero dziesiątków lat temu nawiązała Europa dawne stosunki z dalekim Wschodem, a dzięki „armstrongom“, zmusiła państwo „otoczone murem“ do otworzenia sobie portów i bibliotek.

Uczeni europejscy, przedewszystkiem Anglicy, jęli się ciężkiej pracy. Nauczyć się języka, który nie jest podobny do żadnego ze znanych dotąd; zapoznać się z pismem najtrudniejszem,

jakie istnieć może; rozczytać się w tych księgach, które, spisywane od czterdziestu blizko wieków, tworzą całe biblioteki — nie było rzeczą łatwą. Pierwsze lody złamali już byli wprawdzie Jezuici, przyswajając Europie niektóre z dzieł uczonych Chińczyków, lecz teraz należało opanować całą ich wiedzę, zbadać całe ich piśmiennictwo: ciekawość i wytrwałość dokonały tego dzieła. Sinologowie europejscy walczą dziś o lepsze z uczonymi chińskimi co do znajomości piśmiennictwa chińskiego, a jeżeli nie dorównali im w rozwiązywaniu zawiłych trudności językowych, przewyższyli ich jednak co do krytycznego poznania tak całości jako i szczegółów. Sinologowie zapoznali też Europę z głównemi dziełami wybitniejszych pisarzy chińskich, wydając krytycznie opracowane przekłady tych dzieł w językach europejskich. Działalność uczonych europejskich nie ustaje pod tym względem: w Oksfordzie, Londynie i innych miejscowościach istnieją katedry języka i piśmiennictwa chińskiego, specyalne też czasopisma zajmują się kwestyami, odnoszącemi się do przeszłości Chin.

A przeszłość ta nader jest poważna — czterdzieści pięć wieków istnienia! W historyi ludzkości Chiny stanowią jedyny wyjątek; żadne państwo nie trwało tak długo, szczególnie zaś żadne państwo nie może się poszczycić posiadaniem swych dziejów, spisywanych tak skrzętnie i przez tak długi przeciąg czasu. Bogaty materyał kronik chińskich stanowi nieoszacowany skarb dla historyi, nietylko chińskiej, nietylko politycznej, lecz i w znaczeniu szerszem, dla historyi innych umiejętności wiedzy ludzkiej. W niniejszym zarysie zamierzamy zająć się jedynie przebiegiem pojęć religijnych w Chinach; jednakże będziemy musieli potrącić o inne działy historyczne, przedewszystkiem zaś zapoznać się nieco bliżej z tym ludem, jego językiem, piśmiennictwem, i choć w kilku rysach, z dziejowem ukształtowaniem się państwa.

I. Chiny i Chińczycy.

Rasowość Chińczyków. — Pochodzenie rasy żółtej. — Hipoteza „częściowego potopu". — Antropologowie skłaniają się do uznania Chińczyków za rasę przedpotopową. — Język chiński jest jednozgłoskowy, nie jest jednak pierwotnym językiem ludzi. — Pismo chińskie sięga głębokiej starożytności. — Piśmiennictwo chińskie, podział jego na klasyczne i nieklasyczne. — Treściwy pogląd na piśmiennictwo chińskie. — Cywilizacya chińska pochodzi z Babilonii. — Konserwatyzm chiński daje otuchę do odszukania najdawniejszych pojęć religijnych Chińczyków.

Rdzenna ludność Chin, na mocy badań antropologicznych, zaliczana jest do rasy żółtej, posiada bowiem wszystkie znamiona, tak fizyczne jak i umysłowe, które charakteryzują tę rasę; rzecz ta jest pewna, i pod tym względem niema różnicy zdań między uczonymi. Lecz jeżeli popytamy o rodowód tej rasy, wówczas kwestya napotyka przeszkody, najeżone trudnościami.

I rzeczywiście. Jeżeli bowiem odrzucimy polygenizm, pogrzebany już dziś naukowo, wówczas mamy prawo pytać się i dochodzić, od jakiego to potomka Adamowego pochodzi ta rasa. Otóż stare dokumenty, jakie posiadamy, nie dają nam na to pytanie odpowiedzi. W najdawniejszych papyrusach i bibliotekach cegiełkowych nie znajdujemy nic takiego, co byłoby w związku z tym przedmiotem; staro-zendckie i staro-sanskryckie piśmiennictwo milczy również pod tym względem; ta zaś część piśmiennictwa chińskiego, która mówi o protoplastach, nie zasługuje na uznanie, przytacza bowiem najniedorzeczniejsze bajki, obejmujące miliony lat; zresztą rzeczą jest stwierdzoną, że ta część piśmiennictwa powstała późno, po Konfucyuszu. Pozostaje nam, nie najdawniejszy wprawdzie, lecz najwierzytelniejszy dokument — Pismo św.

Mojżesz podaje rodowody Patryarchów, lecz nie wszystkich: zajmuje się przedewszystkiem rodzinami pierworodnemi Seta, głównie zaś tą linią, z której pochodził lud wybrany; o innych gałęziach rodu ludzkiego wspomina tylko ogólnikowo: „N. zrodził syny i córki". Otóż z tego ogólnika żadnych pozytywnych wniosków wysnuć się nie da, mianowicie jakim to ludom dali początek ci „synowie". Zresztą, choćbyśmy mieli dokładniejsze

dane pod tym względem, dochodzenia nasze byłyby bezowocne; jeżeli bowiem wszystkie te „syny i córki“ wraz z potomstwem wyginęli w potopie, wiadomości o ludach przedpotopowych nie doprowadziłyby nas do zamierzonego celu. Lecz tu właśnie przedstawia się nowa trudność: „powszechność“ potopu została zakwestyonowaną. Jak stoi ta sprawa?

Dla wierzącego chrześcijanina rzeczywistość potopu nie ulegała wątpliwości, ponieważ zdarzenie to zamieszczone było w księgach objawionych; jednakże dla obrony właśnie objawienia, pożądaną było rzeczą stwierdzenie tego faktu z innych źródeł. Geologiczne poszukiwania wykazały, że w zamierzchłej przeszłości kula ziemska przechodziła przez wiele potopów, które trwały całemi wiekami, ukształtowały skorupę ziemską i w jej łonie skryły bogate materyały, opatrznościowo przygotowane dla potrzeb, wygód i przyjemności człowieka. Te wszystkie potopy miały miejsce przed ukazaniem się człowieka na ziemi, żaden z nich nie był późniejszy. Geologia tedy nie stwierdza potopu Noego; nie stwierdza, stwierdzić go bowiem nie może, potop Noego trwał zanadto krótko, aby mógł zostawić niestarte ślady swego istnienia. Z tej tedy strony nie otrzymujemy poparcia, lecz za to historya przychodzi nam w pomoc.

Od czasu odkryć egipskich i akkadyjskich, od czasu lepszego zapoznania się z piśmiennictwem Aryów Wschodnich, wyłoniły się nowe dokumenty, odnoszące się do potopu [1]. Dziś już nikt nie śmie powoływać się na encyklopedystów francuskich, którzy płytkiemi dowcipami pokrywali brak gruntownych umiejętności; dziś rzeczą jest stwierdzoną krytycznie, że potop istniał, i żaden historyk temu już nie przeczy [2]. Pozostały jednak trudności co do szczegółów; mianowicie niema dotąd zgody między egzegetami co do skutków, a raczej co do rozciągłości potopu.

[1] Ob. „Źródła historyczne Wschodu“, str. 80 m., 209 i następ. — „Religie Aryów Wschodnich“, str. 105, 265.

[2] Niedawno ukazała się książka, napisana przez liberalnego profesora uniwersytetu zurychskiego, pod tytułem: *Le Déluge devant la critique historique*. Friburg 1893. Autor podaje wyczerpująco prace wszystkich pisarzy, którzy się zajmowali tym przedmiotem.

Trojakie panuje dziś zdanie wśród egzegetów co do „powszechności“ potopu: jedni utrzymują, że potop był „powszechny geograficznie“, tj. że zalał całą kulę ziemską; drudzy, że był „powszechny etnograficznie“, tj. rozciągał się na tę tylko część ziemi, która była zamieszkałą przez ludzi; inni wreszcie sądzą, że był „powszechnym plemiennie“, tj. zatopił tylko te kraje, w których osiedleni byli potomkowie Seta.

Zwolennicy potopu „geograficznie powszechnego“ opierali się głównie na literalnem tłumaczeniu tekstu Mojżesza; trudności jednak, jakie się przedstawiają w tym poglądzie, są tak poważne, że już dzisiaj niema prawie egzegetów, którzyby obstawali przy tem mniemaniu. Natomiast, spór między zwolennikami „powszechności etnograficznej“ i zwolennikami „częściowego potopu“ nie został załatwiony.

Lat temu kilka, toczyły się zacięte walki między temi dwoma obozami. Wśród szermierzy, z obydwu stron, znajdowali się rzeczywiście uczeni mężowie, którym żadna gałąź wiedzy ludzkiej nie była obcą, i których prawowierność żadną miarą podejrzywaną być nie mogła. Dowody, jakie każda ze stron walczących podawała, były gruntowne i doniosłe; do porozumienia jednak nie przyszło, i każdy został przy swem zdaniu. Pomimo to, sprawa potopu wyjaśniła się więcej i postąpiła naprzód, mianowicie kwestya „częściowego potopu“, nieśmiało dotąd stawiana, pozyskała prawa hipotezy możebnej, a nawet prawdopodobnej. Jeżeli tacy egzegeci, jak OO. Knabenbauer, von Hummelauer [1],

[1] W *Stimmen aus Maria-Laach,* 1879 r., t. XVI, O. Hummelauer T. J. zamieścił artykuł pod tytułem: *Diluvium und Sündfluth,* który z powodu bardzo gruntownych wywodów zasługuje na szczególniejszą uwagę. Autor nie wypowiada swego osobistego zapatrywania, nie skłania się do żadnego poglądu, lecz rozbiera rzecz przedmiotowo. Stawia mianowicie dwie tezy:

1. „Es steht dem Exegeten frei, die Sündfluth als eine bloss partielle Überschwemmung der Erdoberfläche aufzufassen.

2. „Es steht dem Exegeten ebenfalls frei, die in Zusammenhang mit der Sündfluth auf andern Punkten der Erde etwa erfolgten Veränderungen auf einen längeren Zeitraum als ein Jahr auszudehnen“.

Przywodzi dowody za i przeciw, przytacza powagi naukowe, i kończy artykuł temi słowy: „Mag hier die schliessliche Entscheidung ausfallen, wie sie will, die Zulässigkeit einer localen Einschränkung der Sündfluth

Breitung [1], Corluy [2] z Tow. Jez., tudzież Oratoryanie: księża Motais [3], Robert [4], pomijając już innych [5], stoją po stronie „częścio-

wird dadurch nicht berührt, und das ist ja für den Zweck vorliegender Auseinandersetzung durchaus genügend".

[1] *Zeitschrift für katholische Theologie*, 1887, vol. IV.

[2] Zwolennik „powszechności etnograficznej", O. Brucker T. J., opierał się na ogólnym *consensus PP.*; otóż O. Corluy taką daje odpowiedź swemu współtowarzyszowi: „L'accord des Pères dans l'affirmation de ce sens typique ne suffit pas, semble-t-il, pour conclure à l'existence d'une tradition apostolique par rapport à ce sens... Les meilleurs théologiens exigent, pour qu'un consensus soit obligatoire et exprime l'enseignement de l'Église, que les Pères parlent comme témoins de la tradition, c. a. d. qu'ils déclarent formellement ou équivalemment leur intention de parler, non pas en leur propre nom, mais au nom de l'Église, de laquelle ils ont appris ce qu'ils enseignent. C'est cet élément que je désirerais trouver dans les paroles des Pères qui traitent de l'universalité du déluge. Or, je viens de relire attentivement les textes cités par mon savant confrère, et je ne puis découvrir cet élément nécessaire que tout au plus chez S. Augustin, *De catechiz. rud.*, puisque ce Père ajoute ces mots: *Interrogandus an haec credit.* Encore je me demande si saint Augustin entendait proposer comme de foi tous les détails de ses explications, ou seulement la substance des choses. ...Il est au moins permis d'en douter. C'est pourquoi, malgré le plaisir que j'éprouverais à rendre les armes à un adversaire aussi courtois que le R. P. Brucker, je dois avouer que, sur ce point précis de la question du déluge, mes doutes ne se sont pas encore dissipés. Il me reste des scrupules que je permets au Révérend Père d'appeler ‚excessifs'; je crois, en effet, qu'il faut pousser le scrupule jusqu'à la limite extrême, lorsque l'on veut, au nom de l'orthodoxie, ‚barrer le passage' à des idées qui demandent à pouvoir se produire au nom de la science". *Science catholique*, 15 mars 1887. — Przytoczyliśmy dosłownie cały ten ustęp, albowiem jest on odpowiedzią na zasadniczy argument zwolenników „powszechności etnograficznej".

[3] Niedawno zmarły ks. Motais, znany ze swych gruntownych badań egzegetycznych, które ogłaszał w różnych czasopismach francuskich i belgijskich, wydał w r. 1885 dzieło pod tytułem: *Le Déluge biblique, devant la Foi, l'Écriture et la Science,* par M. Motais, prêtre de l'Oratoire de Rennes, professeur d'Écriture sainte et d'hébreu au grand Séminaire. Paris 1885. W tem dziele uczony Oratoryanin występuje z całą stanowczością przeciw „powszechności etnograficznej" i stara się dowieść, że hipoteza „częściowego potopu" jest jedynie prawdziwą.

[4] Ks. Robert, Oratoryanin, polemizował z O. Brucker'em w obronie „częściowego potopu". Ob. *Revue des questions scientifiques,* vol. XXI, pp. 137, 409; vol. XXII, p. 488.

[5] W artykułach O. von Hummelauer'a i ks. Robert'a znajdzie czytelnik przebieg historyczny kwestyi potopu i zarazem prace uczonych, tak

wego potopu", już przez to samo pogląd ten, z punktu teologicznego, nabył powagi; a jeżeli teraz dodamy, że spory te toczyły się w poważnych pismach katolickich, i Rzym nie mógł o nich nie wiedzieć, a jednakże milczał, wówczas wywnioskować możemy, że obecnie hipoteza ta katolickiego sumienia nie obraża [1].

Faktem jest, że Księga Rodzaju, zacząwszy od ogólnego początku plemienia ludzkiego w raju, ogranicza następnie coraz więcej swe opowiadania do wybranego szczepu, z którego miał wyjść na świat Zbawiciel. Otóż zwolennicy tej hipotezy sądzą, że już przy opowiadaniu potopu Pismo ma wyłącznie na oku tę wybraną część ludzkiego rodu i jej historyę kreśli, innych zaś szczepów, które może już od dawna w dalekie uszły były strony, nie uwzględnia więcej. W ten sposób rasy żółta i czarna nie należałyby do potomków Noego. Ta hipoteza podoba się szczególnie antropologom, albowiem, jak mówi Lenormant [2]: „oddalając rozłączenie się tych ras z główną linią potomków Adama i umieszczając je w pierwotnej dobie ludzkości, w której wpływy klimatu i środowiska były niezawodnie silniejsze", łatwiej można zrozumieć zmiany, jakie nastąpiły w cechach tak fizycznych jako i umysłowych człowieka.

Charakterystyczne cechy fizyczne Chińczyka są tak wybitne, że na pierwszy rzut oka można poznać, do jakiej rasy należy; otóż do nabycia tych cech wybitnych, przypuścić należy, oprócz stosownego środowiska, długi okres czasu, dłuższy aniżeli ten, jaki rachują od potopu [3]. Co więcej, tę łatwość różniczkowa-

duchownych jak i świeckich, którzy brali udział w tych badaniach. Na szczególną uwagę zasługuje artykuł p. I. d'Estienne, pod tytułem: *Le Déluge biblique et les races antédiluviennes,* umieszczony w *Rev. des quest. scient.,* vol. XVIII, p. 468.

[1] Ks. Thomas, wikaryusz jeneralny z Verdun, w bardzo poważnem dziele, które wydał pod tytułem: *Les temps primitifs et les origines religieuses d'après la Bible et d'après la science.* Paris 1890, 2 vol. — pomimo że jest zwolennikiem „potopu etnograficznego", dodaje jednakże, że „częściowy" potop etnograficzny nie jest do odrzucenia, albowiem: „c'est une opinion qui, d'un jour à l'autre, peut recevoir de la science une confirmation inattendue, et sur laquelle, d'ailleurs, l'Église ne s'est pas prononcée" (p. 264).

[2] *Hist. anc. de l'Orient,* vol. I, p. 219.

[3] Od stworzenia Adama do potopu upłynęło, według tekstu hebraj-

nia typów należy odnieść do pierwszych początków ludzkości, natura bowiem ludzi wrażliwszą musiała być pierwotnie na oddziaływanie środowisk. I tak, z jednej strony, na kilka tysięcy lat przed naszą erą istniały już charakterystyczne typy rasowe, jak to widzimy na pomnikach egipskich; z drugiej zaś, Murzyn przeniesiony kilka wieków temu do Ameryki, nie zatracił ani swego zabarwienia skóry, ani innych cech charakterystycznych; Portugalczycy również, od trzech wieków żyjący w Indyach, są wprawdzie więcej śniadzi aniżeli ich rodacy w Europie, zachowali jednak wszystkie cechy swego pochodzenia aryjskiego.

Cechy też umysłowe Chińczyków wskazują, do pewnego stopnia, odrębność od potomków Noego, przedewszystkiem zaś ich język.

Lingwiści, porównywając z sobą wszystkie języki, rozdzielili je, jak wiadomo, na trzy główne gromady: jednozgłoskowe, aglutynacyjne i fleksyjne. Otóż Chińczycy i ludy azyatyckie wschodnio-południowe mówią językiem jednozgłoskowym; wszystkie zaś inne ludy na całej kuli ziemskiej używają języka aglutynacyjnego lub fleksyjnego; Jafetyci, Semici i Chamici mówią tylko tym ostatnim językiem.

Z powodu języka jednozgłoskowego musimy tutaj zaznaczyć, że dość utarte zdanie wśród badaczy, jakoby język jednozgłoskowy był pierwotnym językiem ludzkości i z czasem dopiero nastąpiło jego przekształcenie, nie ma dostatecznych dowodów, a jakkolwiek takie powagi naukowe, jak Steinthal, Max Müller, Maury, Lenormant, podzielają to przekonanie, niemniej jednak nie wydaje się ono słusznem.

A najprzód sama klasyfikacya języków na jednozgłoskowe, aglutynacyjne i fleksyjne, jakkolwiek dogodna, pisze Whitney [1], nie jest dokładną i nie oddaje dobrze ducha języka.

---

skiego i Wulgaty, lat 1656, według Septanty — 2242 lat, według tekstu samarytańskiego — 1307. Od potopu do powołania Abrahama, według tekstu hebrajskiego i Wulgaty, upłynęło 367 lat, według Septanty — 1147, według tekstu samarytańskiego — 1017.

[1] „La distinction sommaire des langues en monosyllabiques, agglutina-

Dalej, według lingwistów, te trzy gałęzie językowe nie dadzą się sprowadzić do wspólnego pnia [1], a stąd nie można sprawdzić, czy języki aglutynacyjne i fleksyjne rozwinęły się w swym pochodzie dziejowym z języka jednozgłoskowego.

Co więcej, nie jest prawdopodobnem, żeby język aglutynacyjny rozwinął się z języka jednozgłoskowego skutkiem postępu. Ludy murzyńskie i czerwono-skóre żyją napół-dziko w różnych częściach świata; niema żadnych śladów historycznych, żeby ich kultura umysłowa stała niegdyś wyżej, — otóż te ludy mówią językiem aglutynacyjnym; Chińczycy zaś, którzy od czterdziestu wieków znają pismo, bardzo pilnie zajmowali się ciągle piśmiennictwem, ogromne zrobili postępy we wszelkiej kulturze — ci Chińczycy mówią językiem jednozgłoskowym!

Wreszcie, jakkolwiek morfologicznie język jednozgłoskowy wydaje się być na najniższym stopniu rozwoju, w gruncie jednak rzeczy tak nie jest; język chiński, który posiada tak małą liczbę wyrazów, zdolny jest do wyrażenia najzawilszych i najsubtelniejszych myśli i pojęć [2].

Sinologowie nakoniec domyślają się, że jednozgłoskowy język chiński powstał wskutek rozwoju. Douglas pisze: „Język chiński dzisiaj jest jednozgłoskowy, choć, jak to już widzieliśmy, nie jest czysto jednozgłoskowy; rzeczą jest ze wszech miar podobną, że w dawniejszych czasach był on wielozgłoskowym. W języku chińskim znajdujemy bardzo wiele wyrazów z przydechem, co oznacza starcie zgłoski. I tak wyraz *K'an* prawdo-

tives et à flexions, distinction qui est devenue courante et familière, présente un moyen commode, mais peu exact, de se rendre compte des caractères de la structure linguistique". W. D. Whitney, *La vie du langage*, p. 227.

[1] „La science est obligée de les accepter comme foncièrement différents et absolument irréductibles entre eux, impossibles à ramener à une unité primordiale reconstituable". Lenormant, *Hist. anc. de l'Orient*, vol. I, p. 327.

[2] „Nous avons dans la langue chinoise un brillant et surprenant exemple de ce qu'on peut faire en fait d'expression accompagnée de toutes les distinctions que réclame l'esprit, au moyen d'un petit nombre de racines toutes nues et dépourvues d'élément formel. Cette langue nous montre aussi comment on peut avec des racines faire des phrases, en laissant à l'esprit le soin de suppléer à l'expression des rapports". Whitney, *La vie du langage*, p. 248.

podobnie powstał z pierwotnego *Kahan*. Podobne utraty głosek są dobrze znane w innych językach: *hagel* i *regen* przekształciło się w *hail* i *rain; pater* i *mater,* w *père* i *mère*“ [1].

Pytanie, jaki był pierwotny język ludzkości, jakim sposobem, w jakich warunkach nastąpiło jego zróżniczkowanie i rozdział na gromady, zostaje dla nas dotąd tajemnicą; jeżeliby można dowieść, że wieża Babel powstała przed potopem, jak to niektórzy utrzymują, wówczas zagadka byłaby w części przynajmniej rozwiązaną. Na tem przestajemy w tej wycieczce, i wracamy do naszego przedmiotu.

Język chiński jest jednozgłoskowy, a ponieważ organ ludzkiej mowy może wydać bardzo ograniczoną liczbę różnych dźwięków, stąd liczba wyrazów w języku chińskim jest bardzo mała; w gwarze pekińskiej wynosi zaledwie 500, w kantońskiej 700, a najbogatsza gwara *czangczeu* liczy ich 846. Dla powiększenia liczby wyrazów Chińczycy posługują się t o n e m. Każdy dźwięk może być wygłoszony trzema różnemi tonami, a w każdym z nich ma inne znaczenie. Tym sposobem liczba wyrazów wzrasta, lecz pozostaje zawsze nader nizką; właściwego znaczenia nabiera wyraz od miejsca jakie zajmuje w zdaniu: gramatyka chińska polega jedynie na składni i jest bardzo zawiłą.

[1] *China,* p. 346. W innem miejscu czytamy: „It is difficult to point definitive to the origin of the double-words referred to above. It is possible that they may be survivals of polysyllabic words which, owing to phonetic decay, have lost their full expression in the characters which represent them on paper... But there are other combinations of characters, which are unmistakably representations of polysyllabic words, whether native or foreign, and a close examination of any of the dialects shows that these words bear no inconsiderable proportion to the entire number of words“. Douglas, *China,* p. 343.

Tylor przypuszcza również, że język jednozgłoskowy chiński powstał z zawiłego, dawnego języka: „These monosyllable languages are often used to illustrate what the simple childlike constructions of man's primitive speech may have been like. But it is well to mention that Chinese or Siamese, simple as they are, must not be relied on as primitive languages. The childlike Chinese phrases may be not primitive at all, but may come of the falling away of older complicated grammar, much as our own English tends to cut short the long words and drop the inflexions used by our ancestor. Chinese simplicity of grammar by no means goes with simplicity of thought and life“. F. E. Tylor, *Anthropology,* p. 163.

Język chiński jest ubogi w wyrazy, ale za to bogaty w znaki piśmienne. Pismo jest obrazowo-głosowe. Zwyczajnie każdy znak jest złożony ze znaku głosowego, który się wymawia, i ze znaków obrazowych, które wskazują, w jakiem znaczeniu brać go należy. Znaków piśmiennych w chińskim języku jest około 50.000; rzadko się zdarza, aby sami nawet uczeni chińscy mogli czytać dzieła chińskie bez stosownego dykcyonarza.

Chińczycy znali pismo w bardzo dawnych czasach. Uczeni chińscy przypisują wynalazek pisma różnym królom: Fu-hsi, Cang-Czieh i Hwang-Ti. Niema zgody między historykami co do czasu, w którym mieli panować ci władcy; i tak jedni utrzymują, że Fu-hsi począł panować w r. 3252, inni że w r. 3697; tak samo co do Hwang-Ti, rok 2697 lub 2300 przed Chr. uważają jako pierwszy rok panowania tego króla. Sinologowie europejscy utrzymują, że pismo chińskie ma przed sobą przeszłość sięgającą 5000 lat [1]. Taka starożytność pisma każe się domyślać bogactwa pomników piśmiennych, i rzeczywiście Chińczycy posiadają nader dawne i zasobne piśmiennictwo.

Piśmiennictwo chińskie dzieli się na dwa działy: piśmiennictwo klasyczne i piśmiennictwo nieklasyczne. Do pierwszego zaliczają się wszystkie dzieła pisane przez Konfucyusza lub głównych przedstawicieli jego szkoły, a również wszystkie dzieła z dawnych czasów, które otrzymały aprobatę Konfucyusza; do drugiego należą dzieła, które, jakkolwiek sięgają głębokiej starożytności, nie zostały uwierzytelnione przez Konfucyusza; dalej dzieła Lao-ce'go i jego szkoły, a wreszcie dzieła historyków i filozofów późniejszych.

Jakkolwiek klasyczne księgi chińskie przechodziły różne koleje losu, w III. nawet wieku przed Chr. zostały skazane na spalenie rozkazem cesarza Szi-Hoang-ti — jednakże, dzięki zapobiegliwości uczonych, przechowały się do naszych czasów. Uczeni

[1] Ob. J. Legge, *The religions of China*, pp. 8, 59. — De Lacouperie, *Muséon*, vol. XII, p. 49.

sinologowie utrzymują, że księgi klasyczne chińskie, które dziś posiadamy, są wierzytelnemi kopiami, pochodzącemi z I. wieku przed Chr.[1]; te zaś księgi ocalały wśród zniszczenia i w większej części są wierzytelnemi kopiami ksiąg, z czasów Konfucyusza[2]. Tyran, który wydał ten ukaz i przeprowadzał go z nieubłaganą surowością, żył tylko lat trzy; za panowania syna jego prześladowanie zwolniało, wreszcie w lat 11 po wydaniu ukazu nastąpiła zmiana dynastyi; Hanowie, którzy zasiedli na tronie chińskim, nietylko odwołali ukaz, ale dołożyli starania do zebrania i nowego wydania starych ksiąg.

Dzisiejsi uczeni chińscy dzielą swych klasyków na dwa działy: *King* i *Szu*. Dział Kingów rozpada się na pięć części: *Yi, Szu, Szi, Li-Ki* i *Czun-ceu*, drugi zaś dział na cztery: *Lun-ju, Ta-hia, Czung-jung* i *Meng-ce*.

Kingi pochodzą z czasów bardzo dawnych; trzy pierwsze Szu są dziełem Konfucyusza lub jego uczniów, ostatnie Szu jest dziełem Mencyusza.

Księga *Yi-King*, tj. „Księga przemian", wraz z komentarzami należy do starych zabytków piśmiennictwa klasycznego, nie jest jednak najdawniejszą, jak niektórzy utrzymywali[3]. Tekst właściwy składa się ze znaków symbolicznych, które jeżeli miały jakie znaczenie — znaczenie to było tajemnicze, stąd wielkie zaciekawienie, a większa jeszcze dowolność w tłumaczeniu tych rzekomo głębokich myśli. Sam Konfucyusz miał podobno wy-

[1] „In fine, the evidence is complete that the Classical Books of China have come down from at least a century before our Christian era, substantially the same as we have them at present". Legge, *The Chin. Clas.*, vol. I, Prol., p. 6.

[2] „From all these considerations we may proceed with confidence to consider each separate Work, believing that we have in these Classics Books what the great sage of China and his disciples gave to their country more than 2000 years ago". Legge, *The Chin. Clas.*, vol. I, Prol., p. 11.

[3] „The fact is, that not a single character in the Yi is older than the twelth century B. C. The text of it, not taking in the appendixes of Confucius, consists of two portions, — from King Wân, and from his son, the duke of Châu. The composition of Wan's portion is referred to the year 1143 B. C." J. Legge. *The religions of China*, p. 37.

soko cenić tę księgę i pisać jej komentarz. Yi-King wraz z komentarzami była przetłumaczoną kilkakrotnie na języki europejskie; jednem z lepszych tłumaczeń, które pochwalone zostało przez samego J. Legge'a, jest tłumaczenie O. Angelo Zottoli w dziele, które nosi tytuł: *Cursus Litteraturae Sinicae.* O. Zottoli jest zdania, na co zresztą zgadzają się i inni badacze, że Yi-King służyła do przepowiadania przyszłości, do wróżenia [1]; z tego powodu ani sama księga, ani jej komentarze nie odpowiadają naszemu zadaniu, i na nie powoływać się nie będziemy [2].

Księga Li-Ki, tj. „Zbiór obrzędów", byłaby ważnym bardzo dokumentem dla naszego przedmiotu, gdyby sięgała dawnych, pierwotnych czasów. Niestety jednak tak nie jest. Li-Ki, która istniała za Konfucyusza, zawierała obrzędy, jakie zaprowadzone były za dynastyi Czeu; Li-Ki zaś, którą obecnie posiadamy, według zdania J. Legge, jest zbiorem ustaw, liturgij i obrzędów, jakie się ustaliły za dynastyi Hanów, a więc pochodzi właściwie z II. w. przed Chr. Z tego powodu Li-Ki nie może nam dać żadnych wskazówek co do pojęć religijnych Chińczyków z czasów pierwotnych.

Wreszcie kronika *Czun-ceu,* omawiająca wypadki historyczne z VIII. najdalej wieku przed Chr., nie może nam służyć za źródło do naszych badań.

Pozostają nam dwie księgi: *Szu-King* i *Szi-King,* nadzwyczaj cenne, tak co do swego pochodzenia, jak i co do treści.

Najdawniejszą ze wszystkich ksiąg chińskich jest zbiór

[1] Oto co pisze O. Zottoli: „Nil igitur sublime aut mysteriosum, nil foedum aut vile hic quaeras; argutulum potius lusum ibi video ad instructiones morales politicasque eliciendas, ut ad sacietatem usque in Sinicis passim classicis, obvias, planas, naturales; tantum, cum liber iste, ut integrum legenti textum facile patebit, ad sortilegii usum deductus fuerit, per ipsum jam summum homo obtinebit vitae beneficium, arcanam cum spiritibus communicationem secretamque futurorum eventuum cognitionem; theurgus igitur visus est iste liber, totus lux, totus spiritus, hominisque vitae accommodatissimus". *Op. cit.*

[2] „As an authority for the ancient religion of China, the Yi is by no means equal to the Shû and the Shih". J. Legge, *Op. cit.,* p. 37.

kronik, znany pod nazwą *Szu-King;* niektóre jego części sięgają XX. w. przed Chr. [1].

Rzeczą jest historycznie pewną, że za czasów dynastyi Czeu (XII. w. przed Chr.) istniały archiwa państwowe, urzędnicy, mający obowiązek spisywania wydarzeń dziejowych, a jakkolwiek mniej jest dowodów, przekonywających że tacy kronikarze istnieli i dawniej, mianowicie za dynastyi Szang i Hia, Legge z innymi uczonymi sądzi, iż na 2000 lat przed Chr. istniały już kroniki chińskie [2].

Szu-King składa się dzisiaj z 58 ksiąg, które pochodzą z różnych czasów. Najdawniejsze dwie księgi opisują zdarzenia historyczne, zaszłe podczas panowania królów Jao i Szun, a więc od r. 2357 do r. 2207 przed Chr. Jakkolwiek rzeczą jest prawdopodobną, że Chińczycy znali już wówczas pismo, jednakże powszechnie utrzymują, że te kroniki nie pochodziły od pisarzy współczesnych, lecz spisane były przez późniejszych historyków, którzy je znali z podania lub ze źródeł historycznych, z dawniejszych kronik. Co się tyczy ksiąg innych, jest wielkie prawdopodobieństwo, że były spisywane współcześnie z wypadkami; nie ulega zaś żadnej wątpliwości, że księgi Czeu, począwszy od XII. w. przed Chr., są kronikami współczesnemi.

Szi, albo *Szih,* jest zbiorem poezyj i składa się z 305 hymnów; z tych kilka, mianowicie sześć, sięgają głębokiej starożytności, prawdopodobnie XVIII. w. przed Chr.; największa część jednakże zebraną została za dynastyi Czeu, a więc z XII. w. przed Chr., najpóźniejsze z czasów Konfucyusza [3].

Wszystkie Kingi istniały już za czasów Konfucyusza i od

---

[1] „The Shû is the oldest of the Chinese classics, and contains documents more than a thousand years earlier than King Wăn". J. Legge, *The Sacr. books of the East,* vol. XVI, p. 7.—A ponieważ król Wan panował około roku 1142. stąd niektóre części księgi Szu sięgają XX. wieku przed Chr.

[2] „There can be no doubt that about 2000 years before our era the art of writing was known in China, and that it was exercised in the composition of Documents of the nature of those which we read in the Shoo King". Legge, *The Chin. Clas.,* vol. III, p. I. Prol. p. 2.

[3] „Several pieces of the Shih King are older than any thing in the Yi". J. Legge, *Op. cit.,* p. 7.

niego otrzymały potwierdzenie swej wierzytelności; otóż zachodzi tu pytanie nader ważne, zwłaszcza ze względu na nasz przedmiot, a mianowicie: czy Konfucyusz pozostawił je takiemi, jakiemi były, czy nic w nich nie zmienił, czy nie starał się, przez wtręty, naciągnąć je do swych zapatrywań? Otóż, z wyjątkiem kilku skrajnych racyonalistów europejskich, żaden z uczonych sinologów nie zarzucił tego fałszerstwa Konfucyuszowi. Przyczyny zaś tego są jasne. Najprzód zacność charakteru Konfucyusza: filozof chiński brzydził się wszelkiem kłamstwem i fałszem, wszystkie jego słowa, całe jego życie, są tego dowodem. Dalej, jeżeli gdzie, to właśnie w Chinach takie fałszerstwo nie uszłoby niepostrzeżenie i bezkarnie. Tutaj nie jeden lub drugi uczony zajmował się piśmiennictwem, ale cała warstwa ludności, licząca się na tysiące: tak stare jak i nowe księgi były w ich ręku, żadne zmiany nie mogły ujść oka. A jeżeli teraz dodamy, że wśród tych uczonych znajdowała się potężna szkoła Lao-ce'go, wręcz przeciwna Konfucyuszowi, wówczas rzeczą jest jasną, że uczniowie Lao-ce'go nie byliby omieszkali korzystać ze sposobności ogłoszenia Konfucyusza fałszerzem, skoroby go byli przydybali na gorącym uczynku — otóż wśród pisarzy chińskich nic podobnego się nie znajduje, żadnej o tem wzmianki, chociaż przechowały się liczne księgi przeciwników Konfucyusza. Wreszcie, pomijając inne dowody, zamieścimy tu najważniejszy, mianowicie że właśnie tak w Szi-King jak i w Szu-King, które otrzymały aprobatę Konfucyusza, znajdują się zapatrywania religijne zupełnie sprzeczne z pojęciami filozofa chińskiego [1].

[1] C. de Harlez broni doskonale Konfucyusza i wnioskuje: „Ainsi donc style, contenu, circonstances extérieures tout concourt pour prouver que Kong-tze n'a point altéré le Shu-King pas plus que le livre des Odes". *Les religions de la Chine*, p. 28. — Tak samo utrzymują i inni sinolodzy:

„The question has, indeed, been raised, whether he did not make changes in the ancient creed of China, but I cannot believe that he did so consciously and designedly. Had his idiosyncrasy been different, we might have had expositions of the ancient views on some points, the effect of which would have been more beneficial than the indefiniteness in which they are now left, and it may be doubted so far, whether Confucius was

Misyonarze nasi zapoznali nas pierwsi z klasykami chińskimi [1]; w ostatnich czasach dzieła te zostały dokładnie przetłumaczone na wszystkie niemal języki europejskie [2].

Do działu piśmiennictwa nieklasycznego należą stare zapiski historyczne, których nie wciągnął Konfucyusz do swego wydawnictwa, dzieła Laoceistów i innych pisarzy z nowszej epoki. Dział ten niemniej jest ważny dla nas od poprzedniego, przedewszystkiem zaś stare zapiski historyczne, sięgające czasów, które poprzedziły królów Jao i Szuna; światło, jakie rzucają na tę epokę, dozwala zrozumieć ukształtowanie się państwa chińskiego, szczególnie zaś jego rozwój cywilizacyjny.

Dla historyka, a w ogóle dla myśliciela, historya Chin, jak się przedstawia na tle klasyków, byłaby zagadką nierozwiązalną, zdarzeniem wyjątkowem. Gdzieś, na dalekim Wschodzie, bez żadnej styczności z ludami innych krajów, urobiło się potężne państwo, w którem kultura stała na wysokim stopniu, i to w bardzo odległej starożytności, sięgającej kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt, wieków przed naszą erą, zanim jeszcze Jawanowie zajęli „Liść morwowy“, kiedy większa część potomków Jafeta błąkała się po Azyi, lub koczowała w borach Europy! Otóż stare kroniki chińskie wyświecają rzecz; geneza cywilizacyi chińskiej nie stanowi wyjątku: kraje, które były kolebką rodu ludzkiego, były także kolebką cywilizacyi, pierwsze zawiązki kultury dostały się do Chin z Babilonii.

not unfaithful to his guides. But that he suppressed or added, in order to bring in articles of belief originating with himself, is a thing not to be charged against him“. Legge, *The Chinese Classics,* vol. I, Prol., p. 99.

[1] „The older is in French, and was the Work of Father Gaubil, one of the ablest of the many able Jesuit Missionaries of the early part of last century“. Legge, *Op. cit.,* vol. III, p. I, Prol. p. V.

[2] P. Straszewski w „Zarysie dziejów filozofii“, str. 215 i następ.. daje obszerne bibliograficzne zapiski, odnoszące się do piśmiennictwa chińskiego.

Stare chińskie zapiski historyczne są liczne [1], a jakkolwiek nie wszystkie są wierzytelne, jednakże znaczna ich część, rozebrana krytycznie, otrzymała uznanie uczonych chińskich i europejskich. Lao-ce, współczesny z Konfucyuszem, i jego uczniowie, wydali wiele ksiąg z tego piśmiennictwa; znakomity historyk chiński z ostatniego wieku zeszłej ery, Szema Tien, na mocy tych kronik napisał historyę Chin; sinologowie europejscy przyznają wagę tym dokumentom [2].

Konfucyusz nie zamieścił tych kronik w swoim zbiorze, dlatego że nie rozumiał zdarzeń tamże opisanych, a rozumieć ich nie mógł, albowiem i dla nas byłyby one zagadką, gdybyśmy byli nie otrzymali z Mezopotamii klucza do ich wyjaśnienia. Zresztą Konfucyusz nie był historykiem, lecz tylko patryotą chińskim, chciał podać jedynie historyę państwa i ludu chińskiego, jako takiego, tj. zacząć od czasu, w którym różne ludy, wchodzące w skład państwa, wyrobiły już były w sobie i skrystalizowały cechy, które uwydatniły charakter chiński. Filozof z Lu pominął milczeniem królów, którzy poprzedzali Jao i Szuna, albowiem dawniejsi mocarze byli cudzoziemcami, choć panowali w Chinach, poprzednicy zaś ich nie znali nawet Chin, i wszystkie zdarzenia, opisane w kronikach a odnoszące się do tych królów, były wspomnieniem tylko wypadków, jakie zaszły w ich rodzinnym, dalekim kraju.

[1] „The second subdivision contained the Works of the Taouist school, amounting to 993 collections, from 37 different authors. The sixth subdivision contained the Mihist writers, to the number of 6, with their productions in 86 collections. I specify these two subdivisions, because they embraced the Works of schools or sects antagonist to that of Confucius, and some of them still hold a place in Chinese literature, and contain many references to the five Classics, and to Confucius and his disciples". Legge, *The Chin. Clas.*, vol. I, Prol., p. 10.

[1] De Lacouperie pisze: Z tego, że Konfucyusz nie umieścił tego piśmiennictwa w swym zbiorze, „il ne faudrait pas conclure, que ces traditions anciennes soient moins authentiques au point de vue de l'antiquité littéraire que les documents qui nous sont parvenus avec le cachet et sous l'autorité de Confucius et de son école. En fait aucune des deux grandes écoles n'est préferable à l'autre en ce qui concerne le sentiment historique". *Muséon*, t. XII, p. 39.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że najdawniejsze zapiski chińskie odnoszą się do zachodniej Azyi, do ludu, który przejął cywilizacyę z Akkadyi i zaszczepił ją w nowo osiedlonym kraju na dalekim Wschodzie. Legenda chińska o „Potopie“ pochodzi z tego samego źródła co i akkadyjska opowieść *Sin-liki-nunini* [1]; „Ludzie-ryby“, wynoszące z wód tablice pisane, są powtórzeniem legendy Oannes'a [2]; tak samo się rzecz ma z „Drzewem żywota“ i „Zwierzęciem“, matką nieba i ziemi [3]; wreszcie nazwiska królów i książąt, którzy mieli w tej epoce panować w Chinach, są identyczne z nazwiskami monarchów, które znajdujemy na cegiełkach klinowych [4].

Zestawiając stare zapiski chińskie z wiadomościami historycznemi, znanemi skądinąd, przychodzimy do prawdopodobnych wyników, które nam wyświetlają powstanie i rozwój kultury państwa chińskiego.

W wieku XXIV. przed Chr. Bakowie, albo Baczowie, lud zamieszkujący kraje leżące na południe od morza Kaspijskiego, wskutek niepomyślnych wojen z Elamitami, którym podlegali, opuścili gromadnie dotychczasowe swoje siedziby, podążyli w kierunku północno-wschodnim i przebywszy rzekę Żółtą, Hwang-ho, usadowili się w Honan. Te gromadne przesiedlania się ludów były dawniej na porządku dziennym w Azyi, znane są dobrze w historyi, a niedawno jeszcze przeszło pół miliona Kałmuków przesiedliło się z Syberyi do Chin. Jeżeli zaś zauważymy, że w czasach właśnie o których mowa, wskutek zwycięskich podbojów króla Elamu, Kudur Nak-Khunte'a, biblijnego Chodor-lahomera, nastąpiły zmiany w ustroju państw zachodniej i środkowej Azyi

[1] *The Deluge tradition and its remains in Ancient China,* w *Bab. and Orien. Rec.,* vol. IV, pp. 15 i następ.

[2] *The fabulous Fish-men of Babylonia and China,* w *B. O. R.,* vol. II, pp. 221 i następ.

[3] *The tree of Life* w *B. O. R.,* vol. II, p. 149 i następ. *Traditions of Babylonia in early Chinese documents,* w *Academy,* nov. 17, 1883.

[4] J. Legge, *Chinese classics,* vol. V, pp. 5 i następ.

i gromadne przesiedlenie ludów, — wówczas zapiski chińskie należy policzyć do rzeczywistych zdarzeń historycznych.

Do jakiego szczepu należał lud, który wtargnął do Chin — nie wiadomo; niektórzy sądzą, że to był lud semicki, inni utrzymują, że to byli Jafeci, o „jasnych włosach i oczach błękitnych", które sławią Szi-King, tem bardziej, że są ślady aryjskich osiedleńców w Anamie: w każdym razie był to lud, który choć nie pochodził wprost z Babilonii, stamtąd zaczerpnął kulturę, stał na wysokim stopniu cywilizacyjnym i tę cywilizacyę zaszczepił w Chinach. Podania o „Potopie", o „Drzewie żywota" i inne, o których wspomnieliśmy wyżej, dowodzą łączności tego ludu z ludami Babilonii, a cała cywilizacya chińska, która datuje od tej epoki, znamionuje wymownie swe pochodzenie babilońskie. Astronomia chińska wzięta jest żywcem z Akkadyi, podział czasu jest ten sam; pierwsze próby pisma wskazują na wzory akkadyjskie; urządzenia polityczne i społeczne, budownictwo i sztuki noszą ślady pochodzenia akkadyjskiego. Wreszcie niektóre płody ziemi, jak pszenica, jęczmień, czosnek, śliwa i inne, znane w Chinach dwadzieścia wieków przed naszą erą, ponieważ są przyrodzonemi płodami Mezopotamii, stamtąd musiały być sprowadzone. Poszukiwania sinologów, zwłaszcza angielskich, umieszczane w różnych czasopismach [1], wykazują dowodnie genezę cywilizacyi chińskiej i jej łączności z cywilizacyą babilońską [2].

Bakowie weszli do Chin pod wodzą Hu Nak-Khunte, a jak dziś wymawiają: Ju-Naj-Hwang-ti, który pod nazwą utartą już

[1] Ob. *Babylonian and Oriental Record: Academy: Nature: Muséon,* z ostatnich lat: *The Origin of the Chinese,* by I. Chalmers: *Chinese classics, Introduction,* by J. Legge: *China's Place in Philology,* by Edkins: i inne.

[2] Oto co pisze de Lacouperie: „Les Baks ainsi que nous l'avons vu dans le *Babylonian and Oriental Record* de Mars 1889, ont introduit en Chine environ 120 items de la civilisation Chaldéo-Elamite. Nous les avons énumérés selon qu'ils appartiennent: 1) Aux Sciences et aux Arts: 2) à l'Ecriture et à la Littérature: 3) aux Institutions politiques et à la Religion: 4) aux Traditions et aux Légendes. Cette liste que nous avons publiée à correction est déjà susceptible de recevoir des additions". *Muséon,* vol. XII, p. 55.

Hwang-ti uznawany jest za pierwszego władcę Chin. Stare kroniki mówią o innych królach, którzy poprzedzili Hwang-ti, lecz rzeczą jest pewną, że ci królowie panowali w dawnej ojczyźnie Baków, a stąd do Chin zaliczonymi być nie mogą. Potomkowie Hwang-ti przez kilka wieków zdołali utrzymać się na tronie; nie byli jednak chętnie widziani przez tuziemców, skoro Konfucyusz nie umieścił ich w poczcie królów chińskich. Pierwszym władcą Chin, według filozofa z Lu, był Jao, który aczkolwiek po mieczu był Bakiem, po kądzieli jednak był już Chińczykiem. Widoczną jest rzeczą, że jakkolwiek tuziemcy Chin chętnie przyjęli cywilizacyę przybyszów, nie zatracili swej odrębności rasowej: stateczność rasy chińskiej, wytworzona długiemi wiekami, pozostała w całej pełni.

Rdzenna ludność Chin należała niezawodnie do rasy żółtej; to co kroniki mówią o „czarnych głowach“ [1], do tego stosuje się ludu; a jakkolwiek podczas kilkudziesięciu wieków napłynęły do Chin inne rasy i szczepy, Chińczycy jednak przechowali dotąd charakterystyczne znamiona tejże rasy. Rzecz ta łatwo się tłumaczy.

Według tego co wiemy z historyi, oprócz Baków, jedynie Mongołowie zapuszczali swe zagony w granice Chin i tamże się osiedlali; otóż ani jedni, ani drudzy nie mogli w danych warunkach wpłynąć na przeobrażenie rasy miejscowej.

I tak Bakowie, jakkolwiek typowo różni od tuziemców, byli nader nieliczni, znani są bowiem w kronikach pod nazwą „stu rodzin“. Zapewne wyraz „rodzina“ należy tu brać w znaczeniu „plemienia“, jak to czasem przychodzi i w Piśmie św.; w każdym razie, wobec gęsto osiadłej ludności na urodzajnych „żółtych ziemiach“, poczet Baków był nieznaczny; a skoro z biegiem czasu Bakowie poczęli się mieszać z tuziemcami, nie byli w stanie przekazać swym potomkom swych dziedzicznych znamion, przeciwnie musieli je zatracić.

[1] „Les Baks avaient introduit avec eux l'expression Babylonienne traditionnelle de ‚Têtes Noires‘ pour indiquer la partie forte et capable de la population“. De Lacouperie, *Muséon,* vol. XII, p. 57. Ob. również tegoż autora: *The Blacks heads of Babylonia and ancient China.*

Rzecz się ma nieco inaczej z Mongołami. Mongolskie plemiona na dwadzieścia kilka wieków przed naszą erą zajmowały wielkie przestrzenie północno-wschodniego lądu azyatyckiego, na Zachodzie zaś przytykały niemal do brzegów morza Kaspijskiego. Bakowie w swej dawnej ojczyźnie mieli już jakieś stosunki i styczność z temi ludami. Szema Tan i Szema Tien piszą w swej historyi [1], że książę Kom-gun miał pod swą władzą pokolenia: *Hiung* „Niedźwiedzi", *Pi* „Niedźwiedzi centkowanych", *P'i* „Panter", *Hiu* „Dzików", *Czu* „Lisów", *Hu* „Tygrysów"; otóż jeżeli weźmiemy na uwagę, że nazwy dawane pokoleniom od zwierząt są charakterystyczną cechą ludów scytomongolskich [2], wówczas narodowość Kom-gun'a jest ściśle oznaczoną. Plemiona mongolskie od północy i zachodu otaczały Chiny; od czasu do czasu hordy ich wdzierały się do „państwa środkowego" i w niem się osiedlały. Według podań, królowie pierwszych trzech dynastyj w Chinach nie mieli postaci ludzkich. „Pierwsza dynastya — pisze Pauthier [3] — miała ciało węża; druga miała twarz dziewczyny, głowę smoka, nogi konia; trzecia, twarz człowieka a ciało smoka". Ministrowie cesarza Szuna nosili nazwy: *Czu, Hu, Hiung, Pi*, co znaczy: Lis, Tygrys, Niedźwiedź i Straszny Niedźwiedź. Legge mówi z tego powodu, że „dwór Szuna podobny był do Rady czerwono-skórych Indyan" [4]. Historycy chińscy, powtarzając dawne podanie, przyznają, że do wytworzenia ich narodowości przyczynili się Mongołowie. A wiemy, że i w późniejszych czasach północni Mongołowie i Mandżurowie nie poprzestali swych wycieczek do Chin; słynny mur chiński z takim olbrzymim zachodem i nakładem zbudowany, utrudnił wprawdzie najścia, ale ich nie umożebnił. Dzisiejsi Chińczycy mają bezsprzecznie w żyłach swoich wiele krwi mongolskiej [5], jednakże ponieważ sami

[1] Szema Tien, I, 2 vol.

[2] „Religie Aryów Wschodnich", str. 413 i następ.

[3] *Chine*, p. 23.

[4] *Chinese classics*, vol. III, p. 46.

[5] „Chez les Chinois nous trouvons des traces très accusées de mélange, au moins des types jaune et blanc". *Anthrop.* de Quatrefages, p. 513.

Mongołowie są mieszańcami rasy żółtej, stąd nie mogli zmienić charakterystycznych znamion fizycznych, jakie posiadali tuziemcy.

Rasa chińska przedstawia w dziejach ludzkości osobliwy wypadek szczególnego konserwatyzmu, posuniętego do martwoty. Wpływ fizyczny Baków i Mongołów nie przyczynił się wiele do przeobrażenia pierwotnej rasy, lecz i wpływ ich duchowy był nader ograniczony. Bakowie przynieśli z sobą do Chin nowe pojęcia społeczne i religijne, całkiem nieznane zarody cywilizacyjne, — otóż niektóre z nich tylko przyjęły się w kraju „dzieci Hana", a zarazem przerodziły się w całkiem różne odmiany, inne, jakkolwiek usilnie hodowane, przetrwały czas jakiś, stłumione jednak w końcu zostały bujnością płodów miejscowych. Mongolski wpływ duchowy jeszcze więcej był ograniczony, ślady jego są zaledwie dostrzegalne w społeczeństwie chińskiem. Był również czas, kiedy pojęcia filozoficzno-religijne Hindów znalazły odgłos i miały nawet wielki rozgłos w Chinach, lecz ich wpływ, o ile był obcy zasadniczym pojęciom Chińczyków, był tylko chwilowym i przeszedł niepostrzeżenie, o ile zaś zgadzał się z ich pierwotnemi pojęciami, łatwo się przyjął i ustalił w kraju.

Konserwatyzm objawia się w całem życiu chińskiego ludu, tak w obyczajach, zwyczajach i zajęciach codziennego życia, jak również w życiu duchowem, w jego pojęciach umysłowych i religijnych. Jeżeli o kim, to o Chińczykach powiedzieć można, że „niczego się nie nauczyli ale i niczego nie zapomnieli"; jeżeli zaś to wyrażenie stosuje się do wszystkich objawów życiowych Chińczyków, to przedewszystkiem stosuje się do ich religii.

Religia, jaką wyznają Chińczycy — przekonamy się w dalszym ciągu — nie różni się wiele od religii najdawniejszych mieszkańców tego kraju; nadto pojęcia i obrzędy religijne, które dotąd uważane były za znamiona charakterystyczne chińszczyzny, nie są obce innym ludom, mianowicie zaś ludom rasy czarnej.

Co więcej, zasadnicze pojęcia religijne rasy żółtej i czarnej taki ścisły między sobą mają związek, iż należy przypuścić, że pochodzą z jednego i tego samego źródła, musiały zatem wyrobić się przed ostatecznem rozłączeniem i zróżniczkowaniem ras. Treściwe zapoznanie się z religią rasy czarnej posłuży do lepszego zrozumienia religii Chińczyków i rzuci nieco światła na przebieg pojęć religijnych ludzkości.

(C. d. n.).

Ks. W. Zaborski.

O OBOWIĄZKU KONKURENCYJNYM FILIALISTÓW

na rzecz kościoła i budynków plebańskich parafii matrycznej.

(Przyczynek do dziejów reformy § 9-go ustawy krajowej z dnia 15 sierpnia 1866 r. o konkurencyi kościelnej i parafialnej).

(Dokończenie).

Jakkolwiek brak w prawie kanonicznem ogólnej normy[1] co do obowiązku konkurowania filialistów na rzecz kościoła matrycznego i budynków plebanalnych matrycznych, to jednak z przedstawionego tu stosunku filii do *matrix* wynika, że filialiści tam gdzie należą w skład związku parafialnego jednej i tej samej parafii, od tego obowiązku konkurencyjnego uchylić się nie mogą.

Zachodzi teraz pytanie, czy, w jaki sposób lub z jakiemi ograniczeniami ta zasada prawa kanonicznego u nas winna być przewodnią przy uregulowaniu kwestyi obowiązku konkurencyjnego filialistów, i czy sposób, w jaki to uczyniła krajowa ustawa konkurencyjna z dnia 15 sierpnia 1866 r., odpowiada stosunkom kościelnym kraju i interesom ludności.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ponawiane ciągle

[1] Prawo kanoniczne nie ustanowiło norm takich dlatego, że pozostawia uregulowanie kwestyj konkurencyjnych — zdaniem kanonistów — prawu zwyczajowemu. Kardynał Lambertini, późniejszy papież Benedykt XIV., w uwagach swoich do przepisu soboru Trydenckiego o konkurencyi kościelnej (Sess. 21 de reform. cap. 7) oświadcza: „Si loco statuti vetus ac certa consuetudo afferatur, ob quam privati aliqui cives expensas facere cogantur, tunc ea consuetudo vim legis habere aut retinere debet".

od roku 1880 usiłowania reprezentacyi krajowej, domagające się zmiany postanowień paragrafu 9-go tej ustawy, wywołane zostały istotną i nieodzowną potrzebą ludności, mającej swe źródło we właściwości stosunków kościelnych i parafialnych w kraju. Uznały tę potrzebę i ordynaryaty biskupie, oświadczając się w zasadzie za zmianą tego paragrafu, chociaż co do sposobu i kierunku, w jakich reforma zamierzona poprowadzoną być ma, zdania były podzielone.

Wobec przytoczonych powyżej wymownych uwag ordynaryatu książęco-biskupiego w Krakowie i gr.-katol.-metropolitalnego we Lwowie, tudzież podanych w streszczeniu argumentów, jakie przytaczane były w toku obrad sejmowych nad tym przedmiotem, byłoby może rzeczą zbyteczną, uzasadniać szczegółowo konieczność zmiany postanowień paragrafu 9-go obowiązującej ustawy konkurencyjnej. Na jedno jeszcze zwrócić należy uwagę, to jest na okoliczność, że ciężar podwójnej konkurencyi, osobno na rzecz filii a osobno na rzecz kościoła matrycznego, filialiści zwłaszcza wtedy uważać muszą za krzywdzącą niesprawiedliwość, jeżeli kościół ich z powodu regulacyi parafialnej w Galicyi, przeprowadzonej u schyłku ubiegłego stulecia, utracił swoją samoistność i złączony został z kościołem innym, uznanym za matryczny, bez względu na swoją pierwotną proweniencyę kanoniczną. Niesprawiedliwość ta zdaje się filialistom tam zwłaszcza najbardziej krzyczącą, gdzie ów kościół matryczny albo z powodu zbytniego oddalenia, albo też z powodu utrudnionej komunikacyi dla nich nie tak łatwo jest dostępnym, i gdzie z dobrodziejstw kościoła matrycznego wcale korzystać nie mogąc, ograniczeni są wyłącznie niemal na własny kościół filialny, w którym bądźto od czasu do czasu tylko prawi nabożeństwo właściwy paroch, bądźteż urząd duszpasterski osobny sprawuje ekspozyt.

W krajach, gdzie kościoły filialne, tego ostatniego zwłaszcza rodzaju, do nielicznych należą wyjątków, lub gdzie one istniały już od niepamiętnych czasów, może nie tak się rażąco przedstawia ten stosunek filii do kościoła matrycznego pod względem

płynącego zeń obowiązku konkurencyjnego na rzecz kościoła matrycznego i budynków plebańskich parafialnych, a pociąganie filialistów do konkurencyi w tych wypadkach polegać może na dawnym zwyczaju i nie zdaje się być niesłusznością.

Inaczej jednak ma się rzecz w krajach, gdzie dosyć skąpo parafie są rozsiane a liczba kościołów filialnych jest znaczną, lub gdzie te ostatnie utraciły charakter samoistnej stacyi duchownej, z powodu późniejszych w drodze administracyjnej przeprowadzonych regulacyj okręgów parafialnych, i podlegać muszą kościołom parafialnym, z któremi ich żadne przedtem węzły łączności ani duchownej, ani materyalnej nie wiązały.

Dlatego też starano się w tych krajach, z uwzględnieniem tego stanu rzeczy, unormować stosunek konkurencyjny między filią i filialistami a kościołem macierzystym i resztą parafian w ten sposób, że bądźto uwalniano filialistów całkowicie od wszelkich prestacyj konkurencyjnych na rzecz parafij macierzystych [1], bądźteż ograniczano [2] ten obowiązek do pewnej miary.

---

[1] Ustawa o konkurencyi kościelnej dla Gorycyi z 29 listopada 1863 D. u. i r. k. nr. 2 z 1864, postanawia w § 16: „Do ponoszenia kosztów stawiania i utrzymywania kościołów filialnych i budynków mieszkalnych dla ustanowionych przy nich duchownych, jeżeli własną (osobną) kuracyę stanowią, obowiązani są w braku innych prawnych zobowiązań, ci, w których interesie kościoły te i budowle istnieją. Są oni wszakże wolni od wszelkich kontrybucyj dla kościoła i parafij matrycznych. To samo stosuje się i do kościołów filialnych, nie będących osobnemi kuracyami, z tą jednak różnicą, że ci, w których interesie filie istnieją, do tej konkurencyi tylko po myśli § 2 ustawy są obowiązani“ (to znaczy, że tylko kapitał zakładowy, i rozporządzalny dochód kościoła filialnego może być użyty w razie potrzeby na cele konkurencyjne parafii matrycznej). Również postanawia i § 16 Ustawy o konkurencyi kościelnej dla Istryi z 9 lipca 1863 D. u. i r. k. nr. 12: „Kościoły filialne, budynki mieszkalne i gospodarskie eksponowanych duchownych mają, wyjąwszy wypadku innych prawnych zobowiązań, przy pomocy rozporządzalnego majątku zakładowego filii stawiać i utrzymywać ci, w których interesie te kościoły i budynki istnieć mają. Tem samem są oni wszakże uwolnieni, jeżeli specyalne umowy inaczej nie stanowią, od obowiązku konkurowania na wydatki kościoła matrycznego“; a w § 2 *alinea* druga tej ustawy postanowiono, że tylko połowa rozporządzalnego funduszu zakładowego kościoła filialnego może być użytą w razie potrzeby na rzecz kościoła matrycznego.

[2] § 2 *alinea* druga i § 17 Ustawy konkurenc. kościelnej dla Szląska

Co się tyczy kościołów filialnych i ich stosunku do kościoła matrycznego u nas w kraju, to przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na to, że z istniejących u nas filij tylko nader nieznaczna liczba jest nowszej daty; przeważnie one zawdzięczają swój początek aktowi regulacyi parafij, przeprowadzonej z końcem ubiegłego stulecia, za cesarza Józefa II.; a niemal wszystkie filie, z nielicznemi tylko wyjątkami, zwłaszcza filie w obrządku grecko-katolickim, zaliczyć wypadnie do kategoryi filij powstałych skutkiem złączenia *per subiectionem*.

W każdem zresztą z trzech obrządków katolickiego wyznania w kraju przedstawia się ten stosunek inaczej.

Zacznijmy od obrządku ormiańsko-katolickiego.

Tu pozostała liczba i kościołów matrycznych i filij niemal ta sama przed jak i po regulacyi józefińskiej, zadekretowanej rozporządzeniem kancelaryi nadwornej z dnia 7 kwietnia 1787 l. 852. W roku 1786 było w kraju przed regulacyą samoistnych parafij obrządku ormiańskiego 11; z tej liczby dwie parafie, tj. w Złoczowie i Obertynie, dla braku parafian zostały przy regulacyi zwinięte. Po regulacyi więc wynosiła liczba samoistnych parafij ormiańskiego obrządku dziewięć, a taką samą ich liczbę wykazuje i dziś szematyzm archidyecezyi lwowskiej obrz. ormiańskiego. Kościoła filialnego tego obrządku niema teraz żadnego.

Inaczej się rzecz przedstawia w czterech dyecezyach obrządku rzymsko-katolickiego, tj. książęco-biskupiego w Krakowie, metropolitalnego we Lwowie i biskupstw w Tarnowie i Przemyślu. Jest tu stosunek kościołów filialnych do kościołów matrycznych parafialnych niemal ten sam, co w przeważnej części monarchii.

z 15 listopada 1863 D. r. kr. nr. ex 1864, postanawia, że: „Majątek kościołów filialnych może być użyty do pokrycia tych tylko kosztów (tj. utrzymania i stawiania budynków kościelnych i parafialnych), które dotyczą budynków parafialnych, nie zaś do innych wydatków na cele kościoła matrycznego. Również w Tyrolu może być użyty majątek kościołów filialnych na rzecz kościoła matrycznego (Dekr. kanc. nadw. z 15 września 1880 l. 12873), nie zaś na budowle mieszkalne lub gospodarskie parocha przy kościele matrycznym (Dekret kancelaryi nadw. z 3 sierpnia 1820 l. 22997).

Przy regulacyi józefińskiej, przeprowadzonej dekretem kancelaryi nadwornej z dnia 14 kwietnia 1787 do l. 285/853, doznał ten stosunek poniekąd pewnego polepszenia, gdyż niejedna ekspozytura filialna przekształconą została na samoistną kuracyę, a zmiana samoistnej parafii na filię i przydzielenie do obcej matrycznej parafii, do nader nielicznych ograniczały się wypadków. Przytem pomnożoną została znacznie liczba parafij samoistnych i wzrosła — nie wliczając w to parafij klasztornych — o 241 samoistnych parafij (131 parochij i 110 kapelanij), z których przypadło na lwowską dyecezyę arcybiskupią 36, na przemyską 74, a na tarnowską 131.

Obecny stan rzeczy jest nieco odmienny od tego, jaki regulacya józefińska stworzyła, liczba jednak kościołów filialnych — przeważnie ekspozytur — pozostała niezmienną. Załączona tabela, zawierająca dane zaczerpnięte z autentycznego źródła, niech posłuży do wyjaśnienia:

W dyecezyi	Przed regulacyą		Wskutek regulac. r. 1787		Obecny stan w r. 1892		Uwaga
	parafij	filij	parafij	filij	parafij	filij	
Lwowskiej . .	150	5	186	5	209	9	* Wliczono tu i parafie (około 30) dekanatu zamojskiego.
Przemyskiej. .	251*	15	325*	15	262	10	
Tarnowskiej .	342**	35	473**	35	179	10	** Włącznie z temi parafiami, które przydzielono do dyecezyi krakowskiej.
Krakowskiej .	—	—	—	—	174	26	
Razem . . .	743	55	984	55	824	55	

Stan przeto filij, do których wliczono i ekspozytury (w liczbie około 35), pozostał niezmienny. Zawsze jednak pokaźna to dosyć liczba kościołów filialnych, — nie wliczono tu kościołów pobocznych (10) i kaplic (82), istniejących w dyecezyi krakowskiej — którą, oceniając obecnie istniejące stosunki kościelne w kraju w celu unormowania konkurencyi obowiązkowej filialistów na rzecz parafij macierzystych, należy mieć na oku.

Całkiem odmiennie przedstawia się stan sprawy z filiami grecko-katolickiego obrządku. Bezpośrednio przed regulacyą józefińską było w obrębie:

1. Grecko-kat. metropolitalnej archidyecezyi lwowskiej (włącznie z dzisiejszą dyecezyą stanisławowską) samoistnych kuracyj . . 2026
2. Gr.-kat. dyecezyi biskupiej przemyskiej 1512
W obu dyecezyach razem parafij 3532
Z tych zwinięto jako zbędne przy regulacyi w obu dyecezyach . 1366
Po regulacyi w r. 1787 przeprowadzonej pozostało samoistnych parafij 2166
do których zwinięte jako filie przydzielone zostały [1].

Przy tej regulacyi miano przeważnie względy oportunistyczne na oku, a parafie zwinięte przyłączano zwykle jako filie do najbliższej sąsiedniej parafii, przyczem ta ostatnia, bez względu na jej proweniencyę kanoniczną, stawała się parafią macierzystą, zwiniętej w drodze unii *per subiectionem*, skutkiem czego nie była wykluczoną możliwość, że kościół przedtem matryczny zostawał filią kościoła, który pierwotnie był z nim złączony jako kościół poboczny węzłem filialnym.

Stan obecny przedstawia się, biorąc za podstawę dane zawarte w szematyzmach z roku 1892, w poszczególnych dyecezyach obrządku grecko-katolickiego jak następuje:

Liczba cerkwi matrycznych i filialnych wynosi w dyecezyi:

1. Lwowskiej	cerkwi matrycz.	744	filij	473
2. Przemyskiej	„ „	711	„	556
3. Stanisławowskiej (bez Bukowiny)	„ „	417	„	288
We wszystkich 3 dyec. razem .	cerkwi matrycz.	1872	filij	1317 [2]

[1] Regulacya józefińska była w Galicyi po roku 1787 przeprowadzaną stopniowo, to jest w miarę otwierających się wakansów beneficyalnych, a skutkiem jej było poniekąd zrównoważenie liczby parafij obrządku grecko-katolickiego z liczbą rzymsko-katolickiego obrządku. Przed regulacyą bowiem było dla ludności obrządku rzymsko-katolickiego, wynoszącej podówczas 1,259.342 dusz, samoistnych parafij 743, wskutek regulacyi 984; podczas gdy dla ludności grecko-katolickiego obrządku, wynoszącej 1,317.568 dusz, przed regulacyą było samoistnych parafij 3532, a wskutek regulacyi 2166, przeto dwa razy więcej jak w obrządku rzymsko-katolickim.

[2] Według tabelarycznego przeglądu dotyczących szematyzmów, wypada liczba filij nieco wyższa, bo 1361. Liczba 1317 tu wykazana wynikła ze szczegółowego zestawienia danych przy każdej poszczególnej parafii wykazanych.

Z wykazanych 1872 cerkwi matrycznych wypada w dyecezyi:

1. Lwowskiej	cerkwi paraf.	bez	filij	374,	z filiami	370
2. Przemyskiej	„	„	„	313,	„	398
3. Stanisławowskiej	„	„	„	196,	„	221
Razem w 3 dyecezyach .	cerkwi paraf.	bez	filij	883,	z filiami	989

Z wykazanych powyżej cerkwi filialnych w ilości 1317 przypada w dyecezyach:

1. Lwowskiej	na	1	cerkiew	matrycz.	4 filie,	razem	4 filie
	„	11	cerkwi	matrycz. po	3 „	„	33 „
	„	78	„	„ „	2 „	„	156 „
	„	280	„	„ „	1 filii	„	280 „
Razem	na	370	cerkwi	matrycz.			473 filij
2. Przemyskiej . . .	na	1	cerkiew	matrycz.	5 filij,	razem	5 filij
	„	2	cerkwie	matrycz. po	4 filie	„	8 „
	„	22	cerkwi	matrycz. po	3 „	„	66 „
	„	104	„	„ „	2 „	„	208 „
	„	269	„	„ „	1 „	„	269 „
Razem		398	cerkwi	matrycznych z			556 filiami
3. Stanisławowskiej .	na	1	cerkiew	matrycz.	4 filie,	razem	4 filie
	„	11	cerkwi	matrycz. po	3 „	„	33 „
	„	42	„	„ „	2 „	„	84 „
	„	167	„	„ „	1 filii	„	167 „
Razem	na	221	cerkwi	matrycznych			288 filij

Wypada więc we wszystkich trzech dyecezyach razem na:

1	cerkiew matryczną	5 filij,	razem		5 filij
4	cerkwie matryczne	po 4 filie	„		16 „
44	cerkwi matrycznych	po 3 „	„		132 „
224	„ „	„ 2 „	„		448 „
716	„ „	„ 1 filii	„		716 „
Razem na 989	cerkwi matrycznych				1317 filij

Już z tego pobieżnego zestawienia danych powziąć można, jakiej doniosłości dla gmin naszego kraju, a w szczególności dla gmin we wschodniej części Galicyi z ludnością obrządku grecko-katolickiego, jest sprawa zamierzonego przez sejm uwolnienia filialistów od ponoszenia ciężaru konkurencyjnego na rzecz parafii matrycznej.

Przeszło 1370 gmin, z tego około 1300 gmin wiejskich (do zakresu filii zazwyczaj należy jedna lub dwie gminy administracyjne), a więc blizko czwarta część wszystkich gmin wiejskich

w kraju [1], byłoby uwolnionych od ciężaru, który się tak dotkliwie uczuwać daje ludności, zamieszkałej w gminach filialnych, jako nieuzasadniony i niesprawiedliwy. A nie pochodzi to przekonanie ludności utrzymującej kościoły filialne, bynajmniej z braku ofiarności na cele kościoła i religii. Lud nasz odznacza się głęboką wiarą i gorącą religijnością i z uznaną gotowością pospiesza chętnie z ofiarą i datkami na rzecz kościoła i instytucyj religijnych. Przyczyna właściwa tej niechęci do płacenia datków konkurencyjnych, wkładanych na nią skutkiem postanowień § 9-go ustawy, tkwi w czem innem. Filialiści nietylko z tytułu legalnego obowiązku włożonego na nich ustawą, utrzymują własny swój kościół filialny, ale mają to sobie za najświętszy obowiązek, utrzymywać w jak najlepszym stanie dom Boży, po przodkach w spuściźnie otrzymany, nieraz z wysiłkiem materyalnym przechodzącym ich środki. Ale utrzymywanie dwóch kościołów, i swojego i matrycznego, zwłaszcza kościoła, z którym ich nie wiążą zadzierzgnięte w dawnych czasach węzły tradycyjnej łączności duchownej, który im się zdaje być przez władze narzuconym i obcym, uważają za niesłuszne przeciążenie. Bądź co bądź nie odpowiada to poczuciu sprawiedliwości, aby takich filialistów, którzy własny swój kościół z dawien dawna własnym sumptem utrzymywali, a którego dalsze istnienie ze względu na zachodzącą istotną potrzebę religijną jest koniecznością, pociągano do konkurencyi na rzecz parafii matrycznej tak samo i w tym samym rozmiarze, co filialistów, których kościół założono tylko dla wygody miejscowych parafian — okoliczność, która przy filiach grecko-katolickiego obrządku bądź wcale nie, bądź też w nielicznych tylko wypadkach wejść może w rachubę.

Jakie ujemne skutki z tej niechęci filialistów do partycypowania w wydatkach na utrzymanie kościołów matrycznych wynikają, o tem najdosadniej świadczą głosy konsystorzów w Krakowie i Lwowie, podane w opinii Wydziału krajowego nad pro-

[1] Według obliczenia ludności z r. 1890 było w Galicyi 6247 gmin, a to:
102 miast
190 miasteczek
5955 gmin wiejskich.

jektem reformy paragrafu 9-go. Doniosłość tych skutków najlepiej ocenić może ten, kto w charakterze urzędowym przeprowadzał sam tego rodzaju rozprawy konkurencyjne, lub też jako obowiązany do konkurencyi brał w nich kiedykolwiek udział. Niemasz prawie żadnej takiej rozprawy, w którejby nie było ostrej i namiętnej opozycyi, często aż do gwałtownych uniesień posuniętej, ze strony tych zwłaszcza filialistów, którzy mają swoje osobne odpowiednio utrzymywane kościoły i kapłana ekspozyta przy nich osadzonego. Wszelkie zabiegi i starania komisyonujących do zawarcia między stronami umowy, przynoszącej pewną ulgę filialistom w ponoszeniu ciężaru konkurencyjnego na rzecz kościoła matrycznego lub budynków plebańskich przy parafii matrycznej, rozbijają się o upór parafian z gminy, będącej siedzibą parafii matrycznej, obeznanych z obowiązkiem filialistów, nałożonym na nich surowością postanowień § 9-go ustawy.

Wydają się więc orzeczenia konkurencyjne po myśli tych postanowień. Przeciw każdemu niemal takiemu orzeczeniu wnoszone bywają rekursy do wszystkich możebnych instancyj. A kiedy wkońcu orzeczenie mocy prawa nabędzie, o dobrowolnem uiszczaniu przypadających od filialistów datków konkurencyjnych ani marzyć nie można. Więc następują egzekucye za egzekucyami...

Jakie stąd rozgoryczenie u ludności na beneficyata, który potrzebą znaglony musiał sprawę konkurencyjną wytoczyć w drodze przepisanej do załatwienia, jakie szemranie na niesprawiedliwość władz, na religię samą, o tem się chyba szczegółowo rozwodzić niema potrzeby. Dosadnie rzecz tę przedstawił poseł Okuniewski w swej mowie wypowiedzianej w sejmie przy uzasadnieniu wniosku swojego względem zmiany postanowień paragrafu 9-go [1]. Prawdę wypowiedzianych słów poświadczają takie powszechnie znane fakta, jak w Hniliczkach, Tuczempach, Uszni i t. p., gdzie filialiści, rozgoryczeni przymusową kontrybucyą konkurencyjną na rzecz parafii matrycznej, opozycyę swoją przeciw krzywdzącej na rzecz parafii matrycznej konkurencyi zama-

[1] Por. notę pierwszą na str. 170 w zeszycie sierpniowym.

nifestowali odstępstwem od wiary przodków, świętej u ludu i zrośniętej tak silnie z całą jego istotą...

Tkwi więc w postanowieniach obecnie obowiązującego paragrafu 9-go ustawy nietylko pokrzywdzenie materyalne filialistów, ale co gorsza, niebezpieczeństwo indyferentyzmu, zagrażające życiu religijnemu naszego ludu i kościołowi. Dlatego też jak najrychlejsza sanacya wadliwości tych postanowień jest konieczną.

Droga jednak, na której sanacyę tę przez reformę § 9-go osiągnąć dotychczas usiłowano, nie zdaje się być właściwą.

Proponowane dotychczas zmiany tego paragrafu albo nie zaradzają złemu, które tkwi w obecnych postanowieniach, w całej pełni, tak że najważniejsza część postulatów coraz głośniejszych naszej ludności wiejskiej, zwłaszcza we wschodniej części kraju, pozostałaby bez uwzględnienia; albo, co ważniejsza, stają w rażącej sprzeczności z zasadami przyjętemi pod względem obowiązku konkurencyjnego parafian w ustawie państwowej z dnia 7 maja 1874 r. o stosunkach prawnych kościoła katolickiego [1]; albo wreszcie zagrażają, jak to przy każdej niemal rozprawie nad tym przedmiotem podnoszono w sejmie, nadmiernem obniżeniem dochodu kościołów głównych parafialnych, a tem samem podkopaniem ich powagi i znaczenia.

I ostatnia przez sejm w r. 1893 uchwalona zmiana § 3-go nie jest wolną od tych braków. Uwalniając bowiem tylko filialistów z eksponowanym duchownym od obowiązkowej konkurencyi na rzecz budowli przy kościele matrycznym, zaradzi ona złemu chyba w nielicznych tylko wypadkach, gdyż liczba kilkudziesięciu stacyj duchownych, do którychby mogła mieć zastosowanie, jest nieznaczną, zaś stosunek konkurencyjny przeszło tysiąc kilkuset filij, zwłaszcza we wschodniej części kraju z ludnością obrządku grecko-katolickiego, pozostanie niezmieniony, a powtóre powątpiewać można, czy odpartym został podniesiony już

[1] § 18 II. Statutu krajowego uznaje za sprawy krajowego ustawodawstwa: bliższe rozporządzenia w sprawach kościelnych „w obrębach ustaw powszechnych“, a więc i w obrębie ustawy państwowej z d. 7 maja 1874 D. p. p. nr. 50 o stosunkach prawnych kościoła katolickiego.

przeciw analogicznej uchwale sejmowej z d. 9 października 1884 zarzut rządu, iż filialiści mimo ekspozyta stałego ciągle należą do związku parafialnego i dlatego konkurować muszą do budowli parafialnych matrycznych, zawartem w uchwalonej noweli zastrzeżeniem, iż tacy filialiści „uważani“ będą za wyłączonych ze związku parafialnego. Fikcya bowiem o wyłączeniu takich filialistów ze związku parafialnego pozostaje zawsze tylko fikcyą, nie mającą oparcia w obowiązujących przepisach, i uderza o szkopuł postanowień, zawartych w noweli samej, według których kościół filialny nie ma być kościołem parafialnym, gdyż nim jest właśnie ów matryczny; jeżeli zaś dla tych filialistów istnieje poza obrębem związku filialnego kościół parafialny, to istnieć on musi z całą pełnią praw kościołowi parafialnemu przysługujących, a więc i z prawem żądania pomocy konkurencyjnej od wszystkich parafian bez różnicy, czy mają filię u siebie z ekspozytem czy też nie. Zresztą za wyłączonego ze związku parafialnego tylko ten prawnie uważany być może, którego wyłączenie nastąpiło po myśli postanowień § 20 ustawy państwowej z dnia 7 maja 1874 D. p. p. nr. 50. Nie można wkońcu milczeniem pominąć i tej uwagi, że prowadzenie przez ekspozyta ksiąg metrykalnych filii oddzielnie i niezależnie od plebana parafii matrycznej, nie dostarcza żadnego kryteryum do ocenienia kwestyi, czy filia ta ma być uważana za samoistną i niezawisłą od kościoła parafialnego matrycznego, czy też nie, ponieważ prowadzenie metryk jest urzędową funkcyą państwową, której powierzenie duszpasterzowi nie zostaje w koniecznym związku z jego urzędem proboszczowskim, a względnie ze samoistnością zaopatrywanej przezeń cząstki Kościoła, i dlatego też przy rozsądzeniu kwestyi samoistności jakiejś kuracyi filialnej najmniejszego nie może wywierać wpływu.

Zupełne uwolnienie filialistów lub pewnej ich kategoryi (filii ze stałymi ekspozytami) od wszelkich obowiązków konkurowania na rzecz parafii matrycznej podkopałoby może nazbyt materyalną egzystencyę i powagę tych ostatnich i nałożyłoby na resztę parafian ciężar nieraz zbyt wielki, którego wyłączne ponoszenie o tyle zdaje się być niesłusznem, że i filialiści party-

cypują, a przynajmniej do tego są uprawnieni, w instytucyach, nabożeństwach i obrzędach parafii macierzystej, że sprawiedliwą jest przeto rzeczą, aby się choćby mniejszym datkiem od parafian w gminie parafii matrycznej, do pokrycia kosztów z jej utrzymaniem połączonych przyczyniali. Zresztą takie zupełne uwolnienie filialistów od wszelkich ciężarów konkurencyjnych na rzecz parafii matrycznej wpłynęłoby nietylko na podwyższenie datków konkurencyjnych reszty parafian, ale również i na wymiar tych datków, które w myśl projektowanej w najbliższej przyszłości noweli do ustawy państwowej z dnia 7 maja 1874 przypadną do uiszczenia od tak zwanych forensów, tj. od tych właścicieli nieruchomości, położonych w obrębie związku parafialnego, którzy w obrębie gminy parafialnej nie mają swojego stałego zamieszkania, a tem samem jako nieparafianie, według dotychczas obowiązujących norm, od konkurencyjnych datków na stawianie i utrzymywanie budynków parafialnych i potrzeb liturgicznych kościoła parafialnego byli wolni [1].

Główna jednak przeszkoda, która projektowanym reformom § 9 stała w drodze, jest okoliczność, że wykraczały one wszystkie poza ramy zakreślone postanowieniami ustawy państwowej z dnia 7 maja 1874 D. p. p. nr. 50 o stosunkach prawnych kościoła katolickiego. Ustawa ta zawiera w § 36-tym kategoryczną normę, że do konkurencyi przy budowlach parafialnych obowiązani są parafianie; więc i filialiści, jak długo wyłączenie ich ze związku gminy parafialnej nie nastąpiło we wskazanej tą ustawą drodze, muszą jako parafianie brać udział w ciężarach konkurencyjnych na rzecz parafii matrycznej bez względu na to, czy mają przy filii eksponowanego stałego lub *excurrendo* dusz-

[1] Sprawa pociągania forensów do konkurencyi parafialnej, poruszana kilkakrotnie w Radzie Państwa (wniosek księdza Ruczki — ostatnia rezolucya d-ra Fuxa w komisyi budżetowej przy rozprawach tegorocznych nad budżetem ministerstwa wyznań i oświecenia), wchodzi w stadyum zrealizowania, gdyż miała być już rozbieraną, według doniesienia dzienników, na poufnem zebraniu mężów zaufania, zwołanem przez pana Ministra oświaty z grona posłów stronnictw koalicyjnych: jest więc wszelka nadzieja, że wkrótce, może już w sesyi jesiennej będzie rozbieraną w parlamencie.

pasterza, czy nie, i bez względu na okoliczność, czy ten ekspozyt został ustanowiony *ad universitatem causarum* czy tylko do sprawowania pewnych funkcyj duszpasterskich, gdyż nie ta okoliczność, jeno kwestya należenia filii do związku prawnie istniejącej gminy parafialnej jest przy ocenieniu jej obowiązku konkurencyjnego na rzecz parafii matrycznej rozstrzygającą. O zupełnem przeto uwolnieniu filialistów od obowiązku konkurencyjnego na rzecz parafii matrycznej już przez wzgląd na te postanowienia ustawy państwowej z 7 maja 1874 mowy być nie może.

Zachodzi tedy pytanie, czy i jakim sposobem możnaby, nie naruszając przewodniej zasady ustawy państwowej z dn. 7 maja 1874 r., zaradzić złemu, jakie niewątpliwie tkwi w postanowieniach § 9-go, i usunąć a przynajmniej złagodzić zbyt surowe konsekwencye, jakie z bezwzględnego stosowania tej zasady przy oznaczaniu powinności konkurencyjnej filialistów-parafian na rzecz parafii matrycznej wynikają. Odpowiedź na to pytanie nasuwa się sama przez się, jeżeli się zważy, że ustawa z dnia 7 maja 1874 nie unormowała szczegółowego sposobu, wymiaru i rozkładu datków konkurencyjnych na cele kościelne, lecz uznała w § 57-ym wydane dla poszczególnych krajów koronnych ustawy i przepisy dotyczące konkurencyi kościelnej i parafialnej, o ile z nią nie są w sprzeczności, za obowiązujące, a tem samem dopuściła korrekturę i uzupełnienia tych ustaw i przepisów z przestrzeganiem zasad przez nią ustanowionych. Jeżeli przytoczona ustawa państwowa, pozostawiając szczegółowe przepisy o nakładaniu datków konkurencyjnych ustawodawstwu krajowemu, nie podała żadnej modły w tym kierunku, że ciężar konkurencyjny na wszystkich członkach gminy parafialnej w jednolitej mierze ciężyć powinien i że według jednej i tej samej skali równomiernie przez każdego parafianina ma być ponoszony [1], — to

[1] W § 36 państwowej ustawy z dnia 7 maja 1874 D. p. p. nr. 50 jest tylko mowa o rozkładzie datków konkurencyjnych na członków gminy parafialnej wogóle, a § 40 l. c. wspomina ogólnikowo o prestacyi konkurencyjnej obowiązanych „w miarę ich zobowiązania“. (Porównaj także motywa sprawozdania komisyi konkurencyjnej Rady Państwa do tego paragrafu).

pozostawiona jest ustawodawstwu krajowemu swoboda ustanowienia tej skali w ten sposób, aby ze wszech miar odpowiadała stosunkom kościoła i ludności katolickiej w kraju. Równomierne ponoszenie ciężarów konkurencyjnych przez wszystkich parafian bez wyjątku, należących do związku jednej i tej samej gminy parafialnej, tylko tam się da usprawiedliwić, gdzie dla zaspokojenia potrzeb religijnych całej gminy parafialnej jeden tylko kościół publiczny zarazem i parafialny istnieje. Gdzie zaś do parafii należą i gminy, w których utrzymywany jest kosztem i staraniem zamieszkałych w tej gminie parafian kościół publiczny, odpowiadający i rozmiarem i urządzeniem potrzebom ich religijnym, tam ten kościół filialny wyręcza niejako swoją *matrix* w służeniu na użytek części parafian do filii należących, i tam się też filialistom pewna ulga w ciężarach z istnieniem i utrzymywaniem kościoła matrycznego tem słuszniej należy, ile że sami własnem staraniem i wyłącznie własnym kosztem swój kościół filialny utrzymują, a w ciężarze tym ani kościół matryczny, ani też reszta parafian, do związku parafialnego należących, najmniejszego udziału nie bierze.

Mając wreszcie na uwadze wzgląd kanonicznej łączności między kościołem matrycznym a jego filią i szczególne znaczenie, jakie jest przywiązane do kościoła parafialnego i parafii macierzystej, któreby skutkiem pozbawienia wszelkiej pomocy materyalnej od konkurujących dotychczas filij stanowczo ucierpieć musiały, — dochodzi się do wniosku, iż zupełne uwolnienie filialistów od obowiązków konkurencyjnych na rzecz parafii matrycznej nietylko ze względów teoretycznych, ale także i ze względów praktycznych usprawiedliwić się nie da. Filia naturalnym rzeczy porządkiem, jak długo jest filią, musi i powinna tej *matrix*, do której należy, przychodzić z pomocą w razie potrzeby, ale pomoc ta musi mieć pewne granice, zakreślone poczuciem słuszności i względami na własną egzystencyę. Pewne ulgi w prestacyach konkurencyjnych filialistów, tak na rzecz kościoła matrycznego, jak też przy stawianiu i utrzymywaniu budynków mieszkalnych i gospodarskich dla plebana, w siedzibie kościoła parafialnego zamieszkałego, są przeto słuszne, a zwłaszcza co do budyn-

ków plebańskich wtedy, jeżeli filialiści budynki takie własnym kosztem przy filii dla ekspozyta swojego utrzymują.

Chodzi tylko o wynalezienie słusznej i odpowiedniej modły, według której stosunek co do wysokości prestacyj konkurencyjnych między filialistami a resztą parafian na rzecz budowli parafialnych, tj. kościoła matrycznego i budynków mieszkalnych i gospodarskich plebana, powinien być unormowany.

Możeby najwięcej odpowiadało poczuciu słuszności, gdyby pozostawić oznaczenie tego stosunku od wypadku do wypadku osądzeniu właściwych władz administracyjnych w porozumieniu z ordynaryatami. Względy lokalnej natury, bądźto na stosunek kanoniczny, w jakim filia do parafii matrycznej zostaje, bądźteż na materyalne położenie i filii i kościoła matrycznego, tudzież filialistów i reszty do konkurencyi obowiązanych stron, wzgląd na ich liczbę i t. p., powinnyby być przy osądzeniu tej kwestyi brane w rachubę, i trudną a niemal niemożebną jest rzeczą, wynaleść ogólną jednolitą miarę, któraby odpowiadała jak najzupełniej wszystkim względom tego rodzaju i dostarczyła podstawy do słusznego rozkładu datków między filialistów a resztę parafian. Jeżeli się jednak zważy, że judykatura musiałaby się wtedy opierać na zmiennej i chwiejnej podstawie, a w każdym niemal poszczególnym wypadku byłoby możebnem przewlekanie budowli konkurencyjnych, nieraz nagłych i niecierpiących zwłoki, przez wnoszenie rekursów i przedstawień u wszystkich możliwych władz, — to raczej unormowanie obowiązku filialistów w pewnej z góry określonej części, jak to względem obowiązku patrona w § 6-tym ustawy krajowej o konkurencyi kościelnej oznaczono, zaleca się jako odpowiedniejsze.

Najwłaściwiej byłoby oznaczyć jedną trzecią część kosztów, jako powinność konkurencyjną filialistów na rzecz budowli parafialnych, dwie trzecie zaś pozostałyby do pokrycia przez resztę parafian.

Taki stosunek odpowiadałby może najlepiej dotychczasowej u nas utartej praktyce, nie przeciążałby zbytecznym ciężarem filialistów, ani czynił zbytniego uszczerbku reszcie parafian, do konkurencyi obowiązanych, a może i odpowie życzeniom ludności

włościańskiej, które w czasie rozpraw sejmowych przy pierwotnem uchwalaniu, w r. 1866, postanowień paragrafu 9-go ustawy w sejmie wypowiedział jeden z posłów włościańskich [1]. Unormowanie stosunku prestacyjnego filialistów w ten sposób jest zresztą, zdaniem powag naukowych, uznane powszechnie za najodpowiedniejsze [2], a ma ono poniekąd u nas i pewne uprawnienie historyczne. Kiedy w roku 1787, na podstawie dekretu kancelaryi nadwornej z dnia 8 września 1787, przystąpić miano do wykonania planu regulacyjnego okręgów parafialnych grecko-katolickiego obrządku, daną była władzom wskazówka tej treści, aby urzędy cyrkularne w wypadkach, w których z powodu zwinięcia samoistnej parafii i uznania jej filią drugiej, okaże się potrzeba nowych budowli lub rozszerzenia budynków parafii matrycznej, dążyły przedewszystkiem do uporządkowania kwestyi wydatków na te cele w drodze obopólnego porozumienia się parafian zwiniętej parafii z parafianami tej, do której przyłączeni zostali; gdyby zaś takie porozumienie się żadną miarą do skutku przyjść nie mogło, natenczas mają te gminy, w których siedzibę nowej parafii matrycznej oznaczono, dostarczyć potrzebnych ro-

[1] Poseł Staruch na 76 posiedzeniu 3-ciej sesyi sejmowej z d. 24 kwietnia 1866, sprzeciwiając się wnioskowi o bezwzględnem pociąganiu filii do konkurencyi na rzecz kościoła matrycznego, taką do tego wniosku postawił poprawkę: „...Jeszcze do § 9 maju wnesty poprawku, aby wid filialnych cerkwej, kotorii sut' w sełach i kotorii meszkajut pry filialnych cerkwach, ne buły potiahanii do wydatkiw i do roboty do hołownych cerkwej, bo toby buła welyka krywda. Jabym stawył toj wnesok, aby tylko należała tretia czast' do roboty i do składok pieniażnych, bo tii, szczo sut' w parafii, majut dochody wsilakii z duchowiństwa, ale pry filialnych cerkwach sut' nabożeństwa wse z myłoserdia i proszenii. Czy to do chrestu prychodytsia, czy kto zachoruje, czy mre, zawsze treba łyst nosyty za hranyciu, a to netylko w obriadi grecko-katołyczeskim, ale i w łatyńskim obriadi to sia dije. Może tam kto raz abo dwa na rik prijde do spowidy a potiahajut ich do wydatkiw i do roboty tak jak parafianiw"... (Zob. Stenograficzne sprawozdania z posiedzeń Sejmu krajowego z roku 1866, str. 1822 i 1823).

[2] Por. Permaneder, *Die kirchliche Baulast*, 2. Auflage, München 1856, § 29, uznaje stosunek prestacyi konkurencyjnej filialistów na rzecz kościoła matrycznego w jednej trzeciej części kosztów ogólnych za najwłaściwszy i zdaniem powag naukowych poparty. (Por. Gründler w Weissa *Archiv der Kirchenrechtswissenschaft*, tom v, § 15a).

bót ciągłych i pieszych — bo tylko do tych prestacyj konkurencyjnych ludność włościańska wówczas była zobowiązaną — w dwóch trzecich częściach; zaś te gminy, w których parafię zwinięto, w jednej trzeciej części. W tej tradycyjnej praktyce, jaka prawdopodobnie w następstwie tego rozporządzenia u nas zwłaszcza w gminach filialnych obrządku grecko-katolickiego z czasem się wyrobiła, szukać należy przyczyny tego objawu, że w nader licznych wypadkach gminy, w których kościoły filialne istnieją, przychylają się chętnie do uiszczenia trzeciej części wydatków na rzecz budowli konkurencyjnych przy parafii matrycznej, i z gotowością wszelką datki te ponoszą.

Niemniej też właściwą zdaje się być rzeczą dla salwowania dochodu i majątku kościoła filialnego od zbytecznego uszczuplenia z uszczerbkiem własnych potrzeb i własnej egzystencyi, aby w pociąganiu dochodów rozporządzalnych tego kościoła i jego majątku zakładowego do wydatków konkurencyjnych na rzecz parafii matrycznej, pewna była zachowana miara i zakreślona granica, zwłaszcza, że zgodnie z zasadami prawa kanonicznego, kościół filialny jest odrębnym od kościoła matrycznego osobnikiem majątkowym, którego majątkiem zarządza wprawdzie wspólny obu kościołom pleban [1], ale mimo tego majątek filii do jej użytku i rozrządzenia służyć nie przestaje. I tu również, a to już przez wzgląd na analogiczne unormowanie stosunku, w jakim filialiści konkurować powinni do budowli parafialnych, oznaczenie jednej trzeciej części dochodu rozporządzalnego, a względnie w wypadkach niezbędnej potrzeby jednej trzeciej zakładowego majątku kościoła filialnego na rzecz parafii matrycznej, zdawałoby się najwłaściwszą miarą przy współkonkurowaniu z resztą parafian do pokrycia dotyczących wydatków. Zmieniając postanowienia § 9-go, należałoby zatem i kwestyę

[1] Zarząd majątkiem filialnych kościołów należy do parocha. (Por Hinschius, *System des katholischen Kirchenrechtes*, tom II, str. 429 i notę l. c. 2). Zasadę tę uznawała i judykatura władz administracyjnych nawet i w tych wypadkach, gdy filią stały ekspozyt zarządzał. (Porów. *Handbuch der k. k. Gesetze und Verordnungen über geistliche Angelegenheiten*, v. Dr. Franz Rieder. Wien 1855, tom II, str. 97).

obowiązkowej konkurencyi, przypadającej z dochodu i majątku zakładowego kościoła filialnego, na pokrycie kosztów stawiania i utrzymywania budynków parafii matrycznej odpowiednio unormować, jak to w innych ustawach krajowych uczyniono [1].

Ponieważ jednak § 9-ty dotyczy tylko konkurencyi przy stawianiu i utrzymywaniu kościoła i budynków plebańskich, a niema żadnego powodu, dla któregoby odstąpić wypadało od zasady zniżenia prestacyi konkurencyjnej filialistom na rzecz budowli parafialnych wtedy, gdy chodzi o rozkład datków konkurencyjnych na cele liturgiczne kościoła matrycznego, — przeto dla usunięcia wszelkich możliwych wątpliwości, uzupełnienie w tym względzie § 12-go ustawy z dnia 15 sierpnia 1866 r. dodatkiem, że filialiści przy ewentualnym rozkładzie wydatków z odprawianiem liturgii połączonych tylko w jednej trzeciej części do konkurencyi są obowiązani, byłoby pożądanem.

Mając na względzie przedstawione tu wywody i argumenta, należałoby, zdaniem naszem, przy rozstrzygnięciu kontrowersu o powinności konkurencyjnej filialistów na rzecz parafii matrycznej, oprzeć się na następujących zasadach:

1) Obowiązek konkurencyjny do ponoszenia kosztów stawiania i utrzymywania parafialnego kościoła matrycznego, tudzież wydatków z odprawianiem liturgii przy tym kościele połączonych, ciąży na parafianach, należących do zakresu związku parafialnego, z tym jednak wyjątkiem, że filialiści-parafianie, którzy w gminie nie będącej siedzibą kościoła matrycznego [2],

[1] Dla Istryi — por. notę pierwszą na str. 339.

[2] Według noweli uchwalonej przez sejm w r. 1893, dopuszczalne jest wyłączenie także i takich filialistów od obowiązku konkurencyjnego na rzecz budowli parafii matrycznej, którzy są zamieszkali w gminie będącej zarazem siedzibą kościoła matrycznego, gdyż nie istnienie kościoła filialnego w „gminie“, lecz w „miejscowości“, w której filia jest utrzymywaną, stanowić ma o uwolnieniu filialistów od prestacyi konkurencyjnej parafialnej. Ekscypowanie filialistów w tym wypadku od konkurencyi równomiernej z resztą parafian, nie zdaje się być jednak rzeczą właściwą; a to raz dlatego, ponieważ w obrębie jednej i tej samej gminy stworzyłoby się dwie kategorye stron konkurencyjnych, z których każda według innej miary pociąganąby być miała do konkurencyi — podział, który ze względów administra-

odpowiadający ich potrzebom kościół publiczny swoim kosztem utrzymują, tylko do jednej trzeciej części tych kosztów i wydatków konkurować mają.

2) Do ponoszenia kosztów stawiania i utrzymywania plebańskich budynków mieszkalnych i gospodarskich parafii matrycznej są filialiści obowiązani konkurować na równi z resztą parafian, a do jednej trzeciej części tych kosztów tylko wtedy, jeżeli takie budynki dla ekspozyta, przy filii swojej ustanowionego, własnym kosztem utrzymują, gdyż tylko w takim razie jest racyonalny powód do odmiennego traktowania ich od reszty parafian, to jest wzgląd na przeciążenie, który i przy częściowem uwolnieniu filialistów od konkurencyi na rzecz kościoła matrycznego był rozstrzygającym.

3) Kościół filialny tylko do oddania trzeciej części rozporządzalnych dochodów własnych, ewentualnie w razie potrzeby majątku swojego zakładowego na pokrycie wydatków budowlanych parafii matrycznej, jest obowiązanym.

4) Obowiązek konkurencyjny ciąży prawnie na filii i filialistach, bez względu na to, czy przy filii ekspozyt stały lub odwołalny dla sprawowania funkcyj duszpasterskich jest ustano-

cyjnych nie jest do zalecenia, gdyż nastręczy różnorakie trudności w praktyce (oznaczenie w obrębie jednej i tej samej gminy linii demarkacyjnej między okręgiem konkurencyjnym filialistów a okręgiem reszty parafian, zaklasowanie poszczególnych obowiązanych do jednego z nich, zbadanie podstaw wymiaru datków konkurencyjnych i t. d.), i dałby powód do uciążliwych dochodzeń i przewlekających sprawę budowy przedstawień i rekursów; — a powtóre dlatego, ponieważ dla parafian gminy, w której taka filia obok kościoła matrycznego w pewnej miejscowości tej samej gminy istnieje, zawsze ten ostatni kościół jest kościołem głównym, do którego filialiści przy zaspakajaniu potrzeb religijnych bardziej grawitują, i nie ma tam filia tego samego znaczenia, jak filia istniejąca poza obrębem gminy, będącej siedzibą kościoła matrycznego: uważaną jest ona raczej za jedną i nierozdzielną całość z kościołem głównym, na rzecz którego wszyscy parafianie jednomiernie konkurować winni. Stąd też i pierwotny projekt § 9 sejmowej komisyi konkurencyjnej z r. 1866, uwalniając filialistów od konkurencyi na *matrix*, zobowiązywał ich do konkurencyi w wypadkach, jeżeli *matrix* i filia obok siebie istnieją w tem samem mieście lub miasteczku, który to wyjątek chciano rozszerzyć na każdą gminę wogóle. (Wniosek Krzeczunowicza, Stenogr. sprawozd. sejmowe z r. 1866, str. 1823).

wiony, tak długo, dopóki filia z obrębu związku parafialnego formalnie i prawomocnie wydzieloną i za samoistną i odrębną parafię z odrębną juryzdykcyą i dotacyą w myśl § 20-go ustawy z dnia 7 maja 1874 D. p. p. nr. 50 uznaną nie zostanie.

Propozycye, w krótkości tu zestawione, dałyby się ująć w następujący projekt do ustawy, zmieniający postanowienia §§ 9-go i 12-go ustawy krajowej z dnia 15 sierpnia 1866 roku:

USTAWA

z dnia . . . . . , mocą której zostają zmienione §§ 9 i 12 ustawy z dnia 15 sierpnia 1866 (D. u. i r. k. nr. 28) o pokryciu kosztów stawiania i utrzymywania budynków kościelnych i plebańskich w parafiach wyznania katolickiego, tudzież sprawiania przyrządów i sprzętów kościelnych.

Zgodnie z uchwałą sejmu Mojego Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, rozporządzam co następuje:

Artykuł I.

§§ 9 i 12 ustawy z dnia 15 sierpnia 1866 o konkurencyi kościelnej przestają obowiązywać, a mają odtąd brzmieć, jak następuje:

§ 9.

Kościoły filialne i zabudowania mieszkalne i gospodarskie dla duchownych, którzy przy nich są eksponowani, mają przy pomocy rozporządzalnego majątku tych kościołów stawiać i utrzymywać ci, w których interesie te kościoły i zabudowania istnieją, jeżeli inne prawne zobowiązania nie zachodzą.

Jednakże parafianie tych gmin, w których znajduje się kościół publiczny nieparafialny ich staraniem utrzymywany, obowiązani są, wyjąwszy osobną umowę, do konkurowania w jednej trzeciej części do wydatków na kościół i budynki parafialne (§ 1); zaś do wydatków na budynki

mieszkalne i gospodarskie przy parafii matrycznej na równi z resztą parafian tylko wtedy, jeżeli takich budynków przy swoim kościele filialnym nie utrzymują.

Do pokrywania wydatków na budowle kościelne i plebanalne parafii matrycznej, może być użyta najwyżej jedna trzecia część rozporządzalnego dochodu, a w wypadkach § 2-go jedna trzecia część majątku zakładowego tegoż kościoła filialnego.

§ 12.

Wydatki na pokrycie potrzeb kościelnych, z odprawianiem liturgii połączonych, a przy kościołach obrządku łacińskiego także wydatki na utrzymanie sług kościelnych, pokryte będą przedewszystkiem ze źródeł w §§ 1-ym i 2-im wyrażonych. O ile zaś wydatki te nie dadzą się pokryć z tych źródeł, proboszcz otrzyma na pokrycie tychże od parafian kwotę ryczałtową, która łącznie z pokryciem, w §§ 1-ym i 2-im wskazanem, nie może przenosić rocznie przy parafiach obrządku łacińskiego kwoty 100 złr., a przy parafiach obrządku greckiego kwoty 50 złr.

Rozłożenie na parafian z uwzględnieniem postanowień § 9-go dzieje się w miarę podatków stałych, jakie oni w obrębie parafii opłacają.

Artykuł II.

Wykonanie tej ustawy polecam Mojemu Ministrowi wyznań i oświaty.

Może proponowane tym projektem rozwiązanie spornej od dawna kwestyi reformy § 9-go nie odpowie w zupełności potrzebie, a w szczególności życzeniu tych, którzyby filialistów każdej kategoryi całkiem uwolnionych mieć chcieli od wszelkich prestacyj konkurencyjnych na rzecz parafii matrycznej, albo miarę tych prestacyj oznaczyć pragnęli w inny właściwszy sposób: to jednak pewna, że reforma projektem tym zamierzona, gdyby tylko przyjść mogła do skutku, przyczyniłaby się — nie nad-

werężając zasady o obowiązkowej konkurencyi wszystkich parafian na cele parafialne — w niemałej mierze do złagodzenia ciężaru konkurencyjnego filialistów bez nadmiernego uszczerbku dla kościołów matrycznych, i do polepszenia naprężonych stosunków, jakie się u nas między filialistami a resztą parafian wskutek postanowień § 9-go wyrobiły, a tem samem do zażegnania niebezpieczeństw dla wiary i Kościoła, jakie z tego naprężenia stosunków wynikły i wynikać mogą.

Dr. Edwin Płażek.

KATOLICKI ZJAZD W BERNIE.

Przerzucając przed paru miesiącami wiedeński *Vaterland*, natrafiłem na notatkę: „Czesi zamierzają urządzić tego lata w Bernie wielki słowiańsko-czeski kongres katolicki; wszystkie przygotowania są w toku i dziś już zapewnić można, że piękna ta myśl w piękny czyn się przemieni“. Notatka ta zainteresowała mię, tem bardziej, że w czasie ostatnich paru lat, gościłem na parę zawodów w morawskiej stolicy; starałem się zapoznać z panującemi w niej prądami, poznałem kilku wybitniejszych przywódców i z czeskiego i z niemieckiego obozu, i Bogiem a prawdą, nie bardzo mogłem sobie wystawić, jak kongres katolicki wyglądać będzie w mieście, głośnem ze staczanych walk między niemiecką a czeską ludnością, słynnem ze swych sukien i płócien, zwanem z dumą, a nie bez słuszności, „austryackim Manchesterem“, — ale któregoby nikt z pewnością austryackim, ba! choćby morawskim Rzymem nie nazwał; w którem na każdym kroku spotkasz jakąś pamiątkę, posąg, tablicę przypominającą ci, że „nieśmiertelny“ Józef II. uważał Berno za najukochańsze swe miasto, a z książek, gazet, rozmów przekonywasz się, że wdzięczne miasto stara się ze swej strony przechować jak najwierniej józefińskie tradycye.

Jak kongres ten będzie wyglądał? — pytałem, przeglądając z ciekawością nadsyłane przez komitet „pierwszego zjazdu katolików czesko-słowiańskich“ zaproszenia, prospekty, komunikaty. Komunikaty i prospekty brzmiały, jak wszystkie im po-

dobne; zmieniwszy język, miejsce i datę zjazdu, sądzićby można, że to dawne, przez omyłkę na pocztę rzucone, zaproszenie komitetu lublańskiego, wiedeńskiego, krakowskiego. Po wielkiej, wstępnej *slavnosti*, wieczorem 30 lipca, nastąpić miały dwudniowe obrady w czterech sekcyach, przeplatane uroczystemi posiedzeniami wieczornemi i towarzyskiemi zebraniami, zakończone *slavnostnim večeřem*, tj. mówiąc naszym kongresowym stylem, „pożegnalną ucztą“. Czy warto na to jechać? Byłem i znam Berno; byłem i znam, i wiem co się mówi na przeróżnych sekcyjnych i niesekcyjnych posiedzeniach; wiem, z wesołego i niezawsze wesołego doświadczenia, jak wyglądają „pożegnalne uczty“. Nie dziw, że pewna ociężałość, zawarłszy sojusz z tropikalnem gorącem, z lekką obawą przed zabawnemi czasem, ale czasem i nudnemi antycholerycznemi ceremoniami na kolejowych stacyach, doradza pocichu, lecz usilnie: „Obejdzie się tam bez ciebie — zatelegrafuj, żeś osłabiony, że ci niespodziewane zajęcia nagle w drogę weszły, i trzymając się praktycznej rady, którąś niedawno temu na pewnym kominku wyczytał: *Sede post fornacem et habe bonam pacem!*“ Pokusa była silna. Kto wie, czybym jej nie uległ, gdyby nie namowy jednego z najstarszych polskich organizatorów przeróżnych wieców i kongresów, który sam wprawdzie do Berna nie jechał, ale za to nadzwyczaj wymownie, czarno na białem mi dowiódł, że musi tam ktoś z Polski się znaleść, — bo my z naszego stanowiska w katolickiej Słowiańszczyźnie rezygnować nie możemy, — a zatem, że świętym mym obowiązkiem, jutro rano po szóstej do rozpalonego pieca-wagonu się rzucić. Prawda! ktoś znaleść się musi! — że też tego od razu jasno nie zrozumiałem. Pożądanemby może było, aby znalazło się i więcej i bardziej odpowiednich; ale cóż robić? — pocieszam się sam, pociesza mię mój łaskawy „wiecowy“ doradca: Na bezrybiu i rak rybą.

W Przerowie siadło na pociąg zdążający ku Bernu kilkudziesięciu wiecowników. Każda nowa stacya wrzucała odtąd z matematyczną regularnością w wagonowe klatki po kilkanaście księżych czamarek i długich czarnych surdutów; po kilkanaście, kilkadziesiąt zielonych, hanackich kurtek; białych, słowackich płasz-

czów. Biedni konduktorowie, nieprzygotowani na taką nawałnicę, załamywali ręce i biegali od wagonu do wagonu, szukając miejsca, czy udając że go szukają; podróżni biegali za nimi i z większą jeszcze rozpaczą załamywali ręce, aż wreszcie w ostatniej chwili, kto silniejszy, kto sprytniejszy, wciskał się gwałtem między siedzących, stojących, i wołał z tryumfem, na żadne protesty nie zważając: Jestem tu i tu zostanę. W Kojetynie przyczepiono jeden wagon; zdaje się, że drugi wytargowano w Wyszkowie; słaba to pociecha, podobna do tej, którą odczuwa stu spragnionych, gdy im ktoś litościwy szklankę wody przyniesie; jak słabą była pociecha, którą zmęczeni, rozirytowani konduktorowie, zirytowanych podróżnych uspokajali: „Nie bójcie się, nie spóźnicie się do Berna ani o dwie, ani o trzy godziny; co najwięcej o godzinę!“

W przerwach, zostawionych przez irytacyę i ocieranie nieustannym strumieniem płynącego potu, rozmowa toczy się o wiecu; o trudnościach i licznych i wielkich, z któremi jego organizatorowie walczyć musieli; o wrogiem dlań usposobieniu i skrajnych Czechów i skrajnych Niemców, o najskrajniejszych socyalistach i omladinistach już nie mówiąc. W ostatniej chwili kilku panów z wysokiej arystokracyi odwołało zapowiedziany już przyjazd; sam główny inicyator wiecu, hr. Egbert Belcredi, podobno ciężko chory, podobno nie przybędzie; berneńska socyalno-demokratyczna partya zapowiedziała walne zgromadzenie na tę samą godzinę, w której wiec ma być otwarty, a jeśli wierzyć pogłoskom i pogróżkom, gotuje jakąś straszną kontrdemonstracyę; niemieccy liberali oburzeni, że zaszła dopiero co śmierć berneńskiego burmistrza, arcyliberała Gustawa Winterhollera, nie spowodowała odroczenia obrad wiecowych, a przynajmniej wykreślenia z programu wszelkich głośniejszych uroczystości, wszelkich muzyk, bankietów. Słowem, same hiobowe wieści. Trzeba hartu ducha, polskiego „jakoś to będzie“, lub pamięci o przysłowiu, że i sam djabeł nie taki straszny jak go malują, aby nasłuchawszy się o wszystkich tych miłych niespodziankach, które w Bernie czekać nas mają. nie pożegnać na najbliższej stacyi miłych towarzyszów drogi i najbliższym pociągiem do

Krakowa się nie zawrócić. Na szczęście, jeden właśnie z tych towarzyszów pokazuje mi małą broszurkę, dopiero co wydaną z okazyi wiecu, w której Augustyanin O. Šilinger dowodzi ogniście i niezbicie potrzeby i konieczności katolickiego zjazdu; dowodzi, że potrzeba ta tem większa, im sprawa katolicka ma gdzie więcej i groźniejszych nieprzyjaciół; tem świętszy obowiązek uczestniczenia w wiecu, im więcej wśród wrogów Kościoła wzbudził niechęci. Jedźmy zatem dalej! Kiedyśmy się, mimo wszelkich danych po temu, w drodze do Berna nie udusili, może i z Berna zdrowie i życie nietknięte wyniesiemy.

Otóż już liczne wieże kościelne, liczniejsze kominy fabryczne morawskiej stolicy pokazują się na horyzoncie. Ktoś sangwinistyczniejszej natury do okna się ciśnie i woła:

— Całe miasto na nasze przyjęcie udekorowane!

Cisnę się i ja, ale jakoś wymarzonych „dekoracyj“ dopatrzyć się nie mogę; przecież „dekoracyą“ nie są owe kłęby dymu ze wszech stron miasta w górę się wznoszące, łączące się w niebieskich przestworzach w olbrzymie jakieś, niezrozumiałe cyfry czy wyrazy. Rozglądam się pilnie i później, gdy wychudzony dorożkarski konik ciągnie mię wspaniałą Ferdynandową ulicą, przez Główny Rynek przebiega, w Rudolfową ulicę skręca — nic, nigdzie nic! Dopiero za Rudolfową ulicą, na czeskim „Besednim domu“, gdzie odbywać się mają główne wiecowe obrady, powiewają trzy chorągwie: papieska, austryacka, czeska; dopiero dalej, dalej, na seminaryjskich gmachach — na wielkiem, na małem seminaryum — w których miejsce mieć mają sekcyjne posiedzenia, te same sztandary z wichrem igrają. Urzędowe, a w znacznej części i nieurzędowe Berno jakby ostentacyjnie zapiera się wszelkiej łączności z katolickim zjazdem; nie wyświadcza mu najzwyklejszych, ogólnym cywilizacyjnym kodeksem przy podobnych równie licznych i poważnych zebraniach, nakazanych grzeczności. Snać nie napróżno chełpią się Berneńczycy: Myśmy ukochanem miastem Józefa II. Stare józefińskie tradycye złączyły się w oryginalne, a swoją drogą bardzo naturalne, przymierze z kwitnącemi wśród niemieckiego mieszczaństwa liberalnemi ideami, z bujnie krzewiącemi się wśród

pewnych inteligentnych warstw czeskich młodoczeskiemi prądami, z bujniej jeszcze i szybciej rozrastającym się wśród fabrycznej ludności socyalizmem — i zadekretowały zgodnie: „Skoro nie możemy przeszkodzić katolickiemu wiecowi, to go ignorujmy; to udawajmy, że uważamy go za jakąś drobną, małomiasteczkową manifestacyę, której, co najwięcej, należy się parę wierszy w dziennikarskiej kronice“. Dzięki tej socyalistyczno-liberalno-niemiecko-młodoczeskiej konwencyi, nie znać na domach berneńskich, ilu i jakich gości do nich zawitało; nie pokaże się na powitalnem zgromadzeniu, jednego słowa nie wypowie reprezentant berneńskiej gminy; rząd berneński wyszle jako swego reprezentanta i stróża publicznego porządku, zwykłego komisarza policyi, tak jak go wysłał w tym samym dniu i w tej samej godzinie na odbywające się jednocześnie walne zgromadzenie socyalistów. Jakże inaczej, — na pociechę naszą pod tym przynajmniej względem sobie powiedzmy — jakże piękniej i odpowiedniej wystąpili przed rokiem przedstawiciele miasta i rządu w Krakowie.

Pamiętam, przed dwoma mniej więcej latami, jakaś strzelecka czy gimnastyczna uroczystość zgromadziła niemieckie zastępy z Berna, z bliższej, z dalszej okolicy przed wspaniałemi bramami warownej twierdzy niemieckiego języka, zwyczaju i obyczaju, przed wspaniałem, w staro-niemieckim stylu zbudowanem, bogactwem imponującem: *Deutsches Haus.* Czarne fale fraków i surdutów płynęły i przelewały się przez olbrzymie sale, zdobne makatami złożonemi w darze przez niemieckie panie; zatrzymywały się chwilę przed wielką — zapewne nie symboliczną, zapewne przypadkiem, choć niekoniecznie szczęśliwym, tu zawieszoną — fotografią, przedstawiającą ogłoszenie w Wersalu króla Wilhelma niemieckim cesarzem, — i złożywszy winne hołdy twórcy niemieckiej jedności, spieszyły słuchać gorących przemówień o „naszem niemieckiem Bernie“, „naszej niemieckiej cywilizacyi“. Dziś podobne, tylko jeszcze liczniejsze, barwniejsze, różnorodniejsze tłumy płyną ku fortecy słowiańskiego żywiołu, ku „Besedniemu domu“. Prawdziwa to forteca, zaopatrzona we wszelkiego kalibru broń, dla obrony i szerzenia narodowych

ideałów. Na dole redakcye dwóch największych czeskich organów na Morawii: konserwatywnej *Moravskiej Orlicy*, i również konserwatywnego, wybitnie katolickiego *Hlasu;* naprzeciw redakcyj, karmiących ducha, restauracyjne pokoje dla pokrzepienia ciała; obok dość wielka sala, przeznaczona na różnego rodzaju poufniejsze, czy mniej liczne zgromadzenia: jutro obradować w niej będzie jedna z sekcyj wiecowych; całe piętro zajmuje wspaniała „wielka sala", która za chwilę ma się napełnić tysiącznymi uczestnikami pierwszego walnego zebrania. Dziś sala ta błyszczy w uroczystym, biało-purpurowo-szafirowym stroju. Na wielkiej, czerwonem suknem zasłanej trybunie ustawione krzesła i fotele dla prezesów zjazdu, kościelnych dostojników i znakomitszych gości; u jej stóp długie stoły dla redaktorów i stenografów; w głębi portrety: Papieża i cesarza, a w pośrodku wielki biały krzyż wynurzający się z kwiatów i zieleni błogosławi ludziom dobrej woli, w tym świętym znaku zebranym.

Jeszcze nie wybiła szósta, o której wedle programu otwartą być miała pierwsza *ustavujici a slavnostni schüze*, a już biegnące dokoła sali bardzo obszerne trybuny przepełnione cisnącemi się naprzód szeregami strojnych pań; już na sali roi się od fraków, od surdutów, od księżych czamarek, od oryginalnych, wszystkie barwy tęczy w sobie mieszczących słowackich, hanackich, morawsko-chorwackich strojów. Wszystkich zgromadzonych liczyć można do półtora tysiąca; lwią część, przynajmniej trzystu, może i więcej, stanowią księża, przybyli ze Szląska, z najodleglejszych morawskich kresów, nierzadko i z „królestwa", jak tu właściwe Czechy powszechnie nazywają. Nie brak i przedstawicieli wyższego duchowieństwa, i czesko-morawskiej arystokracyi, i reprezentantów pobratymczych słowiańskich narodów. Głównemu organizatorowi i inicyatorowi wiecu, hr. Egbertowi Belcredi'emu, choroba nie pozwoliła wziąć osobistego udziału w jego obradach; stanęli za to rzędem na trybunie: dość jeszcze młodo wyglądający, ale dobrze znany w publicznem życiu, z góry wyznaczony na prezesa wiecu, hr. Otton Serényi; znany mi dobrze z przeszłorocznych welehradzkich zjazdów, hr. Seilern; brat kardynała i ministra, hr. Wojciech Schoenborn,

hr. Chotek, hr. Stolberg, młody hr. Ludwik Belcredi, hr. Spiegel, hr. Haugwitz. Między czarnemi sutannami pragskich, berneńskich, hradeckralowskich kanoników, augustyańskich i benedyktyńskich opatów, odbija biały habit norbertańskiego opata z Nowych-Rosyc. Jeszcze jeden poważny, w sile wieku kapłan, z bardzo inteligentną twarzą, ze wzrokiem wokoło iskrami sypiącym, powoli na trybunę wchodzi; ledwie się pojawił, zrywa się w całej sali burza entuzyastycznych oklasków; niekończące się *Slava!* ze wszystkich stron rozbrzmiewa. Nie dziw! to ukochany, pełen świętego ognia biskup berneński, dr. Bauer; to ten, którego niczem nieustraszonej energii głównie zawdzięczać należy, że piękny projekt katolickiego wiecu czesko-słowiańskiego, mimo tylu, tylu przeróżnych trudności, tak pięknym kwiatem obecnie rozkwita.

Dobrze to rzecz znana, i aż powtarzać jej prawie nie wypada, jaki główny cel mają wszelkiego rodzaju wiece, równie przyrodnicze, jak dziennikarskie, pedagogiczne, jak i katolickie. Na pierwszym planie idzie o to, aby ludzie pracujący i walczący pod tym samym sztandarem, w tym samym zakresie, w imię tych samych haseł, mieli sposobność ze sobą się zapoznać, zakomunikować sobie rezultaty dotychczasowych trudów, nakreślić drogi i ścieżki, któremi na przyszłość do wytkniętych celów zdążać należy; wzajemnie do szybkiego kroczenia po tych drogach się zachęcić. Na drugim dopiero, na o wiele dalszym planie stają rozmaite jednomyślnie czy niejednomyślnie uchwalane rezolucye, propozycye, życzenia, które bez wartości i znaczenia nie są, służyć mogą i nieraz powinny za oryentacyjne drogoskazy woli, pragnień całego narodu, lub pewnych jego warstw — ale bezpośrednich, praktycznych skutków zazwyczaj nie mają, czasem na bardzo nawet poważnych zebraniach, w niesłychanie naiwnej formie są przedłożone, z dziwną nieznajomością rzeczywistych stosunków zredagowane. Nie inaczej było i na berneńskim zjeździe. Sekcyjne posiedzenia i uchwały zostawiały — i to daleko bardziej niż na innych zjazdach — niejedno do życzenia; na posiedzeniach nie było, wogóle mówiąc, dość ożywienia, dyskusyi; uchwały i rezolucye obracały się nie-

jednokrotnie w kole bardzo nawet pięknych, ale niepochwytnych, niedość określonych, po bardzo chyba, bardzo długim czasie, po jakiejś fundamentalnej zmianie istniejących dziś stosunków społecznych, mogących się ziścić życzeń, aby nie powiedzieć — marzeń. Za to pierwszorzędne owe cele zostały w pełni osiągnięte; środek ciężkości, który na innych wiecach rozdziela się zazwyczaj między publiczne a sekcyjne zebrania, tu prawie wyłącznie spoczywał na publicznych. Płomieniste słowa padały w tłumy jak iskry w palny materyał, wzniecając zapał do pracy dla wspólnej, bożej sprawy; dłonie przedstawicieli różnych słowiańskich narodowości, przenajróżniejszych zawodów, łączyły się ze sobą w bratnim uścisku; a gdy usta mówiły: „Pójdziemy odtąd razem, silni bo zjednoczeni“, wątpić nie można było, że wyrażają tylko to co serce czuło, a rozum podsuwał. Czyż to mała korzyść; czyż nie warto było dla przyczynienia się, choć w najdrobniejszej mierze, do jej osiągnięcia, narazić się na stopienie w rozgrzanym do czerwoności wagonie, na uduszenie się w „czeskiej sali“, przepełnionej, jak przepełnione bywają w kąpielowych miesiącach wagony galicyjskich kolei?

Któżby zresztą zważał, któżby, siedząc stosunkowo bardzo jeszcze wygodnie, skarżyć się śmiał na gorąco, na ścisk, patrząc z jaką uwagą, bez frazesów i bez przesady: z otworzonemi ustami, słuchają stojące i cisnące się tłumy przywitalnych przemów. Bo i warto było słuchać, niepodobna było nie łączyć się z powtarzającem się raz po raz ogłuszającem: *Výborně!* i *Slava!* kiedy berneński biskup z apostolską odwagą, a zarazem prostotą, jasno, bez ogródek opowiadał, z jakiemi trudnościami połączonem było zwołanie katolickiego wiecu, cele jego tłumaczył, nadzieje do niego przywiązane promiennemi farbami malował:

„Nigdy i we śnie na myśl mi nie przyszło, — skarżył się biskup — ażeby w katolickiej Morawii, w dziedzinie śś. Cyryla i Metodego, już pierwsza myśl o katolickim zjeździe spotkać się mogła z takiemi przeciwnościami, z tak głęboką niechęcią. Nigdybym tego się nie był spodziewał... Nie przelękliście się, przeciwności te nie odstraszyły Was od stawienia się tutaj; witam więc Was z radością, z tem większą radością, że w tak

znacznej liczbie przybyliście, z taką gotowością, z takiem weselem ducha; że obecność tu Wasza jest pierwszym krokiem do spełnienia najgorętszych życzeń Ojca św., odnośnie do narodu czesko-słowiańskiego... Zjazd ten, to jutrzenka zwiastująca, że ciemności nocne rozpraszać się zaczynają...; to złoty, słoneczny promień, który pierwszy przez nocne cienie się przebija...; to strumień żywej wody, co orzeźwia i wzmacnia... Pierwszy to zjazd, ale ufam, że stanie się on płodnem nasieniem przyszłych, licznych czesko-słowiańskich wieców!"

Do tej samej myśli wrócił w powitalnej swej mowie budziejowicki biskup, dr. Marcin Řiha; owszem poszedł krok dalej, mówiąc głośno, co tysiące myślało; wymieniając wprost miasto, w którem przyszły zjazd powinien się zebrać: „Jako droga nasza siostra Morawia posłała nam świętych Apostołów: Cyryla i Metodego, tak pierwszy ten katolicki wiec czeski, wyśle nam drugi czeski wiec do drogiej naszej, stu wieżami strojnej Pragi. Jako mię to Wasze wielkie wspaniałe zgromadzenie powitało, tak pragnąłbym módz Was kiedyś powitać!"

Witali w podniosłych, w śmiałych słowach biskupi; witali przedstawiciele różnych odłamów wielkiej katolickiej słowiańskiej rodziny, z których każdy, przyjmowany jak brat, tak żywo czuł, że znajduje się tu między braćmi, między swoimi. Polski gość, który dopiero co na lwowskim dziennikarsko-literackim zjeździe ściskał dłonie Jelinka, przysłuchiwał się poświęconym Polsce strofom Vrchlickiego, przypomniał piękne te chwile, przypomniał piękne, niezapomniane chwile zeszłorocznego welehradzkiego zjazdu, na którym myśl cyrylsko-metodyjska, pod opieką i błogosławieństwem słowiańskich Apostołów, takie święciła tryumfy. „Katolicy-Słowianie, znać i kochać się wzajemnie musimy; gdy się poznamy, gdy się pokochamy, spełnimy wielki program naszych świętych Patronów, program przypomniany dziś, wznowiony przez Leona XIII. — pozyskamy dla prawdziwej wiary, a tem samem drogę pewną do nieba utorujemy, całemu słowiańskiemu światu. Więc idźmy za polskiem hasłem, któremu niestety! sami Polacy nie zawsze byli wierni: ‚Kochajmy się i nie dajmy się!' — gdy się kochać będziemy, to się nie damy, to

daleko, daleko poza dzisiejsze granice wbijemy słupy, oznaczające panowanie katolickiej wiary!“

— Niech żyją Czesi i z Czech i z Morawii! — woła w imieniu Chorwatów dawny zagrzebski profesor, obecnie serajewski kanonik, dr. Jagatič.

— Szczęśliwy to będzie dzień, — wtóruje mu lublański Słoweniec, dr. Krek — w którym zjednoczeni Słowianie wystąpią na widownię dziejów, jako niepokonana katolicka potęga!

Na mównicy stanęli teraz hanaccy, słowaccy wieśniacy, wzbudzając samem swem pojawieniem się niemniejszy entuzyazm, jak przed chwilą wzbudzali go goście z bratnich słowiańskich krajów. Rolnik z pod Kromieryża, Jan Pospišil, pozdrawiał zgromadzonych od cudownej Opiekunki morawskiego kraju, Matki Bożej Hostyńskiej, od której właśnie wracał z pobożnej pielgrzymki. Słowak, Józef Šústek, z Kaňovic, wioski pod Węgierskim Brodem, rzucił w tłumy, jak iskrę, krótkie, oryginalne, ale znaczące pozdrowienie:

— Katolicy, nie bójcie się! Słowacy od Węgierskiego Brodu się nie dadzą!...

— Z radością posłyszeliśmy my Wołosi, — mówił Wołoch, Paweł Janota — że w Bernie odbyć się ma katolicki zjazd. Wielu nas się tu wybrało, aby zwiedzić to miasto, aby wyznać naszą katolicką wiarę — której do śmierci nie odstąpimy!... Niechże Bóg temu wiecowi dopomaga, błogosławi!

Po powitalnych, programowe przemowy, stanowiące właściwe jądro uroczystych posiedzeń i całego wiecu. „Po co zjechaliśmy się na katolicki zjazd? — pytał pierwszy mówca, hr. Wojciech Schoenborn, brat ministra sprawiedliwości i pragskiego kardynała. — Aby naradzić się nad najważniejszemi sprawami, które coraz gwałtowniej rozwiązania się domagają: zwłaszcza nad sprawą społeczną i szkolną; aby dopomódz do ich rozwiązania wedle nauk wskazanych przez Tego, w którego imieniu jedynie jest zbawienie, przez — Pana Naszego, Jezusa Chrystusa. Domagamy się szkoły wyznaniowej, i spodziewamy się, że bądź co bądź, żądania i pragnienia nasze niezadługo już ziścić się muszą; domagamy się utworzenia katolickiego uniwer-

sytetu; domagamy się, aby nauczyciele wychowywani byli w duchu katolickim, a od młodzieży uniwersyteckiej usunięte były wpływy i pokusy, którym niestety! tak często ulega. Pragniemy tego, i nad tem tu będziemy obradować i potem nad tem pracować, aby chrześcijańskie zasady, chrześcijańska sprawiedliwość i miłość w życie wprowadzona, zmieniła na lepsze, smutne dziś nieraz stosunki społeczne; zmieniając je na lepsze, odjęła wszelkiego rodzaju wichrzycielom możliwe pozory do dalszej zgubnej pracy. Lecz nietylko czysto religijne, nietylko społeczne — również i szerokie narodowe pole stoi otworem przed katolickim zjazdem. Z pewnością każdy uczestnik tego zjazdu nie da się nikomu innemu ubiedz w miłości dla swego narodu, w pracy o jego dobro, w obronie przysługujących mu praw. I na tem polu wszystko stosować się winno do zasad chrześcijańskiej sprawiedliwości i chrześcijańskiej miłości. Na katolickim zjeździe jesteśmy; ufajmy, że przyspieszy on czas, w którym wszystkie plemiona, żyjące w ziemiach należących do korony św. Wacława, staną obok siebie do wspólnego, twardego boju za wielką katolicką sprawę".

Następni mówcy rozbierali obszernie, w szczegółach, przewodnie myśli, rzucone przez hr. Schoenborna — „Niemca rodem", jak sam się zastrzegł, ale przedewszystkiem katolika, a więc biorącego chętny udział we wszystkiem, co dotyczy katolickich interesów. Kwestya szkolna, socyalna, narodowościowa — w naturalnem swem złączeniu z katolickiemi zasadami, z których winny wypływać, z katolickiemi ideałami, które mają niemi kierować, wśród ciemności drogę oświecać — były trzema biegunami, koło których obracały się najważniejsze przemowy i obrady. Znany filozof chrześcijański, redaktor pragskiego *Vychovatela,* dr. Franciszek Pohunek, rozbierał w głębokich a gorąco odczutych wyrazach, czem szkoła być powinna, czem dziś jest, jaki jej stosunek do Kościoła, do kraju.

„Rodzice z dziećmi swemi, ze swymi domownikami, są jednocześnie członkami szerszego społeczeństwa: kraju i Kościoła; mają zatem obowiązek wychowywać swe dzieci w duchu swego narodu, w duchu swego Kościoła; wysyłając dzieci swe do szkoły

mają nietylko prawo, ale i obowiązek żądać, aby w tym samym duchu je wychowywała: — a więc po czesku, po katolicku, w języku czeskim, w duchu czeskim, w duchu, w miłości katolickiego Kościoła. Dla dzieci czeskich musi być szkoła czeska, bo pedagogiczny to i moralny grzech, wysyłać dziecko do szkoły, której języka nie rozumie, w której stracić musi wszelką łączność z własnym swym domem i narodem; dla katolickich dzieci musi być katolicka szkoła. Wszak szkoła dla dzieci, a nie dzieci dla szkoły... Tak jest! — kto jest rozumnym pedagogiem, kto jest wiernym synem swego kraju, zwolennikiem prawdziwej oświaty i prawdziwego postępu — ten musi głosować za szkołą wyznaniową!"...

— Kto jest prawdziwym pedagogiem, — odpowiadał niejako na te słowa imieniem katolickich nauczycieli sam pedagog, nauczyciel J. Kadlčák — ten staje pod świętym sztandarem krzyża; ten nie lęka się wespół z nami oświadczyć: Chcemy być apostołami chrześcijańskiej prawdy; chcemy, pokąd nam siły starczą, pracować dla dobra społeczeństwa; chcemy rzucać w serca poruczonych nam dziatek nasienie prawdziwej chrześcijańskiej pobożności, aby z nasienia tego wyrosło pokolenie wierne Bogu, cesarzowi i ojczyźnie!

W kwestyi szkolnej nie odezwała się ani jedna fałszywa, ani jedna zbyt przeciągnięta, niemile ucho drażniąca nuta; bardzo trudną i drażliwą kwestyą socyalną, katolicy od tak niewielu dopiero lat na seryo i praktycznie się zajmują, że dziwić się nie można, jeśli nie wszyscy i nie zawsze, mówiąc o niej, w złoty środek trafić umieją; jeśli lękając się, aby ich nie posądzono o hołdowanie kapitalistycznym bożkom, niepostrzeżenie, bezwiednie zapędzają się poza bramy dzielące obóz socyalistyczno-chrześcijański od wprost socyalistycznego. Tak niektórzy, bardzo zresztą wymowni mówcy, zapędzili się podobno za daleko na ostatnim austryackim kongresie w Lincu; tak i w Bernie zbytni ferwor uniósł paru mówców poza ostatnie szranki, poza które chrześcijańskie zasady już nie idą. Ogół zebranych nie umie, rzecz prosta, pociągnąć ścisłej granicy między dwoma temi dziedzinami; słuchając słusznych, wprost do serca sobie trafiających wyrazów o chrześcijańskiej sprawiedliwości, o po-

trzebie obrony pracy przed kapitałem, klaszcze z entuzyazmem; podnieca tem samem mówcę, aby poszedł jeszcze o parę kroków dalej, i nie spostrzegając, że tenże w zbytnim zapale przekroczył już rubikon, dzielący prawdę od fałszu, chrześcijańską sprawiedliwość od niechrześcijańskiej niechęci dla „semitów“, dla „finansowych baronów“, klaszcze — wprawy nabywszy — coraz energiczniej, woła: *bravo!* coraz głośniej. Co tu na to poradzić? Przy prezydyalnym stole pochylają się głowy do cichego szeptu, ale ostatecznie decydują: „Lepiej na razie nie reagować, na razie poradzić tu nic nie można“. Istotnie na razie poradzić nic nie można i dotąd nie będzie można, dopokąd kwestye socyalne w mniej mglistych, nieokreślonych, niż dotychczas konturach ogółowi znane nie będą; dopokąd, jak inne, tak chrześcijańskie prawdy, odnoszące się do uregulowania stosunków społecznych, nie wejdą w skład pewnego rodzaju prawd katechizmowych.

Ślizki grunt spraw społecznych; czy nie bardziej jeszcze ślizki narodowościowych!? — ślizki wszędzie, cóż dopiero tu, gdzie dwa szczepy, oba potężne, oba we wszelki oręż, jaki daje cywilizacya, uzbrojone, walczą ze sobą od tylu lat o każdą ulicę, każdy dom, każdą tabliczkę z imieniem właściciela kamienicy, każdy szyld sklepowy. Pewne obawy tem słuszniej nasuwać się mogły, że berneńscy katolicy niemieccy — nie wchodzę czy i z czyjej winy?— najzupełniej od czesko-katolickiego wiecu się usunęli, nie przysłali nań ani jednego reprezentanta, nie wystąpili ani z jednem słowem stwierdzającem wspólność dążeń, wspólność tylu, tylu interesów między niemieckimi a czeskimi katolikami. Na szczęście obawy te się nie ziściły; zebrani mieli tyle rozumu i taktu, że o tej bijącej w oczy abstencyi nie wspominali; podnosząc słowiańskie ideały, nie zwracali ostrza swych przemówień przeciw ideałom niemieckim, — wynosząc swój kraj i lud, nie utrzymywali, że on jeden do życia ma prawo.

Jednego hr. Ferdynanda Choteka fantazya uniosła za daleko, gdy wspominając o zaprowadzeniu w Czarnogórze słowiańskiego języka, jako liturgicznego, wyraził nadzieję, że przywilej ten nie będzie ostatni, że przyjdzie czas, w którym słowiański język zjednoczy w jednej wierze wszystkie słowiańskie ludy.

Nie wątpić, że słowa te w poczciwym zamiarze były wypowiedziane, ale niezmierna ich naiwność świadczy lepiej od grubych tomów, jak mało właściwe stosunki słowiańskie znane są między tymi nawet, którzy uważają siebie za najgorętszych Słowian, jak nie domyślają się, występując z tego rodzaju zdaniami, na czyj młyn kierują wodę. A słuchacze? Słuchacze, nie przygotowani na podobne oświadczenie, patrzyli na siebie w pierwszej chwili ze zdziwieniem, jakby pytając: Czyśmy dobrze zrozumieli? Po chwili dopiero odezwały się z galeryi oklaski; za galeryą, jak zawsze w podobnych wypadkach, poszła część sali. Naturalnie wszystkie niemieckie pisma, wszystkie katolikom niechętne, te zwłaszcza, które o całym wiecu zachowywały dotąd grobowe milczenie, rozpisały się co prędzej w długich depeszach i korespondencyach o oryginalnej improwizacyi hr. Choteka; czytając je, zdawaćby się mogło, że to był główny cel i treść obrad, a tymczasem był to drobny, przez wielu niepostrzeżony, prawda że arcyniepotrzebny epizod.

Posiedzenie zamknięte; jeszcze Arcybiskup ołomuniecki udziela papieskiego błogosławieństwa, i z tysiąca piersi rozlegają się słowa pieśni, tak dziwnie do polskiego ucha trafiające, tyle różnych wspomnień budzące w sercu:

Bože, co's ráčil před tisíci roky
rozžati otcům světlo víry pravé,
jenžto jsi řídil apoštolů kroky
z východu k naší Moravěnce drahé —
k Tobě hlas prosby z této vlasti vane:
dědictví otcův zachovej nám, Pane!...

Otcové naši, svatí apoštolé,
jejichžto jména slaví národ vděčný,
neopouštějte nikdy svého pole,
by Vaše setba zrála ve plod věčný.
Af na ni rosa požehnání kane —
dědictví otců zachovej nám, Pane![1]

[1] Boże! coś raczył poprzed lat tysiącem
Zapalić ojcom światło świętej wiary,

Urzędowe obrady, uroczystości zakończone; rozpoczynają się nieurzędowe, częstokroć i milsze, i kto wie, czy do celów, dla których tu zgromadziliśmy się, nieraz bardziej jeszcze nie zbliżające. Długi szereg kelnerów wnosi dziesiątki zasłanych śnieżnemi obrusami stołów, stolików; sala obrad zamienia się w jednej chwili w olbrzymią restauracyę; — gdzie dopiero co brzmiały poważne przemowy, brzmią teraz żywe rozmowy, ścierają się zdania, ściskają się serdecznie dłonie dawnych i tylu — strach pomyśleć wielu każdego wieczora — nowych znajomych. W mgnieniu oka różne koła i kółka różne stoły i stoliczki obsiadły; olbrzymie, przedhistoryczne kufle z piwem dodają im animuszu i do długich rozhoworów, do poważnych, do żartobliwych toastów zachęcają. Kogo tu się nie spotyka; z kim kufel o kufel (ładniejby było powiedzieć: puhar o puhar — ale górą prawda!) się nie trąca! Poważny redaktor głównego organu czeskich katolików, pragskiego *Čecha*, wysoki, barczysty, z głową siwizną przyprószoną, miarowym krokiem się zbliża i czystym, płynnym polskim językiem o nasze stosunki wypytuje, o czeskich opowiada. Pytają o nasze stosunki, o katolicką prasę w Galicyi, o krakowskich Żydów, socyalistów, o praktyczne skutki zeszłorocznego katolickiego wiecu, ciekawi, uprzejmi redaktorowie *Obzora*, berneńskiego *Hlasu*, wielkiego i, mówiąc nawiasowo, znakomicie redagowanego pragskiego miesięcznika *Vlasta*, który polskiej literaturze poświęca raz po raz liczne i bardzo sympatyczne ustępy.

— A Rajhrad pamiętasz? do Rajhradu naszego w tych dniach nie zawitasz? — pyta znowu po polsku młody Benedy-

---

Któryś skierował Apostołów kroki
Z zachodnich krajów ku Morawii drogiej,
Z Morawii płynie ku Tobie błaganie:
Dziedzictwo ojców zachowaj nam, Panie!

Ojcowie nasi, święte Apostoły,
Których imiona sławi naród wdzięczny,
Nie opuszczajcież nigdy swojej roli,
By siejba wasza dała owoc wieczny.
Niech na nią rosa błogosławieństw spływa:
Dziedzictwo ojców zachowaj nam, Panie!

ktyn, O. Prokop B. Šup, wielki znawca naszej literatury, tłumacz mnóstwa naszych powieści, powiastek, noweli; obecnie energiczny redaktor wymierzonego głównie przeciw socyalistycznym zakusom dwutygodnika *Dělník* (Robotnik).

Czy Rajhrad pamiętam? Jakże zapomniećbym mógł o tem wspaniałem opactwie; o tym przybytku katolickiej nauki, z którego tylu rzekami, przez tyle różnych pism, tyle książek płynie na całą Morawię, Czechy, prawdziwa chrześcijańska oświata; jakżebym mógł zapomnieć, jak serdecznie — prawdziwie po słowiańsku, po benedyktyńsku — przed dwoma latami mię tam goszczono! Radbym oczywiście z duszy, z serca, odwiedziny te ponowić; pogawędzić dłużej i z O. Prokopem i z poważnym filozofem, O. Pawłem Vychodilem — filozofem a zarazem redaktorem równie bardzo nam sprzyjającego, często i gęsto o literackim naszym dorobku wspominającego dwutygodnika *Hlidka Literárni;* i z zawsze równie świeżo, równie młodo wyglądającym redaktorem (nazwiska niestety zapomniałem zanotować) różnych popularnych, pobożnych pism i pisemek; — radbym szczerze; ale i rajhradcy redaktorzy choć udają, że nie rozumieją, dobrze to w gruncie rzeczy rozumieć i wyrozumieć muszą: „Kto do redaktorskiej taczki przykuty, ten stanowczy rozbrat wziąć musiał z wszelkiem nadprogramowem: ‚Radbym zostać!' — ‚chciałbym pojechać!'"...

— To przynajmniej przyjdź jutro do nas, do naszego augustyańskiego klasztoru na Starem Bernie; przyjdź na cały dzień! — zaprasza wymowny prelegent o katolickiej prasie, O. Tomasz Šilinger.

Ktoś inny pyta o lwowską wystawę; cieszy się, że przyszło na wiec z pozdrowieniem parę polskich telegramów, od *Czasu,* od księży Świeżego, Chotkowskiego, od polskich kuracyuszów bawiących w Woerishofen; ale zarazem nie tai, że mu trochę i dziwno i smutno, czemu nikt więcej z Polaków do Berna nie zawitał. I jeszcze inny rozpoczyna długą — czuję przez skórę jak niemiłosiernie długą, jak nie koniecznie miłą, a z wszelką pewnością do niczego nie prowadzącą — dyskusyę o pozycyi zajętej przez Koło polskie w Wiedniu. Co za szczę-

śliwy los, że przy drugiem już zdaniu rozlegać się zaczynają przy sąsiednim stoliku toastowe okrzyki; odzywa się z kilkunastu piersi wesoła nuta toastowej piosenki... Mów teraz, przyjacielu, co i jak chcesz; ja już słuchać, a co jeszcze ważniejsza, odpowiadać ci nie potrzebuję.

Płynie kolejno hanacka, czeska, słowacka pieśń; radziby i polską zaśpiewać, posłyszeć, i na kilka nawrotów zwracają się ku mnie z propozycyą: „Czy nam czego nie zaśpiewasz?“ Poczciwi ci Czesi! myślą, że i u nas jak u nich w kolebce już dziecko na pewną nutę płacze i skrzypeczkami się bawi! A swoją drogą pierwszy raz może w życiu naprawdę trochę żałuję, że matka-natura dała mi o śpiewie trochę mniejsze wyobrażenie, niż ślepemu o kolorach; płynie pieśń czeska, chorwacka, słowacka, słoweńska, zawsze trochę niewesoło, zawsze jakby jakąś niewesołą wróżbą czy smętnym symbolem, gdy i w tym koncercie polskich dźwięków brakuje.

Rozbrzmiewają poważne, żartobliwe pieśni; rozlegają się serdeczne, głębokie toastowe przemowy na cześć drogich słowiańskich gości z Lublany, Serajewa, Pragi, Krakowa; na rozwój słowiańskiej katolickiej prasy; na wspólną łączność w zbożnej pracy; na zabłyśnięcie zbawczego światła nad temi milionami słowiańskich braci, które dotąd siedzą w ciemnościach nocy. Ściskają się dłonie, — otwierają się, zbliżają się serca; i raz po raz ktoś wzruszony woła: „Tylko częściej tak ze sobą się schodźmy, częściej — a z równą jak tu miłością, omawiajmy wspólne nasze pragnienia i interesa; a nieszczęśliwa mgła wzajemnych uprzedzeń i niechęci rozproszyć się musi; katolicka Słowiańszczyzna zajmie należne sobie stanowisko; wielka, prawdziwie boża myśl Cyryla i Metodego, myśl Leona XIII., prędszym krokiem niż dotąd, zbliżać się zacznie do urzeczywistnienia!“

Ks. Jan Badeni.

Z ARCHIWUM KARMELITÓW BOSYCH
NA CZERNEJ.

Przed czterema laty, bawiąc podczas wakacyj w uroczej okolicy Krzeszowic wraz z d-rem Konecznym, zakołataliśmy do furty klasztornej Karmelitów Bosych na Czernej, z prośbą o pozwolenie obejrzenia biblioteki i archiwum. Dzięki uprzejmości ówczesnego przeora, O. Rafała Kalinowskiego, otrzymaliśmy do przejrzenia gruby plik dokumentów, pochodzących z klasztoru Karmelitanek Bosych w Wilnie. W łamach *Przeglądu Powszechnego* zdaliśmy przed trzema laty sprawę z naszych trzydniowych poszukiwań.

Dokumenta jednak, przez nas przejrzane, to tylko cząstka archiwum czerneńskiego, to świeży i obcy jego nabytek. Że klasztor posiadał niezmiernie ciekawe dokumenta, akta i zapiski kronikarskie, świadczy niezbicie monografia Józefa Louisa, pod tytułem: „Wieś Paczołtowice“ [1], oparta głównie na źródłach klasztornych; potwierdza ogólnikowa wzmianka autora (str. 7) o jakichś „starych rachunkach gospodarskich wsi Paczołtowic, o współczesnych zapiskach OO. Karmelitów Bosych z pustelni św. Eliasza, i zwoju dyplomów odnoszących się do tej wioski“, które jakiś „szczęśliwy wypadek oddał w jego ręce“.

Nie mając na razie czasu i sposobności po temu do skonstatowania, jakie źródła historyczne klasztor wogóle posiada,

[1] Kraków 1874.

musieliśmy to odłożyć na czas późniejszy i sposobniejszy. Po trzech latach dopiero pozwoliły mi okoliczności zamieszkać przez parę tygodni na letniem mieszkaniu w sąsiedztwie klasztoru. Nie będąc archiwistą i nie w celach archiwalnych przybywszy do tej okolicy, nie dziw, że nie kwapiłem się zbytecznie do zwiedzenia archiwum, tem więcej, że i stosunki w klasztorze zmieniły się o tyle, iż dawny przeor, czcigodny O. Rafał, nie był obecny, a ówczesny, O. Kazimierz Rybka, był mi całkiem nieznany. Nie miałem więc wielkich nadziei, że bez poleceń specyalnych uzyskam wstępu do archiwum. Natura jednak ciągnie wilka do lasu. Postanowiłem przynajmniej spróbować. I jak się zdziwiłem, gdy mi nietylko nie odmówiono, lecz największą gotowość okazano w zadośćuczynieniu mej prośbie! Czcigodny O. Przeor sam raczył mi najłaskawiej dać obszerne a cenne objaśnienia co do stanu obecnego archiwum i dziejów klasztoru, a wielebny O. Romuald, bibliotekarz, znosząc mi podczas kilkunastodniowego pobytu w klasztorze stare folianty i pożółkłe pargaminy, swemi wskazówkami i uwagami niejednokrotnie wielce mi ułatwił zadanie. Wobec tego uważam za swój obowiązek tutaj publicznie WW. Ojcom złożyć podziękowanie.

Żałować tylko mi wypada, że nie wcześniej jak pod koniec wakacyj zabrałem się do zbadania archiwum klasztornego, wskutek czego mogło ono być tylko pobieżne i niekompletne. Sądzimy jednak, że sprawozdanie z naszych poszukiwań, jakkolwiek niewyczerpujące, okaże się pożyteczne, choćby jako krok naprzód w odkrywaniu zaklętych naszych skarbów dziejowych, ukrytych dla oczu badaczy w różnych prywatnych, czy kościelnych, czy też publicznych zbiorach. Może jako pionierska przysługa, ułatwi gruntowne a krytyczne zbadanie tych źródeł, konieczne dla skonstruowania naukowego obrazu dziejów samego klasztoru, bardzo pożądane jako przyczynek do dziejów wewnętrznych polskich, od XVI. począwszy wieku, zwłaszcza do stosunków ekonomiczno-społecznych, do których przedstawienia źródła klasztorne cenne zawierają dane. Wprawdzie posiadamy już monografię klasztoru czerneńskiego w niefortunnie nieco zatytułowanej, a wyżej już cytowanej pracy Louisa, jednakże nie

uwzględniając wcale wymagań krytyki, nadto podając rzeczy całkiem nieprawdziwe, studyum to wartości naukowej nie przedstawia żadnej. Sprawozdanie nasze zatem, o ile w pierwszej linii zajmuje się źródłami, na podstawie których powstała wyżwymieniona monografia, będzie do pewnego stopnia krytycznem uzupełnieniem tejże; o ile zaś omawiać będzie nieznane dotąd źródła, dotyczące innych klasztorów, zainteresować może niejednego z czytelników. Uwzględniając najpierw źródła czerneńskie, a następnie obce, dla większej przejrzystości omówimy każdą razą w pierwszym rzędzie luźne dokumenty i akta, a następnie kroniki i kodeksy pojedyńczych klasztorów. O ile zaś dla zrozumienia wielu dokumentów objaśnienia historyczne okażą się niezbędne, będziemy się starali jak najkrócej tej potrzebie zadośćuczynić, by nie przekroczyć granic skromnego referatu.

Każdego, kto tylko zawitał w okolicę Krzeszowic, uderzył na południowym krańcu, na tle siniejących w oddali Karpat i Tatr, widok ruin zamku tenczyńskiego, sterczących na wyniosłym stożku wygasłego wulkanu. Zamczysko to, do największych na ziemi polskiej zaliczane, to prastara siedziba wymarłej rodziny Tenczyńskich, sławne gniazdo Toporczyków rodu. Dawno już rozsypały się w proch śmiertelne szczątki Sieciechów, Golutów, Nawojów, Jasków, Andrzejów i t. d. i t. d., panów i hrabiów na Tenczynie, co z tych wież patrzyli na swoje, szeroko u stóp zamkowej góry rozpostarte włości; dawno już rozpadła się w gruzy wspaniała siedziba tego rodu, co, wedle poety, w królewskich komnatach szukał oblubienicy dla swych członków — a jednak pozostało po nich dzieło, widniejące na przeciwległym krańcu okolicy, a strzegące dwa i pół wieku z górą pamięci wielmożów z Tenczyna. To klasztor na Czernej, fundacya ostatniej z tego rodu latorośli, Agnieszki z hrabiów Tenczyńskich Firlejowej, wdowy po wojewodzie krakowskim, Mikołaju Firleju. Rzecby można, że dzieła, na chwałę nieśmiertelnego Boga wykonane, otrzymują jakby piętno nieśmiertelności, są najtrwalszym pomnikiem ofiarodawców. To też w murach pustelni św. Eliasza na Czernej żywo przechowuje się pamięć fundatorki i jej rodu.

Trzy jej portrety, zawieszone w zakrystyi, refektarzu i pokoju gościnnym, przedstawiające ostatnią z Tenczyńskich w stroju zakonnym, z różańcem lub księgą w ręku, z napisem u dołu: *Agnes Comitissa de Tenczyn Firlejowa Palatina Crac. sacri hujus deserti fundatrix, pietate in egenos munificentissima. Post sexagesimum sextum aetatis, quadragesimum septimum viduitatis annum diem extremum clausit julii XVI. Calend. A. D. M. D. CXLIV.* [1]; a u góry: *Fratres orate pro me* — przypominają braci zakonnej świątobliwą tę naprawdę niewiastę, której rysy arystokratyczne cechuje dziwna jakaś szlachetność i pokora, z której oczu patrzy tyle miłosierdzia, taki wieje spokój, iż zdają się mówić: *Ecce mulier vere christiana* [2]. Z wielkiem też poszanowaniem przechowuje klasztor drobne nawet pamiątki po tej „Pani szczególnie na Boga rozrzutnej", jak ją nazwano [3], choć właściwie wszystko tu po niej jest pamiątką: mury, ołtarze, obrazy, sprzęty, nawet papier w kodeksach ze znakiem wodnym „Topór" przypomina Agnieszkę. Wspominamy tylko mały obrazek, przedstawiający św. Franciszka Ksawerego, podarek ks. Piotra Skargi, jak o tem świadczy napis z tyłu obrazu, dla Firlejowej, swej córki duchownej, wielkiej przyjaciółki i dobrodziejki zakonu Jezuitów. W bibliotece klasztornej wisi starożytny zegar ścienny, który fundatorce krótkość żywota ziemskiego przypominał i do takiego mnożenia się w cnoty i dobre uczynki zniewalał. Pokazywano mi nawet kafel z pieca z pięknie wypalonym herbem „Topór", jako pamiątkę po Tenczyńskich rodzinie.

W jednym kodeksie rękopiśmiennym [4], zawierającym klasztorny ceremoniał świąteczny i rozporządzenia wizytatorów jeneralnych, znalazłem następującą luźną wzmiankę o fundatorce: „W 14 roku życia wyszła zamąż, a w 19 męża straciła". Miała wstąpić do zakonu, lecz ze względu na dzieci,

[1] 16 czerwca 1644 r.

[2] Portret tej *ultimae mulierum de Thenczyn,* we wdowie zakonne szaty przybranej, znajduje się również w galeryi obrazów książąt Czartoryskich w Krakowie.

[3] Niesiecki, „Korona Polska", IV. str. 344. Cfr. Louis 47.

[4] Obacz niżej, nr. XII.

któreby wtedy przeszły pod opiekę protestanckich Firlejów, duchowni ją od tego kroku odwiedli. Otóż zamiar ten wstąpienia do zakonu połączono z fundacyą klasztoru Karmelitów na Czernej. „W roku 1625 — opowiada Louis [1], powołując się na nieznaną mi kronikę klasztorną — przy uroczystym akcie obłóczyn krewnej swej, wdowy Ligęzinej, w Kłoczowie [2], wstępującej do zakonu Karmelitanek, miał powstać u Agnieszki zamiar wstąpienia również do klasztoru; ze względu wszakże na wychowanie dziatek, zaniechała tego zamiaru. O. Gerard, jeneralny wizytator zreformowanych [3] przez św. Teresę i św. Jana od Krzyża klasztorów karmelickich w Polsce, korzystając z chwili uniesienia Firlejowej, podał jej myśl założenia klasztoru. Myśl tę Agnieszka skwapliwie przyjąwszy, postanowiła w dobrach swoich ufundować klasztor dla Karmelitów Bosych".

Co do logicznego związku między zamiarem wstąpienia do zakonu w r. 1625, zaniechaniem go z wyżwymienionych względów i zastąpieniem go postanowioną fundacyą klasztorną, nasuwa się atoli poważna wątpliwość. Agnieszka Tenczyńska poślubiła bowiem w r. 1592 Firleja, a straciła go r. 1597, jeżeli rok 1644, rok jej śmierci, jest 47-mym rokiem jej wdowieństwa. Ponieważ w r. 1625 najmłodsze z jej dzieci musiało mieć lat 28.

---

[1] Str. 27. Rok 1635 podany tamże jest widoczną pomyłką drukarską.

[2] Woj. sandomierskie, ziemia stężycka, pow. garwoliński.

[3] Louis na str. 27 całkiem bałamutnie podaje, iż O. Gerard był Karmelitą Trzewiczkowym, że myślał o fundacyi klasztoru Karmelitów Trzewiczkowych, że jego sekretarz, O. Andrzej Brzechwa, pierwszy Karmelita Bosy Polak, a Karmelita Bosy już przed r. 1610, skoro w tym roku, wedle słów samego autora str. 31, tak gorliwie się krząta około fundującego się klasztoru Karmelitów Bosych św. Michała i Józefa w Krakowie, że zatem sekretarz poza plecyma przełożonego krzyżuje jego plany i Firlejową do fundowania klasztoru Karmelitów Bosych nakłania. Co do O. Gerarda, Genueńczyka, nadmieniamy, iż młodzież akademicka krakowska z wielką owacyą go przyjęła, gdy pierwszy raz zawitał na wizytacyę do Krakowa, czem ujęty wizytator, ofiarował jej krzyż z relikwiami, otrzymany w czasie swej podróży do Polski od świątobliwego Karmelity Bosego, O. Dominika a Jesu Maria, głośnego ze swego udziału w bitwie pod Białą Górą i cieszącego się wielkiem poważaniem na dworze cesarza Ferdynanda II. Krzyż ten akademicy pozostawili w kościele św. Michała, skąd się dostał na Czernę i tamże w wielkim ołtarzu jest umieszczony.

czyż zatem w tym roku wzgląd na wychowanie dziatek mógł ją od wstąpienia do zakonu odwieść? Prawdopodobnie zatem zamiar wstąpienia do zakonu istniał daleko wcześniej, wtedy kiedy przez wstąpienie młodej wdowy do zakonu, wychowanie katolickie jej dzieci mogło być zagrożone. W każdym razie serce, które gotowe było całkiem poświęcić się Bogu, gotowe też było poświęcić swe mienie na chwałę Jego. Być może, że przy akcie obłóczyn krewnej myśl dawno powzięta dojrzała ostatecznie, a pod wpływem O. Gerarda czy O. Brzechwy tę a nie inną przybrała formę; lecz żeby chwilowe uniesienie, jak chce Louis, 47-letniej niewiasty, wcale zresztą praktycznej, było przyczyną tak rozumnie przeprowadzonej fundacyi, o tem mocno wątpić musimy.

Nie mogąc w dobrach własnych wynaleść odpowiedniego miejsca na klasztor, kupuje Agnieszka Firlejowa w roku 1628 w sąsiedztwie tenczyńskiego zamku dobra paczołtowickie, a ponieważ i tutaj nie znalazł się plac dogodny pod klasztor, nabywa w Czernej, wsi sąsiedniej brata Jana, wojewody krakowskiego, hr. na Tenczynie, grunta włościańskie za złotych 120, i tutaj niebawem, między 1631 a 1640 r., wzniosły się po dziś dzień istniejące zabudowania klasztorne.

Z nabyciem jakiejś włości wchodził zwyczajem ówczesnym nabywca w posiadanie wszelkich dokumentów prawnych dawniejszych posiadaczy i dziedziców tejże, uwierzytelniających ich prawa własności, zatem nabywał wszelkie akta kupna, sprzedaży, zamiany, darowizny, cesyi tejże włości, wszystkie przywileje jej dotyczące, jakie dawni właściciele otrzymali. Stąd też klasztor posiada cały szereg dokumentów lub ich kopij z XVI. wieku, a nawet z końca XV. wieku, odnoszących się do dawnych dziedziców włości klasztornych. Oryginalnych dokumentów do tej kategoryi należących znalazłem tylko dwa:

1) Akt zakupna wsi Siedlca, Paczołtowic, Żbika, Dubia i Żar[1] przez Feliksa Czerskiego, sędziego ziemi krakowskiej

[1] Wsi w W. Ks. Krakowskiem na półn. zachód od Krzeszowic.

i sekretarza królewskiego, od Jana Barzi, dziedzica Błożewa [1], Wiśnicza i Książa [2], syna Stanisława Barzi, wojew. krak., za złotych 26.000. W imieniu Jana, ponieważ był małoletni, kontrakt sprzedaży zawarli Andrzej na Tenczynie, wojewoda bełski, i Jan Zamojski, kanclerz w. koronny. Data w Krakowie, *in colloquiis generalibus feria secunda post festum St. Michaelis*, r. 1578 [3].

Dokument ten, w języku łacińskim zredagowany, umieszczony jest na mniej więcej 65 cm długiej, 35 cm szerokiej karcie pargaminowej. Pismo od starości nieczytelne. Intytulacya i wielkie głoski czerwonym atramentem pisane. Na początku piękny inicyał głoski „F". U dołu w środku przymocowane na czerwono-niebiesko-białych sznurkach jedwabnych dwie pieczęcie. Pierwsza na lewo jest Czerskiego, z napisem w otoku: *Felix Czerski, judex Terrae Crac.*, z herbem Rawicz w środku; druga pieczęć Jakuba Dembieńskiego z Dembian, podsędka jeneralnego krakowskiego, nosi ten sam herb, napis jest w części nieczytelny. Na karcie *a tergo* odczytać można z trudnością: *Medietas vendicionis Sielcza et aliorum a Ioanne Barzi Felicis Czerski 1578.*

2) Akt donacyi powyższych dóbr przez Jana Barziego na rzecz Feliksa Czerskiego. Zewnętrzna forma i pieczęcie te same co u poprzedniego; pismo również nieczytelne i zatarte. *A tergo* czerwonem pismem napis: *Medietas donationis Sielcza et aliorum.*

Najważniejszym dokumentem klasztoru jest:

3) Akt fundacyjny. Obejmuje cztery karty pargaminowe *in folio*, zeszyte, z trzema pieczęciami, wiszącemi na czterech grubych czerwonych sznurach jedwabnych, parami wiązanych. W jednej parze znajduje się pieczęć fundatorki z herbem Topór, w drugiej dwie pieczęcie: dolna prowincyi polskiej Karmelitów Bosych, zwanej od Św. Ducha, z herbem tejże, przedstawiającym Ducha Św. w postaci gołębicy; górna konwentu krakowskich Karmelitów Bosych od św. Michała i Józefa, z wizerunkiem tychże Świętych. Akt ten składa się właściwie z trzech do-

[1] W okolicy Sambora.
[2] Miasteczko w pow. miechowskim.
[3] 6 października. Cfr. Louis, str. 22.

kumentów. Na wstępie mamy: *a)* nadanie Firlejowej. W niem przekazuje „Agnieszka z Tenczyńskich Hrabianka, niegdy JWP. Mikołaja Firleja z Dąbrowice, Wojew. krak., nowomiejskiego, kazimirskiego, pilzneńskiego starosty wdowa, klasztorowi św. Eliasza na Czernej, budującemu się na gruncie WP. wojewody krakowskiego, do zamku tenczyńskiego należącym, wsie: Siedlce, Paczołtowice, Żbik, Dub z młynem Chechelskim i pewne części w Żarach". Włości te, kupione przez podwojewodziego krak., Wojciecha Miroszewskiego, za jej pieniądze od Melchiora Gierstmana, zostały dla utarcia trudności prawnych formalnie cedowane Janowi Tenczyńskiemu, wojew. krak., bratu Agnieszki. Ten zaś urzędownie w grodzie nowomiejskim korczyńskim dobra te konwentowi Karmelitów Bosych od św. Michała i Józefa w Krakowie odstąpił[1]. Otóż fundatorka postanawia, by dochody z tych wsi były przez klasztor krakowski obracane na mury eremu czerneńskiego, a jeżeli tenże stanie, by na jego własność dobra wyżej wymienione przeszły; dodaje jednak warunek Karmelitom krakowskim, by dóbr wyżwymienionych w administracyę cudzą lub posesyę czy to w drodze zamiany lub zastawu, czy arendy nie dawali, lecz sami je przez braci swych lub sługi trzymali. Donacya ta datowana jest w Rogowie[2], dnia 10 maja 1631 r.; na końcu znajduje się podpis: „Agnieszka z Tenczyna H. Fierleiowa W. K. ręką własną". *b)* W drugim dokumencie zobowiązuje się konwent Karmelitów Bosych z Krakowa, że dobra wymienione eremowi św. Eliasza rzeczywiście odda, że klasztor krakowski dobrami temi przez własnych braci i własne sługi zarządzać będzie, „nikomu ich ani sposobem arendy, ani zastawy, ani zamiany w administracyę nie da". Data w Krakowie, 12 maja 1631 r. Następują podpisy: O. Grzegorza przeora, definitorów, podprzeorzego i dwóch braci.

Trzeci wreszcie dokument zawiera: *c)* aprobatę kapi-

[1] Cfr. Louis, 32/33.

[2] Wieś w powiecie pińczowskim nad Wisłą około Korczyna, należąca w XVI. wieku do Firlejów, lub w powiecie miechowskim.

tuły prowincyonalnej, zgromadzonej w Lublinie, potwierdzenie warunków stawionych klasztorowi krakowskiemu przez fundatorkę. Data z Lublina 17 maja r. 1631; następują podpisy: O. Stefana prowincyała, jego poprzednika, czterech definitorów, jednego byłego definitora i przeora lubelskiego [1].

Śmierć jedynego Agnieszki syna, Jana Firleja, zmarłego r. 1641 bezpotomnie, zerwała ostatni węzeł, jaki ją łączył ze światem. Dwie pozostałe córki, Zofia i Krystyna, znalazły jako zakonnice bezpieczną przystań w chełmińskim [2] klasztorze Benedyktynek. Choroby nadto i cierpienia każą jej coraz więcej myśleć o śmierci, o zbawieniu duszy, o zbawieniu drogich jej sercu osób. Stąd ta gorączkowa prawie, nieobmyślana ofiarność na cele pobożne, która sprawiła, iż zamiary i zapisy jej dobroczynne w ostatnich trzech latach, ulegały, pod wpływem różnych osób, niejednokrotnie zmianie, jak o tem świadczą niżej podane dokumenta.

Troskając się o zbawienie duszy małżonka i syna, z których pierwszy jej wiele dóbr, a mianowicie królewszczyzn w dożywocie zapisał, ostatni 100.000 zł. testamentem przekazał, otaczała troskliwą opieką kościół w Beycach [3], gdzie spoczęły zwłoki męża i syna. Sprawiła tedy wielką ilość sprzętów kościelnych ku ozdobie kościoła, tabernakulum ze srebra, nadto puszkę szczero-złotą dla wystawiania Najświętszego Sakramentu w kaplicy przechowującej drogie jej sercu zwłoki. Prócz tego miała

---

[1] Aktu erekcyjnego znalazłem dwie kopie: jedną urzędową, potwierdzoną w grodzie krakowskim r. 1672, umieszczoną w *Liber inscriptionum*, poniżej omówionym (nr. I.), na końcowych stronicach 112—118; drugą nieurzędową w kodeksie inwentarskim (nr. VI.) z początku XVIII. w. pochodzącym; następuje ona tamże po inwentarzu zakrystyi. W ostatniej kopii na końcu aktu znalazłem kopię „Licencyi“ biskupa krakowskiego Jakuba Zadzika dla Piotra Gembickiego, biskupa przemyskiego i kanclerza król. polsk. a brata ciotecznego Firlejowej, w której biskup krakowski pozwala Piotrowi konsekrować świeżo wybudowany kościół w eremie św. Eliasza. Licencya datowana jest w Bodziatyniu (pow. kielecki) d. 30 lipca 1640 r. Oryginał posiadał podpis własnoręczny biskupa Zadzika i pieczęć wielką biskupią. Konsekracya odbyła się 1 października 1640 r. (Cfr. Louis 40).

[2] W ziemi lubelskiej. Cfr. Louis str. 46.

[3] Bejsce, pow. pińczowski, około Korczyna, wojew. sandomierskie.

zamiar kaplicę tę wyposażyć, aby po wieczne czasy były godzinki do N. Maryi Panny przez kler odśpiewywane, by codziennie w tej kaplicy Msza się odprawiała na cześć Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny, wreszcie miała silną wolę pomnożenia liczby księży przy tym kościele. Ponieważ rozporządziła tak przedwcześnie, stanęły wykonaniu zamiaru różne trudności na przeszkodzie, dlatego zmieniła wolę swą i eremowi św. Eliasza zapisała sumę 20.000 zł. na dobrach Zbylitowice [1], zobowiązując ich do odprawiania codziennie Mszy św. o Niepokalanem Poczęciu N. M. Panny za duszę męża, syna, córek zakonnic i jej własną, i to w poniedziałek za duszę małżonka, we wtorek, czwartek i sobotę za nią samą, we środę za dusze zmarłych, osobliwie ratunku nie mających, w piątek za Jana Firleja, syna. Zobowiązania te wyspecyfikowane są w osobnych (4, 5) dwóch dokumentach autentycznych oryginalnych równobrzmiących, spisanych na papierze, w których O. Felicyan od Wszystkich Świętych, prowincyał Karmelitów Bosych w Polsce, obligacyę fundatorki przyjmuje i potwierdza własnoręcznym podpisem i pieczęcią dnia 30 marca 1642 r., w Rogowie. W środku pierwszego aktu wyciśniona pieczęć karmelicka prowincyi polskiej, na lewo znajdują się podpisy prowincyała, O. Michała przeora czerneńskiego, i O. Krzysztofora przeora konwentu Karmelitów Bosych w Krakowie od św. Michała, na prawo własnoręczny podpis fundatorki. Na drugim (5) dokumencie wytłoczona pieczęć inna, pieczęć eremu św. Eliasza; podpisy są te same co na poprzednim.

Zmiany te w postanowieniach Firlejowej na niekorzyść kościoła bejskiego, były nawet przyczyną procesu rozgrywającego się 4 miesiące przed śmiercią fundatorki. Świadczy o tem (6) zwój aktów, dotyczących procesu o sumę 6000 zł., przeznaczonych na fundowanie kaplicy przy kościele w Beycach, i o pewne sumy legowane na wykup niewiast z niewoli tatarskiej i na szpitale w Beycach, Rogowie, w Iwanowicach [2], a zabezpieczone na widerkauf na wsi Birkowie w powiecie proszowskim, własności

[1] Wojew. sandomierskie.
[2] Wieś w powiecie miechowskim.

WP. Michała Krzysztofora Szembeka, dworzanina królewskiego. Sumy te, za zgodą fundatorki, Piotr Gembicki, w tym czasie już biskup krakowski, a jej brat cioteczny, rozsądzając tę sprawę, przekazuje na inne cele, a mianowicie przenosi fundacyę kaplicy z Beyc do zamku tenczyńskiego, odbiera Karmelitom Bosym prawo rozporządzania odsetkami z sumy 3000 zł. na wykup niewiast z niewoli tatarskiej, a przelewa te prawa, za zgodą Agnieszki Firlejowej, na siebie i biskupów krakowskich, wreszcie pomniejsza legaty zapisane na wyżwymienione szpitale. Działo się to w Radłowie[1] 15 lutego r. 1644. Akt ten, podpisany przez biskupa, potwierdzony jest jego pieczęcią. Zwój ten obejmuje 20 kartek szczelnie zapisanych, i to, jak charakter pisma wskazuje, przez dwóch pisarzy zmieniających się.

Nietylko jednak Karmelici Bosi cieszyli się zaufaniem i ofiarnością Firlejowej, większych daleko względów od niej doznawali jeszcze OO. Jezuici. Potwierdza to prócz źródeł jakie miał Louis pod ręką[2], (7) luźna kartka wyrwana z notat spisanych po łacinie w r. 1658 za rządów przeora O. Eliasza, a odnoszących się do życia i zasług fundatorki klasztoru, Agnieszki Firlejowej. Ponieważ ten urywek historyograficzny znalazłem między dokumentami, cytuję go jako luźną wzmiankę między luźnemi aktami, nie zaś między kronikami, do których właściwie należy.

Opisując cnoty fundatorki, wymienia autor także cnotę skrupulatnego posłuszeństwa i zaparcia się swej woli wobec spowiedników swych OO. Jezuitów. „Tymże Ojcom, trzeba to zanotować — powiada autor — więcej wyświadczyła dobrodziejstw niż nam, wyjąwszy tytułu fundatorki, które to dobrodziejstwa były widoczne jak na dłoni w rejestrach i rachunkach wedle prawdziwego zeznania zrobionego jednemu z braci naszych przez sługę JW. fundatorki, Jackowskiego. Tenże całe życie spędził na usługach jej i jemu też wszystko zawierzała. Mimo to bez jego wiedzy potajemnie dawało się tymże Ojcom jej własną

[1] Miasteczko w Galicyi w pow. brzeskim, biskupizna.
[2] Cfr. str. 47.

ręką. Stąd też temuż słudze uszło wiele z dobrodziejstw przez nią świadczonych. To także z tego jest wiadome, co dwa lub trzy lata przed śmiercią swoją sama fundatorka *magno cum affectu et energia verborum* oświadczyła przed jednym z Ojców naszych, bawiącym u niej w sprawach duchownych i świętych, mówiąc: ‚Ojcze najdroższy, ja OO. Jezuitom jestem z wielu względów zobowiązana, albowiem co mam z dóbr duchownych i ziemskich z ich łaski i podarunku posiadam'. Dlatego tak wielkie na nich sypała jałmużny, że przewyższały o wiele dobra nam przekazane i fundacyę naszą klasztorną, co się wspomina i notuje dla większej sławy jej szczodrobliwości i pobożności na chwałę Bożą".

Z przywilei oryginalnych, jakie Karmelici czerneńscy z biegiem czasu od królów polskich otrzymali, znalazłem wśród luźnych dokumentów tylko trzy, jakkolwiek istnieć ich musi lub istnieć musiało daleko więcej [1].

Znacznem źródłem dochodów dla Karmelitów w końcu XVII. i z początkiem XVIII. wieku, jak o tem jeszcze poniżej będzie mowa, były łomy marmuru w Dębniku, przysiołku Paczołtowic. Ponieważ przy objęciu tychże przez Karmelitów, łomy znajdowały się w dzierżawie dwóch Włochów, Bartłomieja Stopano i Szymona Spadi, którzy rocznej dzierżawy nie płacili więcej jak 1000 złr., zakonnicy wzięli r. 1644 marmury we własny zarząd. Napotkali jednak na takie trudności i przeszkody ze strony cechów murarskiego i kamieniarskiego, iż się pod opiekę króla Jana Kazimierza uciec musieli [2]. Uzyskali też pod datą 21 stycznia r. 1661 przywilej, „aby ich rzemieślnicy, koło marmurów robiący, mogli wolno bez wszelkiej przeszkody, której do tego czasu używali od mistrzów cechowych, jakoteż i towarzyszów rzemiosła tegoż, roboty wszelakie ołtarzy marmurowych i inne, jakieby jeno się trafiły, jednać, targować i zrobione we wszystkich miastach stawiać". Przywilej ten „J. K. M. Jana Kazimierza na uwolnienie kamieniarzów w Dębniku od cechowych mistrzów" przechował się: *a)* w oryginale, *b)* w kopii

[1] Cfr. Louis, str. 85, 105, 118.
[2] Cfr. str. 87/88.

urzędowej z czasów nowszych, noszącej już pieczęć austryacką, i *c)* w transumpcie Augusta III [1].

8) Oryginał spisany jest pięknem i czytelnem pismem w języku polskim, na pargaminowej karcie od starości poczerniałej około 50 cm długiej, 35 cm szerokiej. Po intytulacyi pierwsza głoska przywileju, rozpoczynającego się od słów „Oznajmujemy", jest inicyałem w zielonej barwie wykonanym. Na prawo u dołu umieszczona jest treść dokumentu: „Pozwolenie Ojcom Karmelitom Bosym *in eremo* zostającym przy Sielcu w górach swoich marmurowych ołtarze i inne roboty kamieniarskie wystawiać". Poniżej znajduje się podpis: *Sthefs. Hankiewic, Srcs. Reg. Mtis;* po lewej stronie podpis królewski: „Jan Kazimierz król". W środku na dwóch grubych sznurkach jedwabnych czerwonobiałego koloru przymocowana pieczęć koronna z wosku czerwonego w puszce blaszanej, częściowo uszkodzona.

Przywilej ten, jak to wspomina wyżwymieniona kopia, oblatowany został roku 1661 w piątek po święcie Nawrócenia św. Pawła w grodzie krakowskim przez Karmelitów OO. Fortunata od Oczyszczenia N. M. P. i Marcina od św. Stanisława z konwentu krak. ŚŚ. Michała i Józefa.

9) Transumpt tego przywileju, transumowanego już przez Augusta II. w Warszawie 19 listopada r. 1720, a potwierdzonego przez Augusta III. tamże pod datą 14 września r. 1752, spisany jest na wielkiej i grubej karcie z papieru w dwoje złożonej, zlepionej lakiem, na którym wyciśnięta jest w papierze pieczęć królewska. Na dole po prawej stronie znajduje się podpis: *Antonius Sikorski S. R. M. Secretarius;* na odwrotnej czytamy: *[Ex] Procancellariatu I. E. et R. D. Michaelis de Granów Wodzicki decani cathlis. Crac., abbatis commendatarii Wąchocen. et Cerven. Procancellarii Regni.*

Ostatni przywilej, jaki klasztor otrzymał, jest (10) przywilej Stanisława Augusta, przechowany w oryginale, przywilej na targi do wsi, Paczołtowice zwanej, w wojew. krak. leżącej, do Zgro-

[1] W XVIII. wieku znajdował się w archiwum klasztornem jeszcze przywilej ten w transumpcie króla Jana Sobieskiego. Transumpt ten jednak zaginął.

nadzenia konwentu W. Karmelitów B. w Czerny należącej, dany w Warszawie 14 czerwca r. 1788. Forma zewnętrzna dokumentu taka sama jak poprzedniego. Na prawo u dołu podpis: „Mikołaj Sikorski J. K. M. i Pieczęci Mniejszej kor. Sekretarz". *A tergo* czytamy: *[Ex] Proc. I. R. D. Matthiae Gregorij in Cadow Poray Garnysz, Episcopi Helmensis, Abbatis Commendatarii Landensis, Procancellarii Regni.*

Najwięcej materyału źródłowego do historyi klasztoru czerneńskiego i jego włości zawierają niewątpliwie kopiaryusze, inwentarze, rachunki gospodarskie, kroniki, przechowane w kodeksach rękopiśmiennych, których przeglądałem dwanaście.

Najważniejszym z tych kodeksów, jak to z zewnętrznej formy i treści wynika, jest kopiaryusz zatytułowany: I. *Inscriptiones Carm. Discal.*, a który kodeksem głównym nazwijmy. Jest to gruby kodeks *in folio*, oprawny w skórę, poczerniałą obecnie od starości. W środku na okładce wyciśnięty jest herb karmelicki, tarcz podzielona na trzy pola trójkątne; dolne ciemne przedstawia górę, a na jej szczycie sterczy krzyż między dwiema gwiazdami; dwa górne pola z krzyżem i gwiazdami oznaczają jasność niebieską[1]. Herb otacza 12 gwiazd i wstęga z napisem: *Zelo zelatus sum pro Domino Deo exercituum*[2]. Nad herbem u góry wyciśnięty jest tytuł wyżwspomniany, pod herbem na dole dalszy jego ciąg: *Conv. Erem. Anno Dni 1671.* Data wskazuje wyraźnie czas powstania kodeksu. Obejmuje on 155 stronic numerowanych, z tych str. 99, 100, 126 i 155 są niezapisane. Na początku są dwie kartki rzymskiemi liczbami numerowane, na końcu dwa indeksy: a) *Index inscriptionum in hoc libro contentarum conscriptus 7 Maij 1672;* zawiera 48 numerów. b) *Index variarum copiarum jurium Regni etc. huic Conventui necessariarum et inservientium. A. 1672 d. 14 Maij congestus;* zawiera 23 numery. Indeksy oba są tylko luźnem zestawieniem zawartych w kodeksie aktów i kopij bez najmniejszego czy to rzeczowego, czy

[1] Cfr. *Speculum Carmelitanum per patrem Danielem a Virgine Sancta.* Antwerp. 1680, str. 459.

[2] Księga III. Król., rozdz. 9, wiersz 10.

alfabetycznego, czy też chronologicznego układu, podają jednak stronice i treść odnośnego aktu lub kopii. Charakter pisma w całym kodeksie jest ten sam. Jedną został zatem spisany ręką w roku 1671, i oprawiony. Już po oprawieniu wszyto do kodeksu wyżej wspomniane kartki liczbami rzymskiemi oznaczone na wstępie.

Wpisano do nich cztery akta z r. 1672: *a)* kopię pozwu przeciw Radwańskim o ukrywanie zbiega klasztornego Jana Madeja[1] młynarza chechelskiego, na trybunał piotrkowski, wydanego przez Michała Korybuta w Piotrkowie r. 1672 w poniedziałek po św. Jadwidze[2]; *b)* trzy kopie aktów wydanych na rzecz klasztoru czerneńskiego od hetmana w. koronnego Jana Sobieskiego: *aa)* Uniwersał hetmański z dnia 4 maja 1672 dla Karmelitów, uwalniający wsi klasztorne od chleba zimowego. W nim „Jan na Złoczowie y Żółkwi Sobieski Marszałek y Hetman w. koronny, Jaworowski, Stryjski, Kałuski, Gniewski, Barski ect. starosta, mając z wielu przyczyn respekt na konwent Siedlecki K. B. y dobra barzo szczupłe ubogie y nędzne, nazwane Siedlec, Zbicz y Paczołtowice, a mianowicie, że Ojcowie tego konwentu mają staranie o wykupienie więźniów z niewoli pogańskiej, oświadcza dobra te za swoje beneficium i uwalnia nietylko na teraz, ale y na potym na zawsze od wszystkich ciężarów żołnierskich y od zimowego chleba y bierze dobra te pod swą osobliwą protekcyą“[3] etc.

bb) Drugi uniwersał hetmański dla wojska oznajmujący „Ich Mościom Panom Pułkownikom, Oberszterom, Rotmistrzom, Majorom ect., że wioski Paczołtowice, Siedlec ect. od wszelkich stanowisk, chlebów zimowych y pobocznych stacyi, noclegów, popasów, podwód y wszystkich *in genere* exakcyi żołnierskich i grożący krzywdzącym erem natychmiastową karą gardła bez wszelkiego respektu na osoby“.

Dla szybszego pościgu i ukarania winowajców otrzymali

[1] Cfr. Louis, str. 137.
[2] 17 października.
[3] Cfr. str. 125.

Karmelici [1] *cc)* blankiet pozwu hetmańskiego, którego kopię kopista klasztorny po uniwersałach umieścił [2].

Wspomniane uniwersały dlatego były tak ważne dla Karmelitów, iż je na pierwszem zaraz miejscu w głównym swym kopiaryuszu umieścili, albowiem po wojnach szwedzkich swawola i bezkarność żołnierstwa przechodziła wszelkie granice, i szczególnie dobrom duchownym uczuć się dawała. Ponieważ konstytucye sejmowe przeciw tym nadużyciom nic nie pomagały, przeciwnie klasztor czerneński niejednokrotnie ciężkich krzywd doznał od rozzuchwalonego żołnierstwa, nadto w r. 1672, pamiętnym haniebnym pokojem w Buczaczu, konfederacyą gołąbską i szczebrzeszyńską, obawy były tem większe, uciekli się Bosacy czerneńscy pod skrzydła opieki królewskiej, a przedewszystkiem hetmańskiej. Opieka wielkiego pogromcy Tatarów na razie, jak to z kroniki klasztornej wynika [3], okazała się dla klasztoru bardzo skuteczną i ochroniła dobra jego od dalszych łupiestw polskiego żołnierza.

Pierwsze 17 stronic kopiaryusza mieszczą spis różnych praw i statutów, dotyczących klasztorów i dóbr klasztornych w ogólności. Są tam konstytucye sejmowe, lauda sejmikowe, brewa papieskie i t. d., jednem słowem dla praktycznego użytku mały poradnik prawniczy. Najstarszem z tych praw jest statut króla Zygmunta I.: *De monialibus* z r. 1511, mocą którego wolno jest zakonnicom dziedziczyć dobra ojcowskie lub matczyne, sprzedawać im takowych jednakże się wzbrania; mają z dóbr odziedziczonych pobierać od krewnych połowę dochodów, dopóki żyją, po śmierci zakonnicy przechodzą jej dobra na własność krewnych. Ciekawa jest między innemi „Ordynacya Rzeczypospolitej z r. 1635, aby dobra dziedziczne ziemskie od stanu rycerskiego ani donacyami ani vendicyami ani successiami nie były alienowane, ponieważ na tych dobrach ciąży obowiązek służby wojennej“. Chodzi tu Władysławowi IV., by dobra dziedziczne

[1] Cfr. str. 124.
[2] Str. 126.
[3] Cfr. Louis, 126.

nie przechodziły w ręce zakonów. Kto tedy z dziedziców wstępuje do zakonu, musi sprzedać swe dobra krewnym, lub gdyby ci nie chcieli ich kupić, innemu stanu szlacheckiego, wedle taksy, którą sąd ziemski *cum duobus e proximioribus consanguineis* czynić ma. Tą jednak konstytucyą nie zagradza Władysław IV. poddanym drogi do wykonywania pobożnych fundacyj, tylko ten, który funduje *tacto pectore in facie* zupełnego sądu ziemskiego przy rezygnacyi z dóbr swoich wyrzec ma te słowa: „*Sub fide, honore et conscientia deum testor,* że taką fundacyę czyni *de nova radice* z dóbr swoich własnych, żadnych pieniędzy za nie nie wziąwszy, *sine ullo condictamine* ale *ex puro zelo et propria mea liberalitate*“. Podręcznik ten prawniczy zawiera po części wyimki z konstytucyj sejmowych publikowanych drukiem, gdyż znajdujemy przy nich cytowane stronice, np. przy „Rozporządzeniu Zygmunta I.“ wydanem w r. 1519 w Piotrkowie, że zakonnicom wolno w ciągu 20 lat upomnieć się o dobra dziedziczne, podczas gdy zamężnym niewiastom służy tylko termin dziesięcioletni — dodane: *folio 23.* Egzemplarze tych konstytucyj przechowywano zapewne w klasztorze, ważniejsze nawet w duplikatach, jak o tem świadczy uwaga kopisty na str. 12/13 przy konstytucyi „O werbunkach nowych“. „Ta konstytucya — dodaje tenże — barzo potrzebna temu konwentowi dla obrony wiosek, o której i żołnierze nie wiedzą. Dwa exemplarze drukowane są *in hac Eremo*, jeden w pergamin oprawny w celli W. O. N. Przeora, a drugi w celli W. O. Podprzeorzego w czerwony papier oprawny 1659 r.“. „Po tej constituciey r. 1659 fol. 9 — pisze dalej przepisywacz klasztorny — następuje immediate constitucya o niedawaniu assignacyi na dobra szlacheckie, NB. gdzie tam opisuje, jako, gdyby który porucznik abo rotmistrz był convictus, że stanąć się ważył we dworach duchownych albo też na wsi stanąwszy, z komor i gumien zboża abo cokolwiek per violentiam brał, ma być karany na gardle. O Stacye pieniężne y Chleby poboczne vide constitucyą 1659 fol. 11 titulo Hiberna“. Troskliwe te wskazówki, wiele mówiące o ucisku klasztoru przez wojsko polskie, kończy autor uwagą dla przeora: „Omnino Superiori huius Conventus expedit hoc scire dla y na obronienie wiosek

klasztornych od samowolnych żołnierzów, którzy w tę ignorantią naszę grzeszą". Na tem miejscu i zaraz poniżej, gdzie radzi, iż „pilnie trzeba mieć oko na to, by klasztor na Czerny otrzymał takie uwolnienia od podatków i od stacyi wojennych, jakie OO. Nasi Konwentu Wiśnickiego otrzymali przed abdykacyą Jana Kazimierza", występuje sam autor jako troskliwy o dobro klasztoru członek eremu czerneńskiego. Gniewa go, że konstytucya z r. 1659[1], uwalniająca erem częściowo od podatków i stacyj, stanowisk i przechodów żołnierskich, ograniczona została do lat czterech. „Przysłużył się zaś — zdaniem pisarza — w tem klasztorowi inimicissimus nostris Praemisliensibus (oczywiście Karmelitom B. z Przemyśla) IMPan Wojakowski, sędzia ziemski przemyski, który ex perpetua fecit quadrienalem". „Deus ipsi parcat — kończy poczciwy zakonnik — jakoż solebat publice nostros Praemislienses cavillari in Visnensibus Comitiis me audiente plerumque, dum nomine Conventus Leopoliensis supplicarem pro munitionis subsidio". Widać stąd, iż pisarz był dawniej członkiem konwentu lwowskiego, i to jakimś dygnitarzem zakonnym, *sit venia verbo*, że w imieniu tegoż posłował na sejmik wiśnicki celem uzyskania pomocy na obwarowanie miasta.

Właściwy kopiaryusz klasztorny znajduje się w dwóch miejscach kodeksu (na str. 17—46 i str. 60—154). W pierwszej części znów rozróżnić należy kopie dokumentów z XVII. wieku, odnoszące się treścią do fundacyi i wyposażenia legatami klasztoru przez Agnieszkę Firlejową (na str. 17—40; jest ich 7), i kopie dokumentów z początku XVI. w., odnoszące się treścią do zmian prawa własności na dobra paczołtowickie w latach 1508—1529 (na str. 40—46). Druga część (na str. 60—154) obejmuje razem 26 kopij, z tych 14 urzędowych, notaryalną opatrzonych pieczęcią. Treść ich podobna przeważnie do treści pierwszej części; odnosi się do sum przekazanych klasztorowi przez fundatorkę, a lokowanych na dobrach różnych panów, jak Łukasza Opalińskiego, Hyacynta Lanckorońskiego i innych[2]; mamy

[1] Cfr. Louis, str. 118/119.
[2] Cfr. Louis, str. 43/44.

tu kopie bull papieskich, nadań królewskich, np. soli [1], uwolnień od podatków [2]; na str. 101 mamy kopię notaryalną zakupu gruntów włościańskich w Czernej, na których wzniosły się, jakeśmy to wyżej wspomnieli, zabudowania klasztorne; na str. 143—153 [3] znajduje się odpis z aktów ziemskich, zawierający akt ustalenia granic między Siedlcami, Pisarami [4], Paczołtowicami i Dubiem, uskuteczniony w r. 1580, a zaciągnięty do tychże aktów podczas konfederacyi senatorów i szlachty województw krakowskiego, sandomierskiego i lubelskiego, w Krakowie zebranych wskutek śmierci Stefana Batorego, w pierwszy dzień po święcie Trzech Króli [5] r. 1586. Ogółem biorąc, znajduje się w kodeksie 20 kopij urzędowych. Opatrzone są pieczęciami wyciśniętemi na końcu pojedyńczych aktów w środku stronicy na opłatku, pokrytym gwiazdką z papieru. Z tych pieczęci siedmnaście są sobie równe, widać na nich herb Starykoń (na tarczy koń z głową w lewo zwróconą, nad koroną topór spuszczony na dół ostrym końcem). W otoku odczytać można, jakkolwiek głoski są po części na tych pieczęciach niewyraźne: *Johannes a Pieskowa Skała Wielopolski dapifer Reggnalis (?) Crac. Bochn. (?) Capns.* Na prawo od pieczęci mamy w tych aktach podpis: *Stephanus Xięski Vicecapitaneus et Judex causarum officii C. Cracoviensis*; na lewo na dziewięciu aktach: *Stanislaus Bronicki Tribunus Corcyn Vicegcr Cracov.*; na jednym akcie: *Franc. Nicolaus Zaidlic S. R. M. Secrius Civitatis Cracou. Notarius.* Na lewo od pieczęci czytamy na dziewięciu aktach: *correxit Lynksza,* na dziewięciu aktach: *correxit Prezer.* Są to więc niewątpliwie autentyczne kopie aktów w grodach, głównie krakowskim. ale i korczyńskim, lubelskim oblatowanych, niekiedy i w aktach ziemskich złożonych. Potwierdzone zostały urzędowo zapewne po ułożeniu kodeksu, i to w jednym czasie przeważnie, jak o tem świadczy tożsamość pieczęci starościńskiej, podpisów urzędników grodzkich i kollacyonatorów.

---

[1] Cfr. str. 85.
[2] Cfr. str. 105.
[3] Cfr. str. 33.
[4] W W. Ks. Krakowskiem, wieś na południ.-wsch. od Siedlec.
[5] 7 stycznia.

Jeżeli kopie te urzędowe z XVII. wieku dla klasztoru posiadały pierwszorzędne znaczenie, dla nas niewątpliwie ciekawsze są kopie z XVI. wieku, na str. 40—46 się znajdujące. Noszą one następujący nagłówek: *Ex scriptis papyraceis vetustate attritis authenticis tamen extractus fideliter de verbo ad verbum transscriptus pro bono communi huius conventus Nostri St. Eliae Erem. ad informationem Posteris circa Bona moderna eiusdem Conventus ex juribus antiquis pro casu aliquo necessitatis 1671. 7 Novembr.* Nagłówek ten świadczy o starych pismach, będących w posiadaniu klasztoru, skodyfikowanych w wolumina, w których oryginalne dokumenta lub kopie autentyczne przechowywano, jak to potwierdza także odsyłacz pisarza kodeksu w indeksie umieszczony: *Haec vide in Volumine Jurium authenticorum sub A.* Akta te XVI. w. jednak nie są kopiami urzędowemi, lecz dokładnemi ich odpisami, jak tego dowodzi już pierwszy akt na str. 41, gdzie kopista klasztorny dodaje nawet: *Correxit Snalkowski Johannes Kmita Notarius Terris. Cracoviensis. Loca sigillorum Judicis et Subjudicis Terris. Cracoviensis.* Do stosunków ekonomicznych początku XVI. w. są odpisy te cennym przyczynkiem. Z nich zarazem przekonywamy się, że monografia Louisa zawiera mnóstwo błędów, świadczących o pobieżnem i niekrytycznem całkiem wyzyskaniu źródeł klasztoru czerneńskiego. Akt np. na str. 41, mocą którego Rafał Siedlecki, najdawniejszy w dokumentach klasztornych dziedzic Siedlec, sprzedaje $^1/_3$ część swej włości szlachetnemu Stanisławowi Czajowskiemu, odbył się w r. 1508, nie zaś 1507, jak podaje Louis (str. 17) w swej monografii. Tenże Stanisław Czajowski w r. 1528 sprzedaje, wedle kopii na str. 42 kodeksu, wieś Siedlec, nie zaś, jak twierdzi Louis (str. 18), wdowa po nim, Bartłomiejowi Rimerowi nie Rümerowi z Krakowa za 1100 złr. Na sprzedaż zaś z pozwoleniem brata swego Stanisława Giebułtowskiego, zgadza się żona rzeczonego Stanisława Czajowskiego. Że Katarzyna z Grabia, wdowa po Janie Paczołtowskim, nie była bezdzietną, jak twierdzi Louis (str. 18), świadczy akt, w którym r. 1528[1] w ponie-

[1] 5 października.

działek po święcie św. Michała sprzedaje udział swój w Paczołtowicach w grodzie krakowskim Sewerynowi Bonarowi, żupnikowi, prokuratorowi wielkiemu krakowskiemu, bieckiemu i rabsztyńskiemu staroście [1], *cum consensu nobilium Joannis Paczołtowski filii sui et Nicolai Płaza de Sieciechowice.*

W luce na str. 47—60 znajdują się wreszcie regesta praw i dokumentów urzędowych, dotyczących wsi klasztornych, z następującym nagłówkiem: *Anagraphe seu synopsis Jurium et inscriptionum officiosarum ad villas Paczołtowice, Siedlec, Zbik et alias pertinencium, ab Anno 1508 de loco, actu et anno factarum, quoad essentias earundem in gratiam memorandae Posteritati compilata. Anno Domini 1671 d. 14 Novembris.* Kompilacyę tę najlepiej scharakteryzujemy słowami samego kopisty klasztornego, na wstępie regestów umieszczonemi: *Etsi non omnium Munimentorum adsit copia nec etiam ea, quae infra notabuntur omnino sint necessaria, ut tamen Antiquitatis habeatur notitia, ea hic ex computrefactis a tinea consumptis majori ex parte, authenticis tamen chartis seu scriptis papyriaceis vetustis annotari consultum est, idque pro bono communi conventus hujus, ejusque stabili ornamento ac decore. Anno Dom. 1671 20 Novembr. acta transscriptaque.* Regesta te o tyle są ważne, iż dają przegląd materyału źródłowego, znajdującego się w klasztorze, i ułatwiają zoryentowanie się wśród niego. Sięgają one po rok 1672. Ostatnie dwie zapiski dodano po oprawieniu kodeksu, tj. w r. 1671; poprzedza je bowiem zapiska z r. 1644, na której w r. 1671 dnia 14 listopada stanął klasztorny kompilator. Zdaje się, iż w roku następnym współcześnie faktom dodał on końcowe zapiski, jak niemniej ostatnią zapiskę na str. 59, pod r. 1663, znajdującą się między zapiską z r. 1630, a zapiską z r. 1644. Regesta te są wprawdzie w porządku chronologicznym ułożone, mimo to nie wszędzie chronologia została zachowana. Na str. 57 np. mamy zapiski z r. 1632, na następnej zaś zapiski z lat 1625, 1630 i 1631. Zdaje się, iż

[1] Czy już w r. 1528 był Seweryn Bonar starostą oświęcimskim i zatorskim, jak chce Louis (str. 18), nie umiemy powiedzieć: był nim niewątpliwie w r. 1538, jak to poświadcza niżej podany dokument nowicyatu karmelickiego w Krakowie, nr. 13.

późniejsze uzupełnienia regestów były przyczyną tego nieporządku w chronologii.

Z przeglądu treści naszego kodeksu wynika, iż zawierając w kopiach przeważnie urzędowych najważniejsze dokumenta i akta, mające nietyle historyczne jak raczej praktyczne znaczenie dla eremu, mieszcząc nadto krótkie uzupełnienie tychże w regestach innych aktów i dokumentów klasztornych, był niejaką sumą praw i przywilei eremu, rękojmią zabezpieczającą jego mienie wobec sądu i urzędu. Nie dziw więc, że Karmelici Bosi w Czernej strzegli tego klejnotu praw swoich, jak oka w głowie, zwłaszcza iż pilne strzeżenie go nakazał im jeneralny wizytator Karmelitów Bosych w Polsce i Litwie, O. Maurycyusz od św. Teresy, rozporządzeniem z dnia 5 maja 1672 datowanem w Czernej, którego kopia na str. 125 kodeksu się znajduje. Zakazuje tedy O. Wizytator zakonnikom pod posłuszeństwem *ne hunc librum Inscriptionum authenticarum ratione certarum Summarum Redemptionalium praefatum conventum nostrum concernentium sub anno Domini 1671 confectum extradant aut extra conventum deferant.* Obcym nie wolno jej nawet pokazać, lecz jeżeliby kto chciał jaki akt ze słusznych przyczyn przeczytać, winna mu być kopia lub transumpt wyciągnięty. Jeżeli zaś do urzędu książka się zaniesie dla urzędowego stwierdzenia aktu lub dla poprawienia i przyłożenia pieczęci, wtedy nigdy książka nie ma być przez zakonnika zostawiona u obcych chociażby uczciwych, lecz ten, kto ma zlecenie urzędowo ją potwierdzić, ma ją przy sobie trzymać i do klasztoru przynieść. Uwagi te ostatnie objaśniają nam zarazem sposób powstania tej urzędowej księgi inskrypcyi eremu. Ze starych aktów klasztornych kopista wpisywał kopię aktu do kodeksu, zanoszono kodeks do grodu, gdzie kopię urzędnik *ad hoc* wyznaczony skolacyonowywał z oblatą tegoż aktu w grodzie, a pieczęcią i podpisem potwierdzał starosta grodzki. Jeżeli dokument był zaciągnięty do akt ziemskich, podpisywał akt notaryusz, pieczęcie przykładali sędzia i podsędek. (Dok. nast.).

Dr. K. Krotoski.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Część II.: Chiny i Japonia. C. d.).

Nikko, 3 maja.

Dziś warte zanotowania odwiedziny i oględziny świątyń w Nikko. Czas cudowny, choć bardzo chłodno; wiatr lodowaty, w cieniu zimno; jesteśmy na dość znacznej wysokości nad powierzchnią morza: w Nikko, owem Nikko, o którem tyle się słyszy, tyle czyta, które każdy co widział chwali, mówi że Nikko to najpiękniejsza rzecz w Japonii.

Rzeczywiście — natura cudowna. Góry niezbyt wielkie, zwłaszcza niezbyt wielkie robiące wrażenie; różnica temperatury między Nikko a Tokio jest mniej więcej miesiąca i o tyle wegetacya tu spóźniona. Zresztą po gatunku wegetacyi widno, że aura tu zimniejsza bywa. To też tu cały świat dyplomatyczny *(sit venia verbo)*, tu większość zamożniejszych Japończyków przenosi się na lato, które podobno nieznośne jest w Tokio i Jokohama.

Wczoraj śliczną zrobiłem z moim głupim przewodnikiem ekskursyę do jeziora Chin-sen-ij. Wysoko położone, otoczone lasem i górkami, śliczniutkie w lecie być musi; teraz, choć wegetacya prawie bez wyjątku jeszcze obumarła, jednak nader piękne, bo na tle rzeczywiście, jak mówi Hübner, perłowem, najcudowniej kwitnące dzikie brzoskwinie i azalee jasno-różowe. Wody w wodospadach, których pięć widziałem, niestety, nader

mało. Po powrocie idealna ciepła kąpiel, obiad i spanie na oba uszy, bo zmęczonym było się potężnie!

Dziś bardzo ciekawe jako *mise en scène* zwiedzanie świątyń. Przywiozłem był ze sobą list od ministra spraw zagranicznych, hr. Okuma, zawierający pozwolenie na zwiedzanie skarbców tych świątyń. Najprzód muszę się zastrzedz przeciw zbyt literalnemu braniu słowa: skarbiec; nie są to w naszem pojęciu skarbce, daleko im do tego! Zresztą może i mają one więcej rzeczy i drogocenniejsze, ale ich nie pokazują, i to być może, zważywszy apetyt niezmierny rządu na wszystkie dobra religijne, których większą część już pokonfiskował. Ciekawsze było *mise en scène*, niż sama rzecz. W dwóch głównych świątyniach, dziełach wielkopańskich porywów Tokugawów (jak właściwie wszystko co piękne w Japonii), oczekiwali mnie bonzowie w pełnych ornatach. Zwłaszcza w świątyni na szintoizm przerobionej, gdzie jest grób założyciela miasta Nikko, dwóch w dziwacznie z czarnego papieru wykrojonych czapkach sług świątyni oczekiwało mego przyjścia (zdaje się dość długo, bo mieli miny arcyznudzone). Wprowadzono mnie wprost, ku przerażeniu mego przewodnika, środkowemi drzwiami do wnętrza świątyni, przed ową historyczną zasłonę, której podniesienie bez uszanowania, kosztowało hrabiego Mori, ministra oświecenia, temu dwa miesiące, życie. Tu pokazano mi zbroje jednego z sajgunów, jako ekswota spoczywające w świątyni.

Nie chcąc urazić tych panów, pod tym względem arcydrażliwych, nietylko że buty, rozumie się, zdjąłem, ale nawet usiadłem, czy przykucnąłem według japońskiego zwyczaju. Mój przewodnik nie omieszkał, jak zwykle, opowiedzieć całej mojej historyi, co zacz, jak i skąd przybywam; przyczem główny ustęp poświęcił bytności Sovehico, i rozumie się, nakłamał do syta. Ciekawości wielkich nie widziałem, bo ich, zdaje się, niema. Sam jednak fakt, że byłem tam, gdzie tylko uprzywilejowanym być wolno, gdzie ogół wiernych nigdy nie bywa, za ciekawość starczy. W pierwszej świątyni Buddy parę rzeczy byłbym chętnie ściągnął jako unikat pod względem wykończenia; np. zwijane modlitwy, czy opowiadania święte, przepysznie na jedwabiu

wypisane i zdobne w stosowne malatury. Świątynie same, nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobały tak bardzo. Przeładowanie ornamentów niesłychane, wszystko w drzewie rznięte, złocone, malowane, lakiem obciągnięte, więc wartość sama pracy niesłychana; ale to wszystko, to barok japoński — jak zresztą wszystkie dzieła Tokugawów; *cela sent le parvenu* — jak gdyby lat temu 250 myśleli i wiedzieli, że potęga ich w sposób tak fatalny minie, i pragnęli nasadzeniem złota, przepchaniem ornamentów, narzuceniem wszędzie herbu swego, uwiecznić krótkotrwałą potęgę i świetność swego rodu. Ciekaweby to było studyum porównanie stylu Tokugawów ze stylem Mikadów — parweniusza z panem prawdziwym, co nie dba o ornamenta i złoto, bo wie, że imię jego, świetność rodu i władza, to jemu od Opatrzności dane, to nierozerwalnie z istnieniem narodu złączone, więc jak naród wieki przetrwa.

Na pokładzie „Satsume-Maru", 9 maja.

Z Nikko ruszyłem z powrotem do Utsunomija; w drodze spotkanie z p. Poessnecker, honorowym konsulem austr. w Hong-Kong. Bardzo dla nas tamże byli grzeczni, to też żałuję niezmiernie, że nie zatrzymałem się, by ich powitać.

Wieczorem do Utsunomija przyjeżdża p. Emil Hirsch, wicekonsul austr. przydzielony czasowo do naszej legacyi w Tokio, nader miły, przyzwoity, młody człowiek. Zna nieco Galicyę, właściwie Lwów, gdzie jego ojciec był pułkownikiem przez pewien czas. Nazajutrz jedziemy koleją do Motomija; tu wpadamy tylko na chwilę do hoteliku japońskiego, przebieramy się i jazda w trzy *rikse* do Inavashino, skąd ruszymy na Bandaj-Sann.

Droga z początku monotonna, w miarę zbliżania się do grupy Bandaj-Sann, o coraz wyraźniejszym charakterze wulkanicznym, jak zresztą prawie cała Japonia. O 8-mej z wieczora stajemy w Inamata; lekka kolacyjka; dowiadujemy się, że most na rzece wypływającej z jeziora Inamata zerwany w czasie ostatniej burzy, trzeba więc nałożyć nieco drogi. Wśród rozmowy z milutkim synem właściciela hotelu, w którym zjadamy

kolacyę, dopytującym się z wielką uwagą o naszą ojczyznę, mija szybko czas. Nareszcie oznajmiają, że „kurumaje“ są gotowi do dalszej drogi — ruszamy. Księżyc śliczny; u stóp naszych jezioro, nad głowami wiszące skały, w dali świeci pożar lasu czy raczej łąk — obraz feeryczny, trwający przez dość długą część naszej drogi. Gdy tak używając tych piękności natury, dumam i marzę, raptem szturknięcie silne, riksa się chyli, i brzdęk — leżymy wraz z moim dziuriksą. Przepraszanie, uniewinnianie się; wjechał na kamień sterczący z ziemi; a ponieważ ani mnie ani wózkowi nic się nie stało, więc ruszamy dalej. Mówię ani mnie ani wózkowi, bo czy człowiekowi ciągnącemu wózek się co nie przytrafiło, o to nikt nie pyta.

Po przydługiem krążeniu wśród pól ryżowych, wiosek, przylasków i t. d. stajemy nareszcie w Inavashino około pół do 12-tej w nocy; nazajutrz o 6-tej mamy ruszyć ku Bandaj-Sannowi. Z 6-tej zrobiła się 7-ma, bo ludzie zmęczeni zaspali. O 8-mej z rana rozpoczęliśmy właściwe wstępowanie na Bandaj, 5320 stóp, jeżeli się nie mylę; na szczyt jednak główny nie pójdziemy, niema co widzieć. Celem naszym dawny szczyt t. zw. małego Bandaju; dziś, wskutek tego strasznego wybuchu z lipca przeszłego roku, szczytu tego tylko połowa stoi, druga oderwana i rozrzucona na mile całe wokoło. Po dwugodzinnem wznoszeniu się zwolna, dochodzimy do śniegu jeszcze nie stopionego i pierwszych siarkonośnych źródeł. Smród straszny przypomina, że za półtorej godziny spotkamy się z tym groźnym smokiem. Znowu godzina drogi po śniegu wśród lichego bukowego lasu, trzcin, źródlisk, od czasu do czasu smrodu siarki. Nareszcie sterczy przed nami górą szczerbata ściana, drzewa powywracane, połamane, pokręcone, resztki popiołu między trawami. Z poza tego wszystkiego widok niezmierny, prześliczny, bo spustoszeń jeszcze nie widzimy, a tylko w dali bieleją śnieżne szczyty; u stóp ich błękitne zwierciadła jezior i jeziorek; kilka kroków jeszcze, i doprawdy zdaje się, że u wejścia piekieł stoisz. Choć tam hen w dali te same piękne szczyty i jeziora widnieją, nie patrzysz na nie, bo tu przed sobą, nad sobą, po bokach widzisz dzieło straszne. Jak tłumaczą uczeni, co tu byli badać przyczynę

przeszłorocznej katastrofy, nie był to wybuch wulkaniczny w właściwem słowa tego znaczeniu. Stary krater głównego Bandaju, wygasły przed lat dziesiątkami, i tym razem zupełnie spokojny pozostał: lawy ani śladu, siarki niezbyt wiele, kamieni nie nadto; za to mułu, błota z kamieniami zmieszanego istne morze. Pary wodne uwięzione wysadziły w powietrze, przerywając w pół, ogromną górę: wierzchnia część góry rwie się ku niebu, spada w dół, toczy się, wyrywa, łamie; za nią pluje ziemia mułem z kamieniami, miejscami siarką z żelazem stopioną. Z mułu tego powstaje strumień, rzeka, morze: wali w dół, wyrywając już nietylko drzewa, ale skały ogromne; toczy się, porywa całe góry ze sobą, przeskakuje formalnie przez pagórki, wali w doliny, odbija się od brzegów, znacząc wszędzie swe przejście absolutnem zniszczeniem; wali dalej, wioska stoi... uratowany cudem jakimś starowina opowiada, że około stu ludzi, widząc walącą ku wiosce tę rzekę ognistego błota, ucieka, szukając schronienia na przeciwległej spadzistości góry zamykającej dolinę; nie mają więcej do ubiegnięcia nad 200 do 300 kroków, a biegną szybko; jeszcze 50 kroków, a są uratowani! szum, huk, ryk się zbliża z szybkością lawiny; porwani toną w tej dymiącej i syczącej lawinie szlamu.

Nic podobnego naturalnie nigdy nie zobaczę, nie widziałem, zobaczyć nie mogę; dziś środek spustoszeń, punkt wyjścia tej piekielnej rewolucyi, widnieje wśród brył skalistych, sączących się źródlisk czerwonych i żółtych, istotnie na piekielne wycieki patrzących, wśród buchającej z tysiąca miejsc pary siarczanej. A jak ryczy i syczy i wyje ta bestya, jak śmierdzi piekielnie! Przychodzimy na jakie dziesięć kroków do jednego z tych wylotów; niesposób iść dalej, para tak gorąca, a tak śmierdzi! pod nogami coraz miękciej się robi; niebezpieczeństwo zapadnięcia się. Rzucamy kamienie temu smokowi w paszczę; wylatują z trzechkrotną siłą napowrót, i para, jakby obrażona naszą śmiałością, ze zdwojoną siłą i rykiem bucha nam w oczy — uciekajmy, bo tu straszno! Rozumie się, o właściwem opisaniu takiego widowiska niema mowy. Fotografia może jedynie choć częściowo dać wyobrażenie. Hirsch zdjął trzy czy cztery obrazy fotogra-

ficzne; poczem zwolna ruszamy ku domowi. Na pożegnanie sypie nam w oczy ten szatan co tu siedzi piaskiem jak szpilki, ryczy i straszy, bo go korci bestyę, że nas nie pożarł, że śmiemy mu tak blizko do paszczy zaglądać.

Po dziesięciogodzinnym marszu, wśród strasznej ulewy, którą nam pewnie także ten szatan z wulkanu na głowy zesłał, wracamy mokrzy do domu. Mieliśmy zamiar natychmiast ruszyć z powrotem do Motomija, by módz nazajutrz koleją dogonić statek, jadący do Jesso; ulewa jednak tak silna, że ani mowy o puszczeniu się w drogę w nocy być nie mogło. Po kąpieli więc w japońskim stylu, w japońskie przebrani szaty, bo swoich suchych nie było, zjadamy z wilczym apetytem, siedząc na ziemi, obiad arcy-prymitywny, przez mego przewodnika zgotowany, a podany przez trzy gracye japońskie, podobno córki gospodarza. Nazajutrz tj. wczoraj raniutko powrót. Rzecz rzeczywiście imponująca, jak ci Japończycy biegają! Sześć bitych mil, czyli 13 *risów* japońskich, po bardzo złej drodze, przelatujemy w pięć i pół godzinach, z trzema przestankami po 10 do 20 minut! Pociągiem jedziemy do Sendaju; gubernatora uwiadomiłem listownie, że przyjadę, prosząc o *steam-lunch*, by módz, nie tracąc czasu, złapać *steamer*, wypływający w nocy do Hakodade. Na kolei w Sendaju oczekują nas: jakiś urzędnik po cywilnemu, który z nami aż do Oginohama ma jechać, i wyższy oficer policyjny. Według planu tych panów, musimy natychmiast jechać dalej do Sziogama. Tu przyjęcie *bodenlos*. Policya tworzy szpaler, jakiś widocznie wyższy urzędnik wchodzi do wagonu i (naturalnie przez tłumacza) wśród kolosalnych ukłonów przedstawia się jako delegowany do mego przyjęcia przez gubernatora; od dwunastu godzin czeka tu na mnie. Następuje prezentacya szefa miejscowej policyi; wysiadamy. Przez szpaler utworzony wśród tłumu ciekawych, którzy w milczeniu się kłaniają, ruszamy ku hotelowi. Tu dopiero właściwa prezentacya. Nasz pan urzędnik wali czołem o ziemię; ja się kiwam jak mogę, bacząc przytem, by na nos nie rymnąć, bo cała ta operacya odbywa się siedząc, czy klęcząc na ziemi, bez krzesła, tylko z poduszką mięciutką, ale i malutką, służącą za pośrednika między siedzeniem a ziemią.

Rozmowa trudna przez tłumacza i nudna, dowiadujemy się jednak, że za pomocą *steam-lunchu*, który telegrafem tu sprowadzono, możemy schwytać statek odchodzący dopiero o czwartej w nocy. Obiad, do którego tych urzędników zapraszam — wino moje im smakuje — a ponieważ nic zupełnie nie znoszą, więc wraz z barwami szkarłatnemi, w które się twarze stroją, rozwiązują się i języki. O wpół do dziesiątej w nocy ruszamy i dobijamy szczęśliwie do „Satsume-Maru", na którego pokładzie, mimo niesłychanego zimna, tych parę wierszy notuję.

Mori, w pobliżu Hakodade, nad Volcano-bay, 14 maja.

W Hakodade, zajechawszy, znaleźliśmy się co się nazywa na bruku. Nikt z nas nie wiedział, gdzie i którędy się obrócić. Pokazują nam hotelik niby europejski, utrzymywany przez Chińczyka; brud nad brudy; niesposób! Szukamy dalej, — widzimy kościół, musi być katolicki; wszakże tu ma być misya. Znaleźliśmy; przewodnik mój, owa nieszczęsna przyczepka do mej nogi przywiązana, małpa japońska, umiejąca rzekomo po angielsku, z rzeczami idzie szukać dachu, my do misyi. Wielkiej, jak zawsze, zacności misyonarz, O. Berlioz, Sabaudczyk, przyjmuje nas. Czytał swego czasu w którejś z głupich gazet Jokohamy moje nazwisko, więc traktuje mię *per monseigneur* — i nieźle na tem wychodzę. Ponieważeśmy o głodzie i chłodzie, bo też okrutnie zimno na dworze, więc poczciwi misyonarze na gwałt gotują, warzą — i śniadamy.

Mieliśmy tego samego dnia odpłynąć do Satpuro, ale statek dopiero na drugi dzień rusza. Z okien misyi zdejmuje Hirsch fotografię Hakodade. — Widok bo rzeczywiście śliczny. Choć Jesso ledwie się z zimowego snu obudziło, słońce majowe ma swoje prawa, a choć niezbyt ciepłe, dwojako jasne, złoci i maluje pejzaż cudownie. U stóp naszych setki domków, wszystkie dachy grubą warstwą kamieni przyłożone, przeciw wiatrom; w zatoce prześlicznej, kilkanaście statków większych, między niemi cztero-masztowiec, co świeżo z Glasgowa przywiózł potężne rury do zakładających się tu wodociągów; setki, rozumie się,

czółen, rampanów it. d. Zatokę jako port używaną, oddziela wązki nader język piasku od pełnego morza; widocznie przed niedawnym jeszcze czasem Hakodade było wyspą. Nad nami potężna góra, właściwie skała, częścią laskiem kryptomeryj przysłoniona; u szczytu świątyńka Eskulapowi japońskiemu poświęcona; dziś właśnie święto tam na górze, chorągwie wołają pielgrzymów. Nad zotoką z dwóch stron widna aż hen daleko płaszczyzna lekko falista; to grunta przez Japończyków pod uprawę wzięte. Płaszczyzna ta wznosi się z lekka ku łańcuchowi nie wysokich, dość malowniczych gór; nad niemi w stronie północnej pokazuje się wspaniały stożek wulkanu Koma-ga-take.

Pożegnawszy poczciwych misyonarzy, oglądamy muzeum malutkie a jednak ciekawe, bo złożone z przedmiotów wyrabianych i używanych przez Ajnów. Szkoda, że nie zastaliśmy misyonarza O. Fori, wielkiego znawcy i zbieracza zwłaszcza ceramiki Ajnów, niemniej zapalonego botanika, posiadającego ogromny zbiór roślin wyspy Jesso. Dzień ten tak mile zaczęty z misyonarzami, kończy się fatalnie: Hirsch dostaje silnej gorączki, obawa zapalenia płuc; kończy się wszystko na przeleżeniu 24-ch godzin w łóżku; naturalnie nie opuszczam go, czekam. Poznaję gubernatora i konsula angielskiego, pana Bonar. Z Bonarem robimy spacer do miejscowości położonej o trzy *ris* od Hakodade, gdzie są termy żelazne naturalne; tam posiada Bonar wilegiaturę, malutki śliczny domeczek, gdzie wieczorem czeka nas obiad japoński, w towarzystwie również zaproszonego Koreańczyka, bawiącego w Hakodade na wygnaniu za współudział w ostatnim zamachu stanu w Korei w r. 1884.

Na drugi dzień rano ruszamy w głąb kraju, by nareszcie widzieć owych Ajnów. Ekspedycya strasznie pomału rusza z miejsca. Gubernator przekonany, że my jak Japończycy, z dwoma dziurkami w nosie za przybory podróżne, zwykliśmy jeździć, przysłał nam dwoje koniąt pod wierzch. Reklamacya; po półtorej godziny czekania, zjawia się jakiś rodzaj koczobryku, który ma nas wieźć. Było to (bo już nie egzystuje) coś dziwacznie fantastycznego, w rodzaju starodawnych naszych bryczek, na resorach rzemiennych, sznurkami powiązanych. Do tej bestyi

siada Hirsch z przewodnikiem i pakunkami; ja konno. Zacznijmy od tego, co się ze mną dzieje: szkapy japońskie, to kupa waty na czterech nogach z żelatyny. Ta kupa waty, bez kości i muszkułów, o ogromnym brzuchu, wisi ci w ręku całym ciężarem; w pysku leży cały koń. Zjeżdżam cudem jakimś szczęśliwie z pagórka, na którym stał nasz hotelik; na równej drodze już nie idzie tak dobrze; szkapa się potyka, nareszcie leży na wszystkie cztery łapy; wstajemy, stąpa dalej. W Hannai zastaję Hirscha wściekłego; koczobryk się rozlazł, z masła była cała buda. Szukamy innego powozu; dają nam go na folwarku rządowym — *eine Muster-Wirthschaft*, kiedyś tutaj przez Niemców założona, dziś obraz rozpaczy. Biedujemy tak dalej; nareszcie dostajemy się w góry i lasy. Cóż kiedy tu ledwie śniegi stajały; krajobraz smutny i posępny, nader jednostajny, miejscami bardzo nasze lasy podkarpackie przypomina. Wkońcu mijamy owo pierwsze pasmo gór i tu piękniejszym się robi świat; jeziora leśne malownicze; nad niemi wisi ów wulkan potężny. Pod wieczór dostajemy się do Mori, kolonii japońskiej. Tu nocleg wyborny w ślicznym japońskim hoteliku.

O ósmej nazajutrz ruszamy dalej, odtąd wciąż brzegiem morza, bo innej drogi prócz pluży niema. Pejzaż monotonny, wciąż wioski rybackie; mieszkania po większej części napół tylko japońskie. Szkapa ze mną się kładzie w piasku, potem znów w wodzie; wśród drogi trzeba się kompletnie przebierać; klnę na czem świat stoi, łamię swój bambus z Ungretimy na szkapie. Telepiąc się tak nad brzegiem morza, dojeżdżamy wreszcie do Jurap; pierwsze domy Ajnów — jest ich tu około trzydziestu dusz. Ostatnia to placówka Ajnów w tych stronach; wynoszą się oni coraz głębiej w lasy i góry, niecierpią Japończyków i uciekają przed nimi. Rasa kompletnie od japońskiej różna; kobiety bielsze, bardziej różowe niż japońskie, nieco Rosyanki przypominają fryzurą. Jedna ładna nawet, mogłaby u nas uchodzić za tęgą dziewoję. Włosy czarne, oczy wielkie ładnie patrzą w świat; forma ich i spojrzenie zupełnie od japońskich różne. Ubioru własnego już tutaj nie mają, przyjęli rodzaj japońskiego. Wioseczka Ajnów w Jurap, tworząca od południa

niejako przedmieście malutkiej osady japońskiej, składa się z 18 do 20 domostw; naturalnie co można widzieć najbiedniejszego, bo to wioska rybacka. Domostwo każde składa się z trzech zabudowań, mianowicie głównej mieszkalnej szopy, opodal niej jakiegoś składu, a wreszcie małej szopy na palach, by tym sposobem niepotrzebnych gości, zwłaszcza psy i wilki, od zaglądania do niej wstrzymać. Coś bardziej prymitywnego wyobrazić sobie nie można. Chyba szopy czy nory kamieniami spodem obmurowane a w ziemi wykopane i słomą z góry przykryte, które służą za mieszkanie w czasie lata pasterzom hercogowińskim, mogą być porównane z temi mieszkaniami Ajnów. Z drzewa jest, zdaje mi się, rodzaj wiązania, na którem dach spoczywa; mówię: zdaje mi się — bo wnętrze jest ledwo nieco oświetlone dwoma dziurami okrągłemi, wyciętemi w matach słomianych, z których ściany zrobione. O ile dojrzeć mogłem, dach górą słomą bambusową kryty, spoczywa na rodzaju maty z grubszych gałęzi bambusowej trawy *(sasa)* tak, iż właściwie są dwa dachy jeden na drugim; toż samo i ściany. Wogóle owe maty ze słomy bambusowej zastępują u Ajnów mur, parawany, dywany, drzwi, okiennice.

Przed domem naczelnika, głowy osady Jurap, któremu złożyliśmy należną wizytę, zastaliśmy na matach takich słomianych siedzące, matami od wiatru nieco zasłonięte kobiety z dziećmi, plecieniem nowych mat zatrudnione; tę to też grupę Hirsch odfotografował. Do mieszkania wszedłszy i przeszedłszy rodzaj przedsionka, gdzie setne przyrządy rybackie i łowieckie leżą, wchodzi się do głównej izby. Tu nas ów naczelnik przyjął. W środku tego pokoju ognisko, przy niem się siedzi, je i śpi. Naczelnik, starzec, któremu pewnie 80 kilka wiosen minęło, z ogromną, bujną, nastroszoną czupryną, ogromną brodą i wąsami przedpotopowemi, z ogromnemi kolczykami w uszach formy kulistej, przybrany już, niestety, w coś do lichych japońskich sukni podobnego, — zasiadł na swojem miejscu; nas choć przyjmował, siedzieć nie prosił; widocznie nie był kontent z naszej wizyty. Powiadają, że Ajnowie sprzyjają białym, Japończyków nie lubią, nie dowierzając im. Być może, że obecność małpy ja-

pońskiej, tj. wielce głupiego naszego przewodnika, gniewała i niecierpliwiła tego zacnego staruszka; dosyć że nas przyjął choć grzecznie, lecz arcy-zimno. Całe szczęście, że przedtem już odfotografowaliśmy go i że niezbyt na jego nieświetny humor zważając, oglądaliśmy z wszelkiemi szczegółami jego domek.

Mieszkanie Ajnów opisał między innemi Siebold tak dokładnie, że wolę do niego odesłać; tu zanotuję mały szczegół, który nas uderzył, tj. dwa młodziuchne niedźwiadki, które w klatkach z chrustu tam siedziały, i choć z początku nader się wydawały zaalarmowane naszem przybyciem, po chwili jednak najspokojniej poczęły się bawić a nawet pacierze mruczeć, jak mawiał stary Szymon, historyczny stróż naszego krasiczyńskiego misia. Niedźwiadki te, to dwie czczone i wielce pielęgnowane istoty, niemniej jednak na śmierć przeznaczone. Zwyczaj każe, żeby niedźwiadka karmiła własnem mlekiem jedna z niewiast póty, póki misio zbyt silnym się nie stanie; skoro zaś to nastąpi, duszą biedaka, wśród okazałej ceremonii; matkę jego, tj. mamkę, na pocieszenie, zdaje się, paru kijami okładają; poczem wśród niezliczonych libacyj wódki japońskiej spożywają najspokojniej mięso niedźwiadka, łeb zaś wywieszają na drągu i ofiary mu składają; jest on bowiem jedną z postaci, którą podobno *Kami*, tj. wielki duch, lubi przyjmować. Takich łbów niedźwiedzich zaraz u wejścia do wioski Ajnów spostrzegliśmy kilkanaście na drągach wysoko umieszczonych, nozdrzami ku morzu zwróconych; wkoło nich niezliczona ilość fetyszów zrobionych po prostu z drągów i drążków u góry nieco obstruganych, w taki sposób, iż wiory pozostawiono, które tak nieodczepione i pozakręcane na nich wiszą.

Ciekawy jest typ tych ludzi. Wspomniałem już w którymś z dawniejszych listów o dziwacznej hipotezie, która wywodzi rodowód Ajnów od zagubionych pokoleń izraelskich; otóż bezsprzecznie ogólny ich typ semickim nie jest; wszakże np. dziś widziałem zatrudnionych przy lądowaniu czółen rybackich z nocnej wyprawy powracających kilku Ajnów, z których 3-ch czy 4-ch doprawdy przypominało nieco typy żydowskie, które uwiecznił Munkaczy na swych obrazach. Rysy same przez się w szczegó-

łach nie są semickie, całość jednak, porost brody, forma tejże dziwnie mi owe typy Munkaczego przypomniały; kto wie, może ta hipoteza ma coś prawdy na dnie?

W powrocie znowu miałem przygodę: szkapa moja wpadła ze mną pod rodzaj szubienicy, służącej do wieszania ryb, czy wiązania koni. Bogu dzięki, szubienica słaba tak, iż widząc niebezpieczeństwo spadnięcia, chwyciłem ją oburącz i uniosłem w górę, poczem szkapa przerażona własnem dziełem ruszyła z kopyta, a ja ciągle z szubienicą w rękach. *Gaudium* niesłychane między Japończykami, którzy raz jeszcze mieli chyba przyczynę powiedzieć, że każdy Europejczyk trochę postrzelony.

Wczoraj, nim opuściliśmy Hakodade, jeszcze mała feta nas czekała. Ledwośmy wrócili z Jurap i omyli nieco z prochu, zjawiają się przed naszą rezydencyą: ksiądz Berlioz, angielski minister Bonar, i pan Inawata, ów Koreańczyk: przedłożenie celu przybycia, powitanie mojej Wysokości, i prośba ze strony Koreańczyka o pozwolenie zaproszenia tejże Wysokości na obiad japoński (naturalnie z akompaniamentem). Rad nierad, mimo szalonego kataru, który nie wiem gdzie schwyciłem, przyjmuję.

O wpół do ósmej obiad podano w tak zw. *Oczeja* japońskiem. Zaproszeni: Hirsch, ja, Bonar, pan domu czwarty. Siadamy przy japońskim niziutkim stoliczku kwadratowym, na poduszkach tylko, rozumie się bez butów. Ja tyłem do niszy, w której wisi Kakemono, bo to miejsce honorowe. Usługują nam, klęcząc czy siedząc w kuczki, *gesze;* choć niezbyt piękne, ale milutkie, wystrojone, wymyte, zgrabne jak kotki. *Sake* płynie obficie; poczciwy Hirsch po półgodziny rozweselony na dobre i czuły; konsul, prawdziwy typ zjaponizowanego Anglika, *qui s'en trouve à merveille.* Koreańczyk sprytny, rzutki, bystry nawet, robił najlepsze wrażenie póty, póki pod wpływem wesołości nie wyglądnął z pod aksamitnego futerału barbarzyniec; choć ostatecznie do końca, choć *somme toute* był *correct* przez wzgląd na europejskiego gościa. Wśród setnych najrozmaitszych zabaw i zabawek przez nasze panny wymyśliwanych, opowiada Koreańczyk bajeczkę ze swej ojczyzny, o myśliwym, co dwie dzikie wielkie bestye jedną strzałą ubił: Wyszedł myśliwy na łowy;

kołczan miał dobrze najlepszemi wyładowany strzałami. Wyszedł w lasy i stanął pod wyniosłą skałą, skąd widok daleki, i czeka. Aż tu wśród bambusowej trawy poczyna coś szeleścić i łamać; słucha, patrzy: oto dwa ogromne odyńce, wolno krocząc pasą się. Lecz wytrawny myśliwy nie chcąc daremnie strzały w przestrzeń puszczać, pomyślał: poczekam, niech jeno bliżej przyjdą. Gdy tak nieruchomy czeka, pada mu jedna i druga wielka kropla na czoło; skądże krople, skąd deszcz, kiedy słońce pięknie świeci? Ostrożnie więc podnosi głowę i — o dziwo! na sterczącej nad nim skale przyczajony tygrys ogromny, śledzi każdy ruch dzików, czekając chwili sposobnej do ataku, a z pyska kapie mu ślinka, co mu przyszła na widok tłustych odyńców. Uradował się wielce myśliwy i rzekł sam w sobie: wszakże tygrys więcej wart niż dwa dziki, i nie czekając sięga do kołczana, najostrzejszą strzałę wybiera i puszcza; a ona przeszywszy tygrysi kark nawskróś, dalej ucieka. Nuż tygrys zdziwił się mocno, ból straszny uczuwszy; a widząc odyńce opodal siebie, rzekł: chyba któraś z tych niechlujnych bestyj musi być mego bólu przyczyną! i gniewem strasznym pałając, jednym susem siedzi na karku odyńca, jednem uderzeniem łapy bestyę zabija. Lecz nie darmo myśliwy najlepszą strzałę z kołczana wyjął; tygrys odyńca ubiwszy, sam martwy pada.

Notuję tę bajeczkę wiernie według tłumaczenia, które mi podał konsul angielski. Charakterystycznym zaś był manewr Koreańczyka, by tę bajkę opowiedzieć; najpierw kazał mię spytać, czy jestem myśliwy? potem, wiele grubych sztuk na jeden strzał ubijać zwykłem; a na moją odpowiedź, żem bardzo kontent, jeżeli choć jedna po mym strzale pada, opowiedział swoją historyę. Wśród zabaw rozmaitych — do których i ciuciubabka, ulubiona gra japońska należała — zeszedł czas nader szybko. Poczem ruszyliśmy do domu, a stąd wprost na statek, który nas wiezie do Oginohama. Niestety, czas znowu ohydny; wiatr wschodni, deszcz pada, trzeba uciekać z tego kraju.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Żywot bł. Brata Gerarda Majella, ze Zgrom. OO. Redemptorystów. Napisał *O. Bernard Łubieński*, członek tegoż Zgrom. Kraków 1893.

Gdzież jest piękność w naturze czy w sztuce, mogąca iść w porównanie z owemi ślicznemi i wonnemi wiosnami ducha, które towarzyszyły powstaniu paru wielkich zakonów: jak wiosna benedyktyńska, opisana w Dyalogach św. Grzegorza, albo wiosna franciszkańska, odmalowana w *Fiorettach?* — kiedy to wszystkie cnoty i bohaterstwa pachną dziecięcą prostotą — kiedy pod stopami tych szczęśliwych ludzi, czy aniołów, mnożą się cuda jak kwiaty na polu, a ani sami ani pisarze ich życia nie więcej się im dziwią jak kwiatom?! Czytając te jedyne w swoim rodzaju pisma, albo wpatrując się w cykle starych, tak samo wzniośle naiwnych fresków, czujemy się przeniesieni wysoko ponad ziemię; powiew jakiś z Edenu nas chłodzi; niebo wydaje nam się tak blizko ziemi, że nie odróżniamy prawie granicy, i tem większa ogarnia nas tęsknota, gdy do poziomu twardej teraźniejszości wracamy.

Otóż te cudowne wiosny nie są tylko przywilejem dawnych czasów — jak sobie może wystawiamy. Nie dalej jak przed stu laty, wśród wieku filozofii, ale pod złotem niebem Włoch południowych, Zgromadzenie św. Ligorego miało podobną poniekąd wiosnę. Brat Gerard Majella, świeżo wyniesiony na ołtarze, może śmiało iść w parze z pierwszymi towarzyszami Benedykta i Franciszka; równa się im prostotą; równa cudowność go otacza.

Nie będziemy próbować kreślić tej pięknej i zdumiewającej postaci; podjął się tego O. Bernard Łubieński, i wolimy do jego książki

czytelników odesłać: naszą rzeczą jest tylko powiedzieć słowo o sposobie, jakim ta książka jest napisana. — Autor nie poszedł do samych źródeł, ale wziął za podstawę obszerną pracę drugiego Redemptorysty, który biorąc udział w beatyfikacyi Brata Gerarda, miał w ręku wszystkie dokumenta. Nie jest to zapewnie według „wymogów“ dzisiejszej historyi; lecz autor dalekim jest od pretensyi napisania historycznego dzieła. Idzie mu tylko o zbudowanie wiernych, o rozniecenie miłości bożej; i mówi skromnie, że chciał tylko streścić zbyt obszerne dzieło włoskie. A z tego punktu widzenia miał zupełnie prawo i racyę tak postąpić. Idzie tylko o to, jak się wywiązał z zadania streszczenia i spolszczenia tego żywotu?

W przedmowie O. Łubieński każe najprzód czytelnikom się przeżegnać, i podług tego, czy się żegnają niedbale, ze względem ludzkim, albo z czcią i pobożnością, dzieli ich na dwie kategorye: jednych niby-katolików, z wiarą co najmniej zachwianą, którym odradza czytanie tej książki: drugich pobożnych, skłonnych do dania wiary cudom, których bardzo do czytania zachęca. Pomysł to ładny, ale podział ten niekoniecznie jest ścisły. Dziś co kierunek nauk, słusznie czy niesłusznie, nadał powszechnie umysłom naszym pewien odcień krytycyzmu, wielu jest takich, nawet między ludźmi pobożnie się żegnającymi, którym nie każde opowiadanie cudów trafi do przekonania. Z drugiej strony jest też dziś niemało osób chorobliwie chciwych cudowności, szukających z największą łatwowiernością jej objawów zarówno w magicznych jak w religijnych praktykach — co ich oczywiście nie zbliża do królestwa bożego. Tak jedni jak drudzy, zdaje mi się, wyłamują się z podziału autora.

Ale biorąc już ten podział tak jak go autor daje, postawmy sobie jeszcze pytanie, czy się do niego stosuje w toku swego opowiadania? Otóż wydaje nam się, że nie dosyć. Opowiadając krocie cudownych rzeczy, tu i ówdzie ulega i on lekkim skrupułom krytycyzmu, i zatrzymuje się, aby dowodzić, że ten lub ów cud „jest wyraźnie nie do zaprzeczenia“. Po co te zwroty? Ludzi pierwszej kategoryi, którzy się żegnają bez wiary, takie dowodzenie, jakie autor przeprowadza, bynajmniej nie przekona; ludzie zaś drugiej kategoryi ani pomyślą o wątpieniu, póki im piszący tej myśli nie podda. Nam wreszcie, trzeciego gatunku ludziom, którzy wierzymy w cuda, ale nie bez źdźbła krytycyzmu — nam nic a nic na tem nie zależy, czy pomiędzy setkami cudów ten i ów w szczególności jest „niezaprzeczalny“. My wiemy, że skoro jakieś objawy nadprzyrodzone przychodzą dla świadectwo

czyjejś świętości, zaraz podniecona wyobraźnia ludu otacza takiego człowieka nimbusem cudowności, w którym nie zawsze łatwo jest odróżnić szczegóły prawdziwe od naleciałych. Ale przekonani jesteśmy, że punktem wyjścia takiego nimbusu bywają istotne cuda; a patrząc na bohaterską w swej prostocie świętość Brata Gerarda, czujemy, rozumiemy, że ją cudowność uwieńczać musiała; czegośby nam brakowało, gdyby jej Bóg tego blasku był odmówił.

Dalej między temi cudami — kiedy już autor skracał i obcinał źródłowe dzieło — należało znów uczynić pewien wybór, niektóre z nich, jak np. historyę owego konia, który na skinienie Brata Gerarda podkowy gubi, należało opuścić. Nie twierdzimy, żeby takie cuda były niemożliwsze od innych; żadnego nie posiadamy kryteryum do sądzenia o tem: ale mówimy, że niektóre są mniej wdzięczne, mniej przystające do umysłu i serca człowieka, przynajmniej dzisiejszego. Jest to jedną z przedziwnych cech cudów w Ewangelii opowiedzianych, że wszystkie są miłe, rozumne i piękne — tak iż ludzie wszelkich czasów czują do nich pociąg, i nawet niedowiarkowie przyznają, że byłoby pięknie, gdyby to mogło być prawdą. Otóż takich cudów, takich czynów i słów z ewangeliczną wonią pełno jest w książce Ojca Bernarda, — tylko niektóre rzeczy należałoby wykreślić.

Inne wreszcie rzeczy należałoby trochę inaczej ugrupować, prościej ustylizować i t. d. — Ale jakiem prawem śmiemy takie literackie stawiać żądania autorowi, który tak dalece wszystek czas i siły swoje apostolskim pracom poświęca, że i tak już nie pojmujemy, jak może jeszcze chwilę na pisanie znaleść i raz po raz ubogą naszą literaturę ascetyczną nowemi płodami zasilać. Żywot Brata Gerarda, mimo wspomnianych literackich usterek, jest bardzo pożyteczną książką i cel swój, tj. pomnożenie czci i miłości Boga — który jest „przedziwny w świętych swoich" — najzupełniej osiąga.

Ks. M. Morawski.

Bibliografia wydawnictw ludowych 1848—1894. Nakładem i staraniem Koła literacko-artystycznego we Lwowie. 1894.

Szkoda, że piękna i pożyteczna myśl ogłoszenia katalogu wydawnictw przeznaczonych dla ludu, wypadła tak nieudatnie; szkoda, że poważna instytucya, jaką jest lwowskie Koło literacko-artystyczne, położyło swą pieczęć na nieudałem tem przedsięwzięciu! „Bibliografia wydawnictw ludowych od r. 1848—1894" nie jest właściwie bibliografią, ale przedrukiem kilku czy kilkunastu księgarskich katalogów.

które szczęśliwym lub nieszczęśliwym trafem wydawcom do ręki wpadły; nie jest bibliografią „wydawnictw ludowych“, ale najrozmaitszego rodzaju i dla najrozmaitszych warstw społecznych przeznaczonych pism, broszur; wreszcie nie ogranicza się na latach w nagłówku wskazanych, sięga czasem (zaraz w pierwszej z wymienionych książek) z całym spokojem do pierwszych dziesiątków naszego stulecia, opuszcza natomiast całe długie szeregi bezwzględnie ludowych publikacyj z lat ostatnich. Niedbalstwo posunięte do tego stopnia, że wydawnictwa ludowe, które posiadają odrębne swe obszerne katalogi, a na wystawie osobne szafy zajmują, nie zostały w „Bibliografii“ ani słowem uwzględnione. Wydawcy nie wiedzą np. o całym szeregu książek religijnych, wydawanych przed dwudziestu latami w Pelplinie; nie wiedzą o krakowskim zbiorze książek dla wiernych każdego stanu; nie wiedzą o rozchodzących się co miesiąc w przeszło stu tysiącach egzemplarzy: „Intencyach Apostolstwa Serca Jezusowego“; nie wiedzą o wydanych w ostatnich latach licznych pismach Antoniewicza. Natomiast notują skrzętnie nierozumne, na wyzysk i obałamucenie umysłów obliczone wydawnictwa Feitzingera: „O trzech pięknych młynareczkach w rękach krwawego rabusia“; „Rozmowę trzynastu mężatek i jednej wdowy“; „Proroctwa Michaldy, królowej ze Saby“; zapisują na wieczną rzeczy pamiątkę kilkanaście sennikov, wróżbiarzy, „zabaw moralnych czyli salomonowych mądrości, zawierających w sobie różne odgadnienia przyszłości“. Do dzieł ludowych — powtarzamy: do ludowych — zaliczone tu obok siebie: „Książeczka obrazowa Brr! dla grzecznych dzieci“; „Książka do czytania na klasę V. i VI.“; „Syberya“ (dlatego prawdopodobnie, że wydrukowaną była w drukarni „ludowej“); „Projekt do oczynszowania włościan“; „Podręcznik o ubezpieczeniu robotników od wypadków“: „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego“ Mickiewicza. Jako pismo ludowe figuruje krakowski socyalistyczny *Naprzód*, choć rzeczą jest wiadomą, że socyaliści nasi wyraźnie się zapierają, jakoby dziś już do ludu się zwracali. Pytanie tylko, dlaczego, kiedy *Naprzód*, kiedy *Nowy Robotnik*, kiedy lwowska *Praca*, zaliczonemi zostały do czasopism ludowych, nie znajdujemy między niemi berlińskiej *Gazety robotniczej*, londyńskiego *Przedświtu* i t. d. i t. d.; dlaczego, kiedy przedostała się tu feitzingerowska „Zwyczajna kuchnia domowa“, zaszczytu tego nie dostąpiła np. p. Ćwierciakiewiczowa z całym swym warszawskim sztabem? Za to dowiadujemy się, że słynne „Czytania świąteczne dla ludu naszego“ ks. Anto-

niewicza[1] należą do — czasopism: jak do czasopism należy: „Matka świętych Polska“, wydawana przez ks. Dziurzyńskiego. I znowu pytanie, czemu w takim razie „Czytania świąteczne dla ludu“ przez ks. Palecznego, zaliczono nie do czasopism, nie do książek religijnych, ale wespół i obok z „Radami dla utrzymujących buhaje“, do książek — naukowych?

Wydawcy tłumaczą się w przedmowie, że chociaż, jak w każdej bibliografii tak i w tej, znajdą się liczne błędy, braki, niedokładności, za złe im tego brać nie można, bo porozumienie z innemi dzielnicami Polski było utrudnione, a czas wystawy naglił do pośpiechu. Nie! to nie liczne błędy; cała „Bibliografia“ jest jednym, ale bardzo grubym błędem. I obecnie wskazanym i koniecznym jest pośpiech — ale pośpiech we wrzuceniu całego nakładu do ognia!

Arcydzieło poezyi polskiej A. Mickiewicza „Pan Tadeusz“. Studyum krytyczne. *Walery Gostomski.* W Krakowie. Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej. 1894.

Studyum p. Gostomskiego oprócz przedmowy, w której kilka słów o pracach poprzedników piszących o „Panu Tadeuszu“ i zaznaczenie stanowiska, z którego pan G. tłumaczy i objaśnia to arcydzieło, dzieli się na ośm rozdziałów; niektóre z nich były już dawniej w czasopismach *(Ateneum)* drukowane i przez krytykę przychylnie przyjęte. W pierwszym rozdziale (geneza poematu) daje nam autor najprzód przegląd najważniejszych objawów twórczej działalności poety, poprzedzającej napisanie „Pana Tadeusza“. W tej przeszłości dostrzega „głównych żywiołów uzdolnienia w kierunku epickiej zdolności: silne poczucie realnej prawdy życia, jasność i plastykę obrazów poetyckich, wreszcie zmysł artystyczny“.

Następnie zastanawia się p. Gostomski nad wyjaśnieniem ogólnego nastroju psychicznego, który pozwolił Mickiewiczowi „odczuć i odtworzyć z taką prawdą i naturalnością odrębny charakter i właściwości życiowe ogółu szlachty polskiej“.

Pomogło do tego Mickiewiczowi świeże i naturalne poczucie rzeczywistości życiowej, zapatrywanie się na życie ze stanowiska prostego, zdrowego rozumu, co nie zawsze znajdujemy u ludzi wyższych, genialnych. Rozum Mickiewicza, oparty na doświadczeniu osobistem,

[1] Wydawcy „Bibliografii“ nie wiedzą, z pod czyjego pióra „Czytania“ wyszły.

nie odznaczał się jednak nigdy rozległością swego zakresu, nie wznosił się do szerokich uogólnień i abstrakcyj filozoficznych. Mickiewicz nie był wielkim myślicielem, filozofem, i tem się różni od Getego. Poeta nasz w wyższych sferach życia umysłowego nie kieruje się refleksyą rozumową, lecz uczuciem i wyobraźnią. W tym razie jak w innych ustrój psychiczny Mickiewicza jest wytworem rozwoju ducha narodowego: Polacy myślicielami głębokimi nigdy nie byli.

Również i inne władze rozumowe poety wynikają z zasadniczych znamion charakteru polskiego a raczej szlachecko-polskiego, a przedewszystkiem wyłączność narodowa, dochodząca do szowinizmu, objawiająca się w przywiązaniu do wszelkich najdrobniejszych objawów życia, przyrody i obyczajów ojczystych.

Podobnie jak szlachta polska, jest Mickiewicz człowiekiem towarzyskim, dobrodusznym, nie znoszącym etykiety. Z charakterystycznych rysów narodowych znajdujemy w nim jeszcze: zamiłowanie w życiu wiejskiem, poczucie przyrody bez sentymentalizmu niemieckiego, humor bez satyry i sarkazmu, pewien optymizm życiowy. Jednej tylko cechy typu szlachecko-polskiego nie znajdujemy w naszym wieszczu: tj. samowoli, buty, porywczości. Atoli i tu są pewne analogie w Mickiewiczu. Bujna fantazya, wrażliwość uczuciowa szlachty, nie znajdując w warunkach swego bytu odpowiedniego ujścia, objawiała się swawolą, butą, — „u Mickiewicza te same żywioły, skupione w potężnie rozwiniętem życiu wewnętrznem, przejawiają się (!) w porywach wielkich uczuć i w płomiennym entuzyazmie dla wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne“.

Oprócz wyliczonych cech ma jeszcze Mickiewicz znamiona prowincyonalno-litewskie: większą gruntowność umysłu i siłę wewnętrzną skupienia.

W dalszym ciągu tego rozdziału zajmuje się autor stanem psychicznym Mickiewicza podówczas, gdy się zabrał do pisania „Pana Tadeusza“. Zasady religii pozytywnej na krótko przedtem zostały w nim silnie ugruntowane, walka więc wewnętrzna w nim ustała, a zapanował spokój, potrzebny do zwrócenia się na zewnątrz. W owym czasie nastąpił też zwrot w uczuciach narodowych Mickiewicza. W poprzednich utworach miały one charakter wysoce idealny, znajdowały swój wyraz w nader wybujałych, oderwanych od życia dążeniach, ale objawiały się także w bardziej konkretnych formach, streszczających się w przywiązaniu do ziemi rodzinnej, do życia, do przyrody i obyczajów ojczystych. Te uczucia teraz spotęgowały się oddaleniem od

kraju, tęsknotą za nim; Mickiewicz staje się teraz po tych wewnętrznych zmianach jednolitym.

Stosunki, wśród których Mickiewicz wówczas żył, rozterki, swary i kłótnie w emigracyi, smutna rzeczywistość jednem słowem kazała mu się zwrócić ku owej

Krainie lat dziecinnych,
. . . . . co zawsze zostanie,
Święta i czysta, jak pierwsze kochanie.

„Kontrast ten był najbliższą przyczyną zwrotu twórczości Mickiewicza, przyczyną, uzupełniającą działanie wszystkich powyżej wskazanych motywów".

To, w jaki sposób mógł Mickiewicz oddać tak wiernie, tak szczegółowo wspomnienie tak odległej epoki życia, tłumaczy p. Gostomski tem, że wrażenia lat dziecinnych są najżywsze i najtrwalsze; po drugie wyjątkowem uzdolnieniem jego umysłu do chwytania wszystkich wrażeń w całej sile i pełni; po trzecie odnawianiem ich opowiadaniami przyjaciół, kontrastem między rzeczywistością istniejącą a wspomnieniami, tęsknotą, wzmożoną niechęcią do otaczającego świata, pewnem zniechęceniem do dążeń i pragnień najwyższych, które go zawiodły.

Mickiewicz uczuł się w tej sferze narodowej, szlachecko-polskiej, jak w swoim żywiole, „zeszedł on do poziomu przeciętnego bytu szlacheckiego, lecz nie wyrzekł się swej wyższej natury duchowej". Skutkiem tego zajmuje on wobec swego utworu inne stanowisko niż Homer. Poeta grecki stoi na tym samym poziomie, co ludzie, których przedstawia, — Mickiewicz umie zniżyć się do ogółu szlacheckiego, zlać się z nim, ale zarazem, kiedy potrzeba, wznosi się ponad ten ogół, potrafi go sądzić.

Z tego stosunku poety do przedmiotu wyniknął cały artystyczny charakter „Pana Tadeusza", o czem mowa w następnych rozdziałach. Oświadczywszy wkońcu, że „Pan Tadeusz" jest „wytworem przyrodzonych sił geniuszu, nie reguł sztuki, i stąd jego tytuł do nieśmiertelności"; że gdyby był pisany wedle tych reguł, byłby poematem sztucznym, nie sprawiającym wrażenia — robi p. Gostomski krótką wycieczkę przeciw krytyce, która się zajmuje pytaniem, czy mógł jakiś utwór być inaczej pisany, jak powinien być pisany. Zdaniem p. Gostomskiego, krytyka powinna odpowiadać tylko na jedno pytanie: dlaczego poemat tak a nie inaczej został napisany. Z tego stanowiska napisane całe to studyum.

Oto jest obszerna treść najciekawszego z całej książki rozdziału.

To, co autor mówi o indywidualności Mickiewicza, to jest głębokie i bystre; są tu jednak spostrzeżenia i uwagi niezupełnie słuszne i trafne, a które krytyka, kiedy ten rozdział w r. 1890 w *Ateneum* wydrukowano, wytknęła. Dr. Tretiak w *Kwartalniku historycznym* najsłuszniejszy czyni zarzut, że w Mickiewiczu „trudno widzieć typowego przedstawiciela szlachecko-polskiego życia“, że wyszukiwanie cech wspólnych u poety i u szlachty jest nieco naciągane i powierzchowne, że charakter nie tworzy obecność tych lub owych znamion w człowieku, lecz ich stosunek między sobą. Należało ten stosunek pokazać, chcąc mówić o Mickiewiczu, jako typie ogółu szlacheckiego. Z powodu wyszukiwania tych wspólnych cech znajdujemy sprzeczności w tym ustępie książki. W jednem miejscu mówi pan G. o Mickiewiczu, jako o wolnym „od niewczesnej ideologii i szowinizmu narodowego“, a w innem, że odznaczał się „wyłącznością narodową, dochodzącą do szowinizmu“. Niezupełnie również można się zgodzić na to, co autor mówi o towarzyskości Mickiewicza i o jego bezpośredniem poczuciu przyrody. Autor jest gorliwym zwolennikiem psychologicznej metody Taine'a i odmawia wszelkiego prawa bytu krytyce estetycznej. Skutkiem zajęcia tego stanowiska położył zbyt wielki nacisk na odziedziczone niejako znamiona i cechy charakteru Mickiewicza, za mało zaś uwzględnił pobudki zewnętrzne, które zwróciły jego myśl ku przeszłości. O tem, czy krytyka estetyczna i etyczna przez autora pominięta przeżyła się, rozprawiać nie będziemy, boby nas to za daleko doprowadziło i właściwie do omawianej rzeczy to nie należy.

W rozdziale drugim zajmuje się p. Gostomski przedmiotem i kompozycyą „Pana Tadeusza“. Twórczość epicka rozwija się przedewszystkiem w zaraniu dziejów, bo stosunki życia społecznego są wówczas proste i nieliczne, ogół jednolity w swych wierzeniach i przekonaniach. Kiedy naród cywilizacyjnie się rozwinie, wówczas życie społeczne komplikuje się, typ rozpada się na indywidua, zatraca swą wyrazistość, powstaje wtedy poezya liryczna i dramatyczna, dla epopei trudno znaleść przedmiotu. Tak jest już w starożytnym świecie, gorzej po przyjściu Chrystusa, bo chrystyanizm, po pierwsze, upodobnia do pewnego stopnia narody, zaciera ich odrębne znamiona; po drugie, wywołuje „rozwój życia wewnętrznego, a w następstwie tego wyrobienie indywidualizmu jednostkowego ze szkodą dla typu ogólno-narodowego“. Stąd ludy chrześcijańskie własnych epopei oryginalnych nie posiadają. W pewnych jednak warstwach, szczególnie narodów słowiańskich, można

znaleść temata do eposu. Szczególnie w Polsce u szlachty o przedmiot epicki skutkiem odrębnych warunków, wśród których ogół szlachecki żył, nie było tak trudno. Szlachta żyła na wsi, zajęta ustawicznie sprawami publicznemi, nie dozwalającemi wewnętrznego skupienia, pozostająca w słabej łączności z ludami zachodniemi — i to wszystko przyczyniło się do zachowania w szczególnie czystej postaci odrębnych narodowych właściwości. Rozbiór kraju, a z nim zmiana stosunków nie potrafiły od razu zatrzeć dawnych znamion. „Chwilę przejścia, zawierającą dawne i nowe warunki bytu narodowego, uchwycił Mickiewicz w swym poemacie". Dał nam rysy przeszłej, minionej epoki, i poczynającego się nowego, świeżego życia — „a taki charakter przedmiotu nie odpowiadał wymaganiom dawnej klasycznej estetyki". W poemacie zespoliły się żywioły dawnego i nowego bytu, — w dawnym to czysty epizm, w nowym to już i liryzm i dramat, wywołane położeniem politycznem: dlatego też w „Panu Tadeuszu" mamy trzy wspomniane pierwiastki z przewagą epickiego. Charakter epiczny zawiera się w motywie osnowy poematu: „motywem tym jest obraz starodawnego bytu polskiego, rozwinięty na tle wojen napoleońskich". Osnowa „Pana Tadeusza" nie rozwija się w chronologicznym ciągu zdarzeń. W pierwszych księgach przedstawia się jako sielanka epiczna, charakterem swoim zbliżona do „Hermana i Doroty" Getego, a bohaterem jej Tadeusz Soplica. W następnych jednak księgach motywy poważne, zaznaczone tylko lekko na początku poematu, wysuwają się na plan pierwszy; Jacek Soplica zwraca na siebie coraz bardziej i więcej uwagę, staje się głównym bohaterem. Razem z nim „występują na scenę głębsze i donioślejsze żywioły, które podnoszą znacznie nastrój całego utworu i nadają mu charakter zbliżony do prawdziwej epopei".

Opowiedziawszy treść poematu, przechodzi pan G. do uwag nad kompozycyą, która go niezupełnie zadawalnia. Stanowisko Tadeusza i Jacka jest dość nieokreślone: początkowo główne miejsce zajmuje Tadeusz, wypiera go z niego później Jacek, na co zwrócił uwagę już p. Biegeleisen. Tutaj stacza p. Gostomski walkę z p. Biegeleisenem, stojąc na stanowisku wyłącznie tylko tłumacza utworu, „jako pewnego realnego faktu, który tylko wyjaśnić należy ze względu na jego przyczyny i fakta". Ostatecznie ta krótka polemika z p. Biegeleisenem jest zupełnie jałowa, bo wkońcu nie zaprzecza pan G. zasługi badaniom tego rodzaju, co praca p. Biegeleisena. Biegeleisen wskazał trafnie usterki w kompozycyi epopei, p. Gostomski tłumaczy, skąd się wzięły. P. Biegeleisen gani lub chwali, p. Gostomski wystę-

paje tylko w roli tłumacza, objaśniacza, — w każdym razie bezstronny przyzna, że rola p. Gostomskiego jest zbyt skromna, że krytykowi przysługuje najzupełniej prawo zajęcia wyższego stanowiska, niejako sędziego, wobec danego utworu, że zawsze ktoś być musi, kto wskaże poematowi należne miejsce, kto ogół oświeci, kto przestrzeże przed błędami, przed złemi skutkami, które utwór pewien czy to pod względem estetycznym czy etycznym szerzy. Inaczej krytyk schodzi do roli sługi wobec twórcy, do pośrednika między nim a publicznością, zachwalając niejako towar, tłumacząc jego usterki, wzywając jeżeli nie do admiracyi bezwzględnej, to przynajmniej do wyrozumiałości nieraz szkodliwej, a w każdym razie nie wskazując z należytą dobitnością, czego się strzedz i unikać należy. Chociaż p. Gostomski tę rolę na siebie przybrał, trudno mu się w niej konsekwentnie utrzymać, i z tłumacza staje się czasem naprawdę sędzią, krytykiem. Z tego naturalnie nie wynika, abyśmy nie widzieli korzyści tego rodzaju studyów; lepsze one są nieraz, ograniczające się w swej skromności do roli egzegezy, od krytyk, ferujących wyroki z tronu zbudowanego z paragrafów szkolnej, formalnej estetyki: odnosi się to szczególnie do arcydzieł, wobec których krytyka podobną była nieraz do owych zakrystyanów oświecających malowidła mistrzów smolnemi pochodniami. Zwraca p. Gostomski uwagę na małe znaczenie kompozycyi w utworach nowożytnych, i błędy jakie co do niej w utworach owych widzimy. „Herman i Dorota“ Getego daje mu sposobność do zaznaczenia podobieństwa i różnicy między sielanką niemiecką a polską epopeą. Gete wpłynął na pomysł „Pana Tadeusza“, ale Gete panował nad swym przedmiotem, Mickiewicz dał się mu porwać i rozszerzył pierwotny plan. „Idąc za samorodnym popędem natchnienia, Mickiewicz wzniósł się wysoko ponad pierwotnie zakreśloną sferę sielankową, wzbogacił swój poemat wyższą treścią epicką, a zarazem ogrzał go ciepłem uczuciowego liryzmu i ożywił potęgą wstrząśnień dramatycznych: sielankowy bohater, Tadeusz, przyćmiony został przez wspaniałą, o dramatycznym pokroju osobistość Jacka Soplicy, drobne spory i zabiegi usunięte zostały w głąb obrazu wobec wyższych, ogólno-narodowych dążeń“.

Skutkiem tych przemian prawidłowość kompozycyi została zachwiana, mimo tego poemat jest jednym z najdoskonalszych wzorów epiki. „Cała wada kompozycyi polega na tem, iż ta jedność idealna osnowy nie zawsze ujawnia się w realnej jedności akcyi i głównego bohatera“. Braki te wypływają nie z nieudolności artystycznej Mickie-

wicza, lecz naprzód z ducha poezyi nowożytnej, a następnie z indywidualnego nastroju poety i z natury jego przedmiotu.

Wkońcu porównywa pan Gostomski „Pana Tadeusza“ do symfonii muzycznej o całej gamie tonów od nuty pieśni sielskiej, która coraz bardziej rośnie, olbrzymieje, miesza się z ostremi dźwiękami bojowemi, smutnemi elegii, poważnemi hymnu, z okrzykami rozpaczy, kończy się głęboką, pełną skruchy pieśnią pokutną, wreszcie „wspaniałym, harmonijnym finałem, który skupia i jednoczy w kilku potężnych akordach wszystkie poprzednie motywy“.

Tem porównaniem p. Gostomski ostatecznie nie powiedział nam nic nowego, a stanął w części przynajmniej w sprzeczności z samym sobą; zarzucał bowiem p. Biegeleisenowi, że porównywa poemat z budowlą, żądając od niego prawidłowości linij architektonicznych — sam robi to samo, zmieniając przedmiot porównania, a tem błędów istotnych kompozycyi nie usuwa. Przyznajemy zresztą chętnie, że dla poematu nowożytnego szukać należy porównania raczej w muzyce niż w sztuce plastycznej, ale w konkluzyi tak jedno jak drugie porównanie w gruncie rzeczy do wyświetlenia sprawy się nie przyczynia.

W rozdziale czwartym jest mowa o typach i charakterach, ale zanim autor do nich przystąpił, uważał za potrzebne zbadać obyczaje i stosunki życiowe, które te typy wywołały, i robi to w rozdziale trzecim. Obraz tych stosunków nie mógł być naturalnie wszechstronnym. Stosownie do obranego przedmiotu, rysy obyczajowe, życie towarzyskie, najwięcej zajmują miejsca w poemacie: stosunki polityczno-społeczne z powodu miejsca akcyi (wieś) i jej czasu na odtworzenie ich obszerne nie pozwalały, — nie pominięto ich jednak. Mamy je skreślone w trzech epizodach: „Zajazd“, „Rada w Dobrzyniu“ i „Bitwa“. Objaśniając te epizody, powiada p. Gostomski, że „Rada jest jakby miniaturowym obrazem dawnych politycznych obrad szlacheckich“, a „bitwa daje nam drobną ale nader charakterystyczną próbkę wojennej sztuki staroszlacheckiej“. Zdaje mi się, że p. Gostomski przypisuje tu zbyt wiele autorowi; zdaje mi się, że tu, jak gdzieindziej, dał nam poeta obrazy danej chwili, nie myśląc o tem, że są one miniaturą ogólniejszych i poważniejszych dziejów czy zdarzeń. Przypadkowo, a raczej skutkiem naturalnego podobieństwa, „Rada“ może przypominać konfederacye, wogóle obrady publiczne większe, bo wszakże ta sama szlachta odbywa jedne i drugie. Zdaje mi się, że wogóle wielkim dziełom przypisuje się zbyt często uogólnienia olbrzymie, czegoby robić nie należało, jeżeli niema dowodów, że autor sam miał je na myśli. Z pojęcia o hi-

storycznej przeszłości Polski, jakie miał Mickiewicz, nie można wnosić, aby chciał w scenach zaścianku odtworzyć stosunki szersze naszej ojczyzny: malował jak widział i słyszał.

Mniej interesującym epizodem z życia publicznego jest opis sejmiku, wyobrażony na serwisie.

Obraz życia publicznego dawnej Polski nie wypadł zbyt dodatnio; korzystniej przedstawia się obyczaj domowy, chociaż i tu stosunek Jacka do Horeszki jest rysem ujemnym.

W „Panu Tadeuszu“ mamy dwie grupy towarzyskie: szlachtę zamożną w Soplicowie i biedną w zaścianku. A teraz charakterystyka jednej i drugiej. Widzimy przymioty i wady tej szlachty: towarzyskość, gościnność, grzeczność bez etykiety, życzliwość, przyjaźń a nawet poufałość w stosunkach zależności, brak dystynkcyi, chociaż nie brak kultury, popędliwości i t. d.

Drobna zaściankowa szlachta czuje cześć dla wielkich rodów, a zazdrości mniejszym, które się nad nią wzbiły, uznaje jednak zalety innych, czci wiek i rozum, a szczególnie wojenne zasługi. Szlachta ta zbliżona do ludu uważa się jednak za nieskończenie wyższą od niego.

Stosunki rodzinne uwzględniono w poemacie bardzo mało; mamy tu kilka rysów władzy ojcowskiej w stosunku Sędziego do Tadeusza, Horeszki do córki. Za to mamy szczegółowo opowiedziane zajęcia gospodarskie, śniadania, obiady, wieczerze, rozrywki i zabawy, rozmowy i pogadanki, obracające się najczęściej około przeszłości. To wszystko odnosi się do życia staropolskiego, nie zapomniał jednak Mickiewicz przedstawić nam nowoczesnej kultury ze stanowiska staroszlacheckiego.

Rozdział „Typy i charaktery“ nie przynosi nic nowego po pracach poprzedników pana Gostomskiego. Obok uwag bardzo trafnych, spotykamy się tu jednak z ogólnikami. W rozdziale piątym ogranicza się autor do „wyjaśnienia stosunku poety do przyrody, oraz właściwego mu sposobu odtwarzania rozlicznych jej objawów“.

Stosunek Mickiewicza do przyrody cechuje prostota a „zarazem głęboka i wszechstronna prawda w odczuciu różnych jej zjawisk“. Wobec tego, że p. Witkiewicz w znanej książce: „Sztuka i krytyka u nas“ (Mickiewicz jako kolorysta), powiedział w krótkości a bardzo dobrze wszystko, co się da o tej rzeczy powiedzieć, zadanie p. Gostomskiego ograniczyło się do szerszego uzasadnienia uwag p. Witkiewicza, do szczegółowego podzielenia materyału na pewne grupy. Trochę jednak za wiele gawędzenia w tym ustępie, tu i ówdzie odbiega p. Gostomski od właściwego przedmiotu.

Po poznaniu przedmiotowej osnowy poematu przechodzi autor do podmiotowej. Podmiotowość poety „streszcza się głównie w uczuciach miłości i tęsknoty do rodzinnego kraju“, które jednak nie zaszkodziły bezstronności opisu i jest ona doskonale dostrojona do przedmiotowej treści poematu. Podmiotowość tę cechuje ogromna prostota: objawia się ona w lirycznej apostrofie do Litwy na początku epopei, w pragnieniu spokojnego ziemiańskiego życia na Litwie (ks. I.), w przemowie do drzew litewskich (ks. IV.), we wspomnieniach z r. 1812 (ks. XI.). We wzmiankowanych ustępach występuje Mickiewicz osobiście, są wszakże miejsca w poemacie, gdzie podmiotowość jest głębiej ukryta, gdzie „liryzm ściśle się wiąże z epicką osnową“. Tu należy opis politycznego stanu Litwy w księdze I., pochód Napoleona, koncert nad koncertami, i kilka drobniejszych.

Podmiotowość da się zauważyć nietylko w ustępach lirycznych, ale także w tonie humorystycznym, który głównie przyczynił się do stworzenia realnego obrazu życia i obyczajów szlachty. Humor ten jest staroszlachecki, bez satyrycznego oburzenia, niechęci, wstrętu, zaprawiony tu i ówdzie, chociaż rzadko, pewną tęsknotą, smutkiem, jest to humor „epiczny, nie liryczny“. W dalszym ciągu pokazuje p. Gostomski, jak i gdzie, na jakich osobach, w których scenach i zdarzeniach ten humor się objawia.

Początek rozdziału VII., traktującego o stylu, zbyt ogólnikowy. „Styl Mickiewicza, to zwyczajna nasza mowa, podniesiona do ideału poetyckiego mocą, pięknością i plastyką wyrażeń“. Źródłem stylu — gawędy staropolskie, a odznacza się on rozmaitością odcieni, wynikającą z różnolitości przedmiotu i usposobienia poety. A więc mamy naprzód ustępy o stylu czysto epickim, przypominającym bardzo żywo Homera. Mamy w nim prawdziwą kopalnię przecudownych przenośni i porównań poetyckich, spotykanych głównie w obrazach przyrody. O liryce mówił autor w poprzednim rozdziale — w tym, po epickim, zajmuje się stylem dyalogów, odznaczającym się rozmaitością tonu i nastroju. Każda z osób mówi właściwym sobie językiem, naturalnie wbrew tradycyi klasycznej, gdyż w epopeach wszyscy jednakowym stylem przemawiają. Skutkiem tej odrębności stylowej nabierają figury „Pana Tadeusza“ zacięcia dramatycznego, najwięcej posiada go Jacek.

Obok dyalogu dramatycznego mamy i epicki, przeważa jednak pierwszy.

W rozdziale VIII. twierdzi p. Gostomski bardzo rozumnie, że czy nazwiemy „Pana Tadeusza“ epopeą, czy nie, to to nie wpłynie

zupełnie na sąd o wartości poematu, i ostatecznie przyznaje mu miano epopei narodowej, na co się zupełnie piszemy. Nie jest naturalnie „Pan Tadeusz“ eposem klasycznym.

W dalszych uwagach powtarza się p. Gostomski, odpowiadając na pytanie: „dlaczego tylko poezya polska zdobyła się na utwór tego rodzaju?“ Wpływ epopei omawianej ogranicza się prawie wyłącznie do literatury polskiej, raz z powodu trudności dobrego jej oddania w obcym języku, dalej z powodu małej za granicą znajomości naszych zwyczajów, obyczajów, przeszłości. W kraju wywołał „Pan Tadeusz“: Pamiątki Soplicy, gawędy Morawskiego, Pola, Syrokomli wierszem, Kaczkowskiego, Chodźki i innych prozą.

Przebiegając w myśli jeszcze raz to wszystko, co p. Gostomski w dziele swojem pomieścił, zauważyć musimy, że nie przyniosło nam ono wiele nowego i oryginalnego. To, co on powiedział, powiedzieli już inni; zasługa jego w tem, że naprzód zebrał to, co było rozproszone, że spoił w porządną, piękną całość, dozwalającą łatwo przeglądnąć, myśli rozrzucone w pojedyńczych pracach; że nieraz lepiej i jaśniej powiedział to, co drudzy napomknęli tylko: następnie, że rzecz znaną oświetlił z odmiennego, dotychczas przez nikogo nie zajętego punktu i tym sposobem przyczynił się do poznania lepszego tych stron poematu, które przy oświetleniu innem ginęły w cieniu. Książka ta, opracowana systematycznie, jasno i ściśle, ostatniego słowa o „Panu Tadeuszu“ nie wyrzekła, ale w istocie jest bardzo dobrą; że nie jest doskonałą, przeszkadza temu po pierwsze ciasne stanowisko, które autor zajął jako krytyk, — nie pozostaje to w sprzeczności z wyżej powiedzianem — po drugie brak polotu, konieczny przy ocenie dzieł genialnych.

Dr. A. M. Kurpiel.

Samotność. Krajobrazy i opowiadania. Przez *F. Hösicka*. Kraków. Gebethner i Sp. 1895.

Najmłodsza generacya naszych beletrystów zazwyczaj przygotowywa się do przyszłego zawodu przez... nowele i nowelki. Łamy różnych „Przeglądów“, „Kuryerów“, „Dzienników“ i „Tygodników“ są dla tych autorów areną, na której się ćwiczą i zaprawiają do swego zawodu. Gdyby te pierwsze próbki pióra, te pierwsze loty młodocianej wyobraźni pozostały w swych pierwotnych ramach, nie mielibyśmy nic do zarzucenia. Lecz co się dzieje? Oto młody autor, dążący do sławy, zwykle po kilku latach takich kuryerkowych zapasów, zbiera płody

swej imaginacyi w jeden tom, ozdabia w piękne a ponętne napisy i hasła... i puszcza w świat, by potomność nie potrzebowała się trudzić zbieraniem tych drogocennych pereł.

W ten sam sposób powstała „Samotność“ p. Hösicka. Autor młody, rzutki, śmiały a czynny, zebrał w tym tomiku luźne „krajobrazy i opowiadania“, jużto drukowane w ostatnich latach, między 1889—1894 r., w różnych czasopismach, jużto niektóre nowe, co dotąd spoczywały w tece, i stawił się po raz pierwszy przed publicznością zbiorowo, że tak powiem, dając się jej poznać z całą swoją duszą. Wybaczyć nam musi, gdy zapytamy, kim jest — jak się przedstawia ten nowy pracownik na niwie polskiej beletrystyki?

Pan Hösick, zdaje nam się, nabył głównie rozgłosu przez swe literacko-fantastyczne studya nad stosunkiem Z. Krasińskiego, a następnie Julka Słowackiego do p. Bobrowej-Piotrowickiej. Z dziwną lubością podnosił tu autor zasłonę, by publiczności wskazać skandaliczną kronikę dwu koryfeuszów poezyi romantycznej, odzierając ich bez litości z uroku idealizmu, bez względu na osoby nieraz blizkie zmarłej lub samymże poetom.

Studya te nazwaliśmy wyżej fantastycznemi. Dlaczego? Bo autor nie na wszystko, co twierdził, miał dowody niezbite: często śmiała hipoteza zastępuje u niego argument. To też, choć studyom takim nie mielibyśmy wiele do zarzucenia, gdyby je pomieszczano w jakiem czysto fachowem i umiejętnem piśmie, — z drugiej jednak strony uważamy je co najmniej za niedyskretne, skoro je spotykamy w ilustrowanych pismach salonowych.

Nie taimy się więc z tem, że przed przeczytaniem „Samotności“ czuliśmy do autora pewien... żal. Mimo to nową jego książkę, wydaną z rzadką u nas elegancyą, zaczęliśmy czytać z ciekawością i zajęciem. I w istocie wynieśliśmy to wrażenie, że pan H. posiada talent pisarski, gdyż umie rzecz przedstawić z wdziękiem, obudzić zajęcie, wywołać w duszy czytelnika te uczucia — zazwyczaj niestety! przygnębiające i ciężkie jak powietrze przed burzą — jakie chce; język, koloryt, barwy, światło i cienie ma na usługi i rozporządza niemi po większej części po mistrzowsku. Szczególnie uderza nas u autora jego niezmiernie subtelne, delikatne uczucie dla piękności przyrody — choć jest ono jednostronne, bo pan H. przedewszystkiem lubuje się w półcieniach, w świetle księżyca, w mrokach i mgłach nocy, jak (prosimy o przebaczenie za niepoetyczny wyraz) gacek... Barwy i światła, dźwięki i wszelkie szmery tajemnicze nocy są u autora oddane z taką prawdą

poetyczną, z tak łudzącą niemal rzeczywistością, że musimy mu przyznać w tym zakresie talent pejzażysty niezwykły.

Jeszcze jedna uwaga. Autor jest, zdaje nam się, ogromnym wielbicielem poezyj Julka Słowackiego i musiał się w niego nader pilnie wczytywać. Stąd język jego, sposób przedstawienia, obrazy, przenośnie pełne tych tęczowych barw, drgają pięknościami, które podbijają czytelnika i żądają od niego, by przyklasnął znakomitemu naśladowcy... Autor się z tem zresztą nie tai, bo często wprost cytuje zwroty ze Słowackiego.

Powyższe uwagi usprawiedliwiają i tłumaczą, dlaczego przy tym niewielkim zbiorku obrazków dłużej się zatrzymujemy.

Sformułowaliśmy nasz sąd o przymiotach nowego pisarza. Przejdźmy do zarzutów.

Pomimo niezaprzeczonych piękności, ogólne wrażenie, jakie się odnosi po uważnem przeczytaniu książki, jest przykre i nad wyraz bolesne. Czemu? Bo autor poza szałem miłosnym, poza ciemnemi stronami życia, poza jego mętami i brudami, prawie nie widzi czy widzieć nie chce rzeczywistości i prawdy, godnej przedstawienia. Niewierność kobiet, co gorsza, wiara jakaś dziwna w ich przewrotność, jest naczelną nutą, która aż do znużenia ustawicznie powraca. Szały i zachwyty miłosne, jak na złość, prawie zawsze do cudzych żon, stanowią główną treść tej dziwnej „Samotności“. Naturalnie Romeo i Julia i scena w ogrodzie Kapuletów, Dante i Francesca, sonety Petrarki lub sonata cis-moll Beethovena i inne tym podobne romantyczne reminiscencye uporczywie niemal co kilka stron się narzucają; autor rozmarzony pieszczotami, spojrzeniami i westchnieniami swych „czarnych dam“, kwili tylko i szczebioce — wprawdzie często wytwornie i z maestryą, wyzyskując sprytnie różne *libri amorum*, czy to poetyczne, czy powieściowe — ale ostatecznie aż do przesytu i nudy kwili tylko i grucha... albo lubieżnie, czasami cynicznie się szamoce (np. „Opętany“, „Jak w bajce“, „Preludium“). Jedyny chyba co do treści wyjątek stanowi szkic, zatytułowany: „Śmierć Juliusza de Goncourt“, gdzie miłość braterska Edmunda i Juliusza, dwu słynnych francuskich powieściopisarzy, przedstawiona jest w sposób niezmiernie sympatyczny. Jako studyum psychopatologiczne, szkic ten jest po prostu znakomity. Atoli i tutaj autor, wierny swej szkole, poszedł za daleko np. w anatomizowaniu choroby Juliusza i jego agonii, którą się stara z fotograficzną dokładnością przedstawić.

Dodajmy do tego pewną dozę uprzedzeń do duchowieństwa i obrzę-

dów religijnych (np. „Noc w Sewilli"), o których autor z przekąsem — według zużytej już i wyblakłej mody — lubi się wyrażać; dodajmy i to, że autor niemal się sadzi na długie, kolosalnie długie okresy, przyczem gdzieś tonie przejrzystość i jasność (np. str. 11 z góry, 32 z dołu i t. d.), i że wkońcu gdzieniegdzie zdaje się zapominać o poprawności języka (np. „nadczuły" w znaczeniu „zbyt czuły"; „rozumieć pod czemś coś", a przecież my rozumiemy przez coś; „zapoznawać", zamiast „zapominać"; zwrot jak: „czy aby Bóg wysłucha ich próśb" [p. 107]; „zwątpiwszy..., nie dziw, że mu się w końcu i rola męża nie bardzo uśmiechać zaczęła" [p. 109]; „nic smutniejszego aniżeli te dwa akordy" [p. 119] i t. p.), — a zarzutów naszych głównych i ważniejszych listę zamkniemy.

Wyczerpawszy zarzuty, pytamy autora z żalem, czemu straszny pesymizm usiłuje sączyć w żyły społeczeństwa? Czemu szerzy niewiarę w cnotę kobiety i przez to podkopuje czystość domowego ogniska — dla nas Polaków tak niesłychanie konieczną? Po co życie przyobleka tylko kirem żałoby, opętania lub lubieżności, pozbawiając go uroku i wdzięku, jakiego niezaprzeczenie mu udziela i udzielić może szlachetne spełnianie obowiązków?

Pan Hösick, jeśli się nie mylimy, chciał nam przedstawić galeryę, złożoną z dzisiejszych sybarytów estetycznych, którzy, zmroziwszy w swej duszy wszelkie inne wyższe pierwiastki, pałają tylko jeszcze żądzą używania; lecz że już i zmysły stępili, potrzebują podniet niezwykłych, i dlatego wyznają jakiś zapamiętały kult piękna, kult sztuki w życiu i użyciu, ale to piękno oddzielili od dobra i prawdy — jak owi uczestnicy w „Uczcie Trymalchiona" u Petroniusza. Z jednej strony widzisz u nich żądzę przypięcia sobie skrzydeł, by lecieć w błękity; z drugiej atoli pasyę do nurzania się w błocie.

Gwiazda wschodząca prosiła raz — w bajce Goreckiego — gwiazdy zachodzącej, by ją zechciała nauczyć, jak ma świecić? Na co taką otrzymała odpowiedź:

— Nie ja zapalam niebieskie pochodnie — ale jeżeli chcesz mej rady, to posłuchaj: „Świeć cnotom, zostaw w cieniach zbrodnie".

Modyfikując morał bajki, powiedzielibyśmy p. Hösickowi: „Światła w twej duszy wiele, barw wiele, złotej przędzy wiele — roztaczaj twe tęcze nie nad samem błotem: zwróć się też czasem ku słońcu".

Romuald Koppens.

Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach. *N. W. Berg.* Kraków 1894.

Do opracowania historyi naszych powstań w 1831 i 1863 roku przybyło nowe źródło, tem ciekawsze, że pisane przez Rosyanina.

Z pewną złośliwą ciekawością a zarazem obawą i rozdrażnieniem, nawet z pewnem dość naturalnem podejrzeniem, bierze się do ręki te „Pamiętniki“ Rosyanina „o polskich spiskach i powstaniach“.

Czy on potrafi spokojnie i bezstronnie osądzić nasze działania, zachować takt i miarę w ocenie naszych błędów? Czy można się od — bądź co bądź — wroga spodziewać uszanowania cierpień narodu, niedoli, łez, krwi i ofiar naszych? Czyż lekceważąc nasze bole i nieszczęścia, rozbierając je na zimno i złośliwie może, nie zrani nas boleśnie i nie rozjątrzy niezagojonych ran naszych?

Oto pytania, jakie sam tytuł dzieła wywołuje. Trzeba być przygotowanym, że czasem twierdząco na nie odpowiedzieć sobie wypadnie. Nie możemy od autora żądać tej ścisłej bezstronności. Nie trudno przypuszczać, że na ten zwłaszcza okres historyi naszej autor nie z polskiego punktu widzenia patrzeć się będzie.

W siedmiu rozdziałach zamknął autor swe „Pamiętniki“. Opowiada naprzód o powstańczej propagandzie w kraju i za granicą; działalność Zaliwskiego kreśli dość wiernie; — następnie mówi o rozruchach, począwszy od r. 1846 do r. 1849. Z wielkiem nieukontentowaniem przedstawia nam działalność i całą osobistość księcia Gorczakowa i pierwsze rozruchy w Warszawie, dalej pogrzeb pięciu ofiar. Wielopolskiego charakteryzuje trafnie, i powiedzielibyśmy — doskonale. Pod koniec kreśli nam autor wypadki aż do śmierci księcia Gorczakowa: wreszcie rządy hr. Lamberta i Gerstenzweiga, jakoteż ówczesne usposobienie Warszawy.

Na wiele twierdzeń i poglądów, tu i ówdzie rozrzuconych, zgodzić się nie możemy. Polemizować z niemi lub je tłumaczyć, wydaje nam się niepotrzebnem. Przyznać jednak trzeba, że autor nie powodował się nienawiścią w pisaniu tych „Pamiętników“; owszem, dość przedmiotowo i spokojnie, często nader trafnie, opowiada nam ówczesne wypadki. Gorzkie i przykre wypowiada nam nieraz prawdy — ale ponieważ prawdy, przeto uznać i przyjąć je musimy. Taką jest uwaga o Zaliwskim i jemu podobnych (str. 16 i 17). Słusznie wyrzuca nam autor, że nieraz to co rozsądne i umiarkowane, uchodzi u nas za zdradę ojczyzny, za potarganie obowiązków prawdziwego obywatela.

Albo te oskarżania wzajemne o tchórzostwo i zdradę, „do czego Polacy są niesłychanie skorzy — wnet mówią ‚zdrajca, zdrada!'“ (str. 34).

Warto czytać te „Pamiętniki“. *Audiatur et altera pars.*

Przyznać z tłumaczem musimy, że „dumą narodową wiedzeni, winę za niedolę i cierpienia, jakich doznajemy, skwapliwie składamy na ludzi u steru będących. Zamiast szukać źródła złego w stanie moralnym i materyalnym, w instytucyach i obyczajach kraju, istniejących w chwili, gdy go te klęski dotknęły, duma nasza nie dozwala nam widzieć właściwego jego źródła we własnych naszych błędach, w stałych i niezmiennych wadach naszych“.

Z „Pamiętników o polskich spiskach i powstaniach“ wiele skorzystać możemy — i powinniśmy.

K. N.

Apologia naukowa wiary chrześcijańskiej. *Ks. Duilhé de Saint-Projet.* Przekład z 3-go wyd. francuskiego, poprzedzony słowem wstępnem JE. ks. Michała Nowodworskiego, biskupa płockiego. Warszawa 1894 (Gebethner i Wolff).

Prawda jest zawsze niezmienna; fałsz, co nigdy nie przestaje przeciwko prawdzie podnosić głowy i pięści, przyjmuje najrozmaitsze postacie, stąd do jego zwalczenia różnej potrzeba broni. Z ogromnego postępu nauki w naszych czasach korzysta wielu, by ukuć nową broń zaczepną przeciw wierze chrześcijańskiej, i w błąd a matnie wprowadzić tysiące łatwowiernych. Na ataki tego rodzaju skutecznie odpowiedzieć nie można, jeśli się nie zna zdobyczy tegoczesnej nauki, jeśli się nie umie odróżnić prawd udowodnionych od hipotez mniej więcej dowolnych, czasem z gruntu fałszywych i na to tylko postawionych, by uwieść tych, co jeszcze Boga w sercu mają. Dlatego bardzo wielką przysługę wyświadczył prawdzie ks. Duilhé, zestawiając w swojej Apologii naukę nowoczesną z wiekową wiarą, i wykazując, że nauka w niczem się nie sprzeciwia wierze. Apologia ta, jak z natury rzeczy wypływa, różni się od zwykłych apologij treścią i metodą. Autor poświęcił też prawie czwartą część książki metodologii, w której usprawiedliwia swój sposób gromienia fałszu, i wykazuje, że apologeci chrześcijańscy winni dzisiaj innej trzymać się taktyki niż ich poprzednicy w wiekach ubiegłych. Apologię samą rozdzielił na trzy części: kosmologię, biologię, antropologię. Przed każdym rozdziałem autor podaje treściwie naukę Kościoła, w którą każdy wierzyć musi pod utratą zbawienia, nie wdając się w szczegółowsze nauki, które w Ko-

ściele mają mniejszą lub większą powagę, ale bądź co bądź dogmatami nie są. W tym względzie odznacza się autor wielką precyzyą, i już dla tego samego książka ta może być dla wielu chrześcijan nadzwyczaj pożyteczną, bo im pokaże jaką jest nauka Kościoła w kwestyach najbardziej w naszych czasach atakowanych, uwolni ich od pewnej ciasnoty, która często się pojawia lecz zazwyczaj z niezuajomości rzeczy pochodzi. Równolegle z nauką Kościoła przedstawione są pewniki nauki, następnie hipotezy naukowe niezupełnie jeszcze stwierdzone, wreszcie hipotezy całkiem fałszywe, popierane przez uczonych panteistów i materyalistów. Autor opiera się zawsze na pracach najznakomitszych uczonych, z wielką sumiennością i erudycyą cytuje ich zdania, często długie ustępy dosłownie przytacza, i tak wykazuje najdobitniej, jak wszystkie hipotezy wierze przeciwne i w nauce nowoczesnej punktu oparcia nie znajdują, lecz co więcej wręcz się jej sprzeciwiają. Szkoda tylko, że autor w zbijaniu metafizycznem fałszywych teoryj wychodzi z pewników, na które nie godzą się nawet wszystkie szkoły filozoficzne katolickie, wskutek czego prawie wszystkie dowody metafizyczne autora mają tylko względną siłę, a przeciwników najprawdopodobniej nie przekonają. Tłumaczenie wogóle jest dobre, niekiedy tylko uderzają niepotrzebnie żywcem wzięte słowa z obcych języków.

W. L.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Roma ed il governo. *Conte Edoardo Soderini.* Roma. Tipografia di Enrico Filiriani. 1894.

Za rok upłynie już dwadzieścia pięć lat od zaboru Rzymu. Jak wypadła dla Miasta Wiecznego ćwierćwiekowa gospodarka nowych onego rządców, objaśnia nas dziś w wyczerpującej rozprawie znany a nam przychylny publicysta włoski, hrabia Edward Soderini. Zaprawiony w rzemiośle pióra pod kierunkiem kardynała Czackiego, stosunkami rodzinnemi zbliżony do Polski, żywy on bierze udział i w naszych sprawach, a nieraz już zasilał polskie czasopisma cennemi informacyami. Ostatnia jego praca, której tytuł wypisaliśmy powyżej, ze wszech miar zasługuje na bliższe poznanie.

Przedewszystkiem autor cofa się wstecz, aby wskazać co właściwie pchnęło twórców jedności Włoch do zaboru Rzymu i przeniesienia tamże stolicy państwa. Nie ulega wątpliwości, iż głównie do tego parł

Mazzini, w złudnem mniemaniu, iż od razu zada cios śmiertelny papiestwu i zniweczy religię katolicką. Do jakiego stopnia Cavour i Wiktor Emanuel podzielali jego zapatrywania i bezbożne kierunki, trudno dziś jeszcze ocenić jak przynależy. Tyle pewnego, że rewolucyoniści włoscy nietylko się grubo pomylili w przypuszczeniu, iż za jednym zamachem dokonają dzieła zagłady, roztrącającej się od dwudziestu wieków o skałę Piotrową, lecz jeszcze zbłądzili mniemając, iż Rzym da się przekształcić i odmienić z gruntu na podobieństwo Florencyi lub Neapolu, co więcej, że stolica zjednoczonych Włoch zachowa dawny urok i przewagę, pozostanie świata królową i głową, choćby przestała być środkiem życia katolickiego i ogniskiem najwyższej władzy duchownej. Mazzini był przekonany, że byle rozdzielić papiestwo od nieśmiertelnej Romy, wnet runie Kościół i Piotrowe zniknie następstwo. Powolne w ręku rewolucyi narzędzie, król Wiktor Emanuel podobno sam nie zmierzył całej doniosłości kroku, do jakiego został popchniętym. Wiara ojców tkwiła na dnie jego sumienia, zbyt słaba aby się przejawić oporem i wolą, dość silna aby go przez całe niepokoić życie. Wszakże oznajmiając Piusowi IX. nieuniknione zajęcie Rzymu, jeszcze swój list podpisywał i kończył „z przywiązaniem syna, z wiarą katolika". Posypały się gradem zapewnienia i zobowiązania, obietnice i gwarancye, ubezpieczające dalszą swobodę i niezależność papieża. Wszelkich użyto środków, aby na razie uciszyć niepokój świata katolickiego i wmówić w wiernych, że Ojciec św. znajdzie wszelką opiekę i poparcie, nietylko w ludzie włoskim, lecz i ze strony rządu nowego królestwa.

Złudzeń nie było, a w każdym razie rozczarowanie nastąpiło od razu. Zaledwie bowiem zaborcy wtargnęli do Miasta Wiecznego, aliści strąceniem krzyża z Kapitolu postawili niejako program dalszego działania. Główne onego momenta i czyny przypomina pokrótce hr. Soderini, od pierwszych kroków i prób odchrześcijanienia stolicy i prawodawstwa, aż do zamachu na Propagandę i powtarzających się nieustannie gwałtów, pokrewnych duchem i zastosowaniem uciskowi Kościoła w Rosyi. Niepodobna tu wyliczyć wszystkich piętrzących się krzywd, których odgłos z kolei w codziennej dochodził nas prasie. Hr. Soderini przypomina, iż w samym Rzymie zamknięto już do stu kościołów, zniesiono 132 stowarzyszeń zakonnych, podczas gdy jednaka ustawa w całych Włoszech uderzała w 2382 domów klasztornych, rozpraszając blizko 30.000 zakonników. Z zagarniętych dóbr i własności poklasztornych, rząd wypłaca pojedyńczym członkom skasowanych zgromadzeń

śmiesznie nizkie pensye dożywotnie, po 228 lub 462 lirów rocznie, co chyba od głodowej nie ubezpieczyłoby śmierci.

Z osobnym bólem autor wspomina zamach na starorzymską wszechnicę, na przesławne kolegium Sapiency, której profesorowie, uchylając się od niezgodnej z ich honorem a narzuconej im nowej przysięgi, zmuszeni byli ustąpić, zaczem w miejsce mistrzów takich jak Rossi, Alibrandi, Visconti, Ruggeri, weszli ludzie nieznani, zalecający się jedynie nowemu rządowi śmiałością bezbożności, nie zaś nauką i powagą wiedzy.

Przypomniawszy, iż nie dano nawet szczątkom Piusa IX. dostać się spokojnie na miejsce wiecznego spoczynku, autor ukazuje rozpasanie prasy i słowa, podżegające ustawicznie przeciw religii i papiestwu, szereg obelg ciskanych przez zwycięską masoneryę, zamykając rzecz rozgospodarowaniem się jej w pałacu Borghese, niegdyś przystani tylu chwalebnych a ściśle rzymskich i papieskich pamiątek. A wracając do zakreślonego sobie wyłączniej przedmiotu, do stosunków samegoż miasta wobec nowego rządu, kreśli nam ponury obraz tego przekształcania stolicy, które wywołało okrzyk oburzenia i zgrozy ze strony samychże innowierców, upominających się, nie już o uszanowanie świętych pamiątek, lecz o zachowanie cennych pomników przeszłości i historycznego uroku Wiecznego Miasta. Nowy rząd postanowił, ile się da, zatrzeć dawny charakter Rzymu, a przynajmniej osłabić wiekopomne ślady blizko dwudziestowiekowego panowania papieży. Zabrano się tedy do dzieła niszczenia i przebudowywania, aby sobie zgotować stolicę nową, na obraz i podobieństwo swoje. Lepiej byłoby wypadło gdzie z boku rozbudować osobną dzielnicę, zamiast się targać na odwieczne i nieśmiertelne zabytki. Tymczasem postąpiono sobie inaczej, z nieobliczalną szkodą miasta i skarbu. Potrójne bowiem płacić trzeba było koszta, aby przeprowadzić dzieła wandalizmu: przyszło płacić z kolei i wykup przeznaczonych na zagładę gmachów, i ludzi do ich rozwalenia użytych, i nowe budowy na gruzach wzniesione. Jakie to są budowy, jak skłócone z pierwszemi prawidłami wygody i smaku, harmonii i higieny, wiedzą ci tylko, co z blizka się przypatrzyli nowopowstałym ulicom starego Rzymu. Wśród tej gorączki przekształcania, skoczyły w cenie grunta, rozwinął się istny szał spekulacyi, powstały jak grzyby po deszczu banki, zajęte tylko dostarczaniem hipotecznych pożyczek. Rząd tymczasem zachęcał porwanych nowym prądem, powtarzając, iż nigdy dość nie starczy mieszkań dla przypływu ludności ku stolicy, rozwijającej się niby jednocześnie w ogni-

sko przemysłu i handlu. Na razie, istotnie znaczył się niebywały przyrost ludności, opuszczającej rolne zajęcia, aby gonić za widmem łatwego zarobku. Powstawały nawet przedsiębiorstwa, o krótkiem i zawodnem istnieniu, które nie dały chleba, a dostarczyły tylko krwawych zawodów i nędzy. Rząd, chcąc od razu nadać zjednoczonym Włochom znaczenie i powagę wielkiego państwa, nie obliczył się ze środkami kraju, jął zabawiać się w politykę kolonialną, w militaryzm i zbrojenie się bez miary, zaczem już tylko dwie pozostały drogi: zwiększenia do ostateczności długu publicznego, i obciążenia bez miary podatkami ludności kraju. Szybko rozwiała się *fata morgana* złudnego dobrobytu, a wystąpiła w całej grozie ponura rzeczywistość. Jęły się mnożyć ruiny, sprzedaże konieczne, bankructwa. Marność przebudowania miasta stwierdziła się statystycznym wykazem, podług którego już w r. 1891 na 361.985 mieszkań było ich 88.926 stojących pustkami! Skądinąd przekonano się niebawem, iż w chwili ogólnego dziś w świecie przełomu agraryjnego, niema rolnictwa większemi obciążonego podatkami nad włoskie! Nieraz skarb zagarnia do 60 procent istotnego dochodu gospodarzy. Stosunkowo opodatkowanie Italii o sto milionów rocznie przewyższa stopę poborczą najbardziej obciążonych krajów Europy!

Tylokrotnie pomawiane o złą finansowość rządy papieskie, tryumfujących dziś dostarczają cyfr wobec opłakanych bilansów rządu włoskiego i municypalności rzymskiej. Sam podatek gminny dziś o 75 lirów przerasta taksę z r. 1870. Podatki rządowe się podwoiły tak, iż dziś każdy mieszkaniec Rzymu obciążony jest opłatą przeszło 221 lirów na głowę, nie wliczając w to taksy familijnej, podnoszącej nieraz do fantastycznych rozmiarów ciężary podatkowe.

Bilans państwa włoskiego, który w r. 1863 wynosił 600.000 milionów, dziś skoczył na dwa miliardy. Dług zaś włoski z trzech miliardów i 240 milionów w r. 1862, urósł w r. 1893 do 14 miliardów i 50 milionów. Rodzina rzemieślnicza, zamieszkała we Florencyi a posiadająca dochodu i zarobku około 2380 lirów rocznie, opłaca na różne taksy i podatki do 565 lirów czyli blizko 24 procent, kiedy tymczasem znajdująca się w tych samych stosunkach rodzina angielska opłacałaby co najwyżej $4^1/_2$ procent. Autor przedstawia położenie rzemieślników we Florencyi raczej aniżeli w Rzymie, gdzie rzecz przedstawia się stokroć gorzej jeszcze, a skarb po prostu wyciska pot i krew nad możność opodatkowanych ofiar.

W dalszym toku swej zajmującej broszury autor wskazuje, iż

wyłącznie zająwszy się walką z Kościołem i papiestwem, rząd jak najgorszą prowadzi politykę wewnętrzną. Przekupstwo wyborcze podkopało w zasadzie parlamentaryzm. Odtąd bowiem najczęściej bywają wybierani najmniej zdolni i najmniej warci z kandydatów do poselstwa. Zrozpaczeni wyzyskiwaniem fiskalnem włościanie, hurmem się wynoszą z pięknej swej ojczyzny, acz nie brak ziemi domagającej się kolonistów w samejże Italii, opustoszałej nadmierną do Ameryki emigracyą. Całą siłę zużywszy w marnem ucieraniu się o niezłomną skałę Piotrową, rząd już nie ma energii do powstrzymania zgubnych prądów, przejawiających się raz po raz w kraju. Niestałość w wychowaniu publicznem niemało się też przyczynia do ogólnego rozstroju. Każdy minister do góry nogami chce przewracać system swego poprzednika, zmienia programy, podręczniki, przedmioty studyów. Ten wytrąca humaniora, tamten ukróca studya włoskiej literatury; jeden przychylnym się okazuje, drugi przeciwnym wykładowi logiki, przedewszystkiem zaś szkoła przestała być nietykalną nauki przystanią, a musi się zamienić w arenę politycznych sporów, gdzie się tylko urządzają demonstracye polityczne, kosztem tej młodzieży włoskiej, niegdyś słynącej z zamiłowania do nauki. Niebezpieczna ta igraszka, posługująca się studentami, ilekroć chodzi o zarządzenie ulicznej manifestacyi, cudem chyba dotąd nie pogrążyła całej młodzieży w otchłań gorączki rewolucyjnej.

Co najdziwniejsza: ten sam rząd, który się najuporczywiej domagał zaboru Rzymu i marzył o *Roma capitale* — nie może jakoś wytrzymać w murach sztucznie obwołanej stolicy. Za pierwszą sposobnością, zaledwie wiosna cieplejszym uderzy powiewem, wyjeżdżają stąd pospiesznie ministrowie, zabierają się wyżsi urzędnicy, ucieka dwór królewski, zaczem w Rzymie nie pozostaje jak tylko papież, kardynałowie — i Rzymianie.

Oczywiście zły posiew wydaje i owoce złego. Hrabia Soderini straszne zaiste przytacza cyfry. Liczba zbrodni podskoczyła z 305.063 w r. 1883, do 445.538 w 1891 r. Ruch więzienny w r. 1890—91 wykazuje 252.923 skazańców. W roku 1892 stwierdzono we Włoszech 1710 samobójstw, 77.809 nieprawych narodzin; nareszcie domy obłąkanych, które w r. 1862 zawierały 11.000 waryatów, w trzydzieści lat później liczyły ich już 23.551. Zewsząd też słychać o rozbojach i zbudzeniu się brygantyzmu, prawie ogólnie już wytępionego. Jednem słowem, wszędzie widnieje rozstrój, grożą przełomy wewnętrzne i zewnętrzne, chmurzy się na widnokresie politycznym, ujawnia fatalna domowa gospodarka — a wszystko to wypływa z jednego pierworo-

dnego grzechu, z pomyłki, która nad losami Włoch zgubnie zaciężyła: Z dniem, w którym papieżowi Rzym odebrano, przewidzieć można było następstwa dokonanego zaboru: „Walka religijna, zniesienie zakonnych korporacyj, szkoła bezwyznaniowa i bezbożna, wytworzyły ludność pozbawioną w części wiary, a Ojciec św. nie ma dziś dość rąk i swobody, aby stłumione uczucia religijne w sercach rozdmuchać. Rząd samochcąc wypłenił wszelkie poszanowanie władzy, ściągnął pogardę na wszystkie krajowe instytucye, wszystko podał w wątpliwość, nawet użyteczność życia osobników. Dziś też nikt nie przewiduje, co jutro przyniesie, i z trwogą owego jutra wyglądają. Jednem słowem, wszędzie widnieje przełom rolniczy, przełom finansowy, przełom bankowy, przełom budowlany. Nigdzie nic ustalonego lub ubezpieczonego. Wszędzie rozbój, rabunek i kradzież". Oto obraz ponury, jakim hr. Soderini zamyka swe poglądy na obecny stan rzeczy we Włoszech. Alboż zwątpić o przyszłości tej wybranej piękna ojczyzny? Uchowaj Boże. „Samże fakt, że Papież, mimo tak opłakanego położenia, między nami pozostał mężnie, już jest rękojmią zbawienia i ratunku. Pamiętać wszelako należy, iż te tylko narody uzdrowione być mogą, które zdrowia chcą i pragną szczerze". Zaczem wypadałoby od korzenia naprawić obecny system rządzenia, a następnie przyłożyć rękę do założenia chrześcijańskiego państwa i rządu, coby udarzył lud wolnością a nie swawolą, owszem, walczył z dzisiejszem ogólnem rozpasaniem słowa, druku, teatru, zebrań, prasy i t. d.; natomiast usiłował zabezpieczyć wolność prawdziwą stowarzyszenia, nauczania i t. p.

Tu autor występuje z postulatami, które bodaj nie w samej Italii powinnyby stać się hasłem rządów i rządzących. Przypomina, że bogactwo Włoch jest przedewszystkiem rolne, zaklina aby nie wystawiano kraju na utratę równowagi zbyt spiesznem doganianiem innych mocarstw, wskazuje iż pozostaje jeszcze w italskim półwyspie dwa miliony hektarów ziemi nieuprawnej, błaga aby na razie przerwać wszelkie mniej konieczne roboty publiczne, radzi skasować nadmierne uniwersytety, ograniczyć liczbę szkół, znieść mnóstwo biur i urzędów niepotrzebnych, przetrzebić szeregi biurokracyi, rozmnożyć zastępy rękodzielników. Ale by do jakiejkolwiek przystąpić reformy, należy wprzódy się pojednać z Kościołem, usunąć główny powód rozstroju. Wszakże sam Cavour, zanim się dał unieść do ostatecznych kroków, mawiał, iż gdyby istotnie niepodległość Namiestnika Chrystusowego miała być naruszoną zaborem Rzymu, nie wahałby się głosić, iż zabór takowy równie dla Włoch jak dla katolicyzmu okazałby się zgubnym. Ćwierć-

wiekowe doświadczenie wykazało i naruszenie systematyczne owej niezależności, i zgubne stąd dla Italii następstwa. Jeżeli Papież upomina się stale o zwrócenie sobie dawnej własności i powagi, nie chodzi mu zaiste o doczesną wielkość i władzę, lecz tylko o zupełną niezawisłość, w inny sposób niedościgłą. „Dziś nie tyle Papież sam, ile raczej świat cały w interesie własnego bezpieczeństwa domaga się zwrotu Rzymu Namiestnikowi Chrystusowemu, który dając wyraz powszechnemu życzeniu, czyni to i z dobrze zrozumianej miłości ojczyzny własnej", nietylko z ogólno-ludzkich względów i kościelnego obowiązku. Na tem kończy hr. Soderini wielce zajmującą i pouczającą rozprawę, która w ciasnych ramach wymowne mieści zestawienia i szczegóły. — *Qui a mangé du Pape en meurt* — mawiał Veuillot jaskrawym swym językiem. Włochy dzisiejsze stwierdzają owo drastyczne orzeczenie, nie mogąc strawić dokonanego zaboru, i staczając się szybko ku anarchii, z której tylko Kościół zdolen chore ocalić społeczeństwo.

M.

Święty Jan Kapistran, zwycięzca Turków pod Białogrodem w r. 1456. Poemat *Eliasza Okrugicza*, opata klasztoru św. Dymitra w Sremie (Mitrowicach). W Nowym Sadzie 1893. (Sveti Ivan Kapistran, pobjeditelj Turakah kod Biograda godine 1456. Spjevao *Ilija Okrugić*, opat sv. Dimitra sriemskoga. U Novom Sadu 1893).

Wśród prawdziwej powodzi lirycznych utworów młodych chorwackich pieśniarzy, zalegających półki księgarskie, i pomimo uroczej nieraz formy, nużących pewną identycznością, oraz jednostronnością treści, mimowolnie przykuwa do siebie uwagę powyższy poemat epiczny, a raczej rapsod religijno-rycerski, skreślony przez poważnego i zasłużonego kapłana, Ojca Eliasza Okrugicza, opata zakonu św. Franciszka w Sremie (dzisiejszych Mitrowicach). Utwór ten przenosi czytelnika o pięć stuleci wstecz, do chwili pierwszych krwawych zapasów wyznawców Mahometa z południowymi Słowianami, uwydatniając trafnie charakterystyczne cechy obu stron walczących, z których jedna dąży naoślep, parta żądzą łupów, tryumfów i zdobyczy, druga zaś nadstawia piersi w obronie tego co najdroższe, to jest wiary, ojczyzny i domowego ogniska. Bohaterem tego rapsodu, jak to widzimy z tytułu, jest święty Jan Kapistran, który w dziejach południowej Słowiańszczyzny taką samą odegrał rolę, jaką Piotr z Amiens odgrywał niegdyś w krucyatach, a nasz Kordecki w pięknej i chwalebnej, chociaż smutnej historyi jasnogórskiego klasztoru. Inicyatywę do skreślenia swego

poematu wziął szanowny jego twórca ze wspaniałej uroczystości, obchodzonej w r. 1885 w Iloku, rodzinnem mieście św. Jana Kapistrana, w pięćsetletnią rocznicę urodzin tego Świętego. Z prawdziwem też namaszczeniem potrafił odtworzyć postać ukochanego Patrona swej ojczyzny, który wówczas, gdy losy całego chrześcijaństwa ważyły się na szali, umiał stać się rycerzem a nawet bohaterem, nie zapominając ani na chwilę o tem, że jest kapłanem i pasterzem dusz.

Nader majestatyczny i pełen grozy jest początek poematu:

I zadrżał świat!...
Od jęku rannych, od huku dział,
Od brzęku mieczów i świstu strzał,
Kiedy najezdców tureckich rój
Na lądzie, morzu, rozpoczął bój,
I siejąc wokół śmierć lub pożogę,
Po stosach trupów torował drogę,
Gdzie się wieżyca piętrzy wysoka,
By zatknąć na niej sztandar proroka...
I tak się stało!... Zadrżał świat cały,
Czując jak straszna czeka go dola,
Kiedy Mahomet silny, zuchwały,
Stał się już panem Konstantynopola,
Kiedy zawładnął pięknym tym grodem,
Co łączył niegdyś Zachód ze Wschodem,
I jak dyament w złotej oprawie
Dodawał blasku swych władców sławie![1]

[1] I zadrhta sviet!...
Od gromorne silnih topovah rùke,
Od nebroj vojnikah navrjelih bùke,
Što no, ko pakla upaljeni biesom
S kopna i mora dimiskijah kriesom,
Juriše napried, krčeć si puta,
Sieku i biju boja sred ljuta,
Po trupovih gaze, po potoci krvi,
Uz ranjenih vrišku, jurećih tisku,
Do bedema tko će doteći prvi?
Na nj se uzpeti, barjak zataći?
Ma tamo i smrt ga morala snaći,
Pak tako i bje!... Strašan bješe pad!
I zadrhta sviet, kad silan Mahomet,
Osvoji zlatan Carigrad...
U prstenu zlatnom sjajni taj alem.
Koji no Iztok Zapadom spaja...

W taki sposób poeta odtwarza w krótkim zarysie tak ważny przełom w dziejach całej Europy, jakim było zdobycie Konstantynopola przez Turków, które „od gór Bałkańskich aż do Tybru, nad Dunajem, Sawą, Drynem i Marycą bolesnem rozległo się echem". Lecz w chwili, gdy nienasycone jeszcze zdobyczą dzikie hordy Mahometa wtargnęły na ziemię serbską, gdy Ojciec Święty wzywał nadaremnie monarchów chrześcijańskich do wspólnej obrony przeciw wspólnemu wrogowi, kogóż — pyta poeta —

. . . . . kogo wybrał Bóg
Na obronę wiary i swych wiernych sług? [1]

I oto jakiemi słowy kreśli sylwetkę przyszłego bohatera:

Wątły to człowiek, tylko skóra, kości,
Gdyż ciągle czuwa, modli się i pości,
Lecz duchem silny, bo w szlachetnem łonie
Miłość ku Bogu i ku bliźnim płonie.
Więc nie dziw wcale, że na bladej twarzy,
W spojrzeniu bystrem jakiś blask się żarzy,
To miło, słodko, nakształt gwiazd promyka,
To groźnie, ostro, że głąb dusz przenika,
A z ust mu płyną słodkie jak miód słowa,
Co rany serca zbolałego koją,
Lub jak grom dźwięczy natchniona wymowa,
Wstrząsając dusze tą potęgą swoją...
Tym mężem świętym u bożego tronu
Był Jan Kapistran z Franciszka zakonu [2].

[1] . . . . . kog si odbra Bog
Za obranu svieta i častnog krsta svog?

[2] Suh to čoviečac, tek koža i kost
Kog izmoždi bdienje, molitva, post.
Al hrani i kriepi ga svetinje žar,
I spasenja ljudskog jedini mar...
Pak stog mu u očih taj čudnovat sjaj,
Sad divotan, mio, ko nebeski raj, —
Sad oštar i blistav, ko munjevni sjev,
Prodirući dušu, ko Božiji gniev.
Stog mu i rieči sad sladje neg med,
Taleć i blažeć najgorči jed.
A sada mu oštre gromorne kô grom,
I najtvrdjeg srdca potres i lom.
I taj muž sveti, svietu Bogom dan,
Reda svetog Franje bje: Ivan Kapistran!

Widząc, że Turcy, ośmieleni zwycięstwem, coraz dalej na ziemiach chrześcijańskich zapuszczają swe zagony, i że najazd fanatycznych Osmanlisów grozi przedewszystkiem jego ojczyźnie, wielki ten mąż Boży przebiega Włochy, Francyę, Niemcy, Czechy i Węgry, zachęcając królów i książąt, by połączonemi siłami wystąpili do walki przeciw najezdczym hordom. Niestety, na wszelkie jego prośby i błagania monarchowie europejscy odpowiadają świetnemi obietnicami, nie myśląc jednak wcale o ich spełnieniu. Wówczas Święty zwraca się do maluczkich, przedewszystkiem do ubogich ale dzielnych mieszkańców Chorwacyi i Slawonii:

Patrz mój ludu — wola — oto krzyż nasz święty,
Na którym Zbawiciel został twój rozpięty,
I jak brat rodzony rozpościera dłonie,
By na kochającem cię utulić łonie,
On to cię powiedzie wpośród trudów, znoju
Do chwalebnej walki, do świętego boju.
Bo wszak nie chcesz chyba wpaść w niewiernych szpony,
Wyrzec się Chrystusa, niebieskiej korony,
Albo zginąć marnie na domowym progu,
Lub się przeniewierzyć ojczyźnie i Bogu,
I być niewolnikiem obcego przychodnia?
Och, boby to była hańba, wstyd i zbrodnia!
A więc za mną ludu, na bój wielki, święty,
W obronie Chrystusa wiary przedsięwzięty.
Bóg sam pragnie sławy naszego oręża,
Bo pohańców zawsze jego krzyż zwycięża![1]

[1] Zato hajde rode! evo krsta svetâ!
I na njemu lika Spása tvog propetâ!
Razkrilio ruke, ko brat iskren, vrli,
Da te srdcu vijne, ljubi i zagrli,
Da te sobom vodi u boj za krst sveti,
Od nekrsta broni, koji već ti prieti...
Il nekrstu voleš zar u pandže pasti?
Odrikav se krsta i Kristove slasti?
Te ko kukavica zginut na tvom pragu,
Izdav svetu vjeru i domovinu dragu?
Il' nekrsta robom bit viek poput skota?
Oh! to je sramota! još veće grjehota!
Hajde samnom u boj, boj krstaški, sveti,
Pak ćemo se krstom nekrstu oprieti!
Bog i krst će dati, pak će dobro biti,
Nekrst ćemo krstom slavno pobieditи!...

Dokoła natchnionego mówcy, trzymającego w dłoni krucyfiks zamiast miecza i okrytego ubogą szatą zakonną, coraz liczniejsze skupiają się tłumy:

Naród go rozumie i uważnie słucha
I zawrzała krew w nim — dobył iskrę z ducha [1].

Wkrótce też pod dowództwem Jana Kapistrana staje około 6000 ochotników, na czele których nieustraszony zakonnik spieszy z odsieczą ku Białogrodowi, oblężonemu przez Muzułmanów. Napróżno komendant miejscowej załogi, Janko Sibinjanin, rozpaczliwy stawia im opór, malutka garstka jego żołnierzy lada dzień musi uledz przemocy. Lecz oto w chwili największego niebezpieczeństwa, gdy Turcy przypuszczają gwałtowny szturm do murów nieszczęśliwego miasta, oddział ochotników Jana Kapistrana zjawia się niespodzianie i przechyla szalę zwycięstwa na stronę chrześcijan. Na zabobonne umysły Turków nader silne wrażenie wywiera postać świętego sługi Boga w zakonnym stroju i z krzyżem w ręku, który zagrzewa swych junaków do walki z niewiernymi. Lecz posłuchajmy, jak sam poeta określa usposobienie padyszacha pod wrażeniem niespodzianej porażki:

Wśród namiotu siedzi sułtan młody,
Na węzgłowiu oparł smętnie skronie,
Pali fajkę, lecz nie gładzi brody,
A wzrok jego gdzieś w przestworzu tonie.
To się zmarszczy, to rozjaśni czoło,
Snać, że duma, ale niewesoło.

Nagle oczy przeciera jak we śnie:
— Czy to prawda, czy znikoma mara?
Spojrzał groźnie, zaśmiał się boleśnie
I z za pasa dobyć miecz się stara,
Bo tak blizko, że mógł ręką dostać,
Ujrzał czarną, nieruchomą postać.

Cień ten kształty posiada człowieka,
Nosi habit sznurem przepasany,
W lewej dłoni migoce z daleka
Blask pochodni, w prawej krzyż miedziany,
Do sułtana wciąż się widmo zbliża
I krawędzią go dotyka krzyża.

Skoczył sułtan jak od żądła osy,
Machnął szablą, lecz cień ciągle stoi,
Więc zaciekle swe powtarza ciosy,

[1] Narod ga razume, pozorno ga sluša
Uzavrie mu krvca, uzplamti mu duša.

Ale postać czarna się nie boi,
Wreszcie Turek krzyknął: „Czekaj *Fratre*,
Inną bronią ja na ciebie natrę!“

I porwawszy rusznicę ze ściany,
W pierś widziadła lufę jej wycelił,
Na głos strzału zbiegły się dworzany,
Widmo znikło. — Jam przypadkiem strzelił —
Mruknął sułtan, kryjąc wstyd na twarzy,
— Niech się o tem mówić nikt nie waży!

Skinął dłonią, rzucił okiem wszędy
I rzekł groźnie: — Jutro szturm o świcie,
Kto zaś moje chce pozyskać względy,
Niech mi schwyta tego *Fratra* skrycie,
Lecz mu włoska niech nie strąci z głowy,
Bo wnet pozna, jakim ja surowy.

Z pod namiotu wyszli wezyrowie,
By obwieścić wszystkim pana wolę:
Sułtan smutnie upadł na węzgłowie,
Czarna troska siadła mu na czole,
I utonął w myślach, co to było?
Czy to prawda, czy też mu się śniło?

Do północy sułtan niespokojny,
Nie mógł zmrużyć znużonego oka,
Tak go dręczy trwoga o los wojny,
A gdy zasnął — Klnę się na proroka! —
Mruczał we śnie, głaszcząc się po brodzie,
— Jutro moim będziesz Białogrodzie![1]

---

[1] U čadoru na kadif serdžadi
Sultan sjedi, pak se podnimio
Lulu pije, brade al ne gladi,
Kô u težke misli uronio;
Čas se trgne, čas se opet smiri,
Čim u nješto ukočeno gviri.

Sad si oči kano sanan tare,
Je l' istina, ili vid ga vara?
Opet gviri — oči mu se žare,
Te se laća za pasom handžara;
Jer na javi budnim okom gledi
Crnu sjenu u čadora sriedi.

Sjena ta se u čovjeka stvori,
Crne rize, užem pritegnute,
U levoj mu ruci baklja gori,
A u desnoj krst od mjedi žute;
Krstom prieti Caru, pak sve bliže,
Baklju, čador da zapali, diže.

Skoči sultan, brž' handžarom machnù,
Udri po njem, al on kô stup stoji,
Misli Sultan otupu je stranu,
Pak još jednom, — al' se taj ne boji, —
Sad tek car se sjeti: „Čekaj, *Fratre!*
Tebi treba iz kubure vatre!“

Pak tres u njeg — pucanj silno grunù,
Doletiše aga i veziri,
Na izdaju miśleć, il' na bunu, —
A car u njih uzplahiren gviri.
Nesta *Fratra* — car se stidom smeo,
Veli: Pištolj mi se odapeo...

Rukom mahnù, pak jim oštro veli:
Sutra zorom nek započne vatra;
A tko moju milost steći želi
Taj mi uhvati živa onog *Fratra*,
Ali nitko na nj diži cievi,
Jer će spoznat, kako car se gnievi.

Przytoczyliśmy w całości ustęp powyższy, ponieważ pozwala on powziąć dokładne pojęcie o charakterze i budowie całego poematu, składającego się *en gros* z 17 pieśni mniej lub więcej długich, *en détail* zaś z mnóstwa luźnych motywów po kilka w każdej pieśni. Wszystkie te ustępy, chociaż do jednej i tej samej nawiązane treści, różnią się nawzajem od siebie pod względem formy rytmicznej tak, że każdy z nich stanowi do pewnego stopnia malutką, zaokrągloną w sobie całość. Są to jakby różnobarwne kamyczki w jednolitą ułożone mozajkę, a w tej ich rozmaitości umysł czytelnika coraz to nowe znajduje dla siebie niespodzianki.

Lecz wróćmy do treści poematu, której wątek przerwaliśmy na chwilę, i rzućmy okiem na białogrodzką warownię, gdzie poeta następujący roztacza przed nami obraz:

Wpośród zwalisk święty Iwo wznosi ołtarz już o świcie,
I wciąż krząta się tam żywo, mieszcząc krzyż na jego szczycie,
A Piotr, wierny druh Świętego, niesie ornat już dla niego
I z kielichem inne sprzęty, których trzeba do Mszy świętej.
Dachem nowej tej świątyni czyste niebios jest sklepienie,
Miast kadzideł w górę płynie wciąż z pobożnych serc westchnienie,
Miłość Boga w każdem łonie stokroć piękniej od świec płonie,
A święconą wodą były łzy, co każdą twarz zrosiły [1].

W takiej świątyni i przy takim ołtarzu św. Jan Kapistran na parę godzin przed walką na śmierć lub życie odprawia Mszę świętą na intencyę dzielnych swych rycerzy, błagając rzewnie Boga:

By do serc ich wlawszy męstwo,
Dał im sławę i zwycięstwo.

A za slabu četu svoju,
I pobjedu u tom boju.

Oni odu ćudom začudjeni —
Zapovied se mahom raztelali —
A s'vidjenja cara utrudjeni
Na srdžadu loman se izvali;
Samo miśli, što je ono bilo —
Na snu l'mu se, il' na javi snilo?...

U toj borbi jedva o polnoći
Oći svede sanku prekidanom;
Kako li će svojom vojskom proći?
Hoće l'prispjet cilju ożeljanom?
U snu kliče: A tako mi brade!
Sutra moraš moj biť, Biograde!

[1] Tu na jednoj rozvalini, — žrtvenik si Ivo gradi,
Dočim njenoj na zidini, — znamen Spàsa križ usadi.
Petar, pako drug mu vrli, — s nuždnim stvarma k njemu hrli,
Noseć svežanj misnog ruha, — kalež, vina, ćista kruha.
Crkva sad Mu svod taj plavi — neba s bojom zore sjaja,
Kád tamjana na žeravi, — roj je čete uzdisaja', —
A srdca jim sad plamteća — ad ljubavi, mjesto svieća' —
Sveta voda, pokornice — suze, peruć njih krívice.

Modłom świątobliwego sługi bożego wtóruje hymn pobożny, śpiewany chórem przez całe grono klęczących dokoła wojowników:

O zmiłuj się, zmiłuj, Panie,
Zbawicielu nasz jedyny,
Usłysz dzieci swych wołanie,
Przebacz, odpuść nasze winy!

Pomiluj nas Gospodine —
Po velikoj Twoj milosti!
Izbriši nam sve krivine, —
Smiluj nam se! prosti! prosti!

Lecz oto śpiew milknie i najuroczystsza następuje chwila·

Święty Iwo kornie klęczy, wznosi kielich pod niebiosa,
A lud wierny głośno jęczy, chyląc głowę na kształt kłosa,
I przed Hostyą w pokorze bije czołem tłum ten cały,
Szepcząc z cicha: „Chcemy, Boże, żyć i umrzeć dla Twej chwały“ [1].

Tymczasem w obozie tureckim inny przedstawia się widok. Wśród prawdziwego lasu białych namiotów uwijają się żołdacy w czerwonych fezach, które, jak się wyraża poeta, „migocą zdala jak mak czerwony wpośród dojrzałego zboża“. Coraz też częściej rozlegają się strzały działowe, skierowane do murów warowni, wezyrowie zaś i agowie szykują janczarów, przeznaczonych na pierwszy ogień niedalekiej bitwy:

Cały Belgrad z przedmieściami od Dunaju aż do Sawy
Opasują we dwa skrzydła Turcy żądni krwi i sławy,
I na hasło swoich baszów, jak zgłodniałe jakie harty,
Oczekują niecierpliwie, by rozpocząć bój zażarty,
A w promieniach złotych słońca błyszczą tarcze, szable, łuki,
Nad głowami się kołyszą półksiężyce i buńczuki [2].

Wreszcie po całym obozie jak iskra elektryczna przebiega rozkaz padyszacha, aby wojsko ze wszech stron przypuściło szturm, dziś bowiem z woli Allaha gród musi się poddać, albo zniknąć z powierzchni ziemi. Ze swej strony chrześcijańskie rycerstwo zaczyna gotować się do walki, szykując się na murach oblężonego grodu. Ze szczytu wież białogrodzkich wszędzie jak okiem zasięgnąć widać groźnego nieprzyjaciela, lecz rycerze nie upadają na duchu, bo św. Jan Kapistran

[1] Sveti Ivo smierno kleca, — svetotajstva diže k nebu,
A sva četa glasno jeca, Božjemu se tielu — hljebu,
Božjoj krvi — vinu klanja, kucnjem prsih glas ozvanja:
„Živim, mriem Ti, Sine Boži, nek se Tvoja slava množi!“

[2] Sto je grada Biograda i predgradja — u dva krila —
Sve od Save duž Dunava turadija obkolila.
Svi čekaju na boj spremni, ogladnjela kano hale, —
Da jim paše samo viknu, pak jurišem da navale.
Puške, sablje, vita koplja zrakom sjajem svjetlucaju.
Sjaj-mjeseci s repovima konjskim sve se lelijaju.

z krzyżem w dłoni przebiegający ich szeregi, zagrzewa serca męstwem i odwagą, lub krzepi ufnością w miłosierdzie Boże. Zbliża się wreszcie stanowcza chwila, w której drobna stosunkowo garstka południowych Słowian musi stoczyć bój ze stugłowym muzułmańskim olbrzymem. Ważny to moment, gdyż w nim mają się rozstrzygnąć losy nietylko Słowiańszczyzny, ale, rzec można, całego chrześcijańskiego świata. Jeżeli bowiem Turcy zdobędą Białogród tę krańcową placówkę od strony wschodu, wówczas falanga muzułmańska zaleje z pewnością środkowo-europejskie kraje, niszcząc ogniem i mieczem błogie owoce Chrystusowej nauki i wiekowe zdobycze cywilizacyi. Dlatego też, jak dodaje poeta:

I znowu zadrżał świat!
Kiedy tureckich trzysta dział zagrzmiało,
I sto tysięcy piersi zawołało:
Il Allah! Il Allah!... [1]

Jakby w odpowiedzi na to hasło wyznawców proroka:

Mury twierdzy białogrodzkiej aż zadrżały od okrzyków:
„Zbaw, o Chryste! pomóż Boże nam odeprzeć napastników“ [2].

W tej samej chwili w obozie tureckim bojowy rozlega się sygnał. Wprzód jednak, niż Turcy zdołali przypuścić szturm, na spotkanie ich wychodzi rycerstwo chrześcijańskie, pełne nadziei zwycięstwa, i pomimo znacznej liczebnej przewagi nieprzyjaciela, śmiało wyzywa go do boju. Dzielnej tej garstce przewodniczy święty Jan Kapistran, którego przykład działa elektryzująco na całe otoczenie:

Gdy zaś wojsko już stanęło przed najeźdźców okopami,
Iwo krzyknął, krzyż podnosząc: „Naprzód bracia, Pan Bóg z nami“ [3].

Z początku zwycięstwo zdaje się przechylać na stronę Turków, którzy już zawczasu zaczynają sobie winszować przyszłych łupów i orgij. Wkrótce atoli pada trupem wódz janczarów, Izmael-basza, muzułmanie zaś przerażeni jego śmiercią, zaczynają cofać się przed nacierającym

[1] I opet zadrhta sviet!
Kad topovah trista turskih zariknù,
Sto šeset tisućah grlah urliknù:
Il Allah! Il Allah!...

[2] A iz svijuh grlah ori, razleže se strašna vika:
„Spás Isuse! Pomoz' Bože! satrti nam nasilnika!“

[3] ... Sva križarska stupa četa, prjed obkope turske stade,
Ivo mahnu krstom kličuć: „Napried! pa što Bog nam dade!“

nieprzyjacielem. Dowiedziawszy się o tem, sułtan wybiega z namiotu i jak lew zraniony rzuca się ku swym żołdakom, wołając:

Janczarowie moi dzielni, moja chwało, moja chlubo!
Wy junacy, którzy nigdy nie cofacie się przed zgubą,
Gdzież dziś wasze bohaterstwo? czyliż wstydu już nie macie,
Że od giaurów tych przeklętych tak haniebnie uciekacie?
Kto pozostał dla mnie wierny, za sułtanem swym niech spieszy,
Komu miła nasza sława, niech śmierć sieje w giaurów rzeszy.
Za mną wierni mi spahisi i wy za mną janczarowie,
Kto mej woli nie usłucha, za to ciężko mi odpowie[1].

Znowu więc rozpoczyna się bitwa krwawa, zacięta, toczona przez obie strony z rozpaczliwą odwagą:

Gdzie wre walka najstraszliwsza, tam padyszach leci śmiało,
Pragnąc okryć swoje czoło nieśmiertelną wodza chwałą,
Wpośród wrogów się przedziera, macha szablą w lewo, prawo,
Lecz rycerze chrześcijańscy rąbiąc również dzielnie, żwawo,
Odbijają od swych piersi nieprzyjaciół groźne ciosy.
I tak długo wpośród zgiełku bitwy się wahają losy;
Spahisowie z janczarami przy sułtana walczą boku;
Pomóż Boże! Zbaw nas Chryste! — woła Iwo z ogniem w oku,
Jezu! Jezu! — chrześcijanie z całych piersi za nim krzyczą —
Il Allah! Il Allah! Allah! — rozjuszeni Turcy ryczą[2].

Ujrzawszy o kilka kroków przed sobą świętego Jana Kapistrana, zachęcającego swych rycerzy słowem i przykładem do bohaterskiej

[1] ... Avaj janičari! od vajkada diko moja!
Vi junaci slavni, stari u srjed ljutja jošte boja!
Junačtvo vam gdje je sada? ta zar stida ne imate?
Uzmičete od kaurske čete derne i sakate.
Koj' je jošte vieran meni, taj za carem svojim stupaj.
Kôm na srdcu turska slava, sa mnom gjaure udri, lupaj!
Za mnom moji spajolani! za mnom i vi janičari!
Tko je moj, taj sa mnom juriš, pa kaure sieci, tari!...

[2] Gdje najžestja rulja bila, tamo sultan biesno juri
Za njim oni za čas tili, nadjoše se medj' kauri,
Desno, lievo sabljom maše, pasi krči sultan puta,
Al' križari se ne plaše sablje mu nit' oka ljuta,
Već mu svaki udar vješto i junački odbijaju,
Čim spahije s janičari uz njega se komešaju.
Za čas tili i svet Ivo u blizini tu se stvori,
Pomoz Boże! Spas Isuse! junački mu glas se ori,
Isus! Isus! svi križari iz sveg grla za njim viču,
Il Allah, Il Allah, Allah! promuknuli Turci ričU.

walki, sułtan usiłuje przedrzeć się ku niemu, aby się zmierzyć osobiście z tym, który w przekonaniu wszystkich Turków uchodzi za potężnego czarownika. Już, już ostrze jego szabli dosięga piersi nieustraszonego kapłana, już ucieszeni muzułmanie wołają tryumfująco: *Allah akbar!* gdy jeden z chrześcijańskich wojowników wytrąca broń z ręki padyszacha i głęboką zadaje mu ranę. Chwila ta rozstrzyga stanowczo, na czyją stronę przechyli się szala powodzenia. Korzystając z zamieszania, jakie w szeregach nieprzyjacielskich powstało, św. Jan Kapistran ściga bez wytchnienia muzułmanów, za nim zaś:

Dzielnie, śmiało, gardząc śmiercią, orszak chrześcijan dąży cały,
Pewien, że go Święty wiedzie do zwycięstwa i do chwały [1].

Wreszcie Turcy, pozbawieni wodza i otoczeni zewsząd przez chrześcijańskie rycerstwo, zaczynają pierzchać w nieładzie, unosząc ze sobą rannego sułtana, który tejże samej nocy rozkazuje spalić cały obóz i wyruszyć z powrotem do Konstantynopola.

Nazajutrz z rana, przekonawszy się o ucieczce nieprzyjaciela, chrześcijanie zbierają się do świątyni, by podziękować Panu Bogu za odniesione zwycięstwo. Przed obrazem Najświętszej Panny, „która zdaje się uśmiechać i cieszyć radością swych dzieci", Jan Kapistran odprawia Mszę świętą, całe zaś rycerstwo spostrzega ze zdumieniem, że ten, który wczoraj walczył jak lew, dzisiaj przed wizerunkiem Ukrzyżowanego łzami zalewa się jak dziecię. Lecz oto Msza się kończy, Święty zaś zwraca się do swych wiernych, aby ich pobłogosławić. Wówczas twarz jego nagłej uległa zmianie, oczy nadziemskim zajaśniały blaskiem:

A nad głową bożego kapłana
Aureola zabłysła świetlana,
I na widok tak wielkiego cudu,
Proste serca pobożnego ludu
Ogarnęło zdumienie i skrucha,
Więc przed Świętym przyklęka w pokorze,
A On w Imię błogosławi Boże,
W Imię Ojca i Syna i Ducha [2].

[1] Sva četa mu liepi izgled, smrt preziruć hrabro sliedi,
Uvjerena, da ju vodi samo k' slavi i pobjedi.

[2] Vedro, svjetlo s' osmieškom je bajnim,
Okol' glave sa kolutom sjajnim,
Takovoga svi prisutni glede
Čas ti rude, čas ti licem bliede:

Na tem się kończy rola świętego Jana Kapistrana jako pogromcy Turków i wodza chrześcijańskiego rycerstwa. Dalszy ciąg niniejszego poematu pozwala nam sięgnąć okiem do wnętrza ubożuchnej, zakonnej celi, w której Święty spędza ostatnie lata życia i której jedyną ozdobę stanowi krzyż miedziany, znany tak dobrze podczas oblężenia Białogrodu zarówno wiernym, jak i niewiernym. Niestety, poeta w miarę zbliżania się do końca swej pracy, coraz bardziej staje się rozwlekłym, przez co ostatnie pieśni w jego utworze tracą wiele na wartości. Do najpiękniejszych ustępów w tej części poematu należy opis chrześcijańskiej śmierci Janka Sibinjanina, znakomitego rycerza i najserdeczniejszego przyjaciela naszego Świętego, który czując się niegodnym, aby Bóg utajony w Przenajświętszej Eucharystyi miał zstąpić pod jego strzechę, w ostatniej niemal chwili życia każe siebie zanieść do świątyni i umiera tam niezwłocznie po przyjęciu Sakramentów świętych.

Ustęp ten, podobnie jak i dalsze urywki, malujące zakonne życie, śmierć i pogrzeb świątobliwego bohatera, na zupełne zasługiwałyby uznanie, gdyby zbytnia drobiazgowość nie wpływała w wielu miejscach nader ujemnie na estetyczną ich stronę. Poemat o świętym Janie Kapistranie zamyka jego biografia, ujęta również w formę poetycką i rzucająca przedewszystkiem należyte światło na kaznodziejską jego działalność w rozmaitych krajach Europy, a między innemi i w Polsce. Odrębną wreszcie i zaokrągloną w sobie całość stanowi wiersz z powodu 500-letniej rocznicy urodzin Świętego *(Slavlju 500-ljetne Uspomene)*, który zresztą, jak większa część utworów okolicznościowych, wiele pod względem artystycznym pozostawia do życzenia.

Bądź co bądź pomimo zbyt powolnego niekiedy toku akcyi i pewnego lekceważenia formy, jakie tu i ówdzie się napotyka, poemat O. Okrugicza czyta się z zajęciem i miłe pozostawia wrażenie, przemawiając zarówno do umysłu jak serca.

Tytus Sopodźko.

Njekim strahom motreći mu lice,
Svi padaju na koljena nice,
A on dieli blagoslov jim Boga
Otca, Sina i Duha Svetoga.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Decyzya „Rady związkowej". — Wzrost socyalizmu w Niemczech. — Socyalne kongresy katolickie. — List papieski do biskupów brazylijskich.

DECYZYA „RADY ZWIĄZKOWEJ". Niemiecka „Rada związkowa" — jak z góry było do przewidzenia — nie zatwierdziła uchwały parlamentu, znoszącej banicyę, wydaną na samym początku *kulturkampfu* na Jezuitów i pokrewne im zakony; dobrze, że po tylu latach przyszła do przekonania, że Redemptoryści i ojcowie z Kongregacyi Świętego Ducha nie są właściwie z Jezuitami „spokrewnieni", i że przeto wolno im do Niemiec wrócić. Dlaczego przed dwudziestu laty narzucono tym zakonom w skutkach swych tak ciężką parantalę; na jakich podstawach uznano obecnie, że przez pomyłkę tylko zaliczono je do jezuickiej rodziny? Urzędowe pisma nie bawią się w tym względzie w tajemnicę. Ojcowie Świętego Ducha takie położyli i wciąż pokładają zasługi dla Niemiec w afrykańskich koloniach, że nietylko byłoby czarną niewdzięcznością, ale — co ważniejsza — rzeczą arcy-niepolityczną, nie dozwolić im rekrutować się i kształcić w Niemczech, a tak dalsze pomyślne losy afrykańskich kolonij na szwank narażać. Redemptoryści znowu, to niezbędni sojusznicy w walce z krzewiącym się, już nie w Afryce, ale we własnym domu,

socyalizmem. „Bez pomocy Redemptorystów — wyraził rząd bawarski bardzo stanowczo swe zapatrywanie — ani myśleć nie można o skutecznem zwalczaniu socyalno-demokratycznej propagandy między ludnością wiejską“. Prawda że i Jezuici, prawda że i inne zakony, które rade nierade muszą nosić na sobie dalej nieszczęsne piętno jezuickiego pokrewieństwa, równie misyom się poświęcają, i gdzie i jak mogą, czynem i słowem z socyalizmem walczą; — ale o logikę, o konsekwencyę w całej tej uchwale napróżnoby pytać. Stwierdza to zgodnie katolicka prasa, uznaje socyalistyczna, między liniami przyznaje nawet protestancka.

Przyznaje, ale jednocześnie się i cieszy, że „Rada związkowa“, jeśli może niedość bacznie otworzyła Redemptorystom wrota do protestanckich Niemiec, to przynajmniej jednomyślnie, „na zawsze“, zamknęła je „strasznym, wiecznie zdradę knującym, we wszystkich intrygach palce maczającym uczniom Loyoli“. „Wytłumaczyć sobie trzeba — zaręcza imieniem rządu *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* — i raz na zawsze stracić nadzieję, aby sfery rządzące zmienić miały kiedykolwiek zdanie o zakłócającej pokój, niebezpiecznej dla państwa działalności zakonu Jezuitów. Taka zmiana zdania przyniosłaby rzymskiemu Kościołowi wojującemu niemały tryumf; natomiast wywołaćby musiała między niemieckimi protestantami tem silniejsze rozgoryczenie, że bądź co bądź, na historyi się opierając, powiedzieć nie można, jakoby tak powszechnie żywiona nieufność ku Jezuitom nie opierała się na pewnych rzeczywistych podstawach“.

Na jakich podstawach, w czem i dlaczego Jezuici dla niemieckiego państwa są tak groźni? Organ kanclerski nie daje odpowiedzi na to pytanie; wyręcza go socyalistyczny *Vorwärts* w sarkastycznym artykule, w którym chłoszcze bez miłosierdzia zabawną bojaźń potężnego państwa przed garstką czarnych habitów. „Uchwała ‚Rady związkowej‘ — pisze berliński organ — napełni niemałą radością niemieckich mieszczuchów, którzy uznają jeszcze za stosowne trzymać się wskazówek duchownych swych doradców: pastorów. Przecież w ich to szeregach, skoro tylko przebąkiwać zaczęto o możności zniesienia jezuickiego prawa,

rozległ się płaczliwy lament: „Jeśli Jezuici powrócą do niemieckiego cesarstwa, zginęły Niemcy, zginął protestantyzm!“ Dosadniejszej krytyki nie mogli oryginalni ci bohaterzy wydać na samych siebie. Co jeszcze zabawniejsza, wyobrażają oni sobie, że walczą w obronie wolności ducha, kiedy przeciwnikowi swemu duchownemu dodadzą do boku żandarma i wyprowadzić go każą za graniczne słupy. Poseł Schroeder mówił w parlamencie o szerokich warstwach ludności, które sprzeciwiać się mają powrotowi Jezuitów; gdzie te szerokie warstwy, kto je widział, kto zliczył, czy nie składają się one właściwie tylko z kilku potężnym głosem krzyczących protestanckich pastorów, z pewnej liczby przychodzących im w sukurs dewotek? Niech zresztą mówią sobie i krzyczą co chcą; jak każde inne, z wolnością walczące prawo wyjątkowe, tak i prawo wymierzone przeciw Jezuitom zniknąć musi z horyzontu“.

WZROST SOCYALIZMU W NIEMCZECH.

Zniknąć musi tem prędzej i pewniej, — dodają od siebie katolickie organa — że rosnący wciąż i w liczbę i w potęgę socyalizm, zmusi ostatecznie i najfanatyczniejszych protestantów do oglądania się za pomocą wszędzie, skąd tylko pomoc przyjść będzie mogła; dziś jeszcze wielu bardziej się lęka Jezuitów, niż socyalistów, — kto wie, czy jutro już zdania nie zmienią? Ćwierć wieku upłynęło właśnie w sierpniu od chwili, w której partya socyalno-demokratyczna urzędowo w Niemczech się zawiązała. W dwa lata później, roku 1871, padło przy wyborach 123.975 głosów na socyalistycznych kandydatów; dwóch zasiadło na parlamentarnych ławkach. W trzy lata później liczba oddanych głosów wzrosła do 351.952; liczba socyalistycznych posłów do dziewięciu. Odtąd, z pewnemi lekkiemi oscylacyami, wzmagała się stale w zatrważających proporcyach cyfra i wyborców i posłów, stojących przy socyalistycznym programie; w 1893 r. doszła do 1.786,738 wyborców i 46 posłów. Czy wobec takiej cyfry nie należałoby starać się o połączenie wszystkich konserwatywnych, chrześcijańskich żywiołów do wspólnej pracy nad wystawieniem tamy, któraby zalew ten powstrzymała; czy każdy, kto się do pracy tej ofiaro-

wuje, nie powinienby być przyjęty z otwartemi ramionami? Takby się zdawało; — tymczasem słynny „Ewangeliczny związek“, zamiast na to pole walki występować, zużywa wszystkie siły w podjudzaniu przeciw Rzymowi, w zabawnych harcach przeciw Jezuitom, w płaczliwych trenach na temat powrotu Redemptorystów. „To bardzo niebezpieczny krok dla ludu, dla państwa niemieckiego!“ — wołał i przestrzegał profesor Beyschlag, na odbytem niedawno temu w Bochum walnem zgromadzeniu „Związku“. — „Nie my pobudzamy do walki z Rzymem, ale Rzym ciągle nas zaczepia, ciągle nas drażni“ — drażnił sam i zaczepiał prezes luterskiego konsystorza w Westfalii, von Westhoven. Śmiesznyby to był objaw, gdyby wobec nie nadciągającej już, ale wiszącej nad głowami, srożącej się burzy socyalistycznej, nie był tak bolesny, tak zgubny!

SOCYALNE KONGRESY KATOLICKIE.

Katolicy na szczęście, nie wszędzie przynajmniej, na niebezpieczeństwo to oczy zamykają; z każdym miesiącem, z każdym tygodniem rozumieją lepiej, jak świętym jest dziś obowiązkiem, idąc za wskazówkami Ojca świętego, z kwestyą socyalną i wszystkiemi jej odcieniami się zapoznawać; do jej rozwiązania wedle sił, w duchu prawdziwie chrześcijańskich zasad, dopomagać. Katoliccy fabrykanci, majstrowie, rzemieślnicy z północnej Francyi zgromadzili się niedawno temu w jednym z jezuickich klasztorów na wielki, socyalno-katolicki wiec, na którym rozbierano kolejno wszystkie, nietylko teoretyczne, ale na pierwszym planie praktyczne pytania, odnoszące się do polepszenia doli klasy robotniczej. W Wiedniu urządziło bardzo rzutkie i energiczne „Towarzystwo Leonowe“ czterodniowy „kurs socyalny“, na którym wystąpili z wykładami najznakomitsi katoliccy socyolodzy z całej Austryi, a brało w nim udział około 400 uczestników, między nimi pięciu z Galicyi. Być może, że niektórzy głośni, często aż za głośni demokratyczni wiedeńscy przywódcy: dr. Lueger, Gessman, poszli w niektórych swych wywodach za daleko, w krasomówczym, agitacyjnym zapale przekroczyli należną miarę i stracili spokój, jeśli zawsze konieczny, to zwłaszcza na tego rodzaju zgromadzeniu; — być

to bardzo może, ale całość obrad wypadła bardzo spokojnie, pouczająco, i wielkim trzebaby być pesymistą, aby w ogólności — krzywem okiem na nie patrzyć, jak patrzył np. jeden z poważnych krakowskich dzienników. Nawet dr. Gessman, choćbyśmy się zgodzili, że czasem zbytnią dawał folgę rycerskiemu animuszowi, wypowiedział w referacie o rozszerzeniu się socyalnej demokracyi cały szereg złotych, zbyt nieczęsto niestety! przypominanych, mniej jeszcze często w życie wprowadzanych prawd; nakreślił program, na który, przynajmniej w głównych zarysach, bez zastrzeżeń zgodzić się można.

„W bardzo szerokich kołach, — ostrzegał mówca — nawet w kołach stojących na najwyższych szczeblach społecznych i rządowych, panuje niejednokrotnie błędne mniemanie, że socyalizm nie jest jeszcze tak silnym i znaczącym, aby walka na seryo, na wszystkich polach publicznego życia była z nim niezbędną. Dziś już cały szereg namacalnych dowodów okazuje błędność tego zapatrywania. Najważniejszym, to poważne liczby głosów, zwłaszcza przy wyborach do parlamentu, do których socyaliści doprowadzili w wielu północno-czeskich i morawskich okręgach, i to nietylko w okręgach miejskich, ale i wiejskich. W Czechach więc, Morawii, ale niemniej na Szląsku, w południowo-zachodniej części Niższej Austryi, w bardziej przemysłowych dzielnicach krajów alpejskich, socyalna demokracya rozszerza się nadzwyczaj szybko i porywa w kleszcze swej znakomitej organizacyi nie samych już tylko bynajmniej robotników, zatrudnionych w wielkim przemyśle. Żadna narodowość nie zatrzymuje jej w tym pochodzie. Między ludnością słowiańską szerzy może stosunkowo jeszcze większe spustoszenie. W Czechach i Morawii rozciągnęła się i na sfery, do których w krajach niemieckich zaledwie naprawdę zbliżać się zaczyna; w Galicyi szerzy się równie między Polakami, jak Rusinami, co więcej, dotarła tu już do ludu; również odnajdujemy ją między południowymi Słowianami, Włochami, słowem — wszędzie. Niemniej błędnem jest zdanie, jakoby lud wiejski nie został dotąd dotknięty socyalistyczną propagandą. Gdzie kwitnie samo wyłącznie rolnictwo, tam agitacyi socyalistycznej nie tak łatwo plony zbierać; ale

zupełnie inaczej ma się rzecz tam, gdzie ludność rolnicza zmieszaną jest z przemysłową...

„Bardzo liczne przyczyny wpływają na szybki i pomyślny rozwój tej propagandy: równie łatwowierność robotników na podszepty agitatorów, jak wyzyskiwanie ich przez pracodawców, jak szybki upadek rolnictwa, spowodowany przez przyjęte dziś u góry polityczne i finansowe systemy. Jakże z propagandą tą walczyć? Na pierwszem miejscu musimy usiłować sprowadzić powoli wielki przemysł na nowe tory. W małym i średnim przemyśle jedną z najważniejszych rzeczy jest zaprowadzenie wspólnej harmonii między majstrami a robotnikami; dotąd — powiedzieć sobie możemy z dumą — harmonia taka w całej pełni istnieje jedynie w organizacyi chrześcijańskiej. W dzisiejszem społeczeństwie niejedno źle się dzieje; to prawda, i tego taić nie myślimy. Ale też z drugiej strony otwarcie i głośno należy nam wykrywać złe, przekupstwo, wybryki i wyzyski gnieżdżące się w kołach socyalistycznych, krzewiące się szczególnie między wielu socyalistycznymi przywódcami; wykazywać trzeba, jakie to pieniężne podatki nakłada ‚partya' na obałamuconych ‚towarzyszów'; kto i dlaczego z socyalistycznych arystokratów pędzi sobie za te pieniądze życie spokojne i swobodne. Niezmiernie ważnym jest stosunek socyalizmu do religii; pole to, na którem nieraz najłatwiej socyalistów pobić, oszołomionym oczy otworzyć. Raz po raz trzeba wskazywać i przypominać, że właśnie chrześcijanizmowi mamy do zawdzięczenia uwolnienie ludzkości z jarzma starożytnej niewoli; że jemu winniśmy piękne owoce wydane przez wieki średnie, i to nawet pod względem ekonomicznym. Wykazywać trzeba całą śmieszność zarzutów odnoszących się do wrzekomej nieprzyjaźni Kościoła dla nauki, kolosalnych bogactw kleru i t. p. Lecz na tem wszystkiem jeszcze nie dosyć! Chcemy stanowczo rozprawić się z socyalizmem, to walczmy główną jego bronią; zakładajmy, organizujmy stowarzyszenia możliwie najróżniejszych barw i odcieni, polityczne i niepolityczne, męskie i żeńskie"...

Wspaniałem ugruntowaniem tez, rozwinięciem postulatów postawionych przez d-ra Gessmana, były wykłady O. Bieder-

lacka T. J., i szeroko znanego apologety ks. d-ra Weissa. Pierwszy bardzo słusznie zauważył, że t. zw. socyalizm państwowy, który zaczyna liczyć coraz więcej reprezentantów na wszechnicach austryackich i niemieckich, niemniej jest w gruncie rzeczy niebezpiecznym od wszelkich innych form socyalizmu. Drugi w końcowem przemówieniu zwrócił się w szczególności do duchowieństwa i zapytał: jakie dziś ciąży na niem zadanie odnośnie do tak żywo wszędzie poruszanej kwestyi społecznej. „Duchowieństwo ma z pewnością ścisły obowiązek kwestyą tą się zajmować. Poczciwy liberalizm ograniczyćby chciał księżą działalność na modlenie się i błogosławienie; powtarza na wszystkie tony: Niechaj kler w kościele tylko pracuje, niech poza kościół nie wychodzi! Bez wątpienia, trzeba nam w kościele pracować, trzeba nam się modlić, ale zdaje mi się, że nikt właśnie lepiej nie rozumie czem jest modlitwa, jaka jej potrzeba i waga, od księdza, który na seryo i pilnie zajmuje się wszystkiemi potrzebami czasu, w którym żyje. Jeszcze inni mówią: ‚W teoryi bardzo to piękna rzecz, aby duchowieństwo zajmowało się sprawami społecznemi; w praktyce, do iluż to doprowadza trudności, na jakie sprowadza manowce!‘ Prawda, niełatwa to rzecz; lecz gdybyśmy się o to tylko pytali, co łatwe a co trudne, dokądżebyśmy zaszli? Może być jakiś obowiązek trudny, bardzo trudny, a przecież trzeba koniecznie wziąć go na swe barki. Prawda, niebezpieczne to dla nas pole, bo zupełnie nowe, na którem dotąd nigdyśmy nie chodzili; niebezpieczne zadanie, bo z wielką tylko roztropnością mówić możemy o istniejących niesprawiedliwościach, aby nie pójść za daleko ani na prawo, ani na lewo; nie wzniecić ognia, któregobyśmy później nie byli w stanie ugasić. Ciężkie, niebezpieczne to zadanie; ale choć ciężkie, rozwiązać je możemy, silni kapłańskiem naszem powołaniem i urzędem. Stanąć musimy naprzeciw wielkim i bogatym i powiedzieć im: ‚Wieleście już dobrego uczynili, ale to jeszcze nie wystarcza; dawać macie, nie co i jak się wam podoba, ale co i jak powinniście‘. Z drugiej strony stanąć również musimy naprzeciw ubogim, uciemiężonym, i powiedzieć im: ‚Walczymy za wasze żądania, ale żądać wam nie wolno tego co chcecie, tylko tego

czego potrzebujecie'. Dla prawdy, dla sprawiedliwości musimy być w danym razie gotowi poświęcić własną popularność.

„W ścisłem również słowa znaczeniu, społecznem zadaniem duchowieństwa jest głoszenie słowa bożego, tj. Ewangelii, bo z niej, nie ze statystyki, ekonomii, lub jakiejkolwiek innej nowożytnej umiejętności przyjdzie nam zbawienie; społecznem i arcyspołecznem zadaniem jest katechizowanie, budzenie i podtrzymywanie chrześcijańskiego życia, szerzenie cnoty, zwłaszcza sprawiedliwości i miłości. Idźmy tylko w tym kierunku, energicznie, jak tego domaga się nasze powołanie, niezmordowanie, aż do ostatniego tchu życia, a nikt zarzucić nam nie będzie śmiał, żeśmy potrzeb swego czasu nie rozumieli i dla nich nie pracowali!“...

LIST PAPIESKI DO BISKUPÓW BRAZYLIJSKICH

Do długiego szeregu pism, w których Ojciec św. odzywał się kolejno z radami i pociechami do biskupów różnych kościelnych prowincyj, przybyło obecnie nowe, datowane w uroczystość Nawiedzenia N. Panny, do biskupów brazylijskich. List to stosunkowo krótki, mniej w nim, niż w dawniejszych tego rodzaju odezwach, teoretycznych wywodów; tem więcej za to, w jędrne wyrazy ujętych, ściśle praktycznych wskazówek i upomnień. Zdawaćby się mogło, — wedle dobrze rzecz cechującej uwagi jednej z gazet rzymskich — że mamy przed sobą rozkaz dzienny naczelnego wodza do znajdującej się w ogniu dywizyi.

Główną wagę kładzie Ojciec św. na wychowanie równie wykształconego, jak cnotliwego i bogobojnego duchowieństwa. Proboszczowi nie wolno przed pracą się lenić; aby zaś ta praca nie była bezowocną, niech nią kieruje i uświęca ją posłuszeństwo. Trzeba mężnie za Chrystusa walczyć; ale nie walczy ten za Chrystusa i w Chrystusowych szeregach, kto z pod winnej karności się wyłamuje. Dobrego kleru nie można się spodziewać, dopokąd nie będzie dobrych seminaryów; gdzieby ich zupełnie brakowało, tam pierwszą, najniezbędniejszą rzeczą pomyśleć co najszybciej o ich założeniu. Istniejąca w Brazylii wolność nauczania ułatwia niemało biskupom zakładanie wzorowych semi-

naryów, urządzonych wedle przepisów danych przez sobór trydencki, a świeżo ponowionych i pomnożonych. Niezmiernie też jest rzeczą ważną, wysyłanie bardziej utalentowanych młodzieńców do Rzymu, gdzie w założonem przez Piusa IX. kolegium południowo-amerykańskiem mogliby w nauce teologicznej się ugruntować i wykształcić na znakomitych profesorów w rodzinnym swym kraju. Przedsięwzięta przez Stolicę Apostolską przed paru latami reforma tak męskich jak żeńskich klasztorów przyniosła już obfite owoce; ufajmy w Bogu, że z roku na rok obfitsze i piękniejsze będzie przynosić. Tak, gdy równie świeckie jak zakonne duchowieństwo świecić będzie przykładem cnoty i współzawodniczyć ze sobą w pracy o rozszerzenie chwały bożej — nie trudno już będzie wykorzenić niejeden zły zwyczaj, który się zakradł; nie trudno będzie rozbudzić między ludnością większą pobożność i żarliwość. Same z siebie powstaną katolickie szkoły; zorganizują się katolickie związki dla młodzieży i stowarzyszenia dobroczynne, które osłabią zgubną działalność wrzekomo miłosiernych, w gruncie rzeczy antychrześcijańskich stowarzyszeń; katolicka prasa, stosując się zawsze do wskazówek dawanych sobie przez biskupów, wzmoże się na sile i powadze; w parlamencie, naturalną konsekwencyą, zasiądą prawdziwi katolicy, chcący i umiejący zastawiać się za sprawę Kościoła. W ostatnich ustępach pasterskiego swego pisma zachęca Ojciec św. gorąco biskupów do wspólnych konferencyj, na którychby w peryodycznych odstępach czasu naradzali się nad dobrem poruczonych sobie dyecezyj.

Ks. Jan Badeni.

Misya polska w Londynie.

Czułem od dawna obowiązek doniesienia czytelnikom *Przeglądu* wiadomości o t. zw. „Misyi“, czyli kapelanii polskiej w Londynie — lecz zadanie zwlekałem od miesiąca do miesiąca, czekając rozjaśnienia się całej tej, kłopotliwej sprawy. Czy się ona rozjaśniła dziś, stanowczo powiedzieć nie mogę. Kłopotliwą jest — i będzie.

Wiadomo, że pierwszym w Londynie kapelanem polskim był ksiądz Podolski. Zaczął on był swoją pracę około roku 1853, jako pomocnik przy niemieckim kościele w dzielnicy Whitechapel; w czasie wojny krymskiej był kapelanem wojskowym, po jej ukończeniu wrócił nad Tamizę — ale, zastawszy misyę polską pod opieką ks. d-ra Chwaliszewskiego, przyjął kierownictwo nowozałożonej misyi angielskiej w dzielnicy Holloway. Po wyjeździe ks. Chwaliszewskiego i następnie po ks. d-rze Jażdżewskim, w roku 1867, objął ks. Podolski ponownie obowiązki polskiego kapelana i spełniał je, póki mu zdrowie służyło, przez lat dziesięć. Jego następcą był O. Adolf Bakanowski, odwołany z Anglii przez swych przełożonych w roku 1880.

Od roku 1880, Polacy i Litwini, stanowiący kolonię w Londynie, nie mieli stałego kapelana rodaka, aż do września roku zeszłego. Przybywali do Londynu na czas krótki zacni i gorliwi kapłani — jak ks. Maliński i O. von Lassberg — by choć z rzadka zaspokajać duchowne potrzeby kolonii; przybywali także inni, chcący próbować, czyby w kolonii zdołali znaleść, co tylko chyba w Ameryce jest do znalezienia... i z ich to powodu dużo było nieprzyjemności, upokarzających kolonię.

W ciągu lat dwunastu, od roku 1880, czyniono starania o stałego kapelana — całkiem daremnie. Dziwić się temu niepodobna! Sam, za bytności w Poznańskiem i w Galicyi, przed czterema laty, słyszałem z ust ś. p. kardynała Dunajewskiego i innych zwierzchników dyecezyi, o nader dotkliwym braku kapłanów w kraju; zrozumiałem doskonale, że gdyby nawet był kapłan, gotów do objęcia twardej pracy w Anglii, toby mu władza duchowna wzbroniła opuścić bliższe obowiązki. Gdzież więc było szukać kapelana? Chyba z pomiędzy... wypędzonych przez Moskwę. Lecz oni znajdują przecież w Galicyi otwarte ramiona całego społeczeństwa; do Anglii — nie znając tutejszego języka i słusznie bez wątpienia przestrzegani o... „mizeryach emigracyjnych“ — wybraliby się chyba... z rozkazu! Jakżeż nadto zapraszać kapłana do Londynu, nie mogąc zapewnić mu jakiego takiego utrzymania? Tu wszystko było — tu jest ogromnie dużo do zrobienia, do zbudowania *ex ortu:* O. Bakanowski mieszkał tu trzy lata w biednej izdebce, najmowanej z tygodnia na tydzień — a polską kaplicą była maleńka krypta pod włoskim kościołem w dzielnicy Clerkenwell. Jak zaś żyć musiał ubogo, jak tam nieraz strasznie mu było „ciasno“, wiem — może najlepiej. Cóż zaś powiedzieć o owych „mizeryach“!

Tennyson dosadnie i słusznie powiedział[1]: *half a truth is ever the blackest of lies!* „pół prawdy jest zawsze ze łgarstw najpodlejszem!“ Tu zaś, w „emigracyi“ — tu aż za wiele jest najrozmaitszego... niedowarzenia. Proszę sobie zrealizować, że z kilku tylko wyjątkami — które zresztą żadnych nie utrzymują stosunków z wielkim tłumem współziomków, bo to się stało prawie niepodobieństwem — kolonia polska, zamieszkująca głównie dalekie dzielnice wschodnie, składa się z ludzi, albo żadnego, nawet elementarnego nie posiadających wykształcenia, lub takie tylko posiadających okrzesanie, jakie wynieśli z kilku klas szkolnych, jakie przetarli w życiu robotniczem, fabrycznem, kupieckiem — jakie wreszcie dopełniają im obserwacye i doświadczenia w kraju... z wręcz odmiennym całoskładem społecznym, z innemi w tylu kierunkach nawyknieniami. Ludzie ci, najczęściej młodzi, zapominając, iż są przedewszystkiem Polakami... rwą się krewko do wszystkich urządzeń, jakie się im w tym kraju podobać muszą. Kiedy zaś (zazwyczaj po krótkim czasie) zaczynają tracić nadzieję osiągnięcia celu — wówczas zwracają się jedni przeciw drugim, winią się wzajemnie i oskarżają, tak... jak tylko Polacy, zwłaszcza Polacy „na emigracyi“, oskarżać się potrafią! Wówczas to — pół prawdy przybiera rozmiary kolosalne. Dam przykład, a jeżeli nazwisk nie wymienię, to są między czytelnikami tacy, którzy je odgadną, lub sobie przypomną... Jeden z czasowych kapelanów polskich, mąż charakteru, jak łza czystego, miał zwyczaj spędzać wieczory w pewnym domu polskim, dość odległym od własnego mieszkania. Nie zachodził zaś, z powodów sobie najlepiej znanych, do kilku innych. Cóż tedy czynią ci inni obywatele? Piszą po prostu do sekretarza arcybiskupstwa i do samego arcybiskupa, że... ich kapelan włóczy się nocami po ulicach nietrzeźwy, i że go oni sami w takim stanie wyciągali — z rynsztoków!

Cóż zaś powiedzieć o tak zwanych (w Ameryce) „politykierach“ w kolonii? Cóż o całej tej malomiasteczkowej „polityce“, która nad kuflem piwa debatuje o wielkich kwestyach, całą i jedyną o nich czerpiąc informacyę ze streszczeń nagłówków, obwieszczanych plakatami przez administracye londyńskich dzienników? Jakżeż dać Wam pojęcie o chaosie zapatrywań, wyrosłym i wciąż wzrastającym między „starszą emigracyą“ — tą, która, po latach 30 i więcej, tak sobie wyobraża stosunki w kraju ojczystym, jakiemi one były, lub może i nie

[1] W poemacie lirycznym „Babka“ *(The Grandmother)*. Polskie przysłowie mówi: „Pół prawdy, to półtoraczne kłamstwo“.

były za owych czasów; która, pism polskich nie czytując, lub z rzadka czytując co się trafi... mierzy Was i rzeczy Wasze miarą owych dawnych przypomnień, a miarą, sporządzoną... nie w Anglii nawet, tylko wśród ludności wschodniego Londynu! Ile w tych rozhoworach starszej emigracyi jest żywiołu komicznego, ile poczciwego, a zarazem, ile jest niewysłowienie smutnej ciemnoty i nieznajomości dzisiejszych rzeczy ojczystych... tego Wy sobie wyobrazić nie zdołacie! Dodajcie, proszę, niesłychanie zaciekłą nienawiść polskiej „arystokracyi“ — tej arystokracyi, do której wlicza się zarówno Czartoryskich i Potockich z wszystkimi ludźmi, którzy mieli nieszczęście odebrać wykształcenie, którzy nie należą do „Towarzystw“ i „Związków“, którzy nie godzą się na wyrok: „ha! tę podłą arystokracyę wywiesić! w pień wyciąć!! powystrzelać, jak szczurów!!!“

Nakoniec — nie brak w kolonii takich, którzy, czy już z nałogu plotkarskiego, czy z prostej głupoty, czy może — przyciśnięci biedą — dziś temu chcąc się przypodobać, jutro innemu... są chodzącemi kuryerkami „wiadomości osobistych“. Chociaż Londyn tak jest olbrzymi, ludzie ci umieją dowiedzieć się, co robi Polak, zamieszkały o półtorej mili polskiej odległości; dowiedziawszy się, opowiadają... z nadzwyczajnemi komentarzami, a potem już wiadomość rośnie — jak na drożdżach baba podolska. Ludziom tym wypada nieraz zajść do... nihilistów, mieszkających w Londynie, zarobić u nich kilka szylingów i... pójść do „arystokratów“, by na najbliższem posiedzeniu „obywateli“ mieć coś bardzo ważnego do powiedzenia o jednych „szujach“ i drugich! Znów zaś, co w tem jest najsmutniejsze, to to, że „obywatele“, znający przecież plotkarza na wylot, nietylko przyjmują jego plotki do wiadomości, lecz je nawet czem prędzej rozsiewają na wsze strony — by owoc wydały stokrotny...

Rozumiem doskonale, że, czytelnika mego zdaniem, te wszystkie kuflowe, małomiasteczkowe i emigracyjne mizerye bardzo mało mogą obchodzić społeczeństwo w kraju, „arystokracyę“ polską w Anglii i polskiego w Londynie kapelana. Istotnie i *per se* byłyby te okoliczności małostkowemi, godnemi może ubolewania, godnemi z pewnością pióra humorysty — gdyby kapelan mógł oprzeć się w Londynie o kolonię trochę inną... gdyby kapłan i człowiek wykształcony mógł obracać się często w odpowiedniem otoczeniu, gdyby nie musiał żyć i obcować bezustannie, z kim żyć i obcować musi w dzielnicach wschodnich.

Przyznam się otwarcie, że nigdy nie uznawałem potrzeby księdza polskiego dla kolonii polskiej w Londynie — a tylko widziałem i wi-

dzę konieczną, palącą i najoczywistszą potrzebę dla kolonii litewskiej. Polacy bowiem, z wcale nieznacznemi wyjątkami, władają albo angielskim językiem, albo niemieckim; gdyby im obowiązki religijne tak leżały na sercu, jak... najwidoczniej nie leżą, tożby mogli korzystać z tylu innych kościołów katolickich. Kolonia polska jest z pochodzenia miastową i miasteczkową. Kolonia litewska jest kmiecą: Litwini tutejsi, liczniejsi nadto od Polaków, żyjący dużemi kupami w dwóch czy trzech miejscowościach podstołecznych, prawie wcale mowy naszej nie rozumieją — poza swoim, żadnego nie starają się poznać języka. Lud to stateczny, cichy i trzeźwy, pracowity i oszczędny, w tak powszechnem tu zostający poszanowaniu, że... nawet najdoświadczeńsi plotkarze nic mu ujemnego nie zarzucają. Lud, głęboko i szczerze religijny: on to, w Londynie i Liwerpolu, najgłośniej, najzgodniej i najwytrwalej domagał się ustanowienia misyi litewskiej, lub polsko-litewskiej w Anglii[1], i on dziś, jeżeli mnie nie mylą zasięgnięte i dostarczone informacye, udziela głównie podpory materyalnej polskiemu kapelanowi.

Jeszcze jedno słówko: Boże broń, by z tego, co ogólnie napisałem o kolonii polskiej, w odróżnieniu od litewskiej, wyciągnął kto wniosek, jakoby w tej pierwszej nie było osób, równie szczerze życzących sobie ustalenia misyi polskiej, za którem poszłaby szkółka dla dzieci i dla dorastającej młodzieży. Jest takich osób dość dużo — ale, że się tak wyrażę... są one cichą, milczącą mniejszością w tym sejmie nadtamizańskim, który, *A. D.* 1894, reprezentuje do pewnego stopnia „demokracyę“ polską nad Tamizą. Tym sejmem jest „Towarzystwo Polskie w Londynie“. Proszę nie utożsamiać go z angielskiem niegdyś „Towarzystwem literackiem Przyjaciół Polski“, instytucyą, mającą swe schronisko zawsze w tym samym domu (w dzielnicy St. James's), w którym została założona przed laty z górą sześćdziesięciu. Z temże „Towarzystwem literackiem“ podobno żadne towarzystwo polskie w Londynie nie żyło w zgodzie — najmniej za czasów jego działalności najświetniejszej. Początkowo, szlachecka emigracya wojowała z niem zawzięcie (i niekoniecznie szlacheckiemi sposobami), jako z instytucyą „pańską“, z „biurem Czartoryskich“, z generalnę w Anglii kwaterą „dyplomatycznych krętanin“. Po wojnach węgierskiej i krymskiej, po zwłaszcza ostatniem powstaniu, ubyło w Londynie sporo krwi szla-

[1] Patrz broszurę ks. J. Badeniego: „Polacy w Anglii“ (1890). Będąc w roku 1889 w Paryżu, miałem sposobność przekonać się, że Litwini londyńscy pisali prośby o kapłana-rodaka — do księży Misyonarzy i do księży Zgromadzenia Świętego Ducha.

checkiej... Wojowano, już nie z „Przyjaciółmi Polski“, tylko z ich sekretarzem; wojowano wprawdzie bez szlacheckiej buty i krewkości, mniej głośno i donośnie — bo miano między sobą aż za dużo do czynienia — lecz antagonizm wschodniego do zachodniego Londynu, spadając z jednej strony do coraz niższych poziomów, a z drugiej opierając się na starej podstawie, wzmógł się, i głębokie, głębokie zapuścił korzenie. Próbowano potem — a próbowano z jednej przynajmniej strony jak najszczerzej — przyprowadzić jakiś *modus vivendi* i wspólnej pracy. Kilkakrotna próba rozbiła się o szkopuł ten: wschodni Londyn, utrzymując, iż on jeden tylko reprezentuje „emigracyę“ i jest nią z tradycyi i *de facto*, odmawia zachodniemu Londynowi prawa do 1) reprezentowania czegobądź polskiego w Anglii; 2) do szafowania kapitalikiem zapisowym polskim, względnie do opiekowania się biednymi, bez kontroli i współdziałania „emigracyi“ [1]. Próbowano i na tym drugim punkcie przyjść do porozumienia — daremnie. Dziś, kiedy „Przyjaciół Polski“ na palcach jednej ręki policzyć można... kiedy ich działalność ograniczyła się do najskromniejszego zakresu dobroczynności, nastało do pewnego stopnia zawieszenie broni — po stronie „demokracyi“, choć nie ustała niechęć. Zresztą „demokracya“, sejmikująca w „Towarzystwie Polskiem“, ma przy sobie punkt ciężkości: Towarzystwo ma siedzibę własną w dzielnicach wschodnich, ma tam klub — jest, jednem słowem, u siebie, w niem są u siebie zamieszkali tam najliczniej Polacy.

A przeto, stanowisko kapelana polskiego zdaje się być najwyraźniej i z góry wskazanem: tam gdzie są jego parafianie, tam jego pole pracy. Jest to pole olbrzymie, pod każdym względem! Na przestrzeni jakich sześciu mil kwadratowych, polscy parafianie są tam prawie wszędzie — tu i ówdzie większemi zbici kupami — a litewscy skupili się w dwóch dalekich miejscowościach. Sama więc obsługa kapłańska musi być uciążliwą i trudną. Lecz niemniej doniosłą i niemniej zapewne trudną musi być ta działalność kapłana, — o tyle konieczna, o ile bywa korzystna — która, zwłaszcza na obczyźnie, zaczyna się poza kościołem i konfesyonałem. Jak ona jest trudną, a jak może być doniosłą wpośród emigracyi londyńskiej, czytelnik pojmie teraz i... wybaczy mi przydługie rozpisanie się powyżej.

Mniemam, że łatwiej pod tym względem księżom polskim w pa-

[1] Mowa tu o zapisie ś. p. Stanisława Gnorowskiego na korzyść weteranów, przynoszącym około 80 funtów st. rocznie.

rafiach amerykańskich, bo są one istotnie parafiami nadewszystko, a parafianie są przeważnie... polskim ludem, ludem przeważnie wiejskim. Parafianie londyńscy są... „emigracyą". I w tej okoliczności są *lachrymae rerum*, bo pewien znany duch emigrancki przewiewa całą polonię londyńską, usiłuje wszystko skupić pod swojemi skrzydłami, czego zaś zagarnąć nie potrafi, to... według sił swoich i swemi osobliwemi sposobami podkopuje, wyrzuca i miażdży. Kapelan polski miałby być w pewnej... niezmiernej mierze dependentem towarzystwa i klubu. (Dodajcie, że prądy w towarzystwie zmieniają się nierzadko!). Powiedziałem dosyć, by zrozumiano, czego i ile ze strony kapelana potrzeba...

Nadewszystko taktu i cierpliwości. Nie taktu salonowo-dyplomatycznego, — boć nie miałby on się z kim tu mierzyć i tylko na gorsze zaprowadzićby musiała owa taktyka rozdroże — lecz taktu kapłańskiego, o którym nie mnie pisać, laikowi! Cierpliwości potrzeba niewyczerpanej, by znieść ciągłą kanonadę podjudzań, plotek, donosów, podejrzewań, posądzań i... oskarżeń, sięgających tak daleko i wysoko, jak daleko i wysoko rozniosą je wprawne języki. Potrzeba dalej silnego poczucia niezależności, a więc i niezbędnem jest unikanie wszelkich zobowiązań natury prywatnej. Ostrożności trzeba na każdym kroku, zwłaszcza w każdem powiedzianem słowie. Oto, czem się kapelan polski w Londynie zbroić powinien przez całą dobę, jeżeli, obok obsługi duchownej, godzić ma a nie waśnić, skupiać nie rozbijać, ziomków swych rzeźwić, nie zaś rozgoryczać.

Streszczę teraz pokrótce wiadomości, dotyczące przybycia i osiedlenia się w Londynie czwartego z rzędu kapelana polskiego. Jest nim, jak wiadomo, ksiądz Wincenty Bronikowski, prałat domowy Ojca św. Studya gimnazyalne i teologiczne odbył w Poznańskiem: święcenia otrzymał w Krakowie, gdzie też był czas jakiś kapelanem przy jednym z żeńskich klasztorów. Ksiądz Bronikowski liczy dziś lat około 40, jest przeto w sile wieku, choć, zdaje się, nie w sile zdrowia. Językiem angielskim włada dość płynnie, bo lat kilka spędził w Stanach Zjednoczonych, na obsługach kolonii polskich w Detroit i, jeśli się nie mylę, w Brooklyn.

Do Londynu przybył blizko przed rokiem — we wrześniu 1893 — na skutek gorliwych zabiegów, jakie w celu pozyskania polaka-kapłana dla Londynu czyniła w Rzymie i w Poznaniu przezacna pani Pace, rodaczka nasza, a żona jednego z najwybitniejszych jurystów katolickich w Londynie. Pani Pace dowiedziała się, iż ks. prałat Broni-

kowski, wróciwszy niedawno z Ameryki, mógł być jedynym w kraju, któryby chętnie przyjął misyę londyńską. Będąc dobrze znaną w tutejszych kołach katolickich i mając stosunki i środki odpowiednie, nie wahała się rodaczka nasza ułatwić księdzu Bronikowskiemu wszystkie kroki wstępne, a kiedy tu stanął, wsparła misyonarza i wskazówkami i hojną pomocą materyalną. Kardynał-arcybiskup westminsterski zachęcił go swem błogosławieństwem do mozolnej pracy, do pracy „misyjnej“ w tutejszem rozumieniu wyrazu, tj. do skupiania katolickich wiernych narodowości polskiej i litewskiej około tymczasowego ołtarza, w którymbądź kościele istniejącym. Z czasem „misya“ ma się utrwalić pod własnym, polskim dachem, we własnej polsko-litewskiej kaplicy. Zupełnie w ten sam sposób pracują po rozległym Londynie kapłani angielscy, irlandcy i obconarodowi; znam księży, którzy z takich wyszedłszy początków, popracowawszy szereg lat z największem zaparciem się i poświęceniem, przy bożej i wiernych pomocy wystawili okazałe świątynie na przedmieściach, szkoły, kluby i biblioteki.

Osobiście miałem zaszczyt poznać ks. Bronikowskiego dopiero w pięć miesięcy po jego tu przybyciu. Mieszkał wtedy, zajmując osobną kamieniczkę, pod nr. 16 ulicy Holford, przy wielkiej arteryi wschodniej, Mile-End Road. Kamieniczka mile położona, narożna, w niej pięć pokoików, kuchnia, piwniczka i t. d. Wszystko to zaopatrzone skromnemi, lecz ładnemi meblami i utensyliami. Gospodarstwo plebanijki prowadziła służąca, a prócz niej miał ksiądz prałat u siebie młodzieńca, zbiegłego z Warszawy, którego przygarnął i którego zrobił swoim sekretarzem. Utrzymanie takie, w takim domku, ze sługą i sekretarzem, nie może kosztować kapelana mniej, jak — z największą oszczędnością — 200 funt. szterl., czyli około 2500 złr. w. a. Nie wliczam zaś żadnych wydatków osobistych, ani codziennych kosztów lokomocyi po dzielnicach londyńskiego kraju.

Mieszkam tak daleko od ulicy Holford, że gdyby mi nawet zatrudnienia dawały więcej swobodnego czasu, często bywaćbym tam nie mógł. Ksiądz Bronikowski był jednakże tyle łaskaw, że mnie kilkakrotnie odwiedził i... wielkanocne dary boże poświęcić raczył, i dużo, dużo mi o swoich kłopotach opowiedział. Kłopoty miał trojakie: ze zbieraniem, przez ochotniczych poborców, tygodniowych danin między polonią i litwą; z istniejącemi probostwami katolickiemi, które znaczną liczbę parafian miały gwoli niego utracić; wreszcie... z emigracyjnemi mizeryami. Kłopoty z proboszczami ustały powoli. Poborcy — mówił mi często ks. Bronikowski — bodaj mu zdołają ze-

brać sumę 2—3 funt. szterl. tygodniowo, kiedy w domu i poza domem dużo więcej potrzeba. A co do emigracyjnych mizeryj... ba! *guarda e passa!* Jednakże z ust księdza prałata — już za pierwszej jego u mnie bytności, w marcu b. r. — dowiedziałem się rzeczy nad wyraz bolesnych. Kto inny odesłałby podobne wiadomości — do policyi.

W częstych konferencyach z państwem Pace (hr. Łubieński bawił czas długi w kraju) postanowiono trzy rzeczy: zbierać składki na misyę między znajomymi i za pośrednictwem prasy w kraju; urządzić na ten sam cel koncert w stolicy; ustanowić upoważniony przez kardynała-arcybiskupa komitet, któryby szafował funduszem misyjnym i był zań odpowiedzialnym. Raźnie i żwawo wzięto się do pracy. Tymczasem kapelan gromadził lud swój w niedziele i święta w niemieckim kościele, przy Union Street (Whitechapel), słuchał spowiedzi Litwinów w Silvertown, odprawił rodzaj misyi w Wielki Tydzień, założył bractwo jedno i drugie. Pp. Pace wspierali go materyalnie, ilekroć zaszła potrzeba. Rzecz dla nas niepojęta — z kraju żadna nie nadeszła danina, prócz skromnych kilkunastu marek z Poznania, mimo że odezwy za misyą ukazały się we wszystkich prawie poznańskich i galicyjskich dziennikach... Kilka osób w Londynie złożyło między sobą około 11 funt. szterl. i sumę tę oddano ks. Bronikowskiemu na pilne potrzeby. Nadszedł czerwiec. Przez sześć tygodni kilka osób pracowało... zawzięcie, bez przesady, całodziennie i nieraz do późnej nocy, nad urządzeniem koncertu. Wymienić tu muszę przedewszystkiem szlachetną panią Pace, której nieraz omdlewały palce od korespondencyi na wszystkie strony — pannę Janotównę, która na pomoc koncertowego komitetu przyjeżdżała do Londynu aż z wyspy Wight — wreszcie pana hr. Jana Zamoyskiego, który specyalnie dla koncertu z górą miesiąc tu pobawił, między artystami się krzątał i komitetowi według możności pomagał. Każdy z członków komitetu poniósł niemało wydatków, niemało się naupokarzał... *faisant l'antichambre* u artystów i artystek, u agentów i dyrektorów. Pisałem już indziej, że koncert, jakkolwiek sam przez się udał się świetnie, materyalnie nic nie przyniósł i jeszcze trzeba było zapłacić niedobór, wysokości 15 funt. szterl. Zapłacił... pan Pace. Klęskę spowodowało bardzo niełądne zachowanie się Sary Bernhardt, która obiecawszy uroczyście deklamować na koncercie, w sam dzień jego rozgłosiła po gazetach... iż obietnicy żadnej na korzyść „jakiejś tam katolickiej kaplicy we wschodnim Londynie nigdy nie dała!“ Publiczność angielska, goniąca za ekscentryczną aktorką, nie była do zdobycia: musiano rozdać kilkaset biletów bezpłatnie, by przy-

zwoicie wypełnić olbrzymią hallę St. James's, gdzie koncert się odbył. Wdzięczność za bezinteresowny współudział należy się fortepianistce, pannie Janotównie, panom: Edwardowi Reszke, Śliwińskiemu i maleńkiemu skrzypkowi, Bronisiowi Huberman. Pisma nazajutrz wychwalały wartość artystyczną koncertu, komitet opłakiwał kompletne *fiasco*.

Na miesiąc przed tym koncertem, ks. prałat Bronikowski gotował się do wyjazdu do Manchester, dokąd — jak mi to temi dniami opowiedział — zapraszał go O. v. Lassberg i gdzie miał dać misyjkę tamtejszym Polakom i Litwinom. Było to w pierwszych dniach czerwca. Ale zaproszenie zostało odłożone, i ks. Bronikowski wyjechał do Paryża. Wrócił przed samym koncertem. Przydłuższa jego nieobecność sprawiła, że te osoby, które sprawę misyi popierały najczynniej i wobec kardynała i wobec społeczeństwa w kraju, postanowiły nie konstytuować się specyalnym komitetem misyi, lecz tylko fundusze misyi, jakieby Pan Bóg dał w przyszłości, oddać pod zarząd dwóch skarbników. I tak się stało, z upoważnieniem J. Em. kardynała Vaughan'a. Postanowiono, ażeby wszystkie ofiary, dary i składki wkładane były przez skarbników do banku Birkbeck'a z wyraźnem zastrzeżeniem, iż wkładają się na „fundusz misyi polsko-litewskiej w Londynie"; ażeby z funduszu zaczerpywać mieli prawo tylko obaj skarbnicy, podpisujący odpowiednie kwity bankowe; ażeby, nakoniec, fundusz ten służył na cele ustalenia misyi, więc na budowę lub wynajęcie kaplicy, czy kościołka i tegoż dotacyę, a tylko w razie nadzwyczajnej potrzeby był cząstkowo udzielony kapelanowi, już się utrzymującemu ze zwykłych dochodów cotygodniowych, tj. ze składek, zbieranych przez poborców między parafianami w kilku dzielnicach wschodnich. To rozgraniczenie dochodów, że się tak wyrażę, ogólnych od osobistych wydało się i koniecznem i podyktowanem przez przezorność: koniecznem — ażeby, na wszelki wypadek, sama instytucya misyi nie była narażoną na całkowity upadek; by istniał i, ze składek choćby już tylko miejscowych, wzrastał fundusz, w danym razie ogromnie już ułatwiający sprowadzenie i instalacyę kapelana. Przezorność doradziła obwarować ten fundusz żelazny wszelkiemi gwarancyami, ażeby w sprawie tak świętej nie powtórzyły się, nie powstały podejrzenia, jakoby kapelania pochłaniała... bajońskie sumy, mogące zbudować nietylko kościołek i szkółkę, ale — Rzym cały!

Skarbnikami zostali chętnie Ludwik hr. Łubieński-Bodenham, rezydujący w Rotherwas, pod Hereford — i p. Henryk Pace, mieszkający w Londynie, 99, Holland Road, Kensington, W. — Skarbnicy zaczęli swą

działalność i odpowiedzialność od tego, że... złożyli się i do banku włożyli coś, aby módz fundusz otworzyć. To coś wynosi 10 funt. szt. Spodziewano się z koncertu dziesięćkroć więcej... Opiekę honorową nad misyą londyńską przyjął, w ostatnich dniach zasłużonego żywota, ś. p. książę Władysław Czartoryski, i na cel ten ofiarował rocznie 250 franków. Z innych rodaków wymienię, jako opiekuna, Jana hr. Zamoyskiego. Ks. kardynał-arcybiskup, prócz zaszczycenia misyi, bardzo specyalnym swoim patronatem, dowiedziawszy się o niefortunnym rezultacie koncertu, własnoręcznem pismem upoważnił skarbników do zbierania w Anglii składek — dowód niezwykłej łaski i troskliwości Jego Eminencyi o ustalenie polsko-litewskiej kapelanii w Londynie.

Czyż mogła misya otrzymać lepsze zachęty i gwarancye przyszłości? Najotwarciej powiem, że upoważnienie dane przez kardynała tak powszechnie w Anglii — a i w kraju — znanym i szanowanym osobom, jak pp. Łubieński i Pace, zapewniało bezwarunkowo stateczny byt i rozwój misyi. Czyż... przestało zapewniać? Niestety, niestety!

Jeszcze rachunki koncertowe nie były przejrzane — a już do komitetu, przedewszystkiem do zacnej pani Pace, nadeszły listy od ziomków, całkiem jej nieznanych nawet z nazwisk, zapytujące o wysokość dochodu... Zarazem, wschodni Londyn począł się żachać na... „arystokracyę", zagarniającą pieniądze na to, by kapelana mieć w swoich szponach! Prócz tego, powiedziano mi, że kolonia nie wierzy, iżby koncert nic nie przyniósł, boć „sala była pełna!" Sam wtedy, do Towarzystwa nie należąc, zaproponowałem przyłączenie się dwóch lub trzech jego członków do komitetu misyjnego, któryby każdej chwili mógł rozpatrywać wszystkie i wszelkie rachunki, kwity, księgę bankową i t. d.

I cóż powie czytelnik? Wzięto mi to za złe... ze strony najmniej spodziewanej. O mnie — najmniejsza. Powtórzę jednak wyrzeczone do mnie słowa pana Pace, który z powodu misyi miał kosztów i przykrości więcej, aniżeli godzi się pisać: „Jeżeli ze wszystkich stron nędzne tylko spadają podejrzenia i kwaszą się ci, którzy najmniej do kwaszenia się mają prawo — to ja pieniądze, dziś leżące w banku, darowane w części przeze mnie, w części przez hr. Łubieńskiego, z banku wycofam i rzucę im pod nogi — a wtedy o niczem więcej wiedzieć już nie chcę!"

Za to wszystko „tromtadractwo", za ten nierozum niewysłowiony, za tę zawiść i ambicyę, złem patrzące okiem na odpowiedzialność i zamiary skarbników — kogóż winić? Czy zarząd Towarzystwa Polskiego?

Sumienie nakazuje mi powiedzieć, że — tym razem nie. O ile wiem, zarząd gotów był przyjąć moją propozycyę, zgadzał się na rozgraniczenie dochodów misyjnych, a nawet — projektował wyrazić komitetowi koncertowemu wdzięczność za jego mozolne, choć daremne zachody. Kogóż winić? Ha! niechby Salomon z Solonem do spółki tę kwestyę rozstrzygnąć chcieli... a wcześnieby uszy sobie woskiem zatkali i uciekli do spokojniejszych swych mogił! Czytelnikowi przypomnę, co o oszczerstwie i plotkarstwie tak dowcipnie i dosadnie śpiewa *maestro* w „Sewilskim cyruliku“...

Koniec końców, chodzi przedewszystkiem o ustalenie misyi. Dlatego, jeśli się sądzi, iż jarzmo skarbników jest uwłaczającem i zbytecznem, lub szkodliwem — niechże nie będzie skarbników... w zachodnim Londynie; przyjdzie czas, że kolonia swoich wyznaczy! Tymczasem, nie bez zdumienia dowiedziałem się, że wkładki tygodniowe parafian wynoszą najmniej 4, a dochodzą i do 5 funtów szterl. dochodu cotygodniowego. Więc na cóż było upraszać skarbników... zachodnich? na cóż urządzać koncert? Dowiedziałem się od ks. Bronikowskiego, po jego powrocie z Paryża, że zamierza wynająć, a ewentualnie kupić od Żyda (za 2800 funtów szterl., czyli blizko 40.000 złr.) dwa domy z dużą hallą: halla będzie kaplicą, dom jeden plebanią, a drugi dom odnajmie się prawie już gotowemu lokatorowi [1]. Dowiaduję się w ostatniej chwili, że na nabożeństwie jednej z ostatnich niedziel (w końcu lipca) kolekta przyniosła 15 funtów szterl. — właśnie tyle, ile p. Pace dopłacił do koncertu, nie mówiąc o znacznych sumach, przezeń pożyczonych... i że poważną tę kwotę złożono „w banku“ — lecz nie w banku, strzegącym funduszu „Misyi polsko-litewskiej w Londynie“.

Na zakończenie, cóż powiem? Milczeć wolę i czekać — co też z tego wszystkiego będzie? Szkoda jednak wielu dobrych chęci, czystych zamiarów i przykrych poświęceń! Oby innej szkody nie było!

Edmund S. Naganowski.

Z historyi kantorów służbowych we Francyi.

W czasach obecnych, gdy kwestya robotnicza wszędzie prawie się narzuca, a w zachodnich społeczeństwach stanowi ważny czynnik

[1] Ostatniej niedzieli, dnia 5-go sierpnia, uwiadomił ks. Bronikowski swoich parafian z kazalnicy, że ugoda z Żydem została już zawartą na lat trzy, i że za tydzień lub dwa, kaplica zostanie otworzoną.

polityki wewnętrznej, warto jest zwrócić uwagę na jedno z najważniejszych pytań, z jakiem się spotyka robotnik, tj. gdzie i jakim sposobem znaleść pracę; bo jedynie człowiek, który ma gdzie i nad czem pracować, może dalej myśleć o polepszeniu warunków tej pracy.

Pytanie to nie jest wymysłem naszych czasów, ani troska o brak zarobku przywilejem dzisiejszego społeczeństwa. Na Zachodzie szukanie i udzielanie roboty stanowiło już w wiekach średnich ważne zagadnienie społeczne, a najstarsze próby rozwiązania go sięgają XIII. wieku. Koniec epoki wojen krzyżowych jest chwilą wielkiego rozwoju ekonomicznego dla krajów łacińskich i germańskich. Wyprawy na Wschód odświeżyły umysły, rozszerzyły horyzont polityki przemysłu i handlu.

W feudalnej Europie, jeszcze najeżonej zameczkami rycerskiemi, jaśniały jak kwiaty wolne i potężne miasta, w nich kwitły cechy, powstawały warsztaty, wyrastały z ziemi wspaniałe gmachy, strzelały pod niebo wieże kościołów, a królowie w swych stolicach popierali rozwój sztuki i przemysłu wówczas ściślej niż dziś z nią złączonego, pragnąc, by one wolnym dorównały miastom.

Do wykonania tego wszystkiego potrzeba było pracy tysięcy rąk, robotnika zawodowego, znającego się na swem rzemiośle, zamiłowanego w swym fachu. Pod wpływem tych stosunków wytworzyła się mądra i praktyczna organizacya pracy. Cechy, za któremi nieraz dziś tęsknimy, regulowały stosunki zarobkowe i konkurencyę. Ścisłe statuta określały stosunek czeladnika do majstra, a jego znowu do państwa.

Ale organizacya pracy przydatną była tylko dla tych, którzy tę pracę mieli w ręku, posadę w warsztatach państwowych lub prywatnych zapewnioną. Dla tych, którzy jej nie mieli, było pierwszą troską, czy i jak prędko znajdą zajęcie. To też myśl o ułatwieniu robotnikom zabiegów w tym kierunku zaprzątała już wówczas umysły, rozwijała się w wiekach następnych; a i dziś jeszcze stoi na porządku dziennym, że wspomnimy tylko niedawne rozruchy w Paryżu przeciwko t. zw. biurom wywiadowczym.

Świeżo wydane obszerne publikacye paryskiego *Office du travail* ciekawe rzucają światło na historyę szukania zarobku we Francyi. Widzimy z nich, że w najdawniejszych czasach robotnicy bez zajęcia udawali się do pośrednictwa klasztorów, które albo dawały im zarobek we własnych przedsiębiorstwach, jak np. w budowie szkół, szpitali i innych gmachów, albo też pośredniczyły w wynajdywaniu posad u majstrów cechowych, lub w wielkich robotach publicznych, np. budowie kościołów, które nieraz całym pokoleniom dawały zarobek.

Prócz furty klasztornej mieli robotnicy oznaczone miejsca na placach publicznych, w których się zbierali i gdzie przychodzili także majstrowie szukający czeladników.

Regestra warsztatów i handlu miasta Paryża z czasów panowania św. Ludwika w latach 1258—1267 zawierają najstarsze dokumenta dotyczące najmu robotników. Majstrowie godzili robotników na miesiące lub na lata i zawierali z nimi kontrakty, których dosłowne brzmienie się nie zachowało. Wiemy tylko, że majster do zawarcia kontraktu potrzebował jako świadków dwóch innych majstrów, a czeladnik ze swej strony dwóch czeladników. Na nowoprzyjętym ciążył nadto obowiązek przysięgi publicznej.

Pierwszem oficyalnem biurem wywiadowczem był zakład świętej Katarzyny w Paryżu, założony już w jedenastym wieku, a którego zadaniem było opiekować się biednemi kobietami i dziewczynami i znajdywać im miejsca, oczywiście bezpłatnie. Płatne biura świeckie napotykamy w XIV. wieku za panowania króla Jana. Edykt tego króla z dnia 20 stycznia 1351 r. ustanawia, że biura te wolno tylko trzymać kobietom i dla kobiet, i że koszta pośrednictwa przypadać mają w połowie na chlebodawcę. Koszta te wynoszą dla służących 18 denarów. Za narajenie mamki biuro likwidowało sobie 2 grosze.

W trzynaście lat później statuta, nadane sukiennikom, oznaczają miejsca, w których się gromadzić mają robotnicy szukający zajęcia.

Epoka odrodzenia niewiele przyniosła zmian w tym kierunku. Dopiero edykt Henryka III. Walezyusza, z r. 1581, ustanawiający drogą opłatę za patent majstra, znaczy stanowczy zwrot w stosunkach roboczych. Robotnicy zaczęli tworzyć osobne stowarzyszenia, mające zrazu cechę religijnych bractw wzajemnej pomocy, a które się już przy końcu szesnastego wieku przedstawiają jako szeroko rozgałęziony związek syndykatów, broniących sprawy robotniczej za pomocą rzucania interdyktów na pojedyńczych majstrów, bastówek, a nawet nieraz otwartych rokoszów. Ze stowarzyszeniami temi, które oznaczano zbiorową nazwą *compagnonnage*, walczyły nieraz władze, uskarżały się na nie cechy, parlamenta wydawały edykta, królowie rozporządzenia, z których najciekawsze z dnia 12 września 1781 r. ustanawia dla robotników obowiązek posiadania książeczek służbowych. *Compagnonnage*, choć oficyalnie nie uznany, przetrwał długie lata. Spotykamy go jeszcze w początkach naszego wieku.

Przeciwko nadużyciom związków czeladniczych, występowali w pierwszym rzędzie majstrowie. Ustanowili oni pomiędzy sobą prawa

i zwyczaje, które się aż do rewolucyi utrzymały. I tak: robotnika bez zajęcia nie wolno było żadnemu majstrowi przyjmować, jeżeli szukający roboty nie miał świadectwa swego poprzedniego chlebodawcy. Edykt parlamentu z dnia 19 stycznia 1705 r. obowiązuje robotników do zapisywania się w regestrach prowadzonych przez sekretarza cechu. Prywatnych kantorów służbowych, istniejących od dawna dla sług żeńskich, nie wolno było zakładać dla robotników, jak tego dowodzi edykt parlamentu paryskiego z 9 lipca 1677 r. Istniały wszakże biura pośredniczące w interesach wszelkiego rodzaju, np. kupnach, sprzedażach i t. d. Pierwszem z nich było *bureau d'adresses*, założone w r. 1612 przez Teofrasta Renaudot, przybocznego lekarza króla Ludwika XIII.

Gdy w maju r. 1789 wybuchła wielka rewolucya, stosunki robotnicze we Francyi były opłakane. Tysiące ludzi bez pracy gromadziły się po miastach, przemysł i handel wskutek zaburzeń politycznych i poprzednich lat głodu osłabły albo ustały, znaleść zarobek było rzeczą prawie niepodobną.

Zgromadzenie narodowe zajęło się tą sprawą, i dekretem z dnia 31 sierpnia 1790 r. stworzyło warsztaty publiczne, na których założenie przeznaczono 15 milionów liwrów. Dekretami z dnia 2 i 17 marca oraz 14 czerwca 1791 r. zostały zniesione cechy.

W ciągu rewolucyi polepszyły się stosunki handlowe i przemysłowe, znalazł też robotnik łatwiej zajęcie, jednakże w owych burzliwych czasach zdarzały się tak ze strony majstrów lub właścicieli fabryk, jak i robotników liczne nadużycia. Występuje przeciwko nim Bonaparte jako inicyator prawa z 12 kwietnia 1803 r. Prawo to zabrania pod karą więzienia wszelkich związków, tak chlebodawców jak i robotników, mających na celu zmniejszenie lub podwyższenie płacy, oraz wznawia obowiązek posiadania książeczek służbowych.

Rozporządzeniem prefekta policyi z dnia 10 lutego 1804 r. ustanowione zostały kantory służbowe dla robotników. Kantorów tych była liczba ograniczona, a właściciele ich mieli monopol umieszczania robotników. Taksy za pośrednictwo określone były dokładnie. Ale kantory zawiodły oczekiwania rządu. Niespełna w dwadzieścia lat po ich założeniu, skarżyli się robotnicy na wyzyskiwanie ich przez pośredników, którzy za swą fatygę drogo kazali sobie płacić, często z góry, zawodząc potem biednego klienta. To też robotnicy zaczęli stronić od kantorów, i *compagnonnage* na nowo zakwitł. Kto chciał prędko i dobrych robotników znaleść, musiał się udawać do t. zw. *maitre compagnon*, który choć koncesyi nie miał i nie był oficyalnie uznanym,

jednakże sam jeden przez robotników jako ich własny agent był uważany. Rząd starał się złemu zaradzić, oddając kantory pod nadzór policyjny np. rozporządzeniem z 1 lipca 1829. Jednakże *compagnonnage* dalej się rozrastał i był w pierwszej połowie tego wieku podstawą wszelkich bastówek. Dopiero krótko przed rokiem 1848 znika *compagnonnage* wskutek niesnasek i partyj powstałych w jego własnem łonie.

Druga rzeczpospolita więcej jeszcze niż pierwsza starała się o przysporzenie zarobku robotnikom, a że wskutek rewolucyi wiele fabryk na pewien czas zostało zamkniętych, więc liczba ludzi bez zajęcia wzrosła do olbrzymich rozmiarów. Deklaracye rządu prowizorycznego z dnia 26 lutego 1848 r. zagwarantowała sposobność pracy wszystkim obywatelom. W celu dotrzymania swej obietnicy rząd założył t. zw. narodowe warsztaty, w których znalazło zajęcie przeszło 100.000 ludzi. Ale wadliwa organizacya tych warsztatów, w których robotnicy najróżnorodniejszych zawodów byli pomieszani, wywołała wiele nadużyć. Nastąpiło zamknięcie warsztatów, a skutkiem tego były krwawe zamieszki uliczne od 23 do 26 czerwca 1848 r. Rząd prowizoryczny wydał jeszcze szereg innych rozporządzeń, mających na celu ułatwienie robotnikom znalezienia pracy, a mianowicie zniósł kantory prywatne, a ustanowił urzędowe bezpłatne biura wywiadowcze we wszystkich okręgach miasta. Z upadkiem rządu prowizorycznego zniknęły i te biura.

Sprawa została na nowo podjętą przez księcia prezydenta Napoleona po grudniowym zamachu stanu. Komisya, której on polecił dokładne zbadanie stosunków służbowych, oświadczyła się za przywróceniem prywatnych kantorów płatnych, mających odtąd pozostawać pod ścisłą kontrolą policyjną. Ten stan rzeczy trwał aż do upadku cesarstwa, i zdaje się, że zadawalniał tak chlebodawców, jak i robotników, bo nie napotykamy nigdzie na ślady skarg lub użalań z tego powodu.

Trzecia rzeczpospolita wkroczyła na inne tory. Prawo z 21 marca 1884 r. pozwala syndykatom fachowym zakładać w dowolnej ilości własne kantory wywiadowcze. Prawo z 2 lipca 1890 r. znosi książeczki służbowe dla robotników. Wreszcie paryska rada miejska założyła w latach 1886, 1887 i 1892 t. zw. *bourses du travail*, to jest bursy robotnicze, połączone z agencyami służbowemi. Wszystko to podkopywało oczywiście byt i znaczenie płatnych prywatnych kantorów, przeciwko którym wzrastała niechęć robotników. Ich skargi na wyzyskiwanie ze strony agentów mnożyły się pomimo obostrzenia w r. 1877

kontroli policyjnej nad prywatnemi kantorami. W r. 1886 wybuchły otwarte rozruchy, niektóre kantory zburzono do szczętu, inne tylko uszkodzono i zrabowano. Gwałty te powtórzyły się w dwa lata później. Odtąd obrali robotnicy drogę prawną i nią chcą dojść do zniesienia kantorów płatnych, a nadania własnym syndykatom wyłącznego przywileju utrzymywania kantorów bezpłatnych. W tym celu utworzył się osobny komitet, który żądania robotników przedłożył wpierw radzie miejskiej, następnie parlamentowi, wreszcie zwołał w latach 1891 i 1892 kongresy, które spowodowały wielką parlamentarną ankietę w r. 1892. Ankieta ta wykazała dobitnie zły wpływ kantorów płatnych, nakładających ogromny nieraz haracz na robotnika i utrzymujących pomiędzy swymi klientami zwyczaj częstego zmieniania służby, by z tego coraz to nowe zyski ciągnąć.

Niewiele lepszą okazała się instytucya agentur rządowych, gdyż tam biurokratyzm i brak zrozumienia interesów robotniczych, a wreszcie może i brak zaufania ze strony robotników udaremniłyby najlepsze chęci. Za to zdaje się, że powierzenie syndykatom monopolu kantorów służbowych byłoby najlepszym punktem wyjścia. Jedyną rzeczywistą przeszkodą w wykonaniu tego projektu są niezdrowe prądy anarchii, krążące obecnie w wielu, choć dzięki Bogu nie we wszystkich kołach robotników francuskich, a utrudniające najlepsze zamiary ludzi im szczerze życzliwych.

W mieście Nimes, w południowej Francyi, utrzymują tamtejsze syndykaty ścisłe stosunki ze szkołami fachowemi, i nie oglądając się na kantory płatne, umieszczają same po warsztatach i fabrykach chłopców, którzy te szkoły opuścili. Za tym przykładem mają podobno zamiar pójść i inne miasta francuskie. Ostateczna akcya w tej mierze będzie jednakże udziałem Paryża, który wywiera na francuskie stosunki robotnicze decydujący wpływ.

F. M.

Druk ukończony 29 sierpnia 1894 r.

SPIS RZECZY

Artykuły o rzeczach współczesnych.

	Stronica.
Z powodu 300-letniej rocznicy kanonizacyi świętego Jacka . . . . . (Dodatek)	1*—4*
Panslawizm na Kaszubach. Przez *Szymona Matusiaka.*	1
Katolicki zjazd w Bernie. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*	359

Artykuły naukowe i literackie.

O słowach: „Pod Ponckim Piłatem". Przyczynek do historyi Składu Apostolskiego. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.*	26
Listy z podróży po Azyi. (Część II.: Chiny i Japonia. C. d.). Przez *księcia Pawła Sapiehę*	35 250 398
Ksiądz Karol Antoniewicz. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*:	
VI. Huculskie sioło	51
VII. Tabor i Golgota.	224
Z pobytu na Łużyckich Błotach. (Spreewald). Przez *Tytusa Sopodźkę*	68 178
O obowiązku konkurencyjnym filialistów na rzecz kościoła i budynków plebańskich parafii matrycznej. Przez *d-ra Edwina Płażka*	153 337
Unici w Kurlandyi. Przez *Wołyniaka*	199

Stronica.

Przebieg pojęć religijnych u Chińczyków. Przez *ks. W. Zaborskiego T. J.*:

I. Chiny i Chińczycy 313

Z archiwum Karmelitów Bosych na Czernej. Przez *d-ra K. Krotoskiego* 376

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Piast Dantyszek. Kartka twórczości J. Słowackiego. Gubrynowicz Bronisław. — Przyczynek do genezy Maryi Stuart Juliusza Słowackiego. Wiktor Hahn. *(L. M. Dziama)*. . . 95

Pisma Walentyny z Trojanowskich Horoszkiewiczowej. Tom I. Poezye. *(Ks. A. Boc T. J.)*. 96

Z niwy śląskiej. Wiersze Czesława Lubińskiego. *(Tytus Sopodźko)*. 97

Zwięzła gramatyka języka polskiego. Dla IV. klasy szkół pięcio- i sześcio-klasowych. Fr. Konarski. *(L. M. Dziama* . 100

Ceremoniał parafialny. Przewodnik liturgiczny dla duchowieństwa pasterstwem dusz zajętego. Napisał ks. Antoni Nowowiejski, mag. św. Teologii, prof. sem. duch. w Płocku. Tom I. — Akolici i ich czynności podczas Mszy św. i w innych obrzędach Kościoła katolickiego. Opracował... (jak wyżej). — Turyferarz i jego czynności... (zresztą jak wyżej). *(Ks. H. P.)*. 100

Średniowieczne ustawodawstwo synodalne biskupów polskich. I. Życie i obyczaje kleru w Polsce średniowiecznej na tle ustawodawstwa synodalnego. Ks. Jan Fiałek. *(Ks. Augustyn Arndt T. J.)*. 264

Koniec Morstina. Studyum historyczne z czasów Jana Sobieskiego. Ernest Deiches. *(*)*. 266

Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezyi polskiej. Edward Porębowicz. *(L. M. Dziama)* 269

Bańki mydlane. Wykład początkowy o zjawiskach włoskowatości. C. V. Boys. Przełożył z upoważnienia autora Wiktor Biernacki. Z licznemi drzeworytami w tekście i jedną tablicą litografowaną. *(J. N.)* 270

Flora Litwy w Panu Tadeuszu. Kazimierz Łapczyński. *(J. N.)*. 271

Dola Marusi. Piśnia M. Czajki. *(Ks. K. C.)* 272

Sto rozmyślań o Przenajświętszym Sakramencie na tle Pisma św. *(M.)* 273

Żywot bł. Brata Gerarda Majella, ze Zgrom. OO. Remptorystów. Napisał O. Bernard Lubieński, członek tegoż Zgrom. *(Ks. M. Morawski T. J.)* 411

Bibliografia wydawnictw ludowych 1848—1894 413

Arcydzieło poezyi polskiej A. Mickiewicza „Pan Tadeusz". Studyum krytyczne. Walery Gostomski. *(Dr. A. M. Kurpiel)* 415

Samotność. Krajobrazy i opowiadania. Przez F. Hösicka *(Romuald Koppens T. J.)* 424

Stronica.

Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach. N. W. Berg. *(K. N.)* 428

Apologia naukowa wiary chrześcijańskiej. Ks. Duilhé de Saint-Projet. Przekład z 3-go wyd. francuskiego, poprzedzony słowem wstępnem JE. ks. Michała Nowodworskiego, biskupa płockiego. *(W. L.)* 429

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Die russisch-schismatische Kirche, ihre Lehre und ihr Cultus. Von Dr. Ferd. Knie. *(Ks. M. Morawski T. J.)* 103

Vie de S. François D'Assise. Par Paul Sabatier. *(Ks. Chotkowski).* 105

Institutiones theologicae dogmaticae specialis. R-mi P. Alberti a Bulsano, recognitae ect. a P. Gottfried a Grann Ord. Cap. Tom I. De Deo in se spectato, de Deo Creatore et Redemptore 116

Z literatury angielskiej. *(M.)* 117

Lehrbuch des katholischen, orientalischen und protestantischen Kirchenrechts mit besonderer Rücksicht auf Deutschland, Oesterreich und die Schweiz. Dr. Friedrich H. Vering. 3. Auflage. *(Ks. Augustyn Arndt T. J.)* 275

Lehrbuch der Moral-Theologie. Th. H. Simar, Bischof von Paderborn. 3. verbesserte Auflage. 279

Il Papa secondo la teologia e la storia. Catechismo pel P. Enrico Legnani D. C. D. G. *(W. L.)* 280

Les 52 serviteurs de Dieu, Français, Annamites, Chinois, mis à mort pour la foi en Extrême Orient de 1815 à 1856, par A. Lannay. *(M.)* 281

Les Bulgares, par un diplomate 286

Roma ed il governo. Conte Edoardo Soderini. *(M.)* 430

Święty Jan Kapistran, zwycięzca Turków pod Białogrodem w r. 1456. Poemat Eliasza Okrugicza, opata klasztoru św. Dymitra w Sremie (Mitrowicach). (Sveti Ivan Kapistran, pobjeditelj Turakah kod Biograda godine 1456. Spjevao Ilija Okrugić, opat sv. Dimitra sriemskoga). *Tytus Sopodźko)* 436

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Dymisye czterech gabinetów. — Węgierskie konwulsye. — Drugi kongres francuskich robotników chrześcijańskich. — Powrót Jezuitów do Niemiec. — Stosunki Rosyi z Watykanem. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 131

Kilka wrażeń z poznańskiego wiecu. Przez *Ż.* 141

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków: Wolny azot powietrza a rośliny. Przez *J. Nuckowskiego T. J.* 144

Stronica.

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: List apostolski. — *Słowo Polskie* i prasa rosyjska o encyklice do biskupów polskich. — List papieski do kardynała Schoenborna. — Oświadczenia ministra Madejskiego. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . 288

Listy australskie polskiego emigranta. (Ciąg dalszy). . . . 297

Wrażenia z drugiego zjazdu literatów i dziennikarzy polskich. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 305

Korespondencya Redakcyi 311

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Decyzya „Rady związkowej". — Wzrost socyalizmu w Niemczech. — Socyalne kongresy katolickie. — List papieski do biskupów brazylijskich. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 448

Misya polska w Londynie. Przez *Edmunda S. Naganowskiego* . 456

Z historyi kantorów służbowych we Francyi. Przez *F. M.* 467

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.